ALEKSANDER BRÜCKNER

DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ W ZARYSIE

TOM PIERWSZY

Jadwigi Lechoniowej

24. XII. 1924.

WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLJOTEKA POLSKA"

Bm
Dic

589/I

ODBITO W ZAKŁADACH GRAFICZNYCH INSTYTUTU WYDAWNICZEGO „BIBLJOTEKA POLSKA" W BYDGOSZCZY

PRZEDMOWA
DO PIERWSZEGO WYDANIA.

Z pomiędzy rzeczy ojczystych literatura narodowa wysuwa się u nas na czoło. Płynie szerokiem korytem; toczy swe fale — rzeka jedna, wielka, niepodzielna przez wieki i zwierciedlą się w niej losy narodu, wysokość jego kultury, jej związek z Zachodem, zalety i uzdolnienie narodowe, nawet jego wady i przywary. Więc i dzieje tej literatury nęcą badacza i czytelnika: ten szuka w nich wyświetlenia warunków, w jakich dzieła znakomitsze powstawały, wpływów, jakie wywierały, tła umysłowego i dziejowego z jakiego się wyłoniły; tamten, kusząc się o wystawienie tego wszystkiego, pragnąłby choć nieco z owych świetnych barw i blasków, jakiemi się skrzy nasza literatura, sprowadzić na swą paletę, uwydatnić mieniącą się rozmaitość ludzi i czasów, dzieł i prądów, treści i stylów, szerzyć kult piękna, prawdy i dobra, tę nieskalaną dotąd służbę literatury naszej, nieść „przed narodem oświaty kaganiec!“ I zjawiają się coraz nowe próby, rozmaite układem, wykonaniem, rozmiarami, jednak dążące do spólnego celu.

Niniejszy zarys wyprzedziło niemieckie opracowanie tegoż przedmiotu przez autora (Lipsk, r. 1901); polskie nie jest ani tłumaczeniem, ani przeróbką niemieckiego, jest pracą samoistną, pomyślaną w odmiennych warunkach, przeznaczoną dla innej publiczności, wykonaną w szerszych rozmiarach. I z polskiej jednak pracy autor wykluczył bio- i bibljografję, ponieważ rozprawia o dziełach, nie o ludziach i książkach; zatrzymał podział najbardziej mechaniczny, jako najmniej gwałcący prawdę; nie uwzględnił literatury naukowej, ograniczając się do pięknej, chociaż bardzo szeroko pojętej; przeprowadził wykład do doby najnowszej.

Autor daje zarys dziejów, nie myśli o wyczerpaniu szczegółów; mimo to stara się o wystawienie całokształtu, tak, żeby czytelnik dla dzieł, z jakiemi się spotka, dla zapomnianej książki, dla nieznanego rękopisu, *sam potrafił oznaczyć styl i czas jego.* Wciąga więc i rzeczy dotąd nie uwzględniane, a zwraca uwagę najchętniej na szerokie promieniowanie literatury polskiej nazewnątrz. Nie wprzągł się w służbę żadnej tendencji czy partji; stara się o przedmiotowość, o dobadywanie się prawdy, jak się co działo i co znaczyło; że na ocenę znaczenia wpływało to, co autor uważa za prawdę, z tem się nie kryje. Dbały o historyczność, o uchwycenie ducha czasu czy dzieła, chętnie posługuje się cytatami, wplata je często we własne słowa. Unika przypisków, skoro przeznaczył dzieło dla szerszej publiczności obojętnej na to, gdzie się znachodzą cytata, druk czy rękopis. W opracowaniu czasów dawniejszych, przed wiekiem XIX, największe długi zaciągnął u dwu najznakomitszych bibljografów, u J. A. Załuskiego i u K. Estreichera; zresztą korzystał z innych licznych prac i poszukiwań, obcych i własnych.

Dać poznać sam tok dziejów literackich bez zbytniego zaciekania się w szczegóły i związek tych dziejów z europejskiemi, samorodność i głębokość pomysłów, piękność wykonania, zalety myśli i stylu, a przez to przyczynić się do uświadomienia przeszłych zasług i przyszłych zadań narodowych — oto co było zadaniem autora. Czy go dokonał, osądzą inni. Autorowi pozostaje miły obowiązek złożenia wyrazów najszczerszej wdzięczności p. Ignacemu Chrzanowskiemu, że podjął się trudów całej korekty i niejedną cenną wskazówką pracę autorowi ułatwił.

Berlin, 15 listopada 1902 r.

PRZEDMOWA
DO DRUGIEGO WYDANIA.

Nowe wydanie zatrzymało dawny układ i rozmiary. Dołożono wszelkich starań, aby książkę ile możności ulepszyć i na wysokości obecnego stanu nauki utrzymać. Uwzględniono więc wyniki badań najnowszych; pododawano ustępy nowe; pousuwano mylne nazwy i daty, twierdzenia i domysły; tekst miejscami skrócono i wprowadzono lepszy ład, chronologiczny i rzeczowy. Skorzystano zarazem ze zmiany, jaką sam czas przyniósł: nie obawiał się więcej autor nieproszonej, natrętnej opieki, co niby miecz Damoklesa jeszcze w roku 1902 nad myślą i słowem wisiała.

Berlin, 31 marca 1907 r.

PRZEDMOWA
DO TRZECIEGO WYDANIA.

Powtarzając dawny wiersz: *tempora mutantur et nos mutamur in illis*, zgodzimy się z czystem sumieniem tylko na jego pierwszą połowę; drugiej przeczymy, pozostając zawsze czem byliśmy, chociaż odmieniamy krój i strój rękawiczek czy myśli. Oto i książka niniejsza zmieniła krój i strój, lecz sama się nie przeinaczyła. Chyba zewnętrznie; aby czytelnik nie grzązł w szczegółach, nie tracił z oczu głównego toku myśli, wyrażono mniejszym drukiem, co mniej ważne, co na razie można pominąć, co się na drugi plan zepchnęło. Dalej usunięto wiele omyłek, niejedno zbędne, uwzględniono wszelakie wyniki nowszych badań, obcych i własnych.

Pozostała nierównomierność w samem opracowaniu między tomem pierwszym a drugim. Literatury dawniejszej, do XIX wieku, nie nazwiemy wielką narodową, bo stała się taką dopiero w wieku XIX, więc uważamy i cenimy ją głównie jako odbicie dawnego życia; wyławiamy z niej szczegóły tegoż i nie opuszczamy, ile możności, niczego. Wielka literatura nowa nie dopuszcza takiego sylabizowania; o wyczerpaniu jej zasobów mowy nawet być nie może; wybór ograniczam do celniejszych jej zjawisk i głębokiem milczeniem pomijam to, czego w wiekach poprzednich nie wahałem się wyliczać. Z odmianą czasów zaszła jednak inna, stanowcza różnica. Dwa pierwsze wydania niniejszej książki pisały się w Polsce rozbiorowej, trzecie w Polsce już niepodległej. Więc dawniej mimowoli liczyło się z Iwanowskim, co już na wszechnicy przygotowywał się do przyszłego zawodu tępiciela myśli polskiej, albo z radcą policyjnym Zacherem, co z mojej uwagi o Cho-

rale ukręcił bicz na zbiorek pieśni. Dziś już wpatrywać się należało tylko we własne sumienie; tę swobodę zapewniły sobie wywody tomu drugiego. Lecz spółcześnie zapowiada się inna jeszcze zmiana, rozstrzygająca w ocenie samego przedmiotu. Polskę rozbiorową dzieliły słupy graniczne obcych mocarstw, łączyły język, literatura, tradycja t. j. umiłowanie wszystkiego rodzimego, nabierając przez to samo niepomiernie wielkiego znaczenia. Ta dawna wyłączność dziś całkiem ustąpiła; w nowem, wolnem państwie język, literatura, tradycja to już nie jedyne objawy zerwanej przemocą jedności narodowej; zeszły one teraz na spółrzędne innym czynniki; ich piastowanie przybiera rozmiary normalne. Na pozór więc maleje ich doniosłość; w istocie, pozbywszy się wszelkich pęt i względów ubocznych, teraz dopiero literatura winna stać się pełnym wyrazem nowego, spotęgowanego życia. Nie mnie go się doczekać, mogę już tylko przeczuwać zbliżanie się trzeciego, wielkiego okresu literatury narodowej. Oby wypiastował serca i głowy, któreby wodzów umysłowych drugiego okresu jeżeli nie prześcignęły, to przynajmniej im dorównały!

1921.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

POCZĄTKI.

Kraj, naród i państwo; kultura pierwotna. Przyjęcie chrześcijaństwa; niedostateczność misji zewnętrznej i wewnętrznej. Pierwsze pomniki łacińskie: Gal i Wincenty. Rozbudzenie życia religijnego w wieku trzynastym. Kazania i pieśni polskie; Bogurodzica; zasługi Kingi. Nowe żywioły; napływ niemiecki; reakcja narodowa. Wiek czternasty: wpływy czeskie i niemieckie; kultura kazimierzowska. Prace prawodawcze; potrzeba uniwersytetu. Literatura łacińska i polska; Jadwiga; kazania i pieśni polskie. Misja państwowa, obyczajowa i religijna na wschodzie. Nowy uniwersytet Jadwigi i Jagiełły. Żydzi.

Szczep słowiański, zamieszkujący od niepamiętnych wieków niską płaszczyznę, lesistą i bagnistą, między Bałtykiem a Karpatami, między Odrą a Bugiem i Sanem, nie nosił pierwotnie ogólnej nazwy. Nad morzem, od Szczecina do Gdańska, zwał się pomorskim; nad Wartą, polskim; nad Odrą, śląskim; nad Wisłą, u Krakowa i Sandomierza, Wiślanami; u Warszawy, mazowieckim. Tych Pomorzan, Polan, Wiślan, Ślązan i Mazowszan (Mazurów), Ruś zwała Lachami. Z tej plemiennej jedności wyodrębnili się jedni, wysunięci najdalej na zachód i północ, otoczeni nieprzebytemi borami i bagnami: Pomorzanie, skazani też wcześnie na zagładę; inni garnęli się i skupiali ku Białej Wodzie, Wiśle, królowej rzek słowiańskich, do pary ze starym Dnieprem, Sławutyczem.

Na tejto przestrzeni żyli ci Słowianie, luźnie, wedle plemion i rodów, nie napastowani ani napastujący, bo stepy nie wylewały nad Wisłę swej koczowniczej dziczy, a żadne bogactwa nie nęciły kupców ani zdobywców; po wiekach gminowładztwa i iście słowiańskiego nierządu, nastąpiło powolne tężenie i różniczkowanie mas, dotąd bezkształtnych. Z wojewodów, starostów i sędziów,

z bogatszych pasterzy i wojów, wyroili się wyżsi, naczelnicy po plemionach i rodach, aż najenergiczniejszy z nich zawładnął innymi; od starej Gruszy – Kruszwicy nad Gopłem, od Gniazda – Gniez(d)na— wyszedł zawiązek późniejszego państwa i ich „książdz“ zaciężył nad przyległemi obszarami. I rosło młode państwo, zwane od Polan polskiem, Polską. Dzieła zjednoczenia pokrewnych plemion dokonali Mieszko i Chrobry; ten na zawsze wyrugował z Krakowa Czechów, ciążył nad zachodem i wschodem, ustanowił biskupstwo w pomorskim Kołobrzegu, znosił się z cesarzami zachodniego i wschodniego Rzymu, zdobywał Pragę i Kijów.

Stroniąc od morza, a unikając gór, żył dotąd naród, oddany łowiectwu, rybactwu, rolnictwu, wywodzący trzody, hodujący pszczoły i ich „święte brzemię i rosę niebieską“, rządzący się i radzący na wiecach. Żadne awanturnicze wyprawy nie budziły go ze snu wiekowego, żadne najazdy nie rozkołysały jego siły i wyobraźni. W drewnianych kurnych chałupach, w ciasnych grodach, nad wodami i wśród nich, szukał schronienia przed słotą i wrogiem; żył z przyrodą, pracując jak najmniej, gnuśniał lekkomyślny i nieopatrzny, dobroduszny i gościnny, przywiązany namiętnie do ziemi, zwyczaju i języka, ale tem bardziej ciekawy obczyzny, im rzadziej się z nią spotykał. Handlarze zjawiali się wyjątkowo po skóry, wosk lub ludzi; płacono płatami lnu, kruszami soli, skórkami „białek“, rąbanemi i łamanemi kawałkami srebra. Uzbrojenie bywało arcyliche: miecz i szczyt, długa włócznia i krótkie groty, łuk i strzały, zaprawne ciemierem, lepsze u wiciędzów-łupiezców, wojów, których książdz na wyprawę zwoływał, jeżeli załogą w grodzie nie stali, wiciami, podawanemi od woja do woja. I kult religijny nie budził nadto ospałej myśli; ubóstwianie przyrody zajmowało w nim celniejsze miejsce; może i nie było świątyń, posągów i kapłanów; obchodzono święta wiosenne i jesienne u ruczajów i po gajach „stadem“; składano ofiary z koni, które potem spożywano z bóstwem, skąd nazwa „Koniojady“ różnych miejscowości; zalewano je piwami i miodami; wróżono o pomyślności z ofiar i trafów. Nad tymi zjadaczami chleba o słabej woli i zmiennem usposobieniu niemal górowały, więcej uduchowione, delikatniej zorganizowane żony, t. j. niewiasty, choć władza męża była despotyczna, a wdowa wstępowała na stos po mężu; wielożeństwo panowało chyba u starostów i księdzów; czystości obyczajów strzeżono przykładnie. „Żona“ brała udział walny w kulcie; była wróżką i wieszczką, piastowała poezję, wyłącznie liryczną. Podań dziejowych nikt nie

przechowywał, ginęły też nadzwyczaj rychło i już wiek XII niemal nic o nich nie wiedział.

Lud opowiadał sobie o dalekich psiogłowcach, o olbrzymach-stolimach i krasnoludkach-ubożętach, o smoku w „wąwalu“ (wądole) krakowskim (Wawelu) i o jego zgładzeniu i o dziwnych przygodach dziwnych stworzeń; ostrzył dowcip zagadkami i pstrzył mowę przysłowiami. Poezja liryczna kwitła w ustach dziewcząt, chodzących stadem i kołem na wiosnę lub zimą u kołowrotków pieśnią miarkujących pracę; pieśni wiosenne przy pląsach i klaskaniu w dłonie; pieśni owijające się o dramat ślubin lub o tragedję śmierci; pieśni dożynkowe. Tylko o takich wspominają dawne źródła, czy to opowiadając, że je przerwała wiadomość o nagłym zgonie Sprawiedliwego, czy to, że gorliwi kaznodzieje występują i gromią te pogańskie nawyczki, te djabelskie śpiewy z ich niezrozumiałemi przyśpiewami: chrześcijański kapłan, słysząc owe powtarzane, „opiewane“, Ładо, Ileli, Tyja, Jesze, był przekonany, że to nazwy czartów — bogów, niegdyś wzywanych przez bałwochwalców; z takich to przyśpiewów utworzył i zaludnił Długosz polski olimp pogański, chociaż wiek XV dawno już utracił wszelki jego ślad. Naturalnie, że i niezwykłe zdarzenia wywoływały piosenki, odruch i wylew uczucia, podrażnionego najazdem obcych, zbrodnią domową, szyderskim odwetem; lecz i w tych piosnkach tragicznych i rzewnych, czy wyzywających i złośliwych, nie przeważał żywioł epiczny.

Na widownię dziejową wstąpił ten naród za „Piastowiców“, ale dopiero po przyjęciu chrześcijaństwa. Niezwykły to był szczep, sam kwiat narodu, ci „Piastowicy“, ów „niedźwiedź“ Mieszko, co przyjął chrzest z czeską Dobrawą, i jego siostra, Biała Księgini, co konia dosiadała, człowieka ubiła i całe Węgry wraz z Gejzą wodziła na pasku: to rodzeństwo przewyższyli jeszcze syn i córka Niedźwiedzia, Chrobry i Dumna, godna matka Kanuta Wielkiego, co zawojował północ; kobieta jak ze stali, nieugięta i nieustraszona niczem, a taki i brat jej, Chrobry, co dzwonił mieczem w bramy praskie i kijowskie, do Konstantynopola słał butne oświadczyny, a między Niemcami zjednywał sobie gorących wielbicieli, jak młodego cesarza Ottona i z jego rodu świętego Brunona, i wrogów nieprzejednanych, zgrzytających zębami na samo wspomnienie jego nazwy, jak Titmar merseburski, biskup i dziejopis. Do tych Piastowiców, sięgających znamiennie w zaraniu dziejowem za Karpaty i za Bałtyk, do Węgier i do Szwecji, przystała dzielna Przemysłówna, owa

Dobrawa, co, choć żona i matka, do śmierci nie zrzucała dziewiczego wieńca, o której lud to może właśnie opowiadał, co później kronikarz złożył na Wandę.

Nie za Mieszka jednak, nie dopiero w r. 966, po raz pierwszy zapukało chrześcijaństwo do wrót polskich. Spłynęło tu ono Wisłą jeszcze w dziewiątym wieku, od Moraw, gdzie dziwem w Europie niesłychanym, bracia soluńscy urządzali obrządek słowiański; wprawdzie wolny książę Wiślan chrześcijaństwo to odrzucał, lecz w niewoli musiał je przyjąć. Więc nie w Wielkiej Polsce, lecz nad Krakowem, przed r. 900, zabłysły pierwsze krzyże; tylko już jakieś przeznaczenie ciąży nad tym Krakowem, że wszystko podwójnie musi odrabiać. To samo było i z chrześcijaństwem; zgubiły się wnet jego dawniejsze ślady, tak, że rok 966 winien uchodzić za pierwszy chrześcijaństwa. Lecz nie ze wszystkiem zatarły się te ślady dzieła braci soluńskich; w języku dotąd się przechowały nazwy *popa* i *cerkwi*, zatracane dopiero od wieku XV, dalsze słownictwo chrześcijańskie, od *mszy* i *kmotra* aż do *mnicha* i *papieża*, do *krzyża* i *chrztu*, do dni tygodniowych i świątecznych; więc dawniejszemi to domowemi żywiołami posługiwało się i to nowe chrześcijaństwo, które dążyło od zachodu, od Kolonji i Magdeburga do Polski.

Lata te rozstrzygnęły na zawsze losy Słowiańszczyzny; w dwadzieścia lat później Włodzimierz Kijowski przyjął chrzest od Grecji. Ruś i Polacy, tak bliscy pochodzeniem, obyczajem, mową, nie dzieleni granicami przyrody, przeznaczeni do utworzenia wielkiego państwa słowiańskiego, obok Romanów i Niemców, rozeszli się na zawsze: obrządek stworzył dawniej niebywałe, nieprzeparte zapory, i z każdym wiekiem miała się odtąd pogłębiać przepaść, dzieląca oba narody; Rzym i Bizancjum przeniosły na Polskę i Ruś te wstręty, jakie je same dzieliły, wstręty, zupełnie obce plemieniu słowiańskiemu i jego temperamentowi. Narazie ta przepaść nie przeszkadzała związkom familijnym między Piastowiczami a Rurykowiczami; stosunki pokojowe i wojenne, jako między sąsiadami, nie zaostrzały się jeszcze wyznaniowem przeciwieństwem. Lecz gdy Ruś odstrychnęła się przez przyjęcie obrządku wschodniego od Europy i żyła własnem życiem pod wpływami greckiemi, Polska zlała się, dzięki obrządkowi łacińskiemu, z Zachodem. Nowa wiara zakłóciła „mir“, gdyż nietylko nie złagodziła różnic społecznych, uwydatniających się coraz bardziej, ale je nawet spotęgowała.

Ustrój ówczesnej Polski przypominał ustrój Galji za czasów Cezara: lud, jak i u Gallów, był prawie niewolnikiem; ciężyły nad

nim rody szlacheckie, stawiające wojów i „czestników“, żupanów (panów) i starostów, komorzych i wojewodów; każde „gniazdo“, z własnym obszarem ziemi i z własnem, wyświadczającem jedność rodu „zawołaniem“ (hasłem, wziętem od położenia „gniazda“, np. Do Liwa, Do Łęga, lub od jakiego trafunku, lub od „senjora“): pod hasłem kupili się wszyscy „gniazdowicy“ Nałęczowie, Toporowie, Grzymałowie. Nad „szlachtą“ i ludem stał ksiądz (książę), co wkońcu sięgnął po tytuł króla i po koronę, z nieograniczoną, ojcowską władzą nad krajem, jakby nad własną rodziną; z twardemi wymaganiami w służbach i daninach, mszczący winę ojca zawsze i na całej familji, surowo karzący wszelki występek. Do tego ustroju weszło duchowieństwo obce, z nowemi, nader uciążliwemi wymaganiami, z zabranianiem pewnych pokarmów (koni, zajęcy) na zawsze lub mleczywa i mięsa w czasach oznaczonych, z nakazami odwiedzania dalekich kościołów, z dotkliwemi ograniczeniami swobody małżeństw (co do czasów ich zawierania i co do stopni pokrewieństwa), z nowemi podatkami i dziesięcinami. Sarkał więc lud i, gdy po nagłej śmierci Chrobrego drugi Mieszko nie sprostał trudnościom nazewnątrz i wewnątrz, zerwał się po jego śmierci do walki przeciwko panom i duchowieństwu, do walki socjalnej i religijnej zarazem, ale już nie zrzucił swego jarzma, tylko przynęcił obcych (Czechów) do najazdu i pustoszenia. Odtąd nie zrywał się już nigdy, znosząc przez osiemset lat, z nieskończoną cierpliwością, iście słowiańską, dawne jarzmo, które z wiekami stawało się tylko cięższem.

Silna organizacja piastowskiej monarchji przetrwała tę burzę, ale jej punkt ciężkości przesunął się z północy, z Gniezna i Poznania, na południe, do Krakowa, skąd poczęto organizację odbudowywać. Najsilniej ucierpiało wtedy duchowieństwo, w którem przeważały jeszcze długo żywioły obce, romańskie. Czuło się ono dygnitarstwem świeckiem, toteż w imię państwowych interesów, politycznych konszachtów, przyszło do pierwszego starcia między królem a biskupem: król biskupa, jakby świeckiego urzędnika, ukarał śmiercią. Była to chwila zamieszania, upadku w całej Europie życia religijnego, które odżyło dopiero za Grzegorzów i wypraw krzyżowych; Wojciech, Bruno, Romuald, gorzeli świętym ogniem; i w Polsce znachodzili się pierwsi asceci, jak ów święty Świerad, zwany Andrzejem, co to na Węgrzech w pustelni dokończył życia. Zresztą, ani nieliczni zakonnicy, benedyktyni w Międzyrzeczu, Tyńcu, Lubinie, kanonicy regularni w Trzemesznie, później cystersi w Lądzie, Sulejowie — oddani gospodarstwu do-

mowemu, pielęgnowaniu roślin, karczowaniu szerokich dziedzin, ani duchowieństwo świeckie, które się nie dobiło jeszcze w pół wieku po śmierci Chrobrego napowrót stałej organizacji, nie odznaczało się duchem religijnym ani zbytnią gorliwością.

Ucierpiała na tem najpierw misja. Polskę z północy i zachodu, od dzikich nadnarwiańskich Jaćwięgów, aż po spółplemiennych nadodrzańskich Luciców, okalały ludy pogańskie, lecz nie zdobywało się duchowieństwo polskie na misję między tymi poganami, zostawiało wieńce męczeństwa obcym, Wojciechom i Brunonom. Oręż Bolesławów czynił i tracił zdobycze; szerzyła się kultura polska między Prusami, których język najgęściej przesiany słowami polskiemi, ale nie szerzyła się wiara. Duchowieństwo polskie dało się zupełnie wyręczyć obcym; chociaż jeden język łączył Polaków i Pomorzan, pracy misyjnej dokonał Niemiec, Otton z Bambergu, który utorował drogę do Szczecina kościołowi niemieckiemu, kulturze niemieckiej, szlachcie i chłopom niemieckim, a żywioł słowiański wystawił na zniszczenie. I Polska utraciła Pomorze na zawsze; ledwo ocaliła część wschodnią, gdańską. Z ziemią pruską poszło nieinaczej. Mimo, że dzielnice prapolskie, np. chełmińska, wdzierały się w nią głęboko, że ten lub ów polski Cysters, np. Chrystjan, podejmował się skutecznie misji, nie podołały zadaniu misyjnemu i cywilizacyjnemu ani duchowieństwo, ani oręż Polski, wyniszczonej podziałami, i wbrew obiecującym początkom, trzeba było Prusy, jak i Pomorze, wydać na łup Niemcom, zamknąć sobie dostęp do morza, zachwiać egzystencję polityczną i narodową.

Jak misja zewnętrzna, tak i wewnętrzna długo nie wydawała owoców. Na stolicach biskupich i po kapitułach zasiadali obcy jeszcze i w wieku dwunastym. Diecezje rozciągały się w rozmiarach bajecznych, np. krakowska od Wisły aż do Bugu i Styru a kościoły parafjalne i klasztory gubiły się na takich przestrzeniach. Duchowieństwo, nie uznając celibatu, ześwieczczało zupełnie. Król lub książę mianował biskupów, nie poddających się rygorowi arcypasterza. Szkół w kraju, mężów uczonych, ksiąg brak był najdotkliwszy, stąd każdy Niemiec, zjawiający się dla bakałarzowania, miał zapewnione powodzenie, jak np. ów Otton z Bambergu. Po same pierwiastki nauk udawano się zagranicę a częste nazwy Lambertów na krakowskiej stolicy biskupiej wskazują na związki z sławną szkołą w Leodjum, zostającą pod patronatem św. Lamberta. Francuz też musiał napisać pierwszą kronikę Polakom, na żądanie ich duchowieństwa, a niejedyne to wpływy czy wzory francuskie na dworze Krzywo-

ustego, co pielgrzymował do klasztoru S. Gilles w Prowancji, skąd wyszedł ów Francuz. Słynne drzwi gnieźnieńskie z obrazami legendy o św. Wojciechu, wzorowały się na sztuce francuskiej. Rzym, zasilany z Polski skromnem świętopietrzem, wglądał w sprawy kościoła polskiego przez legatów, nastających na nową karność, usuwających zakorzenione błędy. Lecz już z trzynastego wieku dochodzą wymowne ich skargi na niedołęstwo polskiego duchowieństwa; nawet starcy nie znali żadnej modlitwy, nie umieli powiedzieć w co wierzą, a o ziemi Łukowskiej (parafji krakowskiej) donoszono papieżowi, że ludzie umierają tam nawet niechrzczeni, jak śród pogaństwa, i myślano o założeniu nowego, łukowskiego biskupstwa. Nie dziw więc, że jeszcze w końcu XIV w. zdarzały się wypadki, niebywałe dawno na Zachodzie, jak ów Chrystus z apostołami i Magdaleną u stóp gór świętokrzyskich, czczony jako Bóg przez okolicznych mieszkańców, zapowiadający im deszcze i pogodę, otrzymujący liczne ofiary, aż starosta przeświadczył i uśmiercił szalbierza; inny Chrystus z apostołami niepokoił lud i wyłudzał grosze jeszcze za Zygmunta Starego.

Przez całe wieki nie spotykamy pomników życia umysłowego. Jeśli były jakie, to chyba przez obcego „notarjusza“ spisany dokument łaciński bo ani runiczne ani cerkiewne pisma nie zostawiły w Polsce śladów. Znajdziemy chyba list, którym obcego zapraszano do misji ruskiej. Ludzie wyższego ukształcenia byli nieliczni. Górował między nimi Kazimierz Sprawiedliwy, którego obchodziły pytania naukowe i chętnie o nich rozprawiał. Ubolewając, że młodzieży polskiej nie można ćwiczyć w duchu rodzinnym mistrzowi Wincentemu, późniejszemu biskupowi krakowskiemu, pierwszemu, co wyszedł z wyboru kapituły, polecił ułożenie podręcznika dziejów narodowych. Istniał już podręcznik, dziełko owego Francuza, z początku wieku, ale poprzestawał na wyliczaniu przewag Krzywoustego, traktując resztę, jako wstęp. Mistrz Wincenty Francuza rozszerzył i przykrasił, wymuskał cytacjami z autorów i przykładami z dziejów starożytnych, popisując się retoryką, znawstwem przewodu sądowego (kanonicznego), oczytaniem w poematach i encyklopedjach; treść dopowiedział do początków XIII wieku i wstawił całą księgę o bajecznych dziejach narodu, gdzie niemal więcej nadrabiał własną inwencją, niż podaniami, a jak ów Francuz prozę opowiadania przeplatał wierszami, tak i on wsunął obszerniejszy poemat, alegoryczne misterjum o walce i rozpieraniu się radości z panowania sprawiedliwego „księdza“ i smutku z powodu jego zgonu. Jak tą wyszukaną alegorją,

tak i dialogiczną formą, nadaną pierwszym trzem księgom, szedł w zawody mistrz Wincenty z najlepszemi wzorami ówczesnej szkoły francuskiej, wydającej Hildebertów, Janów z Salisbury, Alanów. Jedyny to Polak XII wieku, przedstawiający naród śród ówczesnej uczoności, bo inne rzeczy, które w Polsce powstawały, były kopjami z obcych źródeł lub wychodziły z pod piór obcych.

Nowy wiek trzynasty, zapowiadał się smutnie. Podział kraju, trwający od lat sześćdziesięciu, prowadził do dalszego rozdrabniania dzielnic, szczególniej śląskich i kujawskich, do nowych walk wewnętrznych i coraz większej bezsilności nazewnątrz, wobec Prusów, Jaćwiągów, Rusi; przygotował zupełne oderwanie się Śląska od macierzy polskiej. Z upadkiem znaczenia władzy książęcej rosło znaczenie duchowieństwa i panów, przechodzących od jednego pretendenta do drugiego, od Mieszka Starego do Laskonogiego i naodwrót. Duchowieństwo, przejmujące się powoli zasadami Grzegorzów i Innocentych, wywalczało najpierw sobie przywileje i nietykalności z uszczerbkiem władzy książęcej a potem torowało drogę szlachcie do podobnych zakusów. Odtąd dzieje polskie staczają się po pochyłości uroszczeń stanowych, aż zakończą się zupełnem rozbiciem władzy monarszej. Zagrażają nowe niesłychane klęski; dzicz stepowa kieruje się ku Wiśle i splukuje po kilka razy dzielnice małopolskie, zapędzając się aż ku Śląskowi, czarny mór pustoszy kraje doszczętnie. Ale ten sam wiek zaznacza się równocześnie nową epoką w umysłowości polskiej.

Rozbudza najpierw życie religijne, głębokie i szczere, nie poprzestające na zewnętrznej obrzędowości wieków poprzednich, rozmarzone i idealne. Polska nie brała przedtem udziału w życiu zachodniem, w walkach krzyżowych, w pielgrzymkach do ziemi świętej; pruskie i pomorskie wyprawy zastępowały Palestynę, murowanie kościołów romańskich, z bizantyńskiemi malaturami, zastępowało drogę rzymską i jerozolimską. Tym razem ogarnęła jednak i Polskę fala religijna, z której wyłonili się pokutnicy i biczownicy, zakony kaznodziejskie i żebrzące. Co zaniedbali czarni i szarzy mnisi, benedyktyni i cystersi, miała wynagrodzić brać Dominika i mniejsza, Franciszka. Również i duchowieństwo świeckie zakrzątnęło się nietylko około imunitetów, dziesięcin i świętopietrza, lecz i około zbawienia i oświecenia wiernej trzódki. Walną przeszkodą był obcy język liturgji. Religja i łacina, którą nazywano językiem żaków, jakby ci innego nie znali, splotły się nierozerwalnie, tylko że tej łaciny prócz księży nikt nie znał w całym kraju,

a kronikarz klasztorny z zadowoleniem zapisywał fakt, że książę umiał po łacinie i chętnie rozmawiał z nadwornymi kapelanami, gdyż i u dworu nikt inny nie umiał po łacinie. Należały się przeto ustępstwa językowi krajowemu. Synody duchowieństwa wdrażały więc plebanom obowiązek, aby w niedziele i święta powtarzali ludowi główne modlitwy, odmawiali z nim spowiedź powszechną (Kaję się Bogu), a w miarę sił objaśniali i lekcję świętą. Nie zadowalali się tym skąpym posiłkiem franciszkanie, którzy poświęcali się jeszcze gorliwiej, niż dominikanie, polskiemu kaznodziejstwu, i już około roku 1270 po dzielnicach małopolskich i śląskich rozbrzmiewały kazania minorytów w języku polskim, nawet po małych kościółkach wiejskich, gdzie się pleban chętnie wyręczał zakonnikiem. Franciszkanie obdarzyli lud i pieśnią i kazaniem.

Kazania i pieśni dla ludu nie odgrywały roli w nabożeństwie wczesnego średniowiecza; zasługą była sama obecność przy nabożeństwie i łacińskim śpiewie duchownych, korne słuchanie niezrozumiałych dźwięków; kazań nie prawiono, lud nie śpiewał, chyba przy procesjach powtarzał Kyrje elejson, kierlesz; z kierleszem ruszali i rycerze do bojów. Na zachodzie, szczególniej u Niemców, nie u Romanów, pieśń religijna rozwinęła się już w języku narodowym a u Czechów rozszerzono samoistnie pierwotny „Kierlesz“ do całej zwrotki „Hospodine, pomiłuj ny“. U nas, na samem zaraniu literatury narodowej, rozbrzmiewa wspaniały swą powagą hymn, niby jej hejnał, B o g u r o d z i c a, której dzieje przejmują nas głębszem uczuciem i większą czcią, niż jakiejkolwiek innej pieśni religijnej. Obie jej zwrotki korne a natchnione, poważne, choć proste, wzruszają i dzisiaj, cóż dopiero, gdy po raz pierwszy zabrzmiała pieśń:

Bogurodzica dziewica,
Bogiem sławiena, Marya,
Twego syna, gospodzina,
Matko zwolena, Marya,
Zyszczy nam, spuści nam! Kirie eleison!
Twego dzieła Chrzciciela, Bożyce,
Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze;
Slysz modlitwę, jąż nosimy;
To dać racz, jegoż prosimy;
(A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt!) Kirie eleison!

Biblioteka Pedagog. im. St. Konarskiego w Siedlcach. Liceum

Tekst rozumiemy i dziś swobodnie, choć mu minęło sześćset lat z górą; w pierwszej zwrotce upraszało się o wstawiennictwo do Syna i Pana, matkę i dziewicę; w drugiej wzywało się Bożyca,

583

syna bożego, o wysłuchanie naszych próśb dla (dzieła) Jego Chrzciciela. Kto obie zwrotki ułożył, nie wiemy. Domysł wskazał Bogufała, franciszkanina, spowiednika księżniczki-wdowy małopolskiej, Węgierki Kingi, gorącej wielbicielki Marji. W najkrytyczniejszej chwili jej bogomyślnego, ascetycznego żywota łaska Chrzciciela wsparła ją cudownie a o Marji właśnie i o Chrzcicielu prawią obie zwrotki pierwszej pieśni polskiej. Z imieniem tej świętej, której suty posag Polskę od pogaństwa, a gorąca miłość naród i jego język wyprowadzała z mroków, inna, bardziej pewna tradycja łączy pamięć przekładu psałterza.

Z murów, może klasztornych starosądeckich czy jakich innych, wypłynęła Bogurodzica na szeroki świat polski. Usta narodu podchwyciły pieśń z jej przepiękną melodją, wskazującą również koniec XIII wieku i choć o autorach zapomniano — wieki średnie nie znały próżności autorskiej, pieśń sama wraziła się tem głębiej w serce i pamięć narodową. Rozbrzmiewały nią szeregi polskie, gdy się ścierały z odwiecznym wrogiem na polach grunwaldzkich, huczały od niej lasy, gdy Kujawiacy rzucali się na rycerzy mieczowych a słyszano ją i za Niemnem pod Wilkomierzem, w bitwie rozstrzygającej losy Litwy. Ją to zaintonował Zbigniew Oleśnicki, gdy obchodził wybór króla polskiego na tron węgierski w tumie krakowskim i ją zaśpiewał nad morzem Czarnem, pod Bałkanem, u Warny, ten sam król i jego wierni, nim natarli na Amurata. Odzywała się ona po kościółkach, gdy ksiądz przed kazaniem śpiewał ją z ludem, od niej zaczynali zwody statutów polskich Łaski i Januszowski, przyczem św. Wojciecha nazywali jej autorem. Śpiewali ją ubodzy pod kościołem, jeszcze w XVII wieku dbano o fundacje dla śpiewania jej w samym kościele a do dziś rozbrzmiewa ona co niedzielę w tumie gnieźnieńskim.

Pieśń rozszerzano stale od XV w., tak że może już i dwa ostatnie wiersze drugiej zwrotki są tego pierwszą próbą, powtarzają bowiem tylko myśl poprzednią.

Obok pieśni ocalały pierwsze kazania franciszkańskie w późniejszym łysogórskim (świętokrzyskim) odpisie z XIV wieku. Najstarożytniejszy to pomnik językowy, jedyny istotnie staropolski, bo z niespotykanemi nigdy więcej formami i słowami. Były to kazania na główne święta doroczne, zapisane jak najkrócej, raczej szkielet kazań, które ksiądz rozprowadzał na ambonie. Nie opowiadają a moralizują i alegoryzują, przemawiając do sumienia, jak najprościej i najzwięźlej. Wyszły z dobrej, dawnej szkoły, gdzie kazno-

dzieja nie popisywal się uczonością ani bawił opowiadaniami ani wplatał żadnych osobliwości. Są suche, bezbarwne, jednostajne, ale mimo to wyraziste, powołują wyłącznie pismo św., raz wyjątkowo i średniowiecznego poetę, Helinanda z początku XIII w. „jako mówi magister Vado mori i t. d.“ (z wiersza tegoż o śmierci przyczem autorstwo Helinanda nie całkiem pewne). I Bogurodzica i te kazania są wolne od wszelkich wpływów czeskich, co już niesposób twierdzić o zabytkach XIV i XV w.

Tak więc nowe żywioły wniósł wiek trzynasty, wiek Świętych Pańskich w Polsce, wiek ascetów, Henryków Pobożnych i dwu Bolesławów, Jadwigi i Salomei, Kingi i Jolanty, kiedy to przeprowadzono kanonizację św. Stanisława, a dominikanie Jacek i Czesław zasłynęli cudami. Polska zmieniała się nawet zewnętrznie, począwszy od samych nazw. Odtąd Wielką Polską nazywano kolebkę państwową, zaś ziemię Wiślan, krakowską i sandomierską Małą, choć istotny stosunek sił i znaczenia był odwrotny i w Małej ześrodkowało się życie umysłowe i polityczne; tylko Mazowsze i Śląsk, z seperatystycznemi dążeniami, ostały przy dawnych nazwach. Sama nazwa „Polan“ zaczęła ustępować „Polakom“, ale jeszcze w XV wieku używano i owej starszej. Zmieniały się też nazwy osobowe; obok dawnych, słowiańskich, pojawiały się chrześcijańskie; Piotrów i Janów prześcignął patron ojczysty Stanisław i stał się tak ulubionym, że Zygmunt Stary żartował o swoich poddanych: Stanisław z izby, Stanisław do izby. Panowie zaczęli zarzucać dawne nazwy odojcowskie, przestali się nazywać Pawłowicami i t. d. [1]) a wybierali za obcym przykładem nowe na – ski od posiadłości ziemskich; goniąc za cudzoziemczyzną zaczęli się wyodrębniać „szlachtą“ i „erbami“, przejmując od Czechów owe niemieckie nazwy i pierwsze obce rycerskie zwyczaje z klejnotami i turniejami nieznanemi w słowiańskiej Polsce.

Lecz zapowiadały się i wprowadzały zmiany radykalniejsze, etnograficzne i socjalne. Z nową, napływową ludnością, powstał nowy stan i ustała dotychczasowa jednolitość narodowa piastowskiej Polski. Teraz bowiem do grodów i podgrodzi, na książęce dwory i na polskie niwy wlewały się obce, niemieckie fale. Niemca,

[1]) Jeszcze w dokumentach z roku 1224 napotyka się stale u szlachty owe starosłowiańskie imiona na — wic, które później zachowały się tylko u mieszczan; pojawiają się *Jakób Raciborowic, Bieniek Polaninowic* („filius Poloni!“, t. z. Wielkopolaka) *Trojan Trojanowic, Skarbimirz Skarbimirzyc, Sławomir Samsunowic* w jednym dokumencie razem; por. *Bożyca* w Bogurodzicy.

583

Niemca, znano dotąd tylko przelotnie z cesarskich, fortunnych i niefortunnych wypraw, z duchownych i bakałarzów, wracających z zarobkiem do swoich. Teraz Niemiec sadowił się na stałe, rozpierał się, grożąc i w Polsce wywłaszczeniem Słowian, którego dokonywał w Meklemburgji i Marchji, na Pomorzu i Śląsku, w Łużycach, Miśni i Czechach. Już raz niegdyś, ogarnął go prąd ku wschodowi, ale wtedy, w trzecim i czwartym wieku po Chrystusie, Goci i Wandalowie zadowalali się daniną, nie wprowadzali żadnych nowych porządków, chociaż niejedno po nich wsiąkło między Słowianami, z ich urządzeń i uzbrojeń, obyczajów i przemysłu, gdyż swe kroki Niemcy ci kierowali na południe goszcząc mimochodem na ziemiach słowiańskich. Teraz Niemiec-kolonista, wypierany z własnej ojczyzny przeludnieniem, katastrofami i niekorzystnem położeniem ekonomicznem zdobywał na nowo i na stałe swym ciężkim pługiem pola słowiańskie i zalewał ich grody, jako rękodzielnik i kupiec. Poprzedzała go szlachta i duchowni, gnieżdżący się coraz liczniej i wyłączniej po dworach ruskich Wysławów, pomorskich Warcisławów, czeskich Przemysławów, prowadząc za sobą niemieckie „dworskie“ zwyczaje, literaturę i język. Fala niemczyzny, spływająca od północy, od Fryzji i Holsztynu, i z frankońskich stoków na południu, zatopiła niziny słowiańskie nad Salą, Elbą i Odrą; dalej jednak na wschód, słabł jej impet, jeśli, jak w Prusiech lub na Siedmiogrodzie, nie wyżłobiono jej osobnego nowego łoża. Fala ta nadbiegła i ku Polsce, lecz zagarnęła tylko Śląsk dolny, nie oddzielony niczem od Marchij odrzańskich, zalała jego słowiańskie żywioły, po których nic nie zostało prócz nazw miejscowych. W Wielkiej Polsce zajęła już tylko pas graniczny, a w Małej rozbiła się całkiem na luźne placówki.

Książęta, duchowieństwo i szlachta sprzyjali tym przybyszom. Wnosili oni lepszą gospodarkę, zyskowniejszą pracę, przynęcali opłatami, zamiast dotychczasowych danin w surowiznach, bogacili grody przemysłem i handlem. Zubożali książęta dzielnicowi łakomili się na nowe siły robocze. Ziemi niezajętej było moc, więc trzebiono lasy albo osiedlano Niemców na gotowem, albo też na nowo organizowano dawną ludność słowiańską, przenosząc ją z prawa polskiego na niemieckie. I zagospodarował się kraj i zakwitnęły grody i podgrodzia, do niedawna marnie z drzewa budowane, nie wyłączając kościołów i zamków z ich podmurowaniem, a ożywione tylko podczas targów lub zjazdów książęcych z dzielni-

cowymi dostojnikami. Rosła więc szybko materjalna siła Polski, ale zagroziło jej niebezpieczeństwo wynarodowienia, rosnące na pobratymczym zachodzie z przerażającą szybkością. Niemcy wnosili z sobą własny język i obyczaj w cechy i warsztaty, w gospody i kramy, między rajców i ławników, szerząc porządki Majdburku, Lubeki i innych municypjów. Niemcy bakałarzowali po szkołach, Niemcy górowali po klasztorach, nietylko u cystersów, lecz zawładnęli niebawem i świeżymi zakonami dominikanów i franciszkanów, tak, że nawet utrudniali wstęp Polakom. Wobec grożącego niebezpieczeństwa najpierw ocknęło się duchowieństwo, a najdalej posunął się gorliwy arcybiskup Jakób Świnka, strofujący niedbałych na synodzie i oskarżający franciszkanów przed papieżem. Na synodach ponawiano też uchwały, zakazujące przyjmowania na nauczycieli Niemców, nie władających na tyle językiem krajowym, żeby żaczków wprawiali w łacinę polszczyzną. Świnka to pierwszy typowy wróg obcych: nawet kaznodzieja nie znalazł łaski przed jego oczyma, choć prawił świetnie, skoro był „psiogłowcem“. Tak zaczynał się budzić w Polsce antagonizm narodowy, który jeszcze wcześniej pojawił się w pobratymczych Czechach, gdzie niebezpieczeństwo groziło silniej, gdzie rychlej odbiło się w literaturze, a nawet króla-germanofila skłoniło w stanowczej chwili do odezwania się w imię zachwianego słowiaństwa do gorącej odezwy ku Polsce.

I ten wiek mało sprzyjał twórczości literackiej, jeśli pominiemy podnietę religijną, która bez tego rychło osłabła. Ostygał zapał nowych zakonów, cudzoziemczących się zwolna. Polskie kazania, pieśni i psałterze nie krzewiły się bujniej ani sięgały głębiej, nie rozkołysały leniwców, zadowalających się powtarzaniem głównych pacierzy. Pisma łacińskie obracały się w zaklętem kółku hagjografji, gdzie mnożyły się legendy o Stanisławie, Jacku, Salomei, Kindze. Najobszerniej spisywano rozliczne cuda, i tylko w ich protokółach przesuwają się jednostki tłumu, którego życie, mimo wszelkich różnic stanowych, było jeszcze jednolite, ciche i bezbarwne. Postęp był bardzo powolny. Mnożyły się wprawdzie szkoły po miastach, ale nie dawały obfitszej nauki, której zawsze szukać należało zagranicą, w Pradze, w Paryżu lub Włoszech. Jednostek wybitnych był brak zupełny i próżnobyśmy teraz szukali literata, jakim był mistrz Wincenty: całe stulecie nie wyda o dzieła, któreby równać się mogło z Kroniką Polaków; zadowalano się odpisami i notatami rocznikarskiemi. Pisano i poematy łacińskie; jeden „Antipoeras“, przechowany w obcych rękopisach lekarskich, jest skierowany

przeciw Hipokratesowi i medycynie uniwersyteckiej, pióra dominikanina Niemca, brata Mikołaja, co leczył brać klasztorną i dwór Leszka Czarnego w Sieradzu i Krakowie startemi na proszki wężami, żabami i podobnemi obrzydliwościami średniowiecznej apteki. Leoniny owego poematu służą wychwalaniu cudownej mocy amuletów, jakie szalbierz nie wiemy czem napełniał, kosztem medycyny urzędowej, z której drwi niemiłosiernie, bo działa skutecznie tylko na mieszki chorych. Na pewno zagranicą, w uczonem środowisku rzymskiem, powstawały traktaty znakomitego optyka i arystotelika, Witelona, co sam się przyznawał do pochodzenia mieszanego, ze krwi turyńskiej i polskiej; dotykały więc Polski tylko zdaleka.

Z końcem wieku wymierały linje piastowskie, a do opróżnionych ziemie zgłaszał się, witany przez przybyszów Niemców, nowy, silny pretendent, król czeski, zagarniający jedną po drugiej, aż korona Chrobrego i Śmiałego spoczęła na skroniach Przemysłowica.

Wiek czternasty zaczynał się dziwnym czesko-niemieckim związkiem, wręcz groźnym żywiołowi polskiemu. Wpływ czeski dotąd silniej nie zaważył nad dziejami i kulturą polską, mimo bliskości granic i języka. Zjawiali się Czesi między duchowieństwem zakonnem, jak Odraniec, spowiednik Kingi, ale to jednostki. Dopiero za rządów Wacławowych zaczęła się objawiać przewaga czeska na każdem polu, począwszy od urzędów i mennicy, aż do pisowni i języka. Szybko minęły rządy Wacławów, ale raz wzięty pochop trwał dalej. Śląsk ciężył zupełnie ku Czechom, a rychło wzrastająca Praga, wchłaniająca za Luksemburgów, szczególniej za Karola, wszystko, co wydawała kultura Zachodu, stała się niedościgłym wzorem dla Krakowa. Na szczęście, wpływy czeskie zlewały się z łatwością z polskiemi. Inaczej, groźniej przedstawiały się wpływy niemieckie. Mieszczaństwo krakowskie i poznańskie, coraz zamożniejsze, przywołuje do grodów zniemczałych książąt śląskich. Niemieckie otoczenie synów Henryka Głogowczyka, rządzących w Wielkiej Polsce, parło ich do pozbycia się żywiołów polskich, głównie szlachty. Za hasło zakonu osiadłego za polskiem wezwaniem i za polską pomocą w Prusiech wylękniony kronikarz uznał wytępienie „języka“ polskiego; dumny wójt Albert i biskup - Ślązak Muskata wypowiedzieli Łokietkowi posłuszeństwo i oddali miasto Opolczykowi. Lecz Łokietek zdobył się na energję, której brakło poprzednim Piastowiczom a korzystając z tego, że miasta i klasztory nie stanęły ławą za Niemcami, poprzeciągał je na swoją stronę i z pomocą szlachty zgniótł Poznań i Kraków. Jak opór chłopów po

roku 1036, tak po roku 1311 ginie opór miast, które odtąd porzucają zamysły polityczne i oddają się wyłącznie pracy i zarobkom, bogacąc siebie i Polskę, rosnąc w dobrobyt, ale upadając we wpływach. Niemczyzna kwitnie po miastach (i klasztorach) w najlepsze; księgi radzieckie i ławnicze piszą się w tym języku; na weselach krakowskich prawią oracje niemiecey „rymarze“; po kraju szerzą się niemieckie podania, choć przybierają miejscowe zabarwienie, jak świadczy podanie o Walcerzu Udałym, przyczepione do Tyńca i Wiślicy. Po kościołach miejskich głoszono niemieckie kazania — aż weszło w przysłowie: „siedział, jak na niemieckiem kazaniu“. Niemcy układali dziełka dla szkół, jak Frowin, co to napisał Antigamerata, przeciw gachom — gamratom, ucząc za jednym zachodem morałów, prozodji i homonimów łacińskich. Dziełko to stanowiło pierwszy wkład krakowski do literatury pedagogicznej i przetrwało dwa wieki po szkołach polskich i niemieckich; cytują je retoryki polskie XV wieku, a Niemcy ku zgrozie humanistów, drukują je jeszcze na początku XVI wieku. I w duchowieństwie polskiem, nietylko w zakonnem, Niemcy mają licznych przedstawicieli. Gdy przy końcu stulecia Henryk von Winsen, pierwszy biskup przemyski, rezydujący na miejscu, urządzał kapitułę, ściągał do niej uczonych Niemców. Prawda, że i po niemieckich kościołach, np. w Meklemburgu, zjawiali się Polacy, których nie brak i w Czechach — trzy te kraje bowiem były w stałej wymianie — ale Niemcy czują się w Polsce, jak między swoimi; tylko szlachta i chłop patrzą na to krzywo i twierdzą, że, póki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem.

Energja Łokietka zgniotła antinarodowe zakusy Poznania i Krakowa; dumny Albert musiał uciekać sromotnie z Krakowa; w Pradze natrząsał się z niego Czech-łacinnik, przestrzegający w pieśni (o nim) Polaków przed skrytemi niemieckiemi zamiarami. Jednak Krzyżowników, jak ich zwano, Łokietek nie zdeptał; sił nie starczyło; nawet Płowce, pod któremi nowy król mścił straszne spustoszenie i celowe splądrowanie Polski, nie rozstrzygnęły walki. Pozycję, której nie mógł utrzymać, zlikwidował jego syn, nie mający ojcowskiego hartu, przesiąknięty wpływami zachodniemi od młodu, od pobytu na dworze andegaweńskim, zazdroszczący Budzie i Pradze europejskiego poloru, bogactwa, wykształcenia, przemysłu i kunsztów. Szara, drewniana, uboga Polska Łokietkowa, co się jednak zdobyła na czyn stanowczy, na koronację, i wysiliła na walkę z przemożnym wrogiem, zwłokła dopiero za Kazimierza

skromny przyodziewek, przystroiła się świąteczniej. Wznosiły się teraz liczne a wielkie zamki, mury i baszty a miejsce świątyń romańskich zajmowały gotyckie budowy. Mądry i zapobiegliwy, nie tonął Kazimierz w rozpuście, lecz rozmiłowany w czynnem życiu podejmował i wykonywał najrozmaitsze zadania; przyłożył się, jak nikt z panujących, do wzniesienia gmachu kultury polskiej i odumarł Polskę inną, niż ją zastał, gdy obejmował po sędziwym ojcu skołataną nawę państwową.

Zrzekając się stanowiska na zachodzie, zapewniał krajowi pożądany pokój na długo; zakwitnęły przemysł i handel; wzbogacały się miasta i zdumiewali się obcy na widok dostatków, jakie roztoczył przed nimi rajca Wirsing, gdy w imieniu miasta ugaszczał królów i książąt. Utrzymanie ładu i pokoju wymagało sprężystszego i bardziej jednolitego sądownictwa, a myśl Kazimierzowa dawno kierowała się ku ujednostajnieniu i skodyfikowaniu niepisanego prawa zwyczajowego. Ustawodawstwo kazimierzowskie, osobny zwód praw tak zwanej Wiślicji dla Małej Polski, i drugi mało odmienny zwód dla Wielkiej Polski, były pierwszym krokiem w tym kierunku. Również i porządki sądów miejskich miały ulec zmianie, przez przecięcie apelacji, idących od miast polskich zagranicę, do Wrocławia i Majdburka. Teraz okazała się dla kraju nieodzowna potrzeba prawników.

Tych dotąd sama Polska nie kształciła a jej szkoły, chociaż coraz liczniejsze, nie obejmowały szerszego zakresu nauk. Obcy, pierwsi Włosi, kierowali szkołami na Wawelu[1]), przy tumach i farach, po klasztorach, ale studja jurydyczne i medyczne — (w głębie teologiczne mało kto się zapuszczał) — odbywano zagranicą, w Bolonji i Montpellier, w Padwie i Pradze. W ciągu takich studjów Polak nieraz na zawsze ugrzązł na obczyźnie a mistrzów Polaków znajdziemy nawet w Paryżu. Dekretysta z reguły wracał do kraju, pewien szybkiej promocji; dekretyści osiadali stolice arcybiskupie i biskupie; między nimi król znajdował gorących popleczników nowych urządzeń; od nich wiał ten sam duch, zwrócony przeciw materjalnemu rozpanoszeniu się i moralnemu upadkowi duchowieństwa, który cechował Karola z arcybiskupem praskim.

Ale droga do Padwy i Bononji, gdzie Polacy między „ultramontanami“ zajmowali niepoślednie stanowisko, do Paryża, a choćby

[1]) Jeszcze r. 1411 szkoła zamkowa żebrała u Kapituły Krakowskiej, aby jej dała zamiast obecnego rektora obcego, źle uczącego, krzywdzącego szkołę — jakiego dobrego Polaka, coby nam w naszym języku objaśniał autorów.

i do Pragi, była daleka, uciążliwa i kosztowna. Za przykładem Karola, co wielkim nakładem urządził studjum generalne w Pradze niby dla własnej ziemicy, w istocie zaś dla całej środkowej i wschodniej Europy, powziął i Kazimierz myśl ustanowienia, za nieodzowną wtedy aprobatą papieską, podobnego studjum w Krakowie, przeznaczonego dla Polaków i obcych. Jednak mimo przychylności papieskiej, Kazimierzowa *universitas litterarum* nie weszła w życie. Miała za wąską podstawę, skoro dla uniknięcia konkurencji z Pragą i Paryżem zgóry zrzekała się teologji, korony nauk średniowiecznych, i nie dbała o artystów, t. j. o wydział filozoficzny, przez co zawisły w powietrzu jej dwa wydziały, prawniczy i lekarski. Jednak sama myśl przeszczepiania studjów włoskich i ich trybu na ziemię polską, tudzież pierwsze kroki, prowadzące ku jej urzeczywistnieniu, dowodziły postępu i potrzeby nowych torów dla Polski.

Zakończyło się odosobnienie Polski średniowiecznej, żyjącej własnem, skromnem, szarem życiem za przesiekami po borach, za rzekami i jeziorami. Zmiana przebija się już w samym języku, którego rodzimość pstrzą coraz nowi przybysze z czeskiego, niemieckiego, łaciny. Przodują w tem, jak później za czasów francuszczyzny, panowie chorągiewni, kasztelanowie po „zamkach“; za nimi duchowieństwo, szczególniej zakonne, szerzące od swych „folwarków“ z nowemi rzeczami w ogrodzie, „śpichrzu“ i „śpiżarni“, oddawna już i ich obce nazwy. Przyłączy się później mieszczaństwo, od ławy sądowej i izby rajeckiej, od kramów i warsztatów, od „miasta“, „pokoju“ i „sklepu“, co w ich ustach odmieniły pierwotne, słowiańskie znaczenie.

Pisze się już więcej, ale zawsze jeszcze wyłącznie po łacinie. Przez cały wiek przesuwają się bez przerwy dzieła i autorowie, od Antigamerata Frowina do pierwszych zbiorów kazań łacińskich miechowskiego opata Stojka i innych. Przeważał kierunek religijny; piszą pieśni, ale nabożne, jak Jan Łodzia, biskup poznański, wykształcony, miłośnik muzyki i kobiet, składający „prozy“ kościelne, na Wniebowzięcie i Oczyszczenie, na św. Wojciecha (z anagramem własnego nazwiska), na śś. Piotra i Pawła. Najdonioślejszem dziełem pozostaje kronika byłego podkanclerzego Janka, syna wójta czarnkowskiego Bogumiła, którego król, jak tylu innych „mieściców“, wysoko podniósł dla zasług i zdolności wbrew rodowitym „gniazdowicom“. Nie odwdzięczył się Janko swemu dobroczyńcy, gdyż zbył krótko dzieje świetnego panowania we wstępnych tylko rozdziałach; szerzej zaś opowiedział wypadki lat 1370 — 1384, aby

się rozprawić ze swymi wrogami choć na piśmie. Przez to jego roczniki nabierają żywości, namiętności, stronniczości i tem skuteczniej odbijają od dawniejszych, bezbarwnych.

Gdy tak wszechwładnie panuje łacina, gdy zapiski sądowe czy rocznikarskie, legendy czy dzieła ascetyczne, dyplomaty czy ustawy nią tylko się posługują, brak literatury w języku narodowym, tak samo u nas jak u Węgrów, świadczy o zacofaniu umysłowem. Pisać po łacinie, wedle gotowych wzorów, nie silić się na żadną samoistność, nie przełamywać zapór — to cecha tego zacofania; to sprawiło, że nasza literatura jeszcze najuboższa i w XIV wieku. pozostała daleko w tyle nawet za czeską. Duch ogłady jeszcze nie musnął umysłów, które gnuśnieją w dawnej kolei, nie wznoszą się nad najbliższe otoczenie. Tylko na polu religijnem budzą się potrzeby. Płeć piękna, lud niski, wykluczone od szkół, tęsknią za wylewem uczuć i ich wyrażeniem. Nie wystarcza im powtarzanie pacierza, bicie się w piersi, witanie dawnym Pomagabóg. Na tem więc polu postęp będzie widoczny.

I tak dotrwał do dni naszych zbiorek dziesięciu krótkich kazań polskich, nie wykwintnych myślą ani stylem, poziomych i prostych ale szacownych wiekiem i służbą narodowemu językowi. Prawił je w jakiejś wielkopolskiej mieścinie (jednak nie w Gnieźnie, chociaż je nazywamy gnieźnieńskiemi, dla bibljoteki gdzie leżały od XV w.), sędziwy kapłan swoim „miłym dziatkom“. Naiwne a rzewne, ucza jak wyglądało najdawniejsze kaznodziejstwo polskie, trzymające się wzorów łacińskich, lecz sprowadzające je na niższy poziom, odpowiedniejszy kornej gromadce, siedzącej na ziemi lub stojącej obok kazalnicy; więc bez subtelności teologicznych, bez splotu cytacji z Pisma św. i Ojców kościoła, ogólnikowe, blade i suche, wdrażają jednak przepisy moralności i objaśniają tajemnice wiary i obrzędu. Obok tych napoły oryginalnych kazań stawały przekłady Pisma św. dla kobiet. Jak Kinga w XIII wieku, tak w XIV druga Węgierka, świątobliwa Jadwiga, „rozkosz świata — nie widziano jej równia po rodach królewskich owczesnych“, wola zachwycony współczesny autor, — wzbudzała ruch na polu narodowej literatury. Długosz, opisując jej nabożność, gorącą miłość boską, wzgardę doczesnych blasków i świeckiej próżności, poświadczał, że przykładała się do modlitw i czytania ksiąg nabożnych, to jest pisma Starego i Nowego Zakonu, homilij (kazań) czterech doktorów kościelnych: Ambrożego, Augustyna, Hieronima i Grzegorza, dalej ulubionych w średnich wiekach żywotów ojców (za-

konnych), pasji świętych Pańskich, rozmyślań i modlitw śś. Bernarda i Ambrożego, rewelacji św. Brygidy, w których rozkoszowali Praga i słynny nasz teolog praski, Mateusz Stadtschreiber z Krakowa, nieobcy Jadwidze i jej zamiarom. Jadwidze ofiarowali i dzieła łacińskie, ascetyczne, np. dominikanin Henryk Biterfeld. Co jednak prawi długosz o polskich przekładach tej ascetyki, to stosunki późnego XV w. przeniósł do XIV. Wiemy tylko o psałterzu (jedynej księdze świętej, której nie bronił późniejszy kościół laikom w języku narodowym), że trójjęzyczny: łaciński, polski i niemiecki mieszczanie krakowscy zamierzali ofiarować starszej Lojsównie na jej przyjazd krakowski. Ale gdy nie Marja, lecz Jadwiga odziedziczyła tron, zaniechali wykończenia kosztownie rozpoczętego dzieła, które jako tako dosztukowano. Nie wiemy nawet, czy dostało się do rąk królewskich a od XVI w. spoczywa już w bogatym księgozbiorze florjańskim pod Lincem w wyższej Austrji i dlatego zowie się florjańskim. Może to nowy przekład XVI w., nie ów domniemany dawniejszy Kingi w nowej kopji. Miejscami występuje w nim bardzo silnie wpływ czeski w pisowni i wysłowieniu.

Ciekawsze są próby poezji polskiej, kroczącej po śladach „Bogurodzicy". I tu niema okazów ani licznych ani wartościowych, ale naiwność uczucia i koloryt miejscowy zastępują brak natchnienia i głębokości. Jak „Bogurodzica" zwracała się ku Zbawicielowi, tak między nowemi pieśniami przeważają pasyjne i wielkanocne, krótsze i dłuższe; krótsze, „Chrystus z martwych wstał jest, Nam przykład dał jest, Eż nam zmartwychwstaci, Z Bogiem królewaci" i „Przez Twe święte zmartwychwstanie" przetrwały wieki w ustach ludu. Z dłuższych wyróżnia się pasyjna, Godzinki Zbawicielowe, najdawniejszy przykład długiego polskiego wiersza, trzynastozgłoskowego, ulubionego naszego wiersza od połowy szesnastego wieku. Jak później wedle stacji, tak tutaj wedle godzinek brewiarza ułożono momenty męki Pańskiej.

Jezus Chrystus, Bóg-człowiek, mądrość oćca swego,
Po czwiartkowej wieczerzy czasu justrzennego
Gdy się modlił w ogrodzie oćcu bogu swemu,
Zdradzon, jęt i wydan jest ludu żydowskiemu

Ciekawsza inna pieśń wielkanocna, doczepiona wcześnie do obu zwrotek „Bogurodzicy", niby jej ciąg dalszy; czas uświęcił ten zlepek, i już od r. 1420 rozumieją te dwie pieśni razem pod spólną nazwą „Bogurodzicy".

Nas dla wstał z martwych syn boży,
Wierzyż w to, człowiecze zbożny,
Iż przez trud Bóg swój lud
Odjął dyablej stróżej

Pieśń ta najbardziej oryginalna ze wszystkich średniowiecznych przez to, że jej naiwny autor nie zawahał się, jak współcześni i późniejsi malarze, wplatać w swój utwór szczegółów z domowego otoczenia. Stróża, to służba grodowa Polski średniowiecznej, Lucyfer, starosta piekielny, jakby szło o jakiego „grododzierżcę“ polskiego, a Adam, to Boży kmieć, siedzący u Boga w wiecu, jak „kmetones et barones“ Królestwa Polskiego w wiecu koronnym. Do takich zaszczytów przyszedł zaś Adam raz dzięki średniowiecznej naiwności, która, nie dbając o kanonizację, policzyła go do świętych, jak „świętego“ Jopa, Dawida i inne postaci Starego Zakonu, a po wtóre dlatego, że Chrystus to wtóry Adam: zgładził, co pierwszy zawinił, w samej otchłani, bo o niej głównie się śpiewa. Inne były pieśni Maryjne, np. pozdrowienie: Maryja czysta dziewice, Daj. nam widzieć boże lice, Niebieska dziedzice; nigdy nie pojawia się w nich dawna ludowa nazwa Marji, *Marza*. Jest i „cyziojan“ t. j. kalendarz świąteczny całoroczny w nieudolnym wierszu, miejscami zabarwiony nieco humorystycznie, z początkowemi literami imion świętych Pańskich, z któremi obchodzi się nieco rubasznie np. „nałazł ziarno w życie, święć nam prażmo Wicie (15 czerwca), aby się go nazobał Jan“ (24). Takie wiersze, o kulawych rymach, z niedołężną myślą, z niewyszukanem słownictwem, to cel i czoło tej literatury, dziwnie nie licującej z coraz bogatszem życiem narodowem, z jego nowemi napływami i widokami.

Najważniejsze jeszcze w roku 1340 odkrył Kazimierz Wielki. Polska Łokietkowa była zwrócona ku zachodowi, Kraków wskazywał otoczenie śląskie i czeskie, Poznań marchijskie i pomorskie; teraz Polska odwraca sie głównym frontem ku wschodowi. Śluby Kazimierzowe z Litwinką Aldoną przepowiadały niby symbolicznie ten zwrot a dokonał go sam Kazimierz, zagarniając Halicz w imię rodowych praw, po wygaśnięciu linji książęcej. Ale o wiele ważniejsze następstwa zapowiadał dalszy krok na tej drodze, ślub Jadwigi z Jagiełłą, osobiste połączenie Polski i Litwy (z Rusią litewską), podjęcie misji na wschodzie. Polska dotąd zasklepiała się w swych etnograficznych ramach i niejedno już w nich uroniła na zawsze lub chwilowo. Teraz opuszczała węższą podstawę naro-

dową, sięgała na wschód, tam szerzyła swój ustrój, obyczaj, wiarę i język. Misja katolicka na wschodzie była dotąd zaniedbana a biskupowie lubuscy z dalekiego Zachodu, co rościli sobie do niej pretensje, starali się jak najmniej o ich urzeczywistnienie, zadowalając się fałszerstwami dokumentów i jałowemi protestami. Odosobnione misje franciszkańskie i dominikańskie sięgały nieraz głęboko, lecz nie odnosiły trwałych skutków, ani nawet w Kijowie, tem mniej na Wołoszczyźnie. Ster sprawy uchwyciło teraz państwo. Wprawdzie sam Kazimierz porządkował wraz z patrjarchą konstantynopolitańskim zaniedbane stosunki prawosławnego episkopatu, lecz już planował organizację kościoła katolickiego na ziemi ruskiej, której dokonali następcy. Nowe arcybiskupstwo halickie przeniesiono później do Lwowa a nową prowincję kościelną zlano później z gnieźnieńską. Kościół ten z początku istniał dla niewielu, dla przybyszów, Niemców-kolonistów po miastach, dla szlachty, coraz liczniej napływającej z uboższych ziem mało- i wielkopolskich i mazowieckich na bogatą Ruś, stale tu osiadającej, rozradzającej się rychło, polszczącej całe otoczenie. Tymczasem rdzenna Litwa w roku 1387 przeszła na katolicyzm, za przykładem swego księcia, co, rok przedtem, po prawosławnym przyjął nowy chrzest i poślubił polską królowę. Świeżo powstałe biskupstwo wileńskie, a później i żmudzkie, przyłączono zaraz do diecezji gnieźnieńskiej. Nieliczni franciszkanie, już dawno apostołujący w Wilnie, i męczennicy za wiarę, nie mogli podołać ogromowi pracy; nie starczył jej tem mniej dotychczasowy kler polski i koniecznem było pomnożenie jego szeregów. Tego mogło dokonać tylko wielkie studjum teologiczne, mieszczące się w samym kraju. Ta nowa konstelacja, pozyskanie Litwy i widoki na Ruś, wykazały niezbędną konieczność urzeczywistnienia Kazimierzowego planu. Zmiana sytuacji odbiła się jednak na nowej szkole: w roku 1400 wysunięto na czoło nie wymagania prawnicze, jak w roku 1364, lecz teologiczne. Po próbach oparcia o Pragę potrzebnej instytucji, seminarjum dla duchowieństwa litewsko-ruskiego, chwycono się jedynej skutecznej i zbawiennej drogi, za poradą i wpływami mistrzów polskich zagranicznych, głównie sławnego z wiedzy i życia Mateusza Stadtschreibera z Krakowa, teraz rektora w Heidelbergu, przybywającego umyślnie w tym celu do rodzinnego miasta. Za gorącem wstawiennictwem Jadwigi, przeznaczającej testamentem na ten cel swe klejnoty, odnowiono fundację Kazimierzową, lecz na odmiennej podstawie, i rok 1400 ujrzał wejście w życie nowego uniwersytetu,

Jadwigi i Jagiełły, z wydziałami filozoficznym i teologicznym; obok nich prawo cesarskie i medycyna schodziły całkiem na drugi plan.

Gmachy nowego uniwersytetu stanęły przy ulicy Żydowskiej (czyli św. Anny). Żydzi ci nie teraz dopiero napłynęli do Polski. Prześladowani na Zachodzie znaleźli w XIII wieku gościnne przyjęcie w Wielkiej Polsce, w Poznaniu, i rozszerzyli się po dzielnicach polskich, we Wrocławiu i Krakowie, skąd dalej na wschód ruszali, do Lwowa i Wilna, aby spotykać się z bracią, idącą od południa, na ziemiach ruskich i litewskich. Rządy Kazimierzowe sprzyjały im stanowczo, i jedyne głębsze niezadowolenie, jakie wywołał Kazimierz u Krakowian, wypłynęło z podtrzymywania i popierania obcego żywiołu, które potem legenda tłumaczyła osobistemi wpływami kochanki „Esterki“ i czarami Żyda Lewki. Żydzi, rosnący stale w zasoby materjalne, przedstawiali żywioł zupełnie odrębny, wiarą, obyczajem, językiem. Na razie pochłonięci robieniem grosza, zaniedbywali stronę umysłową, żyli tylko okruchami z wiedzy Wschodu i dalekiego Zachodu. W jednolitą do niedawna ludność polską wdzierały się więc żywioły obce, niemieckie i Żydów niemieckich; świadczyły o nich choćby nowe nazwy miejscowe, od Kleparza i Melsztyna, od Lanckorony i Łańcuta (Landshut), po Rożenbark lub Giwont w Tatrach, Kulparków, Zamarstynów (Goldbergshof, Sommersteinhof) pod Lwowem lub Fulsztyn na Rusi; świadczył język, np. rot sądowych, wpisywanych po polsku w protokóły łacińskie, gdzie np. roku 1395 stawianie poręczycieli stale nazywają „ugwiesieniem” (od „gewiss“); a nawet owych kazań lub psałterzy ze słowami, jak *pielgrzym, kielich, szkoda, waga, dach, strofować, szynować, pronga* (pręgierz), *szynkować, budować.*

Z rokiem 1400, z otwarciem wielkiej polskiej szkoły, kończy się ostatecznie zaściankowość, zacofanie i odosobnienie pierwotnej średniowiecznej Polski; rozchylają się zasłony gór i lasów, opary jezior i błot, mroki niewiedzy i zastoju, jakie dotychczas zakrywały Polskę przed oczami Europy. Wprzęgnięta w rydwan postępu wkracza Polska na tory wielkiego dziejowego posłannictwa.

ROZDZIAŁ DRUGI.

WIEK PIĘTNASTY. SCHOLASTYCYZM.

Państwo i społeczeństwo. Studjum generalne krakowskie; jego zasługi i wpływ; braki i wady. Literatura poza uniwersytetem; Długosz. Nowe prądy; husytyzm, Gałka, Ostroróg. Humanizm, Grzegorz z Sanoka, Kalimach, Celtes. Wzrost ogłady ogólnej. Manja pisania: kazania i poezja łacińska. Proza i poezja w języku narodowym. Zasługi bernardynów; pierwszy wierszopis polski, bł. Władysław z Gielniowa.

Zaraz na początku wieku dojrzały plony owej polityki wielkiego stylu, zapoczątkowanej w wieku XIV. Czemu nie podołała Polska Piastowska, tego dokonała Jagiełłowa: złączonemi siłami polskiemi i litewskiemi — zdawało się na zawsze — rozbito groźnego wroga. I odtąd polityka polska wytężała swe siły, aby utrzymać dzieło, któremu poświęciła wielką królowę, aby uniknąć nieraz grożącego rozbicia unji; już się nie kusiła o nowe wielkie plany. Trony węgierski i czeski dodawały blasku Jagiellonom, lecz nie sił Polsce; oni wyszafowali energję na plany dynastyczne, obce narodowi szlacheckiemu. Naród ten, nie pozbywszy się dzielnicowych uprzedzeń, korzystał z coraz nowego opróżniania tronu, z wymierania dynastji piastowskiej i andegaweńskiej, z paktowania z Jagiełłą, aby zapewniać sobie przywileje, a osiągłszy je, szedł dalej. Wojna pruska po roku 1454, prowadzona nie jednomyślnym wysiłkiem całego narodu, lecz zaciężnemi rotami, nastręczała sposobność wytargowania u króla nowych ustępstw i już nie możnowładztwo, lecz cała szlachta bierze w nich udział kosztem tronu, mieszczan i kmieci. Wojny stają się niepopularnemi: szlachta zapomina o obowiązkach, a cieszy

się prawami i wyzyskuje je coraz bezwzględniej. Głęboki pokój zalega Polskę.

Zmienia się odtąd jej postać. Zagospodarowuje się i zabudowuje; rosną dostatki, wygody, użycie; co się zaczęło za Kazimierza u mieszczan, teraz rozszerza się i na szlachtę. Zacierają się powoli ślady ubóstwa i prostoty Polski Piastowskiej; znikają z odzienia kolory bure i szare, jego krój poważny, jego niezmienność; nastają barwne szaty, „rzezane“ kabaty, drogie chusty, trzewiki jak sierpy, włos długi trefiony, wieńce na głowie, lutnia przy boku, najdroższe sukna przywoźne, lundzkie, machelskie i inne, kroje coraz inne, coraz wymyślniejsze. Kobiety wymykają się z zamknięcia domowego, zrzucają zasłony z twarzy, a strój ich pstrością i wymysłami, rękawami, spadającemi aż do ziemi, czapkami, rogatemi aż do nieba, dorównywa męskiemu i wnet go prześciga. Pierścienie noszą nawet u palców nóg, a kaznodzieje, przerażeni tą falą kolorów, tym szelestem drogich materyj, wonnościami i kwiatami, widzą na ich „zslepach“ jadącego djabła. Trunki są coraz kosztowniejsze. Wkrada się rywuła, alikant i inne wina, które gipsuje chytry morawczyk. Dania są coraz obfitsze i różnorodniejsze. Obudza się życie towarzyskie i poza obrębem miejskim; dziki gwar i grobowe milczenie dawnych czasów ustępują coraz liczniejszym i weselszym posiedzeniom, kuligom, zjazdom obu płci; urozmaicają je śpiew i muzyka, gry i pląsy, warcaby, szachy, karty lub kostki. Rosnące dostatki, zapewniony pokój, brak troski o jutro nadają ton i swobodę temu życiu, które chyba na kresach przerywa napad tatarski a po stolicach chwilowe podniecenie uczucia religijnego znowu wtrąca i hamuje w brzegi, z których się już całkiem wylewało. Lecz chwile skupienia i skruchy bywają coraz rzadsze i krótsze, jednostki nawrócone coraz mniej liczne, świat chyli się widocznie ku nowemu pogaństwu i materjalizmowi.

Umysłowemu życiu wieku główną cechę nadaje „studjum“ krakowskie. Życie to rozwija się teraz również jakby za dotknięciem laski czarodziejskiej. Nie rozpraszają się już, jak dotąd bywało, naukowe siły polskie zagranicą. Pierwsze grono profesorskie złożyli zaraz mistrzowie i doktorowie Polacy, uczący w Pradze, a szkoła i nadal stała siłami krajowemi, chociaż nie broniono przystępu do katedr Ślązakom i Czechom. Poziom naukowy podniósł się nagle. Jeszcze w XIV wieku było mało ksiąg w Polsce, — jak ubogim był nawet księgozbiór kapituły krakowskiej! — teraz lada profesor, lada kanonik rozporządzał w testamencie bogatemi zbio-

rami, przekazując je wydziałowi lub kapitule. Rosła znajomość łaciny: przedtem ksiądz rozumiał ją piąte przez dziesiąte, teraz czytał i pisał w niej swobodnie i układał oryginalne zbiory kazań wyłącznie w tym języku, dogodniejszym dla użytku piśmiennego, niż język rodzimy. Z łaciną rosła wiedza Pisma św., prawa kanonicznego, średniowiecznych autorów, przez których docierało się i do starożytnych nauk ścisłych, matematyki i astronomji wraz z astrologją. W drugiej połowie wieku szkoła krakowska słynęła właśnie z tych nauk: jej mistrzowie układają „judicia", prognostyki na rok następny urodzajów, zdrowotności, wojen, cieszące się wielkiem powodzeniem jeszcze i w następnym wieku, nawet i poza granicami kraju, a „Krakauer Schreibkalender" w Wiedniu przeżył nawet istnienie państwa polskiego. Wojciech z Brudzewa, jeżeli już innych nie wspominać, zażywał zasłużonej sławy; tu uczył się Mikołaj Kopernik, nabywał wprawy, metody, wskazówek i podstaw, tu miał odbywać nauki doktor Faust; nasza szkoła zabierała głos w reformie kalendarzowej rzymskiej. Uniwersytet nie zasklepiał się w badaniach umiejętnych, nie tracił łączności ze społeczeństwem, owszem, przejmował się sprawami ogółu i bronił ich wytrwale: z jego grona wychodzili szermierze praw polskich i prawdy polskiej przeciw uroszczeniom krzyżackim, jak Paweł Włodkowicz z Brudzenia; tenże w duchu kolegów i za przykładem Mateusza Stadtschreibera, Krakowczyka, który swój traktat natychmiast przysłał do Krakowa, domagał się reform, usunięcia krzyczących nadużyć w kościele, mianowicie zgubnej symonji pod każdą postacią; w jego myśli występował wielki uczony, gorliwy asceta, Jakób z Paradyża. W walce, rozdzierającej chrześcijaństwo, między rzecznikami wyższości soborów nad papieżem a papieskimi poplecznikami, uniwersytet stawał po stronie pierwszej z najwybitniejszymi francuskimi teologami, i bronił do upadłego stanowiska koncyljarnego, odstępując go ostatni z uniwersytetów. Uniwersalny charakter średniowiecznych studjów, wykształcanie znakomitych latynistów (w średniowiecznem znaczeniu słowa), bynajmniej nie wykluczało w Krakowie opiekowania się dziejami ojczystemi i językiem narodowym. Wykładano i objaśniano z katedry kronikę mistrza Wincentego, skąd zachował się scholastyczny jej komentarz Jana z Dąbrówki, a Długosz, ukończywszy wiekopomne dzieło historyczne, polecał je opiece mistrzów krakowskich, aby je prowadzili dalej. Były rektor, Jakób, syn Parkoszów, obmyślał ujednostajnienie pisowni polskiej i polecał je w wierszu:

Kto chce pisać doskonale
Język polski i też prawie,
Umiej obiecado (abecadło) moje,
Którem tak napisał tobie

a gdy ktoś wedle źródeł czeskich ułożył tak zwany Mamotrept t. j. słownik biblijny dla żaków, łacińsko-polski, „czcigodni mistrzowie z kolegjum słynnej wszechnicy krakowskiej“ nie zawahali się poprawić jego polszczyzny, i taki odpis (z r. 1471) dochował się do dni naszych, obok owego mylnego, choć i on wcale nie jest poprawny.

Mimo tego ciążenia ku narodowi nie była to szkoła narodowa, partykularna: nie dopuszczał tego sam uniwersalny charakter katolicyzmu i jego średniowiecznej wiedzy. Podwoje jej stały otworem dla świata północnego katolickiego. Od Szwajcarji do Anglji i Szwecji nie było kraju, coby nie wysyłał do niej uczniów, mimo mnożących się uniwersytetów (Erfurt, pod którego murami Jakób z Paradyżu uszedł do kartuzy, gdy mu reguła cysterska zdawała się nie dosyć ostrą; dalej Lipsk, Gryfja i in.). Szczególniej od kiedy Praga „zheretyczała“, postronni napływali do Krakowa, najwięcej z tych ziem, które nie miały własnych uniwersytetów, a więc ze Śląska, z Prus zakonnych i z Węgier. Spory narodowościowe rozstrzygali Niemcy i Węgrzy po bursach i na ulicach krakowskich, a napływ ich przetrwał nawet wiek piętnasty. I nietylko uczniowie, lecz i mistrzowie pochodzili z zagranicy; więcej Ślązaków, mniej Czechów było między nimi od samego początku. Wcześnie, acz sporadycznie, pojawiają się na nim i Litwini, Gasztołdy i Giedrojcie; Rusinów wykluczał obrządek.

Uniwersytet był twierdzą katolicyzmu i takim ostał na zawsze. Można go nawet oskarżać pod tym względem o zbytnią gorliwość i doktrynerstwo. Że wymagał wyprzysięgania się husytyzmu, że rychło się pozbył ze swego grona owieczki nim zarażonej, mistrza Jędrzeja Gałki, że stawał jeszcze przy soborze, gdy go wszyscy inni porzucili, że bronił Niepokalanego Poczęcia przeciw dominikanom, to wszystko było w duchu czasu, ale że w Polsce, wobec jej wschodnich stosunków, ślepo się trzymał litery katolickiej, nie uznawał kompromisów, wymagał powtórnego chrztu prawosławnych, dowodziło to już fanatyzmu, nie mądrości. Spadało to na drugą połowę wieku, kiedy uniwersytet już stanowczo schodził od zenitu swej chwały. Jasne słońce szkoły krakowskiej wykazywało niemal od samego swego wejścia pewne plamy, wynikające

z samych cech narodowych, i inne, z okoliczności zewnętrznych, składających się niepomyślnie. Nie otrząsł się bowiem naród odrazu ze swej średniowiecznej ospałości, ze swego wiekowego umysłowego letargu. Również mistrzowie krakowscy świadczyli słowiańskiej bierności, zadowalali się powtarzaniem cudzych wzorów, nie silili się na używanie sił własnych, na samoistność, nie pracowali wytężenie. Przeciętna ich produkcja literacka ani liczbą, ani treścią wcale nie imponuje; brak energji i wytrwałości dzielili z narodem. Usuwają się też rychło na drugi plan. Jeżeli się zdawało, nawet około roku 1446, że z łona ich wyjdą reformatorowie społeczeństwa — przecież mistrz krakowski, Jan z Ludziska, sarkał na jarzmo, gniotące chłopa polskiego, człowieka, jak i inni, w mowie powitalnej dla Kazimierza,— to niebawem ustały takie zapędy i już w drugiej połowie wieku nie występował uniwersytet ani razu z powagą i siłą, cechującą go nieraz dawniej. Zacieśniały się wcześnie i same wiązania szkoły. Już w 1450 roku kanclerz uniwersytecki i biskup krakowski, Zbigniew Oleśnicki wytykał, że mistrzowie promują rodaków na uposażone katedry, pomijając obcych zasłużonych, a ten błąd rósł z wiekiem i zacierała się kosmopolityczna cecha szkoły. Inne wady płynęły z ustroju duchownego, z niedostatecznego uposażenia katedr, z braku wydziału medycznego, z opuszczenia uniwersytetu przez wybitne osobistości między mistrzami, nie zadowalające się karjerą naukową, przynoszącą liche zyski i drobne zaszczyty. Napływ mieszczaństwa wzmagał się, ubywało coraz bardziej szlachty, niemniej między mistrzami, jak między uczniami. Włochy nie przestawały wywierać uroku: do nich garnęło się, co było wysokiego rodu i wyższych ambicyj. Nakoniec uniwersytet zasklepiał się w rutynie, opierał się nowinkom i reformom, cofał rychło pewne ustępstwa, wracał na dawne tory dysput, lekcyj arystotelesowych, pomijania autorów klasycznych. Wady te uniwersytet krakowski podzielał wprawdzie z zagranicznymi, ale upierał się przy nich silniej i dłużej. Pomimo kilkakrotnych zapędów nie zakwitła też na nim nigdy porządnie np. ani greczyzna, ani hebrajszczyzna.

Przedstawiał naukę scholastyczną. Zaniedbywał więc formę, nie przestrzegał czystości językowej i nie nęciły go wdzięki humanistycznego wysłowienia. Jego poezja — bo i ona była rzeczą szkoły — sadziła się na napuszoność i nienaturalność wysłowienia, wyszukiwała najrzadsze, napoły greckie słowa i zwroty, unikała prostoty i prawdy tak, że bez słownego komentarza trudno ją rozumieć, a opiewane postacie wyłaniają się słabo z pod komunałów. Co do

treści, nauka ta zaniedbywała życie najbliższe, zamykała oczy na dzieje, unikała doświadczeń, żyła wyłącznie w abstrakcjach, dialektycznie badała mniemania, nie fakty, gubiła się w objaśnieniach i dowodach, ginęła w mrzonkach spekulacji, w „snach niemądrych". Wystarczał jej autorytet kościelny, czy Arystotelesów, nabierała nadzwyczajnej zręczności w gimnastyce myślowej, w definicjach i sylogizmach, wojowała samemi logicznemi argumentami, pomijając zjawiska i fakty, bawiła się tylko w dedukcje. Jej szczytem była teologja, godzenie wiary z dialektyką, jej triumfem wyszukiwanie subtelności i rozstrzyganie ich ścisłą argumentacją, jej podstawą autorytet, metodą — sylogizm; wyczerpawszy materjał, zabawiała się powtarzaniem, sadzeniem komentarzy na komentarze, nie wychodząc z zaklętego koła dialektycznego. Praca filozoficzna i teologiczna mistrzów krakowskich nie przynosiła więc nic nowego i słabo odbijała walki realistów i nominalistów, skotystów i tomistów. W prawie kanonicznem rzadko sięgała w swych publikacjach poza popularny wykład (np. Sacramentale Mikołaja Pszczółki z Błonia), albo rozstrzyganie spornych kwestyj. Bogaciej przedstawiała się praca tylko w dziale nauk ścisłych, w pracach geometrycznych i astronomicznych Marcina Króla, Marcina z Olkusza Bylicy, Wojciecha z Brudzewa, w słowniku (głównie) botanicznym Stanki, badającego gruntownie miejscową florę, opatrującego synonimy barbarzyńskiej łaciny polskiemi i niemieckiemi nazwami.

Poza uniwersytetem literatura i nauka, posługująca się wyłącznie językiem łacińskim t. j. światowym, nie traciła tych cech zasadniczych. Listy, rozprawy, poezje Stanisława Ciołka, Jana z Barlina i innych, aż do łacińskiej bernardyńskiej poezji z końca stulecia, sadzą się na stylową kwiecistość, na leonińskie rymy i na retoryczne sztuczki. Wymowa dba o prawidłową budowę, o najgórniejsze przenośnie i porównania, lubuje się w alegorji, a tak starannie pomija fakty, że, za nieznaczną zmianą tylko kilku słów, tę samą mowę przystosować możnaby do rozmaitych osób i okoliczności. Ówczesne mowy pogrzebowe, okolicznościowe, polityczne, faktycznego materjału zwykle nie przedstawiają wcale, nie charakteryzują ani człowieka, ani czasu i miejsca, bujają w empirejach, nie raczą schodzić na ziemię.

Z całej tej literatury scholastycznej wyróżnia się znakomicie dzieło Jana Długosza, kanonika krakowskiego, pedagoga synów królewskich, zmarłego arcybiskupem lwowskim: lecz za dziełem i człowiekiem stoi ten, co nimi kierował, Zbigniew Oleśnicki,

mąż stanu i dostojnik kościoła w wielkim stylu, ostatnia ze znakomitych postaci polskiego średniowiecza, z ich hartem i z ich krótkowidzącym, stanowym i hierarchicznym uporem. Wciągnięty wcześnie w sprawy państwowe, Zbigniew odczuwał potrzebę gruntowniejszego, historycznego ich wyłożenia i związku. Nie zadowalały go dotychczasowe kronikarskie ramoty. Dowiedziawszy się, że biskup chełmski spisywał dzieje i sprawy spółczesne, starał się o wydobycie tego materjału i szukał, komuby polecił wykonanie gmachu dziejów polskich. Wybór jego padł na Długosza. Znał jego nadzwyczajną sumienność, nadmierną wytrwałość w pracy, szerokość jego poglądów, nie zamotanych przędzą scholastyczną, niewzruszoność jego przekonań katolickich, miłość ojczyzny, przenikającą jego wnętrze. Jego to pobudzał do gromadzenia materjałów. I odnosi się wrażenie, jakby wszystko, czego się tknął powiernik Zbigniewa w pracowitym, długim żywocie, miało na celu wystawienie tego okazałego gmachu, tych dwunastu ksiąg dziejów polskich, obejmujących je od bajecznych początków, aż do ostatnich dni Długoszowych: czy katalogi biskupów wszystkich diecezyj, czy żywoty polskich świętych Pańskich, czy studja heraldyczne i genealogiczne, czy inwentarze posiadłości kościelnych w diecezji krakowskiej — wszystko to surowy materjał albo podwaliny owego wielkiego dzieła.

Kunszt dziejopisarski Długosza jest niewielki. Nieodrodny syn wieku, jego okiem i duchem widzi i ocenia najodleglejsze dzieje. Nie upatruje żadnego rozwoju. Szlachecka, a od Mieszka I, katolicka Polska Popielów i Piastów, to projekcja w przeszłość Polski Jagiellowej. Trzymając się porządku lat nie zna i dla czasów zamierzchłych, dziejowej perspektywy. Jego figury i zdarzenia są wszystkie jednej wielkości, na tem samem tle; kieruje niemi Opatrzność, nagradzająca dobro, karząca występek, lecz to Opatrzność katolicka; strzeże niewzruszenie czystości wiary, powagi duchowieństwa, znaczenia stolicy apostolskiej. Fakty, niezgodne z tym duchem, omawia Długosz półgębkiem i niejedno przemilcza, aby nie wywoływać zgorszenia. Poda za fakt samo życzenie, np. że palono księży husyckich w Zbąszyniu, i zbyt łatwo swym źródłom daje się w błąd wprowadzać; krytyka, niegłęboka, godzi po swojemu sprzeczności źródeł; styl nie wykwintny a wysłowienie jednostajne. Ale imponuje Długosz rozmiarami. Gromadził materjały zewsząd, nawet ze źródeł pisanych po niemiecku i rusku, i na stare lata wyuczył się tego pisma, aby z tych źródeł mógł sam korzystać; czerpie daty

i fakty z dokumentów i dyplomów, nietylko z annałów i kronik; wciąga dzieje postronne, węgierskie, czeskie; zajmuje go nawet topografja Polski, a wznosi się na wyżyny historjozoficzne, określając charakter polski. Imponuje korną wiarą w Boga i gorącą miłością kraju, choć zaślepiać się nie daje; widać jak boleje nad rozdarciem Polski dzielnicowej, nad utratą odpadłych ziemic, nad odstępstwem od zbawiennych zasad. Jego dzieło ma być zwierciadłem, w którem przejrzą się rodacy, ma być źródłem, z którego orzeźwią się spracowani i wysileni: podjął się jego na chwałę Boską i dla sławy narodu polskiego. Przetrwało ono wieki. Późniejsi zadowalali się streszczaniem, okradaniem Długosza, nie wnosząc wiele poprawek. Nikt przed Naruszewiczem nie powtórzył, nie sprawdził pracy Długoszowej; on utrwalił i ustalił pojęcia o dziejach a nawet jego omyłki, np. co do złamania przysięgi przez Warneńczyka, nabrały wagi kanonicznej.

Ostatni to, a najbardziej wpływowy szermierz polskiej średniowieczyzny, przewagi kościoła i wiary, stanowych przywilejów, niewzruszoności instytucji. Ale mury chińskie nie dzieliły jeszcze Polski od Zachodu, od Czech i Włoch. Nowe prądy religijne, naukowe, społeczne przesiąkały do niej przez książki i ludzi, bez przeszkody i zwłoki. Husytyzm nie przekroczył jednakowoż granic zwycięsko; hierarchja i uniwersytet stały na czujnej straży; antagonizmu przeciw narodowemu duchowieństwu nie było a mimo niesnasek z powodów bardzo materjalnych, nawet tak popularne hasło: „precz z dziesięcinami!“ nie znalazło w szlachcie oddźwięku. Tem mniej mogły mieć miejsce utyskiwania na zbytni kult Marji i świętych, albo protest przeciw przyjmowaniu sakramentu pod jedną postacią, i słuchaniu mszy świętej u księdza — jawnego przestępcy karności duchownej, chociaż w XIII stuleciu polski episkopat sam się domagał podobnej puryfikacji. Husytyzm, niezasilany żadnym prądem narodowościowym, który go w Czechach wspierał potężnie, poprzestawał na jednostkach między szlachtą, na Zbąskich i Melsztyńskich, bo panom, jak dzieciom, wszystko wolno, i na duchownych, praskich alumnach, którzy powtarzali pieśni husyckie, domagali się kielicha dla ludu, narzekali na rozwiązłość obyczajów duchowieństwa i kazali świeckim urzędom je karać. Najwięcej świadectw o tej propagandzie zawierają nie dzieje publiczne, lecz akty kapitulne, płockie i poznańskie, w których odprzysięgają się herezji powołani przed sąd biskupi. Same piosnki husyckie, jak je w Polsce śpiewano, zaginęły; ocalała ta, którą szerzył Gałka, nadzwyczaj zjadliwa, wy-

sławiająca Wiklefa, ojca duchownego husytyzmu, nad wszystkich mistrzów świata, „jemuż nie równego ani będzie większego aż do dnia sądnego“ i kończąca twierdzeniem: „Prawdę popi tają, Iż się jej lękają, Łeż pospólstwu bają!“. Już tu mamy ten dziki argument, którym protestantyzm przez dwa wieki wojował: „Cesarscy (t. j. rzymscy) popowie Są Antykrystowie, Ich moc nie od Krysta, Ale od Antykrysta!“ Z ostrą krytyką, nietylko rzymskich uroszczeń, lecz i wszelkich domowych nadużyć, luk i braków w ustroju społecznym, spotykamy się kilkanaście lat później, w najjaskrawszem pisemku politycznem, jakie wydały polskie wieki średnie, w Monumentum Jana Ostroroga, zwróconem niby ku radzie królewskiej, piętnującem pokolei wszystko, co się w Polsce nie podobało młodemu wielmoży, zaprawionemu na pojęciach zachodnich, od nierówności w prawie a równości w ubiorze między stanami począwszy, przez stosunek do kurji, wywożenie annat do Rzymu i kreowanie tamże za taksami doktorów-osłów, aż do kaznodziei niemieckiego, każącego przed pustemi ławami, i do ławników miejskich, śmierdzących szewców, ślących po „ortel“ zagranicę do równych, jak sami, nieuków: dziwny chaos magnackich roszczeń, stanowych przywilejów, narodowych antypatyj i dążeń demokratycznych, chaos, godny młodej polskiej głowy. Praktycznych następstw pisemko nie miało, dzieląc losy późniejszej polskiej literatury politycznej. W XVI wieku powoływali się na nie polscy protestanci za wycieczki antyrzymskie, chociaż właśnie ku wierze niemieckiej Ostroróg nigdyby się nie był przychylił. Ścieżki husyckie i manowce Ostrorogowe nie wyprowadzały więc nigdzie Polski średniowiecznej.

Na polu umysłowem przygotowywał się natomiast zwolna wstęp na nowe tory. Ograniczał się najpierw do stylu i formy, niebawem jednak ogarnął i ducha, co się właśnie przez nowy styl wyrażał. Przeciw scholastycyzmowi, jego niekształtności i barbarzyństwu, przeciw pogardzie starożytności, nie oświeconej wiarą, tylko rozumem, gotowała się we Włoszech reakcja, na którą wszystko się u nich składało, od ich pogodnego nieba i piękności przyrody, aż do posągów, wydobywanych z ziemi i ksiąg, przywożonych z Grecji i z północnych klasztorów. Przy ciągłych, bezpośrednich stykach Polski z Włochami, z kurją rzymską, gdzie się nieraz zbiegały aspiracje humanistyczne, humanizm ten rychło przekroczył Alpy i Karpaty. Zniszczenie potęgi krzyżackiej, rola Polski na pierwszym soborze, bogactwo i polor jej książąt kościoła, zwróciły

uwagę na kraj północny, barbarzyński, dokąd zaczęli trafiać niebawem sami humaniści, jak Filelfo, albo szumne ich listy, oczekujące brzęczącej nagrody, jak pompatyczne posłania Franciszka hrabiego de Aqua Viva do Witolda, do arcybiskupa (Rzeszowskiego, lwowskiego) i do innych Polaków. Za włoskimi humanistami zjawiła się w Krakowie wykwintniejsza łacina, nawet w uniwersytecie, za staraniami Jana z Ludziska. Kancelarja Zbigniewa, posłowie polscy do kurji zaćmiewali nową łaciną Niemców. Sam Zbigniew i jego satelita Długosz odczuwali potrzebę nowego stylu, silili się nań, chociaż Długoszowi rzecz się nie udała, mimo Liwjusza, którego pierwszy przywiózł do Polski, a naśladował jego retorykę i sentencje. Między tymi pierwszymi polskimi humanistami na nadzwyczajną sławę zarobił Grzegorz z Sanoka, nie tem, co pisał — bo to, o ile wiemy, trąciło średniowieczyzną, — lecz tem, co mówił: pierwszy przykład polskiego genjusza bez teki, nieproduktywnej wielkości, błyszczącej na chwilę, jak meteor, aby na wieki zagasnąć — gdyby nie Włoch-spekulant, co go unieśmiertelnił, nie kryjąc się przytem wcale z osobistemi widokami. Grzegorz z Sanoka, mieszczanin, starający się powetować brak „rodu“ w jedynej możliwej karjerze duchownej, zapobiegliwością i nauką, dostąpił chrztu humanistycznego na dworze węgierskiego humanisty-biskupa i zrobił w Polsce prędką a świetną karjerę. Jako arcybiskup lwowski spoczywał na wawrzynach. Lubił, gdy mu kadzono, i popisywał się nowościami na każdem polu, od wymagania, aby klecha, mówiąc po łacinie, zachowywał oryginalną prozodję (sztuka obca Polakom i Węgrom), aż do sarkania na scholastyczną dialektykę, na suchość kaznodziejską, albo na niewstrzemięźliwość polską przy biesiadach, posługując się argumentami jakie wyczytał lub dosłyszał, chociaż mu i własnego, trafnego sądu (np. co do dziejów pierwotnych Polski), bynajmniej odmawiać nie można.

Czynniej zakrzątnął się około humanizmu i jego powodzenia w Krakowie sam ów chwalca, Filip Kalimach, uchodzący przed pościgami inkwizycji papieskiej przez Konstantynopol, gdzie nie przekonał Turków o swej niezbędności, do Polski, zawsze otwartej i gościnnej dla wszystkich obieżyświatów. Zręczny i układny, dowcipny i zdolny, umiał Włoch wmówić w swych patronów przeświadczenie o swej wyższości. Wśrubowano go na dwór Kazimierzów, gdzie z Długoszem, ogień z wodą, pracował nad kształceniem młodszych dzieci królewskich. Jan Olbracht, gdy na tron wstąpił przylgnął do Włocha i darzył go zaufaniem a w skrytym

Włochu publiczność uznawała głównego doradcę królewskiego, podsuwała mu maksymy, dążące do wyniesienia władzy monarchicznej, które zczasem ułożono w tak zwane Rady Kalimachowe, czy to opierając się na jakiejś istotnej podstawie, czy też fabrykując je dowolnie — bo do pamfletów i paszkwilów w Polsce nigdy nie brakło najsubtelniejszych ingenjów. Przez „Rady Kalimachowe“ należy Włoch na zawsze do literatury: niema w XVII wieku ani rękopisu, ani głowy szlacheckiej, któraby nie powtarzała i nie potępiała, tego domorosłego Makjawela. Jego humanizm i działalność polityczna i historyczna były za to objawami przemijającemi bez śladu. Historyk zużywał bez ceremonji, co pisali już przed nim grubi Sarmaci, tylko układał to w szumne tyrady klasyczne. Polityka używano przy rokowaniach o sprawy tureckie, bezcelowych, skoro się tylko w Rzymie łudzono, że uda się Polskę zawikłać w wielką akcję wschodnią. Humanista nakoniec nie występował zaczepnie, gdyż nadto się Włoch cenił, aby wywoływać w szranki scholastykę uniwersytecką; działał tylko w kółku dobranych przyjaciół i życzliwych mecenasów, poglądając zgóry na barbarzyńców, przybierając pozy, styl, nawet nazwiska klasyczne, np. Brudzewczyka maskując w Brutusa.

Do walki otwartej stawał inny błędny rycerz humanizmu, Konrad Celtis, Niemiec, nawet nie mistrz, poeta-laureat z ręki cesarskiej. Przybył do polskiej Norymbergi, do Krakowa, głośnego w całej środkowej Europie (Kraków — miasto! stare przysłowie), aby w imię autorów starożytnych przypuścić szturm do „artes“, do szkolnej „filozofji“, jej łaciny i filologji. Zbierał poklaski, znachodził słuchaczów i uczniów, szczególniej między Ślązakami, którym mile imponował świetny rodak. Ale mimo pozornego powodzenia niedługo Celtis dał się łudzić i rzucił niewdzięczną ziemię sarmacką, przedstawiającą Niemcom-mieszczanom coraz mniejsze widoki, a jego przykład znachodził i później naśladowców, których olśniewała sława Krakowa, a odtrącała rzeczywistość sarmacka. Prócz szumu po lektorjach i garstki wierszów nie zostawił Celtis ani jego towarzystwo „wiślańskie“, nic w Krakowie, zato Ślązacy, Rabe, Sommerfeld i inni, poruszeni przez niego, silili się zalecać uczącej się młodzieży w wykładach, wierszach i podręcznikach stylowych nową łacinę, a z nią i nowego ducha, nie średniowiecznego. Odznaczał się między nimi krakowianin, Jan „Ursinus“, autor wierszy i listów łacińskich, z ciekawemi szczegółami życia z krakowskiego, wykształcony i w szkołach włoskich, gdzie wraz z innymi np. z Sakranem i Lubrańskim (u Greka Argiropula) posiadł dobrze greczyznę.

Nowy ten duch, „humanistyczny“, gardził nietylko łaciną i średniowieczną dialektyką; odrzucał i inne więzy: ideał ascetyczny, krępujący życie i użycie, pojęcia kastowe, a uznawał tylko człowieka, prawiąc o jego „kalokagatji“ bez względu na ród i naród, zwracając się z tęsknotą, nieraz istotną, nie udaną tylko, do starożytnego świata i jego cnót obywatelskich. Pierwsi humaniści wnieśli też nowy element erotyczny do łacińskiej poezji w Polsce i chyba na tem polu najrzetelniejsze święcili triumfy, jak Kalimach w swojem Fannietum, i Celtis, sławiąc krakowiankę Hasilinę (pseudonim wedle mody humanistycznej). Z nazwiskiem tej Hasiliny łączono pierwszy występ literacki Polki — w języku czeskim. Istnieje mianowicie w korespondencji Celtisa list, pisany doń z Krakowa r. 1500, gdzie Hasilina wyrzuca „składaczowi“ (poecie), że niewdzięcznik objawił ich słodką tajemnicę światu i tą niedyskretnością ją obraził: z towarzystwa bowiem, gdzie te wiersze odczytywano, omal ze sromu nie uciekła. Lecz sam list jest wymysłem humanistycznym, nawet gdyby nie był pisany po czesku i z jawnemi kpinami, bardzo nieprzystojnemi. List, ulubiona forma humanizmu, stworzona dla popisywania się ozdóbkami stylowemi, nie wymagająca pracy, choć ją udająca, w tym wyjątkowym razie, kiedy miał pochodzić od kobiety, nie mógł się zjawić w łacińskiej szacie, więc go Czech-humanista napisał po czesku i nie wolno czynić żadnych z niego wniosków co do Krakowa i Polek. W każdym razie wiersze obu humanistów, pierwsze w Polsce, i treścią i formą zapowiadały stanowczy zwrot, chociaż jeden i drugi utwór humanistyczny, np. Aretina, Bruni'ego, Franciszka de Fiano i in., dawno docierał przed nimi do Krakowa i jego szkoły, nawet doczekiwał się wykładu, ale nie wtajemniczał ani mistrza ani uczniów w świat nowy, ceniony narówni ze średniowiecznymi Alanami, Doliganami, „Owidjuszami“.

Były jednak oczy bystrzejsze, niedowierzające, nie dające się łudzić stylową świetnością, zaniepokojone duchem, którego ona kryła. Instynkt średniowieczny przestrzegał już Zbigniewa Oleśnickiego przed niebezpieczeństwami ruchu humanistycznego, rozluźnieniem obyczajów, rozpasaniem instynktów, podkopaniem powag; lecz owoce tego posiewu dojrzały dopiero za jego następców. Narazie humanizm był siłą dodatnią, budził ducha z średniowiecznego letargu, i nie sięgał zresztą głęboko, nie tykał np. jeszcze ani klasztorów, ani masy duchowieństwa, które stanowiło i nadal jedyną wykształconą klasę narodu.

Nową, walną zasługą uniwersytetu było właśnie, że nietylko

w głównej szkole krakowskiej, ale i w całym kraju podniósł się znacznie ów poziom wykształcenia. Szkoły i szkółki parafjalne, miejskie, kolegjackie i klasztorne, nieraz kolonje akademji, otrzymywały na kierowników bakałarzy i mistrzów krakowskich, ludzi większej wiedzy, prowadzących młodzież poza ciasny program dawnego trivium i quadrivium. Światło nie skupiało się w jedynym Krakowie, szerzyło się po kraju równomierniej. Każda kapituła liczyła w swoim gronie mężów nauki, znachodzimy ich po ławach radzieckich i ławniczych, a nierzadcy oni i między szlachtą. Ludzie nie zadowalają się prostym pokarmem umysłowym, a nawet kaznodzieje sarkają, że od nich oczekują trudnych węzłów, głębszych zaciekań. Pomniki literackie szerzą się po całym kraju, wymagania rosną, średniowieczne „wy“ zaczyna razić czulsze uszy, uczucia delikatnieją. Ileż to razy odpisują żacy krakowscy dokumenty subtelnej miłości, jakie niegdyś zebrał Francuz, kapelan Andrzej, i choć w nagłówkach listów miłosnych wprowadzają osoby polskie, od króla Włodzisława i Zofji aż do rubryk: szlachta, panic, tak prawić ma, albo: szlachcianka, panna, odpowiedzieć tak ma (w odpisach z r. 1447). Symbole więzów miłosnych nosi się jawnie i szczyci niemi, mimo oburzenia kaznodziei-moralistów.

Gwar ten i życie odbijały się naturalnie w literaturze. W porównaniu do XIV wieku i jego pomników, które na palcach wyliczyć można, ogarnęła wiek XV jakaś manja pisania; po półkach bibljotek można na jeden rękopis XIV wieku naliczyć sto z XV. Ksiądz polski spisywał teraz kazania własne albo obce, naturalnie po łacinie, a naszych „postył“ niedzielnych i świątecznych, lub „sermones“, liczymy krociami. Kazania te — o obcych nie mówimy — zazwyczaj mało ciekawe; kaznodzieja żegnał się od niezbożnej pokusy powiedzenia czegoś nowego, własnego i wolał nizać dawne autorytety i cytacje na cienki sznurek własnych słów. Ale nie każdy był tak wstrzemięźliwy. Kto zwłaszcza nie liczył po farach na uczonych słuchaczy, folgował własnemu temperamentowi i poziomowi owieczek, nie stronił od rubaszności, trywjalności, wytykał pospolite wady w sposób równie pospolity, sarkał nawet na przełożonych, na niechrześcijański żywot duchownych. Inni lubowali się w alegorjach i symbolach. Nie zadowalał ich dosłowny historyczny sens Pisma świętego; wykładali je moralnie i na inne sposoby, odgadując w każdym fakcie starozakonnym prefigurację Nowego Zakonu. Kto się nie da odstraszyć zbutwiałą treścią tych

foljantów i kwartantów, znajdzie w nich niejeden cenny przyczynek, malujący czasy i ludzi, niejeden ciekawy tekst polski, niejedno niezwykłe podanie; tym kazaniom nie brak bowiem i opowiadań, anegdot, nawet żartów. Słowo Boże podawano tak często i w takiej obfitości, że już wtedy w przysłowie urosło: „kto spać nie może, niech idzie na kazanie“; otóż dla urozmaicenia, dla zaostrzenia ciekawości, kaznodzieja wplatał opowiadania, zabarwiając je moralnie, albo budował kazania swe jak najkunsztowniej. Przez kazania też wsiąkały w lud rozmaite szczegóły legendowe, wątki powieściowe, anegdoty dziejowe, a nie obeszło się nawet bez szerzenia zabobonów i przesądów.

Szereg tych kaznodziei, zawsze po polsku prawiących kazania, a spisujących je dla oszczędzania czasu i fatygi zawsze po łacinie, jest nadzwyczaj długi, sięga od początku wieku, gdzie się ich skupia najwięcej, aż do jego końca. Są między nimi Czesi, np. Szczekna, spowiednik Jadwigi, Jan Sylwan albo Hieronim z Pragi, spowiednik Jagiełły, misjonarz na Żmudzi, wkońcu włoski kameduła; Ślązacy, np. Maciej z Lignicy; przeważają Polacy, Krakowczyk Maciej, Mikołaj Wigand, Łukasz z Wielkiego Koźmina, Piotr z Miłosławia, z Raciąża, Paweł z Zatora. Wydają kazania nieraz pod wyszukanemi tytułami, np. Więzienie duszne, Droga zbawienia, Wirydarz (Mikołaja Pszczółki z Błonia, drukowany w Strassburgu r. 1493, 1495, 1498 i nawet jeszcze r. 1613 w Kolonji). Jedni sadzą się na uczoność, dodając nawet do każdego kazania kwestje teologiczne i rozsądzając je, drudzy nie gonią za nią, wykładając temat możliwie krótko i sucho, a najciekawsi są ci, którzy zstępują do ludu, między oszukujących przekupniów, chłopów szalbierzy, księży prostaków, których gniewa szmer rozmawiających w kościele, wystawa sukien, pachnideł i barwiczek panieńskich, zapustne tańce (z wywróconym nanice kożuchem), myśli o Kasi, wielkanocne śmigusy i dyngowania, świąteczne pieśni. Niewielki ich kunszt kaznodziejski, ale koloryt miejscowy występuje jak najdobitniej: poznajemy społeczeństwo, jego usposobienie, zwyczaje, zdrożności, aż do sposobu mówienia. Sam kaznodzieja, nie wahający porównywać siebie ze świnią, „jaż (która) dalej pysku nie widzi“, grzeszy rubasznością.

Obok takich kazań najwięcej miejsca zajmowały inne pisma łacińskie; przepisywano Pismo św., ojców kościoła, legendy, pomniki kanonicznego ustawodawstwa z niezliczonemi glosami i komentarzami. Z niemi zjawiają się i obfitsze pomniki poezji łacińskiej.

Średnie wieki nie tego wymagały od poezji, co poczu-

cie estetyczne nasze i starożytnych. Dla średniowiecza bowiem nie istniał żaden przedział między prozą a poezją. Poezja miała wyrażać to samo, co proza, tylko krócej, piękniej, dobitniej; w pierwszym rzędzie służyła nie sztuce, lecz pamięci. Układano wierszami reguły, artykuły, streszczenia ksiąg biblijnych, przepisów kanonicznych albo medycznych; traktaty gramatyczne, metryczne, o właściwościach kamieni czy roślin, słowniki nazw greckich i innych, strojono w metra i rymy. Ta barbarzyńska poezja przetrwała do XIX wieku w wierszowanych regułach gramatyki łacińskiej, w XV układano nią i słowniczki łacińsko-polskie, np.:

Est Albertus *Olbracht*, Adalbertus sit tibi *Wojciech*...
Est aquilo *północ* austerque *południe*...
Modiolus *piasta*, radius *stpica*, est *zwono* cantus...
Est tribulus *oset*, (tribu)la *cepy*, (tribu)lum quoque *wiercioch*...

albo w „Cyziojanach“ układano całoroczne święta i np. uczono:

Duch, Krzyż, Łucja, po Popielcu śrzoda pirwa,
Każda parochia *suchedni* wiedzieć jima.

Najwięcej popłacało polskie, rymowane Dziesięcioro, jakie kaznodzieja przypominał co niedziela ludowi, a protestanci, np. Seklucjan powtarzali w katechizmie jeszcze roku 1547, w licznych odmiankach, np.:

Pirwa każń Twórca naszego:
Niemasz mieć Boga jinego.
W próżności niestatku twego
Nie bierz jimienia Bożego.

W łacinie przeważają znowu odpisy biblji, ewangelji, czy legend, przełożonych na wiersze, traktatów gramatycznych, np. słynnego Doctrinale Francuza Aleksandra, o którym śpiewał jeszcze Kochanowski we fraszkach („Aleksander ufrasował żaki“), alegoryj i poematów dydaktycznych i moralizujących, opowiadań o złości niewieściej, nieraz tak drastycznych, jakby je wyjęto z Boccaccia, a mimo to, wyganiając djabła djabłem, wykładano je z katedry. Są jednak i oryginalne, np. Marek z Opatowca napisał traktat o prozodji i metryce, plądrując owego Aleksandra, Jan Polak ułożył reguły kalendarzowe w rytmy a jego „poemat“, Computus, przedostał się zagranicę. Ciekawsze są poematy mistrza Mikołaja w Poznaniu, który wierszami przedstawił wady wszelkich stanów, a osobno, choć sam nie dworzanin, karcił nędzę i grzechy dworskie, od wyszukanego ubioru dworzańskiego aż do ich podłego życia, spania na twardej ławie, rozjazdów po kraju, wycie-

rania i objadania cudzych kątów: pierwszy poemat przedstawia tylko niby wierszowanie jednego kazania Piotra z Miłosławia i prócz ogólników nie wchodzi zbyt w szczegóły, chociaż np. zarzuca kmieciom, jak, sprzedając wełnę, odwilżają ją dla wagi albo zboże fałszują przymieszkami; drugi poemat, o dworzanach, maluje zato jaskrawie stan i jego zdrożności.

Najliczniejsze były poematy historyczne i okolicznościowe, a więc relacje bitew, grunwaldzkiej czy warneńskiej, wiersze na zgon królów i dostojników, Jadwigi i Jagiełły, Łaskarza (biskupa) i Szamotulskiego, Zawiszy i Elżbiety (córki Jagiełłowej) — kilka z tych wierszy i Długosz zamieścił w Dziejach. Mało w nich nieraz treści, tem więcej szumu, język ciężki, wierszowanie niedbałe, obrazowość najpospolitsza: wiersze kanonika Adama Świnki, mistrza Marcina ze Słupcy, Grzegorza z Sanoka. Z końca wieku należą tu wiersze kanonika Mikołaja Kotwicza, trącące już nieco humanizmem, bo rzucają leoniny, t. j. wiersze rymowane, w których smakowali dawniejsi: Kotwicz opisał zatargi arcybiskupa Oleśnickiego z Kośmidrem Gruszczyńskim, poprzebierawszy w łacińskie maszkary występujące osoby. Do wierszy okolicznościowych należały i wiersze Stanisława Ciołka, biskupa poznańskiego, z pierwszej ćwierci wieku, entuzjastyczna pochwała Krakowa i inne. Jak w chwaleniu, tak i w szkalowaniu Ciołek był nieposkromiony, czego dowodzi jego bezecny paszkwil prozą, na zaślubiny Granowskiej (przez Jagiełłę), przesadzający nawet średniowieczne prostactwa. Należy tu również dialog wdzięcznego Długosza na śmierć krakowskiego Zbigniewa, wysławiający cnoty i zasługi kardynała i broniący jego pamięci przeciw uwłaczaniu i in.

Mniej bogato przedstawia się proza świecka, której najważniejsze pomniki przytoczono już wyżej, jeśli się nie uwzględnia wykładów mistrzów krakowskich i podobnych im traktatów naukowych. Zjawiają się pierwsze retoryki i wzory listów, z których się dowiadujemy nieraz najrozmaitszych szczegółów, np. że już w XV wieku mawiano „wymowny, jak Gąska“ (o błaznach, którzy, sławny Stańczyk i inni, w XVI wieku toż nazwisko zachowali). Wzory z końcem wieku nabierały już całkiem formy humanistycznej, a ich wiersze (np. pochwała Krakowa przez Korwina-Rabego) wzorują się na Horacym, nie na średniowiecznych leoninach.

Gdy się tak rozwidniło nareszcie na polu literatury łacińskiej, a zmroku i mgieł powychylały się i zarysowały wyraźniej pierwsze sylwetki autorskie, ścierały rozmaite prądy i myśli, dziedzinę

literatury narodowej zalegało niemal głuche milczenie. Wobec XIV wieku, i tu był postęp, względnie wcale znaczny, ale mimo to ten brak wydatniejszego ruchu i pewna jednostronność świadczy o dziwnej opieszałości i gnuśności, o zastoju głów i serc. Jeśli już w literaturze łacińskiej przeważał żywioł religijny, tutaj wykluczał on zupełnie świecki kierunek. Chyba całkiem praktyczne względy zmuszały do tłumaczenia rzeczy świeckich, bo poza tem wszystko było ascetyczne. Ale było tego niewiele, i nie przypadkiem się stało, że małe Czechy posiadają kilkadziesiąt czeskich odpisów Nowego i Starego Zakonu z XV wieku, gdy my niemal żadnego polskiego! Jak bowiem w wieku XIII z powodu Albigensów kościół wręcz zabraniał tłumaczenia Pisma św. na języki narodowe, taką samą podejrzliwością kierowało się duchowieństwo polskie, dla husytyzmu, wobec polskich przekładów. Nie życzono sobie poprostu rozpowszechniania słowa Bożego między ludem — i np. co za chryje i inkwizycje wywołał fakt, że w r. 1455 poszlakowano ks. Stanisława z Klecka o posiadanie kilku polskich książek: tłumaczenia ewangelji, książki, zaczynającej się od słów „Początek to ma“ (tak cytowano w wiekach średnich wszelkie traktaty, od ich pierwszych słów), drugiej, poczynającej się od słów „Panie Boże“ (był tam ustęp: „a drudzy chodzą ku Bożemu Ciałku na odpust“, więc może ślad husyckiego zakału). Ileż to świadków badano o te księgi skonfiskowane, pytano ks. Stanisława, czy był w Pradze, czy uczył kogokolwiek lektury polskiej lub czeskiej. Ślusarz zawinił, kowala powieszono.

Dla zupełnego wytłumaczenia zastanawiającej wręcz rzadkości zabytków polskich i jałowości ich treści, należy jednak uwzględnić, prócz obawy duchowieństwa przed szerzeniem się herezji, jeszcze i drugi moment. W XV wieku przecież jeszcze zawsze pisali wyłącznie żacy, mistrzowie, księża. Pisali, co im było potrzebne, więc homilje i kanony, podręczniki szkolne i wykłady, traktaty i kwestje, rzeczy naukowe w języku naukowym; pomiatali językiem „wulgarnym“, a ta wzgarda przetrwała wiek XV, panowała i w XVI. Teksty „wulgarne“ przemycano chyba do rękopisów łacińskich, więc na rzecz tak małoważną, nie świadczącą o nauce, niepopłatną w sferach decydujących, ani w krakowskiem kolegjum, ani w kapitule, ani nawet u dworu, nie tracono czasu i żmudnej pracy, bo tylko „kto nieumie nics pisać, ten mnima, aby mała by była robota“ (zauważył Maciej Zamokło roku 1436). Po polsku pisano dla ludzi nieumiejących po łacinie, dla kobiet, i te rzeczy zgóry ska-

zane na poniewierkę wcale nie wsiąkały w klasztorne księgozbiory. Tem wyżej cenić należy to, co ocalało.

A jest tego, mimo zawistnych losów, wiązanka nienajdrobniejsza. Proza, to niemal wyłącznie tłumaczenia Pisma św.; najobszerniejsze między niemi, tak zwana biblja Zofji, napisana na grodzie nowokorczyńskim roku 1455, wyłożona dla królowej-wdowy po Jagielle, Rusinki, przez księdza Jędrzeja z Jaszowic. Ksiądz Jędrzej bardzo sobie pracę ułatwił, korzystając bez ceremonji z czeskich przekładów. Z olbrzymiej księgi pergaminowej ocalało tylko kilkaset kart, uniesionych rękami protestantów polskich na Węgry do Szarosz-pataku, a z drugiego jej tomu po różnych miejscach znalazły się obrzynki. Z innego tłumaczenia Nowego Zakonu ocalał tylko pergaminowy skrawek, inny urywek z męki Pańskiej (a może z całkowitego żywota Chrystusowego?), z żywotów świętych t. j. z tak zwanej „Złotej Legendy“ Jakóba de Voragine XIII w., najpopularniejszego zbioru dla największych cudactw, mamy kartę o św. Błażeju, psałterz w starym języku, choć w późnym odpisie, tak zwany Puławski, przetrwał całkowity, zgodny z psałterzem florjańskim, karta z jakiejś encyklopedji teologicznej (tak zwany urywek Glogera), kazanie na Wszystkich Świętych, wyłożone płynnym i jasnym językiem, modlitewnik (pisany ręką „ubogiego Wacława“), i drugi, przeznaczony dla kobiety, Nawojki (Natalji), któremu niegdyś najmylniej przypisywano wiek XIII, jakoby to się z niego modliła św. Jadwiga śląska, gdy rzeczywiście pochodzi z końca XV wieku, słowniczki biblijne, reguła tercjarzy franciszkańskich, wyłożona właśnie dla potrzeby bractwa i t. d. Z rzeczy świeckich były przekłady obowiązujących praw krajowych, przeznaczone dla Mazowsza i Rusi, gdzie znajomość łaciny była najmniejsza, między liczną a drobną i ciemną szlachtą mazowiecką i w ziemiach przemyskiej i lwowskiej, niedawno przyłączonych do Polski i kultury zachodniej. Przekłady wypadły fatalnie. Tłumacz mazowiecki bał się oczywiście najmniejszego uchybienia od urzędowego brzmienia i na uwięzi łacińskiej pozbawił polszczyznę wszelkiego ruchu. Z takich nieudałych prób nie uchodzi bynajmniej sądzić o dawnym języku. Lepiej nieco, jako wolniejsze, wypadło tłumaczenie na ziemi czerwonoruskiej. Tam powstało nieco później i nieco gorsze tłumaczenie ustawodawstwa niemieckiego Majdeburgji, potrzebne i dla mieszczan, zapominających doszczętnie dawnej niemczyzny, i dla wojewody i jego urzędników, nieznających jej wcale. Teksty niemieckie tłumaczono na łacinę i polski, statuty krajowe tłuma-

czono i na ruski. Praktycznym celom służyły słowniczki łacińsko-polskie, układane zwykle wedle materji. Najczęstsze i najobfitsze między niemi botaniczne, wobec znaczenia choćby krajowych roślin dla średniowiecznej medycyny; nadzwyczajną obfitością odznacza się zbiór łacińskich, polskich i niemieckich nazw kanonika wrocławskiego i krakowskiego, Jana Stanko z r. 1472. Roty przysiąg sądowych, od końca XIV wieku w księgach sądowych pisane po polsku, są ciekawe dla języka.

Obok zabytków, co doszły rąk naszych, wiemy o innych, co zaginęły. Pamflet Jana Falkenberga, niemieckiego dominikanina na żołdzie krzyżackim, król kazał po polsku odczytać roku 1418 przed zgromadzonem rycerstwem; przekład zaginął; wyżej wymieniliśmy polskie traktaty (teologiczne) w posiadaniu księdza plebana kleckiego. Inne, obszerniejsze, doszły nas tylko w nieco późniejszych odpisach, z pierwszej połowy XVI wieku: dwa tłumaczenia ciekawej dla treści, a naiwnej w wysłowieniu Legendy o Trzech Królach Jana z Hildesheimu, opowiadającej dziwy o różnych ludach azjatyckich, aż do cyganów — jeszcze Goethe żywo się nią zajął; tłumaczenie legendy o „człowieku bożym“ św. Aleksym (w prozie); obszerna Historja męki Pańskiej, oraz zejście do otchłani i pokonanie Lucypera (t. zw. ewangelja Nikodemowa), z licznemi apokryficznemi szczegółami; tłumaczenie historji romansu o Aleksandrze macedońskim, pełnego bajek o urodzeniu bohatera (z króla egipskiego, mszczącego w ten sposób klęski swego państwa nad Persami) i o jego pochodach między fantastycznemi stworzeniami na ziemi i morzu, w nagłym zgonie bohatera napominającego o znikomości i marności świata (odpis z roku 1509 z bibljoteki króla Zygmunta).

Najobszerniejszy i najbardziej oryginalny utwór, to „Rozmyślanie o żywocie Chrystusowym“. Nieznany autor zebrał w kilkuset „czcieniach“, rozdziałach, cały żywot Marji i Syna, czerpiąc z najrozmaitszych apokryfów, z komentarza biblijnego czyli t. zw. „Historia scholastica“ (Piotra Comestora-pożeracza ksiąg), z ewangielji i in., wiążąc własnemi słowami ich długie ustępy, dodając zajmujące uwagi. Najciekawszy to utwór średniowieczny, plon wielkiego oczytania, istny skarb najrzadszych bajek. Niestety, odpisu przemyskiego (na 840 stronicach) dokonano już z egzemplarza, jakiemu brakowało kart początkowych i całego zakończenia (od prowadzenia Chrystusa na Golgotę). Dzieło tchnie najgrubszą średniowieczyzną, ale właśnie dlatego jest bardzo cha-

rakterystyczne: widzimy, czem okarmiano naiwny lud wierzący. Język jego już znacznie gładszy, lepszy, niż po owych niezdarnych, bo dosłownych tłumaczeniach; widać, że autor myślał już po polsku i nie trzymał się niewolniczo łacińskiego toku.

Tok wiersza polskiego stawał się odrazu swobodniejszy, a treść jego bywała bardziej urozmaicona. Gdy tłumacz w prozie bał się puścić łacińskiego sznura, swobodniej sobie poczynał w pieśni już dla rymów i liczby zgłosek; tok wierszów, nawet tłumaczonych, jest bez porównania więcej szczeropolski; i w wierszach jednak, pierwszych oryginalnych utworach pierwszych rymopisów, przeważał żywioł religijny i dydaktyczny; dzieje i uczucia, epika i liryka, znachodziły niewielu przedstawicieli.

Wiek XV przekazał sporą liczbę wierszy religijnych, ciekawą już przez to, że przetrwały wieki, chociaż żaden z nich nie dosiągł powagą dawnej „Bogurodzicy“. Przeważały pieśni Maryjne, bo kult Marji ciągle wzrastał. Ze świętych tylko matka Bogurodzicy, a „starka Zbawicielowa“, św. Anna, były przedmiotem gorącego nabożeństwa i licznych wierszy; innych wzywano krótko w rymach, doczepianych do dawnej „Bogurodzicy“ lub w legendzie, opowiadającej żywot i męczeństwo. Takie wierszowane legendy układał anonim około połowy wieku, o św. Stanisławie, św. Katarzynie, św. Jopie; ktoś inny o św. Krzysztofie, które zachował wiek XVI w odpisach, z licznemi wstawkami i skażeniami pierwotnego brzmienia. Układ był dosyć jednostajny; po ogólniejszym wstępie szło samo opowiadanie, bez ozdób poetyckich, proste, szczere, naiwne. Wiersze te przyjmowały się znakomicie w ustach ludu a dziady i baby śpiewali je jeszcze w XVII wieku. Pieśń o św. Stanisławie wedle odpisu z roku 1460 zaczyna:

Chwała Tobie Gospodzinie!
Jiż o twych świętych cześć słynie.
Która nigdy nie zaginie
I na wieki nie przeminie.
Wiesiel się, polska korono,
Jiż masz takiego patrona,
Dostojnego Stanisława.
Jenże wyszedł z Szczepanowa

Starsze, niż te pieśni, są legendy o św. Dorocie i najobszerniejsza ze wszystkich, licząca dwieście kilkadziesiąt wierszy, o św. Aleksym, co poślubił czystość i ubóstwo, z obowiązkową inwokacją we wstępie, wysłowioną naiwnie a szczerze:

Ach! królu wieliki nasz,
Coż ci dzieją (którego zowią) Mesyjasz,
Przydaj rozumu k mej rzeczy,
Me sierce bóstwem obleczy,
Raczy mię grzechów pozbawić,
Bych mógł o Twych świętych prawić.
Żywot jednego świętego...
Kto chce *słuchać*, ja powiem:

nie jest to przenośnia, gdyż wiersze średniowieczne pisano nie do czytania, lecz dla słuchania. Zaginęły pieśni o św. Mikołaju i o św. Barbarze.

Autorowie pobożnych pieśni nieznani z nazwiska, albo prócz nazwiska nic o nich nie wiemy, np. o mistrzu Macieju, autorze pieśni o Zwiastowaniu: „Mocne boskie tajemności O Maryej wielebności", albo o Łopuchowskim i jego „wykładzie". Na tem większą uwagę zasługuje warszawianin, pierwszy poeta polski, którego znamy bliżej, poprzednik Stanisława Grochowskiego, bernardyn Władysław z Gielniowa.

Jak dominikanie i franciszkanie w wieku XIII, tak bernardyni— tak nazywano u nas braci obserwantów — w XV wieku zaważyli w rozbudzaniu uśpionego uczucia religijnego. Nawrót do twardszej reguły, ogień, pałający od najwymowniejszego ich rzecznika, Kapistrana, szerzenie słowa Bożego, elektryzowały masy, pociągały nowicjuszów, przysparzały regule coraz nowych domów i klasztorów z niesłychaną oddawna szybkością. W drugiej połowie wieku, od kiedy Kapistran z tłumaczem Polakiem kazał na rynku krakowskim, bernardyni przewodzili nietylko w Polsce, lecz na Rusi i Litwie, głównie w Wilnie, w dziele misyjnem. Niestrudzeni kaznodzieje, przykładni robotnicy, pokorni służkowie, zyskali popularność, jaką się żaden zakon w Polsce nie cieszył ani przedtem ani potem, a popularność „bernachów", ich rubasznych, jowialnych kwestarzy, przetrwała wieki. Na poziom ten zniżyli się dopiero później, gdy wszystko w Polsce upadało, ale w wieku XV byli to natchnieni głosiciele słowa Bożego, a najbardziej natchnionym był właśnie brat Władysław z Gielniowa. Żaden kościół warszawski nie zmieściłby tłumów, pragnących jego słowa; tłoczono się na placach i ulicach, by je słyszeć. Ale brat Władysław był nietylko kaznodzieją, lecz znał wpływ pieśni i składał je gorliwie, po polsku dla ludu, po łacinie dla żaków. Roku 1488 wprowadził zwyczaj odśpiewywania po kazaniu pieśni. Pieśnią tą był wtedy jego układu „Żołtarz (psałterz) Jezusów" o męce Pańskiej:

Jezusa Judasz przedał za pieniądze nędzne,
Róg ojciec syna wydał na zbawienie duszne i t. d.,

jedna z najpopularniejszych dawnych pieśni; toć Kochanowski opowiadał o żaku, śpiewającym bezmyślnie: Jezus Judasza przedał. Każda zwrotka zaczyna się imieniem Jezusowem; później dodawano i wtrącano inne, a poznać je po odmiennem zaczęciu. W masie bezimiennej liryki religijnej tego czasu łatwo odnieść i inne wiersze do błogosławionego autora, pałającego osobliwszem nabożeństwem do imienia Jezusowego; każde kazanie zaczynał od słów „Jezus Nazareński, król żydowski“ i wykładał je coraz inaczej. Otóż parafraza poetycka między tak zwanemi tekstami łysogórskiemi hymnu Salve Regina w 11-u zwrotkach, z których każda kończy się przyśpiewem „Chrysta Nazareńskiego“, należy może Błogosławionemu:

Zdrowa (t. j. zdrowaś Maryo!), my k Tobie wołamy,
Wszystkę pewność w Tobie mamy,
Grzeszni synowie Jewini;
Racz prosić za nasze winy
Chrysta Nazareńskiego.
Zdrowa, wybaw nas z padołu,
Już nie zginiem pospołu;
Wyzwól z jeństwa dyabelskiego,
Ukaży nam łaskawego
Chrysta Nazareńskiego.

Następna pieśń tego zbiorku, ostatnia, O ciało Boga żywego, Jezu Chrysta niebieskiego, Przyjmi od nas pozdrowienie, Nad cię jinnego Boga nie, będzie pióra bł. Władysława.

Bernardyńskiemi utworami są pieśni Maryjne, w których przeciw dominikanom, przeciw ich nauce i ich krakowskiej rzeźbie (Marją rodzącą otaczają „babki“), bernardyni bronią jej Niepokalanego poczęcia, np. w pieśni, której każda zwrotka od słów „O Marya!“ się zaczyna:

O Marya, Tyś córka boska,
Wszystkich grzesznych radość wielka,
Pirwem grzechem niezmazana,
Od Trójce świętej zachowana;

albo w abecadłowej pieśni o Narodzeniu Pańskiem, (t. j. zwrotki zaczynają się literami A, B, C i t. d.) śpiewano:

Kłamając, niektórzy mówią,
A w tem Matce urągają,
Aby tam niewiasty były,
Któreby Matce służyły.

Pióra Błogosławionego jest także obszerne rymowane Dziesięcioro, gdyż kaznodzieje wykładali je w ten sam sposób i zwykle z bernardyńskiego rękopisu. Zaczyna się ono zwrotką:

Słuchaj tego, wszelka głowo,
Napisz to w swem sercu słowo;
Pełni boże przykazanie
By nie wszedł w piekielne łkanie...
Toć jest wtóre przykazanie,
Jezu Krysta miłowanie:
Jimienia Bożego szonuj,
Darmo go nigdy nie mianuj.
Przeciw temu wszyscy grzeszą,
Co się ku przysiędze śpieszą;
Wiarają się, przysięgają,
O swą duszę nic nie dbają...
To jest siódme przykazanie,
Brata wierne miłowanie;
Nie kradni mu nicze jego,
Życzy mu wszego dobrego.
Tego nie dbają lichwiarze,
Zdrajce, zbójce i kostarze,
Swoje bliźnie zawżdy szkodzą,
Do piekła z tym tako wchodzą.

Ocalało wiele tej bernardyńskiej poezji; niewytworna ona, powtarzała dosyć jednostajnie układ treści, budowę wiersza, zwroty stylu; lubuje się w abecadłowych pieśniach, jak w pieśni o św. Annie, którą gorąco czcili bernardyni, np. brat Mikołaj Sokolnicki, może autor tej pieśni:

Anna święta i nabożna
Miłościwa i pokorna,
Dwadzieścia się lat smęciła,
Albowiem płodu nie miała.
Fałszywie, niedobrze mówią,
Którzy cudną Pannę (Maryę) mażą,
Pirwym grzechem niezmazaną,
Bo przez Boga zachowaną

z ową polemiką przeciw dominikanom; inna abecadłowa o Matce Bożej, może tego samego autora, znowu zaczyna:

Anna niewiasta niepłodna,
Sprawiedliwa i nabożna,
Czystą Pannę porodziła,
Którą Maryą wezwała

Bractwo św. Anny, u ojców bernardynów na Stradomiu (w Krakowie), odmawiało godzinki, jakie ułożył może bł. Władysław, a ich odpis zostawił nam mistrz Wacław (Ubogi) z Brodni, teolog krakowski. Z tego kultu przetrwały jeszcze inne ślady poetyckie, np. pieśń:

Anno matko matki Bożej,
Nie racz gardzić prośby mojej,
Za mną się raczy przyczynić,
Tobieć to łatwie uczynić,

lecz ta pieśń sięga może już XVI wieku, skoro osiemnasta zwrotka brzmi:

Być pokoju od Poganów,
Turków, Moskwy i Tatarów,
Abyśmy się polepszyli,
Ciebie przezpiecznie chwalili.

I nie koniec tych pieśni. Była inna: O Anno, pani szlachetna, O Tobie jest sława wielka, Proś za nami wnuka swego, Jezusa Nazareńskiego; z innej „starej pieśni polskiej“ Litwin Mażwid zachował (r. 1547) pierwszy wiersz: O Anno, Pani szlachetna z pokolenia, który przytaczał i inną s t a r ą polską pieśń „Poprośmy świętego Ducha“. Tyle to pieśni wywołał sam kult św. Anny; z tego już wynika obfitość dawnej poezji religijnej. Poezja ta zasługuje na uwagę jeszcze i z innej strony.

Ciekawa to bowiem rzecz, jak długo przetrwały te skromne i proste pieśni w ustach ludu, niemal bez zmiany, jedyne płody polskiej literatury średniowiecznej, co pozostały żywotnemi, gdy wszystkie inne dawna niepamięć zagrzebała na zawsze. W zbiorku starożytnych Pieśni polskich, drukowanym w XVII wieku, jest Pieśń o Pannie Maryej:

O nadroższy kwiateczku, Panno panieńskiej czystości,
Marya matko Bożej miłości,
Dla smutku Twojego i dla, Panno, Twej czystości,
Napełnionaś jest, Panno, Boskiej miłości

Arjanin Czechowic w swoich Dialogach z r. 1575 wspominał o „piosnkach onych, wszem zdawna pospolitych, jako i ono: O na-

droższy kwiateczku, w której tak śpiewają: „Którą święta Trójca wyzwoliła Ciebie mieć za matkę sobie“. Że to pieśń jeszcze z XV wieku, pokazało się, gdy odnaleziono w oprawie foljantu z roku 1481 pasek pergaminowy z nutami i tekstem tym samym:

O najdroższy kwiatku Panieńskiej czystości
Marya matko Boskiej miłości
Dla twego smutku i dla twojej żałości
Napełnienaś Boskiej miłości i t. d.

Dla innych pieśni nie odszukano dotąd starszych odpisów chyba w owych Pieśniach Postnych Starożytnych, albo w dwu zbiorkach rękopiśmiennych, puławskim i kórnickim z połowy XVI wieku, np. dla długiej, bo liczącej 62 strofy „Pieśni o zmartwewstaniu Pana Jezusowem barzo nabożnej i wesołej“, zaczynającej się od zwrotki:

Nasz Zbawiciel, Pan Bóg Wszechmogący,
Jezus Krystus *Nazarański* w Trójcy,
Wstał z martwych niuie,
Uwiesielił ludzkie pokolenie.

17-tą zwrotkę (Wstałci z grobu, nie ruszył kamienia, Ni pieczęci żadnego znamienia; Stróże posnęli, Jako martwi tako popadali) przytaczał ten sam Czechowic w Dialogach: „wielkanocna ona piosnka, którą chłopstwo obżarszy się w karczmie, także żacy i baby całymi gębami śpiewają, iż też Chrystus wstał z martwych, nie ruszył kamienia, Ni pieczęci żadnego znamienia“.

Jedyny to dział w języku narodowym, uprawiany obficie już w XV wieku; gdy wszędzie indziej poezja polska jak najdalej pozostaje wtyle, już nietylko za francuską i niemiecką, ale choćby za pobratymczą czeską, w pieśniach Maryjnych i pasyjnych śmiało się może z nią mierzyć. Zasługa to księży bernardynów, acz ich polskie i łacińskie pienia nie sadziły się na kunszt poetycki a zamysł pobożny wynagradzał mdłe wysłowienie. Niedarmo też westchnął poważny Bollandysta, drukując pieśń łacińską innego błogosławionego bernardyna, Szymona z Lipnicy: jeśli święty to pieśń napisał, poetą chyba nie był. Ależ nie o poezję chodziło w pieśni, lecz jak Łopuchowski mówił:

Kto ją będzie śpiewaci
Albo pilno słuchaci,
Panie Boże, raczy mu to wszystko dać,
Co będzie u Ciebie żądać.

I przetarł się po tych pieśniach język polski, płynny, czysty, gładki, tak, że go już niewiele prześcignęła późniejsza poezja religijna; ani się chce wierzyć, że tym pieśniom zgórą czterysta lat minęło. Sprawiedliwość każe wyznać, że i na tem polu, nietylko w prozie, Polacy nieraz naśladowali czeskie wzory. Najjaskrawsze przykłady tej zależności dają teksty z pierwszej połowy wieku; np. legenda o św. Dorocie zachowała miejscami bez zmiany obcy pierwowzór, np.:

Slibujac (ślubując) bohactwa mnoho,
Zlato, kamienie droho...
Bez studu (wstydu) dziewkę związachu,
Haniebnie obnażachu,
Bieznwachu tak wielmi Jej to ciało sławne

Również w kancjonale niegdyś przeworskiego bakałarza, Jana, z r. 1435, znachodzimy wiersze napoły czeskie. Nawet wolne od takich naleciałości, z wzorów czeskich powstawały, np. kolęda:

Stalać się rzecz wielmi dziwna,
Panna syna porodziła,
Przeze wszej stradze cielestnej,
Toć jest dziwne a nowe

dosłownie powtarzała czeską; również dawna pieśń na Boże Ciało:

Witaj miły Jezu Chryste,
Tyś syn z prawej dziewki czystej,
Ty jeś za nas na krzyż wstąpił,
Swąś nas świętą krwią otkupił.

Bernardyni uwolnili pieśń polską z tej zależności i już od końca XV w. zaczyna się odmieniać stosunek. Czesi zaczynają zapożyczać się w Polsce, tłumaczą sobie i ulubili ów „Żołtarz Chrystusów", „Hejnał świta", „Ach mój smętku, ma żałości".

Mniej obfite, zato tem ciekawsze, były wiersze treści dydaktycznej. Najdawniejszy z nich, z odpisu żaków krakowskich z r. 1415 w klasztorze sieciechowskim złożonego od XV wieku, to wiersz o zachowaniu się przy stole, wykład obyczajowości światowej; podobne istniały wtedy po łacinie („Fagifacetus" t. j. jak „facet" jeść winien) i po innych językach. Autor, Słota, może sam żak krakowski — w takim razie to najwcześniejszy wkład krakowskiej Alma mater w literaturę narodową — wzywał na początku i polecał się na końcu Boskiej pomocy:

Gospodnie, daj mi to wiedzieć,
Bych mógł o tem co powiedzieć,
O chlebowem stole...
Też, miły Gospodnie mój,
Słota, grzeszny sługa twój,
Prosi za to twej miłości,
Udziel nam wszem swej radości! Amen.

Mimo tej ascetycznej obsłonki wiersz to świecki, pierwszy w Polsce, oddychał powietrzem miejskiem, krakowskiem i, co najciekawsze, służył gorąco pannom i paniom:

Przyjmicie to powiedanie,
Prze wasze cześć, panny, panie,

nie darmo:

Boć paniami stoi wiesiele,
Jego (którego) jest na świecie wiele,

wołał więc z serca całego:

Ja was chwalę, panny, panie,
(Jiż) przed wami nie lepszego nie (niema)

— nie dziwmyż to traf, że świecka literatura, jak religijna od „Bogurodzicy", zaczynała od hołdów niewieścich? Kult Maryjny i uwielbienie płci pięknej, przed innymi Słowianami cechujące Polaków, zlewały się w wierszach:

Ktokoli czci żeńską twarz (płeć),
Matko Boża, ji tym odarz,
Przyjmi ji za sługę swego,
Uchowaj grzecha śmiertnego,
I też skończenia nagłego!

Czy to było tylko platoniczne, możnaby nawet o tem powątpiewać wobec wierszy:

Czci ją (żeńską płeć), jiżby żyła z tobą,
Ktoć je chce sobie zachować,
Będą ji wszytki miłować,
I *kromie oczu* dziękować,
Boć jest korona cna pani (wedle Salomona!);
Przepaść by mu, kto ją gani.

Nie dziwmyż się więcej, że żacy krakowscy odpisywali wzory rozmów miłosnych i składali wiersze łacińskie na cześć swych bogdanek. Główna treść wiersza odnosiła się zresztą do karności

stołowej, zaczynała od podawania wody na ręce, nie było bowiem jeszcze widelców i do misy sięgało się palcami, a kończyła przestrogą co do małych kęsów i napominaniem uważnego słuchania „dobrej mowy". Całość wykazywała już kulturę, pewną delikatność obejścia, i choć w tem nie było poezji, a zato jeszcze wiele rubaszności, wiersz ten uczył, jakimi będą Polacy.

Inne dydaktyczne wiersze są silniej przejęte religijnym nastrojem na temat: *memento mori*. Jeden, abecadłowy, doczekał się nadzwyczajnej popularności: to skarga umierającego, gdy dusza z ciałem się rozstaje, a odzywają się wyrzuty zmarnowanego życia na świeckie rzeczy, znana z początku XV wieku i w XVI powszechnie:

Ach mój smętku, ma żałości!
Nie mogę się dowiedzieci,
Gdzie mam pirwy nocleg mieci,
Gdy dusza z ciała wyleci,

przez całe abecadło, z strofy jednej raz Zygmunt August cytował:

Gdzie ma siła, ma robota?
Głupiem robił po ty lata,
Pięć miar płótna, ośm stóp w grobie,
Tom tylo urobił sobie;

wcześnie ktoś dodał odpowiedź na owe pierwsze pytanie o noclegu:

Dusza z ciała wyleciała,
Na zielonej łące stała,
Stawszy rzewno zapłakała,
Przyszedł święty Piotr arzkący;

dziś jeszcze śpiewają dziady o tej duszy na zielonej łące, jak niemal przed pięciuset laty; łąkę tę zna i niemiecka tradycja ludowa. I tę pieśń Czesi wcześnie przetłumaczyli a żyje ona u nas do dziś.

Najdłuższy i najudatniejszy zarazem poemat (490 wierszy) rozszerzał temat łacińskiego traktatu o śmierci, w którym mistrz Polikarp oglądał Śmierć na własne oczy i ochłonąwszy z przerażenia rozprawiał z nią o jej wszechmocy i grozie. Autor, Polak, bliżej nieznany, może ten sam, co wyłożył i legendę o św. Aleksym, w pierwszej połowie XV wieku, zaczął od wezwania:

Gospodzinie wszechmogący,
Nad wszytko stworzenie więczszy,
Pomoży mi działo złożyć
Ku Twej fały rozmnożeniu,

Ku ludzkiemu polepszeniu.
Wszytcy ludzie posłuchajcie,
Okrutność śmierci poznajcie...
Przykład o tem chcę powiedzieć.

Dalej rozprawiał, skąd się zjawiła śmierć na świecie, jak wszystkich morzy, wojewody i czestniki, bądź książęta albo grabie, aż do najniższych:

Karczmarze złe piwa dają,
Nie często mnie wspominają;
Jako swe miechy natkają,
Wtenczas mą kosę poznają:
Kiedy nawiedzą mą szkołę,
Będę im lać w gardło smołę...
Kanonicy i proboszcze,
Będą w mojej szkole jeszcze,
I plebani z miąszą (grubą) szyją,
Jiż to barzo piwo pija...
Szlachcie bierzę szypy, tulce,
Ostawiam w jenej koszulce...
Stoić mi za mało papież,
I naliszszy żebrak takież,
Kardynały i biskupy,
Zadam jim wielikie łupy...
Wszytki mnichy i opaty
Posiekę przeze zapłaty.

Dobrzy mnisi jednak mnie się nie boją; oni światem, a świat wzgardził nimi;

Ale gdy przyjdzie dzień sądny,
Gdzie się nie ukryje żadny,
Uźrzą mądrzy tego świata,
Jiż dobra boska otpłata;

inaczej ze złymi mnichami; następuje drastyczny opis złego mnicha, co ma lichy zakon, z niego ucieka, — rzecz nierzadka przy nadchodzącem rozluźnieniu karności kościelnej:

Kto chce czynić co na świecie,
Zły mnich we wszystko się miece;
Jestli wsiędzie na szkapicę,
Wetknie zanadra kapicę,
Zawodem na koniu wraca,
Często kozielce przewraca.
Kiedy mnich na koniu skacze,
Nie weźrzałby na kołacze;

Umaże się jako wiła (błazen),
Wżdy mu ta rzecz bardzo miła...
Niedba, iż go kijem biją,
Zawód biega, skaziw szyję,
A drugdy mu zbiją plece...
Dam ji czartu na ofiarę.

Autor, zdaje się, był zakonnikiem, może to benedyktyn z Sieciechowa, bo najszczegółowiej zajmuje się przeorem-infułatem:

Z opata zejmę kapicę,
Dam komu na nogawicę;
Z skaplerza będą pilśnianki;
Suknia pachołkom na lanki (koszule);
Odejmę mu torłop (futro) kuni.
A niewiem, gdzie się okuni;
Odejmę mu kożuch lisi,
I płaszcz, co mu nazbyt wisi;
Koniecznie zejmę infułę
I dam za szyję poczpułę (uderzenie).

Tekst poematu przerywa się na wysławianiu czystych pań, sławnych męczenniczek; acz silnie skrócony, dostał się i na Ruś w następnym wieku i wobec jedynego polskiego, posiadamy trzy ruskie odpisy. Tak to wyglądała „poezja“ polska pierwszej połowy XV wieku: ze znakomitych początków bo i Rej niezawszeby gładziej się wysłowił, ani szczegółów przedstawił drastyczniej mogła się wyłonić bezpiecznie rodzima poezja. Nie przyszło do tego, zwyciężyły wrodzona gnuśność, niedbalstwo i łacina, gdy wołano do jej morza wody przylewać. Z drugiej połowy wieku możnaby przytoczyć wiersze mniemanego „Sandomierzanina“, raczej bernardyńskie, tego samego kaznodziei, co ułożył i wiersz o Dziesięcioro (może bł. Władysława z Gielniowa); jego modlitwom przypisywano cudowne ocalenie Polski od grożącego napadu tureckiego po klęsce Olbrachtowej; on też ułożył krótką łacińską antyfonę przeciw „poganom“.

Wiersz pierwszy ułożony całkiem na sposób kazania (jak i owe Dziesięcioro), gdyż przytacza się siedem słów Chrystusa na krzyżu i stosownie je objaśnia, jako wzór dla nas, np. trzecie:

Zasmęconą matkę swoję
W trzeciem słowie pocieszył ją,
Miasto siebie Jana jej dał,
Aby ją tamo opatrzał.

Nierównoś Chryste przemieniał,
Za króląś jej rybitwę dał;
Miecz boleści ją przenikał,
Jak Symeon prorokował.
Synom i dziewkam przykład dał,
Gdy swej matki nie zapomniał,
By swą matkę, oćca czcili,
Zawżdy jim dobrze czynili.

Pomysł o bolesnej, upokarzającej odmianie, za króla (Chrystusa) rybaka (apostoła Jana), dawny, np. w pasyjnem kazaniu sławnego Gersona, kanclerza paryskiego, którego dzieła bardzo w Polsce popłacały, i u innych, *locus communis* kaznodziejów XV wieku. Podobieństwo z wierszami Dziesięciorga wynika nawet z poszczególnych zwrotów, np. dał Chrystus naukę,

By braci każdy odpuszczał,
Gniew, mierziączkę i złe sierce,
By nie wszedł w piekielne mieśćce.

(por. wyżej: *By nie wszedł w piekielne łkanie* „Dziesięciorga"). Po wyłożeniu słów następuje przykład, *exemplum*, nieodzowny dla średniowiecznego kaznodziei, o złym „kostarzu" w Budzinie, jak go porwał djabeł za bluźnierstwo. W drugiej pieśni więcej przykładów, o tem, jak Bóg ludzi karze głodem, morem, „krwie rozlaniem" z historji starożytnej, żydowskiej, polskiej:

W Sędomirzu, co się stało!
Tatary, płaczliwe działo!
Tak ludzi wiele pobili,
Wisłę trupy zastawili.
Dziatki w wodzie z krwią pławili;

czegoś podobnego obawiano się ponownie w Polsce roku 1498, ale Bóg się zlitował i klęskę obrócił na „pogan". Wyraźnie jednak zaznaczono w tekście pieśni, że te „figury" można opuszczać, jak i przy kazaniu opuszczano je lub dodawano. Może to więc jedyne ocalałe kazanie wierszowane bł. Władysława; wspominał o podobnych wyraźnie na początku XVI wieku ks. Fabjan Orzeszkowski (w łacińskim wierszu na żywot Błogosławionego: „napisał on bardzo wiele kazań świątecznych, wydał je na święta i niedziele *w metrum i wierszu*, i czytałem je, gdym był w szkole Pabianickiej"; wierszami kazania prawiono na Zachodzie jeszcze i w XVII wieku).

Tem mniej przechowało się świeckich wierszy, choć było ich wiele, ale krótkich. Każde zdarzenie, ogólnodziejowe czy lokalne,

wywoływało ballady czy pieśni: o grunwaldzkiej i warneńskiej tak samo, jak o zbóju Krzysztofie Szafrańcu z Pieskowej Skały, którego ścięto roku 1482, „śpiewają tam jeszcze około Szczercowa chłopi po wsi pieśń staroświecką o nim“, prawi Joachim Bielski w kronice w stodziesięć lat później. Pamięć ludowa jest bardzo konserwatywna, przecież i za czasów Długosza śpiewał lud o śmierci Ludgardy, żony Przemysłowej (zmarłej r. 1283), a nawet o zawichoskiem zwycięstwie nad Romanem halickim, z roku 1205. Z tych pieśni nic się nie zachowało; jeden kopista przytacza pieśń grunwaldzką po łacinie, dalej miał wypisać polską, ale ją opuścił! Z niej albo z kilku ocalało kilka takich wierszy:

Hej Polanie! z Bogiem na nie,
Już nam Litwy nie dostanie (po jej ucieczce);

albo u Stryjkowskiego:

Witold idzie po ulicy,
Przy nim niosą dwie szablicy;

tenże przytacza i z jakiejś (tureckiej) staroświeckiej:

Byli nasi (Turkom) groźni kiedyś,
A cóż potem, kiedy nie dziś?

Roku 1422 zeznawał biskup Łaskarz, że przed czterdziestu laty słyszał pieśń, gdzie twierdzono: „królu Kaźmierzu, wtedy dostąpisz pokoju z „Krzyżowniki“, kiedy Gdańsk twoim będzie“. Z tych wszystkich „pieśni historycznych“ trafem ocalała jedna, o zabiciu Andrzeja Tęczyńskiego w Krakowie przez rozsrożonych mieszczan roku 1461, znamienna przez nienawiść, jaką dyszał autor-szlachcic przeciw „chłopom“-krakowianom:

Kłamacie chłopi jako psi, byście tacy byli,
Nie stoicie wszytcy za jeden palec jego;
Mnimaliście chłopi, by tego nie pomszczono?
Jużci jich sześć sieczono, jeszcze na tem mało.

Obok historycznych lubował się naród szlachecki w wierszach satyrycznych. Tak roku 1443 napisano w karczmie wiersze satyryczne na księdza i wywieszono je w kościele; roku 1483 urządził się ksiądz wygodniej, chcąc się zemścić na panu Strzeleckim, śpiewał: Chrystus zmartwychwstał jest, Strzelecki zdrajca jest, Kirieełejson; nawet w „Bogurodzicę“ wstawiano słowa szydercze. Znamy z końca wieku zacnego szlachcica, który się bawił tem rzemiosłem

poetyckiem; być może, że z pod pióra p. Ścibora wyszła satyra na chłopów, którą długo pamiętano i jeszcze po całym wieku rozszerzano:

Chytrze bydlą z pany kmiecie,
Wiele się w jich siercu plecie;
Gdy dzień panu robić mają,
Częstokroć odpoczywają.
A robią silno obłudnie,
Ledwo wyńdą pod południe,
A na drodze postawają,
Rzkomo pługi oprawiają.

Byłyż to jeszcze święte czasy, kiedy chłop panu tylko dzień (w tygodniu) robił i nie obawiał się ekonomskiego bizuna. Wierszami mścił się kopista nad nudną a ciężką pracą, np. Lutosław z Chrościechowa roku 1414 w Krakowie dopisał do teologicznego traktatu:

Kapłanie, chcesz polepszyć dusze swej,
Niemów często: piwa nalej!
Boć piwo jest dziwny olej
(Pozbawia wołów i rolej, dodawano później),
Więce z nich kłamają chłopi,
Arzkąc: szaleni są popi.

Miłosnych i ludowych nie zachowało się prawie nic, prócz kilku początków („Świątki lecie"; o słowiku), i urywków, np.:

Ach miłość, coś mi wczyniła,
Eżeś mnie tak oślepiła,
Eżeśm się na miłość podał,
Bych nikogo na świecie znał,

albo:

Miłuj miła, miłuj wiernie,
Miej go w sercu zawżdy pewnie:
Wiernie mienim! nieprzemienim;
Kto to wzdruszy,
Dyabeł bądź pan jego duszy.

Takiemi to zasobami rozporządzała nie proza, lecz poezja narodowa: bo i w Polsce, jak w całej Europie, narodowe literatury średniowieczne stały wierszem, nie prozą. Wszechwładne panowanie łaciny w literaturze, w kazaniu, traktacie i mowie, w liście, aktach, kronikach, nie wydaje jednak, tylko ukrywa stan istotny. Język narodowy nie wciskał się do literatury, zajmował w niej szary koniec, chociaż w życiu było odwrotnie. Wystarczał temu

życiu, jego kuchennym potrzebom; kto wyżej się gałduchem, zażywał łaciny, języka nietylko towarzyskiego poloru, jak francuszczyzna XVIII wieku, lecz istotnej wiedzy, a tak bywało nietylko w Polsce, gdzie słowiański brak ruchliwości i ambicji, słał drogę zawsze każdej cudzoziemczyźnie, lecz i w krajach ościennych. Zupełnem upośledzeniem języka narodowego w literaturze Polska przypomina sąsiednie i pod tylu innemi względami nader, niestety, pokrewne Węgry; nie należy jednak zapominać, że i w krajach starszej kultury, u Czechów, Niemców, Francuzów, wiek XV to wiek zastoju i upadku literatur narodowych, to wiek blasku i siły nauki i języka naukowego, łaciny; nigdy ona nie święciła większych triumfów, a koszty ponosiły literatury narodowe. I zdawało się panowanie łaciny ugruntowane na zawsze. Trzeba było nowego hasła, aby ocucić głęboko uśpione księżniczki literatur rodzimych.

ROZDZIAŁ TRZECI.

WIEK ZYGMUNTA STAREGO. PRZEWAGA ŁACINY.

Państwo i społeczeństwo; spolszczenie mieszczaństwa; obce żywioły etnograficzne; Ruś i Litwa; ich polszczenie. Literatura łacińska; uniwersytet; humanizm; poeci: Krzycki, Janicjusz; historycy; politycy. Literatura narodowa, rękopiśmienna i drukowana; Biernat z Lublina, Rej; jego dialogi i psałterz. Śmierć Zygmunta Starego.

Narody stoją oświatą, państwa siłą, lecz obie niezawsze chodzą w parze. Polska Zygmuntowska rosła w bogactwa umysłowe, aż do podziwu i zazdrości ościennym narodom, lecz słabła jej więź państwowa. Jakież zasoby wniosła Polska ze średniowiecza w wiek XVI-ty?

Gdy rządy monarchiczne państw ościennych wzbierały w coraz nowe siły, Polsce na cały jej dalszy pochód dziejowy musiał starczyć ów kapitał, uzbierany za Piastów, powiększony za Jagiellonów. W XV wieku przedstawiał się imponująco. Zwróciły się oczy i umysły ku tej Polsce: witano w niej wcześnie sprzymierzeńca przeciw Turkom; proroctwa i widzenia opiewały sławę białego orła, który z Konstantynopola miał spędzić niewiernych, z Pragi kacerzy i wieczysty pokój zapewnić ludzkości.

Szpony orła wcześnie stępiały. Klęski, warneńska i bukowińska, unicestwiły plany tureckie; długa wojna pruska i wojna z Maciejem świadczyły o niegotowości do bojów, o ociąganiu się szlachty od jedynego jej obowiązku, o powolnem ale statecznem jej gnuśnieniu. Łudzono się, że da się utrzymać podział między

wschodnią a zachodnią Rusią; poświęcono Nowogród i Psków; przymknięto oczy na niebezpieczeństwo groźne a jawne od Moskwy, skoro z Moskwy wychodziło hasło do zbierania wszystkich ruskich „ziem ojczystych". Półwiekowe niemal rządy Zygmunta Starego, pana łagodnego, ludzkiego, rozjemcy między europejskimi monarchami, przyniosły błogi pokój, ale okupiły go zbyt drogo, bo naród zgnuśniał do szczętu, i zrzeczono się nabytków i widoków wielkopaństwowej polityki. Węgry i Czechy oddano Habsburgom, ześwieczczone Prusy otrzymał Albrecht, przed Moskwą broniono się niedbale, chociaż, kto stracił Smoleńsk, również nie mógł być pewnym Połocka i Kijowa. Schodziła więc już Polska z dominującego stanowiska na Wschodzie; ale świetne pozory jeszcze trwały. Bezwładność nazewnątrz tłumaczyły stosunki wewnętrzne. Szlachta, już nie samo możnowładztwo, dobiła się rozstrzygającego znaczenia i wyzyskała je na zduszenie chłopa, usunięcie mieszczaństwa od rządu i rady, ograniczenie króla; kończył się proces wiekowy, rozpoczęty koszyckiemi paktami z Ludwikiem i krakowskiemi z Jagiełłą. Wyjątkowe wolności zapewniła sobie szlachta wszechstronnie; przykuła chłopa do ziemi, do robót i coraz cięższych danin; mieszczaninowi zabroniła posiadania ziemi, wejścia do wyższych dostojeństw (duchownych, o świeckich nie było i tak nigdy mowy), i przygotowywała na jego doszczętny upadek osobne ustawodawstwo cłowe; królowi, w obawie przed absolutycznemi zachciankami, wytrąciła oręż z ręki, nie pełniąc służby wojennej, a nie dozwalając stosownych poborów na stałe wojsko — stałe dochody polskie, śmiano się później, starczyłyby właśnie na cyrulików dla wielkiej armji; silniejsi zapewniali sobie bezkarność mordów i łupiestw wobec zwłoki i niemocy sprawiedliwości. Już za Zygmunta wykluwało się to wszystko; już szlachta odrzucała jednomyślną ustawę sejmową, a król ją za to tylko łagodnie strofował.

Narazie wszystko używało złotego pokoju, który miał przedłużyć syn Zygmuntów jeszcze na ćwierć wieku. I odmieniła się znowu Polska a najbardziej szlachta, gorączkowo oddająca się gospodarce, coraz intratniejszej wobec pańszczyźnianej pracy i zbytu gdańskiego czy wrocławskiego. Dawniej ani nadążyć nie mogła za mieszczanami, teraz prześcignęła ich i przyćmiła bogactwami, polorem, kulturą, jak ich wyprzedziła już dawno znaczeniem i siłą w rządzie. I mściło się na mieszczaństwie egoistyczne zasklepienie w materjalnych korzyściach, usuwanie się od spraw ogólnych, obce pierwotne pochodzenie.

To zatarło się już zupełnie, i za Zygmunta Starego znikały jego ostatnie ślady z miast i klasztorów. Proces zaczął się zaraz w pierwszych latach zjawiania się niemieckich przybyszów, skoro się żenili z Polkami, mimo to przetrwał dwa wieki. Żywioł niemiecki zasilali bowiem coraz nowi goście, nadciągający nietylko ze Śląska, ale nawet z Frankonji, Szwajcarji i Alzacji. Nic bardziej pouczającego, jak opis Decjusza, jak to w ciągu XV wieku jeden alzacki Wissenburg przenosił się do Krakowa w osobie Betmanów, Schilingów, Hersteinów, Decjuszów, Szmalców, Lemboków. Żywioł ten wzmacniała autonomja, wymagająca języka niemieckiego, i związki zagraniczne. Rozwielmożnił się więc obcy język w Krakowie i po innych miastach, nawet miejscami po wsiach, a trwałą siedzibę uzyskał po cechach, kramach i ławach; w życiu codziennem ustępował zczasem polskiemu. W połowie XV wieku nawet w Krakowie zaznaczył się stanowczy przełom. W protokółach o cudach różnych świętych, gdzie mieszczanie zeznają, ci wszyscy Kopperschmider, Frischwoter i t. d., mimo niemieckich nazwisk zeznają już tylko po polsku, a wyjątkowo zapisuje protokół np. *mulier in toto teutonica* (kobieta całkiem Niemka), albo np. roku 1455 piekarz krakowski Szczepan „Niemiec całkowicie“. Na początku XVI wieku wieje już wiatr przeciwny. W samem mieszczaństwie, szczególniej niższem, rośnie niechęć przeciw Niemcom; już się nie rozmówi rodowity Niemiec na rynku i wszystko przepłaca, już Niemców uważają gorzej, niż Żydów, a w niechęci tej przodują sami „Germanopoloni“ albo *polonicati Germani;* przeniesienie niemieckiego kaznodziei z fary roku 1536 było niby oficjalnem uznaniem faktu dawno dokonanego.

Lecz z mową niemiecką po aktach i kazalnicach, z przybyszami Niemcami, których teraz zastępują coraz bardziej Włosi, nie niknęły z miast pomniki kultury niemieckiej, strzelisty gotyk ich tumów, ratuszów, sukiennic, ich snycerstwo i malarstwo, święcące w sztuce Wita Stwosza i w malaturach kodeksu Behema największe triumfy, urządzenia cechów, gildyj i miast, ich zabawy i zwyczaje, czębry zapustowe, kurki świąteczne (strzelanie), koniki (później zwierzynieckie), rozmaite śmigusy i dyngusy, cechowe burkaty. A już najmniej język pozbywał się obcych przymieszek. Właśnie na przełomie obu wieków zakorzeniły się na zawsze najpospolitsze niemieckie wyrazy zamiast dawnych słowiańskich, np. *los* zamiast *żrzebia* i t. p.; słowo już raz dawniej przyjęte, przyjmowano ponownie, np. *dank* obok *dzięku, helm* obok *szłomu;* urabiano na modłę niemiecką własne,

np. *gajono* sądy, albo prawiono o *pokoju* = izbie i *sklepie* = kramie. A nietylko w ustach mieszczan pojawiały się słowa cudze lub własne zmienione; przez kolonistów sięgały one i do chłopa, i śmiano się później z *gasy, tatynku* (sporu) i *wardegi* (dobytku) mazurskiej; używała ich również i szlachta, dumna ze swych *buntów,* wywołująca obcego *obermana* (jednacza) i *tadynkująca* (spierająca się) po sejmach. Narazie nie ginęła ani znajomość niemczyzny, ani niemiecka książka, chociaż krakowscy drukarze już jej nie wybijali; w dwudziestych i trzydziestych latach drukowano słowniczki i inne najpopularniejsze książeczki (wiersze obyczajowe Katonowe, Dobrego zdrowia rządzenie) z tekstem polskim i niemieckim. W rzemiosłach nigdy niemczyzny nie wykorzeniono: słownictwo cechowe zalane nią całe, a wystarczy wziąć jakikolwiek inwentarz, jeszcze z XVII wieku, aby się o tem przekonać; opieszałość słowiańska zadowalała się przejmowaniem obcego, byle gotowego a tak samo język cechowy czeski obfitował w niezliczone słowa najgrubszej niemczyzny. Sam żywioł niemiecki uporniej tylko miejscami się trzymał, np. w Wilnie, pod wpływem stosunkowo bliskiego Królewca i Rygi, gdzie dotrwał do połowy XVII wieku: niemieccy nauczyciele, predykanci, „szpek augsburski", drukarze „zur Wilda", jeszcze długo spierali się z Jezuitami i z ich uczniami.

Rozluźniały się średniowieczne węzły nietylko z Niemcami, ale i z Węgrami. Węzły węgiersko-polskie, zadzierzgnięte jeszcze w X wieku, zacieśniły się w XV za Jagiellonów na tronie węgierskim, gdy Polacy bawili u biskupów i gubernatorów węgierskich, jak Lasocki, dyplomata Jana Hunjadego, Grzegorz z Sanoka, który uczył jego synów, Marcin Bylica z Olkusza, lekarz Macieja Hunjadego; odwrotnie węgierscy scholarowie zasilali bursy i lektorja krakowskie. Stosunek obopólny przetrwał początek XVI wieku; mistrzowie krakowscy przenosili się do Węgier i wracali do Polski, korzystając z opieki możnych Turzonów. Dawną spólność podtrzymywały stosunki z Zapolją, później z Batorym. Wybijano w Krakowie nader popularne dziełka Węgra Hontera (senjora bursy węgierskiej przy ulicy Brackiej), gramatykę łacińską i kosmografję, dalej i najstarsze druki węgierskie; mimo to rychło zmniejszała się ilość studentów węgierskich, obniżało się znaczenie Krakowa dla Węgier. Węgrzy przywozili swe wina, udzielali ubiorów, sług (hajduków), piechoty, jej musztry i uzbrojenia — wzamian z Polski wywozili już tylko złoto, nie naukę, jak dawniej.

Żydowstwo zato rozsiadało się coraz gęściej i porastało

w skarby. Nie pomagały przedstawienia mieszczan, skarżących się na intruzów od XIV wieku, nie pomagała wymowa Kapistrana i duchownych: „niewierni“ znachodzili zawsze gorących opiekunów między świeckimi dostojnikami, choćby u Kalimacha. Wpływy ich wzrastały. Już pod r. 1516 zapisał Decjusz skargę, powtarzaną odtąd tylokrotnie, a bezskutecznie, jak wszystkie inne skargi: niema myta ani cła, któregoby nie dzierżeli, niema już prawie żadnego możnowładcy i dostojnika, któryby nie powierzał Żydowi zarządu domowego, nie pozwalał przewodzić Żydom nad chrześcijanami i ich nie obraniał, rychlej niż chrześcijan, przed krzywdą choćby zmyśloną; później dodawano skargi na Żydów-lekarzy, Żydów-rzemieślników, Żydów-dzierżawców. Uważało się ich w Polsce za spółobywateli, wedle wyraźnych słów królewskich, nie tak, jak w innych krajach; nie dziw więc, że się nietylko organizowali, ale między nimi pojawiały się i wyższe dążenia umysłowe, i ci sami Żydzi polscy, uchodzący w XV wieku jeszcze za nieuków, żyjących okruchami wiedzy Żydów zachodnich, uczyli się teraz, drukowali (w Krakowie i Lublinie), ich rabini nabierali największej powagi między swoimi a sława ich niezrównanej dialektyki niebawem rozszerzała się na Zachodzie. Z pism Izaka z Trok, ówczesnego Żyda litewskiego, encyklopedyści francuscy czerpali w XVIII wieku najjadowitsze strzały przeciw chrześcijaństwu. Szereg pisarzy polsko-żydowskich z tego wieku jest znaczny; pisali wyłącznie po hebrajsku — wyjątkowo doszło nas pismo polskie rabina Jakóba z Bełżyc; zjawia się nawet autorka-Żydówka, wcześniej więc niż Polka (rodem z Tykocina).

Obok Żydów wyliczano wtedy Ormian, kupców, przebiegających kraj, osiadłych w kolonjach, np. we Lwowie, podejrzywanych o konszachty z Turkiem. Wyrosła z nich klasa zamożna, po przyjęciu unji (r. 1629) zaczęli się zlewać z Polakami zupełnie i do drugiej połowy XVII wieku, mianowicie zaś w XVIII (Minasowicze, Muratowicze, Piramowicze i t. d.) wystąpili, jako pożyteczni pracownicy na polu literatury, cierpiący tylko na słabość przywłaszczania sobie dawniejszych znakomitości, choć wychodziły nie z ich łona, np. Szymonowica.

Pominąwszy te nieliczne odłamki innych narodów, które, prócz Żydów, wsiąknęły w masę etnograficzną polską całkowicie, pominąwszy litewskich tatarów, którzy po wiekach również się zasymilowali, i cyganów, dzikich dziś jak i niegdyś, stosunek do Rusi i Litwy rozstrzygał o dalszym rozwoju rasy, obyczaju, języka.

a więc i literatury polskiej. W różnych dzielnicach ruskich i litewskich stosunek ten układał się odmiennie. Na Rusi polskiej niebawem zadokumentowała się przewaga polskiego żywiołu. Emigracja i rozrost polskiej szlachty, wielkiej i drobnej, niemieckiego mieszczaństwa, polonizującego się niebawem, dwory, sądy i szkoły odruszczyły niebawem ziemię przemyską, lwowską, halicką, bełską. Kolonizacja polska sięgnęła niebawem nawet na Wołyń i Podole; z wyjątkiem niektórych rodów ruska szlachta polszczyła się, podczas gdy polska wyższa w kulturze strawiała domieszkę krwi ruskiej. Tylko lud i niższe duchowieństwo, po wsiach i miastach (w Przemyślu, Lwowie), zostawały i nadal przy prawosławiu; obrządek strzegł ich od wynarodowienia. Litwa dzieliła się na właściwą, etnograficznie odrębną, która z Jagiełłą przyjęła katolicyzm, i na rozleglejszą ruską, prawosławną. Litwini katoliccy, głównie na niedostępnej Żmudzi, pozostali do dziś Litwinami, podczas gdy Wilno z okolicami spolszczyło się wcześnie. Wszystkie rody litewskie katolickie, Gasztołdowie, Giedrojcie, były polskiemi już w drugiem pokoleniu, była ich w XV wieku spora liczba na uniwersytecie, jeden wliczał się w szereg świętych polskich, przechodzili te same koleje, co i ród królewski. Na Rusi litewskiej z początku szły rzeczy odmiennym torem. Sanguszkowie, Ostrogscy, Sapiehowie, Czartoryscy pozostawali narazie przy obrządku wschodnim, jak i niektórzy Giedyminowicze, inni nawet rzucali Litwę dla Rusi moskiewskiej (Glińscy, Bielscy, Golicyni i inni), pociągającej ich obrządkiem, nie odstraszającej — przed Groźnym — samodzierżstwem. Ale i wierni wschodniemu obrządkowi nawykali polszczyźnie nie gorzej, jak tamci; w wieku XVI Gasztołd, Radziwiłł, Kiszka i Sapieha władali polszczyzną w piśmie i mowie, jak Tarnowscy i Tęczyńscy; zdradzało jedynie Ruś od czasu do czasu, trafnie użyte, ruskie słowo lub przysłowie. Z końcem XV wieku zaczynał się wpływ języka i literatury polskiej na ruską i drogą pokojową. Bez cienia przymusu polszczyzna zdobywała obszerne dzielnice, daleko poza własnemi etnograficznemi granicami, lecz tylko w warstwach wyższych, kulturalnych. Najpierw na Białej Rusi zaczęli tłumaczyć Rusini dzieła polskie, zaciekawiające ich silniej, niezwykłe legendy (o Trzech Królach), Mękę Pańską, zebraną z ewangelistów i rozszerzoną dodatkami o Piłacie, Weronice, ewangelję Nikodemową, nieznaną Grekom. Ich język ulega wcześnie polskiemu zabarwieniu, występującemu silniej w języku urzędowym i u pisarzów czy tłumaczów, jak Skoryna, pierwszy doktór-Rusin. Od Krakowa biło światło na

Ruś daleką. Nie udała się tylko próba dostarczania Rusi z nad Wisły liturgicznych ksiąg słowiańskich, gdyż cyrylickie druki i drukarnia Swajpolda Fiola, czynna w roku 1491 i 1492, niebawem uległy zakazowi duchowieństwa, gdyż średniowieczny katolicyzm, nadto podejrzliwy, przeszkadzał w Krakowie uczeniu się greczyzny, jako czemuś podejrzanemu i stawiał się ostro, przez teologa krakowskiego Jana Sakrana, przeciw ruskim „błędom". Mimo szranków wyznaniowych obyczaj i język polski przeciskał się coraz energiczniej na tę Ruś. Mimo urzędowego ruskiego charakteru w sądach i kancelarjach, sam przykład dworu, zjazdy ruskich i polskich panów, towarzystwo broni wytwarzało polską atmosferę. Odosobnione protesty nie zmieniały naturalnego biegu, a widoczna korzyść, przywileje szlachty polskiej, jej oświata i kultura uśmiechały się litewskiemu możnowładztwu, przerzedzały prawosławne szeregi, niepodtrzymywane duchownemi wysiłkami, wobec absolutnego braku wykształconego duchowieństwa, szkół i ksiąg ruskich, wobec idącego z nim w parze rozluźnienia karności cerkiewnej, przybierającego nieraz potworne rozmiary. Patrjarchat nie wglądał w sprawy ruskiej cerkwi. Pozostawiona sobie żyła dawną tradycją, głębokiem przywiązaniem niższych warstw, katolicką obojętnością: prób unji, t. j. uznania pewnej odrębności ruskiej cerkwi, nie popierał właśnie episkopat polski, liczący milczkiem na bliskie zupełne zhołdowanie „schizmy" przez katolicyzm; antyruska broszura Sakrana, przeciw której protestował później Orzechowski, wyszła z poduszczenia biskupiego.

Zwycięskiemu pochodowi na Wschód polskiej umysłowości nie odpowiadał jednak jeszcze wcale rozrost literatury narodowej na własnym gruncie. Czasy Zygmunta Starego cechuje rozdwojenie literatury, rozdarcie gorsze o wiele, niż w wieku XV. Tam literaturę łacińską i polską przenikał jeden duch, jeden autor pisywał w obu językach, a polski tylko ustępował co do liczby utworów. Teraz literatura zacofana, w języku narodowym żyje średniowieczyzną, wiekiem XIV i XV, nie dopędza myśli nowożytnej, nie dostraja się do niej. Literatura łacińska kroczy z Zachodem. Wykształcony Polak chlubił się nauką włoską, stosunkiem z boskim Erazmem Roterdamskim — „z czerwonej groblej" przezywał go tłumacz polski — z Melanchtonem czy z kardynałem Bembo; zapominał o istnieniu polskiego języka, przynajmniej na piśmie nie używał go nigdy, a jeżeli już wypadało pisać po polsku, brano do tego nieuka. Kancelarje królewskie i biskupie korespondowały po polsku

chyba z wojewodą wołoskim. W sądzie panowała również łacina; liczne, coraz lepsze szkoły umożliwiały jej nabycie nawet warstwom niższym; pierwszem, nieraz wyłącznem zadaniem szkoły pozostała łacina. Nie dziwi więc sąd Decjusza: „Polacy umieją po łacinie wszyscy, a poszło to stąd, że w narodowym języku żadnych pism czy dzieł pamięci nie przekazano“; jeszcze w pół wieku później twierdził niegdyś mieszczanin biecki, teraz dostojnik kościoła polskiego, że „uczą się Polacy chętnie łaciny dla obrządku i urzędu kościelnego i dla utartego oddawna zwyczaju używania łaciny tak po prywatnych pismach i listach, jak w publicznych aktach, dyplomach, mandatach, dekretach królewskich, urzędowych i sądowych; zwyczaj ten i teraz, acz nieco w mniejszych rozmiarach się zachowuje, gdyż język nasz ani tak obfity jak inne, ani łatwy do czytania i pisania“. Kromer pomieszał tu tylko skutek i przyczynę i wraz z Decjuszem zapomniał, że wprawdzie w XV wieku znajomość ta była ogólna, ale tylko między duchowieństwem, że świeccy ludzie starej daty, nawet kanclerz państwa za Zygmunta Starego, wymawiali się niebiegłością w łacinie. Tak wybitnej osobistości, jak głowie różnowierców, Stanisławowi Szafrańcowi, oddawał Rej jeszcze 1559 roku przekład listów Vergeriuszowych, „iż w łacińskim języku snadź prawego bezpieczeństwa niemasz“. Później już tylko wyjątkowo znachodzili się obrońcy języka polskiego. Izdbieński, biskup poznański, gniewał się na Zebrzydowskiego o list polski roku 1549, a gdy Hozjusz strofował Uchańskiego, który raz do niego po polsku list napisał, że nie w „katolickim“ języku się odezwał, ten wystawił „niemowlęctwo własne w łacinie“, jako przyczynę tego i dodał: „chociaż pospolitego języka ojczyzny naszej używam, przecież zawsze po katolicku, t. j. szczerze i poufale pisać będę“. Tenże Uchański pisał z przekąsem do kapituły gnieźnieńskiej: „kilkakroć piszę o jedną rzecz, a jako widzę, próżno, podobno przeto, że prosto po łacinie, jako ten ksiądz, który we Włoszech nie bywał; teraz po polsku piszę, abych się dał lepiej rozumieć, jako częściej tym naszym domowym językiem mawiam, a podobno też i wy wszytcy takież, luboście tam bywali (we Włoszech), gdzie ja nie najrzał“, Napisać do kogoś list po polsku, znaczyło posądzać go o brak elementarnego wykształcenia, i należało się usprawiedliwiać, jak to czynił np. Andrzej Glaber, dedykując Kmicie listem polskim polski przekład psałterza roku 1539.

Tym sposobem w Polsce Zygmuntowskiej łacina zajęła stanowisko, jakiego bynajmniej nie miała w wieku XVI; pomimo pozorów, została

teraz językiem sfer wyższych, wiedzy i poloru. U Czechów lub Węgrów spółcześnie panowały te same stosunki, i humanista czeski nie spospolitowałby swego pióra utworem czeskim, a przecież Czesi mieli o wiele więcej przyczyn trwożyć się o własny język, niż Polacy. Dlatego to wykształceni synowie miejscy i wiejscy, Jan z Wiślicy, Klemens (Janicjusz) z pod Żnina, Mikołaj z Husowa, unikali języka polskiego, którego się trzymali szlachta-nieucy, jak Szafraniec, Rej lub Uchański; tylko łacina polecała ich mecenasom, Ciołkom, Krzyckim, dawała im wstęp i patent do kościoła, do Włoch, do sfer wyższych.

Wszechwładza łaciny opierała się na szkołach i na ich macierzy duchowej, na studjum krakowskiem. Jednak powaga tego studjum, jego znaczenie i działalność, słabły widocznie. Już za Zygmunta Starego następuje przełom, stanowcze pochylenie się ku ruinie. Spada znaczniej liczba obcych słuchaczy, Węgrzy i Niemcy zjawiają się niebawem już tylko wyjątkowo, szlachta niemal ostentacyjnie mija jej progi, porzucają ją zdatniejsi nauczyciele, skoro się im los jakiś gdzie indziej uśmiechnie. Nie zasługa i praca posuwa na katedry, lecz wiek i starszeństwo. Uniwersytet, niedawno jeszcze zakład europejski, nęcący przychodniów z Szwajcarji (Vadian) i Anglji (Coxe, chwalca Akademji wierszem i łaciną), liczący jeszcze na początku wieku między mistrzami i uczniami tak wybitnych Niemców, jak Henryk Bebel (autor słynnych facecyj, opowiadający i z Polski śmieszne historyjki, ale zastrzegający się wyraźnie, że nie zamierza ubliżać „czcigodnemu i prawemu narodowi"), Tomasz Murner (franciszkanin, jak polscy bernardyni przed nim, uprawiający sztuczki mnemotechniczne), Awentyn (późniejszy historyk bawarski) i in., sławiona jeszcze w roku 1495 niemal entuzjastycznie przez Schedela, zapisująca w roku 1500 najwyższą liczbę nowowstępujących uczniów (508), a r. 1517 jeszcze i 476, utraca siłę przyciągającą (od drugiej połowy wieku nie przekraczając prawie liczby 200); garną się do niej mieszczanie z Oświęcima, Biecza, Kościana (dla różnych fundacyj); schodzi na stanowisko szkoły dla mieszczan polskich. Na ten upadek składały się przyczyny ogólne: nauka uniwersytecka, zaprzepaszczona w dawnej rutynie, nie zdążała nigdzie za nowym ruchem, nawet w Niemczech, a także przyczyny specjalne, polskie, a więc: ubóstwo jej wyposażenia, nie odpowiadające bynajmniej zmienionym stosunkom i upadkowi monety, odstraszające wybitniejsze siły, rozluźnienie karności, nurtujące już dawniej teraz jawne kłanianie się obcym

bogom — niebawem nęcą już nietylko Włochy przez humanizm i ogładę, lecz i Witenberg i Lipsk przez nowinki religijne, — jeszcze większa, niż gdzie indziej, zaśniedziałość trybu szkolnego, wyłączność stanowiska religijnego, nieufność ku reformom, o które się woła, lecz które pozostają na papierze. Mało skutkują półśrodeczki, np. usunięcie barbarzyńskich autorów z planu wykładowego, nobilitacje profesorów-księży i ich potomstwa (!!), jeden i drugi zapis hojniejszy, sprowadzenie jednego i drugiego Włocha, Hiszpana (Rojzjusz), Holendra kosztem biskupim, Tomickiego czy Maciejowskiego. Materjalne ubóstwo, upadek poziomu naukowego, brak karności wzmagają się z każdym lat dziesiątkiem. Ostatnie naukowe podręczniki większej wartości, scholastyczne co do metody, poprawniejsze co do języka, Sakrana, Głogowczyka i in., skupiają się w pierwszych dziesiątkach, przestają wychodzić po roku 1540. Kto może, nie kończy kursów w szkole krakowskiej, wyrywa się zagranicę. Medycyny, jak nie było, tak niema. Rażących luk na wydziale prawniczym (przy nieufności Polaków ku prawu „cesarskiemu", t. j. rzymskiemu), nie łata się wcale albo tylko dorywczo jakimś obcym przybyszem a szkoła stoi już tylko jednostkami, np. Marycjuszem. Szkoły takie pojawiają się i poza jej obrębem, np. w Poznaniu, gdy do dawnej „akademji" Lubrańskiego zwabiono Niemców, Bedermanna i Hegendorfa. Dzieło szkolne stanowczo upadało, i tu trzeba było nowych impulsów.

W bliskim związku z potrzebami i życiem szkolnem stało drukarstwo, co nakoniec na stałe zawitało do Krakowa, chociaż tu już nieraz gościło przelotnie.

To pewna, że stałe drukarstwo, zamówienia nakładcy, potrzeby pras, wzmagają umiejętną i beletrystyczną produkcję, a nieraz ją nawet tworzą. Już około roku 1474 w Krakowie wychodziły pierwsze druki łacińskie, lecz oficyna nie utrzymała się, i zadowalano się drukowaniem ksiąg, mianowicie kościelnych, zagranicą. Jak przed założeniem uniwersytetu krakowscy uczeni tułali się zagranicą, tak i drukarze Polacy uprawiali swój kunszt w Hiszpanji lub we Włoszech. Dopiero na początku XVI wieku księgarz Jan Haller (krewny owego Fiola, co roku 1491 wybijał księgi cyrylickie), drukujący dotąd zagranicą, sprowadził oficynę ponownie do Krakowa; jeden z pierwszych i najpiękniejszych jej okazów (drukowany na pergaminie), to zbiór ustaw krajowych, ułożony przez Łaskiego, rozpoczynający się Bogurodzicą, jako spuścizną św. Wojciecha (r. 1506). Za Janem Hallerem (i jego drukarzem Kacprem

Hochfederem z Mecu) niebawem pojawili się towarzysze uczonego rzemiosła, Niemcy, Ślązacy i inni, Florjan Ungler, Bawarczyk, Wietor (t. j. koszykarz) z Liebentalu, Szarffenbergerowie (Ostrogórscy), mężowie zasłużeni około nauk; dzieła ich oficyn odznaczały się poprawnością wydania, doborem czcionek i papieru, i dziś, po czterystu latach, tylko zżółkły, zresztą są, jak nowe. Ale wszystkie są łacińskie; dogadzają potrzebom duchowieństwa i szkoły, więc są to druki kościelne, mszały, agendy (z polskiemi formułami i modlitwami), ustawy synodalne, hymny i prozy, legendy, albo podręczniki mistrzów obcych i krakowskich, dla retoryki (wzory listów), prozodji, botaniki (z polskiemi nazwami roślin), i nawet chiromancji i fizjognomiki, prawnicze, od *privilegium* Łaskiego aż do zbioru ustaw miejskich Tucholczyka, łacińskie gramatyki z tłumaczeniem wokabuł polsko-węgierskich, kilkujęzykowe słowniczki, najciekawszy między niemi, znakomity przekład wszelkich frazesów, wybranych z komedyj Terencjuszowych (1545 r., trzy wydania); najbardziej rozpowszechniony, Wokabularz (1539 r.) polsko-niemiecki, z kawałkami Marchołta dla panienek krakowskich, aby się ćwiczyły w polskim (dalsze wydania wychodziły w Królewcu).

Jednak w tym dziennym trybie szkolnym nie zaskorupiały zdolniejsze ingenja, lecz samoistnie uprawiały sztukę i naukę, naturalnie łacińską. Taki Paweł z Krosna zajął zaszczytne miejsce między „poetami“ krakowskiego studjum, jako humanista, wykładający tylko wzorowych pisarzów łacińskich, z własnego dla nich zapału i podziwu, przelewający nieco w piersi słuchaczów, jak widzimy na uczniu, Janie z Wiślicy. Mistrz Paweł pisywał wiele, głównie rzeczy okolicznościowe i pobożne. Nie zawahał się nawet parafrazować w wierszu safickim i stylu horacjuszowym zejście Pana do otchłani, t. j. ewangelję Nikodema, albo opiewać świętych. Zresztą mecenasi-Węgrzy, u których gościł, albo znajomi krakowscy wzbudzali brzęki jego liry, mieszającej tony klasyczne i chrześcijańskie, rzymskie i polskie, a ani jego, ani spółczesnych nie raził ten brak stylowości.

Paweł Krośnianin*) to chorąży licznego hufca swoich i obcych, miernot i talentów. Są to wyłącznie duchowni, mistrzowie, bakałarze, gdyż literaturze daleko jeszcze do zeświecczenia, a chleb duchowny, probostwa, beneficja kościelne pozostawały jedynem

*) Paweł Procler, syn burmistrza, nazywał się Ruthenus, tylko dla odróżnienia swego Krosna ziemi ruskiej od śląskiego Crossen nad Odrą; studjował w Krakowie i Gryfie; rychło umarł.

wynagrodzeniem ludzi pióra. Są między nimi dygnitarze kościelni, biskupi i prymasowie, jak Dantyszek lub Krzycki, i ubożuchni kapłani, jak Janicjusz lub Husowczyk, uczniowie Krakowa i szkół włoskich. Pomimo różnic wieku, stanu, temperamentu, wszyscy mają jedno wspólne: poezja nie jest celem, tylko środkiem, jest to sztuka dla chleba, pochlebstwa lub zemsty. Nie jest to poezja w nowszem znaczeniu słowa; ma z niej tylko cechę zewnętrzną, formę i wiersz; są to raczej ćwiczenia, wypracowania, dowody biegłości w języku, władania formą, oswojenia się z cudowną starożytnością, pacierz za panią matką. Wszystko tu konwencjonalne, od myśli do słowa od treści do ramek, od tytułu do podpisu; zaciera się każda wskazówka czasu, rodziny, otoczenia; pozmieniać napisy, wtrącić lub opuścić słówko, a można tym samym poematem raczyć papieża, i krzyżaka-wywłokę, króla hiszpańskiego i bakałarza krakowskiego, zwycięstwo nad Orszą i klęskę pod Mohaczem. Ton wymuszony, ciągłe reminiscencje z autorów klasycznych, z ich obrazowania, rozumowania i słownictwa, niewolnicze naśladowanie ich formy, treści i myśli, cechują te powodzie wiersza łacińskiego, zalewające ówczesną Europę. Najjałowsza ta poezja występuje z tem większemi, tem śmieszniejszemi pretensjami. Schylając się kornie ku hojnej dłoni mecenasa, choćby idjoty lub łotra, żywi przekonanie, że rozdaje wawrzyny, zapewnia nieśmiertelność, że bez niej zwycięstwo nie jest zwycięstwem, król nie jest królem. Ci wierszokleci i rymotwórcy, nigdy poeci, ze sztucznemi, wymęczonemi elukubracjami, powtarzający starożytnych i samych siebie, wygrywający wszystko na jedną nutę, narzucili się Europie na wiek cały, a dziś jeszcze zalegają stosy ich piśmideł, nieśmiertelne utwory nieśmiertelnych laureatów, najciemniejsze kąty bibljoteczne; oni sami zapomnieni na zawsze.

Mimo wszystkie w oczy bijące braki tego szkolarskiego, kunsztownego, martwego wierszoklectwa, tej maszkary starożytnej, oznaczało ono niewątpliwy postęp w dziejach piśmiennictw. Wnosiło bowiem nowe żywioły w średniowieczyznę ducha i myśli, zapatrzone w starożytne ideały odkuwało ludzi z więzów askezy i wstecznictwa, wznosiło nad ciasne poziomy narodowościowe i stanowe, proklamowało wolność i swobodę ruchów i myśli, stawiało wygórowane żądania co do poprawności formy, potoczystości wiersza, proporcjonalności budowy, wypowiadało wojnę bezkształtności i średniowiecznemu barbarzyństwu, wyswobodziło wreszcie poezję więzów i obsług praktycznych, jakiemi je skrępowały średnie

wieki, podniosło i wyszlachetniło ją ponownie. Obok tych ogólnych zasług znajdą się wybitniejsze talenty, treść więcej zajmująca i podnioślejsze dążenia, a Polacy nie ostatni na tem polu. Tu po raz pierwszy wyłaniają się ich zdolności, zasoby ich wiedzy i ducha i, co dotychczas pozostawali w samym tyle, wysuwają się odrazu na czoło pochodu, wyprzedzając Czechów lub Węgrów, równając się z Zachodem.

Uprawiano wszystkie działy poezji nowołacińskiej: mamy epopeje, jak „Grunwald“ Wiśliczanina, i legendy świętych Pańskich, jak „Jacek“ Husowczyka, tudzież nieskończoną ilość wierszy okolicznościowych. Do zwycięstwa oręża polskiego nad Moskwą, Wołochami, Tatarami, do zaślubin, chrzcin lub pogrzebów w domu królewskim, do nominacyj i ingresów zlatują się humaniści z wierszami i wierszydłami, jak muchy na miód Są pienia liryczne, na wszelkie tony, zawodów i zwycięstw miłosnych, wesela i smutku, elegje tęskniące za ojczyzną lub zdrowiem, opisujące podróże i pobyty, saliny wielickie i łowy na żubry, są epigramy i satyry osobiste, obyczajowe, polityczne, religijne, pierwsze wiersze na herby, i walka na nie, Korabiu (Łaskich) i Łodzi (Tomickiego), są żarty, ucieszne przygody, anegdoty z niewyczerpanych skarbów, obiegających w Europie, są budujące religijne wiersze, na święta i świętych, moralizujące, dla młodych, wstępujących w świat, pouczające o stanach. Żeby niczego nie brakowało, znajdzie się nawet mieszanina dwu języków, próbowana na drobną skalę już w wiekach średnich, teraz wybujała, we włoskich „makaronach“ Folengi, którą, jak każdą włoską modę na dworze królewskim zaraz naśladują, chociaż z tej najdawniejszej poezji makaronicznej polskiej przed Hojzjuszem i Kochanowskim doszła nas tylko wiadomość o wcześnie zgasłym młodzieńcu-poecie.

Z masy polskich latynistów, od Pawła Krośnianina i lekarza Adama z Bochni (wystawiającego roku 1507 spór stanów bezżennego, żonatego, duchownego i mniszego, żonatemu przypisującego nieśmiertelność), aż do Hozjusza i Kromera, sięgających za innymi po poetyckie wawrzyny — rzemiosłem mógł się przecież każdy parać, skoro wymagano wprawy, nie natchnienia, — otóż z całego tego grona, wyróżniali się dwaj: Krzycki, biskup przemyski, później prymas, wróg i pochlebca Bony, i pupil jego, później Kmity, Klemens Janicjusz, syn chłopski. Krzycki to niby Krasicki XVI wieku, ksiądz z dostojnego rodu również bez powołania, tylko z burzliwą krwią, nieokiełznanych ambicyj i chuci, mądry, zdolny, układny

dworak, znawca i wielbiciel sztuk pięknych, mecenas. W mniejszej mierze Janicjusz przypomina Karpińskiego, chociaż elegijny jego nastrój, z powodu dotkliwego ubóstwa i jeszcze dotkliwszego braku zdrowia, mniej stuczny i robiony, niż u śpiewaka Justyny; to pierwszy poeta, który wawrzyn włoski przeniósł w północne Tryony. Krzycki w swych wierszach folgował rozpuście, dworactwu i nienawiści, chłoszcząc chciwość Łaskiego, poetycką nieudolność Tarły, sprzedajność Bony, w najwyuzdańszym wierszu prześcigając cynizm XVIII wieku i facecyj Poggia, nie przebierając w żartach. Tu miał doświadczonych kompanów, Korybuta Koszyrskiego, nieprzebraną kopalnię dowcipów i żartów obcesowych, protoplastę — chociaż Długosz wymienia dawniejszych z XIV i XV wieku, Kropidłę i Szamotulskiego, polskich facecjonistów, Reja i Woronieckiego, Smolika i Stawskiego, Paska i Zagłoby, czerpiącego dowcipy, jak polscy błaznowie, Gąski XVI wieku, z ksiąg i z własnej inwencji; pod imię Koszyrskiego podszywał też Krzycki pornografję własnej młodości. Do religijnej i dydaktycznej poezji, jak Dantyszek, co przechodził podobną szkołę, lecz ani temperamentem ani talentem nie dorównywał Krzyckiemu, nie przeniósł się ostatecznie; politykował i w poezji, choć nie nawoływał do zgody mocarstw chrześcijańskich przeciw Turkowi, jak ów kolega w urzędzie i piórze, choć, nie będąc mieszczaninem, nie wyszafował, jak on, ostrych wycieczek i fałszywych proroctw przeciw Gdańskowi; jednak bystrem okiem dostrzegał przyczyn polskiego nierządu. Politykował i Janicjusz, ale przygodnie, mieszając rzeczy ważne i błahe (o stroju polskim), nie idąc za własnym popędem, który urodzonego na poetę, nie przymuszającego się do udanej roli, skłaniał od wczesnej młodości do opiewania miłości, własnych przygód, zmiennych uczuć. Wrodzony smak, niezadowolenie z utworów młodzieńczej niedojrzałości, trzebiły bez litości te wczesne utwory, z których popiołów możeby wzleciał Feniks poetycki, gdyby troski, choroby i śmierć przedwczesna nie złamały skrzydeł. Drobna więc jest spuścizna, którą uznawał godną ogłoszenia, elegiczna tonem, treścią i miarą. Prócz wdzięcznych nieraz przymiłań się do Krzyckiego, Kmitów, Maciejowskiego, do nauczycieli — słynnego Bonamika w Padwie, lekarzy i znajomych, z nowinami i wynurzaniami, są tu listy z podróży włoskiej, pełne podziwu dla wykwintności obyczajów i piękna przyrody włoskiej, są epigramy, gładko utoczone, choć nie zaprawne humorem ani satyrą. Poecie brakowało rozmachu, lubował się w cyzelowaniu

rzeczy drobnych, wierszyków, któremi opiewał królów polskich lub arcybiskupów gnieźnieńskich. Te właśnie wiersze przetrwały wieki; drukowano je nawet zagranicą jeszcze w XVII stuleciu, dopełniano i przerabiano na polski, np. Głuchowski roku 1585 i in., naśladowano je dla biskupów krakowskich; takie niepoetyckie rzeczy, podpórki i ułatwiania dla pamięci lubiono jeszcze zawsze. Spółcześni zachowali mu wdzięczną pamięć. Był to pierwszy poeta polski, który przetrwał wiek, a na jego skalę mierzono późniejszych, np. Kochanowskiego. Z innych zapamiętano inwektywę Dantyszka na Gdańsk i powtarzano jeszcze w XVII wieku z przyczyn wyznaniowych i politycznych, a z Krzyckiego tłumaczono i naśladowano niektóre bezeceństwa i sprośności, najpierw z nazwiskiem autora, później bez tego. Ale on najciekawszy i najwięcej włoski z polskich humanistów. Jak Włoch ówczesny nie znał żadnych skrupułów: jakżeż mam wierzyć w djabła, kiedy w Boga ledwie wierzę — powtarzał nieraz, na nieprzyjaciół rzucał się z furją włoską, Tarłę przyprowadziłby chętnie do samobójstwa, również włoska, potworna rozwiązłość jego wierszy. Charakterystyczną jest jego poezja do najdrobniejszych rysów, np. zajmuje się błaznami, bo ich rezygnacja, zadowolenie byle czem, przypomina starożytną mądrość niewymagania niczego od życia, zajmuje się literaturą i przestrzega dobrego smaku, a mimo to naśladuje jeszcze średniowieczne metra i sztuczki, jakby na przełomie dwu epok, jakby ucho młodzieńcze zbyt się wsłuchało w prozy kościelne i żakowskie, w pijane rytmy wagantów. Pierwsza to ciekawa postać w poezji polskiej, skomplikowana, choć ani harmonijna, ani sympatyczna, śpiewaka godnego swej pani — Bony i dworu tej, którą dziwne szyderstwo losu nazwało Dobrą.

W całej tej poezji humanistycznej niema jednak humanistycznego dramatu, komedji szkolnej, a brak ten bynajmniej nie jest przypadkowy. Mogła Polska naśladować wszystkie wzory średniowiecznej umysłowości, nie przyjął się w niej tylko jej dramat albo raczej jego średniowieczny surogat, misterjum. Warunki zewnętrzne, zdawałoby się, sprzyjały, też same obrzędy kościelne, z których się rozwijał dramat na Zachodzie, Boże groby i jasełka, z udziałem księży, żaków, śpiewów i pobożnych dialogów; były nawet te same profanacje obrzędów kościelnych, co i na Zachodzie. Jeszcze biskup poznański Łaskarz zakazywał nieprzystojności, tańców i sprośnych pieśni przy odprawianiu prymicyj, a niemal dwa stulecia wcześniej, roku 1230, opat i konwent tyniecki

w Rzymie uskarżał się, że scholarze krakowscy, naśladując zastarzały zwyczaj, w Boże Narodzenie i dni następne nachodzą klasztory, jedzą, piją, śpiewają, dopuszczając się największych nieprzystojności, grabiąc zapasy klasztorne, nie szczędząc i krwawych bitek. Również nieobce były widowiska jigrców. Oracje weselne prawili „rymarze“, jak je dziś jeszcze lud prawi, chociaż Kazimierz Wielki wykluczał rymarzy z wesel krakowskich, dopuszczając tylko występowania całej trupy, bo aż ośmiu kuglarzy szpilmanów, krążących i z łątkami marjonetkami, w krótkich scenach komicznych, np. żyda i cygana z frymarczeniem koni; z takich marjonetek urosła nasza szopka, z komicznemi scenami, przeniesiona wkońcu i na Ruś („wertep“), obca Zachodowi.

Były więc zadatki misterjów, ale w obcej atmosferze niemieckiej, panującej po miastach polskich, w stronieniu szlachty od miast, w braku dworu (Węgier w Polsce nie rezydował, Jagiełło był napoły barbarzyńcą, Kazimierz bawił się litewskiemi łowami), szukać należy przyczyn, dlaczego dopiero w wieku XVI zjawił się w Polsce dramat, bo o rozwoju i wtedy mówić nie można. Misterja wielkanocne obchodzono już i wcześniej, skoro np. synod gnieźnieński w roku 1456 wyraźnie zakazywał „odprawiania igrzysk teatralnych albo dramatów w kościele“ (na cmentarzu było to dozwolonem), ale wyraźne wzmianki o tekstach i dialogach pochodzą dopiero z XVI wieku, a i wtedy przeważały nieme widowiska. Równocześnie żacy dawali przedstawienia sceniczne na zamku krakowskim. Same sztuki były pióra humanistów niemieckich, np. Jakóba Lochera, Sąd Parysów między trzema boginiami, przedstawicielkami rozmyślającego, czynnego i rozkosznego życia, albo tegoż Wizerunek narad i uchwał wojennych chrześcijańskich mocarzy przeciw srogiemu Turkowi, które to dramaty mistrz Stanisław z Łowicza, jako reżyser, wystawił roku 1522. Sąd Parysów Lochera, albo Akolatus (Niemrawa, parabola o synu marnotrawnym) Gnapheusa, mistrza elbląskiego, tłumaczono nawet rychło na polski — niema jednak oryginalnych dramatów.

Z literatury naukowej, o ile może się łączyć stylem i przedmiotem z piękną, wyróżniała się historja. Długosz znalazł nareszcie następców, czego gorąco pragnął, choć znacznie mniej zdolnych i pilnych. Zasłużony lekarz i profesor krakowski, Maciej z Miechowa, przerobił, skrócił i dopełnił Długosza aż do roku 1506. Na inny ład przerobił go również Biernat Wapowski, kanonik krakowski, humanista i badacz na polu nauk ścisłych, astronomji. Obaj,

Miechowita i Wapowski, zajmowali się i geografją. Miechowicie zawdzięcza się pierwsze dzieło, wyłożone na niemiecki zaraz niemal po wydaniu łacińskiem, gdy tymczasem przekład polski pojawił się dopiero w kilkanaście lat później. Było to opisanie dwojej Sarmacji, Tatarów, Moskwy, Litwy, uprzątające nakoniec bajki, jakiemi starożytność oplotła europejską północ, bogate w szczegóły etnograficzne i dziś jeszcze ciekawe. I kronika Miechowity, pierwsza zarazem ofiara świeckiej cenzury — nie spodobały się bowiem panom-radzie niektóre zwroty o pięknej Zośce, o klęsce bukowińskiej, o królu Aleksandrze i życzeniach podanych, aby go niebo rychło przyjęło, — znalazła nieco później polskiego tłumacza, Chwalczewskiego. Dzieła Wapowskiego, jak i Długosza nie wydano; korzystali z niego inni, np. Bielski. Między nimi stanął Decjusz-Dietz, Niemiec, przybrany Polak, wierny sługa Zygmuntów, którego dzieje początkowe (1506—1516) i zaślubiny z Boną opisał. Dzieje poprzedził krótką kompilacją rzeczy dawniejszych; dał wiele obyczajowych szczegółów, o zmianach w życiu i stroju polskim, o Żydzie, badanym w kościele Panny Marji przez inkwizytora dominikanina wobec profesorów, broniącym się mężnie, spalonym. Dzieło przysmaczał wierszami typowy lutnista, obcokrajowiec, Gundeljusz, jak Vadianus, Eckius, Agrykola, tylko dłużej od nich oddany Polsce i jej rzeczom, więc przypominający Ślązaka Kuchlera lub Węgrów Frankonjusza i Emeryka, wierszami i prozą sławiących Polskę; ciąg dalszy tych dziejów Decjuszowych pozostał w rękopisie, z którego korzystał i Wapowski.

Tu należą i pierwsze opisy podróży: nikt tyle nie jeździł, co Polacy, nikt tak mało nie spisywał wrażeń i widoków. Podróże włoskie, trwające bez przerwy od trzech wieków, opiewał pierwszy Janicjusz choć w elegji; podróże na wschód znalazły opowiadacza nieco wcześniej w krakowskim bernardynie, bracie Anzelmie, co wymieniał wszystkie miejsca cudowne i legendowe ziemi świętej, notując ich odległości na miary krakowskie; jego opis zażywał w Polsce powodzenia i miewał tłumaczenia (i ruskie) i wydania jeszcze w wieku XVII i XVIII. Łascy podróżowali w zawody, do Ziemi świętej i na zachód, już od XV wieku, byli wprawni w piórze, światli i bystrzy, mimo to nie przyszło żadnemu na myśl, wzbogacić jakimś opisem krajową literaturę. Wojewoda Stanisław przynajmniej rzecz taką zlecił Niemcowi i Bernard Holtorp wydał łacińskim wierszem pierwszą księgę jego podróży europejskiej (r. 1548), ale opisu drogi po Azji i Afryce już nie dokonał, wskutek śmierci wojewody.

Bliżej ze sztuką łączą się utwory treści politycznej, mniej memorjały księdza Stanisława Zaborowskiego, wahającego się między uznawaniem średniowiecznych przywilejów (duchowieństwa), a wymaganiami państwa nowożytnego; więcej satyry i pamflety, sypiące się na dostojników świeckich i duchownych w trzydziestych latach w takiej ilości i tak drastyczne, że aż senat w to wkraczał i groził surowemi karami — odpowiadał na satyry, nicujące wszystko i wszystkich, Odrowąża i St. Łaskiego na sejmie roku 1536, sam niezgorszy pamflecista, Krzycki; — najbardziej zaś pierwsze pisma polityczne Fryca i Orzechowskiego. Nierówni wiekiem i stanem, temperamentem i uzdolnieniem, równiejsi dolą a raczej jej zwichnięciem, spółcześnie zaczęli obsiewać rolę polityczną, nie stykając się narazie, choć w przyszłości nieraz ostro mieli się zetrzeć. Andrzej Fryc, przezwany Modrzewskim, potomek wójtów wojborskich, występował w mowach, które kładł w usta różnym osobom i różnym dedykował, przeciw najbardziej krzyczącym niesprawiedliwościom polskiego prawa, karnego i cywilnego. Prawo to, zebrane jako tako przez Łaskiego, zresztą nie uporządkowane, dopraszało się „korektury“, nad którą, jak nad wszystkiem pożytecznem w Polsce, darmo pracowano. Fryc wybrał strony najsłabsze, prawo o karze za mężobójstwo, domagające się przy zabiciu szlachcica wieży i grzywien, przy zabiciu chłopa, taksujące mord niżej, niż głowę psa lub konia, więc prawo, raczej pobudzające do mordów niż od nich odstraszające. Wymownie i mądrze zwalczał je Fryc z praw boskich i przyrodzonych, i rozbijał zwycięsko sofistyczne wywody przeciwników, lecz, choć mu przyklaskiwali roztropni, nie zmienił rzeczy samej, jak i drugiego prawa, przeciw któremu biadał, zabraniającego mieszczanom nabywania dóbr ziemskich, prawa podyktowanego przez egoizm i niechęć szlachecką.

Orzechowski zaczynał nietylko od takich szczegółów. Rozentuzjazmowany wojną kokoszą, t. j. mowami domorosłych Demostenesów, Katonów i Cyceronów, które wyłożył na łacinę, puścił się na trybuna szlacheckiego, a wypróbowawszy siły swej wymowy na ziemiach przemyskich, stanął roku 1543 i 1544 w trzech pismach przed światem i odniósł pierwszy w Polsce wielki sukces literacki.

Dwa, niedrukowane, krążyły w odpisach, dopełniając się nawzajem: w jednym Polska, wedle ulubionej maniery Orzechowskiego wprowadzającego dla większego efektu ojczyznę czy wielkich przodków, zwracała się do rycerstwa sejmującego w Krakowie, w drugiej

„wierny poddany“ apostrofował młodego króla. Rzeczpospolita wyliczyła wszelakie braki w wymiarze sprawiedliwości, obronie granic, szafowaniu poborami, poddany zaś pouczał króla, jakim go chce mieć, jak wychowanym, gdzie rezydującym, w otoczeniu jakich ludzi-dworzan i rady-senatorów. Obie mowy cechowała ta śmiałość, bezwzględność i otwartość, którą stosowano w Polsce przeciw głowom koronowanym. Zarazem Orzechowski, czego później nie czynił, ujmował się za ludem wiejskim, kreślił jego ucisk, wyzyskiwanie przez dziedziców i księży: czyż mniemamy, że ich ustawiczne skargi nieba nie przebiją; jeśli się nie wstydzimy, toż choć Boga się bójmy, jeśli tylko w niego wierzymy. Były i przeciw Żydom ostre wycieczki: ich przywileje nazywał przywilejami na rozboje i oszustwa, oburzał się na rosnące ich wolności, na niemożliwość uzyskania przeciw nim wyroku sądowego; świadectwo chrześcijan nic nie ważyło przeciw Żydowi, chyba, że przystępowało i świadectwo Żyda. Królowi stawiał się również hardo, przytykał jego wychowaniu, wczasowaniu się w Krakowie, zamiast przywykania do bojów na granicy, wrażał mu uszanowanie prawa, bronił wyboru biskupów przez kapitułę, nie przez naznaczanie królewskie, wyznaczając biskupom już tu stanowisko niemal nadludzkie. A wszystko wyraził najznakomitszą łaciną, tocząca się wartkim potokiem, wzbudzającą respekt przed mówcą i jego siłą.

Wyżej jeszcze wzniósł się w dwu mowach przeciw Turkowi. Gdy tamte rozrywały się na paragrafy, omawiały rzeczy najrozmaitsze, te toczyły się jednym ciągiem, jedna ku rycerstwu, druga ku królowi. Pierwszą mowę rozchwytano w najkrótszym czasie, drukarz odbił ją zaraz powtórnie, przetłumaczono ją natychmiast na polski (jeszcze roku 1543), na niemiecki (1544), a drukowano jeszcze przy końcu wieku i w następnym stuleciu. Tłumacz polski, bardzo zresztą niezdarny, pouczał, że autor pisał mowę „wspaniałym i dwornym językiem“, jaki ledwie bakałarz, cóż dopiero szlachcic dobrze zrozumie. Te „książki o ruszeniu ziemie polskiej przeciw Turkowi“, dotykały materji najwięcej aktualnych po śmierci Zapolji i zdobyciu Budy przez Solimana. Myśl wciągnięcia Polski do wojny z Osmanem, wygrzebywania jej rękami tureckiego żaru, kiełkowała długo w Europie, a już w liście owego włoskiego humanisty do Witolda z roku 1429 były takie brednie o Turkach i Jerozolimie. Za Warneńczyka — pod Warną dziad Orzechowskiego utracił szlachtę przemyską, — myśl przybrała kształty i odtąd wciągano Polskę do coraz nowych antytureckich kombi-

nacyi, do ligi chrześcijańskiej. Zadomowiałą szlachtę, mimo całej grozy tureckiej, co spaść miała na Polskę otwartą, bez fortec i granic warownych, mimo łudzących obietnic pomocy od innych, a szczególniej od ruchu narodów słowiańskich, odwodził trafny tym razem instynkt od wszelkich awantur dla wygody Habsburgów. Hałasowano i emocjowano się po zjazdach, jednak strumieniami rozlewano nie krew, chyba wino. Ten ruch antyturecki wywołał już na początku wieku tłumaczenie „Kroniki tureckiej", zwanej[1]) mylnie „Pamiętnikami Janczara"; tekst polski Czesi wcześnie przetłumaczyli i drukiem r. 1565 i 1581 wydali. Serb, janczarem jeszcze będąc, brał udział w wyprawach tureckich, był i pod Konstantynopolem i gdy ginęła Bośnia; zemknął potem do chrześcijan i w Polsce spisał relację, z wielką znajomością rzeczy rozprawiając o historji tureckiej, o sposobie ich wojowania, o ich wierze i obyczajach. Wyjątki z tej relacji plączą się luzem po rękopisach. Rzecz cała czyta się z wielkiem zajęciem, gdyż jest to najdawniejsze i najdokładniejsze w literaturze europejskiej przedstawienie tureckich początków i przyczyn ich powodzenia, o wiele ciekawsze i więcej pouczające, niż np. liczne a liche pisemka Kroata „Bartłomieja Gieorgiewitsa", który czternaście lat był więźniem tureckim, tłumaczone na polski roku 1548 (Rozmowa z Turczynem o wierze krześcijańskiej, Wieszczba tureckich obrzezańców o krześcijańskich nędzach). Klęska budzińska wywołała pieśń polską z roku 1541, wzywającą do skruchy, straszącą boskim gniewem, który dotknął naszych sąsiadów, co to teraz:

Służą w pęciech panu baszy,
Już gospodarz gospodarza
Nie pożonie przed rychtarza...
Węgrzy zostali na koszu,
Turczyn radzi na rakoszu (polu elekcyjnem).

Opisawszy klęskę ich i Niemców, wylicza skarby, jakie zniesiono carzowi (tureckiemu) i kończy prośbą o zlitowanie Pańskie:

[1]) „Poczyna się czasów popisanie o tureckich sprawach przez *Konstantego* syna *Michała Konstantynowica* z Ostrowice, raca (Serbina), jen był wziął od Turków między janczary", „pisana literą ruską lata 1400"; jest to pierwsze zarazem tłumaczenie z „cerkiewnego" na polski, dokonane może przez Biernata Lubelczyka zob. niż. „r. 1400" mylnie zamiast „1500". Jest to najciekawszy utwór staroserbskiego piśmiennictwa, bo bez askezy a pełen treści historycznej i obyczajowej. Dziewięć polskich rękopisów dowodzi zasłużonego rozgłosu dzieła, tłumaczonego i na ruski. Autor wcale nie znał Polski, ale na nią liczył dla poskromienia Turków.

Wszak jeszcze między Polany
Najdzie dobre krześcijany...
Obróć ten gniew na pogany,
Przejmi w łaskę krześciany.

W tej to sprawie liczono już na Hieronima Łaskiego, jako na wodza i „Uliksesa“ przyszłej wojny, który wygotował przecież plany do niej, znał Turcję i jej siły z własnego pobytu w Stambule. Pomieszał wszystko nagły jego zgon, opłakiwany po łacinie (przez Janicjusza) i po polsku, wierszem tak lichym, że mógłby być Rejowy, ale ciekawym, bo pierwszym opłakującym śmierć dostojnika i niegorszym od późniejszych „kamen“ i „trenów“ i „echów żałośnych“:

Wiele ta Łodzia po światu pływała
A sam to Bóg wie, kędy nie bywała,
Już teraz marnie na suszy została,
I wszelkie żagle swoje połamała,
Gdy tak śmierć chciała...

Ach miły Jaroszu, i cóż ci się stało?
Skrążywszy świat w koło i morza niemało,
Żeś w niebie nie był, małoć się to zdało,
Posłałeś duszę: acz zostało ciało,
Nam na tem mało...

Jak zaczął pobożnie, tak kończy autor na tęż nutę:

Bo, nasz miły Panie, myć tu tak słychamy,
Iż tam w niebie pokój, a tu kłopot mamy,
A wżdy nam bierzesz potrzebniejsze stany!
Niechże Cię samego za hetmana mamy,
Takci wygramy.

Nic dziwnego, że zapłonął i gorączka Orzechowski. W obu mowach powtarzał te same argumenty, obrazy, ułudy i groźby. Zachował jednak tyle trzeźwości, że nie wystawił samej Polski na sztych, lecz wpierw żądał zgody w Niemczech, gdzie się swarzą o błahe rzeczy, bo tylko o wiarę! aż ich Turczyn pogodzi. Do zgody nawoływali wszyscy, naturalnie darmo, między innymi St. Łaski, bardzo wymownie w pisemku „Napomnienie polskie ku zgodzie do wszech krześcianów wobec, a mianowicie ku Polakom uczynione“ z roku 1545, w jędrnym języku, wydającym trudy obozowe i hart wojenny; dzielny wojewoda trafnie się ukrył pod pseudonimem żołnierskim.

Panowała więc dalej łacina, w nauce i literaturze, w poezji i korespondencji, w bibljotekach (spisy ówczesnych bogatszych

bibljotek nie znają ani jednej polskiej książki) i szkołach, gdzie polszczyzna wcale nie należała do programu. Mecenasi: Łascy, Tomiccy, Krzyccy, Maciejowscy, dumni ze związków z Erazmem lub Melanchtonem, sprowadzający do Polski francuskich poecików i włoskich uczonych, podejmujący hojnie humanistów z Dubrownika i Dalmacji, którzy im wzamian hołdowali poezjami, utrzymujący na swe koszty zagranicą Hozjuszów, Janicjuszów i tylu innych, ci książęta Północy na Południu podziw wzbudzali, wysyłając krewnych z całym orszakiem do włoskich siedzib nauki (np. wyprawa Łaskich) nie dbali o język polski i literaturę narodową, jakby tylko łacina mogła dogadzać ich ambicji. To nierozumne zasadnicze pomiatanie własnym językiem, przełamywano tylko wyjątkowo, np. kiedy Samuel Maciejowski, ku zgorszeniu polskich humanistów, nad zwłokami starego króla w katedrze krakowskiej wysławiał po polsku żywot i zasługi. Oddziałało to fatalnie na stan literatury polskiej, unieruchomiło jej rozwój, uprawniło rozszczepienie łaciny i polszczyzny, którego najjaskrawszym znakiem było, że w Krakowie od lat dwudziestu drukowano po łacinie, nikt jednak ani pomyślał o książce polskiej, a gdy wkońcu obcy drukarze, w własnym, dobrze zrozumiałym interesie, chwycili się i polskiego druku, to go stosowali do warstw najniższych i żywili je odpadkami średniowieczyzny: gdy z druków łacińskich biło światło i myśl nowa, polskie czuć średniowieczną stęchlizną, anachronizmem, spóźnieniem o pół wieku. Aż nadto uzasadnione były skargi sejmiku średzkiego, przedstawione na walnym sejmie piotrkowskim roku 1534: prosimy, aby nam księża nie bronili po polsku imprimować historyj, kronik, praw naszych i też inszych rzeczy, a zwłaszcza o biblją. Albowiem każą bić sobie rzeczy rozmaite, a czemuż też nam nie mają bić naszym językiem? Tu też nam się krzywda wielka widzi od księży, albowiem każdy język ma swym językiem pisma, *a nam księża każą głupimy być.*

Choć nie w drukach, literatura skołatała w języku narodowym jakie takie zasoby. Wymagały ich nieodbicie kobiety, które uczyły się czytać i pisać, a nie miały co czytać i pisać, niemniej dworzanie i słudzy pańscy, nie umiejący ni „kęsa po łacinie, jakoż ich dosyć roście, prawie (całkiem) jako świnie“, jak mawiał Rej, chociaż kiedyś sam liczył się do tegoż cechu. Należało przedewszystkiem zapełnić najdotkliwsze luki. Na początku wieku zgęszczają się tłumaczenia; tak królewna polska, panna Elżbieta (urodzona roku 1478, od roku 1515 księżniczka Legnicka), kazała mistrzowi

krakowskiemu, Balcerowi Opecowi, wyłożyć na polski, „Żywot Chrystusów“ św. Bonawentury (zm. r. 1274) i tem stworzyła pierwszą popularną książkę, co dostąpiła kilkadziesiąt wydań. Opec obniżył znacznie ton „doktora serafic nego“, skracał albo opuszczał jego alegorje i dedukcje, wstawiał opowiadania o młodości i o Wniebowzięciu Marji, folgując jej polskiemu kultowi, z „Rozmyślania o żywocie Pana Jezusa“. Tłumaczono i przepisywano modlitewniki, np. „Szczyt Duszy“, po łacinie ułożony przez eremitę Polaka i kilkakrotnie po łacinie drukowany w XVI wieku (polski odpis przeznaczony dla króla Zygmunta, dochował się w Monachjum). Trzy traktaty Maryjne o poczęciu i narodzeniu Marji napisał oryginalnie eksbernardyn mistrz Jan Paterek z Szamotuł (zabity r. 1519), dowodzący wszystkiego „Pismem św., prawami duchownemi i cesarskiemi, założeniem filozofów“, składaczami t. j. poetami, wedle nauki franciszkańskiej i szkoły krakowskiej, obszernie, wielomównie, uczenie, z bardzo systematyczną, scholastyczną dyspozycją. Pisano modlitewniki dla kobiet, np. dla siostry Konstancji (z r. 1527) żywoty świętych, np. „Żywot św. panny Eufraksyej“ (z r. 1524), późniejszy ojca Amanda (mistyka Henryka Susona) i in.

Z tej całej grupy tłumaczów wyróżnia się znakomicie pierwszy świecki tłumacz polski, Biernat z Lublina, pisarz i lekarz Pileckich. Niezwykły to człowiek, miłujący język rodzimy, gdy nikt oń nie dbał, krytykujący ostro same podstawy katolicyzmu, gdy jeszcze Luter nie wystąpił, pracujący dla dobra ogólnego, gdy się każdy w sobie zamykał, starający się przedewszystkiem zapełnić najdotkliwsze luki literatury krajowej. Przetłumaczył więc bardzo lubiany modlitewnik „Hortulus animae“ (Raj duszny). Pierwsza to drukowana książka polska (1514 u Unglera), do r. 1547 pięciokrotnie wydana, a ostatnie znane wydanie tej grubej średniowieczyzny, znacznie zresztą zmodernizowanej, pochodzi z r. 1636 i zawiera liczne modlitwy i pieśni, które i sam Biernat układał. Ponieważ literatura polska nie posiadała żadnego zbioru bajek, nadzwyczaj cenionych w całym średniowiecznym świecie, Biernat przerobił swobodnie (romansowy) żywot „szpetnego“ Ezopa, mędrca-niewolnika, późniejszego doradcy królewskiego i niewinnej ofiary zawiści Delfijczyków, dodając paręset bajek z Ezopa, ze zbiorów włoskich (Abstemjusza) i wschodnich (Kalila i Dimna w średniowiecznem łacińskiem tłumaczeniu). W nagłówku opatrywał je polskiemi przysłowiami, i stworzył tem najdawniejszy zbiór przysłów polskich, z czego

jeszcze po wieku korzystał Rysiński (r. 1618). Wyłożył wszystko *metrum* średniowiecznem, w ośmiozgłoskowych rymowanych dwójkach. Jego dzieło, stojące na czele drukowanej poezji polskiej, przechowało się tylko w późnych drukach, z roku 1578 („Żywot Ezopa Fryga, mędrca obyczajnego i z przypowieściami jego"), niepoprawnych, kusych (brak przedmowy, karcącej ostro duchowieństwo i jego rozwiązłość), a przecież nadzwyczaj ciekawych. Antykatolickie idee autora zaznaczał list łaciński, nieraz drukowany przez niemieckich protestantów, jako „świadectwo prawdy". Stosuje je nawet w wykładzie bajek: łasica, która krwawi zęby o pilnik, to teologowie-scholastycy, okłamujący ludzi, jakoby coś wiedzieli o bóstwie, albo wycieczki przeciw szarym i czarnym wilkom (zakonnikom) w owczej skórze. Znachodzimy i grube przytyki panom (po sprawiedliwości należałoby wszystkich powywieszać!) i — cudzoziemcom, Węgrom i Niemcom, którzy nas tylko zdradzają, jak kruk, którego głupie sowy z litości przyjęły, a on wyszpiegował ich słabe strony i wydał wrogom. Rymy jego średniowieczne, bardzo nieszczególne, ale język gładki i czysty, prócz słów i form przestarzałych. Przerabiał wierszem dialog pseudo-Lucjana o Palinurze i Charonie, z przykremi przytykami wszelkim panom-zbójom, prozą z czeskiego wyłożył, alegorję o młodzieńcu o zwichniętem przez swawolę życiu, Fortuny i cnoty różność, i i. Najzasłużeńszy to pisarz przed Rejem. Przysłużył się także literaturze pierwszemi lekarskiemi dziełami, „Lekarstwami doświadczonemi", choć dopiero r. 1564 Marcin Siennik, nie znając autora, zebrał je z luźnych rękopisów, uporządkował, ogładził w języku i wydał; lekarstwa, ułożone wedle członków, poprzedza ogólniejszy wykład o temperamentach, humorach, zabieżaniu i poznawaniu chorób; dalej lekarstwami końskiemi, tłumaczonemi z jakiegoś Konrada królewskiego kowala i in. Lekarstwa te są całkiem średniowieczne, po kilkanaście dla każdej choroby, z najdziwniejszemi środkami, staremi podeszwami, dziecięcym moczem, wiórem kałem, który na ziemię nie upadł, chociaż sam autor występował przeciw gusłom. Dziwna, nadzwyczaj ciekawa ta postać, niby zapatrzona w najgrubsze mgły średniowieczne, a przecież z nich wychodząca, wietrząca nowy ruch, nowe idee. Językiem władał niepospolicie, przewyższał chyba Opeca i Paterka. Imię jego wyszło najniesłuszniej z pamięci, bo drukarze po jego śmierci (około r. 1520) wydawali jego utwory bez autorskiego imienia. Ten mieszczuch stworzył celowo książkę polską. Za jego więc zasługą pomnażała się liczba

polskich druków. Pierwszy, przy łacińskiej Agendzie Hallerowej z roku 1514, mieścił „Powieść o papieżu Urbanie“, polecenie kilku modlitw przy zgonie, za nim szedł „Raj duszny“. Silniejszy ruch liczymy od roku 1521, od „Marchołta“, pierwszego druku z nowemi czcionkami, niezbędnemi dla poprawnej polszczyzny.

„Jeronim (Wietor z Libentalu) z Wiednia, cudzoziemiec *„impressor“*, opowiada: „gdy częstokroć słudzy (Anny z Jarosławia, kasztelanki wojnickiej, wielkorządczyni krakowskiej), przychodząc do mnie, cni słudzy cnotliwej paniej, ode mie żądali, iżbych polskim pismem nieco wybijał... wziąłem przedsię śmiesznego a krotofilnego Marchołta gadanie z Salomonem, który przez Jana bakałarza z Koszyczek, wyłożon jest w polskie z łaciny“. Bakałarz z niełatwego zadania wywiązał się znakomicie. „Marchołt“ z barbarzyńskiej średniowiecznej szaty przeoblókł się w piękną polską. Miejscami wierszowany, i to wcale nieźle, nieco okrzesany z wycieczek przeciw duchowieństwu, ciekawy treścią, wywodząc na plac przeciw mędrcowi-królowi prosty rozsądek chłopa-gbura, pobijając zawsze króla-proroka, rozszedł się w licznych wydaniach tak, że ani jeden egzemplarz nie doszedł nowszych czasów, prócz ułamków; sama figura stała się przysłowiową: mawiano o wykrętach „marcholtowe drzewo“. Wietor wydał następnego roku *„Ecclesiastes* księgi Salomonowe, które polskim wykładem kaznodziejskie mianujemy“, tłumaczenia „drużby“ (jego imiennika) Hieronima z Wieluna, który w „prozie do czciciela, a wiernego tej sławnej korony polskiej przyjaciela“ wyjaśniał przyczynę i pobudkę dzieła: „dlatego pewno, jakoby wżdy polskie księgi były, ażeby się Polacy w mądrości mnożyli. Gdy zaiste wszytcy jini narodowie, Włochowie, Niemcy, Czechowie, swoje biblije mają, a w mądrości niewymownie się kochają“. Po tym „Żywot Chrystusów“ Opeca, co i Jan Haller zaraz przedrukował, pomnażając nabożnemi wierszami Jana z Koszyczek i Hieronima Spiczyńskiego (roku 1522), dalej księgi (Pseudo) Augustyna o żywocie chrześcijańskim (1522) i in.

Te pierwsze druki miały i tę zasługę, że ustaliły ortografję, chociaż nie przyjęły pomysłów ks. Stanisława Zaborowskiego, z diakrytycznemi znakami, kreskami i kropkami, wedle czeskiego wzoru Husa. Po rękopisach XV wieku ortografja chwiała się całkiem dowolnie, i na początku XVI wieku doszła do największego zamieszania. Drukarze pierwsi ją ustalili, i, chociaż po rękopisach dawna dowolność jeszcze się długo utrzymywała, normy ich, prócz

kilku zmian, zachowały do dzisiaj moc obowiązującą. Rywalizacja czterech nakładców krakowskich (Unglera, Hallera, Wietora i Scharffenbergerów) nie popchnęła jednak produkcji literackiej na szybsze tory. Nie wychodziło książek polskich wiele, nie były to rzeczy większe, tem mniej celniejsze, a już najmniej oryginalne. Do roku 1548 znajdziemy między niemi trzy rozmaite przekłady psałterza w kilkunastu wydaniach, jeden z r. 1532 i 1535, powtarzający goły tekst średnowieczny, drugi mistrza Wróbla z Poznania, wykonany dla Katarzyny z Górki, a poprawiony przez mistrza Andrzeja Glabera z Kobylina, modlitewniki, Tarczę duchowną i in., legendy o patrjarchach (Józefie, Tobjaszu) i świętych (Aleksym, Annie, Eustachym, powieść o klasztorze świętokrzyskim, o częstochowskim obrazie) i inne rzeczy ascetyczne, rzeczy dla początkujących, wydawane i przez Ślązaka Mimera, krewnego Szarffenbergerów, z podłą polszczyzną, np. „Dobrego zdrowia rządzenie“, przepisy średniowiecznej dietetyki szkoły salernitańskiej albo paryskiej dla króla „angielskiego“, naturalnie wierszowane, co jeść, kiedy „żyłę“ puszczać, albo dystychy „Katona“, podstawa każdej początkowej nauki, albo „Seneki formułki cnego żywota o czterech głównych cnotach“. Są też drobne alegorje, apokryfy, zwrócone przeciw Żydom, jest pierwsza malutka nauka rachunkowa, kuchmistrzostwo i podobne trywialności, są przekłady dramatów szkolnych, Historji o synu marnotrawnym (Akolastus Gnapheusa) i Locherowego Sądu Parysa, o wiele naiwniejsze, pospolitsze, zgrubiałe wobec humanistycznego oryginału, zaplącze się i traktat Erazma Roterdamczyka o Języku, a obok niego Żywoty filozofów Burleja, sprośna średniowieczyzna, z najobszerniejszym żywotem Aleksandra Wielkiego, cenione dla mądrych maksym; albo „Gadki Arystotelesowe“, bynajmniej nie Arystotelesowe, średniowieczne plotki, scholastyczne odpowiedzi na różne dworne pytania, dlaczego kobiety nie mają wąsów, dlaczego niedobrze pić wodę po rybach albo co za umysł oznaczają rude włosy czy długie palce i dziś jeszcze ciekawe do czytania, później przerabiane (w XVII wieku) i tłumaczone na ruski, przeznaczone dla pań, więc opuszczające wiele nieskromnych rzeczy. Najobszerniejsze dzieła to „herbarze“, ogrody zdrowia, opisy roślin i kruszców z głównym względem na ich leczniczą wartość i zastosowanie w owych komplikowanych receptach, gdzie chyba jedne leki paraliżowały drugie, a całość nie szkodziła, z dodawaniem medycznych traktatów, o „powietrzu“ (morze), puszczaniu krwi, babieniu; są nakoniec Ezopy prozą, kroniki polskie i t. d.

Postęp był powolny. Gdy Stefan Falimirz wydawał r. 1534 herbarz, pisał w przedmowie, że skłoniły go do przekładu powszechny brak lekarzów i to, „iż ta sławna Korona, ksiąg żadnych językiem swym nie mając tak sławnym, tak była sirociała, iż też innym obcym narodom prawie (całkiem) w pośmiech i dziwowanie było“. Ungler tak samo prawił: „ten język wasz w niedbałość ludzką przyszedł a snadź przez obcy naród mało nie w upadek... tego wielmi lutując pracem się tej naprzód i przed innymi podjął, żem księgi polskie nigdy niebywały buksztaby drukował, potym inni ze mnie przykłady brali. Już teraz to pismo na wsze strony rozszerzyło się i szerzyć się będzie“. Ta nadzieja była zbyt optymistyczna. Inny cudzoziemiec, Wietor, roku 1541 prawił z równą słusznością (w przedmowie na „Język“): „będąc ja wmieszkanym a nie urodzonym Polakiem, nie mogę się temu wydziwić, gdyż wszelki inny naród język swój przyrodzony miłuje, szyrzy, krasi i poleruje, czemu sam polski naród swym gardzi i brząka, który mógłby iście, jako ja słyszę, obfitością i krasomową z każdym innym porównać“; przyczyny tego słusznie upatruje w skłonności polskiej do obczyzny, niesłusznie w trudności wyrażania polskich dźwięków; „prasował więc z pilnością“ te książki, ażeby „się też język polski szyrzył“. Drukowano przeważnie dla kobiet, więc w *iudicium* czyli prognostyku p. t. „Osądzenie spraw niebieskich sławnej nauki krakowskiej“ na rok 1529 czytamy, że przetłumaczono je z łaciny, aby „pospolity człowiek polski mógł czytać a osobnie panny, panie, gdyż matka Ewa to im po sobie zostawiła, żeby każda z nich wiedzieć tajemności chciwa była, a to co wie, żadnym obyczajem nie zataiła“. Glaber, tłumacząc Problemata Arystotelesowe, przyznaje też kobietom bystrzejszy z natury rozsądek, niż mężczyznom, którzy z zawiści przed niemi tają nauki.

Największe zasługi około przełamywania tych lodów, oprócz księgarzy-wydawców, położyli tłumacze, lekarz Biernat Lubelczyk, bakałarz Jan z Koszyczek, co tłumaczył Marchołta i Poncjana, t. j. „Historje o siedmiu mędrcach“, a może i „Historje rzymskie“. Poncjan, drukowany dziś jeszcze dla ludu, to zbiór nowel o chytrości niewieściej, pochodzenia wschodniego, rozszerzony we wszystkich językach świata od średnich wieków: król każe tracić syna, oskarżonego przez macochę, lecz mędrcy wstrzymują zawsze wykonanie wyroku, póki niemy syn-Józef odzyskawszy mowę nie odkrył fałszu macochy-Putyfarowej. „Historje rzymskie“ z Rzymem nic spólnego nie mają; jest to zbiór anegdot, legend, alegoryj, z wy-

kładem moralnym, z którego stukilkudziesięciu numerów tłumacz polski wybrał tylko trzydzieści kilka. Ta książka, jak Poncjan, drukowana niezliczone razy, zawsze do szczętu zaczytywana przez fraucymer i dworzan, w polskiem tłumaczeniu dotarła do najdalszej Rusi, przełożona na język cerkiewny. Nie wszyscy tłumacze byli jednak równie zdolni i pilni. Niemiec Mimer np. tworzył nazwy polskie wedle niemieckich; inny przemycał żywcem czeskie słowa i formy. Posiadamy rodzaj „biblji dla pauprów“, wydanej przed r. 1530, obrazki ze Starego a głównie z Nowego Zakonu z tekstem ewangelicznym na przeciwnej stronie, który sporządził chyba jakiś Ślązak, bo nie raziły go słowa napoły lub całkiem czeskie, jak *maudrosci, od tamtud sem, przatielu.* Jeszcze bowiem zawsze przeważał język czeski starszą swoją kulturą i obfitszą literaturą, jeszcze polski wzorował się na nim, szczególnej w dziale religijnym, w oznaczaniu oderwanych pojęć, a nawet państwowych terminów. Uchodziło to tem łatwiej, skoro obie mowy uważano nieraz za jedną, tylko rozdzieloną narzeczowemi właściwościami każdej; tak twierdził Hieronim Malecki jeszcze roku 1574: Czesi „są pirwszy niżeli Polacy i w tłumaczeniu ksiąg luterskich, chociaż mowa polska już dostatecznie *elegans,* ale w teologiej prawie bardzo mało albo nic nie jest wypolerowana“; dlatego nie wahał się zapożyczać słów czeskich. Przybywała nasza manja popisywania się czemś obcem, i jeszcze Górnicki (r. 1566) wyśmiewał Polaków, co ledwie przejechali granicę śląską a już mowę pstrzyli czechizmami, zamiast o stanach, mówili o „stawach“, a Seklucjan (r. 1551) wyraźnie zastrzegał się, żeby go dla niektórych mniej używanych słów jego przekładu nie chrzcił nikt „Czechem od Czerwieńska“. Czescy pisarze i księgarze liczyli zawsze na odbyt dzieł czeskich w Polsce, poświęcali je też panom polskim, np. lekarz Czerny i inni. O znajomości czeszczyzny na dworze Zygmunta Starego, o porównywaniu obu języków, które dla polskiego, zacofanego, grubszego, wypadało niekorzystniej, prawi wyraźnie Górnicki, lecz były to już ostatki przewagi czeskiej. Niebawem literatura polska miała się wzbić na wyżyny, dokąd czeska nigdy nie sięgała, czeska zaś tracić grunt pod własnemi nogami.

Narazie na polu literatury narodowej święcił pierwsze triumfy stan miejski; szlachta się do niej jeszcze nie przyznawała, ślepo hołdując językowi cywilizacji i świata. Występując dla zaspokajania potrzeb malutkich mistrze i bakałarze krakowscy, Biernat Lubelczyk, Jan z Koszyczek, Hieronim z Wielunia, Piotr z Poznania, Andrzej Glaber z Kobylina, co dobrze wyłożył i „Problemata“

i Miechowity „Wypisanie o dwojej Sarmacji“ i inne rzeczy, Walenty Wróbel, kaznodzieja poznański wielkiej nauki, gorącej wiary i nieskazitelnego życia (tłumacz naturalnie alegorycznego wykładu, Psałterza), Tomasz Kłos, Stefanek Falimirz i inni, nieznani nieraz z nazwiska, poświadczyli po raz pierwszy wyraźnie, że całe polskie mieszczaństwo, do niedawna napoły niemieckie, zlało się z narodem, przejęło się jego językiem, zwyczajem i życiem. Szlachtę reprezentuje nietyle Hieronim Spiczyński, który całkiem się zrósł z Krakowem, ile Marcin Bielski. Lecz mimo zasług mieszczaństwa około polerowania polszczyzny i zawojowania coraz nowych dla niego działów, druki polskie za Zygmunta Starego nie tworzyły nowej literatury, gdyż były tylko tłumaczeniami lub przeróbkami łacińskiej starzyzny.

Nawet pieśń religijna, pielęgnowana przez ojców bernardynów, Władysława z Gielniowa, Mikołaja Sokolnickiego i in., nie robiła postępów. Nie sprzyjały czasy, za widocznym upadkiem nabożeństwa, za rozpasaniem duchownych (franciszkanie krakowscy, kaznodzieja i inni bracia, roku 1516 zabili świątobliwego przełożonego, zaco trzech ścięto, innych zasadzono w Lipowcu), za pierwszemi podmuchami luterstwa. Śpiewały przeważnie kobiety, i nie przypadkowo oba najdawniejsze kancjonaliki katolickie, rękopiśmienne, z połowy wieku (1551 i 1555), przemieniają w tekście rodzaj męski oryginału na żeński, nie dbając na wiersz i rym, np. zamiast pierwotnego:

Ach nie stojcie grzesznemu, czemum wonczas niebył,
Gdy się namilszy mój pan Jezus narodził

wypisują oba teksty, puławski i kórnicki, dla tercjarek franciszkańskich:

Ach niestojcie *mnie grzesznej*, czemum wonczas *niebyła*,
Gdy się namilszy mój pan Jezu *narodził* (!!).

Biblioteka Pedagog. im. St. Konarskiego w Wadowicach

Celne miejsce między temi pieśniami zajmowały kolędy jasełkowe, gdyż franciszkanie za przykładem św. Franciszka czcili nadzwyczaj Dzieciątko i uświetniali obchód coraz nowemi pieśniami. Liczne są one w obu śpiewnikach, które zresztą mieszały dawne i nowe pieśni, bernardyńskie i franciszkańskie, jak i Żywot Opeców, gdzie, obok nowych pieśni Jana z Koszyczek i Hieronima Spiczyńskiego, znachodziły się „dawne nuty“ (tak je nazywa Seklucjan): Trzy Maryje poszły, Drogie maści niesły. W kolędach lubował sobie lud prosty, które tworzono coraz nowe, coraz drastyczniejsze, z szcze-

gółami o pasterzach i apostołach, nie licującemi z powagą czasu, miejsca i święta; już też roku 1602 potępił wyraźnie synod gnieźnieński „niestosowne i mniej nabożne pieśni w narodowym języku na Boże Narodzenie“. Zakazy nie skutkowały i lud po dziś dzień zachował te kolędy i pastorałki, jak wszelkie inne zwyczaje. Już w XVI wieku, tak jak dziś, na św. Szczepan czeladź służbę wymawiała, prawiąc: „Przyszedł św. Szczepan, Każdy sobie pan“. Tak samo śpiewa lud dziś jeszcze kolędę w dzień św. Jana Ewangelisty, zapisaną już w XVI wieku:

Mesjasz przyszedł na świat prawdziwy
I Prorok zacny z wielkimi dziwy,
Który przez swoje znaki
Dał z wody winne smaki w Kana Galilei...
Piotr z Apostoły stoi przy dzbanie,
Woła na Jana: pij do mnie Janie...
Pił Jakub garncem do Tadeusza,
A Jędrzej kuflem do Mateusza...
Kiedy Bartłomiej szukał szklenice
Judasz Skaryot podał donice...
Pawle z Maciejem, wam oskomina,
Boście niepili dobrego wina.

Pieśń ta naśladowała niby łacińską:

Messias venit huic saeculo
Propheta magnus cum miraculo
Ei muri muri infernales
Casuri estis, quamvis duri,

ale wzór nie znał szczegółów z karczmy polskiej. Zaczynano nawet w kolędach wyszydzać stany, narodowości i gwary, układano „kolędę Mazowiecką“ z wyrazów gwarowych:

Perolmy sie sibretkowie tą gasą...
Tędurędu do tej to wyskulicby,
Niech rozdergnie na nase pienie słuchy.
Przeto my sie tutka przywąkrolili

za przykładem scholarzy krakowskich, napastujących swych kolegów abecadłem mazowieckiem albo pytaniami: który to apostoł Mazurów ochrzcił (Judasz), że aż sąd rektorski cześć przywracał (r. 1517) narodowi mazowieckiemu.

W nowej tej literaturze popularnej nieraz przebijała owa niewybredna, dobroduszna, staropolska jowjalność, ów zmysł spostrze-

gawczy, które cechowały i pierwszego poetę narodowego, Mikołaja Reja.

Rok 1543 pozostanie na zawsze pamiętny, jako przełomowy. Wystąpili w nim po raz pierwszy a równocześnie, Fryc, Orzechowski, Rej i wycisnęli duchowe piętno na całem następnem dwudziestoleciu. Wyszedł w nim i pierwszy Katechizm polski napoły luterski (acz ostrożny w wysłowieniu), z wierszami polecającemi Reja, co już spolszczał i straszliwy pamflet luterski, Kupca, choć dopiero 1549 r. w Królewcu wydał go Seklucjan. Do obu statystów, gardzących barbarzyńskim t. j. narodowym językiem, przybywa Rej, wybitny typ dawnej umysłowości polskiej, krańcowy jej wyraz szczególniej w porównaniu z Orzechowskim. Obaj zrodzeni na Rusi, jeden z krwi mieszanej, Orzechowski pod Przemyślem, drugi z krwi polskiej, Rej w Żurawnie nad Dniestrem; jeden namiętny i gwałtowny, zadzierający z całym światem, w wiecznej niesnasce nawet z samym sobą, warchoł, drugi, choć hulaka, spokojny i pogodny, od ludzi się ani opędzi, tak go wszyscy lubią; obaj towarzyscy, wymowni; jeden głęboko wykształcony i wpatrzony w świat starożytny, drugi kompletny nieuk w tym wieku przyszywał płatki wronom, kiedy Orzechowskiego trybowali już humaniści w Wiedniu i Witenbergu. Szczęściem dla literatury narodowej — bo inaczej byłby ją i Rej zdradził, jak ją zdradzali Krzyccy i Janicjusze, Kochanowscy i Szymonowicze — Rej nie umiał po łacinie, choć w różnych szkołach kąty wycierał i p. wojewoda (Tęczyński) na dworze swoim mógł go tylko używać do polskiej korespondencji. Zato Rej umiał co innego: był muzykalny i improwizował z nadzwyczajną łatwością, „teksty dziwne a wiersze rozmaite, tak nic się nie rozmyślając czynił“, świeckie i pobożne, na wesela i pogrzeby, na herby i sprzęty, a wszystko nocą, ile chciał, boć mu w dzień przeszkadzali panięta i młodzież. Wystąpienie Reja jest nadzwyczaj znamienne, niemal rozstrzygające, w dziejach literatury narodowej. Przed nim istniała książka polska, ale dla kobiet. Gdy Hieronim Spiczyński wykład pacierza (Erazma z Roterdamu) 1533 r. lub mistrze krakowscy wykład psałterza (mistrza Walentego Wróbla, poznańczyka) r. 1539 drukują, myślą o „paniach i panienkach“, o zakonnicach — do kobiet zwraca się ta literatura, począwszy od Opeca i Marchołta. Rej przeciwnie rozprawia zawsze tylko z „dobrym towarzyszem“, jego wyłącznie ma na myśli, wprowadza żywioł męski, odczuwając żywo trudność w zdobywaniu wiedzy, w rozgarnieniu myśli, dla każdego, co się wcześnie nie włożył

w łacinę. Uczynił i drugi ważny krok: przed nim tylko tłumaczą, trzymając się niewolniczo paska łacińskiego, jakby się lękali, żeby przypadkiem myśl polska, polskie słowo samoistne, im się nie wymknęły. Rej pierwszy nie tłumaczy, lecz tworzy swobodnie, choć ma przed sobą wzór łaciński, nie korzysta z niego lękliwie, występuje zamaszysto, otwarcie. I występuje odrazu w wierszu i w prozie, na rozmaitych polach, lecz przeważa kierunek religijny i dydaktyczny, odpowiedni potrzebom wieku i własnej naturze, obcy prostej zabawie, rozrywce, samej sztuce i pięknu. I tak przekłada Psałterz, poświęcając obszerny a wcale swobodny, nie przekład, tylko parafrazę, polskiemu Dawidowi, Zygmuntowi Staremu. Od końca XIII wieku, od Kingi, Psałterz, najważniejsza, nieodstępna księga chrześcijanina (główna cześć składowa modlitw, wigilij, nieszporów), zajmuje w literaturze polskiej celne stanowisko. Modernizują pierwotny jego przekład w wieku XV, około roku 1470; ten średniowieczny przekład drukują bez zmian w Krakowie roku 1532; nowy, wydają mistrze krakowscy z obszernym wykładem nieraz nieuchwytnego sensu psalmów, zatrudnionego chęcią wynajdywania w nim coraz innych proroctw i alegoryj. Tę to księgę świętą Rej uprzystępnia (roku 1545) dobrym towarzyszom. Podejmuje prace w nadzwyczajnem skupieniu ducha, nie pozwala sobie na najlżejsze odstępstwo, wybryk, tak częsty zresztą u niego; w najgłębszej pokorze, z namaszczeniem, z prawdziwą wymową, jakiejby i Skarga później się nie powstydził, rozmyśla i modli się na tematy psalmowe. I stary król wdzięcznie uznaje nowe, niesłychane dotąd zasługi polskiego szlachcica: nadaje wieś Temerowce (rok 1546) „rymarzowi“, *vati polono,* zachęcając go do dalszych prac; pierwszy to hołd urzędowy, złożony literaturze polskiej.

Na oficjalny tytuł „rymarza polskiego“ już roku 1546 zasłużył Rej rzetelnie. Z pierwszych ulotnych wierszy przeszedł bowiem do kompozycyj większych; milczenie muz polskich zachęcało go do coraz nowych wysiłków. Bezimienny poeta polski — bo się na żadnej książce nie podpisał, sławy autorskiej nie pragnął, wystąpił już roku 1543 z „Krótką Rozprawą między trzema osobami, panem, wojtem i plebanem, którzy i swe i innych ludzi przygody wyczytają a takież i zbytki i pożytki dzisiejszego świata“ — tytuł długi wedle mody ówczesnej, dobrze treść wyrażał. Pierwsze to większe dzieło polskie oryginalne jest satyrą dialogową, w której każdy z „rozmówców“ wylicza wady innych stanów, a własne dolegliwości, w owym krótkim wierszu średniowiecznym, w którym Rej długi

czas sobie lubował, nim się nawrócił do trzynastozgłoskowca. Język jędrny, przesypany przysłowiami, porównaniami, malowniczy, płynny, miejscami wielomowny; treść codzienna, dostrzegana znakomicie. Oko Reja przenika sobkostwo posłów, wykręty prokuratorów (adwokatów), zdzierstwa duchownych, praktyki ku wyłudzaniu ostatniego grosza z mieszka chłopskiego, co wyliczał w tym samym roku Orzechowski tak dosadnie (w Przemowie Rzeczypospolitej). Krótko a dobitnie wystawia życie nad stan, karciarstwo, namiętność myśliwską (której zresztą sam się oddawał), strojnisiostwo kobiece, swawolę żołnierską; wszyscy mu „krzywi“ (winni), a za wszystkich pokutuje nędzny kmiotek. Motto tych wierszy, ich zamiar i cel:

Gdy też kto z miary wykroczy,
Nie źleby mu prawdę rzec i w oczy:

Przepełniają je obrazki realistyczne, jakich lepszych nie kreślił i później, jak ogółem ponad stanowisko zajęte w „Rozprawie“, wyżej się już nie wzniósł; owszem, dawał się później zbijać z tropu nadmiernej dydaktyczności, namaszczonej powadze, co mu nie zawsze licowały. Prawdziwego Reja poznajemy np. w takich wierszach:

Kiedy się zejdą na odpust,
Ksiądz w kościele woła, wrzeszczy.
Na cmyntarzu beczka trzeszczy,
Jeden potrząsa kobiałką,
Drugi bębnem a piszczałką,
Trzeci, wyciągając szyję,
Woła, do kantora piję,
Kury wrzeszczą, świnie kwiczą,
Na ołtarzu jajca liczą.

Pod śmiechem i figlami „rymarz“ kryje gorzką prawdę, szczególniej w końcowem narzekaniu Rzeczypospolitej na niewdzięczniki i wyrodne jej syny, co to

Upadł blizki a gniew boski baczą,
Przedsie jednak bujno na to skaczą.

Od tego dialogu, którym znamiennie i świetnie rozpoczął zawód pisarski, przeszedł Rej roku 1545 do owego Psałterza i do misterjum, co przeznaczał nie dla sceny, jakiej zupełnie nie znał nie na „teatrum“, lecz dla czytania: „Żywot Józefa z pokolenia żydowskiego, syna Jakobowego, rozdzielony w rozmowach person,

który w sobie wiele cnót i dobrych obyczajów zamyka", w dwunastu „rozprawach", niby pierwszy, oryginalny dramat polski, zawisły od łacińskiej „Komedji świętej Józef" Krokusa (r. 1537), ale warunków dramatycznych nie wypełnia, są tylko rozmowy. Treść biblijna wyłożona z wielomównością, która odtąd coraz bardziej cechuje Reja, w płaskim i pospolitym wierszu, jaki go już nigdy nie opuści. Wykład jednostajny ożywia się i urozmaica w trzeciej najdłuższej rozprawie (wiersz 880—3580) z Zefirą, żoną Putyfarową. Afekty, walkę między skromnością i wstydem a „niezbędną" miłością i zwycięstwo tejże, między panią stateczną a zwodnicą przedstawił Rej znakomicie, spoufalił się (on pierwszy!) z niewieścią umysłowością, z jej językiem, chociaż myśli i wszelkie zwroty odpowiadały raczej jakiejś Zosi, niż jakiejś egipskiej Kleopatrze. Zefira i jej służebna nabrały przez to jednak ruchu, barw i życia, czego brak Józefowi. Całość ma cel moralny: uczy ufać Bogu i cnocie, nie fortunie, a ma zarazem pobudzać do dalszego czytania i ćwiczenia się, do przestrzegania się ze szkód obcych.

Wcześniej z pod jego pióra wychodziły krótsze dialogi, odpowiadające najlepiej żywemu usposobieniu „rymarza": „Kot ze lwem rozprawia o swobodzie a o niewoli" — „lepsza trocha w swobodzie, niźli wielki koszt w niewoli", iście Rejowa maksyma, który się nigdy nie pętał żadnym urzędem. Kostera z pijanicą, Gęś z kurem, Śmierć z szewcem; Warwas z Dykasem, o kobietach. Nie był Rej o nich zbyt pochlebnego mniemania, jak i inni. Hieronim Łaski „żądał czegoś od Boga dla większego ciepła Polkom", lecz zmysł praktyczny nie opuścił Reja: nawymyślawszy dowoli, cofnął się i przyznał tę wartość kobietom, której tak często im odmawiali inni współcześni pisarze.

W przekładzie czeskim (polskiego tekstu nie znamy) z pod powłoki czeskiej przebija wiersz polski od pierwszego słowa o „białych głowach", obcego Czechom, właściwego Polakom.

W dziełku rozsiano wiele charakterystycznych rysów, np. o zakochanych opowiada Lupa:

Dziwy broją, jak szalony,
Harcując padają z koni,
Prze zdrowie z trzewików piją,
Bez ługu się często myją.

Takiemi to, coraz nowemi występami literackiemi Okszyc Rej wzbił się nad wszystkich „składaczy" polskich i ich niecie-

kawe[1]) rzeczy. Zacierała się nawet pamięć o nich i wyrabiało się przekonanie, że od Reja dopiero zaczęto pisać po polsku, że to on pierwszy przełamał te lody: inni pracowali, on odniósł zaszczyt, on już teraz rej wodził. Tymczasem nowe stosunki układały się w literaturze i życiu narodowem i Rej miał niebawem zająć miejsce jeszcze wybitniejsze.

Rok śmierci Zygmunta Starego jest pamiętny w literaturze i w dziejach. Milczące zawieszenie broni różnych partyj religijnych i politycznych, przedtem, wobec zgrzybiałości królewskiej, nie wytaczających żadnej zasadniczej walki, wyczekujących niedalekiej chwili zmiany rządów, ustąpiło gorączkowemu ożywieniu, spotęgowanemu sprawą osobistą, fatalnym ożenkiem młodego króla. Jak pierwszy, tak i ostatni Jagiellon rozdrażnił uczucia narodowe, pojmując bezdzietną wdowę kochankę, „ją czcząc a hańbiąc Polskę“ i narażając najlekkomyślniej przyszłość dynastji. Jak wówczas Ciołek, do walki na pióra stanęli i teraz literaci; zaroiły się pamflety Orzechowskiego, młodziutkiego Jędrzeja Trzecieskiego, Reja i innych, łacińskie i polskie, biblijne i świeckie, mowy i listy, dialogi i satyry, głównie w Wielkopolsce. Jeśliby się tam królowa z królem mieli udać, przestrzegał Mikołaj Czarny, „upstrzą kolebkę paskwilusy, trzeba będzie osobnych sztafierów (lokai), coby je oddzierali“. Rej wprowadził w grę ulubioną fikcję: „Rzeczpospolita polska chramiąc tuła się po świecie, szukając pomocy a narzeka na swe pany, iż o nię nie dbają“ (r. 1549). Sarkał tu strasznie na jad niewieści, jakim nas Bóg zniszczyć zamierza, niby nową Troję (Rej polerował się coraz bardziej w łacinie i mitologji), „zwłaszcza mając pana szalonego“, który zawinił:

Kładąc złoto na parszywe ciało,
Które płodu już nie będzie miało,
Bo ten żywot czart zapieczętował,
Iż nie według Boga postępował.

[1]) U innych wadził język, np. Opecia lub Biernata z Lublina, przestarzały dla XVI wieku; nie rozumiano ich, jak Rej później przyznawał. Inne świadczyły chyba o dziecinnej nieudolności, np. Księgi próbowane czyli stary obyczaj wiary z r. 1545, poświęcony przez jakiegoś szlachcica Hedwidze „marchjance brandeburskiej“, gdzie wyłożono punkty wiary w 334 długich wierszach, a każdy z nich zaopatrzono w cytaty i objaśnienia; najlepsze jeszcze dwa pierwsze wiersze:

Poradź mi w tym, miły kleryku, bo to ciężko na mię,
Gdy się na to rozmyślę, głowę w tym sobie łamię,

inne nieraz wręcz niezrozumiałe; nie dziw, że wobec takich próbek Reja wysoko ceniono.

Równie ostre są wycieczki przeciw biskupowi Maciejowskiemu i hetmanowi Tarnowskiemu, przeciw Radziwiłłom, którzy nie z nazwiska, lecz herbami są oznaczeni, jak Ciołkiem, Orłami, ogoniastą gwiazdą; nasiekaj z nich bigosu, ty ostry Toporze (Tęczyński); nie dziw, że księża hołdują Barbarze: rokieta (komża) i ciasnocha (koszula żeńska), jednakie odzienie! Orzechowski zwracał się równie gwałtownie ku wielkopolskiemu rycerstwu, skoro biskup i hetman małopolskie spraktykowali dla króla. Wystawiał dawno zapomniane dzieje, żeć to Wielkopolska, właściwa Polski kolebka, swoją krwią zdobyła resztę, niechżesz i teraz wszystkich ratuje; po nim powtarzał Rej. Trzecieski pisał spokojniej. Winił rozwiązłe wychowanie królewskie, które go uczyniło kobieciarzem, otoczenie, potakujące jemu zawsze dla własnych zysków, szydził z orłów radziwiłłowskich na ład humanistyczny (o Ganimedzie), przedstawiał przykre wrażenie zagranicą, zwracał uwagę, że król węgierski (Ferdynand) będzie myślał, że mu otruto siostrę (Elżbietę), pierwszą żonę Zygmunta Augusta, winił i Bonę, która budziła niesnaski między owem młodem małżeństwem.

Ta próbka polskiego pamfleciarstwa jest tem ciekawsza, że Rej zresztą nigdy nie szczypał i nie kąsał osobistości. Wrzawa o Barbarę wnet ucichła. Upór królewski i jej nagła śmierć — tak się z niej cieszyli, jakby Turka zwyciężyli, skarżyła się królowa w pieśni pośmiertnej [1]), — zahamowały rozpasane pióra. Inna zato wrzawa uciszyć się nie dawała niczem i rosła z dnia na dzień gwałtowniej. Lecz jak nieopatrznemi ślubami zawiódł Zygmunt August nadzieje narodu, tak też zawiódł te nadzieje, jakie w nim pokładano nietylko w Polsce, lecz i zagranicą, w sprawie o wiele ważniejszej, bo — o wiarę.

---

[1]) Pieśni polskich na zgon Barbary pojawiło się kilka; w jednej z roku 1551 (drukowanej 1558: Napis nad grobem zacney krolowey) królowa przemawiała do przechodnia, wypominając kruchość szczęścia ziemskiego i niedarmo powołując Dydonę (boć i to wdowa); druga ciekawsza: Narzekanie Królowej na nieszczęście, przeprowadza rozmowę między nią a szczęściem, chełpiącem się swemi darami.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

DRUGA POŁOWA XVI WIEKU. REFORMACJA.

Początki ruchu religijnego; przyczyny jego opóźnienia i rozbieżności. Lutrzy, bracia czescy, kalwini, arjanie. Polemika o wiarę; wpływ na literaturę. Reakcja katolicyzmu; dlaczego katolicyzm zwyciężył? Jezuici; Wujek i Skarga. Unja brzeska. Pisarze, wykolejeni polemiką teologiczną: Orzechowski, Fryc, Wolan, Glicner.

Umysłowe i religijne życie Zachodu wkraczało stale w granice polskie i wciągało naród w swe wiry. Już w trzynastym wieku sekta biczowników przebiegała Polskę, a w piętnastym husytyzm opanował, między panami, mistrzami i duchowieństwem, jednostki, chociaż ani dosyć liczne, ani dosyć energiczne. Reformacja XVI wieku, jak się zdawało między latami 1550—1560, miała Polskę pochłonąć zupełnie.

Siłę i gwałtowność nowego ruchu tłumaczył straszny zanik życia religijnego w stanie, powołanym do jego strzeżenia. Zemściło się teraz, że biskupi byli świeckimi dostojnikami, panami radami, jak wojewodowie i kasztelanowie i nawet przed nimi zasiadali w radzie. Hierarchja, Łascy i Krzyccy, Latalscy i Górkowie, Gamratowie i Dzierzgowscy, w rzeczach wiary zobojętniała doszczętnie i nie jej to zasługa, że reformacja późno porwała Polskę. Wyjątki, jak Maciejowski między biskupami, liczniejsze po kapitułach i w niższym klerze, nie zrównoważały zeświecczenia polskiego duchowieństwa i zgorszenia, jakie budziło w myślących i widzących. Karność klasztorna, życie zakonne rozprzęgło się zupełnie. Niesmak przejmował niechętnych, a przyczyn do niechęci, zawiści, pogardy,

dostarczały olbrzymie bogactwa kleru, które już w XV wieku obliczano skrupulatnie, żądając ich konfiskaty. Uwolnienie obszarów duchownych od obowiązków, jakie ciążyły na dobrach szlacheckich, gorszące spory o dziesięciny, annaty i inne opłaty, wywożone do Rzymu, bezprzykładna kumulacja prebend i beneficjów w rękach uprzywilejowanych, zagarniających chciwie dochody, a spychających obowiązki duszpasterskie na byle jakich głodomorów, indywidua bez czci i wiary, kupczące biskupstwami, bo z targu je dostawano, nieuctwo niższego kleru, który, za przykładem z góry, dbając nie o kościół i owieczki, lecz o intraty, potrzeby duchowe opędzał byle czem, średniowiecznemi baśniami i plotkami, zadowalając się zewnętrznemi praktykami, — to wszystko sprawiło, że na podatnej niwie słowiańskiej zepsucie przybrało przerażające rozmiary. Niechęć i nienawiść ku duchowieństwu rosły między szlachtą, napastowaną o dziesięciny, o miedze, o prestacje, ciąganą przed sądy duchowne (rządzące się innem prawem), oburzającą się na nieopatrzność przodków, którzy włożyli na nią takie nieznośne jarzmo.

Do tego domowego ognia dolewały oliwy nowinki zagraniczne. Szerzyły się najpierw po miastach w pasie granicznym, po ziemi pruskiej, w Poznaniu, Krakowie, Wilnie, dokąd przy ciągłych związkach dostać się musiały od Gdańska i Torunia, od Wrocławia i Marchji, od Królewca i Rygi; odzywały się najpierw między Niemcami, a potem przez ustną propagandę, przez książki docierały i do szlachty. Młodzież, ciekawa nowinek, zaczytywała się w książkach, tem ponętniejszych, im je surowiej zakazywano, a niektórzy zrzucali nawet niebawem jawnie maskę prawowierności. Większej wrzawy narobił w Krakowie mistrz Jakób z Iłży, głoszący z kazalnicy (u św. Szczepana) rzeczy luterskie, przeciw odpustom, czyśćcowi, a choć sam mistrz uszedł z Krakowa przed sądem biskupim, liczne pamflety, za i przeciw, o jego sprawie nie dawały zapominać. Tak i Hegendorf ze szkoły Lubrańskiej w Poznaniu, po nim dominikanin i kaznodzieja farny, Samuel Andrzej (r. 1542), ustępowali zagranicę dla szerzenia nowinek. Wycieczki młodzieży polskiej do bliskiej Witenbergi, przypadkowe, jak Orzechowskiego, umyślne, jak Fryca i innych, przyczyniały się do tego, że rosła tu powoli liczba Polaków, wabionych nie humanizmem Melanchtona, lecz sławą Lutra. Zaczynają się pojawiać królewskie zakazy wyjazdu, nakazy powrotu, ale te, jak i zakazy książek, wykonywano miękko albo niebawem odwoływano. Stary król, łagodny z usposobienia i zasady, ku ostrym środkom wyjątkowo dawał się nakłaniać, np. w Gdańsku, nie przywłaszczając sobie, jak później

i syn jego, sądu nad sumieniami, chcąc panować, jak mawiał, nad kozłami i nad owcami.

Mimo sprzyjających okoliczności reformacja nie szerzyła się narazie. Biskupi z królem mogli mniemać, że nie wyjdzie, podobnie jak husytyzm, poza jednostki, a przez zastosowanie dawnych edyktów da się niechybnie wytrzebić. I rzeczywiście, najznakomitsi zwolennicy reformy albo się jej wypierali (np. Decjusz), albo opuszczali kraj, jak Jan Łaski, synowiec prymasa, czciciel Erazma z Roterdamu, którego bibljotekę zakupił, zostawiając mu wielkomyślnie, jak Katarzyna II Diderotowi, użytek jej do zgonu. Łaski z Erazmem dzielił narazie stanowisko niechętne nowatorom, zagrażającym postępowi humanistycznemu swemi jałowemi sporami o wiarę. Wróciwszy do Polski, wciągał się jednak coraz konsekwentniej w nowy ruch i niebawem prześcignął i Lutra. Nierówny swoim kolegom, zrzekł się widoków na biskupstwa, trzymał prebendy, aż spłacił węgierskie długi braciszka (Hieronima), a potem rzucił wszystko, kraj i rodzinę. Nagi sługa nagiego Ukrzyżowanego poszedł na tułaczkę i zaważył na szalach niemieckiego i angielskiego protestantyzmu, urządzał kościoły we Fryzji i Londynie, gdzie pamięć wielkiego, świątobliwego męża, przechowują wdzięcznie dziś jeszcze, zaraz po Lutrze i Kalwinie. I jego zelektryzowała wieść o zgonie starego króla, i nasłuchiwał ciągle, czy się nie odezwą do niego na obczyznę głosy ukochanej ojczyzny.

Tutaj jednakże reformacja czyniła bardzo wolne postępy. Polak wierzył, jak jego król, twierdził słusznie Luter; lud przez konserwatyzm, szlachta przez obojętność nie rwali się do nauki niemieckiej. Duchowieństwo i szlachta rozruszali się powoli, w Krakowie, nawet w otoczeniu starego króla i w samej kapitule, w Wilnie, obok młodego króla, u jego kaznodziei; oddziaływał i bliski Królewiec i książę Albrecht, używający wielkiego poważania w całym kraju. Już odbywały się schadzki w Krakowie u Trzecieskiego (ojca), Leonard Słończewski w kazaniach w kościele Marjackim napadał ostro na papieża i duchowieństwo i mimo to został biskupem, za wpływem Bony. Bona udzielała kazań reformatorskich Ochina opatowi franciszkańskiemu Lismaninowi, i od franciszkanów wyszła niebawem herezja, którą się powoli zarażała szlachta krakowska; między ruską, przemyską i sanocką agitował Orzechowski. Już na sejmie piotrkowskim (z roku 1547 na 1548) szlachta w pierwszym artykule domagała się „przepowiadania czystego słowa Bożego“, bez domieszek ludzkich, rzymskich. Wszystko jednak odbywało się zawsze jeszcze niby cichaczem, prywatnie, bez walki.

Dzień zgonu królewskiego objawił grozę położenia; im dłużej tail się i tlił ogień, tem gwałtowniej wybuchnął. Hasło rzucono w Krakowie, gdzie napływ cudzoziemców wprowadził już i skrajne żywioły. Biskup kamieniecki (Leonard) kazał przeciw prymatowi Piotra, celibatowi, rozpasaniu duchownych; przed nim tłoczono się a szydzono z kaznodziei katolickich; już odzywały się głosy: „Gdyby to od nas zależało, małoby się w Polsce papieżników za rok jeden ostało". Księża i mnisi-apostaci, między nimi i Stankar, nauczyciel hebrajszczyzny na uniwersytecie, reorganizują kościoły, wyrzucają obrazy, wprowadzają kielich, usuwają mszę, żenią się lub grożą ożenkiem, a panowie Oleśniccy, Stadniccy i inni podtrzymują ich i podniecają.

Na tę chwilę przypada wskrzeszenie literatury polskiej w celach propagandy religijnej. Do działania na szersze masy nadawał się tylko język narodowy, bo skoro protestantyzm czerpał broń wyłącznie z Pisma Św., należało przedewszystkiem pismo to uprzystępnić ogółowi. Najkonsekwentniej postępował książę Albrecht. Jego Prusy obejmowały ludność litewską, pruską i mazurską; więc z nowego, królewieckiego uniwersytetu mieli wychodzić nauczyciele i pisma w tych językach, a ich działalność miała sięgać poza granice księstwa, do Polski i Litwy. Z zadania tego wywiązał się książę znakomicie: rzeczywiście przesunął na kilka lat centrum nowej literatury polskiej do Królewca, a nowinki pruskie, z drukarń Weinreicha, Aujezdeckiego (Czecha), Daubmana, zalewały Koronę i Litwę. Pomocnikiem był **Jan Seklucjan** z Bydgoszczy, bakałarz lipski i pisarz na cle poznańskiem, co nawrócił owego dominikanina Andrzeja Samuela, a teraz sam, nie chcąc się odprzysiąc luterstwa, uszedł do Królewca. Obydwaj wystąpili natychmiast z nowowierczemi pisemkami, z których szczególniej wymowne i drastyczne było „Wyznanie wiary chrześcijańskiej" Seklucjana z r. 1544. W Prusach książęcych skupiło się całe kółko litewsko-polskie, Kulwa, Rapagelan, Mażwid, „Malecki", tak się przezwał były drukarz krakowski Jan z Sącza, zawzięty wrog Seklucjana, młody a bardzo uzdolniony Murzynowski-Suszycki, później Radomski, Kwiatkowski i inni, profesorowie królewieccy i „fararze" pruscy, a cisnęli się do usług książęcych Biernat Wojewodka z Krakowa, Wielkopolanin Ostafi Trepka, młodszy Andrzej Trzecieski, licząc na jego jurgielty, na udział w propagandzie literackiej.

Należało najpierw rozruszać umysły katechizmami, czego średnie wieki wcale nie znały. Książę wystarał się wcześnie, jeszcze

w trzydziestych latach (1531 i 1535), o polskie przekłady Lutrowego Katechizmu, ale te, szczególniej pierwszy przekład, raziły barbarzyńską polszczyzną. Nowe, obszerniejsze, z polemicznemi wycieczkami przeciw katolicyzmowi, wychodziły teraz z pod pióra Seklucjanowego (1545 i częściej), a uzupełniały je kancjonały, dialogi satyryczne, przekład Nowego Testamentu, z dodanym komentarzem do ewangelji Mateusza, pełnym wycieczek przeciw starej wierze. Lata 1545—1552, to rozkwit tej działalności królewieckiej a szczególniej Seklucjanowej. Umiał on dobierać współpracowników (najwybitniejszy z nich, młodo zmarły Murzynowski, niepospolity filolog, który dla niego porównywał przekład ewangelji z greckim oryginałem; później Wojciech Nowomiejski, bakałarz toruński, tłumaczący dla niego Erazmowego Rycerza Chrześcijańskiego i in.), wybierać dzieła, co mu zewsząd nadsyłano. Sam był raczej wydawcą i nakładcą, nie autorem - tłumaczem, chociaż się później zdobył i na Postylę, zbiór kazań. Najpłodniejszy był rok 1549: wysypały się wtedy jak z rogu obfitości popularne wierszowane książeczki, jedna zjadliwsza niż druga, wszystkie bijące taranem w mury „papiestwa". Najcelniejsze wyszły z pod pióra *Reja*, który z „dobrego towarzysza", z moralizatora i satyryka, przedzierzgnął się niespodzianie w namiętnego apostoła, w zręcznego teologa, w zawziętego polemistę i cieszył się olbrzymiem powodzeniem — przyczem nic mu nie wadziło, że się stroił nieraz w obce piórka.

Najobszerniejsze dziełko, to „Kupiec", komedja, licząca niby „Józef" około 10.000 wierszy i strasznie nicująca naukę katolicką o dobrych uczynkach, postach, odpustach, przeciwstawiająca wymysłom ludzkim samą wiarę, jako jedyny grunt zbawienia. Nie jest to oryginalny płód Reja, lecz naśladowanie „Merkatora" Tomasza Kirchmajera (Naogeorga), najzręczniejszego i najnamiętniejszego z polemistów protestanckich. W Alegorji o kupcu, którego przy zgonie opuszczają dobre uczynki wobec djabła, kpiącego z nich, a który ocalał na sądzie Chrystusowym tylko gorącą wiarą, Polak osłabił najdrażliwsze sceny pamfletu, a w innych, w słowach skruchy i pokory, wzniósł się wyżej, niż autor oryginału. Napisał go Rej jeszcze przed „Józefem", bo o formie dramatycznej nie miał pojęcia, gdy zwartą tragedję Naogeorga rozwałkowywał na nieskończone rozmowy i powtarzania, wstawiając barwne obrazki rodzajowe, których i śladu niema w oryginale. Równocześnie Seklucjan wydał „Rozprawę o niektórych ceremonjach a ustawach kościelnych", gdzie w formie dialogu student z Witenbergi odwodził rodziców

od papiestwa, zbijając księże argumenty. W innej rozprawie, gdzie grzesznik z szatanem się rozpierali, a szatan to kościół rzymski, czytamy:

Msza twoja, czarcie, fałszywa
Od twych sług jest wymyślona...
A Chrystusowej przeciwna,
Księża za grosze czytają,
Nikomu nic nie dawają,
Jedno przez głowę ukażą,
Potem sami sposnikują (zjedzą ciało Pańskie).

Następuje potem opis procesji Bożego Ciała, godny pióra Rejowego. W innej książeczce pop ruski rozprawiał z księdzem rzymskim, a ten pop, to ewangelik, szydzący z obu obrządków, w których błędów co niemiara, np. wzywanie umarłych:

Wasz Stanisław, nasz Mikuła,
Staśka oświęciła buła,
Wybornego muła!
Patrjarcha urząd kupił,
A papież go przez krew nabył...
Zowie się tylko językiem
Chrystusowym namiestnikiem...

Rozterki między obrządkami powstały tylko,

Gdy (papież i patrjarcha) się o zwierzchność spierali,
Czci próżnej żądali.

Ale gorsze jeszcze błędy rzymskie:

Niecnotliwy ślub czystości,
Czyśćcowy ogień, odpusty,
Z czego tyje wasz wieprz tłusty,
Tym czyniąc lud pusty,

a łgarstwami opętaliście się, jakoby Piotr był w Rzymie i zabił go Neron, który sześć lat przedtem umarł, więc chyba Neron:

Z góry nań spaść zdechły musiał,
Czapką ji ściął, w której leżał,
Ściąwszy go w grób wbieżał.

Wymienione broszury, to tylko cząstka królewieckiego dorobku w wierszu i prozie; tak Stanisław Murzynowski w r. 1551 przetłumaczył „Historję o Franciszku Spirze“ (protestant wyrzekł się herezji, a potem w rozpaczy zginął). Usprawiedliwiał się, że śmiał swe imię

położyć na książce polskiej, skoroż tylko z łaciny „dziś pospolicie naukę sądzą“, jakoby w języku polskim, nie mogła być żadna rzecz pożyteczna a poważna wypisana, abo, jeśliby mogła, tedyby to krom wszelakiej trudności każdemu, ktoby chciał, przyszło. I stądże niektórzy za lekkie sobie ludzie ważą tych, którzy co po polsku piszą, zwłaszcza jeśli swe imiona podpisują.

Jak działały pisma Seklucjanowe, świadczy w r. 1555 autor „Nauk duchownych“ dla Zofji Odrowążówny, narzeczonej młodego Tarnowskiego, przestrzegający owieczkę duchowną: „nie dawaj uszu twych ani serca sobie kazić onym to pannam i paniom, które się włóczą z książkami kacerskiemi, mówiąc i zwodząc dobre i proste w wierze dzieweczki stanów wielkich“ (że nie kazał Chrystus świętych wzywać i t. d.). „Nadewszystkoć radzę, czytaj historje i żywoty świętych, które z łacińskiego języka przełożono na polski nie dla kogo jinego, jedno dla panien i dla pań stanów wielkich, aby, czytając, brały wzór życia... czytaj Żywot Pana Jezusów (Opecia)... miasto tedy niepotrzebnych rytmów i dwornych a świeckich pism których czasu dzisiejszego wiele jest polskim językiem drukowanych a zwłaszcza podeźrzanych ksiąg i pism kacerskich, a osobno Jana Seklucjana i jinych, których jest mnóstwo puszczono po polsku... nie czytaj jich ani z dworności ani z żartu ani z krotofile ani kwoli komu... nie daj się unosić ani czyją namową ku czytaniu pism i książek pokątnych żadnej pani i wielmożnej, żadnej pannie najwyższego stanu, własnemu mężowi“.

Nowinki pruskie zmuszały katolików, aby odpierali napaści tą samą bronią. Na dialogi odpowiadali innemi, gdzie student witenberski albo królewiecki, pobity Pismem Św., uznawał argumenty katolickie, albo gdzie wykładano i uzasadniano naukę katolicką w rozmowie z plebanem czy mnichem. Już w roku 1549 uczeń szkół krasnostawskich, Stanisław z Szczodrkowic, pokusił się o taką „Rozmowę pielgrzyma z gospodarzem o niektórych ceremonjach kościelnych“. Nastąpiły potem dowcipniejsza „Komedja o mięsopuście“, przeznaczona całkiem dla sceny, z pobożnemi pieśniami przy końcu aktów, zabraniająca zapustu (jeśli protestanci ten zwyczaj staropolski zachowali, czemuż inne, świętsze, zarzucają?), a broniącą celibatu, „Mnich“ Kromera (rozmowa dworzanina z mnichem o rzeczach wiary, tłumaczona na obce języki), znakomity językiem, spokojem, gruntownością wykładu — najlepsza książka katolicka, zarówno co do stylu jak co do treści, Korczewskiego „Rozmowy

polskie“ z r. 1553, jedna o obrządkach (popielcu i t. d.), druga o dziesięcinie i klątwie, z babą czarownicą, przyznającą się naiwnie:

W wiliją świętego Jana
Doiłam mleko ze zwona,
Ale tylko jeden szkopiec,
Bo mi nie chciało więcej ciec.

Teraz dopiero dawano katolikom Pismo Święte bez owych głos protestanckich. Tak więc w roku 1556 pojawił się Nowy Testament, a w roku 1561 biblja, tak zwana Leopolity. Ów ksiądz Jan ze Lwowa użył gotowego, średniowiecznego przekładu, poprawiając nieco tekst a modernizując język, mimo to pozostawiając tej biblji cechy średniowieczne i prowincjonalne, najfatalniejszym doborem słów z niemczyzny i karczmy. Nieskończenie wyżej stanęli protestanci, wydając w 1563 r. uczoną, a przełożoną gładką polszczyzną biblję brzeską (kalwińską). Pozostawali katolicy znacznie wtyle za protestanckiemi kancjonałami i postylami. Już w roku 1547 wystąpił Seklucjan z pierwszym niezdarnym zbiorem Pieśni duchownych a nabożnych, tłumaczonym po części z niemieckiego, który znacznie rozszerzył i poprawił w roku 1559. Równocześnie w roku 1554 przekładał na polski kancjonał braci czeskich ks. Walenty z Brzozowa zachowując liczne czechizmy. Nie lenili się i katolicy wybierać pieśni z czeskiego kancjonału i wydawać je osobno (np. Pieśń o Narodzeniu Pańskiem na świat w roku 1550); wydał też w roku 1558 Jakób Lubelczyk przekład psałterza całego w „piosneczkach polskich i pięciu księgach“. Postyle, kazania na niedziele i święta — Arzacjusza, krótką, i obszerniejszą — Corvina (Rabe Antoni), bardzo popularną, wyłożoną i na litewskie, przetłumaczył **Ostafi Trepka** z Poznania, który wykładał na polskie pisma Waldesa (Mleko duchowne dla karmienia i wychowywania chrześcijańskich dziatek w roku 1556), Wergerjusza, Brencjusza i innych protestantów. Hieronim Malecki, syn Jana, pleban łecki, przełożył Lutrową postylę w roku 1574. Ale największej popularności zażywała postyla **Reja**.

Dokończona w roku 1556, wraz z wykładem Apokalipsy św. Jana z roku 1565, opartym o łacinę genewskiej powagi Henryka Bullingera, zamyka długoletnią propagandę Reja dwoma najcelniejszemi, najdojrzalszemi dziełami, ozdobami polskiej literatury protestanckiej. Gdy wiersze i dialogi, „Psałterz“ i „Kupca“, odpowiadające wymaganiom chwili, niebawem pochłonęła niepamięć, tak, że niejedno znamy tylko z tytułów, „Postyla“ i wykład Apokalipsy przeżyły

autora. Mimo obszerności doczekała się pięciu wydań i tłumaczenia na litewskie, a protestanci śląscy przedrukowali ją (opuściwszy wycieczki antyrzymskie) jeszcze w roku 1864. Rozeszła się po całej Polsce i między katolikami, a nawet na Rusi znano postylę „światoho Reja“, jeszcze Wujek świadczył o niej, że „dla dworności i gładkości mowy języka polskiego między innymi górę otrzymała“. Mylił się wprawdzie Trzecieski, twierdząc, że Rej w niej „niczym nie allegował dla lepszej pewności, jedno Starym a Nowym Zakonem i wielu ludzi się było tą postylą w prawdzie obaczyło z onych dawnych zwykłych a zawikłanych nałogów starych“, ponieważ są i cytaty z ojców kościoła, co należy odliczyć na karb współpracowników. Szczera, prosta wymowa tej postyli, unikającej dogmatycznej strony przedmiotu, życzliwe spółczucie ku „braciszkom“, bijące z każdego jej zwrotu, gorąca skrucha i głęboka wiara — jednały jej wdzięczne uznanie ogółu. W przedmowie jej czytamy, że naród polski, chociaż, jak mówią, z natury ostry i roztropny, ale snadź pośledniejszy za wszystkimi innymi w naukach tego świata, że język jego „nieforemny“ i „zatrudniony“, że „bardzo prosta szkoła się tu zniosła do tego (dzieła)“; powtarza się maksyma i motto całej pracy życiowej Reja, o kamieniach (prostakach), które wołają, gdy powołani milczą. Pierwsza jej część rozprawia o bóstwie Chrystusowem, druga o naszych obowiązkach, trzecia o świętych pańskich; lecz nie o teologję i dogmata chodzi, głównie moralność ma Rej na widoku. Stąd żywotność i dostępność książki, unikającej jałowych sporów, a nęcącej cudnym językiem, malowniczym stylem, szczegółami powszedniego życia. Np. Marji, która nie uniosła się pychą, gdy jej przepowiadano wielkość jej syna, przeciwstawiał Rej nasze kobiety, które, i bez przepowiadania, gdy się zejdą, jedna drugiej prawi o synie, toć będzie pewnie biskup z niego albo wojewoda i przynoszą na to „konfekty i poczty“, tymczasem ów pan biskup albo wojewoda z chłopami w karczmie zasiadywa albo za pługiem chodzi. Tajemnica powodzenia Postyli polegała nie na wyznaniowej polemice, której mało co było, lecz na radosnem uczuciu, jakie z niej przebijało: skakałoż w niej serce, że wybiwszy się ze średniowiecznych mroków i manowców, z bajek i formułek ludzkich, kornie a ufnie, drogę nową, jasną, odnalazło do samego Pana.

We wstępie do Apokalipsy czytamy znowu: „Ja, będąc Polakiem a życzliwym narodowi swemu i ojczyznie tej, która mię, jako własna matka, w pośrodku siebie wychowała, gdyżem widział,

iż ini, od Boga obdarzeni, a snadź ci, co im to powinnie należało, mało o tym dbają, musiałem się tym jednym kamieniem uczynić (który by mówić umiał, powinienby każdy wyznać tę chwałę Pańską), a z strachem się o to pokusić, abych wołał o tej dziwnej wielmożności jego, aby też ta ojczyzna moja, a zwłaszcza w tych zaziębłych krajach a w ludziach mało dbałych, przypatrowała się tym zakrytym tajemnicam Pańskim a temu Bóstwu żadnym rozumem nie ogarnionemu, gdyż bez tego nic dobrego nikomu ani zacząć ani zstać się nie może. I pokusiłem się o to, acz z wielkim postrachem, abych też Polskim językiem, jako tako dogrzebając, Braciey swoiey a Narodowi swemu na pamięć zostawił". Namiętnie zwalcza wszystko rzymskie; triumfuje, że „nie lada ten handel (rzymski), darmo wziąwszy i drogo przedawać" upada, „jakoż już i dziś na oko widzimy smętek niemały między tymi kupcy, bo im bardzo jakoś ta apteka wietrzeje, już w niej tańsze recepta, niż pirwiej bywały". Jeszcze w roku 1900 Niemiec protestant z rozkoszą zbierał te wycieczki na pokrzepienie wojującego szyku protestanckiego. W Apokalipsie jednak kalwin Rej zwalczal już nietylko Rzym, lecz i własnych wczorajszych towarzyszów.

Dziwne bowiem zmiany przechodził polski protestantyzm w ciągu tych lat kilkunastu. Niedługo trwała jednolitość ruchu. Jeszcze w roku 1554 Stanisław ze Lwowa, układając „apologję wiary krześciańskiej" mógł ją pisać „obyczajem rozmowy Polaka z Prusakiem, bowiem z Prus najpierwej kacerskie pismo do Polski polską mową poszło"; w istocie jednak pruski luteranizm trzymał się niemal już tylko miast pruskich na czele z Gdańskiem i Toruniem, i Wilna, gdzie konfesja augsburska z niemieckimi kaznodziejami i książkami, wzmacniana od Królewca i Rygi, przetrwała do XVII wieku. Do Wielkopolski, gdzie luteranizm również zdawał się zakorzenionym, uszli przed nietolerancją Ferdynandową bracia czescy, znajdując walne poparcie u Górków, Ostrorogów, Leszczyńskich, a ich obrządek, chociaż Luter niegdyś zachwycał się chrześcijaństwem braci czeskich, różnił się znacznie od luterskiego choćby co do stanowiska ich duchownych, odpowiadał gruntowniej demokratycznym tendencjom słowiańskim. Zaś w Małopolsce masa świeżo nawróconej szlachty a nawet mieszczaństwa nie zatrzymała się przy luterstwie, lecz stoczyła się ku konsekwentniejszemu, radykalniejszemu kalwinizmowi, a niebawem dała się porwać najkrańcowszemu wirowi. To była wada organiczna pol-

skiego protestantyzmu, co się wzniecił prędko, ale świecił jeszcze krócej. Odczuł to i wyraził najpierw sam Seklucjan, który po r. 1560 zawiesił wszelką czynność wydawniczą, chociaż jeszcze przeżył ćwierć wieku: już się nie opłacały luterskie rzeczy, nie było już dla nich w Polsce posłuchu, tem mniej pokupu.

Teraz zemściło się owo długie wyczekiwanie. Gdyby protestantyzm szerzył się w Polsce, jak w Królewcu i Gdańsku, t. j. w latach dwudziestych, byłby już zyskał organizację i przywódców, którzyby nim kierowali jednolicie. Po roku 1548 w samym ruchu protestanckim nie było jednolitości zagranicą, i zdawało się, że protestantyzmowi grozi większe niebezpieczeństwo we własnem łonie, niźli od Rzymu, tak zażarcie zwalczały się mniemania i sekty. Taki to rozszczepiony prąd porwał Polskę nieprzygotowaną, gdyż nie było nikogo powołanego, któryby zapanował nad ruchem. Szlachta chciwie słuchała coraz nowych nowinek, wymysłów, argumentów i otworzyła się jej nagle perspektywa, wprost olśniewająca, niebywała dotąd na świecie.

Szlachta po dwuwiekowej niemal walce z tronem i władzą, dobiła się szczęśliwie zupełnego usamowolnienia; *nil de nobis sine nobis* (nic o nas bez nas) było już jej świadomem hasłem, już nurtowały myśli, że do ustawy obowiązującej wszystkich potrzeba i zgody wszystkich, a szlachcic polski powtarzał już dumnie, że nie miał sobie równego w Europie, wszystko chłopi, on jeden królowi swemu „niewinienem ci więcej nic jedno podymne (t. j. dwa grosze z łanu, które chłop, nie pan płacił), pospolitą wojnę (o którą nikt nie dbał), i tytuł na pozwie“. Ten szlachcic autokrata, to królewiątko, był dotąd wiązany tradycją tylko w rzeczach wiary. Teraz uśmiechało się rozbujałemu indywidualizmowi, samowoli, instynktom anarchicznym, że każdy szlachcic będzie sam rozstrzygał, co on i Bogu powinien, że wedle swego widzimisię będzie ustalał obopólny stosunek, że będzie rozkazywał, jak jego *„minister verbi Dei“*, zarzucono bowiem tytuł *„księdza“*, jako przypominający niewolę rzymską, miał wierzyć i uczyć. On zagarniał dochody i skarby kościelne i wydzielał z nich swemu ministrowi, co łaska, a wydzielał tak skąpo na rzeczy wiary, że gdyby nie Radziwiłł, to i biblji protestanckiej nie byłoby za co wydać. Sługę słowa Bożego uważał za własnego sługę, i słusznie, gdyż, kiedy ksiądz rzymski bywał szlachcicem i radą, zasiadał w senacie, minister protestancki pochodził z najniższych warstw; Łaski, Lubomirski to świecące wyjątki, reszta to albo wątpliwa szlachta (Krowicki, Wo-

lan), albo obce przybłędy (Stankar, Lismanin, Francuzi i Niemcy), albo miejscy i wiejscy synkowie, którzy się pięli do szlachectwa, jak Kalinowski (bo tak się ze szlachecka przezwał, chociaż mu się tylko „z Kalinówki“ patrzyło), Grzegorz z Żarnowca, z którego inni szlachcica zrobili, i tylu a tylu innych, np. Sudrowski, co to był sobie katem lwowskim, Suderkiem.

I nie było powagi, siły, ręki, któraby zahamowała rozbieżone koła. Żebyż to jeszcze król przystąpił do jakiejś sekty albo jaka głowa kościoła polskiego oświadczyła się — ale biskupi albo szydzili z każdej wiary, albo odgrażali się Rzymowi, lecz pocichu, np. Uchański, który najstraszniejsze bluźnierstwa na Rzym miotał jeszcze w roku 1559[1]): rzeczywiście apostatowało ledwie dwu dalekich biskupów, bez znaczenia, kijowski i żmudzki. I przemieniła się szlachta polska od pola, na które już nie wychodziła, w teologów, decydujących o naturach Chrystusowych i wzywaniu Św. Trójcy, wedle swego „widzimisię“, co stanowiło i ich normę prawniczą, jak to stwierdzał z przekąsem obcy jurysta, Rojzjusz.

Jedyną powagę posiadał Łaski, lecz zwlekał on z przyjazdem do Polski, czekając napróżno królewskiego wezwania. Gdy nareszcie

[1]) Na pozew rzymski księży „zawieśników“ (kardynałów) odpowiedział „Jedyną obroną, prawdą Bożą“, tłumacząc i nicując każdy ustęp pozwu, przeciw „nieurzędnemu urzędowi rzymskiemu“, służącemu mamonie; moja przysięga posłuszeństwa papieżowi nie więcej waży, jedno jako starodziejskie zaklinanie; Rzym prześladuje prawdziwą wiarę i chce świat, „słowem Bożym w tych czasach nie dawnych lepiej niż przedtem *średnich czasów* oświecony zasię w ciemności wciągnąć“; on obłudny, gardzi prawem boskiem i ludzkiem, ale teraz już nie tak straszny, jak dawniej, kiedy to Bóg świat karał „tą plagą ciemności i niewoli rzymskiej, która się faraonowej równała“; narabiając starym djabłem, poduszczającym Rzym, i żałując, że mszy dotąd nie zarzucił, kończył biskup jawną groźbą: pożal się Boże, że są tu jeszcze, którzy was (Rzymu) słuchają, nie wiedząc co czynią; owa „da Pan Bóg, że rychło i ci się obaczą; ale będą oni was upornie słuchać więcej chcieć, jeszcze z wolej Bożej może ich to potkać, co też takie przed laty w Polsce potykało“ — co to za groźba? czy nie najdawniejsza aluzja do tak zwanego rokoszu gliniańskiego, gdy to niby Granowski wyścinać kazał Polaków-senatorów, schlebiających i potakujących Ludwikowi węgierskiemu? Uchański do literatury należy nietylko przez ten pamflet; przetłumaczył on *z cerkiewnego na polski* — rzecz niesłychanie rzadka u Polaków, możliwa w ziemi chełmskiej, gdzie się stykano z Rusią — katechezy („pouczenia czyli ogłoszenia uczytelne“) patrjarchy jerozolimskiego Cyryla, księgi o wierze i o świętych „tajnach“, zachowując nieraz terminy słowiańskie. Przekładu dokonał niemal równocześnie z Janem Grodeckim, który grecki oryginał po raz pierwszy przetłumaczył na łacinę i wydawał w Wiedniu, Antwerpji, Kolonji. Uchański, jedyny z Polaków, znał dobrze literaturę cerkiewną, cieszył się np. z jej wykładu psalmów Teodoreta, poszukiwał rękopisów jej i na Bałkanie.

wrócił, zmarnował już siły na dalekiej tułaczce, w ciężkich przejściach wewnętrznych i zewnętrznych. Była to ruina, cień człowieka, który trzymał się żelazną siłą woli, lecz niebawem zamknął na zawsze znużone powieki. Głowami protestantyzmu pozostawali panowie świeccy, Boner, Radziwiłłowie, Zborowscy, Sapieha, Górka i Chodkiewicz, a gdy urywały się ich życia albo wiara, i sam protestantyzm musiał ginąć.

A ginął tem pewniej i rychlej, skoro sam grób sobie kopał. Bo gdybyż zostało przy tych trzech obrządkach, jakie się zagnieździły w Polsce przed rokiem 1560! Luteranie, kalwini, bracia czescy, acz różni nawet w dogmatach, np. o sakramencie ołtarza, mieli przecież grunt spólny, nie targali się na podstawowe dogmaty chrześcijańskie, na Bóstwo Syna, Trójcę Św., nieśmiertelność duszy i ciała, wieczność kar piekielnych. Ale co zaczął Luter, zdzieranie dachu, Kalwin dalej prowadził, burząc mury, dokonali, burząc fundamenty, Serwet, Ochin, Gentilis, Blandrata, Socynowie. Luter, Zwingli, Kalwin, bracia czescy, wierzyli głęboko i kornie; ci prawnicy i lekarze mędrkowali; tamci byli wrogami humanizmu, Erazma z Roterdamu, antyku; ci wyszli wprost z humanizmu, z usamowolnienia myśli, nie przyjmowali niczego, czegoby rozumem nie dało się pojąć czy udowodnić, zimne serca a gorące głowy; wszystko Włosi, zguba Polski, jak zauważył trafnie Beza. Protestanci, odkrywszy właśnie Polskę, jako jedyny kraj wolności sumień, gdzie nie obowiązywało *cuius regio eius et religio* (czyj kraj tego i wiara), dostrzegli niebawem, co to miało znaczyć „u nas w Polsce, wolno jak kto chce“ w rzeczach wiary. Kacerstwa, prześladowane wszędzie, znalazły w gościnnej, wolnej Sarmacji przytułek, bezpieczeństwo i rozwój; tu ściekały, jak do kloaki, wszelkie rynsztoki herezji, na co utyskiwano w Szwajcarji, w Marchji i w Prusiech. Subtelna a konsekwentna mądrość włoskich prawników i lekarzów, stosowana do teologji, wydała owoce, a gdy ci, co je szczepili, uchodzić musieli nietylko przed nową, straszną inkwizycją, lecz i z Genewy, gdzie Kalwin stracił Serweta, zwracali wzrok ku dalekiej Polsce, ku jej młodemu królowi, który sumień nie chciał gwałcić, ku jej możnym panom, których ramię chroniło przed Rzymem i Genewą, ku jej bogatym a gościnnym domom szlacheckim i mieszczańskim. I dziwny, poruszający widok tych starców, ślących do Polski dzieła i listy, z dalekiej np. Gryzonji taki Negri, co dla wieku i odległości nie pójdzie do Polski, lecz poświęci Radziwiłłowi tragedję o wolnej woli (roku 1559), paszkwil na katolicyzm, z nadmiernemi pochwałami Radziwiłła, Andrzeja Trzecieskie-

go, znawcy trzech języków (łaciny, greki, hebrajszczyzny: języków narodowych do języków nie liczono), Reja (za „Kupca"). I wnosili inni zarzewie dalszych swarów, do których przygotowywał umysły Piotr z Goniądza, pierwszy polski antytrynitarjusz i nowochrzczeniec. Czem nasiąknął w Szwajcarji i na Morawach, ziarna tych wątpliwości zasiewał u samych swoich przeciwników. Jeszcze fatalniej wpływał luteranin Stankar nauką o Chrystusie; znajdował on przekonanych uczniów, np. Krysztofa „Przechackiego" ze Lwowa, autora pisemka „Okazanie tego, iż P. Krystus Pośrzednikiem jest Boga i ludzi z strony człowieczeństwa telko" (1560), chociaż dotąd nie teologją, ale szkołą się parał i język polski dla takich rzeczy jeszcze mu był nie dosyć wypolerowany. Coraz bardziej wzmagało się „arjaństwo": Piotr Statorjusz, później Stoiński, Francuz rodem, zajęty w szkole pińczowskiej przy tłumaczeniu biblji brzeskiej, odezwie się, że Duch Św. nie jest osobą boską, lecz tylko własnością Boga Ojca, że wzywać Ducha Św. nie godzi się, a sam synod poleci ministrom, aby w kazaniach wystrzegali się używania „filozoficznych" terminów (nie istniejących w Piśmie Św.), o Trójcy Św., o przedwiecznej istności i t. p. Jedność między protestantami, przynajmniej małopolskimi, najruchliwszymi, stanowczo się zachwiała.

Rok ten przedstawiał szczyt agitacji protestanckiej, naciskającej zewsząd. Jeszcze w roku 1556 zmobilizował był Trzecieski cały obóz antikatolicki, wyliczając w łacińskiej elegji „o początkach i wzroście ewangelji po zdemaskowaniu antychrysta" (t. j. Rzymu), jednym tchem od króla aż do „ministrów" niemal wszystko, co było w Polsce wybitniejszych umysłów i jawnie lub skrycie sprzyjało nowej ewangelji. Bolesny ten sztych odbił Rojzjusz, przedzierzgnąwszy się z jurysty w apologetę swoim „Tysiącznikiem", gdzie z większym ferworem, lecz mniejszym skutkiem zaciągał „heroów katolickich" głównie z samego duchowieństwa; ci jednak nie wstrzymywali zwycięskiego pochodu nowowierników; nie zbierało się na energiczniejsze wystąpienie. Mieli już protestanci własne drukarnie, ale nie wystarczał Królewiec, a nie potrzeba było Lottera w Magdeburgu, u którego jeszcze Marcin Krowicki drukował patetyczne posłania do króla i narodu polskiego przeciw Rzymowi, niby nowy Luter. Miano teraz nowe drukarnie Oleśnickich w Pińczowie, Radziwiłłów w Brześciu Litewskim (Murmeljusz), w Krakowie (Wirzbięta), później inne, w Węgrowie, Łosku, Nieświeżu, Grodzisku. Teraz już w Polsce drukowano najzjadliwsze pamflety na katolicyzm, tłumaczone i oryginalne, jak obie „trajedje kroto-

filne“ Ochina, o papieżu i o „mszey“, co Trepka przełożył, a wydał Lismanin, wykazujące w formie dramatycznej szatański początek obu, tudzież obszerną Apologję **Marcina Krowickiego**, zbijającego „Krótką odpowiedź“ biskupa krakowskiego (Zebrzydowskiego) stałem przeciwstawianiem krzyża, wiary, pokory Chrystusowej a rzymskiej. Pismo było tak ostre, że w przedruku po dwudziestu kilku latach nowy wydawca usprawiedliwiał, jakoby na rzymskie pokrzywy takiego mrozu było trzeba. Jeszcze w roku 1602 przetłumaczył je na niemieckie i poświęcił miastu Rydze Cyrjak Moller, przyczem zaznaczał, że jego mowa z ozdobnością polskiej równać się nie może. Krowicki kończył wywody twierdzeniem, że papież to Antykryst, ale wydając (roku 1561) nową książeczkę o tym właściwym obrazie a konterfekcie antychrystowym, rozszerzał pomysł niegdyś husycki, później luterski, wykazując, gdzie jego członki. Dodana autobiografja w wierszu polskim jest pierwszym utworem tego rodzaju. Jeszcze większe znaczenie miała polemika, jaką spółcześnie prowadził włoski eksbiskup i rzymski eksnuncjusz a teraz nadworny teolog wirtemberski, Wergerjusz z Hozjuszem. Do Polski zazierał Wergerjusz już od roku 1556, wydawał listy nuncjusza i papieskie, drukował w Królewcu i rozrzucał po Polsce zjadliwe utwory, np. Historję o papieżnicy, średniowieczną bajkę, którą uświęciła kronika papieżów i cesarzów Marcina z Opawy, agitował przeciw Łaskiemu, liczył na króla, wysyłającego właśnie w r. 1560 kilku młodzieńców do Tubingi dla nauki „czystej“ wiary. W Czterech Dialogach (roku 1559) polemizował z „Osjuszem“, którego nazywał *osor lucis*, nienawistnikiem światła. Szydzić z nazwisk i przedzierzgać je lubił nadewszystko. On to wynalazł owe *apostaticus* zamiast *apostolicus*, *Satanissimus* zamiast *sanctissimus*, czem się rozkoszowano w Polsce, *bajędę z agend, kątolików* (pokątnej wiary) *z katolików, konewnij z kanonij* i t. d. dorabiając. Napoły Słowianin wstawiał się za używaniem języka narodowego w biblji i liturgji, czemu sprzeciwiał się *Germanopolonus* Hozjusz, twierdzący, że rozumienie słowa Bożego nie jest konieczne, bo któryż uczony rozumie choćby psałterz, któryż laik choćby modlitwę pańską, a na Rusi sam duchowny nie rozumie, co czyta. Narzecza słowiańskie różnią się, więc czyż dla każdego z nich tłumaczyć wszystko zosobna? któż zaręczy za prawowierność tłumaczenia? Tu wyłonił się osobliwszy pomysł Wergerjusza, znającego z biskupstwa i rodziny język chorwacki: twierdził, że należy dla Słowian, jak dla Niemców lub Francuzów, wybrać jedno narzecze, między nimi najpospolitsze i niem zabarwić przekład i starał się

tym sposobem pierwszy utworzyć język niby wszechsłowiański i zapowiadał wydanie obu Zakonów w języku, jaki zrozumieją i inni Słowianie, do czego jednak nie przyszło.

Postępowała nawet organizacja: na synodzie w Książu w roku 1560 podzielono kalwińską Polskę na prowincje i powiaty, a panowie przedłożyli „porządek zborowy“, co niemal wykluczał ministrów ze zborów; na ich protesty projekt zmieniono, przybrano ministrów do „senjorów“, do starszych świeckich, lecz świeccy przeważali stanowczo. Rosły nadzieje protestanckie; liczono na króla, nęcono go przecież widokiem zerwania nienawistnych ślubów z Austrjaczką liczono na magnatów, nawet Tarnowski uchodził za sprzyjającego nowej wierze, wybitniejsza szlachta była już niemal protestancką, protestanccy posłowie rej wodzili na sejmikach i sejmach, Litwą trzęśli Radziwiłłowie i Kiszka, a ze skuteczniejszym oporem duchowieństwa katolickiego już się nie liczono. Lecz „wiatrem nadziane puknęły nadzieje“. Protestantyzm narobił ogromnego hałasu i wrzawy, ale podstaw nie miał i rozbił się o bierność ludu, chłopów i mieszczan. Ci zżyli się z dawną wiarą, z wiarą ojców, za której kwitnęły sioła i miasta i nieufnie spoglądali na nowego księdza, roztasującego się na probostwie z żoną i dziećmi, zabraniającego postów, zasłaniającego lub wyrzucającego obrazy i posągi, chociaż nie popierał swej misji żadnem nowem objawieniem, żadnemi cudami, tylko dogadzał ciału, świętych ani czcił ani wzywał, jakby to przystęp do Boga samego był tak łatwy, o Matce Boskiej niczego nie dzierżył, a szydził z „deski częstochowskiej“. Niepokoiło zarzucenie ceremonij, czem się głównie trzymało nabożeństwo chłopskie. Jakżeż rozpędzać chmury, czem leczyć siebie i dobytek, jak zapewniać obfitość w stodole i oborze, jeżli nie będzie żadnych „świętości“? do kogoż się udawać, jak nie do św. Agaty od ognia, do św. Rocha od moru, do św. Apolonji od zębów, do błażejków, paschałów, palmowej rózgi, święconego kwiecia? A gdybyż jeszcze z nową wiarą ulżyło kmiotkowi! — przeciwnie, pan nowowiernik zdzierał jeszcze niemiłosierniej, nie czuł przecież już nad sobą żadnej grozy. Ta apatja chłopów polskich uderzała protestantów, tem bardziej, że w Niemczech właśnie od siół i miasteczek najbardziej się garniono ku nowej wierze. Pytanie to poruszył na synodzie toruńskim w roku 1595 ks. Turnowski, opowiadając o ewangeliku, co pytał chłopa, dlaczego nie rzuca rzymskiej wiary z jej widocznemi błędami? Lecz chłop odpowiedział: „azaż się nam czego chce w tej niewoli? Nie mamyć my czasu i o Bodze myślić. Najdą

panowie i w niedzielę nas czym zabawić. Już nas z tej ciężkiej niewoli ani Bóg, ani djabeł nie wybawi. W gorszymeśmy u państwa swego poważeniu, niż bydło. Psią krwią nas nazywają a jeszcze bardziej swoje psy niż nas poważają. Już nam tak przyjdzie i na tym i na onym świecie cierpieć". Ugrzązł, jak na mieliźnie, na apatji i konserwatyzmie słowiańskim protestantyzm polski, który ani się tknął wsi, nawet do miast (Lwów, Przemyśl) nie docierał, u drobnej szlachty na Mazowszu nie znajdował zwolenników. Była to wiara pańska i niemiecka.

Głowy zapalne, skłonne ku naśladowaniu wszystkiego, co nowe, obce, modne, przyzwyczajone do samowoli, zajęło nowatorstwo. „Teraz król do kościoła, a większa połowica senatu i dworu, jako złe z trzewika, króla o drzwi kościelne otarszy, do swych borów albo zborów się rozbieżą", sarkał wójt wileński, Rotundus w roku 1564. I między panami jednak nowa wiara nie puszczała głębszych korzeni. Przeszkadzały temu widoki świeckie. Pytano się, czy po wypowiedzeniu posłuszeństwa papieżowi i kościołowi nie nastąpi i złamanie porządków państwowych, czy luterstwo, jak mawiał Tarnowski, nie przemieni się w łoterstwo? Później przecież sami ewangelicy nie życzyli sobie króla protestanta. Król papieżnik dawał im choć tę gwarancję, że kogoś nad sobą uszanuje, będzie się bał przysięgi. W ten punkt bili katolicy: kto się wstydzi być papistą nie zostanie i regalistą. Jeszcze gorzej skutkowało rozszczepienie protestantyzmu; katolicy dowodzili triumfująco: zaczęło się to od piętnowania kościelnych nadużyć, jubileuszów i odpustów, mszy i czyśćca, świętych i postów, a skończyło na przeczeniu Trójcy Św., bóstwa Chrystusowego, nieśmiertelności duszy i skłaniało się widocznie ku ateizmowi. Sami protestanci czuli ten brak zgody i sromali się na pytanie, któraż to nowa wiara prawdziwa, czy królewiecka, czy genewska, czy morawska? Niesnaski składali na dopuszczenie boże, a pocichu próbowali budowania wspólnej podstawy. Zgóry jednak wyłączali z niej „arjanów", brzydząc się nimi gorzej, niż Rzymianami, żądając ich wydalenia — czego nie dopuszczał Hozjusz, bo wydalać jednych znaczyłoby upoważniać drugich. Rozłam między zborem większym (kalwińskim) a mniejszym (arjańskim) był faktem dokonanym. Więc nie pomagała i powaga Pisma Św., bo któż miał rozstrzygać jak je wykładać? Pismo przecież to niby statut, musi być jeszcze ktoś obok niego, kto je zastosuje i objaśni, nie może pierwszy lepszy przywłaszczać sobie tej władzy, skoro wszystkie błędy powołują się na Pismo

Św. Po wyłączeniu arjanów skołatały tamte wyznania jaki taki „konsens sandomirski“, krok nadzwyczajny w owych czasach, gdzie się kacerzowano o literę, przedwczesny, więc dla innych kościołów nieobowiązujący, a nawet w samej Polsce raczej pozorny, niż istotny, skoro nie przyszło do rzeczywistego zlania się zborów; ustawały chyba gorszące, podjazdowe, wewnętrzne walki, gdyż wspólny wróg, katolicyzm, coraz bardziej podnosił głowę. Po konsensie z roku 1570 protestantyzm polski odniósł tylko jedno jeszcze świetne zwycięstwo, gdy mu się udało, mimo oporu biskupów i Mazurów, wstawić artykuł o wolności sumienia (dla panów szlachty) *de pace inter dissidentes servanda* w pakty henrycjańskie, w roku 1573. Niedbalstwo katolików umożliwiło ten triumf, nieodpowiadający już wcale stosunkom sił obopólnych. Protestantyzm już się cofał, już postradał najwybitniejszych przedstawicieli, Chodkiewiczów, Łaskich, Radziwiłłów, nie robił już żadnych nowych zdobyczy, tracił, co posiadał.

Z tego obcego posiewu na ziemi polskiej wystrzelił przecież jeden dziwny kwiat — arjanizm polski. Opór Łaskiego, a po jego rychłej śmierci, Sarnickiego, nie udaremnił zakusów nowej sekty, luźnej, nie związanej żadnem wspólnem wyznaniem, obrządkiem, nauką, stojącej kilkudziesięciu ludźmi, Piotrem z Goniędza, Grzegorzem Pawłem z Brzezin, bardzo czynnym w latach sześćdziesiątych Krowickim i Włochami wraz z Statorjuszem. Mimo to ci nowatorzy reprezentowali siłę w społeczeństwie szlacheckiem, rozgorączkowanem swarami o wiarę, o którem prawiła „Zgoda“ Kochanowskiego roku 1562:

Jęli się sami kazać i żony wćwiczyli,
Więc teraz wszyscy każą, a żaden nie słucha;
Spytajże, skąd apostoł? — Duch, pry, gdzie chce dmucha;

a w roku 1564 „Proteusz“ (Wolana):

wasze biesiady
(Zwłaszcza na wety) o wierze dysputują rady:
A chcą ci być doktormi, co nic nie umieją;
Tym rozumu przybywa, gdy szyję nalеją.
Fraszka u was, swarzyć się o Pańską wieczerzę (jak u Niemców)
Powadziła was, słyszę, ona Święta Trójca;
Chcecie wiedzieć, jako Syn urodził się z Ojca.
Chcecie wiedzieć, jako duch z Obudwu pochodzi,
A widzę, żeście barzo w tych naukach młodzi...
Ztąd wielkie zamieszania rostą i fasoły;
Drudzy się korda radzą, nie prawdziwej szkoły.

Z początku tylko ministrowie poszli za włoskiemi nowinkami. Później pociągnęli za sobą nieco szlachty i mieszczaństwa, Mikołaja Sienickiego, Demostenesa izby poselskiej, Jana Niemojewskiego, bardzo poważnego i wymownego, acz nie głębokiego teologa (jego brat Jakób kalwin, ostro się ucierał z arjanami i katolikami; obszerne jego wywody przeciw ks. Herbestowi przetłumaczono nawet na niemieckie — pierwsza protestancka książka polska o wierze, godna takiego zaszczytu), Taszyckich, Błońskich, Otwinowskich, Lubienieckich, Morsztynów, Potockich i innych. Jednak arjanizm nie wylał nigdy szeroko: trzymał się Podgórza, podsycany tu z Węgier i Siedmiogrodu; był i na Litwie, skąd potem przeniósł się w Lubelskie, do Rakowa, usychając powoli w litewskiej kolonji. Istota tej wiary nie dopuszczała jej szerzenia. Polscy arjanie byli konsekwentni nietylko w przeczeniu dogmatów chrześcijańskich, ale, trzymając się samej ewangelji, nie na żart wypełniali jej żądania: nie zabijać (a więc i nie wojować), nie sądzić innych, aby nie być sądzonymi, w imię braterstwa chrześcijańskiego nie dopuszczać niewoli ludu, nie sprzeciwiać się czynnie złemu, unikać świeckich marności, tańców i zabaw, strojów i wymysłów, chrzcić nie niemowlęta, lecz dorosłych, którzy wiedzą i wierzą, co ślubują Bogu, to przechodziło powoli w dogmata i obyczajowość arjańską. Już w roku 1568 spierano się na synodziku litewskim o to, „jeśli się godzi chrystjaninowi mieć poddane i niewolną czeladź, abo nie“ — nazywali się chrystjanami, nie chrześcijanami, boć „Pan nasz Chrystusem, nie Chrzestusem się nazywa“ (wedle Piotra z Goniędza). Strony ścierały się namiętnie. Ci arjanie, którzy, jak Szymon Budny, odmawiali Chrystusowi bóstwa i dlatego obok Nowego Zakonu opierali się na Starym, aż się do żydostwa stoczyli, nie dopuszczali skrajności i urząd, miecz i niewolę sobie przywłaszczali; inni, co nie poniżali Nowego Zakonu, nie poddawali się świeckim wymaganiom i w dziejach kościelnych zatrzymali miejsce między mennonitami, kwakrami, baptystami i innemi racjonalistycznemi sektami. Że taka nauka w świeckiej i światowej Polsce nie mogła zyskać licznych zwolenników, że się nie zjawił żaden magnat między tą szarą bracią, że garnęli się do niej ludzie z miasteczek, od cechów i kramów, było to naturalne. Lecz również z takiego założenia wypływały troski o oświatę, o życie myślące, o zgodę i harmonję, i arjanie, acz mała garstka, zajęli w literaturze wybitne stanowisko. **Marcin Czechowic** i **Szymon Budny**, znakomity znawca cerkiewszczyzny, należą do najznakomitszych pisarzów polskich. Nie

pisywali oni po łacinie, zwracając się do wszystkich, nawet do Żydów, a pierwszą polemikę wyznaniową z rabinem żydowskim odprawił po polsku właśnie Czechowic. Dzieła ich tępiono. Były to nietylko polemiczne, katechizmowe, moralizujące dialogi, wiersze, traktaty, lecz były i tłumaczenia Pisma Św., jak biblja nieświeska Budnego (ten Białorusin porównywał polski przekład z cerkiewnym używał słów i frazesów cerkiewnych, *nadzieję się na nim* zamiast *ufam w niego*, i hebrajszczyzną nawet w imionach własnych, niezwykłych dla uszu polskich. nadrabiał), Nowy Testament Budnego i Czechowica. Oni najwcześniej zbierali pamiątki po swoich mistrzach, materjały dla historji tych „bohaterów chrystjańskich". Włoch Leljusz Socyn młodszy stworzył ich dogmatykę, ów Katechizm Rakowski, tłumaczony na wiele języków, m. i. na angielski i holenderski, który uśmierzał krańcowe, antyspołeczne dążności i zwyciężył przeciw Czechowicowi i innym zagorzalcom. Socyn żył i umarł w Lucławicach, a jako Włoch, pisał wyłącznie po łacinie. Łacina panowała i w późniejszych dziełach arjańskich, gdyż dla subtelności dogmatycznych nią się posługiwać należało, a wyjątkowo zjawiała się książka polska w tej materji, np. Odpowiedź Piotra Statorjusza na księgi jezuity Śmigleckiego.

Język łaciński przeważał raz dlatego, że wmieszało się wielu obcych, np. ów Stankar Mantuańczyk, później Niemcy, Szmalcjusz i in., wyłącznie piszący po łacinie, powtóre ponieważ znakomicie się nadawał do sporów teologicznych. Żeby działać na tłumy, należało naturalnie pisać po polsku: więc pierwsze dzieła Seklucjana, Reja, Lutomirskiego i Krowickiego, od których ruch wychodził, były polskie i walnie się przyczyniły do rozszerzenia praw języka narodowego. Później ustawała ta potrzeba i łacina wracała.

Pierwszy szereg wymownych głosicieli słowa Bożego zamilkł niebawem u protestantów. Najwybitniejsi, Lutomirski, szlachcic, jak Łaski, autor konfesji polskiej, wydanej w roku 1556 w Królewcu, zwróconej przeciw „ziemnym, błotnym a glinianym doktorom, muniom a słupom przymaszkarzonym", „pieńkom a strugałkom malowanym" (nie znającym prawdziwego słowa) i Krowicki z innymi przeszli do arjanów. Sarnicki zniechęcony rzucił pióro teologiczne. Wytrwali Gilowski, objaśniający katechizm, i piszący kazania Glicner, jedna z nielicznych powag polskich luteranów, Łasicki, brat czeski, historyk ich zgromadzenia. Przerzedzały się coraz szeregi, zapełniane chyba synami ministrów lub jakim śląskim czy niemieckim przybyszem. Czasem

zaplątał się i stary szlachcic, taki Chrząstowski, co sam jeszcze w roku 1574 podbudzał pospólstwo do zburzenia krakowskiego brogu (zboru) kalwińskiego, walczył pod Pskowem, a potem został najwymowniejszym kaznodzieją kalwińskim, nigdy ani powtarzając się, ani utykając w kazaniu, i najgorliwszym szermierzem pióra — podobny Bernatowi Maciejowskiemu, co też został z żołnierza biskupem i kardynałem. Między ową nieco młodszą generacją wyróżniał się **Grzegorz z Żarnowca**, szanowany między szlachtą choć mieszczanin „z cnót prawie ewangelickich“, autor postyli, najpopularniejszej po Rejowej dla jasnego wykładu i pięknego języka, którą wraz z Gilowskim wydali przeciwko Wujkowej i „nafasowali“ wycieczkami przeciw Jezuitom. Obszerne to dzieło miało dwa wydania w XVI wieku, na niemieckie przełożył je w roku 1587 Freiherr Heinrich Kürtzbach starszy, w XVII wieku zalecał je synod ministrom, nieumiejącym po łacinie, a jeszcze w r. 1864 wydał ją ponownie, dla protestantów śląskich ks. Th. Haase. Ciekawa w nim częsta obrona Reja przeciw jezuitom, szydzącym z „dworzanina i doktora apostackiego Kościoła“, co swój żywot „w żarciech, karciech a rymowaniu strawił, nie teologiej się uczył“. Grzegorz wskazywał Chrystusa, że wybierał apostołów z celników i rybaków, nie z uczonych w piśmie Mojżesza, również dworzanina, nie teologa. Obok postyli wydał dziełka polskie, to w jej obronie, to przeciw arjanom i katolikom, zawsze wymowne i cięte. Piotr Artomjusz (Krzesichleb), pisał po polsku piosneczki i kazania, pisywał też brat czeski Turnowski, najznakomitszy po Jerzym Izraelu, niegdyś Żydzie, pierwszym organizatorze ich polskich zborów, dalej ów niby kat lwowski, Sudrowjusz, wykładał pacierz w roku 1580 i t. d.

Z bogatej literatury różnowierczej XVI wieku zaginęło niejedno, nawet najciekawsze. Są pisarze, po których dziś niczego dotąd nie odszukano, np. po takim niegdyś rajcy wileńskim, starym Łukaszu Mundiusie, który polemizował z wójtem wileńskim Rotundem po polsku i po łacinie; aby się w wiarach rozejrzeć jeździł po świecie i bywał na Morawach, aby dla swych arjanów przypatrzeć się trybowi braci morawskich, i nadzwyczaj ich polubił, lecz oni arjanina wyświecili. Albo po Danielu Bielińskim, później ministrze wileńskim, co dla zohydzenia Nowego Testamentu, folgując Staremu wyliczał sto trzydzieści dziewięć sprzeczności między ewangelistami, a do żydostwa i turectwa pomykał. O innych autorach i dziełach nawet takich szczegółów nie znamy, chyba, że figurują na indeksach ksiąg zakazanych. Ciekawą zaś jest ta literatura dla historji

obyczajowości polskiej, nie dla dogmatów i obrządków: we wzajemnych gwałtownych i nieskromnych napaściach objawiają się ci ludzie, jak żyli, mówili, myśleli, aż do najdrobniejszych rysów, jeśli np. Wolana pomawiają, jakoby się udawał do czarów djabelskich, gdy mu sto złotych ukradziono, a Łasicki go bronił, że nie djabła przy tem wzywał, lecz dla objawienia kradzieży kazał ser połykać, i to nie on nawet, lecz jego znajomy[1]). Wszystko się tu odnajdzie, od żaczka z garnuszkiem, śpiewającego pod oknami mieszczki pieśń nabożną *pauperibus*, przez cały tryb szkolny, aż do jego wystąpienia w licznym orszaku szlachty i mistrzów, gotujących się do publicznej dysputacji z jezuitą, od ciekawych szczegółów historycznych, np. że na Litwie nie dopiero Radziwiłłowie szerzyli protestantyzm, lecz przed nimi czynił[2]) to Kieżgajło, aż do wiadomości literackich i innych.

Lecz ta literatura jest nietylko niewyczerpaną kopalnią najrozmaitszych rysów obyczajowych i innych; jest ważną jako wymowny dowód ostatecznego przepolerowania języka.

Oto jak Orzechowski pisał (do Stadnickiego) o kacerzach w r. 1560: „Ej, miły Panie (Boże), cóżeś wżdy na naszą Polskę dopuścił? Oto ci zbiegowie pogańscy, mahometanie jawni, chłopi nikczemni, ludzie przez (bez) wiary, przez sumienia, przez gruntu i przez prawdziwej nauki, zaplugawili nam w Polsce wiarę, którą nam ojcowie nasi mili po sobie zostawili... a pan Stadnicki rzuci prawie w czac (nagrodę) duszę swą między kacerze te, aby ją duższy i jadowitszy kacerz sobie miał i djabłu dał... Oto w Polsce jakoby króla nie było; sprzysięgania jawne się dzieją, tak, iż też przeciwnej strony ludzie sprzysięgają się nie jeść ani pić, nakoniec ani Pomagabóg mówić przeciwnej stronie, sędziego nie mieć, jedno człowieka sekty swojej, nie apelować od niego, nie słuchać starosty... Bo co się teraz w Polsce dzieje!... Owo, by król Zygmunt wstał z martwych, pewnieby tak rzekł: żem ani ja, ani przodkowie moi w tej Polsce królowali, nie tom ja królestwo synowi swemu był

---

[1]) To dawny przesąd; „Jeżeliś syr dawał święcić i on w piątek ludziom jeść dawał dla doświadczenia się w kradzieży?“ pytał Zbiór generalny grzechów z roku 1776.

[2]) Seklucjan poświęcił katechizm królewiecki z roku 1547 stolnikowi, Kieżgajle, acz nieznajomy, dlatego, że „raczyłeś k sobie uprzejmie nakładem swym ludzi uczonych a kaznodziei prawdziwych słowa Bożego wezwać, naprzód w Litwie, niż kto iny słowo Pańskie od nieprzyjaciół Bożych wyrzucone, zatłumione i podeptane zalecać, wychwalać i przyjmować“.

zostawił. Jam był Polakom zostawił obyczaje stare, wiarę starą, całe kościoły, nieodarte ołtarze, duchowny stan cały; tu teraz widzę, że plebany wygnano, nadania kościelne pobrano, ołtarze zburzono, kościoły zchlewiono, wiarę zturczono, urzędy zwojowano; za mnie w Polsce urząd albo od króla polskiego albo od rzymskiego papieża szedł; tu teraz widzę nowe urzędy, nie wiem zkąd, widzę, iż wybierają sobie niektórzy sami przez się biskupy i ministry, a czemu też i nie króla?...“

Lecz Oksza (siekiera) Orzechowskiego trafiła na twardy sęk, i Krowicki, niegdyś serdeczny przyjaciel, oddał mu, piękne za nadobne, pisząc między innemi: „Plebanów też waszych nie wyganiają, ale sami przed Chrystusem ukrzyżowanym i słowem Jego prawdziwem uciekają, abowiem chłopi z pleszami (tonsurami) nic nie umieją, jedno beczyć, mszyć, plesze i brody golić, kucharki chować, przed bałwany dudkować i po gospodach biegać, siadać i gorzałki szynkować... O papieżu, drugim panie w Polsce, nie chcemy nic wiedzieć, abowiem gdzie dwu•panów rozkazują i rządzą, nie bywa tam dobrze: dosyć mamy na panie jednym, od Boga nam danym, abowiem papież nie ma żadnego prawa na Polaki sprawiedliwego, jedno tylko ma prawo złodziejskie, łotrowskie i djabelskie, którym króle i pany tego świata zmamił, podszedł i zhołdował, iż się tej mersze rzymskiej kłaniają... toć jest on wieprz dziki, byk tłusty, ono drzewo bez owocu, on wilk, niedźwiedź i smok, pies niemy, złodziej i łotr chytry, grób pobielany, syn djabelski, mężobójca zdradliwy, prorok fałszywy, którego Bóg brzuch jest, a chwała jego w posromoceniu... o uchowaj nas, Panie Boże wszechmogący, tego sędziego ślepego i syna zatraconego, który siedzi w kościele Bożym i uzłocił się złotem, srebrem i kamieńmi drogiemi, aby mędrce tego świata zmamił i osiadł i wspiął się naprzeciwko Bogu nawyższemu nie inak, jedno jako on Lucyper... A iż też jeszcze piszesz, iż mnisi są zębaci — i my tak o nich trzymamy i rozumiemy, a wiesz czemu? powiem. Abowiem je Duch Św. tak zowie, — dzikimi albo leśnemi wieprzami, którzy kły swoje naprzeciwko Królowi i Panu nad pany wyszczerzyli i pyski swoje wzgórę podnieśli w niebo, które Pan Bóg duchem ust swoich porazi i zatraci, abowiem nie macie uczonej wiary, ale macie wiarę, jako powiedasz, przyrodzoną od matek, od mamek i od bab, t. j. wiarę cielesną, zmyśloną i djabelską... A iż nas też zowiesz nikczemnemi niemotami, ludźmi przeklętymi, wiecznemu potępieniu poślubionymi, mordercami dusz ludzkich, wilkami jadowitymi... gdzie też przykładasz księdza Ła-

skiego nieboszczyka, człowieka świętego, przed którymeś ty w Pińczowie nic nie umiał, kiedyś się z nim gadał, i sameś to tym twoim plugawym językiem natenczas wyznał, a naostatek, klęknąwszy przed nim, kolanaś jego i ręce całował, mówiąc do niego te słowa: te ręce zwyciężony tobie, mężu Boży, oddaję — czyniłeś to, jako Judasz, kiedy Chrystusa syna bożego zdradzał".

Do takiej to mocy i jasności doszedł ów język w prozie; nie w poezji, chociaż pieśń religijna, nieco zaniedbana od początku wieku, po roku 1548 dla celów propagandy znachodziła już gorliwych czcicieli. Pojawiały się odtąd luźne pieśni i psalmy u „Łazarza Jandrysa", Sibenejchera i innych najrozmaitszych autorów, — przeważnie protestanckich, pieśni, które kancjonały protestanckie powtarzały jeszcze w XVII wieku. Autorowie ich albo oznaczani literami M. R. (Mikołaj Rej), A. T. (Andrzej Trzecieski), J. L. (Jakób Lubelczyk), B. W. (Biernat Wojewodka), albo z anagramu, z pierwszych liter strof czy wierszy, wypłynie to „Jan Dziki, lutenista gdański", to „Pomóż Panie służce twemu Andrzejowi Trzecieskiemu", to „Zofja Oleśnicka z Pieskowej Skały" (pieśń napisał jej wielbiciel), to „Joronim Bużeński", możny żupnik wielicki, to „Lament Jeronima Szafrańca", starosty chęcińskiego o śmierci jego syna.

Jakżeż zachowywał się katolicyzm wobec tego najazdu najrozmaitszych sekt i wiar, gdyż Polska — szydził Rotundus — to wendeta (tandeta) nietylko strojów i mody całego świata, ale i jego dogmatów? Z początku nader obojętnie. Kler wyższy, zeświecczony, dbał o wygody i używanie; wierz i w kozła jeżeli chcesz, płać mi tylko dziesięcinę — mawiał biskup krakowski (Zebrzydowski, prawiący wobec lutra o „jakiejś tam różnicy w wierze", choć się później zdobył na ostrą odpowiedź Krowickiemu); kujawski, Drohojewski, o którym twierdzono, że się jawnie ożenił z piękną szwagrową, mawiał do kaznodziei, grożącego wyrywaniem kąkolu: ostrożnie z tem szczególniej u nas, gdziem żadnej pszenicy ani widział, ani się takowej spodziewam. Lecz znaleźli się i w tym episkopacie, urosłym z symonji (przecież Bona zakładała się z duchownym o 20.000 złotych, że zostanie biskupem tam i tam) i z protekcji, co oparli się energicznie, nietylko fanatycy, jak przemyski, Dziaduski, nie mogący ścierpieć wykształconych księży, greczynków, lecz i światli a cnotliwi, jak **Hozjusz** i **Kromer.** Obu razem wymieniał już w roku 1543 Orzechowski jako zaszczyt kościoła polskiego, obaj występowali na polu piśmiennictwa — dawniej z humanistycznemi wierszami, teraz z pismami apologetycznemi najdonioślej-

szego znaczenia, obaj zawiadywali tą samą diecezją i jedyni przeszkodzili jej zupełnemu zlutrzeniu, obaj byli wreszcie mieszczanami. Kromer był tylko więcej dyplomatą i historykiem, Hozjusz apostołem i reformatorem; ów służył kościołowi polskiemu, ten, jako prezes soboru trydenckiego, powszechnemu. Jak z całego duchowieństwa największych wpływów, tak ze wszystkich autorów polskich największego rozgłosu zażywał Hozjusz; jego „Wyznanie wiary katolickiej", złożone na synodzie piotrkowskim w roku 1551, doczekało się najliczniejszych przedruków i tłumaczeń: gdy je w roku 1560 wydano w Wiedniu, „rozeszło się 1400 egzemplarzy w kilku dniach, zatem je drugi raz tegoż roku w Wiedniu przedrukowano". *Confessia* ta i inne rozchodziły się w tłumaczeniach czeskich, niemieckich, francuskich, holenderskich i angielskich — pierwszy światowy sukces polskiego pióra. Hozjusz przeciwny z zasady językom narodowym w kościele (nie godził się nawet na »Mnicha« Kromerowego — któż to czytać będzie, któż zrozumie?), sam po polsku nie pisywał, chyba listy do dworu królewskiego, polskie wydania tłumaczyli inni z jego oryginałów łacińskich. Polemika jego, choćby przeciw Łaskiemu, niegdyś przyjacielowi i mecenasowi, nie przekraczała granic przyzwoitości; tem ostrzej napadał na niego Łaski, stale go przezywając „Caligulą" od nazwiska (*Hose = caligae*).

Lecz spółpracowników obaj prawie nie mieli. Akademja krakowska, twierdza katolicyzmu, niegdyś tak gorliwie zwalczająca husytów, zaśniedziała w średniowieczyźnie, w Arystolesie i Lombardzie (którym się zachwycał jeszcze Stankar i przekładał go nad stu Lutenów), nie dorastała do nowych potrzeb — „napróżno ważyłem się uczyć owych zastarzałych zagadek szkoły krakowskiej, wniosków z Arystotelesa i reguł dialektycznych z Piotra Hiszpana", twierdzi Sylwester w dialogu Czekanowskiego (pseudonim) „O zepsuciu obyczajów u papieżników i ewangelików" (około r. 1562[1]). Na szkołę skarżono się powszechnie. Wedle Ossolińskiego (na sejmie piotrkowskim r. 1563), w taką się obróciła jaskinię łotrowską, że ludzie stateczni chronią się synów swych tam dawać, bo więcej złych, aniż dobrych obyczajów się uczą. Toż samo powtarzał Siennicki w roku 1565 „jako to wszystko opustoszało, jako z wielkim

[1]) Dialog, nadzwyczaj ciekawy, pełen aluzyj do rzeczy spółczesnych, niezawsze dziś zrozumiałych, opowiada horrenda o obu stronach, o biskupie, który, napominany, by się wyrzekł „Epikura", wołał: *lassa me godere di questo episcopato*, o innych zagłuszających trzask upadającego Kościoła głośnemi biesiadami i t. d.

nakładem młodzież do innych krajów słać trzeba, bo doma w Polsce niemasz się czym bawić... anoby czas już Polakom inną łaciną nauczyć się mówić aniż oną dawną polską, z której gdzieindziej się śmieją". Najczarniej jednak stan szkoły malują sami katolicy; tak np. w instrukcji na synod współczesny czytamy skargi na nieuctwo księży, których kazania słusznie panowie nazywają bajkami, którzy używają samych starych szpargałów *(Dormisecure, Vademecum)*. Akademję krakowską zagarnęli plebejusze, nienawidzący jak węży nielicznych między nimi szlachciców, mszcząc się na nich za wykluczenie plebejuszów z kapituł; gardzą nimi właśni uczniowie; oni przed jednym słuchaczem nieporządnie czytają barbarzyńskich Wojciechów (Wielkiego z XIII wieku), Cezarjuszów, mieszając wszystkie fakultety, a żadnego nie znając (mistrze awansowali bowiem od filozofji do innych wydziałów); upada już słynne niegdyś studjum astronomji; śmieją się z nas powszechnie dla rzeczy, których tu uczą. Mistrzowie promują tylko swoich; starsi już nic nie robią, ledwie raz w kilka tygodni czytają albo dają się zastępować; prawda, że filozofowie mają bardzo szczupłe dochody, i tych im nawet nie płacą. Biskupi muszą się podjąć reformy szkoły, powołać zdolnego rektora, a w razie potrzeby i mistrzów z zagranicy, jak bywało i dawniej.

Wobec takich stosunków w kraju należało się chwycić środków radykalnych i transfuzją obcej krwi odświeżyć organizm kościoła polskiego. Powołano więc jezuitów. Wspominała o tem już owa instrukcja, ale niewiele sobie po tem obiecywała, gdyż to obcy, nie nasi, chyba, że szkoły całkiem przez to opustoszeją. I rzeczywiście, nowy zakon, sami cudzoziemcy, Niemcy, Hiszpanie, Anglicy i Włosi, zdobywał sobie uznanie powoli a żmudnie, mimo najdzielniejszego poparcia biskupów Hozjusza, Noskowskiego, Protasowicza. Pierwsze jego szkoły świeciły narazie pustkami, a różnowiercy spoglądali drwiąco na nową „sektę" lojolitów, jak ich jeszcze przezywali najłagodniej. Ale rygor, poświęcenie, zapał nowych zakonników, tak odmiennych od wszystkich dawniejszych, porywał opornych, przełamał apatję i niekarność słowiańską; ich wiedza i metoda, nowe podręczniki, obszerniejszy program, znakomite, wszechstronne oddziaływanie na młodzież zapewniły ich szkołom niebywały sukces. Nawet protestanci oddawali dzieci do ich szkół, pewni, że ich synom to nie zaszkodzi, skoro sami ojcowie z Rzymu odnaleźli drogę do nowej wiary. Zbyt późno spostrzegli się ministrowie co za niebezpieczeństwo groziło nowym wiarom od tych wycho-

wańców jezuickich; więc dla przestrzeżenia niebacznych rodziców przetłumaczyli pisemko jeneńskiego profesora Miljusza, posługującego się temi samemi argumentami przeciw szkołom jezuickim, których później używał Broscjusz za akademją. Nicował bezpłatność ich wkońcu bardzo kosztownych szkół, na które musi się składać ofiarność obywatelska; przyznawał wprawdzie, że młodzież wprawiają prędzej, niż inni, „w naukę i języki“, skarżył się jednak na zarozumiałość uczniów, którzy „insze za proste Biernaty mają“, przeświadczeni, „że więcej u nich w pięcie niż u drugiego w głowie“, i tylko to uznają, czego się nauczyli „u swych bakułów rogatych“. Nadmierną odpowiedzialność biorą na się rodzice, dufające w to: umie (syn) katechizm *ergo* może u jezuitów bezpiecznie mieszkać; kazał się „jako biesa strzec Wyzuitów“. Przestrogi przychodziły poniewczasie; młodzież już należała do jezuitów i Rzymu; już Chrząstowski w r. 1591 zeznawał, strofując ostro niebacznych rodziców: tuszą sobie jezuici, że, gdy tylko powymierają starsi, między panami i śladu „czystszego chrześcijaństwa“ się więcej nie odnajdzie. I nie pomylili się jezuici.

Siłę ich stanowiło poświęcenie bez granic, ślepe posłuszeństwo, wytrawne kierownictwo, nie trzymające się pewnej modły, nie zacieśnione do jednego pola działań, lecz zażywające każde *ingenium* wedle jego zdolności, wypychające tych na spowiedników do dworów pańskich i królewskich, owych do szkół, posuwając ich wedle lat i zasług, innych na misje na Ruś i Litwę, dopełniając między ludem katolickim, czego zaniedbali powołani duszpasterze; inni organizowali uczynki miłosierne, odwiedzali szpitale i więzienia lub wyzywali heretyków na publiczne dysputy; jeśli heretycy się nie zjawiali, jezuici rozdzielali między sobą ich role i odprawiali akt publiczny; działali na wrażliwy umysł i fantazję młodzieży i ludu wystawnością nabożeństwa, muzyką, śpiewami, procesjami, widowiskami dramatycznemi, wciąganemi do programów szkolnych (nakoniec „bakchanaliów“, zapust, na święta patronów zakonnych, na Boże Ciało wystawiano z wielką okazałością udramatyzowane legendy i alegorje); wreszcie rozmaitemi bractwami. Dobór osób, ścisłe a długoletnie próby nowicjatu przesiewały najlepsze *ingenia*. I zerwało się do jezuitów wszystko, co zdolniejsze i gorętsze, i zajaśniały między pierwszemi nazwiska Stanisława Warszewickiego, niegdyś ucznia Melanchtona i Witenbergi, pierwszego niegdyś tłumacza greckiego Heljodora (romansu Etjopik) na łacinę, teraz tłumacza dzieł ascetycznych Ludwika

z Grenady, natchnionego kaznodziei i Bogomodlca, który sześć lat strzegł młodego Zygmunta w szwedzkiem otoczeniu kacerskiem od herezji; św. Stanisława Kostki, jego towarzysza w zakonie; Marcina Laterny, Rusina z Drohobycza, męczennika za wiarę w Szwecji, który kazał Batoremu po łacinie, a dworzanom po polsku, zastępując stale chorego Sokołowskiego, a wydał „Harfę duchowną“, polski modlitewnik z pieśniami, liczący niebawem szesnaście wydań i zwalczany ostro, lecz daremnie, przez protestantów, dalej Benedykta Herbesta z Rusi, niewyczerpanego w walkach z herezjami w książkach moralizujących, pierwszego promotora unji ruskiej; Stanisława Grodzickiego, znakomitego kaznodziei, obrońcy kalendarza gregorjańskiego, lwowczyka Wuchaljusza, tłumaczącego również Grenadę, i tylu tylu innych. Jezuici ci wydawali pisma polemiczne i pod obcemi nazwami, żywo, dowcipnie, ostro, np. broszury Sawickiego, pełne żółci i soli, wydane pod nazwiskiem Gołubskiego. Oni to nawracali magnatów i przekupki; każdego roku kronika domu krakowskiego św. Barbary zapisuje córki i synów, a choćby i samych ministrów nawróconych, a oprócz tego nazwiska Chodkiewiczów, Radziwiłłów, Gostomskich, Opalińskich, Mieleckich (co to Skargę, gdy mu zapowiadał bliski powrót do katolicyzmu, z mostu zamkowego chciał zrzucić) i innych.

Najwydatniejsze zasługi około polskiej literatury katolickiej położyli dwaj z nich, Wielkopolanin **Wujek** z Wągrowca i Mazur **Skarga** z pod Warszawy. Obok ks. Białobrzeskiego z jego zbyt ciężką, więc niepopularną postylą, stanął Wujek z większemi i mniejszemi postylami, zbiorami własnych kazań, które pierwsze poderwały wziętość postyl kacerskich, Rejowej i innych; w samym XVI wieku wyszły cztery razy i przetłumaczono je na czeskie, a ks. Dauksza wyłożył je na język żmudzki; była to pierwsza większa rzecz katolicka w tym języku (1599). Wujek, który rychło zamienił kazalnicę na szkołę, gnany aż na Siedmiogród dla urządzania i kierowania rozmaitemi kolegjami, ostatnie swe lata w Krakowie oddał tłumaczeniu Pisma Św. Dawna biblja Leopolity, acz w drugiem wydaniu nieco poprawiana, nie odpowiadała czasowi samym przestarzałym językiem; protestanci wygrywali już samą gładkością stylu swoich biblji, Nowych Testamentów i psałterzów; należało im przeciwstawić coś doskonalszego. Nie doczekał się Wujek wykończenia biblji; już po jego śmierci, w roku 1599, królowi, który im wtedy właśnie kościół św. Piotra i Pawła bu-

dował, ofiarowali jezuici biblję o 1500 stronicach, jedyne dotychczas aprobowane tłumaczenie katolickie, „mając ono przed oczyma, co niekiedy Izajaszowi św. rzeczono, żeć nas Bóg nie do obcego i nieznajomego języka ludzi posłał, ale do braciej naszej, ludzi jednegoż narodu, kość z kości, ciało z ciała, krew ze krwi polskiej, na to, abyśmy naszej ojczyźnie miłej we dnie i w nocy służyli!“ Tok Wujkowy jednak znacznie zmienili ci wydawcy, i nie na lepszy.

Jeszcze znamienitsze są zasługi księdza Piotra Skargi. Obok Harfy Laterny, Postyli Wujka, stanęły w r. 1579 jego Żywoty Świętych, jako domowe katolickie czytanie i zatrzymały po dwudziestukilku wydaniach znaczenie, do dziś oddziaływując aż na Ruś prawosławną. Mniejszego rozgłosu nabyły jego kazania, zgóry przeznaczone dla kół szczuplejszych; lecz właśnie te kazania, to szczyt polskiej wymowy religijnej. Nie goniąc za efektem, prosto a skromnie, bo takim był jako człowiek, ale rzewnie i wzruszająco przemawiają jego natchnione słowa i dziś jeszcze do czytelnika; stroniąc od wszelkich subtelności, od świeckich przydatków, równie oddalone od późniejszej rubaszności, jak i jej dworności i sztuczności pociągają myśl i serce, przejęte prawdziwą wiarą i pobożnością. Nadworny kaznodzieja nie schlebiał nikomu, ani królowi, ani możnym, ani narodowi, nie dawał się zaślepiać chwilowym powodzeniom; ojciec sumienia roztrząsał je swemu ludowi. Gdy za świetne zwycięstwo Zamoyskiego miał składać hołdy dziękczynne, przerywał tok triumfującej myśli a zwracał się do ciężkich grzechów i win narodowych, do lekkomyślnych opuszczeń, które wywołały wojnę, i zamiast głaskać próżność narodową, wybuchał żalami i skargami. Tak samo, gdy widzi przed sobą zebrane głowy narodu, panów możnych, dzielnych i mądrych, nie cieszy się ani raduje na widok kwiatu narodu, ale wytyka przed nimi ogólne braki, winy i grzechy tak ostro i tak otwarcie, że oburzą się katolicy i — przynajmniej wedle zeznań kalwinów, Górajskiego i Dorohostajskiego — wniosą artykuł przeciw jezuitom na konfederacji sandomierskiej, „iż się w sprawy świeckie na dworze i publiczne wdawają, na kazaniach zachwalając *absolutum dominium*, wolność i porządki Rzeczypospolitej ganią“. W drugiem wydaniu Kazań przygodnych z roku 1610, gdzie się pojawiło osiem sejmowych, wypuścili nawet jezuici szóste, „o monarchiej i królestwie“, uchodząc owych przytyków. Kazania sejmowe, nieprzeznaczone dla jakiejś specjalnej kadencji, wydane najpierw r. 1597

w owym zbiorze kazań, przedrukowane trzynaście razy, tworzą rodzaj całości. Pierwsze, wstępne, uczy zgromadzone stany mądrości, skąd ją czerpać przy widocznym nierządzie, przy braku władzy u króla — a cóż bez władzy i Salomon mądry poradzi? — przy próżnej stracie czasu i kosztów sejmowania, przy nadchodzącej grozie tureckiej. Drugie — o miłości ojczyzny, bo teraz kaznodzieja rozbiera szczegółowo wszystko, czego brak daje się uczuwać i zaczyna od niemiłości kraju i niesytej nigdy zachłanności. W trzeciem wytyka nader niebezpieczny brak zgody, psujący państwo z wewnątrz z tem, że katolicyzm zachowuje wyłącznie upragnioną jedność i zgodę i że religja i władza duchowna jest podstawą państwową. Czwarte dowodzi, choćby teokracją Starego Zakonu albo ruiną węgierską, że na skale Piotrowej zbudowane nasze królestwo, a kacerstwa roztrącają państwa, co bliżej rozwija kazanie piąte. Szóste wykazuje potrzebę władzy; i Pismo Św. i prawo natury domagają się takiej; nawet despotyzm byłby dobry, gdyby despota był zawsze mądry a cnotliwy. Ponieważ tej pewności osiągnąć nie można, mamy monarchów, ograniczonych prawami i radą, ale prawdziwa złota wolność to nie nieokiełznana samowola, panująca w Polsce, lecz poszanowanie prawa. Siódme traktuje o prawach, naturalnych, duchownych i świeckich, mających moc boskich, ale nieważnych, jeśli się ich nie wykonywa, jako u nas. My „karty mażem a papier okazujem, a postaremu w nierządzie żyjem: na czem to królestwo i ludzie w nim bardzo chramie. Mówić, pisać, wywodzić umiemy a czynić najmniej“ (jest to późniejsze: przegadaliście, przedysputowaliście ojczyznę waszą). Są jednak i prawa niesprawiedliwe — tutaj obok praw czyli przywilejów rzeczywiście zgubnych, jak niewoli poddanych, niewięzienia nikogo, chyba przekonanego prawem, odsyłania spraw głównych do krótkich a swarliwych sesyj sejmowych (pisane to, jakby jeszcze nie funkcjonowały trybunały koronne i litewskie), wymienia Skarga prawa, gwarantujące wolność sumień. Przeciw konfederacji z roku 1573 bił osobnemi, wymownemi pismami i ujmował się za tymi, co burzyli zbory, a na arjan przeżarł go gniew świątobliwy. Chociaż nie wzywał do gwałtów, w duchu czasu stawał przeciw tolerancji. W ósmem, imponującem zakończeniu, wyliczał wszystko, co w Polsce uchodzi bezkarnie.

„Przełożę wam i ja, niegodna proroczyna wasza, niesprawiedliwości, krzywdy, potwarzy, zdrady, którymi to królestwo i oby-

watele jego uwichłani są, a wychodzić z nich i poprawować się nie chcą, dla których ziemia ta was podobno wyrzuci, a Pan Bóg innym ją narodem osadzi, a od was i synów waszych królestwo odejmie i da je obcym, nieprzyjaciołom waszym, pogubiwszy was i syny wasze, jeźli się nie upamiętacie". Tu należy „ona krew albo pot żywych poddanych i kmiotków, który ustawicznie bez żadnego zakreszenia ciecze, jakie wszystkiemu królestwu karanie gotuje? Powiadacie sami, iż nie masz państwa, w któremby bardziej poddani i oracze uciśnieni byli, pod tak *absolutum dominium*, którego nad nimi szlachta bez żadnej prawnej przeszkody używa... tak to królestwo poddane robaczki nędzne, z których wszyscy żyjem, opatrzyło... Jako ziarna pod młyńskim kamieniem, tak ci kmiotkowie pod pany swymi. Jeźli nie kupni ani pojmańcy, jeźli Polacy tejże krwie, nie Turcy ani Tatarzy, jeźli Chrześcijanie, czemuż w tej niewoli stękają? Czemu ich, nie jako niewolników, ale jako najemników używać nie mamy? Na twej roli siedzi, a źleć się zachowa, spądź go z swej roli; a wrodzonej i chrześcijańskiej wolności mu nie bierz i nad jego zdrowiem i żywotem panem się najwyższym sam bez sędziego nie czyń... A my wierne i święte Chrześcijany, Polaki tegoż narodu, którzy nigdy niewolnikami nie byli, bez żadnego prawa mocą zniewalamy i jako okupione bydło, gdy dla swej nędze uciekać muszą, pozywamy i gdy żywności swej indzie ubodzy i znędzeni szukają, okup na nich, jako Turcy za więźnie, wyciągamy. Czego we wszystkiem Chrześcijaństwie nie słychać... Jakoż się z takim prawem wszystkiego na świecie Chrześcijaństwa nie wstydzić? Jako się o taką tyrańską krzywdę na oczy Boskie ukazać? Jako się nie bać, aby nad nami na pomstę od Boga poganie takiej mocy i *absolutum dominium* nie używali?"

Obok tak groźnych wyrzutów stają równie groźne proroctwa: „I ta niezgoda przywiedzie na was niewolą, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą... Bo wszyscy z domy i zdrowiem swoim w nieprzyjacielskiej ręce stękać będą, poddani tym, którzy ich nienawidzą. Ziemie i Księstwa wielkie, które się z Koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą... Odbieżą was, jako chałupki przy jabłkach, gdy owoce pozbierają, którą lada wiatr rozwieje, i będziecie jako wdowa osierociała, wy coście drugie narody rządzili, i będziecie ku pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciołom swoim. Język swój, w którym samym to królestwo między wielkimi onymi sło-

wieńskimi wolne zostało, i naród swój pogubicie i ostatki tego narodu tak starego i po świecie rozkwitnionego, potracicie i w obcy się naród, który was nienawidzi, obrócicie, jako się inszym przydało. Będziecie nie tylo przez pana krwie swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy włóczęgowie, które popychać nogami, tam gdzie was pierwej ważono, będą. Gdzie się na taką drugą ojczyznę, zdobędziecie, w którejbyście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby i ozdobności i rozkoszy mieć mogli? Urodzili się wam i synom waszym taka druga matka? jako tę stracicie, już o drugiej nie myśleć...“

„Cóż mam z tobą czynić, nieszczęśliwe królestwo? kto tu na was ze wszech stron królestwa zebrane i na głowy ludu patrzy i wasze obyczaje i sprawy widzi, domyślać się może, jakie niezbożności i grzechy po wszystkiej koronie panują. Bychbył Izajaszem, chodziłbym boso i na poły nagi, wołając na was, rozkoszniki i rozkosznice, przestępniki i przestępnice zakonu Bożego... Ustawicznie się mury Rzeczp. waszej rysują a wy mówicie: nic, nic. Nierządem stoi Polska! Lecz gdy się niespodziejecie, upadnie i was wszystkich potłucze... Bójcie się wżdy tych pogróżek. Jać objawienia osobliwego od Pana Boga o was i zgubie waszej nie mam; ale poselstwo do was mam od Pana Boga i mam to poruczenie, abym wam złości wasze ukazował i pomstę na nie, jeśli ich nie oddalicie, opowiadał. Wszystkie królestwa, które upadły, takie posłańce Boże i kaznodzieje miały, którzy im wymiatali na oczy grzechy ich i upadek oznajmiali“.

Na takie wyżyny nie wzniósł się żaden kaznodzieja, spółczesny ani późniejszy, katolicki ani protestancki. Spowiednik swego narodu, gorącą miłością niepokojony o jego przyszłość, nie zaniedbywał Skarga żadnej sposobności, by nawoływać pokolei, co z niej wykroczyło, bądź żołnierstwo polskie, które strofował wedle słów św. Jana (Żołnierskie nabożeństwo, 1606, przetłumaczone na czeskie, Pobożny soldat, 1636), bądź trybunały polskie, na które wybierają ludzi młodych i kacerzy (1609). Nie przewidywał, że już w trzydzieści lat później katolik przyzna:

Gdyby czasem nie Lutrzy oparli się sami,
Snadźby wszystek trybunał wzgórę stał nogami.

(Twardowski S., „Satyr“ 1640 r.). Ostatnią jego pracą kaznodziejską było „Wzywanie do pokuty obywatelów Korony i W. Księstwa

Litewskiego", niby streszczenie Kazań Sejmowych, przedsięwzięte na usilne prośby spowiednika królewskiego, słusznie pytającego: któż je czytuje w grubym owym tomie Kazań Przygodnych? W pierwszej jego części wylicza przewinienia narodowe, w drugiej wzywa do skruchy i żalu. Dalej niby epilog tego kazania: Wzywanie do jednej zbawiennej wiary i Na moskiewskie zwycięstwo kazanie czynione w Wilnie 25 lipca roku 1611. Umarł we wrześniu t. r.: „twarda rola strudziła wołu starego, a pracy na niej w dobrym żniwie nie znać; chytre ryby, od sieci Twej uciekając, poimać się nie dają... nie pomaga im poselstwo Twoje i wołanie moje, do pokuty rzadki bardzo powstaje".

Wujek i Skarga pisywali niemal wyłącznie po polsku, nawet na łacińskie zaczepki; z przekąsem protestanci mawiali, że Skarga czyni to dla udatniejszych żartów i żeby działać na pospólstwo. Skarga przyłożył się walnie jeszcze do jednej roboty, otwierającej najdalsze widoki, najfatalniejszej w skutkach.

Proces polonizacji, a po części i latynizacji Rusi polskiej i litewskiej odbywał się w coraz żywszem tempie, gdyż Rusi brakowało żywiołów moralnych, o któreby się opierać mogła w nierównej walce. Trzymał ją jedynie obrządek, a poza nim Ruś szlachecka mówiła, pisała, myślała tylko po polsku. Ta spolszczona szlachta dostępowała nieraz i episkopatu ruskiego, nadawanego przez króla byle jakiemu grzesznikowi, który chciał zażywać na stare lata wczasów i dostatków biskupich. Od szlachty przechodził język polski i do mieszczan ruskich, co się kupili około cerkwi i bractw, założonych na wzór zachodni. Wiarę, język i dawny obyczaj zachowywali tylko chłopi i duchowieństwo. Nie było nauki, wiedzy, poloru; kto chciał ich nabywać, nawiedzał szkoły polskie i dwór pański. Domorosły uczony, jak ów ihumen supraślski Kimbar, poprawiał chyba Pismo Święte, np. Warjona na Howory o nich, albo, choć mędrszy i głębszy, odrzucał fanatycznie naukę łacińską, jak Jan z Wiszni, gorący wielbiciel Rusi patrjarchalnej. Wychodźca z Moskwy, kniaź Kurbski, dziwił się upadkowi, brakowi książek, tłumaczeń, i sam się uczył łaciny, aby łatać niedostatki. Nawet jednostki, rozporządzające olbrzymiemi środkami, jak książe Ostrogski, twardy Rusin, lecz zarazem dobry Polak, nie uchronił własnego syna od przyjęcia katolicyzmu. Inni trafiali do Rzymu przez Genewę lub Witenberg; a przy Konstantynopolu rychło nie został nikt prócz czerni. I ci nawet, którzy nie rzucali ruskiego pisma i mowy przodków, naginali się coraz bardziej

do polszczyzny. Tłumaczyli rzeczy polskie językiem, wchłaniającym coraz więcej elementów polskich, tak, że wkońcu niemal tylko pisownia i formy dzieliły oba języki. Gdy więc po chwilowem powodzeniu protestantyzmu katolicyzm znowu poczuł się na siłach, gdy coraz liczniejsze odstępstwa przerzedzały szeregi luterskie i kalwińskie, u jezuitów, ośmielonych dotychczasowym postępem, musiała zakiełkować myśl, czy nie da się o wiele łatwiej i szybciej nakłonić duchowieństwa ruskiego, a z nim i ludu do uznania Rzymu, do unji. Mogła przecież ta Ruś, jeśliby doszło do unji, oddziaływać i dalej na Wschód, i może zamajaczyło gorącym wyobraźniom powetowanie straconego Zachodu i Północy, pozyskanie Wschodu, tak jak i szerzenie katolicyzmu w Indjach Wschodnich i Zachodnich miało zapełniać szczerby europejskie wedle planu Opatrzności. Herbest, zrodzony na ruskiej ziemi, i Skarga, ocierający się w Wilnie o Ruś prawosławną, szczególniej ostatni wydali hasło — księgą, dedykowaną księciu Ostrogskiemu „O jedności kościoła Bożego pod jednym pasterzem i o greckim od tej jedności odstąpieniu“ (w 1577, dziełem tępionem przez prawosławnych, wydanem powtórnie w 1590). Lecz sam Skarga uznał, że łatwiej nawracać albo choć pokonywać nowotnych kacerzy, niż Ruś, powołującą się na starodawną cerkiew i swoich ojców. Mimo to nie ustawał, dowodząc, że szukać należy raczej prawdziwego kościoła, niż prawdziwego słowa, że kto się nie połączy z katolickim, uschnie bez głowy. Myśl ta nie padała na opokę. Próby porozumienia podejmowano i dawniej, a sam związek państwowy myśl tę poddawał ciągle; po jej urzeczywistnieniu Ruś mogła oczekiwać zrównania swego duchowieństwa z katolickiem, nabywania szkół, szerzenia oświaty i moralności. Więc i sam Ostrogski jakiś czas sprzyjał tej myśli, choć ją później zwalczał bezwzględnie, i wyższe duchowieństwo ruskie, metropolita i episkopi, nie mogąc otrzymywać od patrjarchatu z pod niewoli tureckiej skutecznego moralnego poparcia ani zbyt się go obawiając, zaczęło z Rzymem pertraktacje, które na synodzie brzeskim ukoronowano unją. Dziejopisem tej unji został Skarga: „Synod Brzeski i jego obrona“ (przeciw prawosławnym, odmawiającym prawomocności synodowi). Rok 1596 zaczął więc nową walkę wyznaniową. Do dawnych sporów z protestantami wszelkich odcieni przybyła walka o unję i prawosławie, i po raz pierwszy udało się protestantom dobić jakiegoś uznania u patrjarchy, a więc dokonali oni na ziemi polskiej przeciw wspólnemu wrogowi, przeciw katolicyzmowi tego, co

się protestantom niemieckim w Konstantynopolu nie udało; na synodzie toruńskim jawnie bratali się protestanci i prawosławni, ślubując sobie skuteczną pomoc.

Otóż i ta walka toczyła się niemal wyłącznie piórem polskim, nawet ze strony ruskiej. Na księgę brzeską Skargi z polecenia starego Ostrogskiego odpisał Philalet-Prawdomił, który dla swej *Apokrizis* wybrał ten pseudonim, aby nie zdradzić, że to Polak i kalwin bronił Rusi i prawosławia; Hipacy Pociej, metropolita unicki, prowadził dalej tę polemikę wytrwale a zręcznie w licznych anonimowych broszurach.

Tak wszechstronną działalność rozwijali jezuici. Zwalczali protestantyzm na każdem polu; oni wyłącznie polemizowali na Litwie z Wolanem, w Małopolsce z Socynem i Grzegorzem z Żarnowca, w Wielkiej z Glicnerem i Turnowskim, po łacinie i po polsku. Ich kazania i przekłady Pisma Św. rugowały inne. Zaludniały się ich szkoły, przybywały coraz nowe kolegja od Rygi i Połocka aż do Sandomierza, kolegjum wileńskie przybrało tytuł i funkcję akademji, choć tylko o dwu wydziałach, filozoficznym i teologicznym, tak że już akademja krakowska zaczynała się lękać o przywileje i egzystencję, chociaż dotąd zgodnie stawała z jezuitami przeciw kacerzom. O ile szkoły jezuickie przewyższały akademickie, dowodziły najlepiej pisma, z nich wychodzące, np. to co spisali „retorowie" poznańscy za Belarminem przeciw Chrząstowskiemu w r. 1600: znajomość greczyzny, cytaty z Arystotelesa, Platona i t. d. w oryginale, wzorowanie się na najlepszych łacińskich źródłach, czerpanie pełną ręką z Ojców kościoła, wykazywały wiedzę i wprawę, jakiej nabywano nie w szkole krakowskiej; starsi uczniowie codziennie ćwiczyli się w „kontrowersjach", młodsi tylko w dni świąteczne.

Że te nadzwyczajne postępy, fawory Batorego i Zygmunta III, książąt kościoła i magnatów, coraz obfitszy połów dusz, strasznie kłuły w oczy protestantów, było to naturalne. Nienawiść całą wyzionęli w pisemku, naśladującem niby dawne *monumentum* Ostroroga, znane protestantom, a podszywającem się pod firmę szlachcica polskiego, w słynnym *Equitis Poloni in Jesuitas actio prima* wydanym w roku 1590, powtórzonym w 1591, przetłumaczonym na niemieckie w roku 1592 *(Schwarm des heiligen römischen Bienenkorbes)*, wywołującym bogatą literaturę. W samej Polsce odpisał natychmiast Reszka, prawa ręka Hozjusza, wydawca

jego pism[1]), a dzieło jego (Gąbka, którą mażą się wyzwiska i t. d., łacińskie) powtórzono w r. 1591 w Ingolsztadzie, a w r. 1592 w Neapolu. Kanonik, późniejszy biskup krakowski, Marcin Szyszkowski, wydał mowę za jezuitami jeszcze w roku 1590. W autorstwo owej napaści był wmieszany arjanin, nauczyciel szkoły lewartowskiej, Wojciech z Kalisza, a poniekąd może i Klonowicz; już on wytoczył działa, nabite kłamstwem i oszczerstwem, z jakich przez wiek XVII nietylko w Polsce ostrzeliwano jezuitów. Jezuici to nowi krzyżacy na usługach króla hiszpańskiego, którego absolutyzm zachwalają, torują mu drogę do Polski; w sześć dni dostanie się okrętem z Antwerpji do Gdańska; dla niego to budują oni swoje kolegja na wzór fortec! Nicuje wszystko: ich ubranie, sposób życia, głównie zaś szkoły; one wyludniły krakowską, liczącą dawniej po cztery tysiące młodzieży, one nęcą bogatem, a częstem wystawieniem komedji i tragedji, odwodzącem tylko od właściwej nauki; mimo to z ich szkół, niby bezpłatnych, niema pożytku, nie wychodzą z nich większe talenty; narażają tylko na pośmiewisko kościół rzymski swojemi pismami, nawołują do wytępiania protestantów mieczem i gwałtem, burzą pokój publiczny; kto ojczyznę miłuje, niech nie znosi dłużej tej zguby. Spółcześni nie wiedzieli dobrze, kto uknuł tę „akcję“, a kto ją w Niemczech wydrukował. Nie jedyny to zresztą pamflet polski na jezuitów XVI wieku. Pisano je po polsku i wierszami, np. Konterfet Jezuitów, lub Rycerstwo jezuickie (z powodu napadu na zbór poznański), a odpowiadano tak samo, naprzykład w zjadliwym, a trafnym Odpisie „Chwaliboskiego“, z roku 1597, lecz z *Actio* nic nie da się porównać.

Inne zakony i duchowieństwo świeckie, wobec tej nadmiernej ruchliwości jezuickiej, cofają się zupełnie na drugi plan, chociaż i z nich nieraz wychodzą dzielni szermierze, np. słynni kaznodzieje dominikańscy, Łukasz ze Lwowa i Melchjor z Mościsk, których wspominają Orzechowski, Nidecki, Sokołowski i Wojciech z Kalisza. Gdy w Przeworsku Łukasz wzorował przyszłe klęski polskie, drżeli wszyscy, jakby nadszedł dzień sądu. Kaznodzieja Batorego, Sokołowski, działał więcej uczonością, niż wymową, i głównie kazał i pisał po łacinie; on to odkrył Europie konfuzję, w jaką pa-

[1]) Inne prace Reszki celują polszczyzną, np. jego Przestroga pastyrska do miasta Warszawskiego r. 1585 z ślicznym listem o jubileuszu rzymskim r. 1575, napisanym do świeżego konwertyty Zborowskiego, z opisem Rzymu, z wzmianką o „wierze węglarzowej“ wedle Hozjusza: ja wierzę w to w co kościół św. wierzy— a kościół? w to, w co ja, tak uszedł węglarz sideł doktorowych.

trjarcha konstantynopolitański wprawił protestantów. Kanonik poznański, Hieronim Powodowski, z swych polskich kazań układał traktaty moralne, np. Korab zewnętrznego potopu (przeciw zbytkom w jedzeniu i piciu, r. 1578) w jędrnej polszczyźnie, chociaż twierdził, że różnych słów albo tytułów dialektycznych „naszym polskim językiem, który się więcej kuchnią, niż dialektyką, bawił — Polski język o rzeczach kuchennych obfity — właśnie wyłożyć nie możemy", tedy je kładł po „łacinie". Układał ze swych kazań i traktaty polemiczne, np. „Wędzidło na sprosne błędy a bluźnierstwa nowych Arjanów" (1582).

Ale swary teologiczne, zaprzątając głowy świeckich i duchownych, wykoleiły liczne talenty, sprowadziły je z dróg właściwych na manowce jałowej polemiki, gdzie zmarnowały się najlepsze siły. Np. ks. Patrycy Nidecki zapowiadał się, jako filolog swym zbiorem fragmentów cycerońskich, tymczasem zeszedł wkońcu na „miedź brzęczącą", a jedyną jego zasługą było, że marną polemikę, obce argumenty ubierał w najświetniejszą szatę humanistyczną, Chrystusa w Cycerona. Luteranin Erazm Glicner, wypowiadający trafne poglądy pedagogiczne w najdawniejszej, oryginalnej polskiej książce o wychowaniu dziecinnem (1558), tłumaczący, aż nadto niewolniczo, mowę Izokratesa[1]) niebawem rzucił pedagogję i filologję na zawsze, aby się spierać z nowochrzczeńcami o chrzest dziatek, z kalwinami o konfesję augsburską, a z „księżą szkolną Jezuitami" o wszystko. To samo było z jezuitami, Warszewickim i Herbestem. Ale i zwycięski antagonista Herbesta w gramatyczno-dialektycznym sporze o budowę okresów, pierwszym w Polsce, poruszającym wiele piór, Jakób Górski, najzasłużeńszy profesor krakowski, dał się przeciągnąć od filologji i wymowy do teologji. Przykłady odwrotne należały do rzadkich wyjątków, np. Marcin Płachta, później Kwiatkowski, co to przeszedł od fałszowania wyznania augsburskiego do panegiryków

[1]) Dodał ją do dzieła Reinharda Lorichiusa o wychowaniu i o ćwiczeniu każdego przełożonego, co na życzenie książąt Słuckich St. Koszucki wyłożył z łaciny. Obce te dzieła moralno-pedagogiczne oddziaływały znacznie na literaturę domową, na Reja; tu należą przekłady z dzieła starszego Wergerjusza, choć pochodzi z XIV wieku, owianego świeższym duchem (Marcina Kwiatkowskiego książeczki rozkoszne o poczciwem wychowaniu dziatek roku 1564) i przy samym końcu wieku, za przykładem Niemców i Czechów, Hermana Schottena, „O cnocie albo żywocie człowiekowi przystojnym", dziełko XVI wieku, napisane trybem średniowiecznym, z ciągłemi cytatami autorytetów chrześcijańskich i pogańskich, prozaików i poetów, których tłumacz przekładał gładkim wierszem polskim; traktat Schottena i w oryginale i w przekładzie zażywał większej popularności w Polsce, niż we własnej ojczyźnie.

łacińskich i polskich na cześć Stefana Batorego; Sarnicki zbiegł od teologji do historji i praw polskich. Najwybitniejsze przykłady zupełnego wykolejenia przedstawiali głównie Orzechowski i Fryc, poczęści i Wolan.

Ruski anarchizm, wybujały jeszcze za walk bojarskich z Romanowiczami nieposkromiony późniejszem przyłączeniem Rusi do Korony, objawiał się i w rodach polskich, osiadłych na Rusi, u Stadnickich, Zborowskich, Herburtów, Szafrańców, Jazłowieckich. Udzielał się on też bliskim małopolskim sąsiadom, wyróżniając ich dobitnie od Wielkopolan i Mazowszan, a ujawnił się w przeciwieństwie dwu odmiennych typów, Orzechowskiego demagoga-warchoła i Fryca, pedantycznego niemal rzecznika porządku monarchicznego. Obaj, wystąpiwszy z pismami politycznemi, rzucili je dla teologji i, idąc z początku razem, niechybnie musieli się zderzyć. Orzechowski wolnomyślniejszy od czasów swej młodości, spędzonej w Wirtembergu, nienawrócony w Rzymie, zgorszony nieuctwem i rozwiązłością kleru i biskupa, wobec których napróżno miotał perły swej wymowy, nachylający się już dla samej przekory ku Rusi domowej, oburzony na potępianie jej krakowskie, z powodu celibatu, wniesionego do kościoła, jako obowiązującego, później zaczął się burzyć na kanony i autorytety, odgrażać, że i sam trafi do Grecji, do której właściwie należy z plemieniem słowiańskiem; że zaś przedewszystkiem był retorem czy sofistą, iście aleksandryjskiego wyrobu, więc mu nie brakło i argumentów za greczyzną, a przeciw celibatowi. Listem polskim do Modeckiego, który obiegł w miesiąc niemal całą „Sarmację", łacińskiemi mowami i pismami do papieży, poruszał opinję publiczną, wyzywał przełożonych, a dopełnił miary, żeniąc najpierw Krowickiego, potem samego siebie. Tu jednak zwichnęła się jego karjera. Zenili się i inni, począwszy od Lutra, aż do Łaskiego i Krowickiego, ale konsekwentnie rzucali i kościół rzymski. Tego samego oczekiwali protestanci polscy od Okszyca, co to od Radziwiłła dostawał już jurgielty. Lecz Okszyc ani myślał o wystąpieniu z kościoła przodków, choć nawet napisał „Precz z Rzymem", za dumny, żeby się poddać jakiej nowej wiarce, pójść pod komendę jakiegoś wywłoki czy wyrwy. Sama teologja była mu obojętna, niewiele on też z niej wiedział, chociaż pisał przeciw herezjom, przeciw Stankarowi i Frycowi, a już w roku 1551 wyrzekał się uroczyście dawnego przyjaciela, Krowickiego, i napaści na wiarę rzymską; to co pisał przeciw „kacerzom", ma wartość jako próbka sarkazmów, sofistyki, wreszcie ślepego zacietrzewienia, tylko z teologją i prawdą,

a choćby powagą, niewiele ma wspólnego. Więc nietylko został przy katolicyzmie, ale nawet wykierował się na jego najgorliwszego obrońcę, gwałtownością wystąpienia zagłuszając głos wewnętrzny i opinję protestantów, którzy jego chwiejność przypisywali nerwom i lunatyzmowi. Tak strawił Orzechowski na polemice teologicznej, przeciw Rzymowi i za nim, lat kilkanaście, kąsając, kto się nawinął, choćby Fryca lub Kromera, którego dawniej podziwiał — jakżeż śmieli miejscy synkowie być innego zdania, niż szlachcic z antenatów? — tem bardziej, skoro cały kościół dzielił zdanie Kromera. Innemi rzeczami przez ten czas mało się bawił. Najważniejsze, to pamiętniki burzliwego pięciolecia po śmierci starego króla, pisane łaciną, z pod której na wierzch biją żywość temperamentu i barwność opowiadania, choć znaczenie ich umniejsza nieco zbytnie wysunięcie sprawy własnego ożenku. Ale wyłajawszy dosyta teologów, a oplwawszy heretyków z wściekłością, pofolgował Orzechowski wrodzonej żyłce publicystycznej odzywania się na każdą potrzebę i złość dnia, i zaczął pisywać dialogi polityczne, aby zakończyć „Policją Królestwa Polskiego“, niby w kontrplatonowej i arystotelesowej, lecz sterany i znękany walkami, lekkomyślnie wywołanemi, zgasł przedwcześnie. Te dzieła miały szlachcie otworzyć oczy na prawdziwe znaczenie ruchu egzekucyjnego, na fundamenty ustroju polskiego, na grożące ich nadwątlenie. Lecz i tu nie ustrzegł się strasznych paradoksów; owszem, jakby umyślnie, brnął w nie coraz głębiej, wyzywając i policzkując opinję publiczną tyradami o niewoli litewskiej, należnej dla Wielkiego Księstwa, a złotej wolności polskiej, zesłanej Koronie w darze od niebios. Nawet arcykatolik i dobry Polak, wójt Rotundus, musiał się na to srogo „oszunąć“ (ofuknąć) wykazać matactwa, „łapaczki“ „przybranego“ Polaka. Paradoksy o hierarchicznym ustroju Polski, o nadwładzy prymasowej, bo boskiej, o węgłach duchownych, na jakich osadzał filary państwowe, czyniły niesmacznemi dialogi, rozrzucane podczas sejmu, bo ich jednostronność i skrajność raziły w oczy i nadto schlebiały stanowi, którego znaczenie właśnie wtedy się podrywało. Płynął więc polityk przeciw prądowi, zyskiwał aprobatę nuncjuszową, a tracił powagę między bracią, jak nieraz, „gdy pióro unosi, a tak się rozbaje“ (A. Wolan o nim w roku 1564). Po raz ostatni wystąpił publicznie na sejmiku wiszeńskim w roku 1566, prawiąc od rycerstwa ku panom, niby skromnie, a ostro, zarzucając im, że jak obrazy malowane nie wiedzą, co się dzieje w Polsce: „oto ja ich przed wami spytam, o święci malowani, powiedzcie nam ludziom grze-

sznym, co się teraz w niebie dzieje — pytam was, czemu milczycie? Oto milczą, nic nie mówią — tym świętym podobni w radzie polskiej wyście są, nasi miłościwi panowie!“ I tu to wyznanie chylenia się ku upadkowi: „my wszyscy, co naskolwiek ludzi w Polsce jest, mówimy i to słowo w uściech swych mamy zawsze: zginiemy... niemasz w niej Boga, niemasz prawa, niemasz rządu, niemasz zgody“; i tu skargi na obniżenie władzy prymasowskiej. Występowaniem przeciw władzy królewskiej zaskarbił sobie Orzechowski łaski szlacheckie i aż do XVIII wieku kołatały się po obronach anarchji polskiej cytaty dzieł nawet rękopiśmiennych, nie mówiąc o przedrukach, w ktorych coraz odnawiano „Wiernego Poddanego“ *(Fidelis Subditus,* od roku 1584, potem 1639 i 1696) i „Apokalipsę“ (około roku 1580, potem 1626, 1630, 1660, 1696 — nie mówiąc o polskich jej przeróbkach). Nawet warchoł Zborowski na sejmie konwokacyjnym w roku 1587 czytał słowa „naszego Orzechowskiego“ (z „Wiernego Poddanego“), aby panowie Rada wiedzieli, „jako chwalić i jako się oponować Panu o wolności i dobro pospolite“.

Z tych dzieł jedno, „Apokalipsa“, nie było nawet wcale pióra Orzechowskiego; znaleziono je między jego skryptami i wydawano zawsze jako jego; tonem, otwartością przypominało Okszyca, chociaż godziło właśnie w Zborowskich i Szafrańców. Napisał je i ofiarował królowi w r. 1564 **Solikowski,** późniejszy arcybiskup lwowski, dyplomata i historyk w rodzaju Kromera, popisujący się niegdyś wierszami łacińskiemi i polskiemi (o Lukrecji, gdzie najlepszy jednak wiersz polecający Trzecieskiego); umyślnie jednak zostawił rzecz w manuskrypcie, aby obcy nie dowiedzieli się o stanie Rzeczypospolitej[1]). Jest to widzenie autora, rzuconego na wyspę Patmos, grodu otoczonego wrogami, wewnątrz niedbałego i rozerwanego, gdzie śpią prawa i władza, a panuje prywata i sobkostwo, pędzące

[1]) Dziecinny ten wzgląd wystawiano nieraz, np. gdy zakazywano przedruku Długosza, jak gdyby ci obcy nie wiedzieli lepiej, niż sami Polacy, co się w Polsce dzieje, gdzie żadnej tajemnicy państwowej ani na chwilę ukrywać nie umiano; wiedziałyż o niej zaraz przekupki na trecie. I „Apokalipsa“ natychmiast się dostała w obce ręce: najlepszy jej odpis posłano z Piotrkowa w lutym roku 1565 do Gdańska, gdzie przetrwał w archiwum miejskim do dzisiaj. Odpis ten ma liczniejsze, niż inne, rysunki i wiersze łacińskie Solikowskiego do możnowładców, gdzie ich oskarża o zgubę ojczyzny: napisałem, com widział... nie dosyć słów samych i tylko powtarzać zawsze, zginęliśmy, zginęliśmy, nieszczęśni... wasza to (możowładców!!) zasługa, że giniemy i Macierz nasza z was ma przyczynę swej zguby! Oblicze króla, ratującego wóz państwowy przed stoczeniem się w przepaść, to portret Zygmunta Augusta.

nawę państwową ku rozbiciu; opierają się król i cnoty, przywraca się porządek, nieprzyjaciele strwożeni odstępują. Aluzje były bardzo przejrzyste, dotykały haseł ówczesnych, unji, egzekucji, bezdzietności królewskiej, religijnej anarchji — pamiętał nawet autor o ubóstwie akademji, żądał nagród dla jej prac, a w przedmowie przestrzegał trafnie przed Moskwą, której potęgi nie nadwerężą nawet liczne klęski. Przeróbka polska „Grzegorzkowicza", napisana i wydana przez Herburta r. 1616, w bardzo lichym wierszu całkiem swobodnie poczyna sobie z oryginałem. I tu ratują porządek i państwo zjawienie się młodego króla i „niemieckie nieuszanowanie" (Byczyna) chociaż nawet jeden z kamieni przydrożnych woła:

O przed upadkiem nad kamień stwardziały
Narodzie polski, przygód zapomniały,
Jeśli przypadki blizkie cię nie zkrócą,
Twoje wywrócą.

Orzechowski to pierwszy pisarz w dawnej Polsce z temperamentem, nerwowy. Inni, jeśli nie folgowali prywacie, pisali rozważnie, chłodno, nadrabiając głową, nie sercem. On pierwszy odczuwał gorąco i głęboko to, co pisał, a pisał namiętnie, z krzykiem na ustach i z bólem w sercu. Chciał słuchacza olśnić przepychem i doborem słów, przerazić straszliwemi zeznaniami: „byś serce moje rozkroił, nie znalazłbyś w nim nic innego, jedno to słowo; zginiemy", albo „iż nas i tę sławną koronę postronni sąsiedzi między się, jako psi flak, roztargną". Gwałtowna miłość tej ojczyzny nierządnej i tej braci nieopatrznej każe nam zapominać o paradoksach tej świetnej a burzliwej, wichrowatej głowy — niedarmo z tej samej ziemi wychodzili i inni podobni patrjoci, a doktrynerzy, Herburt i Fredro. Mało pisywał po polsku sędzic przemyski, dbający o rozgłos po świecie, ale co pisał, czy to panegiryk na hetmana Tarnowskiego, czy paszkwil na Stankara lub Krowickiego, pisał krwią a żółcią, a tak wymownie, że świadectwo jego o złotem piórze, wobec którego Górnicki własne nazywał ołowianem, tylko mu sprawiedliwość wymierza.

Nie dziw więc, że zapalała się szlachta do pism i pomysłów roksolańskiego Demostenesa, chociaż między niemi przebierała jak w śliwkach, odrzucała teokratyczne hiperbole tego X. de Maistre XVI wieku i sarkania na jadowitych kacerzy, a trzymała się oburącz opozycyjnych tyrad. Tylko duchowni szli całkiem za Orzechowskim, taki np. ks. Hieronim Krzyżanowski, który swe kazania (r. 1566) poprzedził przemową do Polski; nastawał na jej bliskie

zginienie: nic się nam nie wiedzie, wewnątrz rozdarcie, nazewnątrz niemoc, daremne obrady, daremne nawoływania, a wszystko dlatego, że rzuciliśmy dawną, prawdziwą wiarę — tak zwalono winę anarchji na reformację! — „których kacerzów obłędliwych a sprosnych takeś się bardzo rozmiłowała ucieszna Polsko (nieszczęśliwa teraz), że chodzisz za nimi, jako za jakimi skokany, bowiem cię wiedli i jeszcze wiodą za nos tam, gdzie chcą". Już to duchowni zawsze źle wróżyli Polsce, już w pół wieku przed Skargą prorokował to samo Górski (Stanisław) w żywocie Kmity, że Bóg nas zaślepił, aby nas dla grzechów naszych „oddał w niewolę ludowi okrutnemu, ludowi sprośnemu, ludowi, którego języka nie rozumiemy — zguba wasza nadchodzi". Nie przypadkiem więc i pleban we „Wróżkach" Kochanowskiego tak „bardzo źle tuszy Rzeczypospolitej: wszyscyć to ludzie tak mali, jako i wielcy, wobec mówią, żeśmy zginęli"; i on w rozterku około wiary upatruje „wzruszenie fundamentów Rzeczypospolitej".

Między duchownymi więc znachodził Orzechowski przekonanych wielbicieli, takiego Górskiego (Jakóba), co wydawał po jego śmierci jego dzieła („Poddanego", czy i „Apokalipsę"?), albo Jana Łazarzowica (syna drukarza Łazarza Jandrysa), później uszlachconego (Januszowskiego), niegdyś królewskiego dworzanina (dlatego pisał i pod pseudonimem Jana Podworzeckiego?), potem duchownego. W „Syjon pochylonym" (r. 1587), przyczyny pochylenia Syjonu, osierocenia Polski, jawnego jej upadku, upatrywał w odstępstwie od wiary, w związaniu sumienia królewskiego niezbożną konfederacją, w ograniczeniu władzy duchownej, którą wysuwał na czoło z „onym wielkim Orzechowskim", żądając, żeby nareszcie ogłoszono jego „Policję". Polska mu wszystkiem, tu mogłaby być Wenecja z bogactwami, Paryż z wielkością i ochędóstwem, Rzym z duchowieństwem i starożytnościami, „których pełno około Kijowa": mogłaby być, jednem słowem, krajem najpiękniejszym i najbogatszym, gdyby tylko chciała! Wdzięczniejsze zadanie wypełniał Januszowski, wydając dzieła innych, Górskiego lub Kochanowskiego, troszcząc się o polską ortografję, zbierając konstytucje polskie w brzmieniu polskiem, nawet pisując *ascetica*, np. „Naukę umierania chrześcijańskiego", i rzeczy obyczajowe, „Poprawę niektórych obyczajów polskich potocznych".

Fryc po polsku nie pisał; pedant, łaciny nie odstąpił ani na krok, prawda, że w latach późniejszych dotykał głównie rzeczy jakie określał nie polski horyzont. Gdy rzucił politykę, już do

niej nie wrócił; zastygł przy sporach dogmatycznych, do których przystępował ze spokojem i chłodem włoskich herezjarchów jurystów, i w naiwnej wierze docierał do podobnych rezultatów, że trafne argumentowanie każdego, i katolika i arjanina, potrafi przekonać. Przedtem, jak wszyscy polscy protestanci nawet przy końcu wieku, gardłował za soborem narodowym i od niego oczekiwał zniesienia celibatu, a dozwolenia kielicha. Nim jednak jako sekretarz królewski wciągnął się z Hozjuszem w spory teologiczne, do których już zaglądał w czterdziestu latach, układając niby instrukcje na sobór dla posłów, wyłożył swe przekonania polityczne w najobszerniejszym traktacie politycznym, jaki posiada dawna literatura (przed Konarskim), w łacińskich naturalnie księgach o poprawie Rzeczypospolitej, tłumaczonych w całości na niemiecki (r. 1557), na polski (r. 1577), w XVII wieku na rosyjski i częściowo na hiszpański (r. 1555). Naturze Fryca odpowiada ten nietylko najobszerniejszy, ale i najsystematyczniejszy wykład wszystkiego, co sądził o obyczajach, prawach, wojnie, kościele i szkole — bo na tyle materyj i ksiąg podzielił dzieło, które w Krakowie 1551 (i w polskiem tłumaczeniu Bazylika) obejmowało tylko trzy księgi (Hozjusz bowiem przeszkodził drukowi czwartej i piątej; dodano je dopiero w Bazylei).

Najdotkliwszy cios Frycowi politykowi zadał Fryc teolog. Dla jego herezji odrzucali jezuici polityczne dzieło, które wypadło całkiem wedle ich myśli, a Reszka oburzał się na samo zestawianie z Hozjuszem i Kromerem „człowieka, oddanego oborze i gnojówce, dlatego, że coś tam o Rzeczypospolitej bredził". I zapomniano w Polsce o monarchiście, gdy przetrwała pamięć anarchisty Orzechowskiego, chociaż zagranicą nazwisko Fryca bynajmniej się nie ulotniło. Dzieło jego nie było ani hierarchiczną utopją Orzechowskiego, ani się skłaniało ku absolutyzmowi Makiawela; uznawało ustrój polski stanowy; nie żądało równouprawnienia politycznego ani społecznego mieszczan ani chłopów, chociaż żądało jednego prawa, t. j. żeby szlachcic nie cieszył się przywilejem główszczyzn, żeby chłop ukrzywdzony mógł się z panem prawować, żeby żołnierz nie grabił bezkarnie, żeby ustawał wyzysk w kupiach. Polityk liczył się więc z itsniejącym porządkiem; znał i obce, niemieckie i włoskie, i zapożyczał się u nich, np. co prawił o ludziach żebrzących, wyjęte jakby z spółczesnych ustaw gdańskich, albo np. żądanie większej kary za te same winy, jeśli je popełnią znaczniejsi, które przeszło z Wenecji. Od rzeczy najogólniejszych,

od pojęcia państwa, wzorowanego na starożytnych, aż do najdrobniejszych np. o ustawach rzeźniczych, wszystko obmyślane porządnie; sarkanie na ucisk kmiecy, projekty poprawy sądów polskich, utworzenia stałego skarbu są najznamienniejszemi dla całego dzieła. Najkrócej uporał się Fryc ze szkołami, upatrując im tylko prowenty i protestując przeciw nauczaniu dawnej skażonej łaciny i owych rzeczy, „które nie nam, lecz jakiemuś nieznanemu światu, służyć miały“. Mógł się powołać na świeżo wyszłe dzieło mieszczanina pilzneńskiego, **Szymona Marycjusza** („O szkołach czyli akademjach“ naturalnie po łacinie, roku 1551): Autor wyniósł z Włoch wysokie wyobrażenie o godności, zasługach i zyskach stanu nauczycielskiego, ale rozczarował się w kraju, widząc upokarzającą rzeczywistość: dochody czterdziestu profesorów krakowskich, nie przenoszące tysiąca dukatów, t. j. tyle, ile jeden pobiera we Włoszech, barbarzyński tryb nauczania na autorach niemoralnych i niezrozumiałych, awansowanie od stołu i stajni, nie od nauk — to skarga powszechna na rzucanie nauk dla dworów nawet przed ukończeniem wieku chłopięcego, pogarda mistrzów i wiedzy dla praktyki dworskiej i opustoszenie wskutek tego audytorjów. Od skarg i żalów przechodzi Marycjusz do programów lepszego nauczania, dobrze obmyślonych i skutecznie poleconych, chociaż kładzie nadto wielką wagę zgodnie z duchem czasu na styl wykwintny. Lecz niebawem sam rzuca niewdzięczne nad miar bakalarstwo i korzysta z protekcji Hozjusza, by się czepić innego chleba: Tak samo inny znakomity kolega, **Wojciech Nowopolczyk**, rzuca szkołę i autorów, aby się poświęcić teologicznej polemice. Została szkoła krakowska „kołem w oczach kacerskich“ (reformacja i dwory dobiły ją do szczętu), ale już nie budziła życia, chociaż jej mistrzowie „na dziesięć grzywien jednak dosyć wymyślali“.

Papież kalwinów litewskich, **Andrzej Wolan**, jak Orzechowski i Fryc, zapowiadał się również raczej jako polityk — tej karjery zupełnie nie rzucił nigdy — niźli jako teolog. Podziwiał **Rotunda**, i obaj sobie polecali nawzajem własne dzieła wierszami i listami pochwalnemi. W pierwszem dziesięcioleciu pracy literackiej, od satyry wierszowanej na zmienność polską, nietylko w strojach i głowie („Proteusz czyli Odmieniec“) aż do księgi „O wolności Rzeczypospolitej albo s z l a c h e c k i e j“ *(De libertate politica seu civili.* pod takim tytułem w roku 1606 przetłumaczono oryginał łaciński z roku 1572) poświęcał się wyłącznie badaniu życia potocznego. Skreślił je w barwach bardzo posępnych, nie zastanawiając się zby-

tnio nad sprawami politycznemi, sejmowaniem i t. d., lecz głównie bił na obyczaje, zbytek, brak sprawiedliwości; był więcej satyrykiem i moralizatorem, niż politykiem, i tem się od tamtych różni. I Fryc i Wolan zwracali się do indywiduów, budząc ich moralne uczucia, żądali nie praw i instytucyj, lecz polepszenia, poprawy jednostek i łudzili się najzupełniej. U Wolana przebija też skarga na wieczne odkładanie wszelkich spraw do sądnego, nie do sądowego dnia, na ową dojutrkowość Zygmunta Augusta, która drażniła nawet takich wziętych rojalistów, jak Rojzjusza, Rotunda i innych. Niebawem jednak stanął do walki wyznaniowej, prowadzonej na dwa fronty, przeciw „ebjonitom“ (Czechowiczowi, Budnemu), przeciw którym chciałby cały świat chrześcijański poruszyć, i przeciw „lojolitom“, przeciw Skardze, a później Jurgiewiczowi, uczniowi akademji wileńskiej, a potem kanonikowi wileńskiemu, który strasznie szarpał browarczyka z Lwówka, bo tak Wolana ochrzczono. Pisma Jurgiewiczowe wychodziły w pięciu językach, najwięcej podobały się jego zjadliwa „Piąta Ewangelia“ (czyli jego wojna przeciw maszkarze konsensu sandomierskiego), i „Najstarsi wyznawcy piątej ewangelji, Żaden i Nikt, ukryci w niewidzialnym kościele protestanckim, a przez Lutra, Zwingljusza i Kalwina z ciemnic wyprowadzeni“ (roku 1599, tłumaczenia niemieckie, czeskie; francuskie roku 1608). Wielkopolanin Wolan na Litwie dorobił się znaczenia i majątku (ród jego do dziś istnieje), ale, schodząc w sędziwym wieku do grobu, widział nadzieje zawiedzione, zapewniony triumf katolicyzmu.

Ten triumf osiągał katolicyzm nie gwałtownemi środkami, jak w krajach habsburskich lub włoskich — dla teroryzmu religijnego nie było wcale miejsca w Polsce. Jeżeli Lippomano, gorąco kąpany Włoch, doradzał, aby ścięto z ośmiu herezjarchów, poczem cały ruch uwięźnie, jeżeli nawet w instrukcji synodowej z roku 1563 żądano krótkiego procesu i natychmiastowego potem ścięcia (aby ich nie odproszono) Filipowskiego i Lasockiego, Oleśnickiego i Szafrańca, Bonera i Górki, to projekty te były chyba akademickie, możliwe wszędzie, tylko nie w Polsce. Obaj królowie, stary i młody, zarzekali się gwałcenia sumień, Zygmunt August nie przywłaszczał sobie roli Ducha Św., a nawet gorliwy katolik, Zamojski, ubolewający szczerze nad wyznaniowemi rozterkami, opowiadał się jawnie przy nienaruszalności praw dysydenckiej braci szlacheckiej; nie zdołano nawet mimo biadań jezuickich i duchowieństwa, osłabić artykułu konfederacji. W Polsce szlacheckiej wyznania nie dzieliły ludzi. Ku zgorszeniu Włochów jawny protestant zasiadał przy

stole dostojnika kościelnego, i nikt na to nawet nie zwracał uwagi; jeszcze nie przychodziło do zaostrzenia waśni wyznaniowej, do namiętnych jej wybuchów. Że po miastach młodzież szkolna i rzemieślnicza, podrażniona niewczesnem wystąpieniem jakiegoś akatolika, napastowała brogi i zbory, poturbowała Socyna i jego książki tak, że go dopiero wybawił mistrz Wadowita, wobec tego, co na Zachodzie się działo, było to niewinną igraszką. Protestanci mieli prawa zawarowane. Nie skutkowały wcale perswazje jezuickie, że państwa protestanckie katolików nie tolerują. W łagodnej, dobrodusznej naturze słowiańskiej jeszcze nie było miejsca dla nienawiści wyznaniowej; cierpiano obok siebie prawosławnych, ormian, żydów— czemużby nie i protestantów? Na polskiej ziemi nawet sam protestantyzm łagodniał: powtarzał dawne pieśni katolickie bez skrupułów, a protestantyzm śląski zatrzymywał i posty i kult Marji. Polska została gościnnym krajem słowiańskim, do którego trapiony o wiarę, ścigany, jak dziki zwierz, Moskwicin (Kosy albo Artemij) czy Włoch, zwracał tęskne oczy. Wobec niecnych zbrodni, zapełniających dzieje zachodnie, wobec rzezi hugenockiej, angielskich prześladowań, hiszpańskich i włoskich inkwizycyj, wzrok chrześcijański spoczywa z upodobaniem na cichej, spokojnej Polsce. Mógł Łaski żądać wygnania duchowieństwa katolickiego „nietylko z Rady koronnej, ale i z Polski, jako Anglja niedawno udziałała“, można było wypowiedzieć pobyt starcowi Ochinowi, ale do walki bratobójczej nie mogło przyjść nigdy — braciaż to, nasza krew! Na szerokich niwach polskich, gdzie się życie nie ześrodkowywało, gdzie hasła się rozpraszały, a prądy słabły, różnice wyznaniowe jeszcze się nie zaostrzały. I pokazało się niebawem, że pożoga protestancka tylko nato spaliła pola i łąki polskie, aby je użyźnić pod przyszły, bujniejszy posiew nowego katolicyzmu.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

LITERATURA ZYGMUNTOWSKA.

Literatura staropolska: Bielski i Rej, Paprocki i Stryjkowski. Tłumacze. Beletrystyka (powieści ludowe). Wierszoroby. Dialogi i dramat szkolny. Poezja humanistyczna, łacińska; polska, Kochanowski; pierwsze włoskie tchnienia; Szarzyński; ksiądz Grochowski; mieszczanin Klonowicz, Tłumaczenia, Górnicki i inni. Proza humanistyczna, historycy, mówcy. Wynik tej pracy umysłowej; wysoki poziom literatury narodowej; jej język.

Skrzydła reformacji musnęły wodę sadzawki Siloe i niemocny język polski wyszedł z niej uzdrowiony i ruszył o własnych siłach w dalszą drogę. Lecz to dawne życie polskie zbyt było bogate, żeby się wyczerpać w jednym ruchu, choćby religijnym. Tylko na chwilę walka o prawdziwe słowo Boże mogła zagłuszać inne potrzeby umysłowe, przerywać tok myśli humanistycznej i politycznej, zobojętniać ludzi dla sztuki i piękna. Reformacja tylko przyśpieszyła ich rozwój prawidłowy.

Humanistom była nadzwyczaj nie na rękę. Gniewali się poprostu na ten gwałtowny zwrot ku średniowiecznym ideałom, ku sporom teologicznym, zagrzebanym, jak mniemali, na zawsze. Erazm Roterdamczyk i Jan Łaski ubolewali nad rubasznem sekciarstwem Lutra, tak niezgodnem z ich wykwintnym humanizmem, tak pogardzającym i potępiającym bożyszcza pogańskie. Ale wobec prądu okazali się bezsilnymi: Erazm, zstąpił do grobu, pokłócony z protestantyzmem, pozbawiony nimbu nieomylności; Łaski wciągnął się sam między najgorliwszych szermierzy o wiarę: humaniści, Hozjusz, Kromer, Nowopolczyk, Nidecki klasyczne

elegje i panegiryki mieniali na obrony i wyznania wiary. Nie na zawsze jednak i nie wszyscy: wracano do przerwanych studjów, a przy nich język narodowy, wywalczający sobie prawo w piśmiennictwie, domagał się coraz większego uwzględnienia. Po tej drodze zaś kroczyli, najlepszym wzorem dla innych, ludzie, którzy albo szkoły humanistycznej, jak stary Wolski, albo żadnej, jak Rej, nie przeszli.

Stary Wolski przywłaszczył sobie zasługę:

Jeszcze od swoich młodych lat
Pisał wszem polskie rzeczy rad,
On się na to pirwej obrał,
Drogę impressorom podał,
Pisma polskie imprymować —

rzeczywiście, jedyny niemal szlachcic, przyłączył się już w roku 1535 do mieszczan, tworzących literaturę narodową i wydaniem „Kroniki świata“ po polsku w roku 1551, zarobił na imię polskiego Karjona: kronika opowiadała o uniwersalnych monarchjach, o nowym świecie, o dziejach czeskich i węgierskich, a podług Bernata Wapowskiego, o dziejach polskich. Wolski, albo Bielski, jak się później nazywał od nowej posiadłości ziemskiej, nie był historykiem z zawodu: to pisarz średniowieczny, moralista, satyryk, dydaktyk i, prócz kroniki, pracował tylko na tem polu, ale zawsze po polsku i tem zasłużył na wielką wdzięczność, chociaż mu to niepamięcią oddano, wysuwając Reja na plan pierwszy. Ten „Prawdzic“, nietknięty od humanizmu, pokazał w swoich wierszach, satyrach, alegorjach, jakiemi drogami mogła kroczyć samorodna, domorosła poezja polska bez podpór i ozdóbek humanistycznych, fałszujących styl polski. W roku 1557 wydał pierwszą polską oryginalną *moralité*, „Komedję Justyna i Konstancjej, brata z siostrą, jaką im ojciec naukę po sobie zostawiał“, niedramatyczne zapasy występków i cnót o posiadanie obojga młodych, zakończone triumfem cnoty. Wiersz wstępny, oprowadzający książkę po naszej ziemi, jest jednym z piękniejszych okazów całej poezji wieku; nigdy Rej nie napisał czegoś podobnie wdzięcznego i miłego. Znamienne są i jego satyry; w „Rozmowie dwu baranów“ (z kamienicy krakowskiej pod Baranami), kreśli stosunki miejskie; — Bielski, choć na wsi mieszkał, myślą wybiegał zawsze do miasta i szlachtę nakłaniał do polerowniejszego, miejskiego życia mądrze i gorliwie, ale próżno; „Sejm niewieści“, szydzi z niezaradności i opieszałości męskiej, narzuca się na zbawcę ojczyzny polskiej; obie dowodzą

wiele daru spostrzegawczego, domorosłego dowcipu, zdrowych pojęć, jędrnego wysłowienia.

Syn, *Joachim*, wciągnął się w szeregi humanistyczne, pisywał gładkie łacińskie wiersze, wyjątkowo (na Byczynę) polskie, a rozszerzeniem i doprowadzeniem kroniki polskiej ojcowskiej aż do Zygmunta III wyrządził przysługę znakomitą piśmiennictwu narodowemu. Czytając jego naiwną, szczerą, prostą, acz powierzchowną kronikę, oddycha się polskością, wciąga się niby w sam tryb spółczesny i tem bardziej odczuwa krzywdę, jaką wyrządził humanizm literaturze polskiej, jak zatracają się cechy polskie w łacinie Orzechowskiego, Orzelskiego, Heidensteina.

Równocześnie z „poetą“ Wolskim na pole poezji obyczajowej i satyrycznej, zarzucając polemikę wyznaniową, wrócił *Rej*, teraz już mąż pięćdziesięcioletni, sławny rymami i propagandą nowej wiary na całą Polskę. W krótkich odstępach wypuścił w świat „Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego, w którym, jako we zwierciadle, snadnie każdy swe sprawy oglądać może“, wzorowany na łacińskiem dziele „Palingenjusza“ *Zodiacus Vitae*, humanistycznem, filozoficznem, suchem, i oryginalny „Zwierzyniec, w którym rozmaitych stanów ludzi, zwierząt i ptaków kształty, przypadki i obyczaje są właśnie wypisane, a zwłaszcza ku czasom dzisiejszym naszym niejako przypadające“. W pierwszem dziele autor oprowadzał młodzieńca po rozmaitych filozofach pogańskich, po ogrodach Epikura, po piekle i raju, ażeby wykazać w obszernych przemowach cel bytu, drogę żywota, manowce występków. Rzecz w filozoficznej części naiwna i słaba, pozostająca daleko wtyle za subtelnością i głębokością mędrca-ascety włoskiego, zato w części opisowej, obserwującej, satyrycznej, pełna Rejowej werwy, dosadnych rysów, trafnych obrazów, więc bardziej żywa i zajmująca, niż uczony, abstrakcyjny oryginał, bardzo zresztą w Polsce poważany, choćby dla ostrych wycieczek przeciw duchowieństwu i przeciw mitologji. We wstępie Reja znachodzimy znowu charakterystyczne wyznanie, malujące czasy i ludzi: słychać, że „postronni narodowie język, a podobno i dowcip polski na małej pieczy mają, jakoż też z łaski Bożej niebardzo się jest czym chlubić, gdyż niedbalszych ludzi niemasz, jako Polaka, coby się w swym języku mniej kochali... Kto pomni mało przeszłe czasy, albo czyta pirwsze pisma polskie: jeśliże język, albo wymowa, albo każdy iny kształt dzisiejszych Polaków, ku pirwszym terminom polskim jest podobny: którym snadź drugim ledwie rozumiemy. A to się ni-

czym inszym nie dzieje, jedno iż nastało niemało książek polskich, a są drugie i od zacnych i od uczonych sprawione. A tak ty książki, niżej napisane, acz za wstydem wydane: gdyż puścić co na świat, na rozmaite sądy, jest się na co rozmyślić. Ale iście więcej z chuci prawej, niźli dla czego innego są pisany: aby ci, którym Pan Bóg ten funt dał, tu znalazszy co poganić, z tej przyczyny do czego się szyrszego, a potrzebniejszego pisać przychylili, a naród swój i język zdobili, a z tego mnimania nikczemnej niedbałości u postronnych się ludzi wywodzili."

„Zwierzyniec", nowe świadectwo niezrównanej Rejowej łatwości wierszowania, to anegdoty o hetmanach, królach i mędrcach starożytnych, o ich cnotach, dzielności, mądrości, zakończone podobnemi anegdotami o płci pięknej — ażeby się na nich wzorować; dalej idą wiersze na króla i szlachtę, na cnoty, na stany i sprzęty, zakończone pierwszym zbiorem polskich fraszek, figlików, przeważnie zaczerpniętych z obczyzny, z facesji włoskich i niemieckich; wszystko ujęte w szczupłe ramy ośmiowierszowe i w bardzo lakoniczne, zato cięte wysłowienie, zresztą aż nadto drastyczne i rubaszne. W obu dziełach jeszcze się Rej nie wyzwolił od wycieczek przeciw katolicyzmowi i jego porządkom. Dopiero w ostatniem, najdojrzalszem, porzucił je, chociaż swej kalwińskiej podstawy bynajmiej nie opuścił. Jest to zbiór kilku dzieł i rozpraw, objęty głównym tytułem „Zwierciadło albo kształt", mieszczący w sobie na czele „Żywot poczciwego człowieka", drukowany od roku 1567 do 1568, każda część dedykowana innym osobistościom, z coraz nowego miejsca pobytu, dowodząca najwymowniej, jak to autor żył na dyszlu. Do „Żywota" przydał traktaty polityczne, alegorje, wiersze na ludzi i narody — pierwszą ich charakterystykę, po części wcale trafną, choć Rej z granic polskich, a raczej małopolskich nogi nie wychylał — i napisy na sprzęty, w których rozkoszowała się ówczesna „poezja" jakby napis z moralną nauczką ręczył za moralność właściciela czy mieszkańca. Katechizm Reja o obowiązkach i trybie życiowym, od kolebki do zgonu, choć ciągle zdradzał swemi ogólnikami wpływy Seneki, Schottena i Lorichjusza, zastosowany ściśle do pojęć i potrzeb braci szlachty (innych stanów nie dotyczył), malował już tę szlachtę zadomowioną, co od przygodnych posług obywatelskich, mieczem i radą, stale się wymykała do domowego ogniska, do żonki i dziatek, do konika i piesków, do gospodarstwa, pola i książki, jakby ta Polska szlachecka nie miała żadnych granic otwartych, żadnych czujnych

wrogów, żadnych skaz wewnętrznych. Krótkowidzący optymizm autora nie znał rozdzierającego piersi okrzyku Orzechowskiego: giniemy!

Jak polityka-Fryca, tak i moralistę-Reja zabił protestantyzm. Stanowisko wyznaniowe ograniczało wpływ autora do kół protestanckich i, gdy protestantyzm wymierał, ginęła i pamięć o polskim rymarzu, którego dzieła wyjątkowo jeszcze przedrukowywali protestanci, a katolicy pomijali, nawet nie wymieniając jego nazwiska w najdawniejszych dziełkach o literaturze polskiej. Jednak w szesnastym wieku wpływ i przykład Reja znano i ceniono ogólnie; naśladowano jego styl, np. anonim (Marcin Siennik?) w „Historji w Lundzie“ (o ukaranej niewdzięczności dzieci) w roku 1569, tak, że ją Rejowi przypisano; naśladowano jego pomysły, ze „Zwierzyńca“; jego prozę okradał żywcem ks. Wereszczyński. Bardzo popularny za życia, niedbały o swe dzieła, dający im ginąć marnie, po śmierci rychło stracił tę popularność i przyćmiony od innych i przez własne wyznaniowe stanowisko — mimo to rej wodził między pisarzami polskimi, uchodził za polskiego Dantego (bo od tego literaturę włoską zaczynano) i Ennjusza; tak szczycili się nim protestanci.

I nie mylili się wcale, bo Rej, to pierwszy literat z powołania, choć, niestety, bez wykształcenia. Wszyscy przed nim przygodnie, od niechcenia, zajmowali się literaturą; on w niej odczuł siłę oddziaływanie na szerokie kręgi i dlatego jej się oddał. Nie żały, skoro go „światek“ strasznie odrywał i rozrywał — ciągle się też zarzekał, że już pisać nie będzie, żegnał się z literaturą a mimo to do niej wracał; nawet w ostatnich miesiącach przed śmiercią dorabiał nowe figliki (do nowego wydania Zwierzyńca), nie spodziewając się, jakiego figla śmierć mu miała spłatać. Naiwnemu, płytkiemu, jowialnemu towarzyszowi tajemnice sztuki, stylu, piękna zawsze pozostały obcemi, nawet się ich nie domyślał. Nie miał nawet czasu do starannego obmyślania rzeczy, ani do gładzenia formy; wytrząsał wszystko z rękawa, ale pisał, gdy inni milczeli, nawoływał, dawał przykład i nieustanną a żywą podnietę, próbował rzeczy najrozmaitszych, rozszerzał widnokrąg, wzmacniał język i dowodził jego żywotności. Wrodzony dowcip, życiowe doświadczenie, przegryzanie się i otarcie w towarzystwie, gdzie się pierwszy w literaturze włożył do kalamburów, zastąpiły braki systematycznej jakiejś nauki i ogłady. Nietylko fizycznie, ale i umysłowo, za granice polskie nie wyzierał, jego przykłady i sentencje staro-

żytne, nawiane z wierzchu, do niego nie przylegały wcale. Typ to szczeropolski, staroszlachecki, w gruncie bardzo sympatyczny: i jako człowieka i jako pisarza.

Rozwój jego talentu dziwne przechodził koleje. Pierwsze potrącenie wrodzonego daru, to skutek wychowania na łonie przyrody, śród rozśpiewanej Rusi naddniestrzańskiej. Nie przyznałby się wprawdzie do pieśni „Kmiotówien“ hardy szlachcic; niemasz śladu ruszczyzny w jego pismach a mimo to pieśń ruska — innej zamłodu nie słyszał, — pobudziła go do tworzenia własnej. Pozostawiony sobie, byłby kleił wiersze, krótkie dialogi, ale zupełnie oryginalne, humorystyczne i satyryczne; nie zanosiło się na nic większego. Wierszokleta przedzierzgnął się w pisarza narodowego dopiero za podmuchem reformacji; ta postawiła mu przed oczy wysokie cele, służbę dla braci, szerzenie prawdziwej wiary i moralności. Tak powstał „Kupiec“ a za nim wysypał się cały rój pism i pisemek luterskich i Rej rósł z każdem nowem dziełem i o coraz większe się kusił. Z ministra, obsługującego zbór kazaniami, pieśniami i modlitwami, przeszedł na nauczyciela całego narodu szlacheckiego, bez różnicy wyznań. Ta gorąca chęć wpływania mądrem, szczerem a tkliwem słowem na nieopatrznych, budzenia ich sumienia, wynoszenia serc i umysłów ku górze, to wybitna jego cecha, około której skupia się cała jego działalność; Biernat Lubelczyk tłumaczy, co mu pod rękę wpadnie, Rej waży i wybiera starannie; tworzy pierwszą książkę polską. Że był poetą, dowodzi fakt, że stale myślał obrazami: gorące spory Naogeorga, suche roztrząsania Palingenjusza, odskakujące od rzeczy, zastępywał pysznemi obrazkami. żywemi kształtami. Brak mu jednak skupienia, coraz wraca do tej samej myśli, powtarza się nieskończenie i tem nuży dzisiejszego czytelnika. Godzi nas z nim potęga słowa; językiem włada po mistrzowsku a lekkość ma nadzwyczajną, która go co prawda stale unosi. Trudu sobie nie zadaje, powtarza np. stale te same rymy; jeśli wiersz kończy widzi, to w następnym będzie koniecznie wstydzi, troszki a foszki i t. d. Nigdy nie myślał o literatach i literaturze, wzorów co do formy nie cenił, nie znał, to tłumaczy jego widoczne braki, ale nie zakopał samorzutnego talentu i tam nawet, gdzie szedł za obcym, pozostawał sobą, wprowadzał motywy, wątki, szczegóły, o których w pierwowzorze głucho i napróżno szukają dla niego jakichś wpływów złożonych: Wolność Tomku w swoim domku, było hasłem, tkwiło na dnie całej jego pracy,

zastanawiającej obfitością i różnorakością, nieco nadto pierwotnej.

Do tej domowej staropolskiej literatury, tworzonej przez Bielskiego i Reja, z późniejszych należeli głównie dwaj Mazurzy, naturalnie katolicy, pilni i gorliwi pisarze, **Paprocki i Stryjkowski.** Pierwszy reprezentuje szlachtę zaściankową, oddaną już na usługi możnym panom, ale jeszcze sarkającą na uniżenie, rojącą jeszcze sny szlacheckiego równouprawnienia, zazdroszczącą mieszczanom zasobów, zagorzałą w fakcji politycznej aż do krzyczącej niesprawiedliwości, twardą w prawej wierze, przeciwną wszelkim nowinkom. Wiedza i myśl, forma i język nie wykraczały poza zaścianek, choćby Dobrzyński, którego przodkiem w literaturze jest Imć pan Bartosz Paprocki. Góruje tu stara „cnota“ i jej zewnętrzny wyraz, „herb“ jako oznaka szlachectwa, morały tu patrjarchalne, z kijem, jako niezawodną receptą, mianowicie przeciw babom i ich wężowej naturze; jest i silna żyłka pamfleciarska, jest ciekawość tego, co się też dzieje w naszej Polsce, książek czyta się mało, ale tem głębiej przyswaja się ich treść i powtarza się je, lub przerabia, w naiwnej zarozumiałości, że maksymy, pozbierane tu i owdzie, nanizane na wąskie pasmo słów własnych, pouczą choćby samego króla, hetmana, senatora o ich obowiązkach — wszystko zupełna parafjańszczyzna. Gdy się los p. Bartosza w Polsce wykoleił, pracował na obcej ziemi jak najprzykładniej w tym samym herbowo-moralizatorskim kierunku: pierwszy to Polak, który należał do dwu literatur, do polskiej i czeskiej. Chociaż po łacinie umiał lepiej, niż Rej, tylko polskiem pismem trafiał do braci-szlachty, czy kiedy im zbiór bajek łacińskich, drugi po Ezopie Biernatowym, lichym, gorszym, niż Rejowy, rymował wierszem i cukrował przytykami na zepsute czasy, przeciw panom, różnowiercom i mieszczanom („Koło Rycerskie“, bo w takiem kole zasiadają stworzenia i nauki nam prawią), czy to, kiedy im wystawiał „Dziesięcioro Przykazanie Mężowo“, „Naukę obierania żony“ wierszem, „Króla“, „Hetmana“ prozą, najazdy tatarskie na Ruś i własne najazdy na cześć i sławę Batorego i Anny, Zamoyskiego i Zygmunta, wierszem i prozą. Większą i trwalszą zasługę, niż wierszydłami i piśmidłami, wyrobił sobie pracami heraldycznemi i historycznemi, „Herbami rycerstwa polskiego, na pięcioro ksiąg rozdzielonymi“ (1585), czerpanemi z aktów, dyplomatów, nagrobków i „Ogrodem królewskim“ (1599), niby dopełnieniem do owych „Herbów“ o rodach panujących w Austrji, Rusi i t. d. Prace

te urosły z poetyckich prób „Panoszy“ i „Gniazda Cnoty“, gdzie opiewał trybem „Zwierzyńca“ Rejowego, nieraz z jeszcze liczniejszemi docinkami ruską szlachtę, a potem całą polską, herby i ludzi. Rozpoczął Paprocki długi szereg heraldyków polskich i litewskich, Okolskiego, Kojałowicza, Potockiego i Niesieckiego, i trafił w sam gust drobnej szlachty, ceniącej nadewszystko herb i koligacje. Tę szlachtę z jej narowami, mniej z jej przymiotami, reprezentował, czy to nienawidząc Niemców — gdy „czytelnika“ prosił o wybaczenie myłek w nazwach pruskich, jako ten:

Kto niemej tej przeklętej mowy
Niemoże właśnie *exprimere* słowy,

czy to dla niesforności nienawidząc Batorego i Zamoyskiego tak szczerze, że nienawiść mu podyktowała jedyne jego wymowne wiersze, gdy twierdził, że z Batorym

Zaczątek nędze i niewoli wszelki,
Wolności ucisk, nieporządek wielki
Wionął na Polskę przez Tatry wysokie;
Wewnątrz próchniało królestwo szerokie;
Sobole drogie staniały, tak darzy,
A w cenę wielką weszli wilcy szarzy (Sarjusz Zamoyski).
Jenoć to wino, panowie Polacy,
Z tych krain dobre! mów lepiej — kto raczy.

Podobną nienawiścią dyszało „Oclenie (Uleczenie) mieć albo Przestrożnik“ Jana Karczowskiego, podczaszego czerskiego, również Mazura. Czytając to napiętnowane namiętnością i prywatą a kryjące się pod płaszczykiem *pro publico bono* widzi się ciągle klucznika Gerwazeńka i jego spryt podziwia.

Sympatyczniejszy jest inny Mazur, co to również od wierszydeł okolicznościowych (opis koronacji Walezego), i polemicznych (przeciw arjanom), zabrał się do kreślenia dziejów, **Matys Stryjkowski**, który jednak, jak krakowianin Rotundus w XVI wieku, jak Wołynianie, Rzewuski i Kraszewski w XIX wieku, przeszedł na Litwina. I on najpierw w wierszach, w „Gońcu cnoty do prawych szlachciców“, wysławiał cne czyny królów i książąt, odstępstwo potomków od dawnych torów, fałszywe pojęcie szlachectwa (z rodu, zamiast z własnej cnoty), aby potem w prozie, w obszernej kronice, „Która przedtem nigdy światła nie widziała, Kronika Polska, Litewska, Żmudzka i wszystkiej Rusi“ (r. 1582), przerywanej coraz wierszami (w opisach bojów i podobnych efektownych scen), wyłożyć dzieje, czerpiąc z Długosza, z ruskich latopisców, których

mu dostarczali Rotundus i Chodkiewicz, z kronik niemieckich, nie gardząc tradycją miejscową, bacząc nawet na wykopaliska, na zwyczaje i zabobony. Podanie o rzymskiem pochodzeniu szlachty litewskiej, jakie próżność litewska wypielęgnowała już w XV wieku, czepiając się powierzchownego podobieństwa litewszczyzny i łaciny *(Lituani = L'Italiani)*, zastosował w całości.

Te same żywioły, wyłącznie narodowe, reprezentował biskup kijowski, pełen wojowniczego animuszu, jako osadzony na kresach chrześcijaństwa, **Józef Wereszczyński**, syn zlaszonych rodziców, w imię spólnej narodowości i spólnego wroga, półksiężyca, w zruszczonych wierszach zwracający się do hosudara moskiewskiego. Jego pisma polityczne dotykały przyszłej wojny tureckiej, gromadzenia na nią sił i zasobów, utworzenia na granicy szkoły czy zakonu wojennego, osadzenia opustoszałego Kijowa. — Obyczajowe były w formie kazań i traktatów, np. „Reguła dobrego życia króla“ albo „Gościniec pewny niepomiernym moczygębom a obmierzłym wydmikuflom“; najciekawsze z nich to „Wizerunek na kształt kazania“ (nad zwłokami ojca), wyraźne świadectwo, jak to polszczały rodziny ruskie. Zresztą biskup, dysputujący z „infułaty oczakowskimi“ (Tatarami) nie biblją, ale szablą, nabrał tatarskich pojęć o własności, bo wypisywał poprzedników, Reja, „Dworzanina“ i innych bez skrupułów; zato wykład jego odznaczał się, aby „wszystkim stanom folgował“, nadzwyczajną przystępnością i dosadnością.

W tej to literaturze, obcej artystycznym zakusom, dbałej wyłącznie o rzecz, nie o formę, starającej się szerzyć w narodzie szlacheckim i miejskim zajęcia umysłowe, wiedzę, cnotę, wtykającą każdemu polską książkę do rąk, znaczną rolę odgrywali tłumacze, często nieznani i z nazwiska, skromni a pożyteczni pracownicy. Jeden z celniejszych, to **Cyprjan Bazylik**, mieszczanin sieradzki, tłumaczący „O poprawie Rzeczypospolitej“ Fryca, historję Attyli Olaha (Węgra) i historję Włocha Barlecjusza o „żywocie Skanderberga“, aby do wojny tureckiej dodawać otuchy, zbierający, jako gorliwy protestant, „Historję o srogim prześladowaniu kościoła Bożego“ (Husa i t. d., aż do dziejów „zboru cudzoziemskiego“ Łaskiego w Londynie), z rozmaitych źródeł, przerabiacz ciekawego „Postępku prawa czartowskiego“. Starej średniowiecznej fikcji, procesu o człowieka między Chrystusem a Beljalem, w formach przewodu kanonicznego, użył Bazylik, aby za przykładem niemieckiej literatury djabelskiej, którą pierwszy wprowadził do Polski,

wystawiać djabłów, od kufla, kart, kostek, strojów, gachów i ich robotę; pismo drastyczne tłumaczono jeszcze w XVII wieku na Rusi moskiewskiej, z niego wyszedł w kilkunastu wydaniach (drukowany jeszcze w połowie XIX wieku) i arcykatolicki „Sejm piekielny“ czyli „Examen księcia piekielnego“, gdzie to babskie, heretyckie, szkolskie i ruskie djabły chlubią się przed Lucyferem tem, co który wyrządził; okaz to literatury ludowej, pełnej szczegółów o przesądach, czarach i gusłach.

Inny mieszczanin krakowski, **Marcin Siennik**, wyjątkowo rękę przykładał do rzeczy wyznaniowych. Wydawał i tłumaczył rzeczy lekarskie, ciesząc się wielkim pokupem na prowincji wobec braku lekarzów — zielniki, herbarze medyczne, ciągną się nieprzerwanie od Stefankowego aż do Syreńskiego, od roku 1534 do 1611. Ale najwięcej zaskarbił sobie Siennik łaski płci pięknej, drukując dla niej pierwsze powieści i romanse, przekładając je z nieprzebranej skarbnicy niemieckiej. Ten dział świecił dotąd pustkami; jedyny „Marcholt“ i „Poncjan“ zastępował go, bo już „Historje rzymskie“ zbyt umyślnie wysuwały na cel alegorję. Teraz zjawiają się historje o Meluzynie, Magielonie, Cesarzu Ottonie, Fortunacie, Sowizdrzale, tłumaczone z niemieckiego; „Historja Trojańska“ jakiegoś protestanta, ułożona bardzo starannie i przyzwoicie z łaciny, podczas gdy „Historja Aleksandra“ (Macedończyka), o bojowaniu, o wiele mniej jest ogładzona. Obok tych pism prozą istnieją wierszami z łaciny „Historja o Eurjalu i Lukrecji“ Goljana, niezdarna przeróbka słynnej, acz nieskromnej noweli Eneasza Sylwjusza, z „Przemian Owidjuszowych“; o „Lukrecji“ z nowel Bouacc'a; przeróbki Jana Stoka, Dębowskiego, Pudłowskiego („Dido“), anonimów, O „Gryzeldzie“, co wydano i prozą, w porównaniu z oryginałem Petrarki, bardzo rozszerzone naukami o małżeństwie, o „Barnabaszu kupcu i jego wiernej żonie“, o „Wdowie Berytoli i jej ciężkich przejściach“. Losy tych książeczek czy powieści ludowych bywały najrozmaitsze. Jedne ginęły, rychło zapomniane, drugie pojawiały się w nieprzerwanym ciągu aż do XIX wieku, np. u Foltyna w Wadowicach, lub w Warszawie na jarmarkach; tłumaczono je w zawody na ruskie w XVII wieku; a obfitowała w nie bibljoteka ks. Golicyna i innych ruskich magnatów. Książeczki te, pomimo licznych wydań, tak zaczytano, że dawniejszych egzemplarzów, z XVI, nawet z XVII wieku, doszukać się niepodobna. Stanowią zaś one ważną rubrykę w dawnej umysłowości, jedyną karm powieściową przez trzy stulecia; wsiąknęły aż na dno samego ludu, powtarzającego treść

i szczegóły tych naiwnych, zmysłowych, okrutnych i romantycznych fabuł, zmieniwszy lub zapomniawszy nazwy.

Główny zrąb tych powieści powstał właśnie w tych czasach; zaczynają się one w roku 1551 od Aleksandra — o Łokietku dziś lud powtarza, co mu rozpowiadano niegdyś o Aleksandrze — a kończą udatnemi przeróbkami Jana Achacego Kmity, niestrudzonego wierszopisa. Wszystkie te powieści wychodziły luźno, o zbieraniu ich (jak w niemieckiem *Buch der Liebe*), nikt nie myślał. Im starszy tekst tłumaczenia, tem poprawniejszy, chociaż nie brak nieporozumień i nazwiska przekręcano. *Meluzyna* (co weszła, jako „syrena", w herb warszawski), opowiada o losach kobiety-potwora, uszczęśliwiającego męża i kraj, póki tajemnica się nie wydała, i o losach jej dzieci; *Magielona* o rozłączeniu pary wiernie kochającej i jak się znaleźli w szpitalu; *Otton*, to odmiana Genowefy, tylko świekrowa zastępuje miejsce Golona; mieszek *Fortunatów* (niewyczerpany) podstępem wykrada niewierna kobieta i podstępem go traci. *Sowizdrzał* płata mieszczanom najdotkliwsze psoty, dosłownie wykonując ich zlecenia triumfując w złośliwej, udanej naiwności nad zarozumiałym kupcem lub mieszczką, mszcząc zniewagi ludu, wyświecany z miast, gdzie chciał siać złych, gdyż dobrzy i takby na tym gruncie nie zeszli.

Po raz pierwszy powstaje więc — i to jest zasługą mieszczaństwa, — obfitsza literatura powieściowa, choć bardzo prymitywna, żyjąca wyłącznie kosztem obcych. Ujawnia się zarazem przewaga wiersza nad prozą, rosnąca z każdym dziesiątkiem lat. Czy materja nadaje się do wierszy, nie pytano nigdy; kryterjum stanowił nieraz język: po polsku pisywano wierszem, a prozą po łacinie, — zasada, którą wiek XVII jawnie sformułuje. Polskim wierszem, dla wszystkich, pisano więc rzeczy biblijne, polemiczne, historyczne, a maczał w tem pióro i sam Kochanowski. Ulubioną zabawą wierszopiską było przelewać w wiersze historje Starego i Nowego Testamentu; czynili to katolicy i akatolicy; tak opisał Kochanowski epizod z „Danielowych ksiąg o Zuzannie", trzymając się dosyć wiernie oryginału; inny o „Heljaszu proroku" (1572); tak Trzecieski wierszował historję biblijną, Mojżeszową, ale wiersze te nie doszły naszych czasów, a jego współwyznawca, Chrysztoporski, „Niniwe Miasto wykonterfetował" (roku 1572). Porównywuje on do Niniwy Polskę, której „Bóg już dłużej nie sfolguje"; zgromiwszy więc łakomstwo, opilstwo, nawoływał Chrzysztoporski do pokuty, do postu, do wstrzymywania się od jadła, nie do śmiesznego brakowania

pokarmami, jakby to Bóg lepiej widział brzuch „rybami, rzodkwią i grzanką nafasowany, aniżeli mięsem albo mlecznem“ (powiada Grzegorz Żarnowczyk w Postyli); nie dziw więc, że cenzura biskupia umieściła „Niniwę“ między zakazane księgi.

Podobnemi wierszami wsławił się polski arjanin, **Erazm Otwinowski,** herbu Gryf, co to niegdyś z bratem Jerzym, mnichem tynieckim, w budującej zgodzie trawił długie lata w Rakowie. Niecierpieli katolicy „starego wyrwy“ za sam srogi despekt, który wyrządził w Boże Ciało monstrancji w Lublinie w roku 1564 i co mu uszło bezkarnie, gdyż Rej, broniąc go, o krzywdę Bożą Bogu samemu kazał się upominać. Zaginęły też jego dzieła, wiersze polskie o „Bohaterach Chrystjańskich“, t. j. o rozszerzeniu wiary „prawdziwej“, o jej wyznawcach (np. Dudyczu, niegdyś biskupie pięciokościelskim, ożenionym z Polką) i o jej „męczennikach“ w Polsce — ważne źródło, nieco znane z cytat u Lubienieckiego i Węgierskiego, albo dialog satyryczny „Spór piekarza z malarzem o bogach swoich“ (pieczonych w hostji, malowanych w obrazach i puszkach; malarz wygrywa, gdyż jego bogi trwalsze i mniej niż piekarzowe podlegają przypadkom). Ocalały jego „Przypowieści Pana naszego Jezusa Chrystusa“, w r. 1599 posłane na kolendę staremu księciu Ostrogskiemu, ciekawe jako dowód ścisłych związków schizmatyckiego księcia z arjanami, „których W. Ks. M. i w szerokich państwach swoich (por. Filaleta!) i na sławnym dworze swym wiele z dawna chować raczysz“. Poezji w tych wierszach niema, ale ich polszczyzna wytworna, ton spokojny i równy, niezbyt ostro wydane arjańskie zakusy, wiele aluzyj do spółczesnych stosunków, dzieło ważne i przez to, że w XVII wieku pobudziło W. Potockiego do podobnej, o wiele obszerniejszej pracy. Arjanin użycia miecza dopuszcza tylko urzędowi dla karania przestępcy, zresztą:

> Miecz tedy *dziatkom bożym* ten tylko przystoi:
> *Słowo Boże,* którego i sam czart się boi;
> A mieczów zaś i broni wtenczas będzie trzeba,
> Gdyby nam wojnę podnieść Pan rozkazał z nieba.

Arjanin obrusza się na puste świeckie zabawy, na świąteczne strzelanie do kurka:

> Więc nie wiem, dobrzeli to dziś drudzy działają,
> Gdy wtenczas w wielkich mieściech wszyscy wychadzają,
> Obchodząc tu pamiątkę zesłania onego (Ducha Św.),
> Miasto Gołębia kura stawiają spornego;

Argumenty przeciw dziesięcinie później po niezliczone razy powtarzał Potocki, z owem sarkaniem szlachty na dobra duchowne, przewyższające szlacheckie, więc Otwinowski prawi (do rozdziału 23 ewangelji św. Mateusza, albo Macieja, jak go dawniej stale przezywali):

Ten nienawistny trybut złe ma przywileje,
Gdyż pod Nowym przymierzem precz zakonne dzieje,
Bo go tylko Lewitom w zakonie dawano.
Dawano dobrowolnie, nie przyniewalano!
Cóż się zstało, że potym faryzeuszowie
Dawali dziesięcinę (trybut i pogłowie)
Z miętki, z ruty i z kopru — zboża nie wspomniano,
Znać że tam w kopach nigdy nie przepyskowano.
Dawał i on, co się stąd lepszym być rozumiał,
Choć zakonnik, tej łaski Bożej nie rozumiał.
Gdyż pod Nowym przymierzem Pan Bóg wszystkie stany
Pod urzad świecki poddał, ubogie i pany,
Którzy wszyscy zwierzchności czyńsze oddawali,
I sam się Pan i z Piotrem k temu przykładali.
Przeto, co się dziesięcin dziś upominają
I wielkie o to burdy z bracią zaczynają,
Mieliby na tych przestać, które Pan wspomina,
A kto się jego mieni — już wymówki nie ma.
Zwłaszcza gdy nas i wsiami daleko przebrali,
Których tam Lewitowie żadnych nie trzymali.
Niechże to mądre głowy dobrze uważają,
Panowie li, czy słudzy bogatszy być mają?

Przed Otwinowskim inny arjanin Marcin Czechowic wypisał wierszami „Summarjusz wszystkiego Nowego Testamentu", gdzie wyraził treść każdego rozdziału, co wydał Wirzbięta w r. 1570, mimo jego wiedzy. Katolicy nie zostawali dłużni. Wydawał Erazm Otwinowski wierszem opisy dysputacyj z jezuitami, ci natychmiast nader kostycznie i drastycznie zwierszowali swe zwycięstwo w „Pogromie lewartowskim" z roku 1592.

Tak samo wierszowano każde ważniejsze zdarzenie, i tu powoływanoby się na przykład Kochanowskiego, który w „Jeździe do Moskwy" (Krzysztofa Radziwiłła) wydał jej rymowaną gazetę, wyliczając dosyć jednostajnie wszystkie jej stacje i szczegóły. Przed nim, Jan Ponętowski „na prędce opisał" Krótki rzeczy polskich sejmowych godnych pamięci komentarz 1569 roku sejmu unji lubelskiej, bardzo prozaiczny, ale pełny wycieczek przeciw zdrożnościom, głównie zaś przeciw sektom, przeciw mieszczanom krakowskim, umyślnie poniżającym główną

szkołę katolicką; z radością, że Kondego porażono, z pobożnem życzeniem:

Boże! by się Orandzie też także dostało!

Albo Stanisław Wawrzyńcowic opisał „Lament nieszczęsnego Hrehora Ościka“ (ściętego za zdradę roku 1580), z całą historją zbrodni i procesu i z piosnką z modlitwy Ościkowej, gdy klęczał na placu. „Tak własne wyobrażenie Kniazia W. Moskiewskiego“ (Groźnego) opisał wierszami minister słowa Bożego Walenty „Neothebel“ w roku 1581, w języku pełnym prowincjonalizmów, co się nieraz zdarzało protestantom[1]), a z czego szydzili katolicy; zresztą ucierał się gorąco z „Marciszkiem“ (małpą, t. j. Marcinem Czechowicem), lecz podobnych pism i pisemek możnaby zestawić długi szereg.

Manja wierszopiska nie zatrzymała się u historji; opisywano rzemiosła i gry, a najchętniej służono celom dydaktycznym albo okolicznościowym, witaniom, pogrzebom. Jeśli Kochanowski w „Szachach“ połączył wykład reguł szachowych z opowiadaniem turnieju, toć i Jan Grochowski „o szlachectwie rozmowę“, czy polega tylko na rodowitości, czy też wymaga własnych zasług, włożył w usta Diogenesowi i Temistoklesowi, chociaż wysławiał rody polskie, a przyganiał nietrefnym obyczajom, które przechrzciły skąpstwo gospodarnością, pychę dworstwem, pijaka godnym tego, co do łotrostwa pomoże dobrym towarzyszem; pomysł ten, podobny w „Radzie Pańskiej“ Górskiego, w XVII wieku rozszerzano na tak zwane Kalepiny czyli Leksikony dworskie, uczące takiej „dworskiej“ mowy. Tu wystąpili na arenę pierwsi Rusini i Litwini w literaturze polskiej, „Wojciech Bassaj z Szczebreszyna Rusak“ w ckliwej wierszowanej ramocie „Wyprawa niewinnego człowieka“ (przeciw oszczercom, z roku 1566), albo Mikołaj Pac z Kiwaczyc, podkomorzy brzesko-litewski, zmarły roku 1595, który „stał za wdzięcznego tego wieku Orpheusza“:

[1]) Tak z kaszubska pisywał Szymon Krofei, Duchowne pieśnie Dra Marcina Luthera (Gdańsk, r. 1586), „aby potem więce potrzebnych księgów w te mowie wyłożono... aby wiekuja cierkiew i pospolstwo westrzód tych ludzi zbierano być mogło, naostatku, aby jem też wdzięczność i pokorę procimu W. Ks. M... do uznania dał“. Podobnie z kaszubska wydał Brückmann — Pontanus (Mostnik) roku 1643 „Catechism... to jesta z niemieckiego w słowięski wystawion“ z Pasją Pańską, gdzie czytamy: „czwiarte“ przykazanie, albo w ósmym: ty niemasz fałszywie swiadczic procimko twemu bliznemu. Jedyne to „kaszubskie“ druki przed XIX wiekiem i Dr. Cenową; śląskie dla miłych „Wasserpolów“ mniej trąciły gwarą.

wielkiego człowiek rozsądku, poeta wytworny,
krasomówca roztropny, filozof wyborny...
znać to było po księgach, których miał niemało,
tak, że dla nich w mieszkaniu ledwie listew stało.

Albo Jan Benedyktynowicz Protasowicz na Mohilnej, leżącej w powiecie pińskim, z Jałmużnikiem, Konterfetem człowieka starego i t. d.; najciekawsze były jego wiersze o różnych wynalazkach, opracowane wedle łacińskiego źródła niebardzo trafnie, skoro np. o Gocie Ulfilasie czytano:

Gulfila też *Tatarom* charakter podała,
Skąd nieśmiertelnej sławy u onych dostała.

Ciekawsze są uwagi o naszem całowaniu się mężczyzn. Każdy pierwej go rad używał:

Dzieia ten zwyczaj prawie (całkiem!) ustał u Polaków,
Lecz tylko jeszcze został u Rusi prostaków,
Bowiem się przywitawszy, radzi pocałują —

W niezliczonych tych produktach — bo trzeba dodać wszelkie możliwe „Nadobne Pieśni o błogosławionym a najjaśniejszym Książęciu“ (Batorym, protestanta Kwiatkowskiego, 1577 r.), „Pieśni Nowe o Królewnie Annie“ (1592, Tomasza Bielawskiego, arcykatolika), „Witania“, „Threny“ (Strussowi Marcjana Kobiernickiego, wiersze o „Hołubku“) i t. d. — poezji niema, lecz dla dziejów obyczajowości mieszczą się tu nieraz nieocenione szczegóły, np. w takim „Myśliwcu“ tegoż Bielawskiego (r. 1595), gdzie w szesnastu „obrotach“ wszelkie łowy zwierza, ryb i ptactwa wierszami najciekawiej opisane. Albo takie „Gospodarstwo dla młodych a nowotnych gospodarzów”, w kilku wydaniach, przeznaczone dla maluczkich z trafnemi sielskiemi anegdotami o głupim Maćku, cieszącym się, że mu Kaśka nie „radziła“, bo mu tylko poroże (włosy) urwała, a sama upadła, albo o leniwej Maśce. Niektóre sięgały nawet starożytności, np. wierszowany wykład tablicy filozofa Cebesa (biegu życia ludzkiego) z roku 1581.

Rozpanoszyło się więc znakomicie polskie wierszopistwo epiczne, okolicznościowe, dydaktyczne z bardzo wybitnemi cechami narodowemi, nawet tam, gdzie zarywało z obczyzny, chociaż bez żadnej sztuki i stylu, proste, czasami aż prostackie, ale też nie bez staropolskiego humoru. Jeden tylko dział zawsze jeszcze nie miał przedstawicieli: brakowało dramatu. Ks. opat i biskup Białobrzeski pisał wprawdzie „misterja” o Jobie i o Tobiaszu, — być może na podobieństwo Rejowego „Józefa” aby w dramacie

jak i w postyli spółzawodniczyć z kalwinem — ale ich nie znamy, tylko Trzecieski je wymienił.

I na tem polu jezuici torowali nowe drogi Wystawianie dialogów w dni doroczne było zadaniem profesorów poetyki i retoryki i już z XVI wieku posiadamy pierwsze rękopisy — do druku nic się nie dostawało — z dialogami, np. kaliski od roku 1584, pułtuski od r. 1579, dialogi Knapiusa [1]) i innych. W łacińskie (albo i polskie pobożne) dialogi wstawiano dla urozmaicenia sceny komiczne, bez związku z główną akcją, monologi albo całe rozprawy, humorystyczne i satyryczne, jak ucieczka uczniów ze szkoły, łgarstwa samochwała, nieuctwo albo szalbierstwo chłopskie; dwa z nich najdawniejsze mieści ów rękopis kaliski z r. 1584, — bo pułtuski zaginął — wysłowienie ich wcale niezłe, jędrne, dowcip domorosły. „Sołtysa z Klechą“ którego wystawił ksiądz Sebastjan Skarga w kolegjum pułtuskiem roku 1590, drukowano nieraz. Sołtys chwali się wobec klechy, że ma Pana Boga w swej woli, a w domu klusiątko (bydełko), mędrsze i szlachetniejsze, niż klecha — klecha pozywa go o bluźnierstwo, ale sołtys wygrywa sprawę, bo postępuje wedle woli Bożej, a bydełko nie pija nad miarę (jak klecha) i zawsze je w pole prowadzą, jak pana.

Już przed jezuitami uprawiano po szkołach komedję, mianowicie w głównych miastach, w Krakowie i Lwowie, i mieszczanie do odegrania komedyj mogli zamawiać uczniów przy byle uczcie. Lecz komedje te giną bez śladu; niema nawet tłumaczeń komedyj szkolnych, jakie wykazywała niejednokrotnie pierwsza połowa wieku; widocznie grywano je i po łacinie. Przypomina taką chyba komedja o „Lizydzie w stan małżeński wstępującej“ z roku 1597 przez Adama Paxillusa z Brześcia, poświęcona Czernym, gdy siostrzenicę wydawali, niby rozszerzona z ostatnich scen „Konstancji“ Bielskiego, tylko napisana rozwlekłej i nudniej. Lizyda, bogata sierota, z utęsknieniem oczekuje męża, którego ostromądr (astrolog) jej wyprorokował, aby mogła zażyć świata. Element komiczny zastępują pijacy Liżyczop, Dybidzban. Nierównie ciekawszą była Tragedja Żebracza z roku 1552. raczej satyra obyczajowa, niż dramat, poświęcona Trzecieskiemu (ojcu), zachowana, acz z opuszczeniem miejsc nieskromniejszych, w przeróbce czeskiej. Opo-

[1]) Pięć jego dramatów (trzy tragedje i dwie komikotragedje), zbudowanych wedle zwykłej normy, t. j. w pięciu aktach łacińskich z polskiemi prologami, chórami po każdym akcie i epilogami, z końca XVI wieku i początku XVII przechował niegdyś rękopis poznański, dziś upsalski.

wiadający tę tragedję mówi: Widziałem jednego roku. Przed Częstochową w Potoku Wszystko zuchwałe żebraki, Zgromadzone jako szpaki, Parzychosta, Wyrywanta, Żyżkę, Kłysza, Wilkołka. Hulankę ich przerywa nadchodzący kupiec, swarzą się i łżą nawzajem, aż kupca silnie pobili, a „wójt“ ich rozsądzał: istny skarb dla obyczajowości, z mową i szczegółami bardzo drastycznemi. Lecz zresztą cisza na tem polu mimo, zdawałoby się, sprzyjających okoliczności, np. sutej wystawy jasełkowej, nęcącej ludzi każdego stanu i wieku, albo Wniebowstąpienia, kiedy wyciągają dogóry Chrystusa, a zrzucają Judasza nadół, wloką go przez ulice pod zbór i biją tam szyby, gdzie czasem przyjdzie i do gorszego ekscesu. Literatura dramatyczna z tych zarodków nie korzysta. Tylko „Historja o chwalebnem zmartwychwstaniu Pańskiem“, t. j. „Historja częstochowska“, w ostatecznej redakcji zakonnika, **Mikołaja z Wilkowiecka**, dostała się do druku i przetrwała w oryginale lub przeróbkach aż do połowy XVIII wieku. Utwór to całkiem średniowieczny, w języku, wierszu i treści, niezadowalający się apokryfem, ewangelją Nikodema o zstąpieniu Pańskiem do otchłani, lecz rozszerzający go szczegółami z innych źródeł, np. z osławionych kazań Baraleta, rażących dziwacznemi wymysłami. Niepozbawiony komizmu, owszem, miejscami, np. przy straży u grobu, w scenach piekielnych, aż nadto poufały i rubaszny, chociaż już się wystrzega sprośności średniowiecznych. Tą częstochowską (bo stale tam wystawianą) historją i kilku innemi misterjami o męce Pańskiej, o Abrahamie, o Janie Chrzcicielu i Herodjadzie wypełnia się już dawny repertuar. Prócz pierwszego zachowało się w całości jeszcze misterjum o św. Annie, na jej święto tak czczone w Polsce, Komedja o niepłodności Anny św. z Joachimem mężem jej, przeznaczone dla sceny:

Rzecz, którą teraz na tym placu zaczynamy,
Acz nie owszem niegodną Waszych osób znamy,
Prosim o trochę czasu, byście jej słuchali...
Historją przykładną Waszmość obaczycie,
Jeśli oczu i uszu pilno przyłożycie.

Element komiczny zastępują pasterze (Bardej, Mizgoła, Dygudej) i służące Anny, Bascania ze sługą — Gąską Sarksem. Należały tu i dialogi polemiczne, „Komedja o Mięsopuście“, przeznaczona, jak wynika z dodanych pieśni nabożnych (przy końcu aktów), również do wystawienia i słuchania. Najpopularniejsze były dialogi, prace klechów i mistrzów, szydzące z mizerji szkolnej, z rabusiostwa

wojskowych, z wiejskiego zacofania. Taka „Wyprawa Plebańska“ (żaka Albertusa) na wojnę tatarską i „Albertus z wojny“, opowiadający plebanowi dziwy o wojnie i ciężkich czasach (osoby i dialog komiczne, rubaszne, prawdziwe) sprawiły, że Albertus stał się typem przysłowiowym a przez cały XVII wiek pojawiają się bądź przedruki, bądź wzmianki o nim.

Wobec tej niesamoistności w pomysłach, niedbałości w formie i wyrażeniu, a zacofaności w tej domorosłej myśli i poezji, trącącej średniowieczem, odbijał znacznie szerszy polot duchowy poezji humanistycznej, jej wybredność i smak, odpowiadające polorowi nowego życia, nowym jego ideałom, i ta poezja humanistyczna wzniosła się wyżej, niż jej poprzedniczka z pierwszej połowy wieku, a co najważniejsze, zwróciła się nareszcie ku mowie ojczystej i, gdy innych sztuk pięknych wcale nie lub mało uprawiano (prócz skromnej muzyczki), stała się najpiękniejszą okrasą nowego życia.

To nowe życie szlacheckie, wzorowane częściowo na włoskiem, renesansowem, toczyło się coraz gwarniej i szumniej. „Posiedzenia“ towarzyskie, krotofilne biesiady, gdzie to młodzieńcy z wiankami na głowach zasiadali do muzyki i żartów, odbywały się i bez płci pięknej, bez „podwiki“, choć i z nią się zabawiano, w licznych tańcach, obcych i własnych, w cenarze, gdzie jeden drugiego naśladował, w gonionym, świeczkowym (z świecami w ręce) i in. Zresztą płeć piękna bardzo powoli opuszczała średniowieczne zawarcie domowe. Nie pomogły nawet narazie Włoszki Bony, które ona swatała za szlachtę; a gdy Górnicki przerabiał rozmowy włoskie, musiał panie dworskie zastąpić mężczyznami, gdyż polskie nie nadawały się jeszcze do dowcipnej konwersacji. Obniżał te biesiady coraz znaczniejszy nałóg pijaństwa, przyczem w XVI wieku jeszcze nań sarkano, wyłamywano się z pod grozy pełnienia kielichów, z pod całego tego ceremonjału; gdy napróżno włoską trzeźwość przeciwstawiano, grzązł naród coraz bardziej w haniebnym nałogu; północ brała swoje, klimat i ludzi.

W tem rozbudzonem życiu towarzyskiem — i mieszczaństwo bawiło się niezgorzej, a literatura nadobna niepoślednią odgrywała rolę. Do serca bogdanek szturmowano pieśniami, Zosiom i Kasiom składano hołdy, nieraz bardzo obcesowe, rymy kreślono zawzięcie i bez osobliwszej przyczyny. Gospodarz rad gościom wzywał:

Pójdźmyż do izby, niż będzie gotowo (jedzenie),
A rzeczcie sobie jakie dobre słowo;

Dodaj gorzałki, mów: Boże, daj zdrowie!...
Są też i księgi, jeśli kto chce czytać;
Jest i kałamarz, kto ma pozew pisać;
Jest kreda, kto chce, niech ściany maluje...
Zatem się jedni do kredy rzucili,
A drudzy zasię w pozwy uderzyli,
Ci swoje rymy po ścianach pisali,
Drudzy wczas sobie pozwy gotowali...

Tak wyglądało „posiedzenie“ przed obiadem, nieco później zato:

Jedni się wadzą; drudzy piwo piją;
Miasto śpiewania na ośm głosy wyją;
Szklenice tłuką, czasze przewracają;
Jedno wżdy dla kart przed sobą ścierają.

Obudziła się więc społeczność polska ze średniowiecznej niemoty i rzuciła się do wyrażania swych uczuć wierszami. Ale dziś trudno już wyobrazić sobie ich dawną obfitość, bo w parze z zamiłowaniem do wiersza szła iście polska niedbałość o jego zachowanie i wydoskonalenie. Nic się nie dostawało do druku z tej powodzi wierszowej; czysty traf zachował wiersze miłosne, od których poczynali zawód literacki Górnicki, Szarzyński i inni.

I nadobna literatura, jak prozaiczna, rozszczepiała się na łacińską i polską, lecz obie zmieniają rolę; brak większej wartości, ciągłe powtarzanie, ślepe naśladownictwo stanowią tym razem cechy literatury łacińskiej, zaczynającej widocznie ustępować przed polską. Wybitniejszych talentów, któreby się jej poświęcały wyłącznie, niema już prawie wcale. Nie był takim ani Grzegorz Samborczyk, profesor krakowski, piszący wiersze okolicznościowe, eklogi, pochwały i wierszujący biblję na poemat epiczny, ani prawnik-Hiszpan, Piotr Rojzjusz, kujący tysiące wierszy na królów, na panów duchownych i świeckich, na epitafja i epitalamja, nawet na *Baccheis* czyli dydaktyczne *epos* o pijaństwie polskiem i jego regułach, z wielką łatwością łaciny, lecz bez smaku i dowcipu, choćby we fraszkach. Od tych „latynistów“, swoich i obcych (Ślązaków, jak Schonaeus), roją się spisy bibljograficzne, jest między nimi wielu mieszczan, wyjątkowo tylko ciekawsza jaka osobistość, taki Andrzej Trzecieski (syn), który po polsku pisuje wyłącznie rzeczy religijne, pieśni, psalmy, w łacinie zaś całkiem rzuca się w panegiryzm i w swoich *Silvae* wszystkich dostojników i znajomych okadza w najwyszukańszych słowach i rytmach, albo wyklina arjanów. Nie pojawiła się wtedy książka, którejby na drogę wierszów polecających, chwalących autora pod niebiosa, niby paszportu literackiego, nie

wydawał, bez względu, czy to kalwin czy katolik, Rej czy Białobrzeski. Jeszcze osobliwszy — Stanisław Niegoszewski, improwizujący po łacinie, jak Rej po polsku, imponujący nawet Włochom gotowością dysputowania z punktu wierszami w każdej materji naukowej, kujący nadzwyczajne sztuczki, np. wiersze, uczące o jeździe końskiej, które zprzodu i ztyłu czytać można:

Si bene te trades, sedes sed arte tenebis,
Et si se retro feret, utere, forte resiste:

później niemi febrę zamawiano między ludem! Niegoszewski jednak nie pisywał większych rzeczy, tylko okolicznościowe, np. na śmierć Kochanowskiego i innych.

Takich było wielu — Maciej Piskorzewski, sekretarz Zamojskiego, Andrzej Dzierżanowski i inni. Wybujał nad nich wysoko talentem, smakiem i wiedzą mieszczanin lwowski, **Szymon Szymonowicz** (t. j. syn mistrza Szymona z Brzezin, Mazura) który wywędrował na Ruś i imię i majątek zrobił we Lwowie, uczeń Górskiego, Sokołowskiego i Skaligera, filolog (tłumacz rzeczy greckich na łaciński) i poeta, rywalizujący z Pindarem łacińskiemi wierszami okolicznościowemi, opiewający śmierć Górskiego, zasługi Zamoyskiego, szczypane przez zazdrość, gody weselne Zygmunta i Zamoyskiego, a prócz tego to wysławiając św. Stanisława, w kontr Rojzjuszowi, to parafrazując proroka (Joela), to kusząc się o dramat biblijny w szacie klasycznej. Napisał bowiem „Czystego Józefa", w stylu Euripidesowej Fedry (i Seneki) przerabiając nowelę biblijną[1]), a dramat ten, właśnie dla braku dramatyczności, tak się podobał w Polsce dla swoich morałów, że go i na polski niebawem przełożono. Przekład polski (Stanisława Gosławskiego z r. 1597), bardzo nieudolny, rozwlekły, (dla dobierania rymów), rubaszny, tak że zaciera zupełnie wytworne humanistyczne cechy oryginału, np. myśl Szymonowicza (zaprzestań słów, o matko, błagam cię, abym i ja przeciw tobie nie wykroczyła), oddał Gosławski wierszami:

Stulże już powiadaczkę, dosyć było tego,
Byś też nie oberwała, strzeż się, sama czego.

Lecz jak „Dzierżanowski poeta, którego Kameny (Muzy) U wszystkich są przyjemne i niemałej ceny" (słowa Zbylitowskiego w Drodze do Szwecjej roku 1597), tak i Szymonowicz próbował

[1]) Pozwolił sobie przytem na kilka dodatków, np. złowrogi sen Józefa przed katastrofą, gdzie kukułka przemienionego w ptaka zapędziła w przepaść, motyw wcale stosowny, skoro kukułka była symbolem lubieżności.

i wiersza polskiego, pisząc między innemi rymy na ślub Sieniawskiego i Kostczanki (r. 1593). Pomysł był znowu całkiem humanistyczny, ale treść, mit o Adonisie i Wenerze, dowolnie wyłożony, trawestowana tym razem po polsku. Dlaczego? wyspowiadał się z tego kolega po piórze, również mieszczanin (sekretarz toruński), Jan Rybiński, gryzmolący stale panegiryki łacińskie, lecz zrywający się dla wesela Ostroroga z Firlejówną na „melos" polskie (roku 1594): jedna z „dziewiąci" muz zaleca poecie niezwykły wiersz ateński lub łaciński:

teraz spraw rym winszowny *s polska* a chędogo,

— ażeby i *oblubienica* mogła się nim nacieszyć, więc poeta prosi o łaskawe przyjęcie:

choćby się też zdało
Co nie po Kochanowsku — w lot ci się pisało;
Częściej Statut, niźli Rej w ręku się przewija,
Częściej Themis obrotna, niż cicha Thalija.

Obok tej niewybrednej, dobrodusznej, mało oryginalnej literatury — gawędy, zalewającej prasy krakowskie, stawała jednak i inna, rokująca najświetniejsze nadzieje. Stanowczego kroku dokonał **Jan Kochanowski**, gdy wyzwolił ostatecznie poezję narodową z pod pręgierza lekceważenia i jawnej wzgardy, pod którym tkwiła jeszcze w oczach Krzyckiego i Janicjusza. Za jego to przykładem po raz pierwszy zlała się poezja polska z łacińską, narodowa z humanistyczną, co oddziałało na nią nadzwyczaj dodatnio. Nie wyrzekała się wprawdzie średniowiecznego rymu, ale stosowała się do sztucznej formy łacińskiej, do jej zwrotek i rytmów, lubowała się w strofie safickiej, nawet w poematach opisowych. Jeszcze bardziej naginała się do innych jej wymagań. Dotąd „poezja" różniła się od prozy rymem, a prześcigała ją wielomównością i rozwlekłością (dla tego rymu). Teraz, pod wpływem łacińskim, nabrała stylu, stroju i kroju, rzuciła banalne i prozaiczne zwroty, szukała wzniosłości i malowniczości, upiększenia, porównania, figury, piękną myśl pięknie wyrażała, kusiła się o gnomy i sentencje, układała rzecz wedle obmyślanego planu, dbała o harmonję i nie zadowalała się pierwszym rzutem, ale za przykładem Horacego gładziła i polerowała do możliwej doskonałości. Obok tych nadzwyczajnych korzyści, jakie Kochanowski osiągnął odrazu, zjawiły się jednak braki, szczególnie u jego następców: obca pomysłowość, obce obrazy przygniatały swojszczyznę. Czytając oryginalne wiersze polskie, ma się wrażenie, że to tłumaczone łacińskie: ten

sam duch, te same ozdóbki, ta sama sztywność i napuszoność, ta sama niesmaczna gmatwanina pojęć pogańskich i chrześcijańskich, starorzymskich i polskich, sztuczki i regułki szkolarskie zamiast natchnienia i prawdy. Poezja ta w porównaniu do jej dawnego pełzania po ziemi, wznosi się odrazu wysoko, ale na wyżynach nie zdobywa warunków dalszego rozwoju, niebawem wysila się i jałowieje. Kochanowskiego nikt więcej nie doścignął.

Na skale „pięknej Kalliopy, gdzie dotychmiast nie było znaku polskiej stopy", stanął więc pierwszy młody Sandomierzanin. Talent poetycki obudził się w nim wcześnie, a rozwinął we Włoszech, gdzie się lekkie miłostki sarmackiego Tybula i Propercjusza wynurzały w wierszach łacińskich, aż podziałał naoczny, przekonywający przykład poezji włoskiej, poezji Petrarki i Ariosta, że to samo, mniej uczenie, ale z większym ogniem i zapałem, da się wyrazić i w języku narodowym, dla całego narodu, nie dla szczupłej garstki latynistów. Pierwsze próby miłosnej poezji polskiej może i nie zadowalały poety, łamiącego się z nową, twardą formą, nie odnajdującego w swym wierszu włoskich wdzięków i harmonji. Ale na raz obranej drodze wytrwał, a przykład francuski Ronsarda, którego poznał w Paryżu, mógł go tylko wesprzeć w usiłowaniu przelewania w wiersz ojczysty piękności starożytnego wyrażenia w nim „myśli godnych siebie", stworzenia poezji, gdzie dotąd były tylko wiersze i rymy, gdzie pomysł najwdzięczniejszy zeszpecało jego liche, Rejowe wydanie; teraz i najbłahszą rzecz uszlachetni kunszt Kochanowskiego.

Jednak jego sarmacka natura, poważna, chłodniejsza, nie mogła tonąć w dawnych fraszkach miłosnych i najświeższych anakreontykach. Taki wieszcz, jaki słuchacz; występować przed gronem hetmanów i senatorów, w imieniu nowej sztuki z przygodami erotycznemi i bakchowemi — tem mniej się godziło, skoro młodego umysłu musiał się dotknąć wicher religijny, szalejący za Karpatami, a niecałkiem uśmierzony i nad Apeninami. Lecz natura, choć religijna, nie ciągnęła do zbytnich zaciekań dogmatycznych; wiekowa tradycja, wpływy domowe zdziałały swoje, i już we Włoszech sformułowałby Kochanowski, wyznanie wiary słowami Orzechowskiego (z listu z roku 1560): „pycha rzymska, sodomja, symonja, wojny świętokradzkie, zbytek i wszelka pompa — toć upaść musi, bo ten klucznik (papież) tego od Syna Bożego nie wziął; wziął to od złego ducha, jako dalibóg tego doczekamy, iż to wszystko upadnie; ale co od Pana Boga ten klucznik ma,

próżno tego czekać mamy: nigdy on tego nie utraci". Na takiem stanowisku wytrwał Kochanowski do końca, wierny kościołowi, nieślepy na błędy duchownych, obojętny, jako stoik i humanista, na zewnętrzne oznaki kultu, stroniący od wyznaniowych swarów. Tem głębiej odczuwał moc i łaskę Bożą, kierującą wszechświatem, tem wdzięczniej ją rozpatrywał i przeciw pompie i symonji rzymskiej, ranionej ostro we własnych wierszach łacińskich, wyśpiewał po polsku hymn dziękczynny do Boga. I oto zajaśniał pierwszy dzień wiosenny poezji polskiej, gdy skowronek sandomierski wzbił się do nieba z natchnionem pieniem:

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym niemasz miary?

A takich pieśni rozlegało się teraz więcej i coraz inaczej wysławiał poeta cuda mocy Boskiej i wiersze (fragmentu III, spółczesnego):

Jego porządkiem lato wiosnę goni,
A czujna jesień przed zimą się chroni...
Ten opatruje, że morze nie zbierze,
Choć wszytki rzeki w swoje łono bierze,

poprzedziły może ostateczną redakcję owego hymnu:

Za Twoim rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi...
Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi...

Do wierszów miłosnych i towarzyskich, do fraszek, rozweselających trefne biesiady przy lutni i wieńcu na głowie, do wierszów religijnych i okolicznościowych, jak „Pieśń o potopie", odskakująca od spółczesnych pieśni religijnych, lub „O śmierci Jana Tarnowskiego", o „Tęczyńskim młodym", do poematów opisowych i epicznych („Zuzanna", „Szachy"), doszły niebawem dwie satyry polityczne, „Zgoda" i „Satyr", parafrazujące dowcipnie i trafnie mowy Padniewskiego i Myszkowskiego. Te utwory, choć do druku dostawały się wyjątkowo, chciwie rozchwytywane w odpisach, rozniosły sławę poety po całej Polsce, i już Rej w roku 1562, bez cienia zazdrości, kazał go podziwiać:

Jako go przyrodzenie z ćwiczeniem sprawuje,
Co jego wiele pisma jaśnie ukazuje...
Tybulus... nie wiem umiałli tak cnotą zafarbować.

Hymn ów naśladował arjanin Grzegorz Paweł w roku 1564, a anonim protestant (C. Bazylik?), naśladując w „Proteuszu"

(r. 1564) „Satyra“, nawet w całym układzie, dołączając nauki „pana dla syna“, jak Kochanowski „Chirona dla Achilesa“, w osobnem „Zamknięciu do poetów polskich“, wysławiwszy poetów-kalwinów. Reja, co bez żadnego wodza przyrodzonym dowcipem dostał wielkiej sławy, i Trzecieskiego, którego język nad cukier słodszy, stawia *przed nimi*

Kochanie wieku tego, bo strunami swemi
I uczonym śpiewaniem tak się popisuje,
Że też przeszłemu wieku mało ustępuje...
Jeśli w moich rymiech będzie co chwalnego,
Z nieba naprzód, a potym *mam to z łaski jego.*

I odtąd rośnie coraz bardziej sława pierwszego poety, który świadomie pokładał w poezji cel, zasługę i chwałę życia całego, który nie nadużywał jej dla zaskarbienia łaski, darów, protekcji, aby ją potem rzucić, który nie kwapił się z ogłaszaniem pierwszego rzutu, lecz gładził i piłował, posiadłszy wszystkie tajemnice swej sztuki, który wycofał się z urzędów i obowiązków, podziękował za kanonje i prowenty, za lafę i jurgielty, aby, „ludnymi miasty wzgardziwszy“ i wycieraniem podwoi pańskich, w sielskiem zaciszu, w rodzinnem gronie, sobie, a Muzom

Tem głośniej śpiewał, a nie podlegał nikomu.

Tylko nie był on poetą, co „słuchaczów próżen gra za płotem, przeciwiając się świerczom“, i nie potrzebował wątpić o pośmiertnej nagrodzie. Nie skąpiła takiej i spółczesność: Padniewski i Myszkowski, główny jego wielbiciel, Batory i Zamoyski, panowie małopolscy, Tarnowscy i Tęczyńscy, Firleje i Czerni, i choć się poeta z drukiem nigdy nie kwapił,

Nacieszywszy naprzód uszy domowe swych panów,
Posyłał też nowe psalmy do innych ziemianów;
Potym też przy dobrej myśli czasem się przydało,
Że się też to, choć nie rychło, między gmin podało:

pisał o nim Klonowicz. Bardzo produktywnym nie był; wprawdzie zdobywał się na wiersze okolicznościowe i większych rozmiarów (Proporzec na hołd pruski roku 1569), pociosywał dawniejsze pieśni, dodawał coraz nowe „Fraszki“, tłumaczył niejedno ze starożytnych, np. z Iljady, aby nabyć toku epickiego dla wysławiania rzeczy polskich, wtórował od czasu do czasu zdarzeniom politycznym, szczególniej pieśniami łacińskiemi, lecz głównym plonem całego dziesięciolecia był „Psałterz“ jego przekładania, wydany w roku 1578.

Parafraza psalmów Dawidowych szkockiego humanisty Buchanana była zewnętrznym bodźcem tej pracy, do której dawno skłaniał się poeta. Swary teologiczne o łączeniu natury boskiej i człowieczej w Chrystusie lub o jedyny trafny wykład słów, ustanawiających wieczerzę Pańską, odrażały humanistę-poetę, który poza zażarte boje cofał się na spólny grunt wiary, gdzie królował z niezachwianą potęgą psalmista. Już przedtem Kochanowski wyśpiewywał wszechmoc Pańską, a nie chcąc siebie samego powtarzać, trafiał mimowoli do psałterza. Wybierał pojedyńcze psalmy, odpowiadające własnemu nastrojowi lub okolicznościom, i powoli rosła liczba tych luźnych przekładów, aż urosła chęć pozapełniania luk i wykonania całości ozdobnym wierszem. Nie brakło dotąd przekładów psalmowych; Rej, Trzecieski i Jakób Lubelczyk[1]) próbowali wierszowania całości lub wyboru. Prozaiczne tłoczyły się dla wszystkich konfesyj, były i łacińskie humanistyczne parafrazy rozmaitego układu i ceny; nie było godnej polskiej. Tę szczerbę zapełnił Kochanowski. Zebrał dotąd niesłychaną w polskim wierszu ilość układów stroficznych, nie trzymał się tekstu niewolniczo, snuł za nim nieraz pasma własnej myśli, coraz zmieniał ton, od spokojnego, równego, do skruszenia duszy upadłej i do triumfującego okrzyku zwycięzcy, trafiając każdy, i stworzył dzieło, acz nie oryginalne, ale rzetelnej wartości poetyckiej. Rzuciły się do niego wszystkie konfesje, nawet arjanie, „pokinąwszy Jakubków psałterz, zaś Grzegorzowe krakowskie pieśni i Czechowicowe wileńskie, trzymali się psalmów, które złożył osobliwiej Kochanowski“. Posypały się coraz nowe wydania, do roku 1641 dwadzieścia, czerpały z nich protestanckie kancjonały, Rybińskiego i innych, i szerzył się, „słodki Kochanowski“ aż do samej Moskwy, skąd go rugować zamierzał Szymon Potocki swoim niefortunnym poetyckim przekładem (r. 1674). Metropolita ruczawski Doritej w r. 1673, przekładając psałterz na język rumuński, naśladował Kochanowskiego. Ci, co później wstępowali na tory Kochanowskiego, powagą, siłą i lotem nie dorównali mu nigdy, ani Gawiński w XVII, ani Karpiński w XVIII wieku.

Równocześnie wyszła „Odprawa posłów greckich“, dramat okolicznościowy, jakim ozdabiano spółczesne festyny, ale wznie-

[1]) Wielki foljant Psałterza Lubelczykowego z r. 1550, to bardzo staranna robota tego sekretarza Rejowego, z objaśnieniami każdego psalmu; sam przekład jednak nuży wygórowaną rozwlekłością i jednostajnością tonu; cechują go częste rymy męskie.

siony nad nie, jako pierwsza próba oryginalna dramatu humanistycznego, zaczerpnięta ze świata starożytnego. Forma klasyczna wiernie skopjowana aż do zachowania chórów, stychomitji, t. j. odcinania się mówiących co wiersz, i długiego opowiadania, zastępującego akcję. Lecz nietylko forma i treść, sam duch starożytnej Hellady wieje z tego utworu, chociaż autor wystawił polskie sejmowanie, polskich demagogów i polską niegotowość wojenną. Cóż dziwnego, że Polska stanęła właśnie w obozie trojańskim, skoro głos był powszechny:

Giniemy! Giniemy!
Ale temu zginieniu kto wiernie zabiega?

Zabiegali Batory i Zamoyski, lecz ramię ich paraliżowały niechęć, zazdrość i nieufność polska; za tymi Antenorami ujął się Kochanowski przeciw Parysom-Zborowskim. Pod względem języka wym rzecz wyszła mistrzowsko. Mniej zadowala sam dramat dla luźności scen, następujących jak w szopce. Charaktery nie rozwijają się, ani akcja nie jest napięta należycie — brakło lirykowi żyły dramatycznej, ale samo nagłe przerzucenie się ze świata hebrajskiego w klasyczny, z liryki w dramat, z form zwyklejszych do zupełnie obcych i nowych, dowodziło wszechstronności autorskiej, jej siły i poczucia.

Stał on już u zenitu i, czując to, zabierał się do uporządkowania ćwierćwiekowej spuścizny poetyckiej, gdy go w szczęśliwem dotąd pożyciu rodzinnem trafił cios bolesny: umarła mu ulubiona córeczka, Urszulka, dzieciątko nad wiek rozwinięte, wsłuchane w muzykę, niby dziedziczące po ojcu prawa do lutni. Rychło po niej umarła i siostrzyczka. Narazie cios ten wybił poetę z równowagi, którą zdawało się zdobył na zawsze mądrością i umiarkowaniem, i wyśpiewał miotające nim teraz uczucia w kilkunastu luźnych trenach, które, jak dawniej psalmy, zaokrąglił w całość, z najsłabszym wstępem, niby przygrywką do tych bólów, z ich stopniowaniem, dochodzącem do szału i bluźnierstwa, z powolnem upamiętywaniem się, ukołysaniem, czego dokonywa „Sen“ słowami i radami matki poety. Treny nie wszystkie są jednakiej wartości, nie wolne od powtarzania motywu, klasycznemi reminiscencjami z lektury nadto miejscami przetkane, ale kunszt słowa i wiersza, głęboka rzewność uczucia, piękne obrazy, mądre myśli nadały wartość nadzwyczajną temu utworowi, oryginalnemu nawet pod względem budowy i wiązania.

Była to jego ostatnia praca. O nowy dramat się nie kusił. Próby epiczne zawodziły stale, po wawrzyn Wergiljusza, szczyt

ambicji poety humanistycznego, nie sięgnęła jego ręka, napróżno mamiły go i wabiły Grunwald i Warna; rozmachu epickiego brakowało mu zawsze. Teraz zbierał wiersze łacińskie i polskie; nagła śmierć przerwała tę czynność.

Cóż po nim zostało, co zrobiło go wielkim, jedynym poetą polskim przed Krasickim i Trembeckim? Dlaczego ten jednogłośny hołd podziwu, jaki mu składają wszyscy, szlachta i mieszczanie, kronikarz i jezuita, Zamoyski i Klonowicz, Bielski i Wielewicki, Kochowski i Potocki? Nie było działu wiersza lirycznego, okolicznościowego, dydaktycznego, sielskiego, któregoby nie uprawiał godnie a wdzięcznie. Pisywano i przed nim wiersze miłosne, o zakroju domowym, lecz on dopiero wprowadził pustotę anakreontyku, tybullową zadumę, horacjuszowskie wdzięki i katullową namiętność. Jego to pomysły, zwroty, obrazy stworzyły kanon polskiej muzy erotycznej, jaki porzuciła chyba u Morsztyna. Jeśli on np. zapewniał:

Złota to strzała i krom wszego jadu była,
Którą mię niepochybna miłość uderzyła.

to nietrudno dopatrzeć się wzoru dla Szarzyńskiego, śpiewającego:

A ty, co serca ranisz hartownymi
Strzałami, czasem nie jadowitymi,
Ugodź ją (Zofię) *złotą*, aby twe postrzały
Już tam moc miały.

I zaroiło się odrazu na polskiej niwie poetyckiej od erotyków w guście Kochanowskiego, u Anonima, Szarzyńskiego, Smolika. Jeszcze bardziej jednak wzorowano się na jego „Fraszkach". Pisali je dawno przed nim Rej i inni, sarkał Rojzjusz na fraszki, w których, prócz tytułu, nic warowniejszego nie było, wtórował mu Bielski w roku 1569:

Dosyć się insi w Polsce błazeństw napisali...
Gdzie pojrzysz, ali fraszki...
I tych się naczytawszy, ali pieprz zawinąć,
Żeś dał pieniądze w ten dzień, źle możesz wspominąć.
I składaczowi (poecie) zato sławy nie przyroście...

Lecz zrzędzenie staruszka, stale hołdującego dydaktycznemu wierszowi, nie trafiało do przekonań, i za Kochanowskim dowcipy siliły się na fraszki. Tak zaraz w następnym roku po nim (1584) Malcher Pudłowski, już nie młodzik, wydał piękne i poważne swoje fraszki, których tytuł niecałkiem nawet odpowiedni, bo więcej w nich statku, niż u Kochanowskiego, a humor przebijał tylko miej-

scami, mianowicie w owym testamencie Mazura, rozporządzającego swemi rupieciami, jakby skarbami. I z lekkiej ręki czarnoleskiego śpiewaka, który pomieszał w swych fraszkach rzeczy obce i własne, śmieszne i smutne, bezecne i prawe, anegdoty i refleksje, żarty i przestrogi, szyderstwa i pochwały, świeże i dawne, krótkie i dłuższe, wyroiły się na świat polski fraszki, fraszkolasy, fraszkorytmy, dworzanki, wety parnaskie i jak je tam nazywano.

Największe wrażenie wywołały Treny, chociaż niejednemu rzecz sama przedstawiała się „lekką“, i od roku 1580 ciągnie się ich nieprzerwany szereg, pod tem samem lub zmienionem nazwiskiem, ze szczegółami, zwrotami, myślami, zapożyczanemi bez ceremonji. Podobnie ma się rzecz i z jego „Satyrem“. Pomysł nie był nawet bardzo szczęśliwy, bo pocóż było „dzikiego męża“, utwór fantazji słowiańskiej, jakim ona swe lasy zaludnia, przedzierzgać koniecznie w starożytnego satyra, prawiącego Polakom przestrogi najświeższej daty, choćby o szkole krakowskiej, a łatającego je naukami Chirona? Mimo to, dzięki Kochanowskiemu, właśnie ten satyr zdobył w literaturze polskiej prawo obywatelstwa. Za nim poszedł Proteusz w r. 1564; ale późniejsi, Twardowski i in., stale występowali z Satyrem i jeszcze Gracjan Piotrowski w XVIII wieku ze czcią go wymieniał. Jedyna „Odprawa“, jako rzecz „nie wedle uszu naszych“, nie znalazła naśladowców. Poeta pociągał bardzo i niektóremi mniejszemi rzeczami, czy to przez „epitalamion“, czy przez pamiątki nagrobne Tarnowskiemu i Tęczyńskiemu, czy Sobótkami, w których poeta-ziemianin opiewał „wczasy i pożytki“ „wsi spokojnej, wsi wesołej“, naginając się miejscami całkiem do nuty ludowej. Nawet rozmaite sztuczki powtarzano za nim, takie „Raki“, gdzie pochlebny wiersz czytany nawspak hańbił i szydził: broń, której nieraz używano w politycznych i religijnych pamfletach.

Poetę Polski ziemiańskiej odznaczały niezawisły umysł, przestawanie na „równem“ (miernem), ale swojem, umiłowanie sielskiego żywota, niewspinanie się ku zaszczytom i dostojeństwom, pewny kwietyzm, dbałość o wczas, wygodę i zdrowie, niewykluczająca jednak żywego udziału w rzeczach, obchodzących ogół, biorąca do serca i wyzwiska obcych na Polskę (odpowiedź skrzeczącemu Francuzikowi), i niewdzięczność Walezego, i żywiołowe czy tatarskie klęski, bolejąca nad nierządem, nad rozterkami religijnemi, ceniąca co obce, ale miłująca co swoje, choćby starą, zasłużoną a sponiewieraną szkołę krakowską. W jego moralnej fizjognomji żadne namiętności nie wyorały brózd głębokich; wyszumiał

rychło, uczucie było rzewne, lecz spokojne, ciche; przebijała wszędzie dobrotliwa, gościnna, towarzyska jednem słowem polska natura. Zachowana również i równowaga estetyczna: rozwój naturalny, bez gwałtownych przeskoków, wzorowanie się na jedynie cenionych dziełach starożytności, ale bez jednostronnego zapatrzenia się w te dzieła, z zachowaniem większej swobody od klasycznych powijaków, krępujących plejadę Ronsarda, siła wyobraźni mierna, dar obserwacyjny znaczny, humor pogodny, pierwsze zwroty ku naturze, jeszcze zupełnie obce Rejowi lub Bielskiemu, dla których istnieją tylko ludzie. Pomysłowość nie uboga, tok wiersza gładki, mowa jędrna, trafna, obrazowa, bez Rejowych rozwlekłości, trywjalności, prostactwa, język poetycki stworzony po raz pierwszy i podany całym wiekom za wzór, ponad jaki się wyżej nigdy nie wznosiły. Skłonność ku refleksji i dydaktyce widoczna, i uczucie religijne tak zabarwione. Obcowanie z nim podnosiło i polepszało, wiało od niego ciepłem moralnem i przenikającą wszystko swojskością, miło z nim szaleć, kiedy czas po temu, z nim służyć poczciwej sławie, „a jako kto może, niech ku pożytku dobra spólnego pomoże".

Stąd ta sympatja, którą otaczano poetę za życia i po śmierci. Jeszcze w czterdzieści lat po zgonie apostrofował go poeta-mieszczanin:

Najsławniejszy poeto między poetami!
Ty nigdy nie umierasz, zawżdy jesteś z nami,
Bo zawsze poglądając na twój wiersz *wspaniały*,
Musimi się dziwować, że był rozum cały.
By nas kilka tysięcy stanęło z wierszami,
Żaden taki nie będzie, musim przyznać sami,
Choć jeszcze drudzy kradną ziarno z twej śpiżarnie,
Przywłaszczając za swoje...
Woli wiersz, choć kradziony, by jedno gotowy.
Biedneż nasze żebracze płaszczyki łatane...
Przetoż też naszej pracy marnie używają...
A Kochanowski przeciw jako pan na stole,
Czasem dwakroć oprawny, co pojadły mole.

Niewybredny to wiersz, ale szczery, a podobnych wiele możnaby naliczyć. Miaskowski w roku 1612 powtarzał, co w roku 1564 wyprorokowano — o nieśmiertelnej sławie, a Paprocki zapewniał:

A snać by mieli mówić po polsku bogowie,
Iścieć by z Kochanowskim przestali na mowie!

Był to pierwszy poeta, którego sława nie zamykała się w obrębie stanu, prowincji czy konfesji, lecz rozciągała się jednostajnie na

całą Polskę. Nagły zgon poety opłakiwał i Kraków posiwiały od ołowianych dachów, i staropolski Poznań, i spolszczała Litwa, dwugrodne Wilno i porządny Lwów a Lublin (śpiewał słusznie Klonowicz).

Spółcześnie z Kochanowskim występowało całe grono pisarzów poczęści przez niego wywołane. Dzielili oni z nim fatalny zwyczaj niedrukowania wierszów, szerzenia ich tylko w odpisach, a zatem poszły i utrata dzieł i zanik całych autorów. Tak przypadkiem tylko ocalały wiersze **bezimiennego dworzanina-protestanta**, pisane jeszcze przed r. 1570, wiersze miłosne, blade i nieco konwencjonalne, wiersze okolicznościowe, fraszki, żarty, anegdoty i wykończone obrazy staroszlacheckiego życia szlachty, wybierającej się kuligiem, a przerywającej niewczesną zabawę za przybyciem posła, donoszącego o najściu tatarskiem i zwołującego na odsiecz, albo „Biesiada o dobrym gospodarzu", o tem jak się jego goście mile bawią, aż jakiś mruk, żubr, pijany zwadę zaczyna. Wykończone do najdrobniejszych szczegółów obrazki rodzajowe z wyraźną żyłką epicką i lubowaniem się w opisach, czego niema zupełnie u Kochanowskiego, z dobrodusznością, niewolną od lekkiej ironji, gdy np. mówił o Zygmuncie Auguście, co na przedstawienia pana hetmana w radzie „czapeczki poprawiał",

Do jutra tę rzecz każdy raz odkładał,
Czasem też z gniewu pilnie główką trząsa...

albo o swoich „dilektach" — Polakach, co siła na się nieprzyjaciół macie,

a wżdy nic nie dbacie,
Choć się źle dzieje, wszystko u was fraszka!

Fraszki anonima wobec figlików Rejowych i fraszek Kochanowskiego odznaczają się i tem jeszcze bardzo dodatnio, że niema w nich prawie przywoźnego towaru, że acz nie nazywają imion, odnoszą się do małopolskiej i ruskiej szlachty, są najbardziej swojskie, grzeszą tylko polską albo słowiańską wadą: rozwlekłością dykcji. Nie „teskno" przecież autorowi przy flaszy bajać swobodnie:

Aby tym snadniej płynęły te fraszki,
Muszę się przysiąść do tej waszej flaszki,
A wy co wiecie, wszystko powiadajcie;
Czego nie wiecie, pisać mi nie dajcie.

Zato ich tok nadzwyczaj gładki, chociaż to łatwość i gładkość prozaiczna. Z fraszek wieje silny duch akatolicki; więc jadąc między

Mazurów, gdzie „się twarde kijce rodzą“ musi „swoję gębusię zasznurować śpieniem“, używa zato we fraszkach; taki „Indult papieski“ — na temat apokryfu, Listu z nieba zesłanego, i dziś znanego między ludem — to jakby odpowiednik poetycki do najdrastyczniejszych kart Rejowej Apokalipsy. Kazi jego wiersze treść, strasznie rozwiązła, ale rubaszna, bez śladów włoskiej lubieżności — przypomina tem i W. Potockiego z XVII wieku. Nazwiska jego nie znamy; może to Stanisław Porębski, „złoty“, którego „skotopaski“ (idyle) Kochanowski wysławiał narówni z Teokrytowemi, albo Chwalibogowski, Jan czy Krzysztof, bo o obu spółcześni wspominają jako o poetach (o Janie, jako znakomitym poecie, wyraża się pisemko z roku 1578, o Krysztofie pisze Paprocki „wieku mego był poeta *non vulgaris*“). Poeta sam siebie wysoko nie stawiał, wymieniał „dwu mistrzów, Kochanowskiego, Reja“, siebie nazywał „prostym, z wierszów nic niećwiczonym“. Gdyby nie jego erotyczne pieśni, możnaby go zaliczyć do szkoły Rejowej, do Kochanowskiego znowu, — gdyby nie brak zupełny mitologicznych reminiscencyj, bez jakich Kochanowski nie obywał się nawet w „Sobótkach“. Czy nie był ten anonim na najlepszej, najwłaściwszej drodze oryginalnego rozwoju poezji polskiej? znał starożytnych, przetłumaczył elegję Owidjusza, mimo to ich nie naśladował.

Naśladował ich tembardziej **Szarzyński** przynajmniej w młodocianych miłosnych wierszach do różnych Zoś i Kaś, z anagramami i innemi sztuczkami, mitologją, Wenerą, Kupidynem, Narcyzem, łatając brak własnej inwencji, igrając raczej z miłością, niż nią przejęty. Lecz niebawem podniósł się z tego niższego stopnia, rzucił miłostki: wpatrzony w odmienność świata, zagrzewał do cnoty, sławił waleczne czyny przodków, tutaj sam sobie torując ścieżkę. Poezja jego nabiera hartu, nawet jej wyraz z lekkiego, wodnistego tężeje, staje się szorstkim; jego religijność odmiennej natury od Kochanowskiego, ściśle katolicka „był wielki Panny Maryej służka i gorący miłośnik“, mówi o nim jego spowiednik, „miał do tego od Pana Boga niedosiężony dowcip“, „dziwnie wedle stanu swego pokorny“. Lecz nie szczęściło się Szarzyńskiemu ani w życiu, gdyż bogdanki (Tarłówny) nie otrzymał, ani w literaturze, gdyż dzieła pozostałe w odpisach zniszczały, tak, że własny brat w dwadzieścia lat po jego śmierci już tylko drobną ich wiązankę ocalił od wiecznej zagłady. Może i wygórowanym nadziejom, jakie spółcześni o nim żywili, położyła kres śmierć przedwczesna; mimo to widać usilną pracę nad sobą, respekt przed

sztuką, która dla niego była nietylko krotochwilą, poważne myśli, gorącą miłość ojczyzny. Uderza znajomość literatury włoskiej, posługiwanie się formą sonetu, igraszkami słów i obrazów, przypominające już Marina i barok.

Jeszcze dobitniej występują wpływy włoskie u dwu młodszych. **Sebastjan Grabowiecki** naśladuje włoską lirykę religijną w dwu setnikach Rymów duchownych, o formie wierszów bardzo bogatej, o wysłowieniu nadzwyczaj jasnem i gładkiem; to biada ciągle, nieco jednostajnie, nad upadkiem i grzechem, to wznosi się z korną nadzieją, prawie bez wszelkich aluzyj do miejsca i czasu, jak późniejsza liryka protestancka. Mimo to nie przepomina uciemiężonego ludu:

Pot ludzi robotnych nie może mi z ręki,
Za co ja przeklęctwo rychlej, aniż dzięki,
Odnoszę i pewne do Ciebie wołanie,
Abyś na swej łasce mnie pokarał, Panie!...
Iż mnie krzywda ludzka dawno boli, Boże!

Jak Grabowiecki, tak i **Jan Smolik** wyszedł z dworzan królewskich; pisywał przy końcu wieku, ale jego poezja przypomina całkiem późniejszą, Hieronima Morsztyna, Szlichtynga, treścią swawolnych fraszek erotycznych, konwencjonalnością pieśni miłosnych, przebiegających od jednej „panny“ do drugiej, łatwością, ale i wodnistością wiersza, z którego precyzja Kochanowskiego ulotniła się już całkiem. Tłumaczy jeszcze pieśni Horacego, pozostając daleko wtyle za Kochanowskim, lecz zarazem pierwszy tłumaczy z włoskiego pastorele i początek z włoskiej tragedji *La Dalida* Grotta (wydanej w roku 1583). Jemu możnaby również przypisać początek przekładu tragedji pasterskiej, słynnego Guarina („Wierny Pasterz“, w rękopisie z początku XVII wieku).

Innego rodzaju poezję głównie dworacką: powinszowania koronacji i zwycięstw, pieśni na śluby i pogrzeby, uprawiał **Andrzej Zbylitowski**. Nawet epopeja jego „Droga do Szwecji“ (Zygmunta III z roku 1594) jest całkiem dworska, wychwala i zaleca dworzan, owego Niegoszewskiego z jego „darami Pegaskich bogiń“, Warszewickiego „Demostenesa drugiego“ i różnych dygnitarzów. Forma i mowa nadzwyczaj gładka, nieznośna jednak jest mieszanina całego mitologicznego balastu, bez którego poeta i kroku nie robi. Narów ten udziela się poezji ostatniego dziesiątka wieku, podobnie jak i drugi, nieskończonego tworzenia złożonych, niepolskich przymiotników, jakie z łaciny naśladowali Rybiński, sławiący w „różnorym-

nych“ gęślach na „zgodnociągłych“ strunach „skrzydłopiętą“ cnotę, Liricjusz, w długim poemacie: „Wzory cnót“ opisujący „przedziwny żywot“ św. Franciszka (z Asyżu) z dygresjami, naturalnie i przeciw polskim nowowiernikom, tudzież Gosławski, tłumaczący dramat Szymonowica. Konwencjonalnego balastu mitologicznego Zbylitowski, ojciec tego bezsmaku, nie rzucił nawet i wtedy, gdy dworacka poezja ze służbą dworską niezbyt mu się opłaciła i gdy zacisze wiejskie opiewał w „Żywocie Szlachcica na wsi“ i w „Wieśniaku“, gdzie za przewodem „Sobótek“ Kochanowskiego trafił na ziemiańską nutę, „rozmyślając w chłodnym cieniu, twe rozkoszy, twe pożytki i uciechy, wczasy wszytki, wsi wesoła!“ W „Żywocie“ zamieścił ostre wycieczki przeciw modnym zbytkom i marnotrawstwu; „Wieśniak“ w krótkich rymach wypadł żywiej, lecz i tu nie obeszło się bez wyliczań z mitologji i z dziejów Polski, jako treści lektury zimowej.

Jedynie gładkość wysłowienia ratuje Zbylitowskiego; brak jej nawet poetom-żołnierzom: Gruszczyńskiemu i Czahrowskiemu, którzy ręką, ociężałą od władania kopją, brali się do pióra; Gruszczyński — kreśląc obowiązki towarzyszów i panów i wyliczając i opisując tych, z którymi razem służył u księcia siedmiogrodzkiego; Czahrowski — wystawiając trafunki niewdzięcznej służby węgierskiej, rozmaite śmieszne i smutne przygody w wierszu, którego się chwycił z musu, leżąc na bruku i szturmując do łaski Zamoyskiego, przeciw któremu nieopatrzny stawał pod Byczyną. Poeta z niedoli i musu wie,

> że tego nie pisał Rej ni Kochanowski,
> Lecz żołnierski pachołek, ja, Adam Czahrowski,
> Któremuby przystojniej rybne *wiersze* (siecl) składać,
> Niż nad politycknmi *wierszmi* piórem władać

— a dowcip ten z „wierszami“ powtarza się przez cały wiek następny. Tak to się czasy zmieniły: milczeli przedtem powołani, teraz całkiem niepowołani odzywali się, choćby „żabim skrzekiem“.

Do powołanych chyba należał ksiądz **Stanisław Grochowski**, wychowanek jezuitów pułtuskich, więc humanista, zarazem wdzięczny uczeń Kochanowskiego. Łatwość do wiersza miał wrodzoną, niby Rej. Od młodych lat odzywał się przeciw osobom i stronnictwom w satyrycznych docinkach, które zczasem ginęły, niszczone później umyślnie przez starca; niewiele z nich nabrało rozgłosu, co się przykro odbiło i na poecie, np. jego „Babie Koło“, nicujące kandydatów do biskupstwa krakowskiego. Jawnie występował, jako panegirysta, niegorszy od Zbylitowskiego, chociaż, jako ksiądz, służył

głównie pogrzebowym, nie weselnym aktom; naśladuje Zbylitowskiego (np. tegoż „Witanie Zygmunta III“ z roku 1587 lub „Epithalamium“ z r. 1592) i w tem, że prawił gratulacje czy pociechy od rozmaitych ziem, stanów, a choćby części domu: taka „Kalliopea słowieńska“ z roku 1587 od owego „Witania“ niczem się niemal nie różniła. Wiersze te jednak powstawały dla festów czy „planktów“ i z niemi ginęły. Dłużej przetrwała pamięć poety ascetycznego, chorążego owego rozmodlonego poetyckiego hufca, który oblegał przez półtora wieku zgórą parnas polski, zagłuszając nieraz każdy inny, świecki ton. Jako poeta ascetyczny, Grochowski wypełniał program, na który się godzono i w XVII wieku: nie tworzyć oryginalnie, lecz przelewać w gładki wiersz polski to, co wyrażał po łacinie, prozą lub wierszem, Tomasz à Kempis czy jezuici (Androcjusz, Pontan i inni), „Hymny“ brewiarza lub mszału. Nie szedł jednak Grochowski za przykładem Kochanowskiego w „Psałterzu“, lecz starał się trzymać jak najwierniej oryginału np. w „Hymnach i Prozach kościelnych“. Łatwość rymowania i nadzwyczajna płynność mowy wyniosły go nad późniejszych tłumaczów i wierszopisów, którzy z nim współzawodniczyli w tych „Hymnach“ lub w „Tomaszu à Kempis“. Pisywał zresztą i legendy (o św. Cecylji i in.), wszystko niezgorzej, a liczne rymy nietylko wydawał po kilka razy, lecz pomyślał i o obszernym ich zbiorze (roku 1608 i później). Miał humor i werwę, udawały mu się najlepiej rzeczy niepretensjonalne, gdzie się nie sadził na „treny“, a pisał, co czuł, czy to w elegji p. t. „Nocy toruńskie u schyłku życia“, zwrócone, do Skargi, starca, jak on, czy dawniej, skarżąc się w imię snu zagrożonego na hałasy warszawskie, lub ciesząc się z postępów Dymitra i zgody ruskiej, albo opiewając biskupiego trefnisia, lub wyszydzając polszczyznę ministra pruskiego. Mazur ten władał wierszem, jak mało kto inny, szczególniej krótkim, ośmiozgłoskowym, w którym układał całe dziełka.

Obok tego księdza szereg poetów zamyka mieszczanin, **Sebastjan Klonowic**, Wielkopolanin, co to, jak inni, dorobił się stanowiska na Rusi, we Lwowie i Lublinie. Humanista, grecysta znakomity, mógłby dorównać i Szymonowicowi, gdyby troski i kłopoty nazad go w gmin nie wtłaczały, ilekroć głowę wychylał, chociaż „zmarszczywszy czoło“, zawsze wracał do swych „zabaw uczonych“. Jak Rej szlacheckiego, tak to śpiewak miejskiego życia z żyłką satyryczną, bystry spostrzegacz, ciekawy natury i otoczenia. Jak każdy mieszczanin, jak Symonowic i inni, zaczął od łacińskich

wierszy, żeby nikt syna Klonowego nie posądzał o nieuctwo, i dzieła większego rozmachu wykonywał tylko po łacinie. Jego „Roksolania“, to pierwszy opis kraju malowniczego, gdzie od skrzypiącej maży, od kwilącego niemowlęcia, które tuli kuma, aż do listu, wtykanego do rąk umierającemu Iwanowi, aby się przed św. Piotrem wylegitymował, opisano wszystko: i kraj, i ludzie, i zwierz, i łowy na niego, i czary miłosne. Najciekawsza to rzecz z całej łacińskiej poezji polskiej, z którą chyba mierzyć się mogą „Łowy żubra“ Husowczyka. „Zwycięstwo Bogów“ to znowu największy poemat alegoryczno-dydaktyczny, na jaki się zdobyła kiedykolwiek poezja polska; mieszczanin protestuje przeciwko wyłączności szlacheckiej, którą samo urodzenie prowadzi do zaszczytów i przywileji, wykluczając od nich godność i zasługi osobiste, niewylegitymowane herbem, majątkiem, urodą. Olbrzymi, bo kilkanaście tysięcy heksametrów liczący poemat znalazł nawet polskiego tłumacza, obfitował w dygresje i epizody, o szarańczy żydowskiej, pielęgnowanej przez panów na zagubę klas niższych, o nędzy kmiecej, o grozie tureckiej i t. d.

Mniej górne tematy opracowywał lubelski mieszczanin w polskich wierszach, i tak, obok Roksolanji, niby wierszowany Bedeker opisał „Flisa“ czyli spuszczanie statków Wisłą, od mostu warszawskiego do bramy gdańskiej, ze „szpruchami“ i zwyczajami „bosmańskiemi“, z wyliczaniem rzeczułek, ostrowów i miast, zaś obok „Zwycięstwa Bogów“ „Worek Judaszów, to jest złe nabycie majętności“, gdzie rajca i ławnik wystawił najrozmaitszych wydrwigroszów i łupieżców, znanych mu z praktyki sądowej i obywatelskiej, z szczegółami miejskiego żywota, realistycznie i pedantycznie, jakby jaki sędzia śledczy czy prawnik, dzieląc materję na rubryki i ustępy. Honor mu czyni ujęcie się za dolą kmiecią:

kmiotaszek ubogi ustawnie do dwora
Robi sobą i bydłem aże do wieczora,
Karmi się ustawiczną biedą i kłopotem,
Zimnem i upaleniem, łzami, dymem, potem,
Cierpi kuny, biskupy, korbacze, gąsiory,
Osoczniki, pochlebce, podatki, pobory
I pany furyjate, opiłe tyrany,
Pyszne, chciwe, wszeteczne, gorsze, niż pogany...

Lecz jeszcze znamienniejsze dla wybryków i nietolerancji czasów było wyznanie „poety“, co nie odważył się mówić o „lwiej skórze w worku judaszowym“, t. j. o jawnym rozboju i zdzierstwie możnych. Strach o tej skórze pisać:

Więc mam li o niej pisać, namyślę się na tym,
Bym się zaś nie uprzykrzył Judaszom zębatym.

Nietylko wybór tematów cechował mieszczanina, lecz i jego język; Klonowic, chociaż rodem Wielkopolanin, przejął się tak okoliczną, lwowską i lubelską ruszczyzną, że jego wiersz pstrzy się nieraz od słów i form ruskich: *izmiennik, hołowieńko, diedu, mołodziec* mają u niego prawo obywatelstwa, a obok ruskich znajdą się i czeskie. Nazwisko jego uległo wczesnemu zapomnieniu, ledwie że później przedrukowano „Flisa". Gorliwemu katolikowi w życiu i pismach zaszkodziło, że się wdawał z protestantami; Gorajskim, zajadłym kalwinom, dedykował dzieła, wydawał swe prace u arcykacerza Sternackiego, bratał się z Wojciechem z Kalisza, tak, że nawet zwalono na niego autorstwo słynnego pamfletu antyjezuickiego.

Obok tych dzieł oryginalnych ważną rolę w oddziaływaniu humanizmu na literaturę narodową odegrały i tłumaczenia. Na czele tłumaczów, jako najwpływowszy między nimi, stanął **Łukasz Górnicki**, mierny talentem, wielki zasługą wyłącznego pisywania po polsku mimo wszelkich ponęt łacińskich, którym nawet Kochanowski się nie oparł. Zaczął od wierszy lirycznych, opiewając własne miłostki, i od epicznych, kusząc się o „Grunwaldzką"; w obu jednak nie zdradzał zakusów humanistycznych, a kroczył śladami Bielskiego i Reja. Pobyt i studja włoskie zmieniły go zupełnie. Wyrzekł się samoistnego tworzenia, jakby się nie czuł na siłach, oddał się stosowaniu rzeczy włoskich i łacińskich na ład polski. Brał się do wszystkiego, i do tragedji pseudo-Seneki i do traktatu Seneki, naśladował dialog platoński, przyczem strasznie obniżył jego poziom — a prawdziwy sukces odniósł tylko, odtwarzając „Dworzanina" polskiego wedle włoskiego „Cortegiane". Dzieło Castigliona znachodziło wszędzie tłumaczów, Polak jeden zamiast tłumaczenia dał przeróbkę, przenoszącą nas z esteńskiego dworu i wyrafinowanego renesansu włoskiego do Prądnika Maciejowskiego i na zamek krakowski. Kilka lat tylko dzieli Rejową przeróbkę Palingenjusza od tej przeróbki Castigliona — lecz cóż za różnica! Palingenjusz schłopiał, Castiglione spolszczał: włoski ideał fizycznej i psychicznej harmonji, równego ukształcenia ciała i umysłu, wcielił się w formy polskie. Z raz obranego toru Górnicki zbić się już nie dał: spisał po polsku przeciw Orzechowskim i Solikowskim swój pamiętnik z czasów augustowskich, przyczem pofolgował żyłce retorycznej, umieszczając próbki wymowy sądowej

przy opisywaniu sprawy Halszki Ostrogskiej. Przeciw Wolanom i Warszewickim po polsku również napisał obszerną „Rozmowę o elekcjej, o wolności, o prawie i obyczajach polskich“ (między Włochem, dziwiącym się polskim porządkom, a Polakiem, broniącym ich, podczas elekcji Zygmuntowej roku 1587), i „Drogę do zupełnej wolności“, krótkie streszczenie nowych poglądów autora; jedyne to jego (prócz króciutkiego „Raczyła“ t. j. wyszydzenia, w imię mowy rozumnej, owego niewczesnego „raczenia“ polskiego — raczył umrzeć i t. p.), oryginalne pisma, które, jak wszystkie inne, prócz „Dworzanina“ (wydanego w roku 1566, powtórzonego w roku 1639 i 1761, tłumaczonego nieraz i na niemiecki), niechybnie byłyby zaginęły, gdyby starosta tykociński nie zostawił synów, dbałych o imię ojcowe. Szczególniej ks. kanonik warmiński temi wydaniami (i własnemi tłumaczeniami) zasłużył na wdzięczność późniejszych. Polityczne pisma Górnickiego, uszlachconego mieszczanina, grzeszą przeciw zasadzie, sformułowanej przez Skargę: „przezacni panowie, nie czyńcie z Królestwa Polskiego niemieckiego rzeskiego miasta, nie czyńcie malowanego króla, jako w Wenecyej, bo weneckich rozumów nie macie i w jednym mieście nie siedzicie“. Górnicki, zaślepiony Contarenim i włoskiemi porządkami, jak ich literaturę i kulturę, takby i ich politykę przenosił do Polski. Niestosowność zasadniczą wynagradzają szczegóły obyczajowe, z praktyki sądowej, nadzwyczaj wymowne, tudzież włoska krytyka polskich nieporządków nadzwyczaj udatna. Bardzo znamienne było dla rosnącej drażliwości Królowej Opinji, że ludzie wpływowi, Zamoyski i inni, którym Górnicki przesyłał odpisy, odradzali ogłaszania, choć nie przeczyli zapatrywaniom autorskim.

Inni tłumacze nie pojmowali tak wysoko swego zadania. Jedyny **Ciekliński** poszedł w tropy Górnickiego i nie przełożył, lecz do Polski i Lwowa dostroił „Potrójnego“ Plauta. Gdy stary Bielski oryginalną komedją o „Justynie i Konstancjej“ niemoralnego Terencjusza pragnął w szkole zastąpić albo wyrugować, co już dla rozmowy łacińskiej, stale się zapożyczającej z Terencjusza, nie było możliwem, Ciekliński przebrał Plauta „w giermak i kowane buty“ i zyskał aplauz znawców — Lwowianie i Zamoyszczycy nie mogli się go dosyć wychwalić, niemniej Szymonowic jak Szczęsny Herburt, a Średziński porównał go nawet z „dawnymi komikami polskimi“ (Rejem, Bielskim — tych tylko znamy), którzy pisali:

Na jeden dzień wielu lat dzieje zgromadziwszy;
O rzeczy i podanie ich kształtne nie dbając;

Osób i zapędów serc wyrazu chybiając,
Własnych słów, gładkiej mowy i w żarciech wdzięczności,
Do mowy pospolitej wierszów podobności
Nie patrząc...

Ciekliński połączył zalety, których im brakowało, i rzeczywiście jego komedja, przeznaczona na scenę (mowa o dekoracjach: to miasto malowane Lwowem niechaj będzie) zrobiła wielkie wrażenie, ślady jej można odnaleźć i w XVII wieku, chociaż nie spolszczyła tak Plauta, jak Górnicki Castigliona; Ciekliński dodał wiele od siebie: wycieczki satyryczne na zbytki, na utratniki, co radzić sobie umieją:

Będę umiał z inszymi mówić na sejmiku,
Że drugim pójdzie w pięty... i posłem zostanę,
Muszą mi przedsię co dać, choć z niedobrej woli!!

na wszelakich polskich warchołów, których sprawki wyjawił zjadliwie. Zresztą z moralnością delikatniej się nie liczył i od przedmieścia halickiego swoim bohaterom chętnie docinał; stworzył jednak, obok dramatu Kochanowskiego, jedyną godną widzenia polską komedję XVI wieku. Inne tłumaczenia dramatyczne, ani Górnickiego „Troades“, tem mniej Zawickiego „Jephtes“ (Buchanana) nie wytrzymują porównania.

Najczęściej jednak utwory klasyczne nie dopuszczały zgóry przerabiania na ład polski, np. „Eneida“, którą Jędrzej Kochanowski niezbyt szczęśliwie wyłożył. Najwyżej cenili humaniści Wergiljusza, tusząc, że i z pomiędzy nich wyjdzie Maro, skoro się tylko znajdzie Mecenas („siłać więc jeden Mecenas naczyni Maronów, nie szczędząc swych zagonów“ dopraszał się Klonowic) — nie dziw więc, że przetłumaczono całą spuściznę po nim, Kmita Bukoliki („Pasterskie rozmowy“) a Świrski Georgiki, chociaż nie pomyślał o Ziemiaństwie polskiem, jak później Koźmian. Z przekładu Świrskiego ocalała tylko jedna księga, o pszczołach („Pasiecznik“), dalsze trzy w trwogę tatarską

Na kęsy roztargane od pogańskiej ręki;
Ciebie (Pasiecznika) prawie zgniłego naleziono w błocie.

Poświęcił on go Sienieńskiemu (założycielowi Rakowa), nie dla ostentacji, lecz dlatego,

Abym cię do pisania pobudził jakiego,
Coć Bóg dał, byś nie kopał.

Kmita nawet wyłożył „księgi trzynaste o Eneaszu trojańskim“ (dorobione przez poetę-humanistę Wegjusza). Wszystkie te przekłady

dosyć liche, ze względu na konieczne rymy zbyt rozwlekłe, nigdy nie zbliżają się do siły oryginału, np. *Timeo Danaos et dona ferentes* brzmi: niechaj co chce będzie, Boję się Greków, chocia dary niosą, wszędzie, albo *Et haec quondam meminisse iuvabit:* snadź na to wspomnieć potem będzie nam rzecz miła. O wiele lepiej udała się pierwsza komiczna epopea polska Kmity, Spitamegeranomachia, bój żórawi i pigmejów (pięd zimężyków), jedyna przed Myszeidą, niby naśladująca homerowe boje myszy z żabami i t. p., pełna aluzyj do stosunków polskich, czerpiąca z umysłowości ludowej, z przesądów i bajek, niepozbawiona komicznych efektów, udatniejsza formą.

Innym autorom klasycznym mniej się wiodło. Jeszcze najczęściej tłumaczyli i naśladowali Horacego, np. Jan Kochanowski i Jan Smolik, ale tylko wybrane ody. Podobnież, tylko jeszcze mniej, z Owidjusza np. z Przemian, z Anakreonta; są to nieraz raczej przeróbki i parafrazy te tłumaczenia Pudłowskiego, Dębowskiego i in. Dla prozaików przeważały względy dydaktyczne, lubowanie się w morałach, więc Plutarch znajdował chętnych tłumaczów w druku i rękopisach. Zbiór „Moralia“ przełożył w r. 1570 Mikołaj Kochanowski, brat Jana, autor „Rotuł“; zaplątał się tu nawet Lukjan (Kur z greckiego przełożony na polski r. 1578, ale przerobiony na ład chrześcijański); częściej Cycero, księgi o obowiązkach (tłumaczył Stanisław Koszutski, niegdyś sekretarz Barbary od listów polskich, który tłumaczył i Lorichjusza), albo o starości (Bieniasza Budnego); dalej Isocrates (Glicner), Seneka, Cebes i inni. Niektóre tłumaczenia podejmowano dla względów wyznaniowych, np. „Justyna rozmowa z Tryfonem żydem“, przekład ciekawy dla przedmowy, objaśniającej terminologję chrześcijańską i początki arjaństwa polskiego; albo „Józefa Żydowina“, księgi o wojnie żydowskiej w przekładzie Lenarta z Urzędowa z roku 1554 i t. p.

Obok tej poezji humanistycznej, oryginalnej i tłumaczonej, stawała i proza humanistyczna, przeważnie łacińska, rzadziej polska. Poznaliśmy ją już poczęści: u Fryca, Orzechowskiego, Wolana, Górnickiego, również i Kochanowski próbował sił w polskiej w traktacikach politycznych, krytycznych, anegdotycznych. W prozie historycznej pierwszy odniósł dank zasłużony **Marcin Kromer,** który, obok zajęć dyplomatycznych, a później i duszpasterskich, znalazł czas na ułożenie i kroniki polskiej, sięgającej niestety tylko po rok 1506 — ostrożny autor nie chciał się narażać kreśleniem rzeczy bliższych — i statystyczno-politycznego opisu Polski i jej urzą-

dzeń. Liczne wydania i tłumaczenia kroniki (na niemiecki w 1559 roku, na polski dopiero w roku 1610), świadczą najlepiej o poczytności obu dzieł. Skrócił ją i przedłużył do roku 1548 kasztelan Herburt w roku 1571, a kronika ta doczekała się licznych wydań, przetłumaczona już roku 1573 na francuski, z powodu wyboru Walezego, który to wybór wywołał wielki popyt na rzeczy polskie we Francji i Włoszech. Wtedy to młody Krasiński, uproszony od ciekawych, opisał niezgorzej Polskę szlachecką Sygonjuszowi i Włochom. Dzieło Kromera, oparte na Długoszu i Miechowicie, uświęciło na zawsze ich przedstawienie; Kromer bowiem samoistnych studjów nie podejmował, tylko na wstępie, omawiając początki polskie, złożył dowody myśli krytycznej, niedającej się łudzić byle pozorami. W przeciwieństwie do Bielskiego (syna), Sarnickiego i in. nie mieszał narodów germańskich ze słowiańskiemi, lecz jego słuszne uwagi zagłuszono, oskarżając go, że odziera naród ze starożytnej sławy. Zresztą przelał tylko treść poprzedników we wzorową łacinę i tą formą właśnie zagranicą zaskarbił sobie sławę, a później i uznanie rodaków, co na niego z początku bardzo sarkali, bo wychowanek starej szkoły politycznej ostro docierał uroszczeniom posłów („dud nadymanych przez panów"), obniżając ich znaczenie.

Do łaciny zobowiązywał się i nadal każdy historyk, a przykład Bielskiego nikogo nie nawrócił. Dzieje bezkrólewia, czy wojny moskiewskiej, wyczerpujące i pragmatyczne, czy krótsze rzeczy o wyprawach wołoskich, gdańskich i innych, pisali po łacinie Orzelski i Heidenstein, Górecki i Solikowski. Tłumaczono to i na niemiecki, tylko o polskim tekście nikt nie myślał, nietylko obcy, — taki Heidenstein, rodem Niemiec, lub Włoch Gwagnin, którego opis Sarmacji europejskiej, po Miechowicie najbardziej obfity, zaraz tłumaczono na niemiecki (r. 1582) i nawet czeski (r. 1590), a na polski autor do tego się zabrać raczył dopiero w roku 1611 — lecz i swoi, jakby tylko obcy język wystawiał patent nauki i pożytku. Taki np. Filip Padniewski, późniejszy biskup, żywoty sławnych spółczesnych Polaków wypisał łaciną tak górną, że za jej frazesami zacierały się zupełnie właściwe rysy i czyny sławionych mężów; mimo to rzeczy nie ogłosił.

Świadczyła ta łacina świetnie o „ingeniach" polskich. Humaniści włoscy i francuscy, belgijscy i szwajcarscy, podziwiali północ sarmacką, wynurzającą się z mgieł średniowiecznych, imponowały im zdolności młodych Polaków, Nideckiego, Zamoyskiego, Goślic-

kiego i tylu innych, imponowało im używanie języka klasycznego, częstsze w słowiańskiej Polsce (niestety!), niż w romańskiej Francji, uderzał ich król i kanclerz, starający się zwabić do Polski najznakomitszych filologów świata, Mureta i innych, nieskąpiący na to ni kosztów, ni zachodów. Jak reformatorowie z wytężoną uwagą śledzili rozwój nowej wiary w Polsce, jak łudzili się rychłem i zupełnem zwycięstwem, jak się potem gorzko rozczarowali, podobnie humaniści i łudzili się, i pozbawiali się złudzeń. Nadzieje zawodziły na wszystkich punktach: ani polskie klasztory nie przechowały żadnych skarbów klasycznych, nieznanych na zachodzie — bajka o Cyceronowych księgach *De Republica*, ocalałych w Polsce, kołatała się długo, równie długo, jak wieść o skarbach literatury greckiej w Kremlu, o które się starał jeszcze Jan Łaski, — ani mężowie nie dotrzymywali tego, czego się spodziewano po młodzieńczych pracach. Brak wytrwałości, rzucanie nauki dla życia politycznego, w którem brali udział i duchowni, osierocały stale panteon nauki polskiej, zadowalającej się wtórem miejscem, pozbawionej szlachetnej ambicji celowania nad innemi. Kończyło się zawsze na świetnych zadatkach. Przy literaturze pozostawali z reguły tylko wykolejeni, co chcieli wetować pismami brak innych zasług, lub przypominać się królowi i mecenasom, np. taki Sarnicki lub Warszewicki.

Najruchliwszym pisarzem był **Krzysztof Warszewicki** (brat jezuity), który w karjerze zawsze się spóźniał, a w literaturze zawsze wybiegał naprzód: mimo znacznej i rozległej wiedzy, niezaprzeczonych zdolności krytycznych, szerokich a nowych widnokręgów, wielkiej ambicji, nie zdobył się na nic trwałego, ani w życiu, ani w literaturze. Żołdak habsburski, jak inny rodak — Mazur, Paprocki, zgóry skazywał się na niewdzięczną rolę: polskim obszernym poematem (Wenecja, r. 1572 i 1587) i łacińskiemi mowami, wysmażanemi na wzór filipik, głosił krucjatę turecką, lecz nie znachodził słuchaczów — przynajmniej nie w Polsce, którą przestrzegał zdrowy instynkt, że nie od Osmanów grozi jej niebezpieczeństwo. Literackie nawoływania, przedruk „Okszy (Orzechowskiego) na Turka", „Gwałt na pogany", „Wróżki", „Pożar" Paprockich, Wereszczyńskich, Klonowiców, pisma polskie i łacińskie swoich i obcych, przepowiednie i wyrocznie, że od północy — naturalnie od Polski, Turkom grozi upadek, moskiewskie sojusze, dywersje perskie i wołoskie, pewne bunty bałkańskich chrześcijan, zabiegi nuncjuszów papieskich i agentów habsburskich

— nic nie skutkowało, naród szlachecki nie rzucał mądrej polityki ostatnich Jagiellonów, choćby dla złotego wczasu [1]) Równe niepowodzenie spotykało i inne pisma, np. dialogi Warszewickiego, rozrzucane w interesie Habsburgów przy elekcjach. Ale i historycznym nielepiej się wiodło: skrytykował wprawdzie Warszewicki dosadnie historjografję polską, np. Bielskiego, który umie rozprawiać chyba o wylewach Wisły lub spaleniu Malcherowej, nie przepuścił nawet biografom Tarnowskiego — ale sam albo tylko kusił się o większe rzeczy (o dzieje spółczesne od roku 1572, z których napisał tylko księgę I, III i XIII), albo zestawiał niedokładnie, chaotycznie, pobieżnie notatki własne i obce, chociaż sięgał wysoko, rywalizował z Plutarchem w paralelach biograficznych, zbierał daty synchronistyczne, kładł podwaliny historji literatury w pierwszym spisie autorów polskich. Lepiej powiodło mu się na innem polu.

Wystawiano wtedy chętnie w wytwornej łacinie, z miną znającego się na rzeczy, obowiązki, cele i drogi mężów stanu, panujących i wojowników. O to ubiegali się Hiszpanie i Włosi, a Polacy niezgorzej dotrzymywali im placu. Tak Goślicki napisał rzecz znakomitą o senatorze — odbiło się to w Polonjuszu Shakespearowym — którą Anglicy tłumaczyli jeszcze w XVIII wieku, tak Warszewicki napisał o posłach i poselstwach, nie bez mądrych uwag, stosownych wskazówek (dokąd kogo posłać), znamiennych anegdot (o posłach polskich i moskiewskich). Jeszcze później Heidenstein wyłożył rzecz o sekretarzach. Ale, pisząc po łacinie, więc dla świata, autorowie ci nieraz wcale nie przestrzegali polskich stosunków i wymagań, nadrabiali ogólnikami.

Z jego pism politycznych, tyczących wyłącznie Polski, najlepsze było najkrótsze, mowa polska z roku 1587, wyliczająca przyczyny upadku i kary Boskiej, najobszerniejsze łacińskie, „O najlepszym stanie wolności“, ciekawe pomysłem, przeprowadzeniem formy dialogowej (między warcholem Orzechowskim

[1]) Najfantastyczniej występował jakiś Daminaeus w broszurze w 1593 r., gdzie już upatrywał dla królewicza tron cesarski w Stambule, operował siłami Kozaków i Moskwy — do przymierza przyjść musi, „zarwon Bogu z Smoleńskiem“ (co tam o Smoleńsk się spierać!) — i okazywał inne gruszki na wierzbie. To specjalność polskiego duchowieństwa, jak owo grożenie zagubą z powodu sekt, tak to nawoływanie do wojny, oboje dla miłości Rzymu, nie rzeczy samej, płynące. Daminaeus był więźniem tureckim, ale i to go nie upamiętało. Projekty, które zdążały do poprawy finansów i wojennej gotowości, układano głównie mając na widoku kampanję turecką, np. „Zdanie syna koronnego“ ks. Piotra Grabowskiego.

a monarchistą Ocieskim; Padniewski był „obermanem“, arbitrem rozmowy) i odpowiedniem rozdzieleniem ról, lecz nie myślami, pożyczanemi lub powtarzanemi za Frycem i starożytnymi. W ostatnich latach życia, niby dla przybranej świeżo sukienki duchownej, autor parał się i teologicznemi rzeczami, z nielepszym sukcesem, jak historją i polityką, jako cyceronianin i chrześcijanin. Tak zmarnował się talent raczej, niż wyrobił.

Sarnicki talentu nie posiadał, zato zarozumiałości aż nadto. I on rzucił się na pole historji, ale, chcąc olśnić rodaków, nie powtarzał dawnych dziejów, zato wywodził ich od arki Noego, od Assarmotha i innych równie pewnych przodków. On również pisał księgi hetmańskie, chociaż nie był wojownikiem, ale, wedle znanej recepty, starczyło plądrowanie starożytnych pisarzów, deklamacje moralne i polecanie środków wcale niemoralnych. W ten sposób pisali o wojnie wszyscy ci niepowołani, od Fryca i Przyłuskiego aż do Sarnickiego, podczas gdy powołani, Jan Tarnowski, Łaski (Stanisław, żołnierz Franciszka I, dzielący z królem więzienie), zadowalali się spisywaniem krótkich artykułów (o porządku podczas marszu, przy rozbijaniu obozów, o ludziach luźnych, o „bitunku“ łupie), nie szerokich traktatów, przyczem Łaski szafował nieraz wcale dowcipnemi aforyzmami — lecz obaj pisali po polsku i to jeszcze w pierwszej połowie wieku; tłumaczono nawet na polskie podobne artykuły księcia pruskiego Albrechta (Strubicz). Wyjątkowo taki zagorzały humanista, jak **Jakób Górski**, najwybitniejszy z profesorów krakowskich drugiej połowy wieku, gorliwy jej rzecznik, biadający szczerze nad upadkiem szkoły, autor podręczników retorycznych i gramatycznych, pisemek antysemickich i teologicznych prelekcyj, zdobył się również na polską przeróbkę włoskiej „Rady Pańskiej”, którą także i Warszewicki wyłożył na łacinę (z oryginału hiszpańskiego, Furjusza Cerioli, którego dziełka i Paprocki tłumaczył na polski: „Król” 1578, „Senator” 1579). Ciekawe, że dawny profesor krakowski nadrabiał „mazowieczyzną”, tak, że jego wydawca i uczeń Januszowski musiał wpierw język „wypolerować”, i że dodawał do obcego dzieła własne trafne uwagi o polskiej zaściankowości, patrzącej nie na człowieka, lecz na to, kto go rodzi, czy to Mazur, czy Litwin, o polskiem nieposzanowaniu praw i o samowoli możnych, niedocenianiu wroga i o innych brakach i wadach narodowych.

Stanisław Górski, sekretarz jeszcze Tomickiego i Bony, przysłużył się historji swego czasu olbrzymim zbiorem (w dwudziestu siedmiu tomach) „Tomicjanów”, t. j. listów, instrukcyj i t. d. wy-

chodzących z kancelarji królewskiej za Tomickiego i później, opatrując je ważnemi dopiskami; sam napisał po łacinie „Życie Piotra Kmity", gdzie surowo się obszedł z Kmitą i Boną oraz jej duchownemi kreaturami, Polakami i Włochami, ale nie szczędził i króla i Tarnowskiego, i obu przepowiedział wymarcie rodu, opłakując nie ich, lecz Polskę, zawichrzoną wewnętrznemi fakcjami. Rzecz o bezkrólewiu po Zygmuncie Auguście Orzelskiego, gorliwego protestanta, była napisana po polsku, lecz tylko jej łaciński przekład zachował się po rękopisach, w druku bowiem rzecz, tak otwarcie odsłaniająca wszelkie machinacje, już się nie mogła pojawić. Rosła już bowiem nadzwyczajna drażliwość przeciw każdemu niedyskretnemu słówku, już gniewano się coraz bardziej o szczerą prawdę i napastowano dzieła (Heidensteina i Rzeczyckiego) i drukarzów, gdy na autorach mścić się za prawdę nie było można. Doznał tego i Solikowski, który musiał wyręczać nagabywanego drukarza; sam pisywał tylko rzeczy krótsze, pamiętniczki i t. p. Najobszerniejsze i najwięcej pragmatyczne dzieło zostawił Heidenstein o wojnie moskiewskiej, komentarze w rodzaju Cezarowych, czerpane ze źródeł oficjalnych, przychylne Batoremu i Zamoyskiemu, więc przez szlachtę napastowane po śmierci króla.

Tu należą opisy podróży, których ubóstwo uderza. Honor domu ratuje Sierotka (Radziwiłł), opisując w listach do przyjaciół Ziemię Świętą w ciągu podróży 1582 — 1584. Listy te zebrał i przetłumaczył na łacinę kanonik Treter: wiek XVII miał ich wiele wydań i przekładów na ruskie i niemieckie (roku 1603) i polskich wydań pięć. Lecz książę całej drogi nie opisał, chodziło mu więcej o miejsca święte. Oprócz niego istnieją tylko „Wypisania drogi tureckiej" Otwinowskiego i Taranowskiego, lecz i te nie wychodziły w druku; zadowalano się tłumaczeniami obcych. Ślązak arjanin Jan Licinjusz (Namysłowczyk, nauczyciel w Jewiu, który zebrał dla szkoły we wzorowym łacińskim, a prostym polskim i niemieckim wierszu „Sentencje życiowe") dostarczył tłumaczenia legacyj tureckich Busbequiusa; łacinnik planował więcej: przełożyć Polakom, co Niemcy mieli już dawno, historyków łacińskich (Liwjusza, Cezara, Józefa Żydowina i innych) i na próbę w podróży do Wilna i na Żmudź wyłożył na wozie i po gospodach Busbequiusa; jako arjanin zastrzegał się naturalnie, że nawoływanie do wojny tłumaczył nie z zamiłowania ku niej. Zresztą źródła polskie milczą. Przygody podróżne można znaleźć przypadkowo np. u Paprockiego (z podróży hiszpańskiej Tęczyńskiego), wogóle kreślenie wrażeń cudzej ziemi,

nie nęciło Polaka, co najwyżej wpisywał on w diarjusz noclegi i odległości. Nawet Kochanowski nie wypowiada się, jak to przecież czynił Janicjusz, albo ci obcy, Ślązacy i Szkoci, którzy zwiedzali i opisywali Wieliczkę (Schroterus, Loechius)[1]). Zawodzą więc oczekiwania nasze i dziejopisarze i podróżnicy, nie roztaczający żadnych wielkich obrazów, nie malujący tła, zadowalający się kreśleniem faktycznego przebiegu lub suchem wyliczaniem, utykający nieraz w drobnostkach, jak Górnicki w swych „Dziejach". Wiek XVI nietylko sam nie wydał żadnego Długosza, ale i dawnego nie wypuszczał na świat. Napróżno Orzechowski żałował „tego zawsze bardzo, iż ten polski tak zacny historyk na świat ludziom wydany nie jest, a iż się on po kąciech u panów tylko walca", a za przyczynę podawał „zmazy wielkie Polaków i domów polskich, czemu ludzie folgując Długoszowi na świat dotychmiast nie dali".

Mimo braków dziejopisarstwa wiek XVI nagle się ożywia; jego wybitne postaci nabierają wypukłości i kolorów, drgają życiem i ruchem, gdy na szarem tle dawniejszych wieków wszystko było zlane w jedną masę, martwą i niemą. To ożywienie zawdzięczamy literaturze w mowie narodowej, niefałszującej, i niezacierającej rysów, cech i kolorów pokostem łacińskim. Wprawdzie nie posiadamy pamiętników z XVI wieku, ale zastąpią je nam rzeczy, które wydawała chwila: pisma polityczne, mowy publiczne i listy poufne; w nich zwierciedlą się ludzie, stronnictwa, zabiegi; one to wprowadzają w sam wir i zamęt wypadków; w nich odczuwamy samo tętno czasu. A jest ich sporo.

I tak z lat 1572 i 1574, z czasów pierwszego bezkrólewia, zostało kilkadziesiąt broszur, łacińskich i polskich, wierszem i prozą, drukowanych lub szerzonych w odpisach, omawiających sprawy wyborowe i zalecających lub potępiających kandydatury, mądrych i niedowarzonych; co za ruchliwość piór, obcesowość zdań, przebiegłość i domyślność! Niesposób ich wyliczać ani oceniać, ale niepodobna pominąć milczeniem występów I. D. Solikowskiego, publicysty pierwszej wody. Oddał się duszą i ciałem kandydaturze francuskiej; jakżeż ją umiał zalecić, ocukrować, aż na ten lep padły polskie muchy; nawet gdy kogucik francuski już zleciał z Wawelu,

[1]) Jedyny wyjątek, to „Księgi peregrynackie" z roku 1584, gdzie bakałarz Rywocki opisał podróż włoską synów wojewody mazowieckiego, St. Kryskiego, których nadzorował; „Księgi" wypełnia przeważnie opis kościołów i cudów, o których w nich napletli przewodnicy włoscy łatwowiernym Mazurom; język i pisownia godne tej treści.

Solikowski potrafił jeszcze wmówić w słuchaczów złudne nadzieje i obietnice. Wychodziło to w świat bezimiennie, ale z różnych wskazówek (po rękopisach), tudzież późniejszych wyznań można nieraz autora oznaczyć. Szczególniej dialogi polskie: Rozmowa kruszwicka (między Piastem a Mazurem Bartoszem Dąbrowskim), Rozmowa Gąski (błazna) z św. Bartłomiejem i Komornika Ferfeckiego z Burmistrzem, wszystkie pióra Solikowskiego, należą do najciekawszych zabytków literackich całego wieku: tyle w nich humoru (jest nawet zaszczytna wzmianka o Kochanowskim, co po olej na Pegazie do nieba zajechał), sarkazmów, niepospolitych zwrotów, nadzwyczajnego, zręcznego, subtelnego ujęcia, że tylko żałować można wyszafowania takich darów na cel tak niewdzięczny. Ale obok rubasznych, drastycznych przymówek są pisma poważne i mądre: Ciesielskiego (łacińskie), Rotunda (wójta wileńskiego, polskie), Dudycza (eksbiskupa, eksposła cesarskiego, ożenionego z Polką, więc „wmieszkałego“ Polaka), dowodzące, jak wysoko stała myśl polityczna, jak się trafnie orjentowano. I przynoszą zaszczyt te pisma wiekowi, tem bardziej, że nieodosobnione, że wywoływała je każda nadarzona sposobność — prawda, rzadko kiedy w tej jakości i ilości.

Obok tej powodzi libeluszów, pamfletów, nawet parodyj Pisma Św., przemów i dialogów, stają dalej listy spółczesne, a w nich okazują się przed nami żywi ludzie, co to własnemi słowami radują się lub żalą, oskarżają lub bronią, wyjawiają masę plotek, intryg, szczegółów potocznego życia, w obozie lub radzie, na rynku lub w kościele, na drodze i w domu, przy uczcie i pracy, w gronie familji, sług i przyjaciół, czcząc się i lżąc, smutni i weseli, otwarci i obłudni.

Właśnie dla drugiej połowy wieku zapas listów polskich staje się obfity. Świeccy piszą po polsku; duchowni pozostają przy łacinie, listy Zebrzydowskiego, Kromera, Hozjusza, Uchańskiego, Karnkowskiego, humanistów, Janicjusza, Orzechowskiego i innych są łacińskie, list polski zaplącze się wyjątkowo; podobnie korespondencja od i do Batorego.

List listowi nie równien. Ludzie XVI wieku, zajęci równocześnie tylu sprawami, obarczeni tak wszechstronną korespondencją, udzielają sobie nawzajem tyle wiadomości domowych i zagranicznych (gazet jeszcze niema, a progres wojen tureckich lub zajść francuskich bardzo ich zajmuje), zabiegają o tyle tytułów i intrat, sporów i procesów, przypominają się przy każdej sposobności rodzeństwu

i przyjaciołom z zalecaniem swych służb i pytaniem o łaskawe zdrowie, że list to często tylko kupka rozwlekłych frazesów służbistych, dobrze jeszcze, jeśli i jaka wiązanka suchych wiadomości. Z masy bezbarwnej korespondencji wyróżniają się znacząco listy niewielu osób: Radziwiłłów, Zamoyskiego, Sapiehy, Chodkiewicza.

Wrażenie, jakie się odnosi z tych listów o rządzie i kraju, jest raczej smutne. Ludzie ci nie łudzą ani siebie, ani innych, i na ustach ich wciąż wyrazy zniechęcenia i zwątpienia. Powtarzają, giniemy bez obrony, bez rządu, bez skarbu, pełnią chwilowy obowiązek bez zapału, bez ufności — a są i tacy, którzyby się wyrzekli zupełnie wszystkiego, by nie dzielić odpowiedzialności za wszystko.

Prócz spraw wewnętrznych i zewnętrznych mowa w tych listach o wszystkiem; Zamoyski posyła Krzysztofowi Radziwiłłowi obrazy Tarnowskiego i Konstantego Ostrogskiego, pośle i swój, gdy będzie gotów; Sapieha dziękuje Sierotce za klawicymbał z fletem i za terminaturę peregrynacji (t. j. dziennik pielgrzymki do Ziemi Świętej), którą odeśle, przepisawszy; komisant jego pisze mu, że ks. Śmiglecki żądał, „żebych mu flor. 20 dał na drukowanie książek od niego wydanych, jakim sposobem zastawy iść mają, a lichwy się uwarować, które książki radby WMi przypisał"; wspominają o niemieckich książkach grafa Solms *de re militari,* oprawnych w złoto i zielony aksamit, drukowanych przez hrabiego u siebie doma i rozsyłanych tylko książętom, ludziom rycerskim.

Cytują w listach „Fraszki" Kochanowskiego i „Zwierciadło" Reja; Zamoyski donosi o gramatyce języka polskiego, którą piszą dla małego Tomasza, układa emblemata z trofeów, postaci alegorycznych i włóczni herbowych, siląc się na kunsztowne *motto,* daje to w Wilnie wymalować a we Flandrji wytkać na oponach; z Flandrji sprowadza kilku muzyków-chórzystów, lecz są drodzy: każdy wymaga, prócz całkowitego utrzymania, dwieście talarów rocznie. Zamoyski zamawia dwa puzdra srebrnych talerzy u złotnika poznańskiego, Glazera, za robotę da 100 zł., Sapieha u wileńskiego złotnika Dyle daje robić srebrną włoską miednicę, z nalewką — pytają, czy każe odrysować herb w środku miednicy (Lisawiec z wiankiem, albo ze lwy, z innemi herbami). Obszernie traktują sprawę nauki zagranicznej, nie godzą się na Strassburg, gdzie licha nauka i porządek nieozdobny, cały ten kąt tam ciemny i sprośny, nie dla młodzi pańskiej, polecają Leodjum z Lipsjuszem lub inne; tylko już milczą o szkole krakowskiej, jakby nie istniała wcale.

Więcej miejsca niż kunsztom, literaturze, poświęcano opisom, jak urządzono w Wilnie egzekwje dla synowca Batorego, w jakim szyku prezentowali się słudzy kanclerza, zaciężni cudzoziemcy, hufy litewskie, jak w Knyszynie odprawowało się wesele od niedzieli do czwartku, jakie i kto dawał upominki i całkowity rejestr potraw pierwszego dnia (na trzy dania, na misy i półmiski, gdzie to były: słona zwierzyna, potrzęsiona wielkim cukrem i migdały, kapłon z zieloną juchą cukrowany, w czarnej jusze baranki angielskie, kiełbasy warzone z brunatną juchą, mostki cielęce nadziewane); znajdziemy i opis „Derptu“, „mniejszy niż Toruń, kamienice wszystkie ze szczerego muru, na kształt toruńskich, drewnianego domu żadnego niemasz, lecz cóż potym, kiedy całego żadnego niemasz; wojna wniwecz obróciła, sklepy popsowano, izby one kosztowne połamano, kletki drewniane dymne naczyniono; trzeba wielkiej reformacji. Znać, że tu ludzie przedtym bogaci i rządni byli. Jeśli tu będą mieli nasi Polacy osiąść, wątpię, aby od wojny w gospodarstwie poprawić się mieli, trzebaby tu onych rzadkich niemieckich kupców... ja wątpię, byśmy z tym wiedzieli co rzec“. To przyznanie, to chyba kartka do dziejów upadku miast polskich.

Jeszcze więcej miejsca zabiorą opisy burd i swarów w mieście i obozie, mimo srogich kar, odsłaniając niezwykłą niepohamowaność i porywczość tych ludzi, które niezawsze tłumaczy nawet podochocenie i długo tajona nieprzyjaźń, lub zły humor dla przegranej w karty, z czem się nikt jeszcze nie kryje.

Między autorami listów są wszelkie stany, płeć i wiek, posiadamy nawet listy karlicy, bądź opisującej, jak się chroni od napaści przerastającego ją już Zygmunta — siada na ziemię, jak żebrak przed psami — bądź proszącej, by księżna (Zofja) nie zapominała o siostrzankach (Zygmuncie i Annie) w testamencie. Czy pisze królowa czy karlica, kanclerz czy arcybiskup, ksiądz czy żołnierz, u wszystkich styl jednaki i ortografja ta sama, nieco chwiejna, dowolna, jak ogółem po ówczesnych rękopisach. Styl mężczyzn naturalnie jędrniejszy, chociaż i kobiecemu nie brak dosadności. Liczne słowa, zwroty i przysłowia łacińskie pstrzą niepotrzebnie styl męski, efekt zaś listów zarówno od mężczyzn, jak od kobiet, psuje tylko ów nieszczęsny „Raczył“, przyczepiany ciągle, i owo mościwanie, szczególniej na początku listu bardzo rozwlekłe, zabierające zawsze dwie lub trzy linje, przeciw któremu już Fryc występował; wysłowienie łatwe, tok mowy gładki, choć nie dla uszu XX wieku.

Wobec całej prostoty, nieraz rubaszności tonu tem bardziej uderza, jacy ci ludzie wstydliwi — prócz kobiet, gdy piszą do kobiet, np. królewna Anna do sióstr o swojej fluksji i innych dolegliwościach — w rzeczach fizycznych, w potrzebach i przypadkach ciała, jak je omawiają; Zamoyski np. pisze: przeszłej zimy, *uczciwszy osobę WMci,* zmroziłem sobie nogi — lud i dziś jeszcze podobnie się wyraża; tak samo np. książę Sierotka do drugiego Radziwiłła: przyjechał, gdym, *uczciwszy WM.,* do wanny wchodził. Zato np. Chodkiewicz napisze: musiałem starać się, żebym nie, jako świnia, kwicząc poległ, ale społem z moim wrogiem, a może-li być, i na jednej miedzy.

Najciekawsze z tych listów, barwny pamiętnik ludzi i miejsc z wojen moskiewskich Batorego zostawił ks. Jan Piotrowski, sekretarz królewski; z tych listów korzystał i Heidenstein. Pisywał je Piotrowski, nieraz o mrozie i głodzie, do marszałka koronnego, Andrzeja Opalińskiego, co „doma siedząc, pieniądze zbierał", ale ciekaw, co się działo w Rzeczypospolitej, miewał licznych korespondentów, tak, że kasztelan wileński żartował: „ten Polak wielki doma siedzi, a chce wszystko wiedzieć, co się na wojnie dzieje, czemu na nią nie jedzie?" Z listów Piotrowskiego, pisanych żywo i barwnie, dochowały się tylko listy z r. 1581.

Od poufałego tonu i niewymuszoności listów odbijają mowy, szczególniej polityczne i okolicznościowe, przy weselach i pogrzebach. Już wiek XVI wyprodukował ich liczbę nieskończoną. Znaczenie polityczne szlachty, jej życie towarzyskie, wrodzona łatwość wymowy i nieodparta chętka popisywania się nią — pięciuset słów użyje Polak, gdzie innemu cztery starczą, zauważał obcy w Polsce — sprawiły tę powódź oratorską, co jeszcze bardziej z brzegów wylewać miała w wieku XVII i XVIII. Już tu, jak w niektórych listach, np. Kochanowskiego, zachwaszczają mowę polską zwroty łacińskie, co później nazywano mylnie makaronizowaniem; prawda, że poseł „makaronizujący", gdy trafił na czyjś zły humor, mógł jeszcze usłyszeć, co ów Szafraniec rzucił marszałkowi izby polskiej, gdy ten zamiast *oskarżony,* powiedział *accusatus*: Panie, mów WM. po polsku, wszakeśmy tu wszyscy Polacy. Mowy grzeszą rozwlekłością — a błąd ten miał się później stopniować tem bardziej, im rychlej malała doniosłość spraw i ścieśniał się widnokrąg — dalej ciągłem powtarzaniem; mowy posłów protestanckich, Sienniekiego, Leszczyńskiego, mówców cenionych najwyżej, odznacza namaszczenie pastorskie, ton biblijny czy ewangeliczny, sypanie cytatami

z Pisma Świętego; inne cechują dobitność i dosadność wyrażenia, przysłowiowe zwroty, przenośnie. Wogóle ta wymowa polityczna stoi wysoko i od roku 1548, od sporów o Barbarę, a później o egzekucję, o unję, ciągnie się nieprzerwany szereg jej ciekawych zabytków, od Podlodowskiego przez Reja do starego, ślepego kłótnika Czarnkowskiego, do Zamoyskiego. Jak dalece nie wahano się przed wystawianiem prawdy, poucza choćby „prozycja sejmowa“ podkanclerzego koronnego, ks. Piotra Myszkowskiego, z roku 1563; wystawia najpierw czasy dawne:

„Przodkowie WM... gospodarstwem się nie bawili, bo je włodarzom a kmieciom swym zlecali; prawa nie umieli, bo się każdy z nich nie statutem, ale swą cnotą sprawował; pisma, języków postronnych uczyli się wprawdzie niektórzy, ale nie dla wykrętów, nie dla skazy dobrych staropolskich obyczajów, ale żeby tym ojczyznę swoją zdobili, a sami jej tym godniejsi ku służbie byli“ — tak uczynili oni Polskę wielką.

„Teraz, kiedyśmy z pola zjachali, a miasto drzewa i tarcze pługóweśmy się i czego innego jęli, wprawdzie więcej złota, więcej półmisków, więcej majętności ma każdy z nas na swą stronę, ale Rzeczpospolita mało nie do gruntu zginęła. Granice otworem stoją, ku potrzebie nietylko o Hetmana, nietylko o Rotmistrza albo o Towarzysza, ale i statecznego pacholika trudno. Młódź się zależała, a zbytki tak potargała, że, gdzie ich pospołu kilka albo kilkanaście będzie, ledwie się między nimi jeden prawie zdrowy obierze. Kmiecie, rzemieślnicy, niewolą ściśnieni, mieszczanie znędzeni a prawie zniszczeni i inne wszystkie członki RP., które, acz są podlejsze, niż stan rycerski, ale tak potrzebne, że bez nich RP. żadną miarą stać nie może, prawie zemdleli a upadli; porządku żadnego niemasz, sprawy żadnej, karności żadnej. Nakoniec i wstyd, który jest stróżem wszystkich cnót i bojaźń Boża, początek mądrości i wszystkiego dobrego, którąchmy do tych czasów za łaską Bożą przed innymi narody świecili i za niąchmy prawa pospolitego a swobód szlacheckich dostąpili, i ta już w nas gaśnie, a na to miejsce następuje swawola, zuchwalstwo, najazdy, gwałty, mordy, wzgarda prawa i wszelakiej zwierzchności“. Mowa ta zapisała się i w literaturze pięknej, gdyż „Satyr“ Kochanowskiego jest w części jej osłabionem powtórzeniem. Inne mowy nie bywały tak poważne, nie wspominały położenia kmieci i mieszczan, nie wychodziły poza kresy kastowych przywilejów i uprzedzeń, zazdrośnie strzeżonych; jednak i w nich, jak i w spółczesnej politycznej literaturze, prze-

wijały się zdrowe myśli i rady, chociaż nie odnosiły skutku: ze słuchaczami bywało, jak z owymi, o których Rej mawiał, że rano na kazaniu spłaczą się skruszeni, a wieczorem znowu pijani leżą pod ławami. Wkońcu skrzywiono nawet wszelką reformę, egzekucję, siekucją przezwaną, a na koronę zwalono ciężar utrzymywania wojska stałego, „kwarcianego", całkiem niedostatecznego dla strzeżenia szerokich a otwartych granic, choćby przed „moszką" tatarską. Również zepsuto najwyższą judykaturę, trybunał, ustanowieniem coraz nowych wyborów na każdą kadencję; wprowadzano przez to w trybunał ludzi młodych, z prawem nieobeznanych, mimowoli przystępnych poduszczeniom partyjnym i machinacjom „prokuratorów". I sprawę unji narażono na szwank, zostawiając Litwie osobne urzędy, narzucając tylko wspólny sejm. Tem wyżej stanął parlamentaryzm i jego wymowa; każda sesja, notowana po „diarjuszach" sejmowych, przekona o tem; np. sesje, debatujące nad unją, od roku 1563. Tak (1563 r.) Mikołaj Radziwiłł, wojewoda wileński, wyraził nadzieję, że po dokończeniu unji jeszcze Bóg wszystkich pocieszy potomstwem królewskiem, „tak iż przyjdzie nam na piosnkę onę, której X. Arcybiskup w poselstwie swym zacnym na sejm litewski przed lat kilkiem dołożył słowem onym *Ładо Ładо;* będzie to z łaski miłego Pana Boga *ładо* nam wszem wiernym WKM poddanym ku pociesze i weselu osobliwemu, którego i łagodnej jego harmoniej a zgodnej muzyki pomogą nam i oni, którzy w tenże bunt (złączenie) są od przodków WKM wstawieni, jako JM. Panowie Pruscy".

Wojewoda mówił zazwyczaj z wielkiem namaszczeniem i szumnie, „jakoś teraz WKM miejsce zacnej sprawie tej w pośrzodku prawie szerokich państw swoich nad tą Białą Wodą (Wisłą) złożyć raczył, którą przodkowie WKM pijając srodzy nieprzyjacielom swym bywali: raczże też ich przykładem jako po napiciu wody tej tak czynić". Innym razem zwrócił się ku radom i posłom z mową, w której wskazywał pożytki „buntu" (złączenia) i poparł je cytatą: „teraz, gdy to zjednoczenie nam dojdzie, chcemy onego hymnu Pruskiej wojny (starej pieśni grunwaldzkiej) pomagać, który, jeśli dobrze pamiętam, taki jest: Hej, Polanie z Bogiem na nie"... Przeciw Padniewskiemu i Zborowskiemu, którzy, mówiąc o usługach i dobrej chęci Polaków, powoływali się na dawne kroniki i na świeże fakty, chcąc dowieść, że i litewska uczynność była nie mniejsza, że „pomocy spólne także bywały", powtórzył ową cytatę i usłyszał, czego sobie nie życzył, „czego świadkiem jest on hymn

polski starodawny o pruskiej porażce, gdzie przodkowie nasi naprzód się potykali, krew przelewali: Hej, Polanie z Bogiem na nie, bo nam Litwy nie dostanie“ — tu wtrącił kasztelan krakowski, Marcin Zborowski, „Ba, Litwy nie dostawa, bo była uciekła“ — na co się bardzo zachmurzył wojewoda wileński, ale, nie dając się zbić z tropu, oburzenie swoje wywarł na niewinnym kronikarzu, Kromerze, zowiąc go „mataczem, który wiela zacnych domów szkalował nieprawdziwie“. Hymnu tego pewnie już nie cytował.

Spór się zaostrzał dalej: pan kasztelan twierdził, że „acz się wyszpociła unia i do prawej miary swojej jeszcze nie przyszła, ale to zawsze nasza miłość i chuć zakrywała, wiele się milczało, wiele zacierało... co nam podali panowie litewscy około uniej na swym skrypcie, podobniejsze jest *maszkaram*, aniżeli własnej unii, a niema li być unia, niechajże będzie *nasze spełna*... przeto już nam WKM racz co dobrego powiedzieć, boć *się czasem z kazania polepszy człowiek*“. I wojewoda wileński stawiał się ostrzej, mówił np.: „bywa to pospolicie, co się komu śni, że mu się to i na jawie stawa; jakażby to była *majestas* tej *reipublicae* (litewskiej), kiedyby się jej co ująć miało, podobnoby *był nasz staw, a inszego ryby*“; chociaż zawsze jeszcze nadrabiał skromnością, mówił, że nie potrafi tego tak porządnie „jako JM. Panowie Rada Koronna w radzie siedząc *jako wianek* a głos angielski zgodnie mówić raczyli“, żądał ciągle głębokiego rozmysłu, bo tu „nie o wioskę idzie“, „bośmy nie są od Korony kupieni ani gwałtem wzięci... nie wszyscyśmy kosili siana ani rąbali drew, pozwaliście nas do wolności — jest jarzmo niewoli, ale nie pod ciwunem, nie jako chłop sołtys“, potem znowu łagodniej: „Pan Bóg nas do winnice swojej wezwał i ukazał nam do którego *klasztoru a bractwa* nas przyłączył a w tym *konwencie bracią* WM uczynił“.

Na sejmie roku 1569 sprawa unji szła „skrzypiąc“, jak przedtem, chociaż nowe osobistości prowadziły układy. Wprawdzie kasztelan sądecki, Ossoliński, zapewniał, że „nie chcemy my *papierem ani woskiem* z WM. unią stanowić, jedno sercem braterskim“, ale Mikołaj Radziwiłł (Rudy), nowy wojewoda wileński, choć to rad słyszał, zastrzegał się natychmiast: „WM powiadasz, że król polski dawno w Litwie rozkazuje, nie wiem, czy aby już Księdzu Wielkiemu Litewskiemu *requiem odśpiewano*“; przeczył, że darmo czas tracą: „prawieśmy *cwałem kniej przypuścili*, do której *kłusem* przodkowie naszy postępowali... za czasu i potrzebą, która przodków

naszych nie dolegała, bo *już to ostatnia Jagla nam dowiera* (ostatni Jagiełło wiek swój kończy)".

Zwięźlej wyrażał się kasztelan lubelski, podejrzewał, że nie „zwalają" na unię — „podobno *cioska* ekzekucja to czyni (myślą ją tym rozerwać, ale się mylą; cioska, spółimienniczka...) podobno nam przyjdzie na panów Litwinów recesem dowodzić *jako na żyda nowym testamentem*, bo oni o recesie nie wiedzą". Biskup płocki „w długich mowach się nie kocha, wszak to *vulgare proverbium* u cudzoziemców, iż *Poloni comiciali morbo laborant* (chorują na sejmowanie), dosyć by to pijanym ludziom sprawować tak, jako my długo sprawujemy a nie obacznie". Wydatki wielkie, a skarb pusty, więc skargi na poborców, dziwią się, że pobory małe, poradlne przynosi teraz mniej, niż przed półtorasta lat, chociaż tyle osiadłości przybyło, skąd to? Ta jest tego przyczyna, powiedział Zygmunt August, iż *Es Tus Dryja — ci dają spełna, Quater Cynek — już ten co chce, Zes — ten już daje spełna, bo na tego wszyscy oczy mają (Es Tus Dryja* ziemianie; *Quater Cynek* panowie, bo ich żaden o to nie pozowie, choć nie dają, i starosta egzekucjej nie czyni, bo sobie folgują; *Zes* imiona królewskie, bo tym starostowie żadnej winy nie przepuszczają).

Szafraniec, wojewoda sandomierski, zażywający wielkiego miru u braci, uczeń Reja, prawy i zacny, ale nieodrodny od przodków, których ścinano, człowiek niepohamowany, nieraz występuje z „wielką furją": *„litewski to strych* do nas się przeniósł, bo tam kiedy rzeką *nie*, to już inaczej być nie może"; „my żadnego poboru nie damy — wolimy zginąć z majętnościami i z dziećmi, niżlibyśmy nad rozkazanie braciej uczynić mieli", mimo to zapewnia, „że nikomu naprzód dać nie chcą okazaniem wierności i poddaństwa swego przeciw IKM i Rzeczypospolitej, choć tak wiele nie wykrzykają jako kto inszy..." „wszakoż na majętności swe kilka nas możem nabyć tego co pobór województwa krakowskiego wyniesie a ja sam naostatek, aczżem się nauczył *całą gębą chleb jeść*, gotowem *sobie obroku ująć* a ztąd odjechać wolę ubogo".

Oto kilka próbek tej wymowy. Sądowa nie stała równie wysoko i rzeczników urzędu nie ceniono, pomawiając ich o przedawanie języka i sumienia; szczególnie ostro wyrażał się o nich Jan Tarnowski, stawiając ich niżej katów i nierządnic.

Tak to literatura, doniedawna uboga i pozioma, podobnie jak węgierska, jeszcze w połowie XVI wieku pozostająca daleko

poza czeską, wzniosła się na wyżyny, których czeska już nie osiągła, i stanęła na samem czele słowiańszczyzny, a złożyły się na to i talenty, powyżej wymienione, i ogólna ogłada narodowa. Polak, otarty zagranicą — a któż nie wyjeżdżał? — imponował nawet obcym układem i bystrością; w domu dostojnicy duchowni i świeccy stawali się mecenasami, a dwory ich (Prądnik, Wiewiórka) rozsadnikami ogłady renesansowej. Typowym ich przedstawicielem jest Jan Zamoyski, niegdyś kalwin, garnący się tak gorliwie do światła, że za pobytu w Padwie został rektorem scholarów i wydał konstytucje słynnego „gimnazjum“ (r. 1564). Powróciwszy do kraju, podrósł jeszcze za Zygmunta Augusta a za Batorego zajął pierwsze miejsce po królu. Sam nie był literacko czynny, ale czegoż nie zawdzięczały mu literatura i nauka! Upadek szkoły krakowskiej odczuwał gorąco, więc gdy dla podejrzliwości duchowieństwa nie udało się utworzyć nowej szkoły królewskiej (niby jak w Paryżu Collège de France Franciszka I przeciw zaśniedziałej, średniowiecznej Sorbonie), dbał gorliwie o reformę starej. Miano do niej powołać najznakomitsze siły włoskie, biskupowie mieli ją zasilać pieniężnie — ale Włosi woleli u siebie jeden scudo niż dziesięć w Polsce i nie przybyli, mimo zachęty i obietnic. Gdy więc i ten plan się nie powiódł, a w Krakowie pozostało wszystko w dawnej nędzy, pomyślał Zamoyski o założeniu w Zamościu własnej szkoły, scolae civilis, coby wychowywała nie mnichów, lecz obywateli. Uzyskał potwierdzenie papieskie, później królewskie, odwołał się do całego narodu. Za wzór przyświecało mu poniekąd strassburskie gimnazjum Sturma; bardziej jednak uwzględniał język ojczysty. Nakreślił bardzo obszerny plan i program ośmioletniego kursu, otoczył się znakomitymi filologami i pedagogami, jak Szymonowic, Klonowic, Ursyn-Niedźwiedzki (autor wcale dobrej gramatyki łacińskiej, co się mierzyła z jezuickim „Alwarem“ a uwzględniała polszczyznę); byli tu i lekarze i prawnicy, a nawet osobna drukarnia. Niestety, nie utrzymał się wkońcu nowy zakład na tym poziomie, jaki dlań obmyślał kanclerz i hetman. I wśród szczęku oręża, w obozie nie zapominał „żak padewski“ o muzach, kazał sobie dosyłać wypracowania szkolne, obsyłał listami poetów, odwiedzany i podziwiany przez obcych humanistów, np. belgijskich; w kraju Zawicki, Zbylitowski, Schonaeus, Bielski, Szymonowic i inni pisali mu ody i poematy, bronili go przed zawiścią, składali zasłużone hołdy, a dawno przed nimi jego festyn ujazdowski uświetniał Kochanowski „Odprawą posłów greckich“ i „Dryadą zamechską“. W radzie ko-

ronnej, mianowicie między biskupami, miał Zamoyski towarzyszów padewskich, owianych podobnym duchem.

Polor taki nie pokrywał jednak całej Polski; najmniej znało go Mazowsze, ludne, biedne a ciemne, chociaż jego Warszewka coraz częściej i dłużej witała w swoich murach królów, radę i posłów; Mazurowie mili z pod Warki zadomowieli i nie mogli się sami zbyt popisywać rynsztunkami wojennemi i umysłowemi, ale z ich grona wychodzili pisarze, wszystko twardzi katolicy i patrjoci polscy, choćby pod jezuickim kapeluszem i w hiszpańskim płaszczu: Skarga, Grochowski, Warszewiccy, Paprocki i Stryjkowski. Wielkopolska, z piaskami nad śląską granicą a błotami nad marchijską i pomorską, w której Poznań utracał coraz bardziej znaczenie i dostatki, błyszczała wyjątkowo swoimi synami na Parnasie polskim; drobne jej mieściny i ubogie szpłachcie chętnie opuszczali Wujek, Klonowic i Miaskowski. Wszystko cisnęło się na Małopolskę i Ruś. Kraków ściągał cudzoziemców, mianowicie Włochów, budowniczych i rzeźbiarzów, którzy go świetnie zdobili, kupców i przemysłowców; taki Prowana, Montelupi, Bianchi, Perna, Paruta i inni Włosi krakowscy zwabiali nawet prześladowanych za wiarę ziomków i torowali drogę w Polsce największym herezjom; skarżyli się też mieszczanie na ich zbyt rosnące dostatki, wywożone potem do Włoch. Ziemianie krakowscy, sandomierscy i lubelscy przedstawiali najwyższą ogładę, najwytworniejszą towarzyskość, tam też powstała Rzeczpospolita Babińska z własnym królem i senatem, dygnitarzami i urzędnikami, gdzie napoły satyrycznie, napoły z humorem trefnowano z „deliktów swych“, z ich wad i śmieszności, a nikt tego panom Pszonce i Kaszowskiemu nie brał za złe; owszem, wpisywali się chętnie w regestry babińskie i poeci, Rej, Kochanowski, Trzecieski i Szarzyński, i król, i hetmani.

Bogactwo literatury polskiej drugiej połowy XVI wieku trudno jest nawet objąć. Zastój i późniejsza ciemnota, lekkomyślność i nieuwaga, ciągłe pożary — cudzoziemiec twierdził, że po dworach polskich i mebli się nie sprawia, ponieważ prędzej czy później wszystko znowu spłonie — przetrzebiły ją strasznie. Byle jaki inwentarz po księgarzu, czy jakiej dawnej bibljoteki, a czasem oprawa tylko dawnej książki pouczają o niepowetowanych stratach. Lecz i to, co zostało, dowodzi najwyższego rozbudzenia umysłowego; język, pomawiany jeszcze niedawno o nieforemność, nagiął się do wypowiadania każdej myśli i każdego uczucia. Lite-

ratura zeświecczyła się zupełnie; wprawdzie było w duchu czasu, że pisma ascetyczne i polemiczne wychodziły ciągle z pod pras, lecz ustały skargi dawniejsze, że duchowieństwo tylko dla siebie księgi „bije“: prawo, dzieje, wiersze, księgi gospodarskie (np. Gostomskiego „Gospodarstwo“ lub tłumaczenie „Krescentyna“), pisma polityczne, powieści (chociaż dla obszernych romansów, Amadisów i Lancelotów, w Polsce ziemiańskiej miejsca nie było; ciągłe turnieje i przygody miłosne jeszcze nie bawiły), aż do kalendarzów i senników (tak zw. Danielowych) — wszystko było reprezentowane: od potrzeb najelementarniejszych do wzorów prawdziwej, wysokiej sztuki, jakichbyśmy w spółczesnych Niemczech próżno szukali, jakich nie przewyższali, a może im nawet i nie dorównywali Ronsard z plejadą. Nie była to wprawdzie wyłącznie krew polska, co krążyła w żyłach tej literatury, nie brakło starorzymskiej przymieszki, ale młody a silny organizm, zdawało się, zasymiluje wszystko. I w zwycięskim pochodzie szerzyła się literatura na południe aż do Wołoch, a na północy jeszcze nie rzucała Królewca, wchłaniała w siebie całe życie europejskie, a mimo to narodowości i jej cech nie traciła.

Tak bogata i różnorodna literatura wypielęgnowała i język; ucichały skargi na jego ubóstwo. Przy końcu XVI wieku już nie powtarzano słów St. Koszuckiego (z r. 1555), jakoby „zaprawdę trudno było polską rzecz ku łacińskiej wieść“, ani Mazura, Wawrzyńca z Przasnysza, co w „Nauce o pokucie“ (r. 1559), „przyszerszym“ się rozpisywał, „dla niedostatku słów języka naszego, dla którego jedno słowo łacińskie musi i trzema języka naszego wyłożyć, dla łatwiejszego wyrozumienia ludzi prostych, dla których ja jako prosty nawięcej te księgi pisał, mądre do mądrych odsyłając“. Baczono coraz więcej na czystość, dokładność i gładkość języka. Już Budnemu „grubym“ wydawał się język w Nowym Testamencie Seklucjanowym, a Januszowskiemu język Górskiego. Coraz rzadziej pozwalano na wyrazy narzeczowe, chyba umyślnie używano ich w polemice, jeśli np. jezuita ministra wyzywał: *Ochciemenko,* lub: o moje drogie *cędo* (dziecię). Właśnie polemika teologiczna, acz często walcząca o lepsze z przekupkami, krytykowała same wyrazy; protestanci zarzucali dawną terminologję, wprowadzali nową: zamiast chrześcijan zwali się chrystjanami, a chrzest zastępowali ponurzeniem. Wzdrygali się przed nazwami *kapłan* (pytając czy nie *kapłun*), i *ksiądz,* zarzucając „mszarzom i popom papieżnikom“, że nazwę tę panom (*ksiądz* znaczył książę,

więc Wielki Ksiądz Litewski) odebrali wraz z ich dostatkami i powagą, „przeto ich też *książęty*, jakoby szydząc, nazwali, a siebie całymi księdzami postanowili, acz im tego tytułu żaden naród okrom Czechów i Polaków, niepostąpił“ (Budny w tłumaczeniu „Justyna“ roku 1564); brzydzili się również *biskupem*: alby, kanonje przeistaczali w hańby, konewnie. Oddawali im katolicy wet za wet, z ministrów robili sinistrów i świnistrów, mszcząc się Suitów. Wkońcu ustalił się jeden język, z jednolitem słownictwem, pisownią i formami — z tych norm wyłamywali się chyba Prusacy, strofowani przez Grochowskiego i innych. Pozbywał się więc ten język naleciałości obcych; ginęły dawne słowa niemieckie (z *rumrychtu*, swaru, natrząsał się Budny), chyba Bartosz Groicki w tłumaczeniu Majdeburgji pozwoli sobie *gierady* a *hergewetu* i „w ogrodzie na *celstacie*“ się znajdzie; z *tancmantlików*, *brutki*, *żemły*, których nie brak jeszcze w pierwszej połowie wieku, w języku Orzechowskiego, Kochanowskiego i Szarzyńskiego nie pozostało i śladu. Mimo to język nigdy nie zapadał w przesadny puryzm; trafnego obcego słowa, szczególniej łacińskiego, nigdy się nie wyrzekał; Górnicki, Orzechowski używali nawet „patryej“, ponieważ „ojczyzna“ znaczyła[1]) im tylko ojcowiznę; naginano, nieraz mimowoli, bezwiednie, ten język do normy łacińskiej, przesypywano go sentencjami i słowami klasycznemi, szkolnemi, ale jak literatura, tak samo i język wchłaniał żywioły obce i przetrawiał je bez szkody dla swej wyrazistości.

---

[1]) Szedł za nimi nawet Kochanowski i napisał w pierwszem wydaniu pięknej „Pamiątki“, gdzie uczcił romantyczne przygody młodo zgasłego Jana Tęczyńskiego, r. 1565: „Skoroś tedy posługi patryjskie złożył z siebie“, ale później to poprawił: „Skoroś tedy ojczyste służby złożył z siebie“.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

WIEK SIEDEMNASTY. TŁO DZIEJOWE I PRĄDY UMYSŁOWE. LITERATURA MIESZCZAŃSKA I PROZAICZNA.

Upadek państwa; anarchja szlachecka. Upadek protestantyzmu; wszechmoc katolicyzmu i jezuitów; Sarbiewski, pisarze prawosławni. Upadek mieszczaństwa; jego rola w literaturze; Szymonowic i Zimorowic; literatura sowizdrzalska; dramat szkolny. Literatura polityczna; optymaci, Łukasz Opaliński; republikanie: Fredro; pesymista Lubomirski; antysemici. Historycy; polihistor Starowolski. Pamiętnikarze; Pasek. Powieści i romanse.

Po wieku XVI, wieku nowinek i reformy, szlachta zaprzestała szturmów o niebo; niema miesiąca (pisał już w roku 1589 Kacper Wilkowski, lekarz księcia Sierotki, neofita z arjanów, swewu panu, neoficie z kalwinów), żeby nie wracał kto znaczniejszy do wiary ojców. Szlachta poddała oporne karki pod słodkie jarzmo katolickie i jego praktyk religijnych i wszelką herezję wyklęła na zawsze.

Zato zrzuciła każde inne jarzmo, urzeczywistniła nareszcie ideał słowiański, ową demokrację, o której, jako charakterystycznej dla Słowian, wspominali już pisarze greccy szóstego wieku. „Ty król nasz — my twoi panowie“, popłacało i w Polsce, jak niegdyś w Czechach i Węgrzech jagiellońskich; „szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie“, tem znowu warowało się stanowisko równouprawnionych wobec możnych, a jeżeli jakiś pan wystarał się o tytuły zagraniczne, skoro nie było domowych — pełno hrabiów, książąt, margrabiów, czeskich i włoskich w wieku XVI — toć o tytuły i ordery zrywano sejmy. Jednakie wychowanie, jednaki tryb

życia, dopełniły niebawem wszelkich wymagań tej jedynej w swoim rodzaju demokracji szlacheckiej, niwelującej różnice talentu temperamentu, urodzenia i znaczenia. Osobistości zacierają się przeto i nikną w szarej masie szlacheckiej, która coraz bardziej występuje zwartą ławą czy stadem i kieruje się nie rozumem, lecz stale błędnym instynktem.

Nawet historję XVII wieku cechują te masowe zjawiska. Strach paniczny przejmuje masy pod Pilawcami i nic mu się nie ostoi; masą rusza szlachta pod Tyszowce i wyrzuca z kraju wroga; i za Lubomirskim, i za królem (Michałem) staje masą; ostatni wybitny charakter polski, Jan III, jakżeż on, mimo francuskiej przymieszki, podobny do tej szarej masy szlacheckiej! Masą czy stadem występuje szlachta i w literaturze: nigdy nie było tylu piszących, jak w wieku XVII, nigdy mniej różnicy, wybitności, cech indywidualnych. Nie przypadek to, lecz znamienny rys, że jeden i ten sam wiersz przypisują najrozmaitszym „poetom“, że przeważna ilość rękopisów zawiera wiersze kilkunastu poetów, pomieszane bezładnie, bigos poetycki czy *Olla potrida* lub torba dworska, jak słusznie te zbiory same się tytułowały, że tylko wprawne oko odgadnie, gdzie się w rękopisie kończą np. wiersze Wacława Potockiego, a zaczynają innego poety. Śmiało też można całe stulecie traktować razem, nie tworząc sztucznych, dowolnych okresów czy przedziałów. Istnieje różnica między początkiem a końcem wieku, ale jest to powolne wysychanie rzeki literackiej, osłabienie i zubożenie prądu i ruchu, nie jego zasadnicza zmiana.

Równocześnie wzrastała anarchja. Już wiek XVI sformułował tę rozpaczliwą tezę: Polska nierządem stoi, ale dopiero siedemnastemu przypadł zaszczyt sofistycznego bronienia, uzasadniania jej potworności, wierszem i prozą, po łacinie i po polsku, przez mądrych i głupich. Już w XVI wieku bolał król i senat nad przewagą Izby posłów, „grabarzy Rzeczypospolitej“, już w roku 1556 w Izbie tej przeważało wszelkie warcholstwo. Jacy oni wszyscy wymowni, ci Zborowscy np., i w wojnie kokoszej i za Batorego, jak im coraz przybywało argumentów, zapału, oklasków, jak oni opanowali ucho, sumienie i serce szlacheckie; jakie trusie i mumje wobec nich ci, co się odzywali w imię prawa, porządku, władzy, a nieśmiałe słowa osłabiali rozmaitemi zastrzeżeniami, nieszczęsnem schlebianiem *aurae populari*, choćby prymas Karnkowski i Jan Zamoyski; *se opponere* umiano tylko wobec tronu, nigdy wobec mas,

podjudzanych przez warchołów. I było coraz gorzej. Instynktownie odczuwał naród szlachecki, że z wygaśnięciem Jagiellowego rodu *hic regnum mutabitur*. Wprawdzie nie zginęło państwo, jak przepowiadano, gdy Zygmunt August w Knyszynie zamykał powieki, a nawet podczas bezkrólewia utrzymano ład wewnątrz, a pozory potęgi nazewnątrz, lecz nie uszło bezkarnie, że w ciągu lat kilkunastu naród szlachecki kilkakrotnie mógł zaświadczyć czynem, iż Polacy, „lubo to nie poszli ze krwie królewskiej, ale przecie przy nich jest berło i korona, i komu ją chcą dać, temu dają“ (Birkowski). Jeśli koronę dawali, toć mogli ją i odbierać, i rzeczywiście: rokosz Zebrzydowskiego zdetronizował Zygmunta, wybranego, jak później Michał, chyba na to, żeby wykazać zgubność elekcji. Wprawdzie rokosz zgnieciono, lecz skutki zwycięstwa partji „monarchicznej“ były najsmutniejsze; pokazało się, że rokoszanie nic nie ryzykowali, że nawet w razie sromotnej porażki nic nie grozi gardłu, czci, mieniu; że wystarczy za wszystko ucałowanie rączki królewskiej; kto zaś uparty, nie ucałuje rączki, posiedzi w wieży (naturalnie nie *in fundo*) i za to nawet w oczach najzagorzalszych rojalistów — język polski jak i historja polska nie zna tego terminu — z Katyliny w „Herkulesa słowieńskiego“ urośnie niechybnie; zbrodnia nietylko uchodziła bezkarnie, ale święciła triumfy i nęciła do coraz nowych prób. Myśli politycznej w rokoszu nie było: przecież najzacieklejsi protestanci wiązali się z najżarliwszym katolikiem przeciw królowi i jezuitom. Gdy król zwyciężył pod Guzowem, wzrosła tylko nieufność i nieprzyjaźń między królem a Koroną — jedyny uchwytny wynik tego zmarnowanego zwycięstwa. One to odtąd paraliżowały wszelkie przedsięwzięcia i zamiary królewskie; w każdym upatrywano zamach na złotą wolność, zamiar odmiany *statu quo* tak dogodnego dla szlachty, synów Korony — innych nie liczono. Przywołując na tron Wazów, osłabiano Polskę, najniepotrzebniej zwabiając nowych nieprzyjaciół, i odtąd Szwecja i Polska pasowały się z sobą, aby utorować drogę do potęgi Moskwie i Prusom.

Z dogodnych sytuacyj nie dozwalano korzystać, a jeżeli, mimo oporu Korony, król ją wciągnął do wielkich przedsięwzięć, żołnierstwo, niepłatne i niesforne, uniemożliwiało wyzyskanie zwycięstw. Broń triumfującą pod Kirchholmem i Kłuszynem, pod Beresteczkiem i Cudnowem, w bratobójczej walce zwracano przeciw własnym piersiom pod Guzowem i Mątwami, albo wtykano w pochwy konfederackie, gdy należało nieprzyjaciela pokonać. A nieprzyjaciół przybywało: po Szwedach Turcy, po Turkach Kozacy,

a za nimi coraz inni czyhali na ostateczne już rozerwanie Rzeczypospolitej.

Jeszcze się zwycięsko oparła Korona, ale nie oprzytomniała; opromieniła ją jeszcze nowa chwała chocimska i wiedeńska, ostatnie przebłyski słońca, gasnącego w chmurach coraz groźniejszych. Tymczasem anarchja wydawała coraz zgubniejsze owoce. Co w zarodku tkwiło w umysłach szlacheckich już w XVI wieku, teraz sformułowano uroczyście. Kiedy już mowy nawet być nie mogło o zgodzie ogólnej, wysunięto ją właśnie, jako zasadę i zażądano jednomyślności dla uchwał sejmowych, uniemożliwiając tem samem raz na zawsze podejmowanie jakichkolwiek zmian lub prac organicznych. Utworzyła się więc najpotworniejsza forma rządowa, niebywała w dziejach: monarcha, wydany na łaskę swych ministrów, których nie mógł ani składać z urzędu, ani pociągać do odpowiedzialności, monarcha ze związanemi rękami wobec zawsze zwycięskiej opozycji, rzeczpospolita szlachecka, a z królem na czele, państwo bez wojska i finansów, zato otoczone coraz silniejszymi i groźniejszymi wrogami. Tak przetrwała Polska wiek XVII. Ta Polska imponująca niedawno na całym wschodzie, której chorągwie powiewały na Kremlu, o której zastępy rozbiła się najstraszniejsza turecka potęga, jaką widziała Europa, ze schyłkiem wieku schodziła na bezładną i bezsilną gromadę, która o własnych siłach pozbyć się nie mogła nawet pala, tkwiącego w jej wnętrzu, Turków w Kamieńcu, a epopeja niesłychanych zwycięstw i powodzeń skończyła się smutną farsą elekcji Sasa renegata, zato pieniężnego.

Ręka w rękę z upadkiem sił państwowych, z wewnętrznym rozkładem, ze wzmaganiem się najpotworniejszego kwietyzmu i optymizmu, zbywającego żartem najgroźniejsze objawy, upatrującego arkana wolności i pomyślności polskiej w braku wojska, grosza i władzy, — szedł upadek kultury polskiej, ubożenie bujnej umysłowości. I na tem polu zapowiadał się świetnie wiek XVII. Z każdym dziesiątkiem lat kultura polska zdobywała przecież nowe obszary. Wołoszczyzna, niegdyś całkiem zawisła od cerkiewszczyzny, nią tylko oddychająca, zwróciła się ku Polsce, hołdowała nie państwu, jak w XV wieku, lecz polskiej ogładzie i towarzyskości; Mohiłowie czuli się Polakami, a najznakomitszy autor wołoski owego wieku dzieje swego kraju opiewał w polskiej epopei. Ruś kijowska, niegdyś tak obca wszystkiemu, co łacińskie i polskie, wzorowała swoje życie duchowe na obraz polski, przyswajała sobie polskie porządki szkolne, polską literaturę, polskie wiersze, nawet

religijne, nie mówiąc o świeckich „kantach“, i najwybitniejsi przedstawiciele jej prawosławia swemi obszernemi dziełami, w prozie i wierszach, wydawanemi i po polsku lub tylko po polsku, należą do literatury polskiej; szkoły kijowskie nazywały się greckiemi i słowiańskiemi, w istocie zaś były łacińskiemi i polskiemi. Przez Ruś kijowską i bezpośrednio za cara Aleksieja kultura polska oddziaływała na Ruś moskiewską. Gdy się ukołysała reakcja narodowa, wywołana wypadkami „Smuty“ (zamieszki za Samozwańców), w Moskwie i w samym Kremlu zaczęły się szerzyć polska książka, ubiór, mowa, muzyka, malarstwo i rzemiosła; stulecie XVII w literaturze rosyjskiej przedstawia nieprzerwany niemal ciąg tłumaczeń z polskiego, począwszy od facecyj, żartów i powieści, aż do literatury budującej i historycznej, czerpiących bez różnicy ze źródeł protestanckich i katolickich, niemniej od Bazylika, jak od jezuity Drekseljusza, z Kromera, Stryjkowskiego, Starowolskiego i Modrzewskiego. Teraz literatura polska staje niezaprzeczenie na czele wszystkich słowiańskich; właściwie ona jedna je reprezentuje; czeska, po utraceniu kwiatu narodu, wegetuje w podziemiach ascetycznych, barbarzyńska treścią, formą i językiem, osuwająca sie coraz głębiej z każdym rokiem; tak samo, jeśli nie gorzej, ma się na południu słowiańskiem; nawet jej cieplarniany kwiatek dubrownicki usycha zupełnie, gdy zanikają jego włoskie źródła, a dobrobyt gminy, poderwany trzęsieniem ziemi, chyli się ku upadkowi.

Mimo tak świetnych widoków, mimo zdobywania nowych przestworów, mimo rozszerzenia się daleko, już nietylko poza etnograficzne, jak w wieku XVI, ale nawet i poza państwowe granice, mimo wchłaniania nowych, włoskich i francuskich pierwiastków, kultura polska w samej Polsce traciła grunt pod nogami, bo zwężała się, jałowiała i wysychała. Z jej bogato wyposażonej kapeli wymykał się jeden grajek po drugim a jednostajny pisk panegiryzmu i ascetyzmu zagłuszył wkońcu każdą inną nutę. To zubożenie z początku powolne, stopniowe, wkońcu rażące, uwidoczniało się najlepiej na polu wyznaniowem.

Drugą połowę XVI wieku cechowało spółzawodnictwo rozmaitych wyznań, w literaturze, życiu i szkole. Z tej walki wyszli zwycięsko katolicy, przewrót był rychły i doszczętny. Jeśli, przesadnie zresztą, twierdzono, że za Zygmunta Augusta cała rada koronna świecka, prócz dwu, była protestancką, to teraz, z całą prawdą, już na początku wieku liczono tylko dwu wojewodów, obu brzeskich, do akatolików; jak prędko przejęto się religijnemi nowinka-

mi, tak prędko niemal od nich odstąpiono. Magnaci, z wyjątkiem Radziwiłłów birżańskich, rzucili je wkońcu wszyscy; między szlachtą tylko miejscami, na Podgórzu, nad heretycką Śrzeniawą, w Sandomierskiem koło Babina, na Litwie przy Radziwiłłach, utrzymał się kalwinizm i arjanizm; dogorywał i w mieszczaństwie w Krakowie, Lublinie, Lesznie i Wilnie, chociaż w obu ostatnich miastach jeszcze przez niejakiś czas ministrowie, jak za dawnych czasów, spisywali obszerne polskie, niemieckie i łacińskie dzieła. Zresztą wracano do wiary pierwotnej, albo jeszcze w tej samej generacji (np. w Krakowie stary Szembek — syn jego jezuita i znany pisarz; w Lublinie ów lekarz Kacper Wilkowski, czynny literacko nietylko w przekładzie słynnej ascetycznej alegorji hiszpańskiej, „Desiderosus“, co i na Ruś moskiewską powędrował, lecz w ciekawej autobiografji: Przyczyny nawrócenia do wiary powszechnej od sekt nowokrzczeńców samosateńskich roku 1583); lub w następnej, np. Ronenberg, syn zamożnego i wykształconego aptekarza krakowskiego, jednego z filarów arjaństwa. Propaganda i szkoły jezuickie, przykład arcykatolickiego Wazy, siła tradycji, rozszczepienie protestantyzmu, wrażliwość i płytkość umysłowa sprawiły ten przewrót. Ucichła walka wyznaniowa w literaturze i ustało spółzawodnictwo w szkole; szlachty dysydenckiej, dlatego że szlachta, nie trwożono w jej wolności sumienia, pozostawiano ją przy wszelkich prawach politycznych, ale przeciw mieszczaństwu, przeciw obcym, wzmagała się nietolerancja coraz gwałtowniej; mnożyły się jej ofiary, a trupem padło najpierw arjaństwo.

Najwykształceńsza warstwa polska najmniej miru miała w narodzie. Już w wieku XVI z młodym Zapolją, z Kiszką, z książętami Słuckimi, z Filipowskimi i Lasockimi wymarli jej najwybitniejsi przedstawiciele. Arjaństwo przetrwało jednakowoż w Luclawicach nad Łużną i Śrzeniawą, na Podgórzu, pod Piaskami i Rakowem pod Lublinem, między „równą“ szlachtą i po cechach. Wszyscy znaczniejsi arjanie są wymienieni w pisemku Daniela Frankonjusza z roku 1612 i w albumie starego Lubienieckiego, założonym w roku 1618: liczba niemała, tem znaczniejsza, jeśli się porówna z nią liczbę czynnych na polu piśmiennictwa; żadne wyznanie w Polsce tak wysokiego procentu nigdy nie dosięgło. Tych arjanów, chociaż rzucali świat, jego zaszczyty i uciechy, cechowała nauka, niedarmo słynęła z niej ich „akademja“ rakowska; arjanin umiał bronić swego wyznania, znał języki, był wyćwiczony w dialektyce, nęciły go poważne studja, młodość trawił w Altdorfie i Leodjum, nie na

hulance. Moskorzewscy, przeciw którym pisał Skarga, Volkeljusz, którego zwalczał Śmiglecki, Szlichtyng, Przypkowski i Wiszowaty, którzy się bronili przed Cichowjuszem, należeli do najwykształceńszych ludzi całego wieku, nietylko w Polsce. Szczególniej wyróżnia się między nimi poważna twarz Samuela Przypkowskiego, piszącego łacińskie i polskie wiersze — prócz traktatów teologicznych, biografji Socyna i korespondencji politycznej — niezwykłe treścią i myślą, przewyższające znaczenie szablony ówczesnych wierszów szlacheckich, czy kiedy triumfował z powodu dzielnej obrony twierdzy *La Rochelle*, czy kiedy pocieszał Polskę, że uległa wobec bohatera Północy, owego „ślodka szwedzkiego, co w wieloryba urósł". W tym samym szeregu stoją Otwinowscy: Samuel przełożył Giulistan (Ogród różany) Saadego z perskiego języka w pięknej mieszanej formie, wierszem i prozą, zbiór powieści i przypowieści z celem moralnym, w ośmiu księgach, z życia królów, derwiszów, starców, pierwszy wkład wschodu do literatury polskiej; drugi, Walerjan, „Przemiany" Owidjusza i „Georgiki" Wergiljusza przyswoił polskiej literaturze; z jego to przekładu, z wykładem alegoryzującym, przeszły „Przemiany" do literatury rosyjskiej. Dalej Lubienieccy, od dziada Stanisława do Stanisława wnuka, autora bardzo cennej historji reformacji polskiej, którą odumarł niedokończoną; dziad, prócz wierszy[1]) i rzeczy religijnych, napisał „Poloneutichiję", szczęście Polski, co zaczęło szwankować, gdy wskutek prześladowania nowowierników Bóg odjął swe błogosławieństwo, — rzecz ciekawa ze względu na obyczajowość i nietolerancję. I u Wiszowatych, jak u Lubieniec-

[1]) Dla rzadkości wierszów arjańskich, wymieńmy choć „Anatomję wieprza i człowieka, wieprza karmnego, człeka łakomego", drukowaną, Stanisława Łubieneckiego dziada — jest to porównanie satyryczno-dydaktyczne: jak tylko z zabitego wieprza pożytek, podobnie i z chciwego łakomca, którego zbiory rozrywają po śmierci sługi, żona, dzieci — na wieprzach uczono ogółem anatomji. Wiersz Przypkowskiego *Ad Poloniam de pactis Prutenicis* 1630 r. figurował przez cały wiek XVII (tłumaczył Wiszowaty i i., naśladował go po sromotnych paktach buczackich Potocki); z polskich wierszy rozeszła się szerzej parafraza *Te deum laudamus* dla Władysława IV; łacińskie tłumaczył Zbigniew Morsztyn. Wiszowaty wystosował dowcipną filipikę wierszem polskim przeciw bałamutnym wywodom ks. Dębołęckiego, upatrującego Polaków w Babilonie (babiem łonie) i Atenach (uczeniach). Właśnie z poetyckiej spuścizny polskiej arjanów ocalało jak najmniej, gdy teologiczne ich traktaty i spory łacińskie pokrywają do dziś półki bibljoteczne, druki rakowskie, a potem holenderskie z przeważnym udziałem cudzoziemców, z których nie każdy się tak spolszczył w Rakowie, jak Smalcjusz, Niemiec z Gotha, spisujący wyborną polszczyzną sny swoje (arjanie byli na tym punkcie nie mniej przesądni, niż inni), i odpowiedzi na „paskwilusy" kalwińskie.

kich, ingenja literackie dziedziczyły się aż do Jędrzeja Wiszowatego, który to r. 1660 odbył ostatnią dysputę publiczną za wiarę, w Chronowie Wielopolskiego, za upoważnieniem biskupa krakowskiego, odcinając się przez cały tydzień Cichowjuszowi i mnichom; jemu zawdzięczamy bardzo wyczerpujący spis autorów i dzieł polskich arjanów, wydany przez Sandjusza. Byli to Szlichtynowie z Bukowca, Jerzy (znakomity liryk), Jan i inni z tej familji, Morsztynowie — Zbigniew, Tobjasz i Samuel, z nich najznakomitszy Zbigniew, dzielny żołnierz i niestrudzony wierszopis, Olbrycht Karmanowski, poeta dydaktyk, Wacław Potocki, autor pieśni religijnych i poematów biblijnych, i inni, aż do poczciwego Józefa Domaniewskiego, piszącego gładkie, acz niewytworne wiersze, porównywającego byt wiejski i miejski, wyrażającego (w „Ekscytarzu“, roku 1623) szacunek przed pracą, tak w Polsce pomiataną, gdzie to: U świata szlachcic — uczciwy, Chocia będzie djabeł żywy; A kto r bi, to gbur prawy.

Pogrom szwedzki przypłacili arjanie. Prześladowanie ich wyznania, zamykanie szkół rakowskich i wołyńskich zaczęto jeszcze za bardzo wolnomyślnego (szczególniej gdy był królewiczem), Władysława, procesując ich za byle wybryk ich młodzi albo i bez tego. Gdy w walce ze Szwedami obudziły się instynkty religijne, gdy protestanci polscy witali szwedzkich i siedmiogrodzkich najezdników-jednowierców z nietajoną radością, zemsta katolicka zwróciła się na arjanów, nie bronionych nawet przez protestantów, zohydzonych przed całym światem — arcybiskup duński zaprzeczał im nawet ziemi dla pogrzebu, niech giną na powietrzu. W roku 1658 kazano im albo się wyprzedać i wynosić z Polski, albo przejść na katolicyzm; część wyszła z kraju, prześladowana, gdziekolwiek się obracała, mniejszość wyrzekła się wiary ojców, między nimi i Wacław Potocki. Znękani znaleźli przytułek w Prusach, gdzie ich utrzymał wielki elektor wbrew rozsrożonym pastorom, (ale za jego następcy musiał Lubieniecki malarz dla wiary rzucić berlińską akademję sztuk pięknych, gdzie był profesorem), dalej w Siedmiogrodzie i w Holandji. Tu wydawali w „Kosmopolis“ czy „Eleutheropolis“ (wolnem mieście) dzieła Lubienieckiego, Wiszowatego-Sandjusza, tu przedtem już zaczęli wydawnictwo wielotomowe „Bibliotheca fratrum Polonorum“ z pismami Socyna i innych wybitnych polskich arjanów.

Lecz więcej, niż te subtelne łacińskie elukubracje, zajmie i wzruszy inny, ostatni ślad polskości, cienki zeszyt protokółów

z „dyscypliny albo świętego przygotowania“, odprawianego cztery razy do roku, od 1722 do 1772, w siedmiogrodzkim Koloswarze. Zanim przystępowano do stołu Pańskiego, „rugowano się“ między sobą, „młódź była napomniona ze strony tańców, aby się ich wystrzegali“ (nawet przy własnych weselach); „drogi brat“ był notowany, że miarę w trunku przebrał; siostry, że „od dawnego czasu zawsze się kąsają, uszczypłymi słowy jedna nad drugą przewodzi“; rugowany nie przystępował do stołu, „póki sumienie swoje uspokoi“; nowowstępujących wytrzymywano na próbie, że „napotym nie po świecku, ale po chrystańsku mają się sprawować“. I tak ten „zboreczek osierociały“ dokołatał się do końca wieku, walcząc z własną młodzieżą, która już mało umiała po polsku i przechodziła do zboru węgierskiego, z brakiem ministrów, bo rzadko im Bóg posyłał którego na ratunek, z nieporozumieniami i odstępstwami we własnem łonie. Do ostatka w „regiestrze braci i sióstr“ przewijają się najświetniejsze imiona Arciszewskich, Wiszowatych, Gejżanowskich, do ostatka wieje z tych protokółów ów korny duch chrześcijański, któregobyśmy próżno szukali u ich przeciwników.

Niegdyś imponowali nauką: oni stanowili żywy pomost, łączący Polskę z Zachodem, oni korespondowali z H. Grotjuszem, z holenderskimi Remonstrantami i francuskimi Jansenistami, czytali Descartes'a i Gassendi'ego. Do otwartego deizmu się nie przerzucili, chociaż mu torowali drogę, żądając zupełnej zgody między rozumem a wiarą. W obronie wiary małego zborku wyszafowali olbrzymi nakład wiedzy i pracy, zapuszczając się nieco jałowo i jednostronnie w nieskończone komentarze i wywody Pisma Św., szczególniej ewangelji Janowej. Żadne wyznanie nie liczyło w swojem gronie tylu wpływowych cudzoziemców, przeważnie Niemców: był między nimi Wolzogen, Ruar, Stegman i t. d. Od dzieciństwa ćwiczyli się w swej wierze; córeczka Jana Stoińskiego, zagadnięta przez ministra kalwińskiego, w jakiegoto Chrystusa wierzy, stworzyciela czy stworzonego, odparła: w Chrystusa Odkupiciela... i zamilkł ks. Herman. Ojciec jej, wnuk Piotra Statorjusza, wydał w ślicznym języku Modlitwy nabożne w r. 1633: jakiż wysoki, podniosły ich ton, jaka z nich bije miłość ojczyzny polskiej i bliźniego chłopa. A jak niewzruszone stały ich kobiety przy tem wyznaniu, od którego odpadali nieraz ich mężowie, niezdolni znieść płomiennej nienawiści, co ich zewsząd ogarniała.

W ten sposób zginęli arjanie dla kultury polskiej; sami słali drogę innym desydentom. Ci narazie się trzymali, ujęły się przecież za nimi traktaty oliwskie i nie było co żartować z Radziwiłłami, którzy obojętnie patrzyli na zgubę rakowian, ale o krzywdę zboru wileńskiego się upominali i niecierpieli krzyżów przydrożnych w swoich majętnościach.

Dysydenci, szlachta i ministrowie, odznaczali się większem wykształceniem, już dla nauk i podróży zagranicznych, np. do Heidelbergu. Nie było też w ówczesnej Polsce takiego drugiego umysłowego centrum, jakiem był dwór birżański w dwudziestych i następnych latach; można go tylko porównać z dworem Zamoyskiego; wystarczy wymienić dworzan radziwiłłowskich: Jerzego Schlichtynga, Daniela Naborowskiego, Przypkowskiego, Karmanowskiego, co w zawody hołdowali księciu w wierszach i listach; chociaż i Lubomirscy i Mniszkowie i Zasławscy na Rusi miewali swoich nadwornych poetów: Danieckiego, Żabczyca, Twardowskiego, nie mogli „paragonować“ z Radziwiłłem, z atmosferą jego dworu, z doborem jego szkół kiejdańskich. Właściwa polemika wyznaniowa już ucichła; jeszcze w drugim dziesiątku wieku wymieniono kilka ostrych strzałów (Żygrowjusza „Papopompe“), ale teraz katolicy byli stroną nacierającą, i jawna wzgarda wiary „saskiej“ i „pludrów luterskich“ przebijała z ich pamfletów, zwróconych ku „ministraszku ptaszku“, co to „przy niewieścisku, jak pies przy ścierwie, leży“ i „klimkiem rzuca“ (oszukuje), iż się pisze z Poznania, a on „przed Poznaniem na łysej górze, gdzie się czarownice zlatają, ludzie oszukiwa“, szlachcica udaje, cóż ma za herb? chyba pałka Kaina, którą dusze traci, a nazwisko (Dąbrowski)? chyba Dębowski albo Powrozowski, gdyż wisieć będzie. O polemice, która się toczyła w wieku XVI między Skargą a Wolanem, Wujkiem a Glicnerem, Grodzickim a Chrząstowskim, nie było nawet mowy. Jeszcze bardziej ucichła owa zażarta walka, którą sami protestanci, Wolan czy Glicner, z „Samosatenami“ i „Ebionitami“ (arjanami) niegdyś toczyli — choćby dla przekąsów katolickich, szydzących, że płód jaszczurczy tępi własną matkę; tylko przejście protestanta na arjaństwo, np. Chrząstowskiego (innego), wywoływało jeszcze cięta polemikę, w której szlachcic, choć nietęgi w łacinie, wysypywał gorzkie *verba veritatis* ministrom zborowym. Zresztą nie w samej Polsce, ale i w całej Europie, ucichały już spory, tak żywe w XVI w.: wszystkie argumenty, obelgi i potwarze dawno wytoczono, nowych nie przybywało; brutalna przemoc, nie kazuistyka, rozstrzygała

w rzeczach wiary i sumienia, a wszędzie indziej gorzej się działo, niż w Polsce i rosła nietolerancja (zniesienie edyktu nantejskiego we Francji).

Ostatnia jasna karta w dziejach wyznaniowych Polski, to *consilium charitativum*, zwołane za inicjatywą króla do Torunia w r. 1644 dla pogodzenia ognia i wody, dla pogrzebania sporów o wiarę na drodze miłości i porozumienia; z „soboru“ wykluczono naturalnie arjanów. Ta próba rozruszała całą spółczesną literaturę teologiczną zagranicą, w Niemczech; praktycznych następstw nie miała żadnych, ale w czasach wojny trzydziestoletniej poświadczyła wobec Europy po raz ostatni odmienne stanowisko polskie, jedynie ludzkie i szlachetne. Potem zasępiło się niebo i nad Polską; powiał ostry wiatr, i, jeśli już dawniej nie brakło srogich prześladowań, rzeczywistych lub pozornych ekscesów, to teraz przebierano wszelką miarę: wypędzenie arjanów, zniszczenie szkół leszczyńskich i zboru braci czeskich, szczególniej jednak spalenie niewinnego Łyszczyńskiego, posądzonego o ateizm, wołało o pomstę do nieba.

Srożono się już oddawna i przeciw książkom, nietylko arjańskim: tłumaczenie Bolestraszyckiego francuskiej książki kalwińskiej, kursującej swobodnie w katolickiej Francji, kat palił już w r. 1625, choć tłumacz poświęcił ją siostrze Zygmunta III, gorliwej protestantce. Desydenci więc skupiali się w zaciszu domowem, tracąc jednę pozycję po drugiej, szkoły i zbory, i ci, co jeszcze w pierwszej połowie wieku z Leszczyńskimi, Rejami i innymi, rej wodzili między wykształconymi, ustępowali na plan ostatni. Tylko w Prusach królewskich, głównie po miastach, w Toruniu i Gdańsku, utrzymały się stosunki XVI wieku, kwitnęło mieszczaństwo protestanckie, jego znakomite szkoły nęciły i katolików z dalszych okolic, a protestancka nietolerancja nieraz wzywała do odwetu.

Kończyła ta literatura protestancka polska olbrzymiemi postylami, dla luteran Dambrowskiego, Gdacjusza i Schoenflisjusza, dla kalwinów Kraińskiego. Wychowały się na nich całe pokolenia; one zastępowały żywe słowo, coraz rzadsze po coraz rzadszych zborach, np. na Śląsku przy nietolerancji habsburskiej; prawdziwe to skarby domowe, cenione jak źrenica, przedrukowane w wieku XVIII np. Dambrowskiego kilkakrotnie; do dni naszych dochowano w jedynym egzemplarzu na Śląsku olbrzymie dzieło Schoenflisjuszowe, po kilka lub kilkanaście kazań na każdą niedzielę, z roku 1650. Najciekawsza z nich postyla Kraińskiego (jeszcze z roku 1611, poświęcana magnatom), nie dla wielkiej nauki teolo-

gicznej (autor starał się o jak najwięcej cytacyj), ale dla szczegółów o kulcie i literaturze katolickiej (wojuje nawet z „Bogurodzicą“) i dla strasznej nienawiści, jaką zionie przeciw wszystkiemu, co katolickie: katolicy zawinili we wszystkiem, nawet arjanów wylęgli! Owe luterskie postyle obu ministrów wileńskich (Dambrowskiego i jego następcy, Toruńczyka Schoenflisjusza) dawały o wiele więcej budującej treści.

Wyznanie na Śląsku łączyło — mniej nawet katolików (dawno się Wrocław odchylił od Gniezna), niż protestantów i Śląsk, przynajmniej w górnej połaci, nie tracił ani charakteru polskiego, ani łączności z kulturą polską i językiem, Polacy w Brzegu czuli się jak u siebie w domu. Wrocław, Brzeg, drukują nietylko polskie gramatyki i słowniki, łacińskie rzeczy polityczne i historyczne, ale liczą i polskich pisarzów, chociaż wyłącznie wyznaniowych.

Odznaczył się szczególniej wymieniony „fararz“ Kluczborski, Adam Gdacjusz, uczeń luteranów wileńskich, potem pół wieku każący i drukujący (1640—1685) między „Wasserpolami“, nie dający się „od swego zawziątku odgromić“, chociaż rozmaici „ożuwcy, szczekuły i gryzisławy“ jego osoby „do nasytku językiem się naczosali“. Fararz wyborny ze swoją polszczyzną, którą objaśniał artykuły wiary „tak pogmatwolone, iż do wywięźlenia i wymacania prawdy potrzebaby jakiego oddennego, ktoby ją na wierzch wywindował, pływacza“; z cytacjami z Kochanowskiego, o których w Czarnym Lesie nigdy się nie śniło, z nieskończonemi anegdotami, z pouczaniem słuchaczów „kiedy się małżonkować mają“, albo że się nie mają „żołądkować“ na jego polszczyznę: „Wasserpolowie nadęci, niech pierwej polskie czytają autory z chęci, a też ich szczekania są błahoważne u mnie“. W zapędzie kaznodziejskim powie nawet słuchaczom i „czytańcom“: „cudujecie się, żem jest tak cielisty, moja żona miąższejsza (grubsza), a przecież w jednym łóżku rumu dosyć mamy“. Mimo niektórych germanizmów polszczyzną władał znakomicie, a z nim i inni „Wasserpolowie“. Ci „twardogórscy“ nauczyciele i fararze (Festenberg), piszą niezgorsze wiersze, a jaki ich respekt przed językiem polskim, „tak wytartym i wypolerowanym, że biegły w nim mowę, jak grekowie, łacinnicy i inni, łagodnymi i wdzięcznymi słowy, niby farbiczkami niejakimi, upiększyć i ozdobić może!“

W samej Polsce gasł powoli protestantyzm i jego walki. Inaczej powiodło się unji, chociaż i tu zapanowała wkońcu stagnacja i marazm, jak we wszelkich innych działach umysłowych. Myśl

i mowa, a nawet i wiersz polski, zdobyły tu szerokie przestwory; najgorliwsi obrońcy prawosławia, taki Zizania, myśleli i mówili po polsku i tylko wypisywali cyrylicą sens polski. Nieinaczej działo się pod bokiem starego księcia Ostrogskiego, najpotężniejszego filaru całego prawosławia w Koronie. „Litwin“ Andrzej Rymsza (przełożył z łaciny na polski chorografję Ziemi Świętej, którą później przełożono na język cerkiewny) pisał w roku 1581 w Ostrogu wiersze na miesiące (są to najstarsze drukowane wiersze ruskie), które np. na sierpień tak brzmiały: „w tom miesiecy Aaron umier bożij jerej, togo sobie na prikład ty, popie, zawżdy miej“. I polemika toczyła się głównie po polsku: sami jezuici nie łaciną szermowali przeciw prawosławnym. Polemikę tę odziedziczył wiek XVII po XVI; umarł wprawdzie (r. 1603) Konstanty Ostrogski, i prawosławie utraciło z nim fautora dysydentów, opiekuna typografij, szkół i monasterów, rozporządzającego królewskiemi zasobami; inni, jak Czartoryscy, Wiszniowieccy, opuszczający sami rychło dawne prawosławie, jego nie mogli zastąpić. Ale szkoły i zachody Ostrogskiego wydały owoce: w pierwszym rzędzie obrońców prawosławia stanął teraz uczony, wymowny, namiętny Melecjusz Smotrycki; jego „Lament cerkwi prawosławnej“, wydany pod pseudonimem, jak i „Apokrizis“, ale z innego powodu, zrobił nadzwyczajne wrażenie; sam Skarga u schyłku swych dni zerwał się jeszcze do odpowiedzi. Polemika tych wszystkich Ortologów, te Weryfikacje, Obrony niewinności i jak się te pisma nazywały, toczyła się znowu wyłącznie w języku polskim. Pełna ona najciekawszych szczegółów obyczajowych i nie brak jej chwil dramatycznych, tragicznych: zabójstwo Kuncewicza i innych ofiar, chwiejność Smotryckiego, co wkońcu rzucił prawosławie i Kozaków, broniących go wcale nie teologicznemi argumentami, strasznie drastyczna polemika między Sakowiczem, eksunitą, a Mohiłą-Pimenem (pasterzem, w Kamieniu wiary) należą do najwybitniejszych momentów tej walki na pięści, rzadziej na pióra, do której się miesza co żywo i wójt warszawski (Skupieński) i protestanci, jak Diplic. I ta walka jednak ustaje w połowie wieku: z cel i ławek szkolnych przenosi się na pola Ukrainy. Rozszalała burza niszczy to, co stworzyło półtora wieku zabiegliwej pracy. Miljon ofiar ludzkich, ruina dobrobytu, odpadnięcie Kijowa i Zadnieprza, inwazja turecka, utrata Kamieńca, hańbiące pakty buczackie — oto ostateczny rezultat unji brzeskiej, licho okupiony szerzeniem jej w granicach polskich. Udało się bowiem walki kozackie, z ich ekonomicznym, społecznym podkładem, przykrasić

tendencją wyznaniową. Chłop ruski, pędzony przez Chmielnickiego, z pochodzenia Mazura, i Kozaków na szańce polskie, umierał za wiarę, pewny raju, i znęcał się nad bratem-unitą dla jego lackiej wiary. W drugiej połowie wieku wyjątkowo odzywała się polemika wyznaniowa na tem polu: rozmowy, dysputy zazwyczaj nie dochodziły; jezuici ostrzeliwali plac, chyba że Galatowski i Baranowicz za „starą wiarą“ ujmowali się przeciw Boymowi. Obok Boyma i Cichowjusza (nieznużonego pogromcy arjanów), Rusin-jezuita, Rutka, odznaczył się najliczniejszemi pismami przeciw Kijowianom, chociaż i on, jak Baranowicz, marzył o lidze antytureckiej i wymyślał sposoby pognębienia Koranu. Przy końcu stulecia unja doznała jeszcze rozszerzenia na ziemię lwowską i przemyską; było to ostatnie jej powodzenie.

Sami unici, odpychani od prawosławnych, jako odszczepieńcy, nie przygarnieni od katolików, jak należało, nie wystawiali liczniejszych pisarzów i obrońców z własnego grona. Najpoważniejsi między nimi dwaj ich metropolici, Hipacy Pociej na początku XVII, i Lew Kiszka na początku XVIII wieku; Pociej wymownem pismem i słowem, listem i kazaniem, broniący unji przeciw Ostrogskiemu i jego kalwińskim i prawosławnym adherentom; Kiszka, wydający jego kazania, piszący historję cerkwi unickiej, dbały o podniesienie bazyljanów i unickiego kleru, wymowny rzecznik tegoż wobec Rzymu; obaj mistrzowie słowa polskiego, Pociej nadrabiający szczególniej werwą drastyczną, Kiszka spokojniejszy, równiejszy. Między wileńskimi bazyljanami znaleźć można i nienajgorszych poetów, hołdujących ówczesnym muzom polskim, religijnej, historycznej i panegirycznej; ani ich odróżnisz od reszty braci parnaskiej. Za to widocznie upadała znajomość cerkiewszczyzny, tak że w XVII wieku w księgach duchownych drukowano obok tekstu cerkiewnego (cyrylicą), tenże tekst łacinką, albo i całkiem po polsku.

W Kijowie, i jeszcze dalej na wschód, np. w Czernichowie, cerkiewszczyzna stała twardo, ale najwybitniejsi przedstawiciele życia duchowego, archiepiskopi, igumeni i rektorowie kolegjum, zwracali się do hetmanów zaporoskich, czy do samych gosudarów i poświęcali im polskie dzieła, żyli łaciną, uprawiali średniowieczną scholastykę i w Moskwie ściągali na siebie zarzuty łacińskiego odszczepieństwa, np. w trudnej nauce o świętych darach i o ich transsubstancjacji. Szczególniej niestrudzony między nimi był archiepiskop czernichowski, Łazarz Baranowicz, sypiący, jak z rękawa, obszerne dzieła polskie wierszami, prozą i mieszane, cytujący raz

po raz jezuitów, Rychłowskiego i innych, układający „wieniec Matki Bożej“, jak Kochowski swój wirydarz, zestawiając w alfabetycznym porządku jej epitety, w wierszach ciężkich i bez smaku, zato lubując się w ciągłej grze słów, w nieskończonych kalamburach, zapełniając niemi i „Apollina chrześcijańskiego“ (żywoty świętych, poświęcone carewiczom), i jeszcze o wiele obszerniejszą „Lutnię Apollinową każdej sprawie gotową“ z tysiącem nabożnych i świeckich poezyj, i „Księgę o śmierci“ i „Nocyj pięć“ (o Duchu św., o cechach, nocyach jego) i t. d., np. „Auryusz zdał się sobie być ingeniosus ale prawie był ingenio sus“, lub: przyczyn szuka kto się chce z przyjacielem rozstać, Syna Rzymianie uczynili przyczyną Ducha Św. (filioque w symbolu zachodnim), tem się rozstali z Rusią. Niedarmoż sam pisał:

Nie Kochanowski lub te rythmy noszę,
Byście się przecie w nich kochali, proszę...
Nie poetyckim pegazem biegano,
Kochanowskiego w tym nie dojachano,
Osłem tu prostym jechano leniwo —
Kto biegł pegazem lotnym, co za dziwo?
Że Pan na ośle jeździł, respektujcie
I osła, jako gościa, w dom przyjmujcie.

I rzeczywiście, robota bardzo nieosobliwa; „nad wszystkie wodki Jezus jest słodki“ albo „dziękuj Bogu za orzechy, Rusinie wespół i z Lachy“, albo „Bogu za śliwy dziękuj kto żywy“ antycypują wawrzyny Baki. Lepsze są proroctwa, choć się nie sprawdziły, przeciw Turkowi: Rusin go mężny i Lech potężny Walecznie pobije, lub nawoływania do zgody: Mężny Rusinie nie wadź się z Polaki, Wzięliście zwyczaj zgoła ladajaki, Jest z kim próbować siły: Turka z Tatarami zbijcie. Usprawiedliwia się nieraz ze swych wierszy, np.

Łazarz, że w bólu wiersze srogim składał,
Przebaczcie, gdyby co nie grzeczy gadał;

bo cóż innego powiemy np. o takim kalamburze:

Ordo na *order* kiedy przełożono,
Der (dery, zdzieraj) żołnierzowi namieniono pono.

albo gdy się, choć przedwcześnie, żegna ze światem:

Mnie jest dobrze do Boga miesiąca każdego
Lipnąć, a barziej w *lipcu*, z imienia samego.
Łazarzowa do ziemi że już *lipnie* dusza,
W *lipcu* Łazarz do Boga niech na schyłku rusza;

Pomoc Bożą tak Łazarz znaczy, że nie duży, (nie zdrów)
W *lipcu* niech k Bogu *lipnie* i onemu służy.

„Rusin rad, że się u was jezuitów nauczył łaciny“ w licznych dziełach dbał głównie o dwie rzeczy: połączenie obu obrządków po usunięciu Filioque; potem zjednoczenie „Rusaka“ z Polakiem przeciw Turkom. Alegoryzował zawzięcie, nawet Trójcę Świętą wyłożył dla Rusi: Syn jak kokoszka dla Małej, Ojciec jak orzeł dla Wielkiej, Duch jak gołąb dla Białej Rusi, dwugłowy orzeł oznaczał mu Boską i ludzką naturę, a wiersze pisywał nieraz, jak Baka, np. Łazarz kaleka, zawsze ucieka, po Bogu do Matki, ta i w złej toni, od przygód broni nas, jako swe dziatki.

Znacznie uczeńszy i liczący się bardziej z wymaganiami stylu, więc nie płodzący podobnych wierszydeł, Joanniki Galatowski, walczył z Alkoranem, z niewiarą żydowską, z herezjami całego świata, ograniczał się jednak wyłącznie do dziedziny teologicznej. Innocenty Gizel, Niemiec (Prusak niepierwszy między prawosławnymi teologami w Kijowie), wyrósł w tej samej sferze, ale pisał głównie po cerkiewnemu (między innemi i sławną kronikę, Synopsis, zawołany uczebnik przez stulecie zgórą, czerpiący ze Stryjkowskiego). Tylko po rusku pisali Radziwiłowski, Symeon Połocki (daremnie rywalizujący z psałterzem Kochanowskiego) i św. Dymitr Rostowski, lecz w duchu i temi samemi środkami, co i tamci. Radziwiłowski układał olbrzymie foljanty z kazaniami, ślepo naśladując polskie, ale przejmując się tylko ich wadami, nie wznosząc się na wyżyny choćby Młodzianowskiego, nadrabiając Dzielowskim „Wielkiem Zwierciadłem“ i t. d. W poezji powtórzył się ten sam stosunek. Zato znowu metropolici: Mohiła, Kossów i inni, ważniejsze dzieła pisali po polsku (np. Pateryk, „Żywoty ojców śś. pieczarskich“. Tak po raz pierwszy zbratały się muza polska i ruska, i o kijowskim kreszczatyku ojciec archiepiskop śpiewał po polsku:

Pomnię w Kijowie, Chreszczatyk tak słynie,
Pełno tam krzyżów, woda czysta płynie,
Że się Ruś chrzciła, na pamiątkę tego
Krzyże zostają od wieku dawnego.

Tak język polski szerzył się daleko w stepy na południu i wschodzie (por. np. „Modlitwy dzienne i nocne według zdania Św. Ojców“, wydane roku 1689 dla niemal stuletniego Baranowicza w Iljińskim monasterze czernichowskim). Na północy przenikał on do Łotwy i na Żmudź, i znowu Elger, Szyrwid i inni jezuici pielęgnowali język ojczysty, układali w nim kazania, pisali jego słow-

niki i gramatyki; na misjach wypleniali resztki upornego pogaństwa. Rywalizowali z nimi kalwini; w zeszłym wieku luteranie królewieccy zaczęli narodową litewską literaturę, za ich przykładem poszli kalwini wileńscy; w radziwiłowskich Kiejdanach jeszcze w połowie wieku drukowano litewskie książki do nabożenstwa, zabrano się nawet do przekładu całej biblji (tak zwana biblja Chylińskiego, niedokończona). Język sam, szczególniej żmudzki nasiąkał coraz bardziej polonizmami.

Gdy przeważna część prawosławnych odpadła do Moskwy, gdy wypędzono arjanów, a protestanci wycofali się z życia publicznego, katolicyzm i unja wypełniły Polskę: jednolitość wiary, bo i Ormianie przyjęli unję, zapanowała na nowo, jakby w czasach piastowskich. I zmieniła się rola duchowieństwa; gdy w XVI wieku stale wołało: giniemy, zginęliśmy, i w szczytnych słowach Skargi wystawiało najwymowniej grozę przyszłego, niechybnego upadku, teraz, po usunięciu różnowierstwa, w błogiem uczuciu triumfu, nie podnosiło już hiobowych głosów i jeremiaszowego wołania. Byli wymowni kaznodzieje, gorący miłośnicy ojczyzny, zabrakło proroków upadku, wtedy właśnie, gdy wiązania państwowe trzeszczały coraz głośniej. Kaznodzieje bili na przywary i niecnoty prywatne, oskarżali o przekupstwo jaśnie wielmożnych sędziów trybunalskich o nielitościwy rabunek i zdzierstwo chłopów i mieszczan przesławne wojsko koronne; przeraził ich upadek Kamieńca, w którego mury wpłynął zawój turecki na falach krwi i łez niewinnie uciśnionych ludzi; sarkali na promowanie żydostwa, na przepych i zbytki panów a wyssanie kmiotków, na ogólne pijaństwo; zresztą schlebiali słuchaczom, ich próżności i dumie, ich np. kazania pogrzebowe były wstrętnem, odurzającem, ogłupiającem kadzidłem. Gniewali się chyba o to, że panowie świeccy zazdroszczą duchowieństwu wczasu i dostatków, albo że zawsze jeszcze przewija się między wiernymi Pańskimi jakiś dysydent i wywołuje karę boską. Kaznodziejstwo polskie schodziło szybko z wyżyn Skargi.

Widać to już u **Birkowskiego**, który, co do nauki, nie ustępował Skardze, a talentem oratorskim, ogniem i namiętnością przewyższał go stanowczo. Kazania Skargi wydają się mniej wyrazistemi, mniej wypukłemi, chłodniejszemi, poważniejszemi obok tej lawy, jaka nieraz wybucha z piersi dominikanina-żołnierza; tamte jakby wypracowane, mimo całej swej prostoty, te dyszą żarem, czuć je prochem bitwy; przeciw kaznodziei sejmowemu staje kaznodzieja obozowy; ów roztrząsa sumienia, jakby w konfesjonale, ten gromi,

przeraża swoich i wroga, niby przewodząc krucjacie; ów przemawia do rozsądku i rozwagi, ten upada na kolana, wznosi krzyż i zaklina na rany Zbawiciela. Ale ani jego widoki nie były tak rozległe: nie przetarł się po świecie, tylko dostał się z celi do obozu i świat mu się zwężył, ani jego sztuka wielka; nie rozróżniał między koniecznem a zbędnem, trafnem a mylnem, byle czem sztukował i łatał pomysły. I nawracał na zgubną fatalną drogę, którą zarzuciło kaznodziejstwo polskie pod wpływem reformacji, a na którą się staczało bez hamulca i przeszkody, gdy ten wpływ ustał. Teraz słuchacza nietylko chciano wzruszać, lecz zająć go i rozerwać porównaniem, dykteryjką, niezwykłem kawałkiem z historji, z baśni o płodach natury, wyszukaną alegorją, symbolicznym wykładem; nie podnosić słuchacza ku sobie, lecz zniżać się do niego, obracać się w kole jego zajęć i pojęć, mówić do niego językiem jego i otoczenia o rzeczach najwyższych, o tajemnicach najświętszych, spoufalić go z niemi, a raczej sprofanować je tonem świeckim, w gruncie rubasznym, choć pieszczotliwym, na pozór poufałym. Te grzechy i skażenia kaznodziejstwa polskiego XVII wieku u Birkowskiego kiełkowały po raz pierwszy; wybujały dopiero u następców, sadzących się w zawody na najdziwaczniejsze pomysły, nieraz nadzwyczaj zajmujące, np. taka niesłusznie osławiona „Kokosz“ Mijakowskiego, chorująca na pypeć barbaryzmów i solecyzmów u młodzieży szkolnej, inaczej u innych stanów, wieków i płci. W ciągu wieku znajdą się kaznodzieje, nie popadający w takie jawne uchybienia i błędy. Ani Wydżga ani Gołębiowski (kaznodzieja Sobieskiego) nie profanowali w ten sposób kazalnicy, ale nie ustrzegł się tej przywary nawet jezuita Młodzianowski, cóż dopiero inni.

Kaznodziejstwo protestanckie nie grzęźnie nigdy tak nisko; nawet u Gdacjusza, który swoim „Wasserpolom“ prawił bardzo dobitnie i rubasznie, nie znajdą się takie fałszywe ozdóbki, takie łechtanie ciekawości. Że rozmiłowanie się stylu barokowego w takich niestylowych dodatkach, w wykrzywianiach i przesadzie, w emblematach i alegorjach, torowało tylko drogę spółczesnemu kaznodziejstwu, zaprzeczyć się nie da, ale to nie skreśli faktu, że wbrew naturalnemu rozwojowi kaznodziejstwo polskie wróciło na średniowieczne manowce, że skarlało, że zamiast budzić sumienia usypiało je, baraszkując ze słuchaczem, plotąc troje niewidy, zapewniając szczęśliwego o osobliwszej łasce Pańskiej, czuwającej nad ucieszną Polską. Ów, niebawem jedyny głos, który z prawdą mógł się odzywać, osłabł bez zewnętrznego bodźca.

Brak tego bodźca uczuła cała literatura teologiczna. Bronić prawd wiary nie było prawie przeciw komu. Protestanci i prawosławni już nie stawali do boju — przynajmniej w drugiej połowie wieku; argumentowano chyba w szkole lub dla popisu na dysputach, które urządzano po kościołach, między zakonami, a które zakrawały coraz bardziej na opisane w Monachomachji. Zamiast dzieł polemicznych i historycznych przeważają pobożne ćwiczenia, akademje pobożności, gościńce do nieba, zegary, wybijające skruchę, młoty, drelujące grzechy — Drużbicki i Wojciech Tylkowski ratują sławę polskiej teologji. Przeważają rzeczy tłumaczone, a w nich, jeżeli nie sięgną do dawnych ojców, hiszpańska i włoska askeza, życia zakonników i zakonnic, cuda i legendy. Serce i myśl mota się coraz bardziej w tych powijakach, oddala się coraz bardziej od jedynej krynicy wiary: od Pisma Świętego; ani Nowego Testamentu, ani Biblji już nie dają do rąk laikom i znowu życie duchowe polskie wraca na ścieżki czy manowce średniowieczne, z których je wywiodły, zdawało się, na zawsze prądy reformacyjne. Zamiast ksiąg świętych, zamiast choćby psałterza Kochanowskiego (który po roku 1640 już nie wychodzi), drukują na nowo „Żywot Chrystusów“ Opecia, „Zwierciadło Przykładów“, średniowiecznego olbrzyma w przeróbce jezuickiej, „Historje Rzymskie“ i podobne budujące zbiory; o Piśmie Świętem znowu tak samo głucho, jak na początku XVI wieku; duchowieństwo, sparzone na gorącem, dmucha na zimne.

Zwyciężyło ono, a właściwie jezuici, na całej linji. Ci stoją niewzruszeni na zdobytych pozycjach i wypróbowanemi środkami — starannym wyborem osób, odpychając, coby zawiodło, działaniem przez młodzież na rodziców, przez szkołę na młodzież, wszelkiemi miarami i miarkami na tłumy — zdobywają coraz obszerniejsze wpływy, gromadzą coraz większe bogactwa, pokrywają Polskę coraz gęstszą siecią domów i kolegjów, od Krosna do Rygi, od Braunsbergu do Kamieńca Podolskiego. Ale i oni obniżają wartość swej wiedzy i szkoły, spuszczając się na otaczający ich poziom, zaniedbują doszczętnie greczyznę — z wielkiego słownika Knapjusza opuścili ją w późniejszych wydaniach, jako całkiem zbędną, i, jeżeli jeszcze roku 1553 proboszcz, który osadzał w Bieczu bakałarza, wymagał od niego znajomości greki, to w XVII wieku nie wymagano jej i po uniwersytetach; pierwszorzędni latyniści, taki Sarbiewski, ubywają niebawem na zawsze z ich grona. Niegdyś pochłaniała ich walka z różnowierstwem; zwyciężywszy, ostygli i dbali tylko

o zapewnienie zwycięstwa, wpajając w młodzież bigoterję i fanatyzm. Monopolu wychowywania tej młodzieży *de nomine* nie uzyskali; oparła się im akademja, mitrężąc ostatek swych sił w bezowocnej walce; znaleźli się rywale w nowym zakonie *Scholarum piarum;* elementarnego wychowania jezuici wcale nie udzielali; mimo to jedna szkoła i jeden jej typ rozgościł się na olbrzymich przestrzeniach Rzeczypospolitej: ten sam Alwar zbyt trudny i rozwlekły, ci sami przetrzebieni klasyczni autorowie, te same bractwa szkaplerzowe, te same przedstawienia dramatyczne, tragedje (o świętych, o męczennikach, o cudach, o nawróceniach) ze śmiesznemi intermedjami panowały we wszystkich kolegjach czy szkołach, chyba że Alwara zastępował nieco łatwiejszy Piotrowski. Odznaczali się kaznodzieje jezuiccy, Makowski, Piekarski, znienawidzony dla swego „rojalizmu", Młodzianowski, który zwiedził wiele świata, historycy, jak Wijuk Kojałowicz, dopełniający polityczną i kościelną historję Litwy, a dla rodzin litewskich prace heraldyczno-geneologiczne Paprockiego i Okolskiego. Z poetów największy między nimi, nietylko w Polsce i nietylko w wieku XVII, to chrześcijański Horacy, **Maciej Sarbiewski,** znużony pracą kaznodziejską na dworze królewskim, towarzyszący Władysławowi IV na łowy do Merecza i na wody do Karlsbadu, natchniony liryk, opiewający wierszem łacińskim i Bogurodzicę, i ligę turecką, i wrażenia z podróży i Rzymu, tęskniący za przyrodą i jej zaciszem, za wdziękami lasów, dumający nad jasnemi wodami, obrazem własnej duszy.

Sarbiewski zaczął uprawiać muzę obowiązkowo, bakałarzując po kolegjach, w pretensjonalnych panegirykach składając hołdy duchownym i świeckim. Później otrząsł się nieco z tych szkolnych naleciałości, chociaż, idąc i za własnym popędem i za rozkazem zwierzchności zakonnej, splatał papieżowi i kardynałowi panegiryczne wieńce. Podróże, wrażenia ruin pogańskiego Rzymu, coraz ściślejsze przejęcie się Horacym, coraz milsze zatapianie się w samotności, coraz żarliwsza pobożność potężnie oskrzydlały jego muzę. Forma jej wzorowa, niepokalana, między latynistami całego świata prym trzyma; treścią zakonnicza, wstydliwa, skromna, uczy unikania świata i jego walk, kwietyzmu, rezygnacji; najwymowniejsza, gdy się korzy przed świętymi; napuszona, gdy, krocząc świeckiemi torami, sławi wolność polską lub, stawając przeciw instynktowi narodowemu, posłuszna za to intencjom papieskim, łasząc się Habsburgom, najniepotrzebniej zagrzewa do krucjaty przeciw Tur-

kom, torując napróżno drogę ambitnym planom królewskim; stronnicza, gdy nawoływa do jedności w wierze.

Sarbiewski to wyłącznie liryk; tylko w liryce refleksyjnej wzniósł się najwyżej; inaczej niż Szymonowic, którego zresztą bardzo przypomina wykwintnym smakiem, filologicznem wykształceniem i życiem samotniczem, chociaż nie kusił się nigdy o próby epiczne czy dramatyczne: obaj poeci-uczeni hołdowali niemal z namiętnością przyrodzie. Po polsku nie pisywał, chyba kazania i listy, i był sławniejszy zagranicą, w Rzymie, Belgji i w Anglji niż w kraju, bo Polska szlachecka coraz mniej ceniła własnych latynistów. Zakon wydał ich więcej; od Sarbiewskiego idą nieprzerwanym szeregiem: Inez, rodem Hiszpan, zakonem Polak, kuszący się o większe historyczne kompozycje, (hymny o królach polskich, Lechias) i o liczne fraszki, chcąc moralnemi jezuickiemi rugować swawolnego nieraz Owena, Kochanowskiego: pisał Inez więc polskie, których wyborem Borkowski uzupełnił zbiór łacińskich epigramów. Dalej Kanon, Karwat i inni, jeszcze mniej znani: jedyny Inez cieszył się rzeczywistą popularnością, nawet kosztem własnego mistrza i ideału, Sarbiewskiego. Jezuici dbali zazdrośnie o opinję publiczną. Napastowali dzieła, w których znajdowali mniej chętne o sobie wzmianki (np. Kronikę Piaseckiego). Szlachta oburzała się na „prepotencję“ jezuicką, do *Silva rerum* wpisywała wiersze, sławiące wygnanie jezuitów z Wenecji, doradzające to samo w Polsce, obruszała się na nadwornego kaznodzieję, ks. Piekarskiego za inwektywy na rokoszan, wkońcu jednakowoż nie podejmowała niczego na serjo, i, chociaż zakon nigdy się nie stał popularnym — nie pił przecież ze szlachtą ani się z nią rubaszył, jak bernardyni — już nikt nie tknął jego wszechwładzy: bez jezuity aniś żony, aniś starostwa nie uzyskał.

Doniosła w swych skutkach wszechwładza zakonu odbiła się i w literaturze teologicznej i polemicznej, którą słusznie jezuicką nazwaćby można — tak szczupłą była rola, jaką w niej odegrały inne zakony albo duchowieństwo świeckie. Zmieniły się czasy, ubyło owych dawnych pisarzów, Hozjuszów, Kromerów, Białobrzeskich, Powodowskich, miejsce ich zajęli jezuici, niezmordowany tłumacz Wysocki i inni; dzieła, wydawane pod imionami księży świeckich, Żagielów i in. wychodziły z pod piór jezuickich; np. Wielkopolanin Łaszcz wydawał swe cięte pisma pod firmą ks. Słupskiego, Paulina, Tworzydła, Isiory, Żebrowskiego, nawet Skargi! toż Sawicki, Rościszewski; nieraz spółcześni ani się domyślali praw-

dziwych autorów. Tylko do wierszów zabierali się jezuici rzadko, chyba chcąc ośmieszyć dysydentów. Literatura to bardzo ciekawa, nawet i pod habitem jezuickim nie wyzuwano się z polskiego animuszu i dotkliwemi, acz bardzo niewybrednemi żartami, gryzącą ironją, a choćby i obelgą i szyderstwem napastowano głównie ministrów, a za nimi i samo wyznanie. Z broszur polemicznych schodzili jezuici i do prostych pamfletów, szczególniej w Wilnie wysadzali się na najsprośniejsze listy luterskie z piekła, opowiadania o ministrze, co, po kury łazac, ze schodów spaść i szyję złomać raczył (napisał jezuita Chądzyński) i wzniecali nienawiść religijną, której niesforna młodzież dswała wyraz w bójkach i napaściach ulicznych na brogi i zbory, albo na osoby.

Ale „u nas w Polsce, jak kto chce", więc nie dziw, że właśnie z Polski wyszły przeciw jezuitom najzjadliwsze pamflety, co obiegły Europę i nawet doniedawna nie straciły kursu, z pośród katolików, z zakonu samych jezuitów i z prawowiernej akademji krakowskiej, zagrożonej w monopolu nauczania: rokoszanin, „Consilium" czyli „Radę odzyskania i ustalenia pokoju w Polsce za wypędzeniem jezuitów", od roku 1607 kilkakrotnie wydawaną zagranicą i w „Upsali" i w Frankfurcie nad Menem, tłumaczoną na niemiecki, drukowaną jeszcze w XVIII wieku Szczęsny Herburt[1]) napisał; proponuje tu, co rzeczywiście zrobiła w 170 lat później komisja edukacyjna: użycie skasowanych funduszów jezuickich na szkoły publiczne. Odparł ją Mikołaj Ziemięcki w roku 1610, raczej wyzwiskami, niż argumentami. Gruntowniej uczynił to jezuita Sawicki pod imieniem ks. Cichockiego. Najsłynniejszy pamflet, tłumaczony na różne języki (i na polski), wyszedł od jezuity Tomasza Zahorowskiego, którego „Monita privata Societatis Jesu" jeszcze do dziś nieraz uchodzą za autentyczne, za rzeczywiste prawidła i maksymy zakonne: jako takie wydał je nawet z rękopisu (!) praskiego slawofil Samarin, a innego nowego wydania w półtora roku rozeszło się kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzów. Jeszcze roku 1895 poświęcił im osobny artykuł Niemiec, jezuita Duhn w swoich „Jesuitenfabeln".

---

[1]) Obszerną i wymowną, strasznie ostrą broszurę łacińską, od r. 1607—1725 kilkanaście razy wydawaną, wyprzedziło krótkie polskie „Votum katolika jednego o jezuitach" (po rękopisach); autorstwa Herburtowego dowodzą wszelkie przykłady, zaczerpnięte z dziejów polskich i obcych, powtarzające się stale w jego pismach (o Uchańskim i i.). „Consilium" w tekście polskim zdaje się nigdy nie istniało; Herburt zmyślił tylko przekład na łacinę.

Najciekawszy płód literacki, na jaki się zdobyło w XVII wieku pióro akademika krakowskiego, to „Gratis plebański“ zasłużonego wielce matematyka ks. **Broscjusza**, ostatniego dzielnego przedstawiciela tej nauki w Krakowie, wielbiciela Kopernika i korespondenta Galileusza – cztery broszury, cięte, dowcipne dialogi, nicujące nielitościwie zakon i jego szkoły. Nie śmiał tego Broscjusz wydać imiennie; drukarza zasądzono na śmierć (od której go jezuici „odprosili“); czwarty dialog, najostrzejszy, pod tytułem „Varietas“ (o odmienności jezuickiej), pozostał w rękopisie. Na takie walki akademja zużywała resztki zasobów umysłowych i finansowych.

Ze szkół jezuickich, pijarskich i akademickich młodzież wychodziła z głową, wypchaną łaciną, kująca wiersze, wprawiona w retorykę, tem więcej wylewającą z brzegów, im mniej pozostawało do chwalenia. Powódź retoryczna, grożąca już w wieku XVI, zerwała tamy, i Rzeczpospolita od jednego końca do drugiego rozbrzmiewała pochwalnemi, panegirycznemi mowami. Wiek XVI wzorów ich nie podawał; tem bardziej czynił to XVII. Nie było szlacheckiego rękopisu, któryby nie mieścił wzorów mów pogrzebowych, weselnych, politycznych. Ze wszystkich książek, najwięcej wydań doczekała się „Spiżarnia aktów rozmaitych“ a z nią współzawodniczyły dzieła jezuity Wojsznarowicza i innych. Ceremonjał polski, mianowicie weselny, wymagał wiele mów i przemówek: pierścienie, dary, marcypany, pannę młodą oddawano zawsze z oracjami, a temat do nich brano od herbów, kamieni, kruszców; nie brakowało i parodyj, ale te kryły się tylko po rękopisach w owych oracjach „serbskich“ albo „alamodzkich“, zbudowanych na samych dwuznacznikach. Prawdziwych mówców wiek wydawał tem mniej, im więcej mówił; najznakomitsi należą jeszcze do jego początków, ale i między nimi nawet Marek Sobieski zawodzi nasze oczekiwania nawet w najdramatyczniejszych chwilach; nadto to robione, sztuczne, nie porywa. Najlepiej udają się jeszcze wymówki królowi i jego władzy rozdawniczej *(distributiva)*, jedynej realnej, którą mu zostawiła szlachecka anarchja, sarkania na ichmość żołnierzy, grabiących ojczyznę, i ichmość duchownych, skąpiących zasiłków pieniężnych. Zresztą i przy najwierutniejszych łotrach sławią ich katońskie i scypjońskie cnoty, a jeśli się urywał ten wątek, snuto go dalej do chwalebnych herbów i przodków i prześwietnych koligacyj. Szlachta śmiała się z tych kłamstw, chciwie je połykała i uroiła sobie nowy świat starorzymski, wyższy, bo chrześcijańki, a siebie w roli Kurcjuszów, Cyncynatów, Decjuszów.

W tem ciągłem szermowaniu starożytnością, pstrzono łaciną, nietylko pojęcia, ale nawet i mowę. Brzydki ten zwyczaj, oparty na gnuśnej opieszałości, uciekającej przed umysłowym wysiłkiem, chwytającej za gotowe, oparty na chęci popisywania się nauką i ogładą, na manji naśladowczej, czepiającej się tego, co obce, panował już w wieku XVI, ale teraz przybrał jeszcze większe rozmiary, a z mowy dostał się i do pisma. Dla tego obrzydliwego nałogu utrwaliła się, niesłusznie zresztą, nazwa makaronizmu, i nawet cały wiek ochrzczono panegiryczno-makaronicznym, chociaż to tylko dwie jego cechy, uwydatniające się, prócz w najlichszych, a niestety najliczniejszych pisemkach, w nieskończonych przemowach. Panegirykami wsławili się mistrze krakowscy: Bielecki, Bieżanowski, Cyboni, Cynerski i inni; na tem tylko polu pobili jezuitów, szczególniej Bieżanowski, co aż od tej pracy wzrok utracił, zato wydał 150 panegiryków. Po łacinie, z tytułami niesłychanej długości, nieraz w stylu nakamiennym, winszują wszystkiego: zaślubin, ingresu na dostojeństwo, doktorskiego biretu, chwalebnej śmierci. Jeśli wysławiają mieszczan, Królików, Attelmaierów, Kłosowiczów, czynią to po polsku, wierszem nader niewybrednym np.:

O, jako piękna tej pary jest cera,
Oberszter bierze córę obersztera,

Zysk z tych panegiryków wypadał bardzo rozmaicie: tak Cynerski dostał za dziewosłęb kanclerzowi Olbrychtowi Radziwiłłowi 60 dukatów, ale za takiż sam tej samej objętości (dla Czarnkowskiego i Lubomirskiej) próżno się trudził: cóż zrobisz z ludźmi, którzy jakby z urzędu pochwał wymagają, lecz w prawdziwej i uczonej chwale nie gustują, dodaje rozżalony. Tego samego zakroju była wymowa polityczna i sądowa, tylko jeszcze bardziej nadrabiała łaciną. Wprawdzie występowano przeciw takim bigosom językowym, lecz sami krytycy, np. Opaliński, grzeszyli tem samem; nikt nie myślał oprzeć się zgubnemu zwyczajowi, grożącemu fatalnem zubożeniem języka narodowego. Wżerał się więc ten nałóg coraz głębiej, ogołacał język ze swobody i słowiańskiej naturalności, a wciskał go w kluby nienaturalnego, klasycznego wysłowienia i szyku słów, z czego do dzisiaj nie otrząsł się zupełnie. Jedynie kaznodziejska wymowa nie uległa temu zepsuciu. Mając przed sobą kobiety i lud prosty, przynajmniej na kazalnicy wahał się ksiądz przed tą obczyzną. Również do poezji „makaronizm“ przystępu nie miał, i poeta, władający w wierszu najświetniejszą polszczyzną, w prozie

i pół zdania polskiego bez łaciny nie potrafił skleić, np. taki W. Potocki.

Ze szkoły, gdzie długo nie bawiono, wynoszono łamany język i dzikie pojęcia o równości obywatelskiej, o cnocie starorzymskiej przodków, o ich wierze niezachwianej. Przechodząc rychło na dwór pański lub do palestry, nabierano życiowego poloru i wprawy do pieniactwa, a trzymając się klamki pańskiej, posuwano się dalej, brano udział w życiu politycznem, gardłowano przeciw królowi i dorabiano się estymy obywatelskiej. Tak bywało w czasach głębokiego pokoju za Zygmunta i Władysława, za Michała i Jana. Dopiero za Jana Kazimierza przerwały się błogie czasy, i „taniec Rzeczypospolitej“ był tańcem krwawym, marsowym; w kampanjach Sobieskiego pospolite ruszenie nie brało udziału. Czas trawiono: na gospodarce prymitywnej, bo opędzanej darmochami, na rozrywkach, również prymitywnych, bo zaprawianych głównie wilkumami, pełną, kolejną, strzemiennemi, podkurkami, na procesowaniu się i politykowaniu, na dyscyplinowaniu i poszczeniu. Polor towarzyski XVI wieku zaczął się zacierać, nauka i wykształcenie upadać. Ustawały zagraniczne wyjazdy dla studjów, a młodzież, nawiedzająca niegdyś tłumnie Padwę, mistrzowie, opuszczający gromadnie dla Włoch Kraków, zjawiali się teraz coraz rzadziej; zakłady niemieckie, w Ingolsztadzie dla katolików, w Heidelbergu dla protestantów, nie ściągały już liczniejszych gości. Magnaci, dla względów towarzyskich, odbywali pielgrzymki po obcych dworach; młodzież szlachecka z zagranicy nie wynosiła właściwej nauki i w domowym sarmatyzmie rychło ścierała ślady cudzoziemskie. Zato powoli wydobywa się nawierzch kobieta. Przy coraz niższym stopniu ukształcenia męskiego, jej przyrodzone dary nabierały coraz większej wagi. Przykład dworski, francuski, zaczynał coraz bardziej działać, nie przemijająco, jak za Bony; począwszy od królowych, od Ludwiki i Marysieńki, po dworach i dworkach, obok trzech stanów koronnych, zaczęły one formować nowy czwarty. One czytają, choćby romanse francuskie, piszą, nietylko rzeczy ascetyczne i gospodarskie, nadają ton posiedzeniom towarzyskim; już literatura liczy się z tą rzecząpospolitą domową; najpierw szydersko formułuje ich skargi na mężów, artykuły nowego porządku, przedrzeźnia panieńskie petycje do sejmu (o młodszych mężów, dłuższe ich wczasy) i białogłowskie fortele, odsłania i przynosi adwizy koła panieńskiego, aż w ostatnich dziesiątkach wieku wytacza coraz ostrzejsze inwektywy na babożeniów, liczykrupów i piecuchów.

Powoli, niepowstrzymanie obniżała się kultura staroszlachecka. Bystrzy spostrzegacze już na początku wieku uderzali na alarm; np., dla Szymonowica „wiek ozdobny“ należał już do przeszłości— takim Janem Zamoyskim cały wiek XVII nie mógł się pochwalić, nie dorównał mu orzeł tak wysokiego lotu, jak Żółkiewski, najbliższy mu duchem; tem mniej który z protestanckich Radziwiłłów, o katolickich niema co mówić. Skarlała i „akademja“ zamojska i sam potomek hetmański, gdy Jana nie stało. Akademja zeszła wkońcu na równie źle uposażoną kolonję, jak jej macierz krakowska, gdzie mistrzowie wiedli ubogi żywot z zaparciem własnej osoby; spełzły zamiary fundatora, i szumny tytuł niebawem krył próżnię materjalną i umysłową; syn i wnuk wyszli na najzwyklejszych śmiertelników. Więc nie dziw, że Szymonowic Wolskiemu dedykuje sielanki:

> żeś ty prawie (całkiem) sam z grona onego
> Ludzi chędogich został, którzy ozdobnego
> Wieku kwitnęli.

a na innem miejscu skarży się:

> wszystko się pomyka
> Na dół, zginęli dawni dobrze kantorowie.....
> ..... *jakie dzieje, takie pienie.*

Niemniej kultura polska ucierpiała na zaniku również niepowstrzymanym mieszczaństwa. Mieszczaństwo polskie, przedewszystkiem krakowskie, przechodzi dziwne koleje. Jeśli zazwyczaj twierdzą, że krzyżowanie ras wydaje znakomite rezultaty, to przykład tego mieszczaństwa uczy przeciwnie. Póki było niemieckiem, było rządne, czynne, gospodarcze, przedsiębiorcze; gdy spolszczało, straciło te przymioty, a spotęgowało wady: nie przyjęło polskich cnót, dążenia do niezawisłości, wybijania się nad gminu, rozmachu, bystrości, ale zaraziło się lenistwem, opieszałością, niewzruszonym optymizmem, życiem nad stan, obojętnością dla spraw ogółu. I — prócz Gdańska nie obroniło swego stanowiska nie opierał się na niem król, nie wywalczyło sobie miejsca w Radzie koronnej; dostawały się tam spanoszone jednostki, Bonery, Morsztynowie, Szembeki; ogół sarkał na obcych przybyszów, na Włochów, Delpaców, Cetysów, Dzianotych, na Żydów, Szotów i Ormian, ale nie zerwał się do niczego nad próżne skargi. Ekonomiczna polityka szlachecka, wyłączna ochrona gospodarstwa wiejskiego, mimowoli rujnowała mieszczan, narażonych i tak oddawna

na straty, skoro handel tranzytowy, główna podstawa potęgi finansowej Krakowa i Lwowa, obierał nowe szlaki; uwalnianie od opłat szlachty, ubożenie przemysłu i handlu domowego na korzyść obcych, Włochów i Szotów, wabienie ich do kraju formalnemi premjami, odbiły się ciężko na mieszczaństwie polskiem.

Przeniesienie stolicy do Warszawy — w Krakowie już tylko koronowano i chowano królów — dobiło starą stolicę. Lwów, chociaż jego handel i tak był zmalał, skoro opustoszał wielki szlak na południe, w wojnach kozackich i tureckich zginął do szczętu. Wielkopolskie i podgórskie miasta niszczały za Szweda, ale gorzej grasował wewnętrzny nieprzyjaciel, szlachcic, sprowadzający i wyprowadzający towary bez cła, nabywający wraz z duchownymi nieruchomości miejskie, wolne od ciężarów miejskich. I ubożały miasta, upadały cechy, waliły się wieże i mury, kwitnęło pijaństwo, ciemnota, przesądy, wiara w czarownice, w Żydów przekłuwających hostje i pragnących krwi dziatek chrześcijańskich. Co mogło, zapierało się nędznego bytu, podszywało się pod szlachectwo, przybierało nazwy na – ski zamiast odojcowskich na – ic, z *genere sus* darło się na *generosus*, na co przez szpary patrzała lekkomyślność szlachecka; wyjątkowo w ziemi krakowskiej, gdzie najgorzej się działo, trafił się stary Trepka-Nekanda, który bez litości z aktów sądowych, z prywatnych informacyj, z badań osobistych, ułożył wielką „księgę chamów“ *(Liber Plebeianorum)* w porządku alfabetycznym, gdzie każdego — od najwyższych, od Betmanów, Bonerów, Morsztynów, Szembeków, od Górnickiego (Łukasza), Cetnera, Szlichtyngów i t. d. aż do najniższych, do żaków krakowskich — wywodził rodowody od jatek, szlichty (tkackiej, nie szlachty) i bułek, od cepów i łopaty, wytykał tych „szlichciców“, gromadząc niewyczerpany zasób rysów obyczajowych i portretów dla przyszłego badacza czy powieściopisarza.

Tak z mieszczaństwa uciekały jednostki, energiczniejsze, ruchliwsze; sam stan coraz niżej upadał. Jednak przed swoim ostatecznym upadkiem przysłużył się walnie literaturze narodowej, i jak po mieszczanach niemieckich zostały materjalne pomniki po farach i sukiennicach, tak polscy, choć w literaturze, zaznaczyli swe myśli i czucia.

Szymonowic wprawdzie ledwie może uchodzić za takiego ich reprezentanta; to natura nadto wyjątkowa, zorganizowana delikatnie, uczony i poeta, i, choć wyrósł w lwowskiej atmosferze, w dostatkach ojcowskiego domu, nigdy się nie zżył z miastem,

z jego zgiełkiem, z coraz widoczniejszym brakiem wyższych, kulturalnych umysłów, i chętnie zamieniał Lwów na Zamość. Wytrwały piewca hetmańskiej osoby, wcielonego na ziemi jego ideału, narażony po śmierci mecenasa na kolizje i rozczarowania, i z opiekunami, i z wychowankiem, przecież nie wrócił do Lwowa. Uczony śpiewak muzom łacińskim nie sprzeniewierzył się nigdy; chrześcijański Pindar i w XVII wieku, jak dawniej, próbował, swych sił w panegirycznych nieraz odach i hymnach i w nowej, jeszcze mniej dramatycznej tragedji, „Pentesilei“, ciekawej wyborem mniej zwykłego tematu i myślami o emancypacji kobiecej. Podobnie, jak Sarbiewski, zbierał za to poklaski od zagranicy, która drukowała jego „poematy złote“, chociaż w kraju tak mało o nich wiedziano, że nawet jezuita, Inez, niezapominający Klonowica, milczy o Szymonowicu. Jeszcze w XVIII wieku zachwycał się nim i przedrukowywał go Durini, legat papieski. Tem bardziej ceniono jego polskie wiersze, mianowicie „Sielanki“, wydane po raz pierwszy w roku 1614 i przedrukowane w ciągu wieku ośm razy, albo jego „Nagrobki zbieranej drużyny“, które inni chętnie naśladowali — rodzaj bajek, układanych w czterowierszach nagrobku. Sielanki Szymonowica zapisały się w dziejach literackich wieku tak, jak Treny albo przekład Tassa Kochanowskich; od nich wyszedł cały rój sielanek i sielankopisarzów, na nich wzorowali się Zimorowicz i Gawiński i ktokolwiek pisywał sielanki, „idąc Symonidowym niedostępnym śladem“.

Jego sielanki wzorowały się na starożytnych, na Wergiljuszu i Teokrycie. Czasami były to tylko tłumaczenia czy wierne naśladowania i właśnie od takich umyślnie rozpoczął cały zbiór, jakby chciał oswajać czytelnika z nową formą, po polsku dotąd niepraktykowaną. Czasami przebierał własne pomysły w formy pożyczone, np. jeśli jego Thyrsis wysławiał w sielance „Rocznica“ *Daphnisa*, Zamoyskiego. W takich właśnie sielankach najwięcej aluzyj do spółczesnych wypadków, których bieg bynajmniej nie zadowalał przekonanego Zamoyszczyka, co wzywał w Lutni rokoszańskiej o łaskę i pojednanie do króla; tu poeta wypowiadał własne ideały, bronił siebie i swe ciche, jasne Muzy:

kto was (Muz) nie ogląda,
Nigdy ozdobnym, zawsze wzgardzonym być musi...
Najszczęśliwszy, kto z wami do śmierci wiek trawi;

bronił swego sposobu tworzenia, w którym go, w całym XVII wieku, naśladował świadomie jedyny Łukasz Opaliński:

Zazdrość mówi: nie mistrz to, co po trosze śpiewa
I co się, jako morze, z pieśnią nie wylewa...
Wielka egipcka rzeka wiele błota wlecze
(a pszczółki Himetu) Z małych się a przezornych strugów napijają[1]).

Jeden z jego najszczęśliwszych, najprawdziwszych zwrotów nadaje się niestety, jako motto, dla tych i następnych, jeszcze gorszych czasów, a mianowicie, gdy mowa o gnuśnych i nikczemnych:

którzy radziby *zgasili*
Słońce na niebie, a tym *błędy swe pokryli*.

Najudatniejsze są sielanki, zarzucające mitologję i starożytnych, opiewające zwyczaje Rusi szlacheckiej i niedolę ludu wiejskiego. W „Kołaczach", po wszystkich Najadach i Adonisach, już sam początek dziwnie chwytał za serce swojskością, niewymuszonością, prawdą:

Sroczka krzekce na płocie, będą goście nowi.
Sroczka czasem omyli, czasem prawdę powi.
Gdzie gościom w domu rado, sroczce zawsze wierzą,
I nie każą się kwapić kucharzom z wieczerzą;

sroczka nie omyliła, jadą goście weselni; następuje opis ślubu aż do śpiewów i rozdawania kołaczy. Inne tło „Żeńców": żar lipcowy; Olucha i Pietrucha omdlewają przy sierpach, skarżąc się na srogiego starostę i jego nahajkę, na jego gospodynię, co go szczuje na ludzi, a w skargi wstawione pieśni z owym przypiewem:

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego

lub:

Naucz swych obyczajów starostę naszego!

poczem następuje typowe zakończenie słowami starosty:

Pietrucho, prawieś mi się sianem wykręciła;
Ta nahajka mocno się na twój grzbiet groziła.
Kładźcie sierpy, kupami do jedła siadajcie;
W kupach jedzcie, po chróstach się nie rozchadzajcie.

Odmienny, popularniejszy, niższy typ przedstawia **Bartłomiej Zimorowic**, ani poeta ani uczony, mieszczanin, oddany z zapałem chwale i dziejom lwiego grodu, poświęcający w krytycznych chwi-

[1]) Słowa zapożyczył od Kallimacha, poety aleksandryńskiego, ale wyraził niemi samego siebie; podobnie i Zimorowic o sobie twierdził, że kto inszy

sto wierszów w godzinę na papier wyleje,
A ja z gospodarnemi pszczołami na łące
Auzońskiej ledwie z kwiatków co soku wysączę.

lach mienie i życie na jego ratunek, ostatni dzierżący chlubnie sztandar miejski w szeregach literackich. Rozwój jego duchowy był najzwyklejszy. Jak mieszczanie, zaczął od erotycznych i satyrycznych wierszy (na lisowczyków, na lutrów), próbował sił w hymnach religijnych i wierszach panegirycznych po polsku i po łacinie, aby, jako poeta polski, zakończyć sielankami, poczem jeszcze długo i wytrwale łaciński historyk troistego miasta (niegdyś ruskiego, potem niemieckiego, nakoniec polskiego) badał i opisywał dzieje, instytucje, sławnych mężów i klęski w nadto wyszukanej, umyślnie zawiłej mowie, parodjując Tacyta na gruncie lwowskim. Jego sielankom brak spokoju i Szymonowicowej wytworności. Czasy i okoliczności już nie były po temu; widnokrąg obniżył się i ścieśnił; ciąży na nim dewocja, choć szczera i głęboka; język pstrzy się od rusycyzmów, chociaż przez to samo nabiera cech lokalnych, gminnych, obcych wykwintnemu Szymonowicowi:

Tak ja swe kąty chciałem odrysować pieniem...
Idąc Symonidowym niedostępnym śladem,
Bywszy jego i ziomkiem i bliskim sąsiadem.

Miłość ku Lwowu i jego „lanczawtom z uciesznym wejrzeniem“ przebija wszędzie: ciężkie jego klęski wyśpiewa w „Kozaczyźnie“ i w „Burdzie ruskiej“, gdzie się nawet odezwie nieśmiało o przyczynach dopustu Boga, który chciał

Zbytkom Roksolańczyków (szlachty) dumnych przytrzeć rogu,
Aby łacniej ukrócił umysły ich harde
I odwetował *prostych* odrzutków *pogardę*...
Do takiej nas niewoli *zbyteczne swobody*
I *łakomstwo* przywiodło do tak znacznej szkody.

Zimorowic kładzie nacisk na religijną stronę tych walk; pierwszem hasłem Chmielnickiego pod Lwowem było: strach Boży bije Lachy, a o sobie Chmiel mawiał: trudno ja rękę Boską mam hamować, — i smętnie dodaje poeta:

o wiarę wojują! cóż będzie po wierze,
Kiedy się pokolenia ruskiego przebierze?

U Zimorowica oprócz historycznej przebija o wiele silniej treść indywidualna, własne przejścia, radości, żal za przedwcześnie zmarłym ukochanym bratem i natchnionym śpiewakiem, za pierwszą żoną, której wpływ moralny cenił wysoko. Wobec Szymanowica, uosabiającego ideał (wcale nie polski) Palingenjuszów (z Zodiacus vitae), przeważa nuta erotyczna; wdzięki miłości i oblubienicy

wyspiewały już Roksolanki, ruskie panny, brata **Szymona**, zmarłego w dwudziestym roku życia, nader obiecującego; perypetje miłości, żale, zazdrość, rozstanie, niewdzięczność i wierność sławił jego wiersz o nadzwyczajnej gładkości, nieco zanadto nadrabiający antologicznemi motywami i mitologją. I sławetny rajca lwowski nie stronił od erotyków, ale lata i doświadczenia wyziębiły zapały i p. Bartłomiej z opiewania wdzięków miłości stale zjeżdżał na morały i przestrogi, bo miłość:

> Odwagi, ciężkie prace i nieznośne grzechy
> Lekkim gwichtem odważa króciuchnej uciechy,
> Sprosności swe, przypadki, utrapienia, mary,
> Piękną twarzą pokrywa anielskiej maszkary.

Kunszt autora, jak już wynika z tego wyjątku, niewielki, całe ustępy jego sielanek (w „Roczyźnie“ skarga Dorylasa, szczególniej od wierszów „Ona to trąba, która kiedy krzyknie“) należą do kantyczek chyba i do Baki, nie do poezji i od Szymonowica odbiegają daleko. Jak Szymonowic, żeby się utrzymać w konwencjonalnym pasterskim tonie, przebiera za pasterzy siebie i swoich (Zamoyskiego), tak i Zimorowic występuje jako Miłosz, Dorylas, i zdarza się, że w błąd wwiedzie nawet najdokładniejszego znawcę swych poezyj, np. Sielanka „Płaczennica“ nie odnosi się do żony, lecz jest odpowiednikiem do „Lamentu Hospodarowej Wołoskiej“, co po r. 1653 wyśpiewał Zbigniew Morsztyn. Najciekawsze jednak, to koloryt i zapatrywania na świat „burżuja“ lwowskiego. Mieszczańskie są jego gusty i mieszczańską ambicja (Szymonowic jest wolny od obu): cieszy się ze swej wilegjatury dla jej zdrowotności i dla miasta „leżącego pod bokiem“— co za wygoda w najmniejszej osadzie, „która w sąsiedztwie miastu głównemu osiada“. Godni kumowie radzą mu, by wystawił świątynię, on zaś boi się kosztu, rzecz to pańskiej szkatuły; ale Samujło prawi: tać nie książęta ani panowie wielmożni, raczej z pospólstwa nasi przodkowie pobożni (wystawili św. Jura). Św. Jur nasuwa osobliwszą uwagę: dziwne jest to forsowanie ruskiej nuty u Mazura katolika Zimorowica! Czytając „Sielanki“, w których często jest mowa o Spasie, wieczerni i obiedni, o trużenikach, o knyszach, o Pałachnach i Paraszkach, o dniu Piątnic i t. d., pomyślałby kto, że to pisze prawosławny Polak albo Rusin (nie było jeszcze wtedy we Lwowie unji), i w dziwnej byłyby z tem sprzeczności „Przenosiny“ (relikwij katolickich) i to, co wiemy o samym Zimorowicu i o ówczesnym Lwowie. Tymczasem to tylko poeta nadawał w ten sposób *couleur locale* sielankom, które

musiały koniecznie opiewać sioła i „sieluszki“ (wieśniaczki) ruskie; w innych dziełach ten sam Zimorowic nie znał takiej *couleur locale.* U Szymonowica chyba tylko jakaś nazwa, np. *Nais Purska,* przypomni Roksolanję. Mimo tych usterek, dziwactw i znacznie skażonego smaku — barok wciska się wszędzie — większa jest rozmaitość tematów niż u Szymonowica, nieraz wdzięczne, często jędrne wysłowienie i cechy spółczesne a miejscowe. Jedna tylko sielanka jest całkiem obca, wzięta z mytu klasycznego, w innych tylko niektóre motywy wyszły z antologji — przez to sielanki te w porównaniu ze szlacheckiemi, mają większy powab i znaczenie.

Poezja mieszczańska nie wyczerpała się bynajmniej na sielankach Szymonowica i Zimorowiców. W mieście zaostrzył się jej wzrok na wady i nierząd, i wyrobiła się żyłka satyryczna, znamienna już u Klonowica, którego Zimorowic podziwiał, chociaż nie naśladował. Nie zajmuje jej przyroda, za to ludzie, burkownicy, wyrwy, ktosie (złodzieje), szalbierze, na których niema sprawiedliwości; korektura ustaw polskich niezbędna, wołają poważni szlachcice; wtóruje im bakałarz **Jurkowski,** najnamiętniej czyni to w „Poselstwie z dzikich pól“, gdzie, korzystając z fikcji w „Potrójnym“, wysyła na Podole Połoków (nie Polaków, t. j. pijaków), jaratyków, Żydów, judaszów, aby się „zła ojczyzna z dobrą rozstrzygnęła“; „zbolał każdy cnotliwy człowiek, patrząc na niekarność okrutników“ przemawia stary szlachcic do braci, a Jurkowski woła:

Już mówią sami, że nas wywiesić z połowę
Trzeba, chceli mieć Polska całą zewsząd głowę!

Opisuje ciągnienie i szyk tych hufów, od „miłych karciąt“ (Rusa, Turma) ucząc ich taktyki i strategji. Satyrze polskiej, obracającej się w kręgu naśladownictw Kochanowskiego, otworzyły się tu nowe widoki groteskowej satyry, jak u Rabelais'go i Fischarta, przesadzającej karykaturami, wyliczaniami, stopniowaniem. „Chorągiew Wandalinowa“ (t. j. „wiślnego bohatera“) rzucała się również gwałtownie na swawolę.

Tak swawoła, gdy z burdą korektę praw zwłóczy,
Już ojczyznę w śmiertelną koszulę obłóczy...
Karność, siostrę wolności, z Polski wyrzuconą,
Kto przywróci?

Szlachecka satyra również namiętnie ledwo się odzywała, a nie skąpił Jurkowski i innych przytyków, np.: „gdy Moskwę bić, toście w się sami uderzyli“, albo jak Turcy z chrześcijan szydzą: zawsze jedzą gorąco, oziębło wojują.

Jeszcze wymowniejsze są jego skargi w wierszu „Lech wzbudzony i lament jego żałosny, widząc tak utrapione państwo“ (dlatego wznowiono go w r. 1649!); Lech mężny strofuje tu wyrodków, zarzuca im, że niemasz między nimi mężów, że wszyscy, jak dzieci, chyba „wiatr sieją, dym kupują, mak drobią, świat wiją, sitem wodę czerpają, w murze cegły myją“; zwątpił już, by poskutkowały przestrogi, i odchodzi zbolały, pełen wiecznego niepokoju (r. 1607!). Był to osobliwszy głos; widocznie zapowiadał się talent, ale po kilkuletniej wytrwałej pracy (1604 — 1607) umilkł na zawsze. Podobnie zawiódł w końcu oczekiwania papiernik krakowski, **Adam Wodzisławczyk**, który się przeniósł później na Litwę, drukujący między r. 1608 a 1613 oprócz panegiryków „Krotofile ucieszne“ i „Przygody trefne“. Dłużej pracował Samborczyk (podszywający się później pod szlachtę), **Kacper Twardowski**, który „trochy dowcipu na rytmy drugich gorszące rozpuścił“ i chciał drukować mimo zakazu biskupiego „Lekcje Kupidynowe“, niby polska Ars amandi, o znakomitem gładkiem wysłowieniu, miejscami bardzo lubieżnem, to znowu sadzące się na dowcipy, albo nadzwyczaj się przymilające. Gdy go powaliła ciężka choroba, powstał z niej jako pobożny autor „Łodzi młodzi z nawalności do brzegu płynącej“ (roku 1618), „żywot swawolny w łodzi pobutwiałej uwodząc od matni przeklętej na maszt zbawienny“ (Zbawiciela). Z pod jego pióra posypały się liczne, wcale udatne alegorje i wiersze pobożne. Przedstawił on losy własnego moralnego odrodzenia zarówno w „Łodzi“ jak i w „Pochodni miłości Bożej z pięcią strzał ognistych“ w losach pielgrzyma i strzelca, walczących z pokusami Kupidyna i innych. Wszystko to należy do najlepszych okazów poezji religijnej XVII wieku. W „Biczu Bożym albo w krwawych łzach utrapionej matki Ojczyzny Polskiej“, sięgnął Twardowski wyżej, oskarżał zniewieściałe i kupczące szlachectwo, ociągające się przed służbą wojskową nie nagradzaną, jak należy, i wciągające do bezbronnego kraju tatarskich łupiezców, którzy „już kuczmańskich i czarnych kątów (szlaków) zaniechali, a — bodaj i zalśnęli — nowe wyszperali“; wymownie nawoływał do skruchy, żądał od szlachty, by „szlachecko żyła“ nie „wrzeciona się jęła“ — więc po pogromie pilawieckim Pruszcz przedrukował ten Bicz, „dziewiącią tylko wierszów akomodując“ go do nowych czasów (1649). W kolędach i t. p. uderzał Twardowski w tony swojskie a rzewne.

Inni poeci - mieszczanie nie sięgali tak wysoko jak ci obaj; w wierszach miłosnych rozwadniali styl i motywy szlacheckie; zato ich

fraszki, żarty i komedje czerpały z otaczającego życia, i w tem są ci mieszczanie najciekawsi; nie z szlacheckiej literatury dowiemy się przecież, jak się żyło w warsztacie, kramie i cechu; jak się biedowało na kantorji i bakałarstwie; jak to odprawiano służby po panach. Brak finezji i artyzmu nagradza rodzimość tych słów, obrazów i myśli. Autorowie mieszczańscy nie znają zagranicy, nie naśladują Włochów, niewiele usta pomazali łaciną, ani cenią, ani wyszukują klasycznych reminiscencyj; obcy im Petrarka i Tasso, Ariost i Marino, Ronsard i Bartas; zato nuta ich jest rodzima, jędrna, staropolska; humor dosadny, ale własny; forma niewyszukana, ale swojska; podziwiają (i okradają) Kochanowskiego, ale Rej jest im stokroć bliższy, chociaż sami nigdyby się nie przyznali do „lutra“; nie obce im są żywioły ludowe, chociaż nie opuszczają stanowiska „łyka“, drwiącego z opiłego „gbura“, z jego tańców i śpiewów i nie wnikającego głębiej w stosunki realne, a tem mniej w duszę chłopa. Wszyscy dobrzy katolicy, wspominają tylko z przekąsem o lutrach, czasy „za heretyków“ należą już u nich do dawnej przeszłości; co gorsza, pogodzili się zupełnie z odepchnięciem swego stanu od życia i wpływu politycznego, nie aspirują do żadnej wyższej roli, nikną w szarym tłumie, sarkają na przewagę Żydów i obcych, na szlacheckie nadużycia, zagrażające ich dobrobytowi, na przywary chłopskie, na ogólną opieszałość i niedbalstwo. Zato obchodzą się bez panegiryzmu i „makaronizmów“; złota staropolszczyzna przelewa się i mieni w ich niekunsztownych zwrotach, nie boją się przesady, parodji, nie uszanują nawet rzeczy świętych, rubaszni, nazywają wszystko po imieniu i tem gorszą ucho cenzorów duchownych. Żadnych wawrzynów nie zbierają, nieznani nikomu z imienia i czasu; *Januarius Sowizdralius*, Prawdzic Niedrwił (t. j. Jurkowski), Jan z Kijan, Jan z Wychylówki, Jan Oleski, Jan Dzwonowski — toć niby autorowie, a czas oznaczony np. tak:

Tego roku kobyły piechotą chodziły,
Niewiasty cknęły bez jajec, że się nie zrodziły,
Ziemia się na ten czas trzęsła całe dwie niedzieli,
Kiedy ją chłop wziął na takach, toście niewiedzieli,

albo tak:

Spisany roku niedawno przeszłego,
Dnia pierwszej niedzieli niektórego miesiąca jasnomokrego.

A miejsce druku: w Oleśnicy na pacanowskiej ulicy. Nikomu, albo raczej wszystkim przypisują swe karty, żartując z obowiązkowych wówczas dedykacyj:

żebym ja miał chodzić od pana do pana,
Wychodził-bym nogi do same kolana...
Przyjmijcie od Sowizdrzała, najmilsze sowy,

zwracając się do „kwiczelnika (czytelnika) paskudnika".

Okradają się też nawzajem niemiłosiernie: wiersze z Kiermaszu na Zawiślu (O pijanych ludziach) powtarza Nowy Sowizdrzał; wiersze o skąpym panu i Dedykację Operis powtarza Sejm Oleśnicki z Sowizdrzałów; zato niewyczerpani są w konceptach. Ośmieszą wszystko, od „Piętego Świotra" w niebie i jego macierzy, aż do Nauk Potrzebnych do Rzemiosła, parodjujących nauki warsztatowe malarza krakowskiego, Franca Śmiadeckiego, który wydawał i poezje biblijne w ślicznych obramowaniach. Patronem ich jest Sowizdrzał niemiecki, ale plugawego średniowiecznego kumpana okrzesali i przebrali, zastąpili jowjalnością jego złośliwość. Znają wszystkie podgórskie miasteczka i o nich opowiadają dziwy:

W Bobowej, w Ciężkowicach, są takie zegary,
Więc raz bije piędziesiąt, drugi raz dwie kopie;
Południe wtenczas, kiedy bydło z pola ryczy;

Próbowali chleba ze wszystkich pieców, wracają jednak najczęściej do szkolnej mizerji, boć np. jakież było ich podczaszostwo:

Kazano mi nalewać krowom we żłób wody,
Tom się i sam napijał, zawsze były gody.

Pielęgnują więc naukę na swój sposób, wykładają eklogi Wergiljuszowe (Tityre, tu patule, Tyrušku szczeniątko a tyż to bź... na Kubę — w *Colloqium* Jannasa Knutla z roku 1633, trzykrotnie wydawanym, autora Jana Łopeskiego, pisującego i pobożne wiersze) albo wiersze Katonowe, na których uczono łaciny, np. Jan z Kijan tak wyłożył morał o skromnym darze ubogiego przyjaciela, który należy przyjąć z wdzięcznością:

Jeślić kto da wiercimakiem, Przyjmi, choć cię boli szyja,
Nie swarz się z nim, nieborakiem, Bo nie miał dłuższego kija

Wydawali humorystyczne, acz bardzo nieprzyzwoite kalendarze; zbierali „Facecje polskie", z różnych autorów, choćby z Bokacjusza, powtarzając je pod coraz innym tytułem: „Burleszki", „Furfanterje dworskie" i t. d. jeszcze i w XVIII wieku; a popłacało to nawet na Rusi moskiewskiej, która jednak nie przyjęła Sowizdrzałów. Domowe facecje, księdza Woronieckiego za króla Stefana, Stawskiego i in., zbierały „Siekanka" i „Prażonka albo Nawara dla zabawki uczciwej drużynie" (r. 1615, autor sarka na Szeligę, prze-

drukującego go bez ceremonji: ty drukarzu z Dobromila, potka cię nieszczęsna chwila i t. d.). Są to niewyczerpane źródła staropolskiego humoru. Później okradała tych anonimów i szlachta, i Kochowski i Potocki; czasem i szlachcic tu się zawieruszył, np. w „Biesiadach rozkosznych Baltysera z powiatu kaliskiego“, ale „szycom“ (mieszczanom) nie dorównał. Tu objawił się humor staropolski, humor Pasków i Zagłobów; są to również źródła pierwszorzędnej wagi dla historji obyczajowości polskiej: czy to w formie dramatycznej, jak „Synod klechów podgórskich“ (na szkolną nędzę) czy dialogowej („Potkanie Jannasa z Gregoriasem klechą“), czy wreszcie w luźnych fraszkach, pieśniach i tańcach.

Taka np. „Peregrynacja Dziadowska“, zwłaszcza owych Jarmarczników, Trzęsigłowów (1612, 1614), odpowiada „Tragedji żebraczej“ z roku 1552, tylko jeszcze jest obfitsza w rysy obyczajowe: autor podsłuchał „miłych staraków“ pod Pilznem w Jodłowej i wykrywa wszystkie ich niecne praktyki, jak czarują, guślą, zwodzą, oszukują, jak się wygodnie „gnarują“, ze szczegółami nadzwyczajnej drastyczności. Autor zna żebraków, zna i chłopów; wyszydza mazowieckich, przedrzeźniając ich gwarę, w „Komedji o Wawrzku do szkoły i ze szkoły“; ojciec bardzo uczony, bo u Zegzułtów (jezuitów) kęs nie cały tydzień studjował, oddaje synka i chce, by w szkole „klorem“ został, ale jego „pierdolenie“ z kałamarzem kończy się smutnie; ojciec zabiera synka zpowrotem, żeby go nie nazywali nabdziszkołą. Znajdziemy i bajkę śmieszną, Peregrynację Maćkową z Chodawki Kurpetowego syna, jak wędrował przez g.... morze aże na us.... świat, z mendacią od p. Blujmistra i drzystem od Rzycipospolitej, aż wrócił do rodziców; matka „jaz sie ozpłakała uzrawszy mię i nanko (ojciec) takze, toć mię kuśkali (całowali), dajze ich Walantemu“. Inni później wysyłali Mazura do Wilna i opisywali w narzeczu, ile się po drodze najadł strachu i jak go okradli w mieście. Nie zapominali jednak ci żartownisie i o smutnej rzeczywistości. „Jan Dzwonowski“ w Gęsiej Wojnie szydził z niepospolitego ruszenia, które niby ciągnęło pod Chocim, ruszało, a tylko chłopów i gęsi, potykało się, ale w błocie!

Osobną grupę stanowiły „Sejmy białogłowskie“. „Sejmy albo konstytucje domowe w Oleśnicy“; w pierwszych przewodziły kobiety nad mężczyznami, dyktując im artykuły posłuszeństwa i hołdów, wydając proces konwokacji z osobliwszą pieczątką, naśladując polskie porządki sejmowe; niewinniejszy był „Sejm Oleśnicki“, żartujący raczej z głodnej Rzeczypospolitej (domowej), z rzemiosł

i cechów. Naturalnie w pismach tych panował ton bardzo rubaszny, i ściągnęły one na siebie groźną burzę: nowy biskup krakowski, Marcin Szyszkowski, umieścił wszystkie na indeksie ksiąg zakazanych, i w ten sposób literatura ta, skupiająca się najgęściej między 1610 a 1617 rokiem (późniejsze przedruki bywały coraz rzadsze), wyginęła niemal doszczętu.

Burzę tę przetrwała ramota: „Nędza z Biedą z Polski idą“: mór i głód trapił wioski i miasteczka, niejeden cnotę nawet musiał zastawić i dotąd jej nie wykupił, ale zawitała nadzieja (po roku 1620), „pałuby niecnotliwe“ odeszły precz, a urodziły się, gdy, gorzej jak w Turcji, zaczęto „heretyków i wiary po kadłubach macać“, tak, że teraz „Lutra w Polsce nie pytaj“; jest to stanowisko odmienne od braci sowizdrzalskiej. Spotykają się Nędza i Bieda z chłopem — ten je odgania; z Djabłem i wtedy dowiadujemy się o rozmaitych rodzajach djabłów:

pięknyć dyabeł niemiecki i foremny, sztuczny,
jedno nazbyt poważny, a do tego buczny,
ruski zaś gamratliwy, ba i wnet ukradnie.

boć Rusin od ruszania nazwany, polski zwinny, zuchwały i zabawny, on też wraca do swoich miłych Polaków, sprawiwszy sobie na nich nowy rejestr; niewiadomo jak to nam pójdzie, szczególniej w dzień ostatni:

Straszliwy to czas będzie i gniewu srogiego,
Dzień gorczycy i czosnku, dzień chrzanu gorzkiego.
Drugi, płacząc, zakrzywi gębę na pół mili.

— a więc nawet *Dies irae* nie uszedł przedrzeźnianiu. Wychodzi „goła“ (śmierć) i powtarza się temat polskiego Polikarpa z XV wieku; żak prosi, by zabierała bogaczów, żacy zarabiają wszak przy ich śmierci; a zresztą i on raz musi umrzeć, żal mu tylko Anuśki i dziewcząt, tak skorych

nakarmić, napoić szkolnego młodzieńca,
Koszulę dać i chustkę, nie wspominam wieńca.

Sowizdrzali, wiedzeni trafnem czuciem, wybierali dla tematów erotycznych motywy ludowe. Sięgali po nie aż na Ukrainę i jeden z nich stworzył taką balladę o zwiedzionej i zawiedzionej dziewczynie, jakiej nie znała literatura polska ani ruska: pieśn Kozaka o Kulinie, poprostu kozakiem albo kozaczeńkiem przezwana, od słów: Hoj kazaczejku, paneż mój! Dałek że majesz domek swój? Pry berezi pry Dunaju, tam ja swoju chyżu maju, Lis zeleny ozdo-

bleny Krasnym świtem Hustym listem To dom mój to pokój, Kulina — takich strof jest 13. Rozwija się tam dramat w samych pytaniach i odpowiedziach. Lud ruski nie zna tej pieśni, ale piesenniki (zbiorki pieśni) jeszcze z końca XVIII w. powtarzają ją w coraz bardziej zepsutej formie. Najdziwniejsze jest to, że świat ówczesny poznał się na jej wysokiej wartości; popularną była już w roku 1623 i według niej tworzono nawet pieśni pobożne, zwane Kozakiem lub Kozaczkiem duchownym. Jeszcze w dziełku z r. 1704 (Drzewo itd.) jest wiersz szkaplerzowy „Kozak“, napisany na tę nutę: Witaj Pani, my poddani Do nóg padamy, Lecz nie inne Mamy czynsze Które składamy Tylko serca zebrane i to jeszcze skalane (7 takich strof). Rusini myśleli, z powodu języka, że to ich własną pieśn Polak-Sowizdrzał usłyszał, zapisał i zeszpecił polonizmami, ale sama kunsztowna forma, zapisana najpoprawniej r. 1625 dowodzi polskiego pochodzenia. Kozakami-Lisowczykami i bohaterami z pod Chocimia bardzo się wtedy zajmowano. „Kulina“, to główna wygrana „sowizdrzalska“.

Literatura mieszczańska zaważyła i w dziedzinie dramatu. Stroniła od niego literatura szlachecka: swobodne życie, rozrzucone po dworach i dworkach, zgóry nie sprzyjało sztuce, wymagającej największej koncentracji nietylko myśli i formy, ale nawet — publiczności i aktorów, których chyba przypadek lub festyn jaki zgromadzał. Mieszczanie-bakałarze, przeciwnie, już dla samej szkoły ciągle się ćwiczyli w dramatach; niestety, warunki dramatu szkolnego który był krępowany rolami (chłopcy grywali wyjątkowe role kobiece), i wyborem tematu dla budujących i moralizujących celów szkolnych, nie sprzyjały rozwojowi; wynikała stąd absolutna jednostajność, kręcenie się w kółku legendy, ewangelji, alegorji, robota zupełnie rzemieślnicza. Dramatów samych nie drukowano; sproszonym widzom rozdawano drukowane po łacinie i po polsku, króciutkie streszczenia samej sztuki, „synopsis“, czy jak je tam nazywano. Na przeciwległych końcach Rzeczypospolitej, w Gdańsku i Kamieńcu Podolskim, w Krożach i Krosnie, w szlacheckiem kolegjum jezuickiem i w miejskiej szkole protestanckiej, grywano to samo i na ten sam ład: Nas — a prawdopodobnie i widzów XVII wieku — w dramacie bakałarskim mniej zajmuje „trajedya“ z jej chórami, niż intermedja: dramatyzowane anegdoty, facecje, monologi, z życia chłopów, Żydów, cyganów, Kozaków, Niemców-Kolonistów, Mazurów, zbiegłych uczniów, głodnych dworzan, komesów na Wątorach, a choćby djabłów, czarownic, ostromędarzów (astrologów), medyków.

żebraków. Temat może być obcy, wzięty ze starej, jak świat, powiastki czy alegorji, ale odziany w tak rubaszną, domową, staropolską formę, że się nie można nią dosyć nacieszyć i ubawić. Sowizdrzalskie nawyki muzy mieszczańskiej rozpasały się w tych „intermedjach“ niegorzej, niż w owych „Nowych Sowizdrzałach“ i „Prażonkach“ i dlatego literatura ta należy do mieszczan polskich, choć się między nich zaplącze czasem i jaki szlachcic (np. jezuita Rudnicki i inni, wstępujący w ślady mieszczan-jezuitów, Knapjusza, Skargi), albo też sama sztuka przeznaczona jest dla festu szlacheckiego.

Wystarczy streszczenie kilku takich „dramatów“ z przeciwnych krańców Rzeczypospolitej. „Tragedję o bogaczu i Łazarzu“ dedykował w roku 1643 senatowi gdańskiemu prawdopodobnie ks. Jan Guliński, kaznodzieja i profesor języka polskiego w gimnazjum gdańskiem. Po wstępnej kantacie i prologu (z obowiązkową prośbą do widza, aby nie tęsknił, — „nic nie zabawimy“), występuje bogaty młodzian, Candidus, świeżo osierocony, którego wzywają do używania świata Liberius i Mundanus.

bo wierę nieprzystoi takiemu panięciu
obrazków polizować, jakoby żaczęciu;
lepiej ci się obrazom żywym przypatrować...
zaprośmy fraucymeru, niech muzyka graje;

W alegorycznej scenie Kupido łowi serca na wędkę. Następuje intermedjum o ojcu pijaku i synu szewcu, ojciec przepił pieniądze za buty i z obawy przed synem udaje umarłego, gdańskie karczmarki odmawiają psałterz nadobny za jego duszę:

O mein lieber, komuż relinquisti szwarcbier...
Jam kaczmarki sind traurichen,
Iże pozbyły sein liebichen,
Propterea za twoję duszycę
Klingili faciunt w śklenicę...

syn zmusza ojca, by odprzysiągł się pijaństwa, co ten czyni na Jowisza w stylu, parodjującym znakomicie mitologję (przed trawestjami Scarrona czy Blumauera):

Proszę cię przez boginie wszystkie, które w niebie
Bródkę twą rozczesują, siedząc podle ciebie,
Mój mościwy Jowiszu w papuciach złocistych!

Na Kandyda świat i djabeł zastawiają sieci; z pewnością im nie ujdzie. W drugiem intermedjum kuchmistrz targuje kota w worze u Kaszuby, wita go:

A nasz ci to Sobieraj, jakoż się miewacie?
Kaszuba: Dziękują Waszoc, pyszno, lecz kakoż mę znacie,

prawiąc wszystko w swojem narzeczu; oszukawszy go, ucieka, a kuchmistrz:

Patrzcież złodzieja chłopa, a dze chłopaturo,
Nagrodzęć to za czasem, psia ty kompaturo!

Kandyd brnie coraz dalej w rozpuście i złości; w nowej scenie alegorycznej skarżą się przed sprawiedliwością Bożą utrapione cnoty; najpierw czystość:

Rewerendy, kapice, purpury, szarłaty,
Magierki i z wieńcami, także szare płaty,
Wszyscy się już sprzysięgli, wszyscy się zmówili
Jakoby mnie, ubogą Czystość, zadławili.

Przestrach, zesłany we śnie na Kandyda, nie opamiętał go, tem mniej upominania Łazarza, na którego się ofuknął: o kieby pysk stulić Bym ci go j... swą mater nie kazał kijmi zbić... smrodzie wyjechany...

Jeszcze mię ślepym czynisz, zgniły psie śmierdziuchu,
A nie będziesz uczciwy, ty gnojku, piecuchu!

Lecz kara przyśpiała, Bogacz śpiewa: biada — i biadać nie przestanie; chór kończy na temat marności świeckiej a epilog dziękuje za łaskawe słuchanie i prosi o wybaczenie: „że mi niedostatek person zabroniło niejednego".

W tym samym Gdańsku inny nauczyciel polszczyzny, M. P. wydrukował w roku 1693 „Historję o starym i młodym Tobjaszu" w celach moralnych i zaznaczył w przedmowie, że już przed kilku laty ta „Historja" miała być reprezentowana miłośnikom języka polskiego przez wyćwiczone osoby do każdego aktu, mianowicie przez żaczków; zamiast intermedjów daje sceny z djabłami, którzy popisują się ludzkim połowem.

Takie sztuki odgrywano nad Bałtykiem, takie same na Podgórzu lub Rusi, chyba z tą różnicą, że Kaszubę zastępował Mazur, Białorusin albo Litwin. Oto „Tragiedya albo wizerunek śmierci Jana Chrzciciela, na pięć aktów rozdzielone, przydane są i intermedya dwoje" lwowianina Jakóba Gawatowica, bakałarza krakowskiego, uczącego w Kamionce Strumiłowej; tamże odprawowano na jarmarku 24 czerwca (r. 1619) ową „tragiedyę". Tryb zwykły: prolog do „szlachetnych gości", chóry; anioł wzywa na świat Jana z puszczy; zamiast intermedjum djabli, Kuflik, Garstka i Krzaczek, kuszą go

napróżno i, gdy się im nie uda, naślą babę na Heroda, że uśmierci Jana. Jan przemawia do świata; Herod mówi o sobie i swoich frasunkach; dworzanie namawiają go, aby był dobrej myśli; Herodjada wymyśla jeszcze martwej głowie; djabli wyliczają swe obszerne przewagi. Wszystko to zdradza u 20-letniego autora wyższe zakusy; później, jako ksiądz proboszcz i kanonik lwowski, przezywając się już Gawatem, nie folgował tak sobie, tłumacząc chyba ascetyka maryjne i inne. Najciekawsze są oba intermedja, z chłopami z pod Kamionki, rozprawiającymi z bogatym Klimkiem znakomitą ruszczyzną, dziwną w gotyckim druku, i ze Steckiem, przedającym mu kota w worze; zaczyna się od słów Klimka:

Szczo tut ty, pobratyme, sobie porablajesz,
Każy myni, jak żywesz ta i jak sia majesz?
Stecko: Ja tut nie roblu nyczoho, Oś idu do domu swoho.

Podobne jest drugie intermedjum z głodnymi wołowcami o jednym pirogu i o tem, kto z nich go zjadł. Są to najlepsze i najdawniejsze próby ludowej ruszczyzny.

Ten sam dramat opracowywali niezliczeni inni bakałarze np. w rękopisie Załuskiego mamy taki sam z dialogami, tylko, że znacznie krótszy i z tą różnicą że djabli nazywają się tu Wąglik i Cudzik, jest cztery, nie pięć aktów, a w epilogu, w którym Gawatowie, mając myto od Reginy Żółkiewskiej, żegnał się mile z gośćmi, nasz bakałarz upraszał o datek:

Małom też nie przepomniał w ostatniej potrzebie
Prosić, byście sprawili, łaskawi panowie,
Pogrzeb (św. Janowi...)

W „Dialogu na Narodzenie Pańskie“ pisarz poborowy Cyrynus srogo marznie, czekając wypłaty poborowej razem ze szlachcicem, z najgłupszym chłopem, szukającym gospody, z Józefem, którego baba nazywa „obiesiem“ i traktuje kijami, z pastuchami, Maścibrzuchem, Nierobotem i Drzemałą, z djabłami, Kopcidymem i Klekotem; jest to jedna z lepszych rzeczy żakowskiego repertuaru; kończy prośbą do słuchaczów, aby „nas dobrą na ten czas kolędą uczcili“.

Najliczniejsze są same scenarjusze np.: „Summa komikotragedyej na historyą żywota św. Stanisława patrona“ przez ks. Mateusza Jagodowica, kanonika poznańskiego, Imćp. Stanisławowi Baryczce, wójtowi warszawskiemu przypisanej... na dzień jego święta w Warszawie na Nowem mieście i wystawionej w r. 1633; są to trzy akty, z chórami i z intermedjami po każdym akcie, chociaż zwykle

nie dawano już po ostatnim akcie intermedjów. Treścią ich jest rozmowa wieśniaka z żołdakiem o pobicie syna; Pluto ze dwunastą swego towarzystwa wychodzi (dla słuchania sprawozdania z łowów na świecie — a więc naśladowanie „Sejmu piekielnego"); potępiony człowiek narzeka i t. d. Sumarjusz komedji o założeniu akademji krakowskiej bróździł długo w literaturze, ponieważ na nim położono mylnie rok 1537, zamiast 1637. Ta szkolarska poezja, zarówno dramatyczna, jak i panegiryczna, wcześnie przekroczyła granice polskie: kolegjum Mohilańskie w Kijowie przejęło je bez zastrzeżeń; Kijów drukuje panegiryki Mohiłom i Mazepom i to nietylko po cerkiewnemu, ale i po polsku; wystawia ruskie „dialogi" wedle jezuickiej recepty. Z Kijowa powędrowały one dalej: w dalekim Rostowie Dymitr, bogobojny metropolita rostowski, odprawiał podobne; kwitnęły więc na Rusi, gdy już w Polsce przekwitały, gdy rubaszność ich i prostotę zastępowano „regularnemi", klasycznemi tragedjami Konarskiego i jezuitów. Do ostatnich ruskich należą np. „Interludia" z roku 1736 i 1737 (Dowgaleskiego), w których Kozak mści się nad Lachem i Żydem (żysiu!), a śmieje z Litwina, który go zagadnął:

ha! ha! kabuźnik, o pczołkach czy znajesz,
w mszaniku (ulu) jest skolko, czy whadajesz.

Jest to żart, który, jak wiemy z Hercena, powtórzył się naprawdę w historji statystyki rosyjskiej.

Między temi dialogami jest wiele lichych, np. bakałarza Pawła Świetkowica, który później pisywał różne ascetyki, „Drogi Herkulesowe albo dyalog o jednym młodzieńcu, obierającym stan Żywota swego" (roku 1608), wita on gości „Okazała Korono, przezacne osoby", uprasza nakońcu znowu o pieniążki na pogrzeb, bo ów młodzieniec, Myślobiecki, umarł, zanim rozstrzygnął, za kim się udać, czy za „przywrzałą" swawolą, czy też za rozkoszą niebiańską. W tej literaturze wyróżnia się „Scilurus" bakałarza **Jana Jurkowskiego** z r. 1604, nietyle dlatego, że kreśli trzy „stany" (żołnierza, gacha i filozofa), ile dla znakomitych intermedjów o „Ktosiach" z ich złodziejskim szwargotem, albo o „głupim swędrze" Orczykowskim, jego żonie „hardozbytnej i pysznostrojnej niewieście" i o studencie - pedagogu; Orczykowski szuka za drogie pieniądze kawalkatora do koni; żona - strojnisia radzi, by te pieniądze wydał na pedagoga dla Wosia, Stasia, Zysia, Grzesia, Krzysia, Piesia, Pasia, z których jeden będzie biskupem — z takich rojeń żartował już niegdyś Rej. — Orczykowski więc, który dla koni chciał po-

święcić dwieście dukatów, najmuje pedagoga za kopę. Pedagog wzdryga się przed dworem pańskim, gdzie w większej niż uczony cenie, „kuglarze, pasorzyty, głaszczouchy łońskie“; żąda dla siebie 20 dukatów, tracąc swą wolność. Orczykowski jednak daje mu wolność, bo wolny bór ptaków słuchać, wolno ci głodować i t. d. Za takie pieniądze będę miał konia turskiego — dwóch, mówi student, jednego kupnego, a drugiego domowego!

Najlepsza jest „Komedja rybałtowska nowa“ (1615 r.): klecha, kantor i dzwonnik, utrapieni głodem, żebrzą u chłopa, oskubanego właśnie przez konfederatów; nadchodzi nowy konfederat i poczyna sobie równie butnie, ale dostałby „znaczną cięgę“, gdyby go nie wyratował ów Albertus (z Podola). Obok niej staje godnie **Piotra Baryki** „Z Chłopa Król, komedya dworska“ wystawiona przed wielu gośćmi na dworze pańskim po koronacji Władysława IV w zapusty, a r. 1637 podana do druku. Zamiast prologu występują tam dworzanie, myśliwiec z Piwowskim. Izbę obito kobiercami, więc myśliwy pyta, co tu będzie, a Piwowski opowiada treść, żałując, że akcja nie według sił dworskich. Dla należytego wystawienia tej komedji trzebaby krakowskich studentów, albo włoskich komedjantów — a nasi jakże długo i gdzie się uczyli? Niech się tylko komedja spodoba widzom,

> Bo już drugi zapomniał, jak dawno był żakiem,
> A drugi się urodził tak pono kozakiem;

W ten sposób komedja i żakostwo były kiedyś nierozłączne; w literaturze społczesnej często są wzmianki tego rodzaju. Baryka przerobił na komedję pierwszą anegdotę. „Facecyj polskich“: żołnierze ubierają pijanego sołtysa i czczą go, jak króla, a, gdy pijany ponownie zasnął, zdejmują zeń drogie szaty i ten kto na niego przedtem wotował, będzie nań teraz wo..... Są tu znakomite sceny wojskowej drużyny sieradzkiej, zmęczonej po utarczkach z Gustawem Adolfem, który będzie znowu na wiosnę „witezować“; występują pp. Żyburowski, Kwasipiwski, Kozak Hryczko, który piwo i wódkę wlewa w kołczan, a potem dopiero w „horło“; opisane są prezenty, jakiemi „wsie wujsko kozackie“ wita króla, któremu się najlepiej podoba „kosztur dubowy“: dajże go peszteleńcy, pono cętnar waży. Rola sołtysa przeprowadzona jest znakomicie w każdem słowie i ruchu; język pyszny. Intermedja dobrane: w jednem służalec maluje żywot i obyczaje żołnierskie; w drugiem Kozak Skoczylas sprzedaje Żydowi kij. Chełmińskie jezuickie intermedja

powtórzyły niemal dosłownie „Skoczylasa“; dają też monolog Kuflewskiego z zacnemi *przodkami*, bo je na weselu oblał polewką; w podobnych dwuznacznikach wysławiają wielkość rodu i majątku; inny jezuicki dramat szkolny całego „Z Chłopa Króla“ porozrywał na intermedja. Tematy, osoby, gwary najciekawsze; gdy np. Litwina wprowadzają na scenę, każą mu wymawiać rz zamiast r; k zamiast ch, np.:

ak! jak srzogim sen jakić przerzaził mię strzakiem.

Mazur przekręca słowa, przynosi „biskupa dla księdza cietrzewia“ i „recki białe“ (jajka); Żyd mówi stosunkowo dobrze po polsku, jeśli nie zacina z ruska; Niemiec strasznie szwargoce i t. d. I tutaj druga połowa wieku przynosi coraz mniej nowych i trafnych rzeczy, powtarza i osłabia dawniejsze, wpadając w najpodlejszą rutynę.

Mieszczanie zapełniali kramy księgarskie i wierszami miłosnemi; oni to ulali ów „Dzwonek serdeczny, do którego się co żywo na głos zbiega, tak młodzieńcy, jako i panny“ (1620), w którym „Pieśń o babie i o żaku“ i „Żal chłopski na złe lata“ są wymowną skargą na własny upadek; inne zaś trafiają w ton gminny, jak „Ojże, Ojże! kowalowa dziewko“; ich wyrobem była „Wesoła ochota przy dobrej myśli, pieśni, tańce, padwany, balety, pieszczonej młodości gwoli“ przez „Celestyna Bozdarzewskiego *equitem pedestrem comitem de Kijow*“, w r. 1647 *prima aprilis*, z licznemi, sztucznemi „taneczkami“ o Kloryńdzie i ludowemi, np.: Tyś pan Jan, Tyś pan Jan, a ja panna Hanna, Tyś bogaty młodzieniec, ja uboga panna i t. d., lub: A gdzieżeś się, miły Maćku, zabawił, albo: Niebogoż Bietko, nie u matkić to Wygnać owieczki, a z parobeczki zawsze pożartować niektóre z ruska: Pod lipoju stojała, Z mileńkim rozmawiała, Rusaja kosa, czernyje oczy, komu się dostać macie; ostatnia, (Biada; teraz na żaki) z przyśpiewem „Pauperibus“ po każdej strofie, wskazuje autora. Wydano kilkanaście podobnych zbiorków „tańców“ t. j. pieśni do nich, pod najrozmaitszemi tytułami[1]).

Jednym z płodniejszych pisarzów-mieszczan, choć się podszywał pod herb Ślepowron, był Jan Dachnowski, pisarz olkuski,

[1]) W tych „tańcach“ staropolskich było wiele ruskich, np. wojewoda Zawisza opowiada w swoim pamiętniku w roku 1710, że miał „lebską muzykę mińską“ (naturalnie żydowską), co mu *staroświeckie taneczki* rzepoliła: *Albo mene barszczu dajte; Czerniec czernicu zawiow w piwnicu; Annusiu serdenko palisz moju duszu.*

nieznużony autor „lubomiłych rymów“ i żałosnych pamiątek. Wdziera się on i w obce dzieła, a przy końcu życia z powodu klęski pilawieckiej, wydaje „Trąbę na rozproszonych do obozu przeciw Kozakom“. Lecz cech wyrabiał coraz słabsze wiersze, (np. pisarza wileńskiego St. Dyczkowskiego „Rythmo-filozofia albo zwierciadło żywota ludzkiego“ r. 1639, wiersze o śmierci, sądzie, piekle i niebie i pod.). Jeszcze najczynniejsi są duchowni, wychodzący z tego stanu, są między nimi i ciekawsze osobistości, np. lwowianie Bojmowie, obaj jezuici, z których jeden, pierwszy i jedyny Polak, znał znakomicie chińszczyznę (misjonarz tamże), tłumaczył dzieła medyczne z literatury chińskiej. Jego chińskie relacje wychodziły w połowie wieku, prócz polskiego, w różnych językach. Drugi z Bojmów był dzielnym szermierzem o „starą wiarę“, walczył z Gizelem, Galatowskim i Baranowicem. Albo reformat Klemens Bolesławczyk, którego „Przeraźliwe echo trąby ostatecznej“, wydane po raz pierwszy r. 1670, przedrukowują aż do dni naszych: w sześciu echach, poświęconych Chrystusowi, autor przerabiał polskim wierszem najdawniejsze utwory średniowieczne: Philiberta spór duszy z ciałem albo „wizję rycerza Tundala“, Irlandczyka, „wizerunek oczywisty mąk piekielnych“, niby dopełniając luki dawnej literatury: ten sam autor wyłożył wierszem i skrócił średniowieczną Chrystjadę Hondemjusza. Takich pisarzów i piśmideł nie przebierało się wcale.

Ostatni, wracający na dawne, ciekawsze tory, to Jakób Boczyłowic, piszący w Toruniu; prócz zbiorów listów i mów (Wymowny polityk), hołdował on damom i miłości, np. w „Łowach Apollina z dziewiącią dam parnaskich na sarmackim polu“, w roku 1694, gdzie „przy wytchnieniu po polowaniu“ Apollo podaje różne tematy „damom“, rozprawiającym za i przeciw, poczem sam „konkluduje“ tematy erotyczne, jak sobie damy zaskarbiają łaski kawalerskie, jak wydają tajemnice, jakich wolą kawalerów; niektóre wcale dowcipne (np. jak powstaje coś z niczego), ale i drastyczne, z niewykwintnemi rymami, np. gdy dama ujrzy hożego Polaka, „drży serce, pała jak w płomieniach kierce“. Nakoniec Apollo pyta „dam“, jak im się podobała Polska; one nie mogą się dosyć nachwalić pięknego kraju i wesołych ludzi, żałują tylko polskiego zbytku:

Już to polska moda niesie,
Prędzej wyda, niż przyniesie...
To jest polska maniera,

Wesoła i w smutku cera,
Choć szwankuje, nie frasuje...
Polskę sam Bóg w rękach trzyma.

Tym hymnem na „Polską sławę, Zawsze w swej odwadze żwawą“ najgodniej jeszcze kończy się udział miejski w literaturze. Zresztą przeważa w niej albo ascetyka, albo panegiryzm; ten ostatni posługuje się językiem łacińskim, szczególniej, kiedy się zwraca ku szlachcie. Zszarzała się i spospolitowała ta literatura; zamilkła jej nuta osobista, zgodnie z tym kierunkiem, który panoszył się coraz bardziej w literaturze, zagłuszając wszystko zdrowsze, uczciwsze i mędrsze.

Obniżenie poziomu etycznego w działaniu a intelektualnego w myśli odbiło się najwyraźniej na literaturze politycznej. Wiek XVII nie tworzył już dzieł, jakiemi się szczycił wiek XVI, wielkich konstrukcyj, jak Fryca, projektów reformy, a choćby należytego skodyfikowania obowiązującego prawa, jak Taszyckiego, Przyłuskiego i innych. Brak nawet rzeczy pomniejszych, takich, jak np. Górnickiego. Rozmaite kwestje poruszały pióra, na początku wieku oprócz Rokoszu, choć „korekta praw“, później popłacała więcej „przestroga o tytułach i dygnitarstwach cudzoziemskich“ (Dargodzkiego = Grodzickiego), boć szlachta obruszała się na książęce i margrabiowskie tytuły, uwłaczające jej równości i za jednym zachodem żądała, żeby zniesiono i dawne litewskie tytuły książęce, czemu się inni oparli (Obrona tytułów książęcych Bielejowskiego[1]). Ta sama zazdrosna obawa o równość spowodowała wystąpienie przeciw „kawalerji“ (orderowi Niepokalanego Poczęcia, który pragnął założyć Władysław IV), unicestwienie tego zamiaru sławiono, jakby walne zwycięstwo nad wrogiem, zapomocą szumnych nagrobków. Sprawy bieżące wywoływały więc walkę na pióra. W druku mało co się z tego pojawiło, ale wszystko kursowało w odpisach, jak to projekty dworskie, zachęcające do wojny tureckiej, czy też ostre ich zwalczania, — a co sprawa Lubomirskiego albo elekcji *rege vivente* lub po Janie Kazimierzu spłodziła broszur, pamfletów, paszkwilów (prozą i wierszem), to i wyliczyć trudno. W elekcjach brała udział i zagranica, zalecając swoich kandydatów; najciekawszą, po-

[1]) Niekonsekwencja ludzi XVII w. nie znosiła obcych tytułów, ale własne tak mało wystarczały, że, niesłychanym gdzie indziej trybem, urabiano dla synów i córek tytuły od urzędów, nigdy przecież nie dziedzicznych, zastąpiono więc prasłowiańskich Piotrowiców, Pawłowiców, sędzicami, stolnikowicami i starościcami! Spotykamy się z tą manją już na początku XVI wieku (chorążyc).

zornie zbudowaną najlogiczniej i wykazującą niepowszednią znajomość rzeczy polskich, sympatyczną i poważną była broszura Leibnitza. Poleca on, pod przybranem nazwiskiem i indygenatem (Ulikowjusza), swego starego i ociężałego falcgrafa, który jedyny zapewni Polakom i *liberum veto* i nietykalność państwa. Nie Leibnitz — Lubieniecki (bo tak się, mylnie zresztą, wywodził), trafił w sedno, lecz uczynił to Olszowski w „Cenzurze Kandydatów“ (łacińskiej, tłumaczonej zaraz na francuski i holenderski, wywołującej inne *Censurae)*, usunął on wszystkich obcych kandydatów, wskazał i wywróżył Piasta — przyszłego piastuna słabej Rzeczypospolitej. Piastun ten byłby Rzeczpospolitą wtrącił do grobu, gdyby na szczęście sam przedtem nie umarł.

Wobec gradu broszur, omawiających bolączki dnia, rzeczy ogólniejsze pojawiały się rzadko i nie zostawiały śladu. Na początku wieku Sebastjan Petrycy, niegdyś filozof akademji, potem jej czcigodny medyk, spłacił dawny dług wdzięczności, przyswajając nareszcie literaturze polskiej Arystotelesa, z którego traktatów czerpano wyłącznie całą wiedzę polityczną. Przetłumaczył on pokolei jego Ekonomję, Politykę i Etykę, streszczając każdy rozdział dla „ułacwienia“, przywodząc argumenty „za i przeciw“ i opatrując księgi przydatkami. Dzieło Petrycego pachnie średniowieczyzną; argumenty jego są najnaiwniejsze (np. wielcy mężowie nie powinni znać muzyki, gdyż ani przy bogach, ani przy nich poeci nie wspominają nigdy muzyki i śpiewów, przynajmniej, póki są trzeźwi), nadrabia przeważnie starożytnością, ale w dodatkach zawiera nieraz cenne, a zawsze charakterystyczne uwagi; zbija astrologję, chociaż przytem święcie wierzy, że złodziej nie przełknie nigdy sera z nakreślonym *prax max emax*; jako mieszczanin nienawidzi Żydów i żąda ich wygnania, powtarzając bajki o krwi i hostjach; ale ujmuje się rzetelnie za akademją, biada nad poniżeniem stanu uczonego w Polsce — we Francji doktorat nadaje szlachectwo, u nas taż baba na tychże kolech; Polak nie doktoryzuje się we Włoszech, bo to dla szlachcica zbyteczne; najbardziej jednak ujmuje się za plebejuszami i za pospólstwem i tu staje się najwymowniejszym, kończąc westchnieniem: „owo wszędzie biada, wszędzie niewola, wszędzie ucisk i udręczenie serca na pospólstwo nędzne“, którego przecież „więcej daleko likiem, niż szlachty“. Na swe wywody polityczne byłby chyba usłyszał to, co każdy, który „rząd składny chciał podać“:

wara ty duda, mauczysz po szkolsku
Łacinąś tylko mądry, a błazen po polsku,

gdyby go losy nie zagnały do więzienia moskiewskiego, gdzie składał Horacego i naginał ody wenuzyńskie do smutnych czasów i okoliczności polskich. Dzieła jego, począwszy od dedykacji biskupom i wojewodom z ciekawemi biograficznemi szczegółami, są pełne trafnych uwag mimo swej scholastycznej obłóczki. On to już żądał, aby na sejmach konkludowano większością, nie jednomyślnością, której osiągnąć niepodobna; słusznie zwalał na nią niedochodzenie sejmów, krępowanych nadto partykularnemi instrukcjami. Petrycy jest wybitnym przedstawicielem nauki i tendencyj mieszczaństwa; godnie obok niego stawali juryści, filologowie i medycy: Dresner i Burski (zamoyscy), Syrenjusz (autor obszernego herbarza), Joanicy i Sykst (dzieło o Cieplicach w Szkle, tłumaczone i na rosyjski!) — ale już następna generacja mieszczańska mężami podobnej nauki szczycić się nie mogła.

Ponad skromne i ciche mieszczaństwo Petrycego, Siemka i i. wzniosła się butna szlachta rokoszowa, nie uznająca żadnych powag, prócz swego widzimisię. Mózgiem tej szlachty był **Szczęsny Herburt**, D. D. (dziedzic Dobromilski): pióro — brzytwa, umysł — Wulkan, pycha — Szatan, jedno z tych ruskich „korolaniąt“, którym nie dorównał dostatkami, a których zato stokrotnie przewyższył rozumem, wiedzą i pracą. Niegdyś Zamoyszczyk, aż znienawidził Żółkiewskiego, a pokumał się z djabłem Stadnickim. Najbystrzejsza głowa w Polsce XVII w., ale losy nie sprzyjały nigdy „ingeniom“ polskim; niewiele zostało i po nim, nadzwyczajne zdolności poszły jakby na marne. Napisał autobiografję, najkrótszy i najciekawszy zabytek całego wieku, ale umieścił w niej takie zagadki, że i dziś nie wszystkie jej węzły rozwiążesz. Za nic miał tu i Zygmunta i Zamoyskiego; wprowadził pieśń ruską, pisał w prozie polszczyzną, jakiej prócz Lubomirskiego nikt w XVII w. nie dosięgnął; omijał każde słówko łacińskie, ale łacinę znał świetnie, jego wiersz „Gratis“ na jezuitów jest pisany z piekielną ironją, jakiej przed nim ani po nim nikt nie używał; to Gratis, bo ten wyraz tylko Brosciusz (zob. niż.) położył na czele swojej broszury, samo ubodło już jezuitów do żywego i ubiło jego broszurę.

Przeważna część rokoszańskich pamfletów i rozpraw, polskich i łacińskich, wierszem i prozą, wyszła z pod jego pióra, ale bezimiennie i należy je wyławiać z powodzi pism ówczesnych. Poznasz je po stylu i szerokim widnokręgu; w przeciwieństwie do naszych domatorów buja po Europie, zna stosunki, literaturę francuską, Sorbonę; w dziejach polskich biegły jest, jak nikt inny, Eneasza Sil-

wjusza, Orzechowskiego, (sam przecież wydał w swoim Dobromilu jego Annales i Długosza!) jak również Uchańskiego często cytuje i, o czem się naszym wartogłowom ani śniło, zna nawylot dzieje i literaturę starożytną. Bankructwo rokoszowe złamało mu skrzydła. „Herkules Słowieński“ ugrzązł w Dobromilu i niebawem życia dokonał. Własne zamiłowanie literatury (podziwiał Miaskowskiego, on też w świat puścił anegdotę o Kochanowskim i Reju) nie wydało obfitszych plonów prócz satyr, zabójczych inwektyw na jezuitów i pamfletów na króla i rojalistów, co wszystko czas pogrążył w zupełnej niepamięci; dziś dopiero należy go odkopywać.

Tego szalonego temperamentu brakło innemu pisarzowi o nadzwyczajnej wiedzy, wykształceniu, trafności sądu, prawdziwemu antypodzie rokoszanina.

Łukasz Opaliński był politykiem i poetą, znawcą hebrajszczyzny i greki, rojalistą z przekonania i marszałkiem nadwornym. W (anonimowej naturalnie) „Rozmowie plebana z ziemianinem albo dyskursie o postanowieniu teraźniejszym Rzeczypospolitej i o sposobie zawierania sejmów“ (1641), najmądrzejszem piśmie politycznem całego wieku, rozdzielonem na owe dwie części, wyrażone w tytule, z naciskiem żądał powiększenia władzy monarchicznej, „której teraz cień i godność władzy próżna“. Twierdzi, że to niemożliwe, aby państwo w tym stanie, do jakiego teraz zdąża, długo mogło istnieć, jeśli „nie cofnie się pod więtszą panów swoich władzę“, z czego już wykroczyło. Pleban krytykuje wszystko: mniemaną wolność, zwłoszałą Polskę, tak, jak niegdyś pleban Orzechowskiego i Kochanowskiego (we Wróżkach, które Opaliński znał i naśladował); szlachcic jednak, i to jest smutne, słyszeć nawet nie chce o tych „utopiach“; nasza wolność nie zniesie porządku, „*ataxia*“ jest jej cechą przyrodzoną; praw mi nie o tem, co być powinno, lecz, co być może. Na drugi więc dzień pleban ogranicza dyskusję do sejmu i jego obrad, których świeży przebieg marszałek sejmowy znał i oceniał najlepiej; podaje bardzo trafne uwagi nawet przeciw sejmowej retoryce, trawiącej czas bezpłodnie. Władysław IV i senatorowie chwalili wielce to pismo; szlachta odpowiedziała na nie „posłem z Upity“, Sicińskim.

Sympatje szlacheckie były po innej stronie; schlebiała im „Perspektywa“ starego Korycińskiego, próbka spustoszenia i obłędu, jakie w myśli polskiej stworzyła „złota wolność“. Mimo to albo raczej właśnie dlatego cały wiek odznaczał się nadzwyczajną drażliwością na niedyskrecję obcych, którzy z nieświadomości lub „za-

wiści“ ganili polskie porządki i za polskimi autorami powtarzali wierszyki o tem niebie szlacheckiem, raju żydowskim, czyśćcu panujących, piekle pospólstwa; żyją tam bezprawnie, stroją się po anielsku, biesiadują po królewsku, mieszkają po świńsku, śpią po piesku, a giną — kiedy i jak chcą. Już Starowolski występował przeciw takim „obmowcom“ Polski; Barklaj, słynny humanista, poruszył umysły krótką o tem wzmianką, i Łukasz Opaliński na jego kilka wierszy odpowiedział całą obszerną księgą; „Obroną Polski przeciw Barklajuszowi“ (po łacinie, 1648 r.), napisaną w przeddzień katastrofy, a więc jeszcze dumną i niestrwożoną, odbijającą wyniośle wszelkie zaczepki obcych. Ten sam krytyk polskiego sejmowego nierządu, teraz, obrażony w godności narodowej, nicuje nawet styl Barklaja, co już wcale nie należało do rzeczy; zresztą księga ta najkorzystniej świadczyła o nauce, trzeźwości i patrjotyzmie autora. Zna on historję, ekonomję, autorów starożytnych, nawet romansopisarzów francuskich, *(d' Urfé)*, cytuje ze szczególną lubością Kochanowskiego i Sarbiewskiego, i krytykuje, przyczem dostają się porządne cięgi Francuzom, ich literaturze, ich szlacheckiemu wychowaniu, nawet nocnemu bezpieczeństwu po ulicach paryskich.

Mniejszą wrzawę wywołał znany statysta i profesor, stronnik szwedzki, Conring, który na prelekcjach helmsztadzkich wyraził się uszczypliwie o celu Polski szlacheckiej *(vita luxuriosa)* i ze strony ucznia-słuchacza wywołał spóźnioną ale obszerną odprawę; ta naturalnie wyszła po łacinie, pod pseudonimem (Marinius), traktowała szeroko o rzeczach polskich wogóle i wywołała nową, zgryźliwą refutację, gdyż nadto odbiegła od założenia. Inni też obcy(?) nieraz zabierali głos w sprawach polskich (Frangepani i t. d.), np. w dyskursie o nieszczęściach Polski, rozmowie między Wielowiedzkim a Prawdomowskim, tyczącej głównie rzeczy wyznaniowych, (po wygnaniu arjanów, gdy kalwini drżeli o własną skórę) i elekcji *vivente rege*, zaprzątającej żywo umysły: obawa i niechęć przeciw Habsburgom jawnie przebija w tych pismach.

Mimo smutnych doświadczeń lat 1656 — 1670, mimo to, że głosy obcych odzywały się coraz częściej i coraz nieżyczliwiej, brnęło się dalej w nierządzie. Apoteozę nierządu przedstawiała szkolna rzecz jezuity z kolegjum jarosławskiego, Walentego Pęskiego z r. 1671, *Palatium reginae libertatis*, drukowana 1728 r. po łacinie i po polsku, słynna *„Domina Palatii“* (w znacznem skróceniu), skarbnica anegdot, cytatów, ozdób (od herbów), przykładów histo-

rycznych; najciekawsze są dyskursy przyjacielskie o wolności, czy wszystkim ludom przysługuje, czy i kiedy zniszczeć musi, jakie są jej podstawy (liberum veto, ziemiaństwo), w czem obcy ją ganią; korzysta i z Opalińskiego, którego cytuje właśnie jako autora owego Dyskursu z r. 1641. Przyznaje, że Polska „nierządem stoi", t. j. nie trybem zwyczajnym u inszych narodów, niby też nie po ludzku, *ale po niebiesku;* powtarza smutny argument, że Bóg czuwa osobliwie nad Polakami, żeby go „rekreowali i cieszyli"; jako błazna, od którego pan odpędza chłopców, gdy mu zbyt dokuczają — tak i Polskę Bóg ratuje zawsze z niechybnej napozór toni; świadomie twierdził, że wolimy wolność, choćby w błocie, niż niewolę w złocie. Traktat cały nadzwyczaj ciekawy, już choćby dla niezwykłego oczytania w rzeczach polskich (i rękopiśmiennych, np. Orzechowskiego), dla wielu bardzo charakterystycznych orzeczeń, anegdot, rysów (co np. zauważył wojewoda Kobierzycki o podwójnem gospodarstwie polsko-litewskiem, o podwójnych hetmanach i t. d.).

Za obłędem *„Domina Palatii"* stała cała szlachta, z najpoważniejszym, najpatrjotyczniejszym przedstawicielem Andrzejem Maksymiljanem Fredrą, marszałkiem tego właśnie sejmu, który prześcignął jeszcze największe obawy Opalińskiego. Marszałek sejmowy opłakiwał gorącemi łzami czyn posła z Upity, ale na włos nie odstąpił od doktryn republikańskich, owszem, w *liberum veto,* w elekcji *viritim* i wszystkich kwiatkach nierządu upatrywał uparcie arkana powodzenia szlacheckiej Polski — nie bez racji, jeśli tylko chodziło o szlachecką i chwilową.

Wyrozumowana anarchja bije z jego aforyzmów, tak, jak i z dyskursów Pęskiego; jest ona ciekawa, pouczająca, nadzwyczaj smutna, chociaż zdobywa się na mądre zdanie, jak np. „Kto mówi: Polska nierządem stoi, sam ma nierząd w głowie"; obok niego zaś twierdzenie: „nie poratuje Polski, tylko stary genjuszem Polak". Fredro broni Polski, tak samo jak Pęski, przeciwko obcym docinkom, a jeżeli zażywał większej sławy, to dlatego, że Pęski nie drukował dyskursów, podczas gdy Fredrowe przestrogi, aforyzmy, przysłowia doczekały się kilkunastu wydań w kilku językach. Fredro obejmował zarazem szersze widnokręgi, był mówcą politycznym — wydał też niby teorję wymowy, głównie panegirycznej, ucząc, jak rozpychać mowy aluzjami do herbów, nazwisk, dni urodzin; był historykiem: opisał, dosyć zresztą błaho, dzieje za Walezego, w których najwięcej miejsca zajęła ekspedycja wołoska za Iwoni; był pisarzem wojskowym, obok obersztera Przyjemskiego

opisując wszystko, od hyberny i stacyj dla wojska, obioru hetmana aż do sypania szańców i musztry „piechotnej“, którą pod nazwą porucznika Lipowskiego wydał osobno[1]).

Opaliński i Fredro nie zatapiają się wyłącznie w swojskich rzeczach, zachowują widoki ogólno ludzkie. A więc Opaliński, równocześnie z „Obroną Polski“, pisze rzecz o obowiązkach, drukuje ją jednak (r. 1649) tylko w dwudziestu egzemplarzach; Fredro wydaje ją ponownie po jego śmierci (r. 1662). W tych trzech księgach, o obowiązkach względem siebie, bliźnich i Boga, ustrzegł się pogańskiej starożytności i średniowiecznej scholastyki, wyszukanego stylu i cytat, i uczył jak najprościej i najjaśniej o obowiązkach, czerpiąc głównie z Pisma Św.; dowiódł prawdy katolickiej przeciw wszelkim herezjom, których był nieubłaganym wrogiem. Gdy tak Opaliński wykierował się na teologa i księgi swe polecał rozsądkowi kościoła, jego młodszy przyjaciel rzucił się do etyki i maksym i w swoich „Przysłowiach“ i in. pouczał, mądrze, poważnie, uczciwie o życiu, ludziach, skłonnościach, ubierając wszystko w aforyzmy, językiem polskim bez skazy, bez makaronizmów — nawet przeciw nim występował: „weź jeno trochę namysłu przed się, nieznający dobra twego, Polaku, a poradź się z uwagą: nie tylkoć dostarczy, ale zbywać nadto będzie słów polskich i wyboru“. Niestety, nikt tego wtedy nie słuchał.

Jeszcze bardziej przypominał kosmopolitę **Stanisław Herakljusz Lubomirski**, polski Salomon, na wzór starohebrajski przesiąkły pesymizmem, zgorzkniały. To, co widział obok siebie, losy ojcarokoszanina, przekonywać go nie mogło o skuteczności rad ludzkich i stałości fortuny; widok nagłych przejść, odstępstw, upadków w kontemplacyjnej, melancholijnej naturze — Śrzeniawici zawsze do łez skłonni — wyrobił ową filozofję niby stoicką, niby chrześcijańską, przekonanie o marności świata, rad ludzkich, o marności nad marnościami. Przeciw zupełnemu zwątpieniu o nieśmiertelności duszy, które go kiedyś trapiło, ustrzegły go głębokie religijne uczucia, wpojone przez jezuicką Brunsbergę. Wielki marszałek koronny,

[1]) I tu tylko nowy dowód niekonsekwencji Fredrowej; skarży się na zaniedbanie polskie ćwiczenia „piechotnego“, a przecież twierdzi na innem miejscu: skoro kopija (husarza) zginie, zginie i polska cnota. Jeśliby nawet Fredro nie był autorem „Piechotnego Ćwiczenia“, toć Lipowski nauczył się wszystkiego na jego dworze. Pan kasztelan używał następnej terminologji: pułkownik, pułkowniczy, strażnik (major); w piechocie i szarże i komenda były niemieckie, na co sarkano mocno, ale, jak ze wszystkiem, tak i z tem się godzono.

jeszcze jako młodzieniec, śpieszył się z drukowaniem maksym („Przysłowiów moralnych“, bo od przysłów je zaczyna). Zato dojrzalsze rzeczy taił, aż przyjaciele wymusili na nim wydanie „Rozmów Artaksesa i Ewandra“; pod wschodniemi nazwami, wedle ówczesnej mody, dyskutują tam polscy dworzanie czy senatorowie w przedpokojach lub w warszawskim ogrodzie zamkowym (jeśli dyskusjami wolno nazywać ich monologi) o wszystkiem: o literaturze i stylu, z bardzo ciekawemi uwagami, nawet o „romaniach“ (romansach) francuskich; o przymierzach i wojnie; o duszy i mikrokosmie; w języku wzorowej czystości, fredrowskim, ale płynniejszym, bardziej gibkim. Wiele tam złotych uwag, choćby taka: „nie dosyć to i miłować autorów, lepiej być samemu autorem, a starsi kogo naśladowali?... Tacit z nikogo tekstów nie cytował, a przecię my go cytujemy“; imponuje nadzwyczajne oczytanie, Lubomirski zna i cytuje literaturę wloską i francuską, łacińską i polską, Montaigne'a i Bakona, a przytem ślepo wierzy nietylko w alchemję, której literatury świadom znakomicie, ale i w gorsze gusła. Uwagi polityczne trafne; to, co powie o „suspicji“, o „kreaturach albo nieuważnych promocjach“, zdradza magnata, wierzącego jedynie w znakomitość „rodu“. Najbardziej w licznych wydaniach i tłumaczeniach rozeszło się pisemko o próżności rad, gdzie domniemane korzyści i szkodliwe widoczne następstwa każdej znoszą się nawzajem, tak, że wynika chyba rozpaczliwa nauka apatji politycznej, aż nadto zrozumiała u Polaka z czasów Sobieskiego.

Obok Opalińskiego i Fredry, Lubomirskiego i Kazimierza Zawadzkiego[1]) popłacały rzeczy popularne, choćby taka „Recepta na to, abyśmy się długo w ojczystej ziemi osiedzieli“ (r. 1682, tłumaczona na niemieckie), nagwałt dzwoniąca przeciw tureckiemu niebezpieczeństwu i wprowadzająca ojczyznę z siarczystą przemową do synów-wyrodków, wyliczającą ich występki, brak patrjotyzmu, nieznoszenie prawdy, zbytki, ucisk chłopski. Albo uprawiano abstrakcje-mieszczanie, Siemek, Lemka lub Petrycy (syn), jakby mszcząc się za usunięcie plebejuszów od rzeczy państwowych, wykładali tajemnice rządzenia (w dialogu między Augustem a Lakonem) — albo pisano o obowiązkach „dobrego obywatela“, lub o edukacji synów książęcych;

[1]) Tegoż dzieło (łacińskie) p. t. „Zwierciadło anomalij państwa Sarmackiego“ zawiera trafne uwagi np. o hetmańskiej wszechwładzy i zrywaniu sejmów; zwrócone przeciw magnatom, miastom pruskim, przeciw dysydentom, przeciw królom, że nie pilnowali granic i lenników, drżące o złotą wolność — dlatego i dla srogiej nietolerancji jezuici przedrukowali je jeszcze w wieku XVIII.

zresztą tłumaczono, przedewszystkiem Justa Lipsjusza, zażywającego w wieku XVII sławy, jaka w poprzednim przypadła Roterdamczykowi; niewszystkie z tych przekładów były drukowane; najobszerniejszy i najgładszy pozostał w rękopisie. Oprócz niego tłumaczono dalej Włochów i Hiszpanów; szlachcic znał i zastosowywał ogółem tylko dwa pisemka, „Rady Kalimachowe“ i „Rokosz Gliniański“; wyjątkowo doczekała się powtórnego wydania Lipsjuszowa „Politica pańskie t. j. nauka, jako pan i każdy przełożony rządnie żyć i sprawować się ma“; inne, już nie pragmatyczne, raczej ascetyczne pismo, Willegasa „Polityka Boża, rządy Chrystusowe“, zwierciadło ewangeliczne dla króla, ciekawe jest choć dlatego, że je przetłumaczył z hiszpańskiego na polski Hiszpan (Janusz Iberski z Andaluzyej).

Oprócz ogólnych, traktowano kwestje szczegółowe, jak indygenatu pruskiego, ekonomiczne, cłowe (Cikowski), mennicze, nietylko prozą, ale i wierszami, np. „Suplikacya do Zygmunta III od pospolitego człowieka dla ortów uciśnionego“, gdzie, jako przyczyna tego ucisku, wytknięci są „hawrusowie“, nasze „kruki chowane, które panu oczy wydłubią“, t. j. Żydzi, przeciw którym w pierwszej połowie wieku wychodziła obfita literatura antysemicka prozą i wierszem, rzadziej z pośród szlachty, a głównie z pośród mieszczan, wystawionych na ruinę. Impuls dał jej ks. Mojecki (r. 1602), przywłaszczywszy sobie i przetłumaczywszy pisma wojskiego sandomierskiego, Hieronima Balińskiego, zadomowiałego szlachcica, gorliwego katolika, niegdyś protestanta, zwalczającego „samoszatańską“ (arjańską) wiarę i Hubickiego.

Najobszerniej wystąpił ks. Sebastian Miczyński w „Zwierciadle korony polskiej urazy ciężkie i utrapienie wielkie, które ponosi od Żydów, wyrażającym“ (1618); najdrastyczniej i najczęściej pisywał wierszokleta Jan Achacy Kmita, w Talmudzie, Procesie bocheńskim, Sendschreiben mieszając plotki i prawdę, baśni i anegdoty; poezji tam nie było, zato są rysy niezmiernie ciekawe dla historji Żydów polskich, dla szybkiego ich rozrostu i wpływu; jak to już w r. 1618, nie dopiero w 1818, było normą: u Żyda najlepiej kupisz, najlepiej sprzedasz, bez niego się nie obejdziesz. Ich organizacja dopełniła się tymczasem w Polsce rządem czterech miast, i pierwsza połowa wieku widziała ich u szczytu zamożności. Tu jednak nastąpił rychły upadek: ruch chłopsko-kozacki zwracał się przeciw Żydom, zniszczył ich na Rusi i wypychał zubożałe gromady na Polskę i Litwę, obniżając tylko kulturę i sposób życia

współwyznawców, tak, że już Pęski szydził z tego niby raju polskiego dla Żydów: uciekałbym z takiego raju, gdzie zawsze Żyd „aż po szyję błotem się zaszarga a parchem śmierdzi na ćwierć mile, lada klechom' kozubały daje a od samych łokietnych dzieci prześladowania znosi", ale i on przyznaje głębokie wkorzenienie się ich w Polskę, z którejby ich potrafił wygnać chyba archanioł z mieczem ognistym. Z całej spuścizny „poetyckiej" Kmity tylko antysemicka przetrwała wiek XVII-ty.

Literatura historyczna nie ma nawet takich dzieł, jak literatura polityczna, ponieważ posługuje się niemal wyłącznie łaciną; ginie w obcej szacie, w imponujących powagą składach togi klasycznej — jest to charakterystyczne dla Polski XVII wieku. Jeszcze początek wieku zdawał się wprawdzie nawracać na lepsze tory, gdy pojawiały się, acz bardzo spóźnione, przekłady polskie foljantów Kromera (Błażowskiego) i Gwagnina (Paszkowskiego); lecz niebawem łacina rozpanoszyła się wyłącznie w dziejach obszernych i krótkich, świeżych i dawnych; jeżeli się co tłumaczyło na polski, to pozostawało w rękopisach. Z dzieł ogólniejszych światło ujrzały tylko „Relacje powszechne albo Nowiny pospolite" Włocha jezuity Botera w przekładzie bernardyna Lenczycjusa: tłumaczowi nie chciało się jednak, odmienić czy uzupełnić choćby wstęp Botera o Polsce; zresztą bez niewoli moskiewskiej do tego dzieła nie byłby się nie zabrał.

Było jednak jeszcze zainteresowanie dla historji obcokrajowej; podejmowano przekłady, dowodzące europejskiego stanowiska umysłowości polskiej, z którem np. czeska wzięła rozbrat stanowczy na półtora wieku. A więc znakomite dzieło jezuity Strady o wojnie belgijskiej (tłumaczone na włoski, francuski, hiszpański i t. d.), było wcale jeszcze świeże, gdy Polak je przetłumaczył, w rękopisie (z r. 1652) widzieliśmy jednak tylko pierwszą jego dekadę: wobec hiszpańskich sympatyj jezuity tłumaczył to chyba katolik. Były dzieła o historji szwedzkiej — pociągającej choćby dla dynastji — a niebawem i wojen. W innych przeważał ferwor antymohametański, i tak doczekały się tłumaczeń historja zakonu maltańskiego (Włocha Bosjusza, w r. 1623) i historja wojen krzyżowych, jeszcze średniowieczna, ale również znakomita, 23 księgi Wilhelma, arcybiskupa tyrskiego wraz z ich kontynuacją (Helmoda). Tłumaczem ostatniego dzieła r. 1652 był Zygmunt Stefan Koniecpolski, sędzia sieradzki, który rok przedtem wypisał wnukom obszerny rodowód swej familji również po polsku, nie dla chwały rodziny, lecz „aby wiedzieli o związkach pokrewnych, a w nich raz będąc, onych

nie powtarzali", gdyż niema nad nimi błogosławieństwa boskiego, „skąd i rozumny gospodarz konia stada swego ze stadem swoim nie łączy, mając w tym *experientiam*, że się to nie nadawa".

I mieszczanie nie zalegli całkowicie pola, ale tylko Lwów w Zimorowicu doczekał się sumiennego i gorliwego badacza swych dziejów; Warszawa, zbyt młoda, żyła teraźniejszością i nęciła do opisywania swoich dworów i pałaców, królewskich i pańskich (wierszami Jarzemskiego); Kraków opisywał kościoły i relikwje (Przewodnik czyli Kościołów krakowskich opisanie z roku 1603, rozszerzone w „Klejnotach stołecznego miasta Krakowa", właściwie Cezarego, niby to akademickiego pedla, Pruszcza) albo zdobył się na kronikę zboru protestanckiego (Węgierskiego, wydaną z rękopisu dopiero przez Bandtkiego). Ale ów Petrycy, mieszczanin i profesor, ufundował w r. 1621 osobną posadę akademickiego historjografa, który miał spisywać corocznie dzieje, własne i obce, i przedkładać akademji. Fundacja weszła w życie i przetrwała przez cały wiek XVII, acz ze znacznemi przerwami; najpierw syn fundatora, Innocenty Petrycy, również medyk krakowski, ogłosił drukiem dzieje roku 1620 i 1621; reszta prac zaległa w rękopisach, np. owego słynnego panegirysty, Bieżanowskiego, z lat 1666—1688, a przed nim roczniki Stanisława Temberskiego, z lat 1647—1656. Temberski, chociaż z pochodzenia szlachcic, tak się zżył z Krakowem i akademją, że uchodzić może za rzecznika krakowskiego mieszczaństwa, jego zapatrywań i biadań na szlachtę i nierząd; w roczniki swoje wciągał surowy materjał, listy, akty, a choćby paszkwile polskie (na poborcę i zdziercę Chrząstowskiego) i łacińskie na akademję, lecz wcale się nie pokusił o wyższy stopień dziejopisarskiego kunsztu.

Wiek XVII wydał ogółem licznych historyków, lecz niema między nimi znakomitszego. Wprawdzie zaczęto pracę historyczną od ważnego zadania: jedyną trwałą, znakomitą zasługą warchoła szlacheckiego, Herburta, było spłacenie długu narodowego wobec dawnych dziejopisarzów, Orzechowskiego, Kadłubka, Długosza, wydawaniem ich dzieł w Dobromilu. Długosza jednak musiał przerwać na pierwszym tomie, bo nietolerancja i wrażliwość szlachecka zaprotestowała przeciw dalszemu ciągowi, niby odsłaniającemu tajemnice polskie zagranicy (głupszej wymówki nie można było wynaleźć), i znowu gorący miłośnik ojczyzny skazany został na wiekowe milczenie, które przerwał dopiero konsyljarz rosyjski (Huyssen). Z dzieł Długoszowych pojawiły się w druku tylko żywoty biskupie (poznańskie i płockie) i legendy, w oryginale i tłumaczeniach

(św. Kinga, Mojeckiego, św. Stanisław, Wilkowieckiego, jeszcze w wieku XVI). Ta nietolerancja odbijała się tem bardziej na spółczesnych historykach, nawet na biskupach, Piaseckim i Łubieńskim, traktujących dzieje Zygmuntowe: to, że Piasecki śmiał dotknąć Boboli i jezuitów, że Łubieński bąknął prawdę o rokoszu i Guzowie, wywoływało protesty, utyskiwania, paszkwile (jezuickie na Piaseckiego, którego zaraz łajano od matki i rodu, ale w jego obronie powstawali inni) — po ówczesnych rękopisach uchodziły przed burzą tylko puste i panegiryczne dzieła, jak Kobierzyckiego Władysław IV. Brakom nie zaradziło i owo ustanowienie uniwersyteckiego historjografa, którego praca pozostawała w rękopisie, przez całe dwa wieki, jak i zbiory Radymińskiego, pożyteczne dla dziejów uniwersyteckich, jak dzieje domów jezuickich, prowadzonych corocznie, z których dziś ocalały bardzo obfity diarjusz ks. Wielewickiego, krakowskiego domu św. Barbary i mniej obfity poznański.

Dzieła te mieszczą nieraz bardzo cenne szczegóły, szczególniej Wielewickiego (o Samozwańcu i jego roli w Krakowie), lecz przeważają w nich sprawy dla nas drobne, zatargi akademji z biskupem, jezuitów z akademją, wyłożone zbyt obszernie; rzeczy obce traktowane są pobieżnie; język obcy zaciera cechy polskie; sąd bywa stronniczy, *pro domo;* samodzielny znajdziemy w gorzkich uwagach i przytykach Temberskiego.

Wobec milczenia źródeł domowych obce nabierały znaczenia, np. takiego francuza Bizardiere z historjami sejmów elekcyjnych (tłumaczonemi na angielski, niemiecki, holenderski), przed nim Pastorius, Wassenberg, Rudawski (Polak, przenoszący się do służby cesarskiej, wydany zresztą dopiero w roku 1755) i inni. Z domowych, prócz Sobieskiego, Kobierzyckiego, Kuszewicza i innych jeszcze drobniejszych, najobszerniej i najsumienniej wywiązał się z zadania historjograf Sobieskiego, dawniej poeta, Wespazjan Kochowski, który wyłożył w czterech „klimakterykach“ (perjodach siedmioletnich) dzieje Polski od śmierci Władysława IV; z nich jednak tylko trzy wyszły za życia autora (1683 — 1689). Korzystał on z aktów urzędowych i listów prywatnych, z relacyj pisanych i ustnych przedmiotowo, spokojnie, obszernie i pragmatycznie; wady jego to styl i język, oba łacińskie, przyćmiewające zupełnie kontrasty, cechy, blaski polskiej zawieruchy za Kozaków, Szwedów i Michała, a inna wada to zbytnie niemal szowinistyczne uwielbianie wszystkiego, co polskie. W każdym razie aż do Naruszewicza było to ostatnie większe dzieło historjografji polskiej;

albowiem Zawadzkiego „Historia arcana“ (czasów Michała) łudzi swym tytułem, zapowiadając odsłonięcie tajemnic, czego w samem dziele niema. Również nie wnikają głęboko pierwsze polskie „Rozmowy Umarłych“, nadzwyczaj lubiona i nadużywana wtedy w Europie forma, w której niby z pól Elizejskich miano odsłaniać właściwy sens i cel zdarzeń i kroków dziejowych; pierwsze polskie, między Wiszniowieckim (Jeremim) a Sobieskim, między Wydżgą a Radziejowskim, zawierają kilka ciekawych, a choćby skandalicznych szczegółów, głębiej jednak nie sięgają, chociaż autor (Jabłonowski) mógł wiedzieć niejedno.

Najwybitniejszym polihistorem wieku był Szymon Starowolski, przypominający uprawą wierszów i prozy, teologji i historji Warszewickiego XVI wieku, niższy od niego co do formy, stylu i talentu, przewyższający go wiedzą, pracą, powagą i charakterem. Bakałarzował w uniwersytecie i po dworach magnackich; bywał sekretarzem, jeździł po świecie i dopiero w późnych latach wstąpił do stanu duchownego. W domu i obozie, w kraju i zagranicą pracował najwytrwalej na najrozmaitszych polach, zawsze służąc miłej ojczyźnie: w dziełach, spisywanych po łacinie, wystawiając jej dzieje i chwałę światu, a po polsku strofując braki, budując umysły; czynny i ruchliwy wszędzie. Nie powiodło mu się tylko za pierwszym występem, gdyż dzieło o Zygmuncie Starym natrafiło na nieprzewidziane przeszkody, na ową podejrzliwość i zazdrość, o którą i Długosz się spółcześnie rozbił; odtąd Starowolski rzucił historję, chociaż o jej pożytku i metodzie wydał osobną książeczkę, pierwszą jej metodologję, i pracował tylko na polu biografji, statystyki (opracowując dla Elzewirów „Polonję“) i innych nauk pomocniczych. On to przedstawił światu sławnych mówców i hetmanów polskich w szeregu krótkich wizerunków, nie bez ogólnikowych pochwał i porównań ze starożytnymi; on wyliczył kilkuset literatów polskich, głównie niemal tylko prozaików, i to przeważnie z dzielnicy małopolskiej i ruskiej; i tutaj nadrabiał nieraz ogólnikami i zbytniemi pochwałami, mimo to stworzył pierwszą rzecz na nieco większą skalę o literaturze i literatach i, chociaż np. nie wspomniał o Reju, i nie zachował żadnego porządku, niejedno i niejednego ocalił od zupełnego zapomnienia. Również przysłużył się zbieraniem nagrobków — to wszystko, jak i rzeczy kanoniczne i inne, po łacinie. dla Europy. Za jego przykładem P. Potocki, długoletni więzień moskiewski, po łacinie opisał setkę sławnych Polaków w drugiej połowie wieku (Centuriae).

Dla ziomków opisywał, wedle źródeł obcych, i dwór cesarza tureckiego, wcale zajmująco i pouczająco, co potem tłumaczono na rosyjski. Zajmuje go nietylko kwestja wschodnia, tatarska i turecka, piekąca i groźna, ale i materjalne zatargi szlachty z duchowieństwem; najwięcej zaś stan, a raczej upadek moralny kraju. Pióro jego zdobyło się na kilkadziesiąt broszur, wpajających to samo na coraz inny ład, bezimiennych lub znaczonych literami S. S., suchych i wymownych, satyrycznych i poważnych, wierszem i prozą. Już w roku 1618 wystąpił z „Pobudką albo Radą na zniesienie Tatarów perekopskich", a w r. 1633 z „Dyskursem o wojnie tureckiej". Projekt ten obronnego systemu linji fortyfikacyjnej przeciw Tatarom, za którą miała zdążać linja kolonizacyjna, był bardzo wykonalny (tak Moskwa działała), do mrzonek należał zato projekt ligi europejskiej, (i po łacinie formułowany dla Europy); do spraw tych wracał i w innych pismach polskich. Pomijamy ascetyczne, dosyć abstrakcyjne, najobszerniejsze ze wszystkiego, co pisywał, homiletyczne zbiory kazań, mianowicie i Maryjnych, niewyróżniające się zbyt od ówczesnych powodzi, mniej jednak płaskie, mniej drastyczne, a zatem i mniej zajmujące, niż ks. Liberjusza i innych. Co pomijał kaznodzieja, tego tem ostrzej i częściej dotykał satyryk-moralista, od, niestety, wierszowanego „*Votum* o naprawie Rzeczypospolitej" (r. 1625) aż do Robaka sumienia złego człowieka.

W *Votum* rzecz przedstawił najkrócej, wyliczając materje *statusu* i projekty reformy. W „Reformacji obyczajów", „Robaku" biadał obszernie nad obyczajowem zepsuciem, nad uciskiem chłopów i mieszczan, nad zbytkiem i swawolą, prawiąc w prozie to, co Krzysztof Opaliński wyrażał w wierszu i, jeżeli Opalińskiego oskarżano o przesadę, o zbyt posępny koloryt, o nadmierne uogólnianie trafów i przypadków, tożby należało zarzucać i Starowolskiemu, kreślącemu obrazy niejaśniejsze, dającemu przerażające szczegóły, jakich niema u Opalińskiego. W obu późniejszych pismach, w Reformacji i Robaku (wydanym w roku 1853 pod tytułem Wady staropolskie), przeważa jednak już duchowny, kaznodzieja i, chociaż porusza materje polityczne, powołując się nawet na *Votum*, nadrabia alegorycznym wykładem emblematów, cytacjami ze starożytności, jej anegdotami i maksymami. Obok tych większych obrazów zepsucia, synowskiej niewdzięczności, zdzierstwa „szarpackiego" (umyślnie zamiast „sarmackiego"), żołnierskiej swawoli, zwalczał szczegóły: w „Prawym Rycerzu" pouczał o obowiązkach żołnierskich (wedle słów św. Jana). Głównie wojował o „stacje", o zaprowjantowywanie

się żołnierzy w dobrach duchownych i królewskich — szlacheckie były wolne od „stacji“ — wybierających bez miłosierdzia, co się im podobało, grasujących gorzej, niż nieprzyjaciele. „Zguba ojczyzny stacja“, podobne broszury powtarzał ciągle głosem wołającego na puszczy, a zaczął je dramatycznym dialogiem między księdzem a żołnierzem, który bez ceremonji go nachodzi i łupi (O stacyej, żołnierz z teologiem, roku 1624): żołnierz, służywszy na sześć koni, wraca „na chromej parepie“, więc powetuje sobie na księży, bo

Jam potrzebny, a księża nad potrzebę mają,
A przytem do herezyjej duże się skłaniają,
Bo heretyckich książąt na srebrze wybite
Obrazy zachowują w szkatułach pokryte;

ksiądz nie chce mu dać, chyba *pauperibus*, chyba, gdy klechą zostanie, i żołnierz sobie przypomina, kiedy zamiast akwawity doił dzwony,

Kiedyś to, kiedyś w głowie było: *smigma* mydło,
Abaguder głąb dębów, *gilgil* motowidło,

wyrzeka się tego, wyprawia raczej koncert o kozaczeńku:

Hojże bre bre tałała, drysz brysz bryzelia,

a gdy ksiądz mu piekłem grozi:

Co księże? już ośm lat jak piekło zgorzało,
Dyabli boją się Boga, iż piekło spalili,
Wszyscy się na wędzonce jednej obiesili...
Także kozackie dusze z piekła spalonego
Zniosły przednią gorzałkę do kraju ruskiego.

Spór kończy się nijako, S. S. przestrzega przed przekleństwem, jakie żołnierze ściągają na dom cnych przodków. Równocześnie Starowolski uderzył w drugą słabą stronę, na prywatę, w wierszu „Prywat Polską kieruje, po nim stateczny sługa Rzeczypospolitej następuje“ w roku 1624; powtórzył to samo, dodając Pilawce i nowe skargi, w r. 1649, wtedy, gdy na nowo wydawano „Bicz Boży“ Twardowskiego i „Lecha“ Jurkowskiego. Bardzo tu ostro określono prywata, który sam jada mięso, a ojczyznę „rad częstuje gnatem“, który sejm rozerwie, że i Salomon go nie skleci a podłą robotę „zasłoniam potrząsając gębato prawy i wolnością; moi zaufani śmieją się do zdechu, że prosta brać we mnie prawdziwego obrońcę wolności widzi“ — takie to rzeczy pisano już w r. 1624! Wziąwszy więc z Reja „prywata“, zamiast „statecznego sługi“ wprowadził piękny wiersz Kochanowskiego, którego umiłował nadewszystko, jak Łukasz Opaliński, i, co wtedy było mądrego.

Polihistorów wiek XVII liczył w Europie mnóstwo, lecz od zachodnich polski odznaczał się głębokiem poczuciem obywatelskiem, które mu nigdy nie dozwoliło zagrzązć w samym antykwarstwie, zapomnieć o braci i jej potrzebach.

Starowolski nie jest jedynym satyrykiem-moralistą; nawet w „Reformę“ i „Robaka“, obie jego satyry, pisane prozą, wpłynęły pisma innych, powstałe na początku stulecia, może Januszowskiego (rękopis z roku 1603, wydany przez Bielowskiego pod tytułem: „Paradoksa koronne publice i privatim potrzebne“), potem rozszerzone i wydawane nieraz bezimiennie od roku 1625 („Poprawa niektórych obyczajów polskich potocznych“); nastaje głównie na wady szlacheckie i żołnierskie, na niezbożne konfederacje, na zbytki przy stołach, nadmierne pijaństwo i t. d.

Satyra w prozie mniej jednak popłacała; od Kochanowskiego nauczono się dla niej wierszów; z prozaicznych wypadłoby wymienić, prócz alegorji „Koło ptastwa powietrznego“ (drukowanej jeszcze i w XVIII wieku, gdzie przeniesiono w państwo ptasze polską elekcję z marszałkami, z „nie pozwalam“ i t. d.) jeszcze Falibogowskiego „Dyskurs marnotractwa i zbytku Korony Polskiej“, zamiast wierszów pobożnych, które, „zabywając strachu i nędze“, pisał w więzieniu moskiewskiem, za Dymitra, „kiedy weseleć było jako tako, ale przenosiny w długą były poszły“. Rozmowa to między lekarzem Włochem a autorem, pełna najciekawszych szczegółów obyczajowych, uciesznych dykteryjek, trafnych rysów od Maksymiljanowego wtargnięcia, kiedy to nikt nie słuchał, wszyscy dufali „aż nie długo naszy ku Pradze wyłażą, oskubując się, by wróble z ciernia“, do historyjek również z ziemi krakowskiej, jak to ojciec z synkiem „jęli się za boże poszycia (włosy), zdużał młodszy starszego i, gdy go przez próg przeciągać miał, usłyszał: stój zdrajca, pótym ja swego ojca wodził“, i do historji o Mazurze i naszej „Werszewce“; z bardzo wymownemi skargami na to „lej, rozlej aż wioski lecą“, na tych utracjuszów, u których huczno było, aż się prędko „wypierzył, arjańską (dla ich szarej prostoty) przyjął“.

Jeszcze wymowniejsze są jego skargi na Tatarów, na brak gotowości wojennej, na ich bezkarne plądrowanie, na to, jak jeden carzyk tatarski miewa u siebie w niewoli dwieście kilkadziesiąt szlachty, nie licząc kobiet i dzieci; na nędzne wychowanie, na upadek akademji, gdzie dzieci oddają „bławatno, pierno, kowano, szabeltaszno jako na zaloty“, nikt nie poważa mistrzów chudzineczek — i napróżno kaznodzieja tumowy, ojciec dominikanin Bartłomiej prze-

strzega: ba, nietylkoć my wołamy ale i nasz Zygmunt brzmi. wszędy błędy, wszędy błędy.

Poważną literaturę polityczną i historyczną, a choćby satyryczną, przygłuszała panegiryczna, głównie herbowa. Im więcej się oddalano od trybu i zasług przodków, im mniej dbano o własne obowiązki i spełnianie długu, im rzadziej odnawiano dawne wawrzyny własnym trudem, tem wyżej ceniono klejnot szlachecki, herb i koligacje. Cenił je już wiek XVI, każdą dedykację zaczynał wierszami na herb, ale daleko ustąpił siedemnastemu. Rej, nawet Paprocki, herby malowali, ale prawili wyłącznie lub głównie o ludziach; wiek XVII rozkoszował się samemi herbami. Więc pojawiły się ich zbiorki (Jagodyńskiego, Giermana, Górczyna, Grodzieńskiego), i szerzyły się o szumnych a próżnych, zawsze dziwacznych a niesmacznych tytułach, czego jeszcze nie znał wcale wiek XVI w czem tak się lubował XVII i czasy Saskie. Barok polski przemawia do nas wymownie z owych nieskończonych tytułów — im podlejsza praca, tem szerszym buńdziuczy się napisem: Srebrne złotej Nałęczy zadziergnienie... dobrze i szczęśliwie rozdziergnione i zerwane (1657), Złote runo przyjaznych chęci przez fortunną po herbownej Śreniawie Jazona polskiego nawigacją w rodowitej bramie pod czułą Grzymały strażą znalezione (1737), Pałac nieśmiertelnej sławy, a raczej świątnica honorów trzema trąbami prześwietnego herbu Jordanów głośna i ozdobna (1745), i niezliczone inne polskie, a takie same łacińskie: *Pegasus Wielopolscianus ad gentilitia Komoroviorum flumina decurrens* (1655), *Sidus aureum in triumphali Cynthiae sinu fulgentissimis Sieniavianae gloriae radiis coruscans* (1683). Obszerne dzieła łacińskie, poświęcali więc heraldyce, Koronie Okolski, Litwie Kojałowicz; około herbów toczyły się wiersze łacińskie jezuity Ineza (Stemmata) i polskie Potockiego w foljancie „Pocztu herbów“ i w „Odjemku“, gdzie poeta nadrabiał samemi nieskromnemi aluzjami do herbów. Znajdzie się ich wywody w księgach, niczem zresztą tego niewskazujących, np. w „Demokrycie Śmiesznym“ ks. Kuligowskiego (1699) na stu stronicach herby, od Abdanku do Zenowicza wyliczono i opisano ich dzieje czy początki; tu jednak przeważał zamiar pedagogiczny, aby młodzieży przypomnieć wzory cnót i zasług i moralizująco-satyryczny, aby szlachcie-żołnierzom wytykać ich zdzierstwa, nałajać obcokrajowcom, tym szewcom i krawcom niemieckim i francuskim, u nas plądrującym — bodaj ich z naszej krainy wygnano — do

wojny „zgodniejszy“ Sarmata-szlachcic, nie chłop, bo „który z Chama,

Ten nie folguje i krwi szlacheckiej, bo żywy
Póki świat, chłop nie będzie szlachetnym życzliwy.“

Przeważały jednak w tej literaturze same chwalby; jej panegiryzm przyczyniał się tylko do uśpienia sumień i ogłupienia głów, profanując owo niemal mistyczne znaczenie klejnotu i szlachectwa, jakie jeszcze Rej żywo odczuwał.

I na innych polach prozy wiek siedemnasty ustępował szesnastemu, nawet i w listowaniu, już choćby dla rugowania z listów polszczyzny przez łacinę; ślady ówczesnego jej rozpanoszenia i do dziś przecież nie zatarły się w języku, obfitującym w latynizmy więcej niż wszystkie słowiańskie, a nawet i niemiecki. Zresztą korespondencji tak ciekawej, jaką była Radziwiłłowska, Sapieżyńska dawniej Zamoyska, wiek XVII już nie pozostawił, chyba listy Zbaraskiego, w. koniuszego koronnego, odznaczyły się stylem i dowcipem; inne sławne listy, niezmiernie częste po rękopisach, trącą raczej pamfletami, niż korespondencją, np. listy Jazłowieckiego i Djabła Stadnickiego: ów zaczyna „Niecnotliwy człowiecze, łańcucki krzywoprzysiężco, zdrajco pana swego“, ten odpowiada na „niecnotliwe, zdradzieckie, lżywe, ku..., chłopskie“; niemal również ostre listy mieniali kasztelan krakowski Warszycki i prymas Prażmowski, tenże Prażmowski i Kochanowski, z najwszeteczniejszemi wzajemnemi obelgami; humorystyczne listy kasztelana rawskiego, Mazura Wołuckiego, pytającego np. „cemus by tes (slachta) przy Królu IM. pieconecki z cebulą, wędzonecki z cosnyckiem pozywać nie mieli“, przepędzając „onego sk.....a Sfedzika“ (Gustawa Adolfa), podobały się również powszechnie.

Zato wiek XVII góruje nad poprzedzającym pamiętnikami, wprowadzającemi lepiej, niż wszelkie listy i mowy, w ducha i szczegóły epoki. Wiek XVII jest wiekiem pamiętników. I nie dziw, że w uczestnikach szalonych triumfów i strasznych upadków rodziła się myśl zapisywania tego, co widzieli lub w czem brali udział. Wiek XVI upływał w pokoju i największe namiętności religijne nie wybuchały żadnym płomieniem nazewnątrz, ciszę przerywały na krótko elekcje czy wojny Batorowe; teraz, u samego progu stulecia, sam udział w cudownej i tajemniczej sprawie Samozwańców rozruszał umysły i pióra. A był to tylko godny wstęp, przygrywka tego, co całe stulecie miało przynosić. Wojny domowe moskiewskie, tureckie i tatarskie, kozackie i szwedzkie, Kłuszyno

i oblężenie w Kremlu, Cecora i Chocim, Pilawce i Beresteczko, Częstochowa i Warszawa, Kamieniec i znowu Chocim, Wiedeń i Parkany, a choćby Guzów i Mątwy: same katastrofy i triumfy, w jakich Polska nie bywała od Grunwaldu i Warneńskiej.

Pamiętnikarstwo polskie urodziło się 26 maja roku 1606, w krwawe gody moskiewskie, równe paryskim. Jak te gody paryskie zapewniały pokój, uchylały na zawsze bratobójcze walki, i nie przeczuwano, co za straszna rzeź je zakończy i poda hasło do nowych, nieskończonych walk, tak samo gody moskiewskie miały stanąć jako zakład wiecznego pokoju między dwoma wielkiemi słowiańskiemi narodami, brzasku nowej ery słowiańskiej, groźnej dla całego mahometaństwa, rozstrzygającej w Europie, a doczekano się tylko rozognienia i rozjątrzenia plemiennej zawiści do niebywałych rozmiarów. Niedarmoż winowajczyni zwała się Maryną — nazwisko fatalne, protestanci poczęli nadawać je córkom, chcąc dowieść, że Marja „taki człowiek, jak i ja“, choć już w drugiej połowie XVI wieku śpiewano, że ten, co Marję pojmie, „rzadki, co go nie zabiją“. Przepowiednia sprawdziła się i tym razem, tylko nie skończyło się na Dymitrze.

Tajemnicze, zjawienie się w Krakowie „hospodarczyka“, opisane dokładnie przez jezuitów i nuncjusza, pierwsze ofiary mistyfikacji, pierwsze jego kroki, protegowane przez panów polskich, Mniszków i Wiśniowieckich, powodzenia, śluby krakowskie, witane wesołym okrzykiem Grochowskiego na zjednoczenie narodów, krwawy ich epilog, kilkuletnie więzienie i wymuszony wczas uczestników obchodu weselnego, odbiły się w literaturze pamiętnikowej, posługującej się przeważnie polskim językiem, spisywanej jednak dla niewielu, dla rodziny, i ogłaszanej drukiem dopiero po całych wiekach.

Na jej czele stoi „Pamiętnik“ Stanisława Niemojewskiego, który wlazł w tragedję, jak Piłat w Credo; wyjechał do Dymitra z klejnotami królewny Anny na sprzedaż, a wrócił po paroletniem więzieniu. Miał czas przypatrzyć się rzeczom moskiewskim i opisał je otwarcie i bezwzględnie, po raz pierwszy uzupełniając luki literatury polskiej, nietroszczącej się nigdy o to, co ją najbardziej winno obchodzić, o sąsiadów. Gdy Anglicy mieli już najbogatsze i najdokładniejsze informacje Fletchera i innych, u nas byle co bajano o Moskwie. Niegdyś przeceniano jej środki i bogactwa, teraz popadano w błąd jeszcze niebezpieczniejszy; przekonawszy się bowiem naocznie o jej strasznem moralnem i materjalnem

ubóstwie, wmawiano w siebie, że łatwo ją będzie pożyć, zapominając, co znaczą siły, wytężone w jednym kierunku, kierowane jedną wolą, wobec rozprzężenia innych.

Pamiętnik Niemojewskiego ciekawy dla sądów i uwag bardzo nieraz słusznych i trafnych, nawet o ubiorze i pożywieniu, począwszy od niemowlątek, hodowanych mlekiem bydlęcem więc nawzajem bydlęciejących, nieco nuży powtarzaniem wszystkich całkiem bezpłodnych, choć ciągle ponawianych pism i listów, apelujących daremnie do prawa narodów. Inne pamiętniki nie mają tych szerokich widoków, ograniczają się nieraz dosyć suchem streszczaniem ciekawych faktów, pochodów, noclegów, utarczek, np. pamiętnik Borszy, porucznika Dymitrowego, Djamentowskiego, ochmistrza Maryny, Jana Piotra Sapiehy, kondotjera drugiego Dymitra i Maryny, rotmistrza Marchockiego. Ciekawszy jest Maskiewicz z diarjuszem, opowiadającym niesłychany triumf Kłuszyński i również niesłychany głód Kremlowski i uwijanie się konfederatów po Polsce, z pijatykami, nocnemi awanturami, djabelskiemi widzeniami; Maskiewicz, Litwin z humorem polskim, zapowiadającym Paska, nie zadowolił się faktami, jak spółcześni jego towarzysze broni, lecz kreślił i samo życie moskiewskie, pogardę tańców i muzyki, ogólną ciemnotę, aż do szczegółów choćby o izwozczykach, najmowanych za grosz na turę, taksametrów XVII wieku przed paryskimi „fiakrami“. Dalej Macieja Tytłowskiego o roku 1620 i 1621, dominikanina kapelana Okolskiego o wojnach kozackich roku 1638 (co wszystko i Rusini tłumaczyli na cerkiewny).

Nad to drobniejsze ptactwo wzbija się orzeł wysokiego lotu, **Stanisław Żółkiewski**, hetman i kanclerz, charakterem i talentem (wojennym) górujący nad Zamoyskim, ustępujący mu w szerokich widnokręgach umysłowych. Jego pamiętnik kampanji moskiewskiej może się równać z Cezarowemi komentarzami, bo te widocznie przyświecały hetmanowi. To przedmiotowe i bezstronne sprawozdanie, spokojne i równe, ledwie daje odczuwać grozę położenia, próżne hetmańskie wysiłki, gdy najzdrowsze rady odrzucał ślepy upór królewski, a mimo to heroiczne pełnienie obowiązku, od czego u nas stroniono z najbłahszych powodów, dla zadraśniętej ambicji czy próżności. Nie wysuwał się też hetman na pierwszy plan i uchylał niezasłużone komplementy, on jedyny nie stroił się nigdy w żadne barwy i blaski. Niebawem już nie z Cezarem, lecz z Leonidasem przypadło mu zalec własnem ciałem otwarty

szlak do Korony; prostota prawdziwej wielkości bije też z każdej karty „Progresu“ czyli „Początku i progresu wojny moskiewskiej“.

Jakżeż odmienny jest pamiętnik kanclerza litewskiego, **Olbrychta Radziwiłła**, niestety, pisany po łacinie, chociaż już w XVIII wieku przetłumaczony na polski przez innego Radziwiłła. Jest to też niby rojalista, patrjota i katolik, ale przedewszystkiem Radziwiłł, więc będzie gardłował za kalwinem, skoro tylko swój, a więc uderzy w opozycję, skoro mu uszczuplą intrat, nie pomyśli o wzmocnieniu władzy królewskiej, bo mogłaby zaszkodzić familijnym widokom; był to warchoł w zarodku, chociaż możeby jeszcze nie wybujał w Janusza Radziwiłła lub Krzysztofa Opalińskiego. Człowiek pokojowy i pokojowiec, głównie familjant, wiedzący o wszystkiem, opisujący *con amore* i ludzi i czasy, aż do „wircauzów“, do improwizowanych zabaw i maskarad na dworze królewskim, bardzo nabożny, nawet sam tłumaczący ascetyczne pisma innych i komponujący własne; dostały się one do literatury ruskiej.

W drugiej połowie wieku mnoży się coraz więcej różnolitych pamiętników. Jedne trudno nawet nazwać takiemi, np. Golińskiego, Jerlicza, Jemiołowskiego, skoro rok za rokiem opowiadają ogólne dzieje polskie; inne spadają do rzędu krótkich zapisek choćby codziennych, jakby notatek gospodarskich, z skrupulatnem zapisywaniem każdodziennej pogody, np. Chrapowickiego, ciekawsze nieraz dla metereologa, niż dla historyka; inne znowu nadto krótkie, raczej konotatki, niż pamiętniki, Wierzbowskiego, Zawiszy i Poczobuta-Odolanickiego, obu Litwinów, tylko miejscami obszerniejsze i barwniejsze; inne wreszcie ograniczają się do osoby, np. Wydżgi, broniącego Marji Ludwiki, albo łączą razem akty i sprawozdania, nie opowiadając ciągu, jak księga pamiętnicza Medekszy. „Wiedeńska“ wywołała najrozmaitsze zapiski, lecz nikt nie wzniósł się do wysokości epicznej, ani się kusił o odtworzenie imponującej całości. Z tej powodzi literatury, nieroszczącej praw do literatury, przynajmniej pięknej, wyróżniało się opowiadanie przeora Kordeckiego, owiane jednolitym duchem pokory i ufności chrześcijańskiej, o owej, jak dziś wiemy, raczej przypadkowej, zgóry wcale nieprzewidzianej, a w wynikach bardzo przesadzonej gigantomachji, o daremnem kuszeniu się szwedzkich olbrzymów przeciw częstochowskiemu katolickiemu olimpowi i jego kultowi Maryjnemu; po łacinie, dziwne prostotą, przedmiotem, szczegółami, na poły mistycznemi, dokładne, aż do wciągania *in extenso* wymienianych pism i not, aż do rozdzielania roli między oblężonych, począwszy od

wytrąbywania melodyj Maryjnych ze szczytów wieży i rozganiania chmur. Jeden to z bardzo niewielu pamiętników drukowanych spółcześnie, wdzięczny pokarm dla ascetycznego ducha.

Całkowicie należą do literatury pamiętniki Paska, zachowane w jedynym, niezupełnym, niestety, rękopisie, jeszcze gorzej zeszpecone ciągłemi makaronizmami, coraz bardziej obowiązującemi każdego piszącego, i najpodlejszemi wierszami. Ułożone są w formie najprostszej, bo chronologicznie wedle lat, zresztą nierównomiernie, gdyż zbywają całe lata kilkunastu wierszami, a w innych jest aż nadto materji. Tyczy się to dawniejszych, gdy p. Pasek harcował w Danji i Litwie, podczas gdy na piaskach małopolskich fantazja i szczęście mniej dopisywały Mazurowi. Śmieją się z przygód myśliwych, że są wymyślone, ale i żołnierskie niezawsze lepsze, czego dowodem romanse p. Paska. O prawdę dziejową nie chodziło historykowi babińskiemu; o sobie wymyślał różne awantury z bogatą szlachcianką duńską, tak zranioną przez Amora, że, mimo różnicy wiary i ojczyzny, rzucała się na szyję Paskowi, o nadzwyczajnych posądzeniach, niebezpieczeństwach i badaniach, z królem, przysłuchującym się z za kobierca, rzeczy, godne Dumasa, trącące Zagłobą, o zwycięstwach na lądzie i morzu, w istocie bardzo wątpliwych. Ale darujemy chętnie Paskowi to, że przywłaszczał sobie zasługi, których mu nigdy nie przyznamy, podobnie to, że bynajmniej niewszystko w jego rękopisie wyszło z pod jego pióra (np. paszkwil na Prażmowskiego i innych), zapomnimy nawet o człowieku-nicponiu — nieoceniony on pod względem humoru, werwy życia, zamaszystości, z jaką opowiada, co było i nie było. Pierwszy to historyczny romans Polski, godny stanąć obok „Trzech Muszkieterów“ i bohaterów Sienkiewiczowych. Te same nieraz przejścia opowiada stokroć sumienniej, wszechstronniej, gruntowniej Kochowski; na Pasku widzimy, jakimi czarodziejami są język i styl; on tylko, nie Kochowski, daje barwne obrazy, o mieniącym się ruchu i połysku, wprowadza nas w samo życie, między te dziwne natury, czy przed ołtarz, z bębnów sklecony, czy w namiot carskiego wojewody ze strasznem wódczyskiem i huznem łabędzim, czy w taniec odbijany między ziemian małopolskich, szydzących z „Mazurów miłych, gdzieście się popili?“ Każde zdanie, nawet z tą fatalną łaciną, wyjawia Polaka, szeroką i wesołą naturę, rycerski animusz, czy wtedy, gdy się ogania Litwinom z piwnicy, czy, gdy obuszkuje mieszczuchów, czy kiedy w twardej przeprawie nie żałuje szabli, a równocześnie zerka za obłowem.

Nim się Pasek zabrał do pisania, nieraz w kole szlacheckiem opowiadał te dzieje, z coraz to nowemi szczegółami, coraz wyraziststszemi przy każdem nowem opowiadaniu, aż wkońcu chyba i sam uwierzył święcie w to, co napisał. Jowjalność, szczerość i otwartość bije z tych kart ziemiańskich, okurzonych prochem, poplamionych krwią, uznojonych potem, niema tu delikatności, jeszcze mniej było jej w życiu; nic wykwintnego, wszystko aż nadto rubaszne, ale żywe poczucie honoru, klejnotu szlacheckiego, daru, który odsługiwać należy życiem i poświęceniem. Nie spadł ten szlachcic na domatora, czepiającego się klamki pańskiej i nadstawiającego już tylko za powodzenie Jaśnie Wielmożnego łeb i sumienie, a, choć trąci zaściankiem, choć widnokrąg umysłowy niedaleki, choć nadto krewki i rubaszny, bije od niego choćby i zawadjackie poczucie godności osobistej, czegobyśmy wtedy napróżno szukali u innych Słowian.

Opisy podróży tem są zbliżone do pamiętników, że przeznaczano je nie do druku, notowano chyba dla własnej wiadomości, ale w języku polskim. Polska wyróżniała się coraz bardziej od sąsiadów i odmienne otoczenie mimowoli oddziaływało; Wschód nęcił osobliwościami, Zachód uchodził za szkołę poloru i smaku. Wierszomanja stulecia i tu bruździła: co zanotowali pisarz litewski, Pielgrzymowski, w drodze do Moskwy z Sapiehą, albo Samuel Twardowski po drodze konstantynopolskiej ze Zbaraskim, to samo za wczasu domowego przelewali w wiersze. Inni jednakże pozostawiali zapiski w pierwotnej ich formie. Byli to albo uczniowie, i ich zapiski są najmniej ciekawe, np. takiego Mikołaja Grudzińskiego, pisane z podróży na Zachód do Gdańska i miast pruskich w roku 1649, a potem z Wiednia do matki, wszystko bardzo lakoniczne; albo to, co ochmistrzowie, np. Sobieskich, notowali za swoich pupilów. Ciekawsze bywały relacje Paca, pisarza litewskiego, towarzysza podróży królewicza Władysława, wcale szczegółowego, bystrego sprawozdawcy, acz niezawsze całkiem szczerego; dalej Zygmunta Lubienieckiego diarjusz legacji tureckiej, odbytej z Miaskowskim w roku 1640, gdzie wszystko, co widział, obszernie wypisywał od wyjazdu do powrotu: życie na Wołoszczyźnie, przeprawę przez Dunaj i Bałkan, pobyt w Konstantynopolu z ciekawemi spotkaniami jeńców i więźniów, nieraz już całkiem od kraju odwykłych, a czasem pozdrawiających jeszcze biedną matkę w domu, z zakupnami bazarowemi, z etykietą obcych posłów. Opis to ciekawy, chociaż krótki, pisany z wielką werwą, nieoszczędzający skąpstwa pana posła ani

prędkości towarzyszów, którzy za byle co, nawet za tytuł braciszka (jam cały brat!) *ad malos verbos*, a potem do korda się brali.

Zapiski Oświęcima, ciągnące się przez dłuższy szereg lat, zamieszczają i diarjusze obcych (np. tureckie Krusińskiego i Bieganowskiego), ale są zbyt ścisłe i skąpe w szczegóły. Ze sprawozdań Bobowskiego (z długoletniego pobytu w Konstantynopolu) korzystał obcy, Ricaut, w opisie monarchji tureckiej, co przełożono i na polski (r. 1686). Koniuszy koronny, Jerzy Dzieduszycki, opisał obszerniej podróż z roku 1691, zaczął po łacinie, lecz prowadził dalej po polsku, zwiedził Holandję i Francję i najbardziej interesował się fortyfikacjami Vaubana i innych, które opisywał dokładnie — chyba na śmiech, skoro w Polsce burzono stare fortece, a nowych nie budowano; wiele cudzoziemszczyzny, z fatalną nieraz ortografją, w jego notach, chociaż później koniuszy, jeden z pierwszych Polaków całe traktaty pisywał po francusku.

Ruchliwy to człowiek i pisarz, bywalec po świecie, stronnik Sasa, pisywał wierszem polskim i prozą polską i francuską traktaty polityczne (o elekcji króla polskiego, *L'éloquence des conseilles de Pologne*, niby pendant do dziełka Fredry, traktujące wyłącznie o wymowie politycznej) i alegoryczne, np. „Opisanie ogrodu“ wierszem, dosyć ciężkie i suche, niby protoplasta Drużbackiej i jej opisów, chociaż położył nacisk na moralną stronę porównań pilności, pracy; jest nawet jego traktat, widocznie jako koniuszego koronnego, o podniesieniu chowu koni w Polsce — chociaż i ten nie obył się bez wierszów. Pan koniuszy jak spisywał własne podróże i przemowy (wysłany przez Sasa do cesarza Leopolda), a nawet wiersze łacińskie, tak zbierał i opisy obcych, np. poselstw tureckich. Prace jego sięgają już i w czasy saskie; do druku się nie dostawały.

Każde poselstwo pozostawiało w aktach obok prywatnej relację urzędową, począwszy np. od sławnego wjazdu Osolińskiego do Rzymu przez relację Opalińskiego o drodze królowej Ludwiki z Francji aż do diarjusza wielkiego poselstwa z roku 1700 wojewody Rafała Leszczyńskiego do porty otomańskiej. Obok np. prywatnego diarjusza Lubienieckiego jest urzędowa relacja o poselstwie samego Miaskowskiego. Sporo jeszcze takich relacyj i podróży zalega po rękopisach, np. „Diarjusz drogi z Wilna do Warszawy“ Antoniego Burnickiego, albo „Itinerarjusz peregrinationis Romanae“ (po polsku) z roku 1693 i 1700; opis podróży zachodniej (do Belgji i t. d.) Andrzeja Reja z roku 1637 (w towarzystwie posła polskiego);

najciekawszy ustęp w pamiętniczku mieszczanina zamoyskiego, Golljusza, dotyczy roku jego „pennalstwa“ na uniwersytecie lipskim (r. 1650).

Tego bogactwa XVII wieku (wobec rażącego ubóstwa XVI wieku) nawet niełatwo wyczerpać. Wymienić możnaby jeszcze napisany przez innego mieszczanina, rajcę kazimierskiego, Marcina Golińskiego, „żałośny diarjusz pod Zbarażem“ (wraz z wierszowanym „Lamentem Korony Polskiej“) i tegoż *Polonica memorabilia* (1621 — 1661); najciekawszy dla niezwykłej, przewrotnej, bujnej osobistości, *cursus vitae* Boguchwała Radziwiłła (wydany drukiem w polskiem tłumaczeniu), albo Tokarskiego „Memorjał żywota ks. Radziwiłła“ (kanclerza Olbrychta, z ciekawemi rysami arcypobożnego pana, który swe grzechy kazał sługom śledzić, a potem dyscyplinować się, o jego hojności i dobrotliwości — dobrodziej nasz i chłopów, nie pan — ale dostępujący przez niego urzędów i godności musieli zawsze mu „dziękować“ tylu a tylu tysiącami złotych i t. d.).

Najmniej w porównaniu z wiekiem XVI rozwinęła się beletrystyka w prozie; jej zakres raczej się cofnął i zwężył; „Historję siedmiu mędrców“ (Poncjan) i „Historje rzymskie“, Aleksandra i Fortunata, Meluzynę i Magielonę, Ezopa i Sowizdrzała coraz to wybijano i sprzedawano po jarmarkach, np. na Jarosławskim, dokąd księgarz lwowski wysyłał ich znaczne partje. Duchowieństwo przeciw nim występowało, chciało zmyślone rugować prawdziwemi czy pobożnemi historjami; a więc ks. Kazimierz Auspurger napisał „historję o jedenastu tysiącach dziewic“ (roku 1674) i zaczął od przemowy:

> **Fortunat z Meluzyną, fabuły zmyślone,**
> **Mając dla próżnujących koncepta pieszczone.**

Dawne zasoby już się nie pomnażały; przybyła właściwie tylko „Historja bardzo ucieszna o Charykliej królewnie i Teagenesie, z niemieckiego przetłumaczona“ (1663), lecz nie podobała się, chociaż to najsławniejszy romans starożytny, „Etyopiki“ Heljodora, ciekawy z powodu awanturniczej treści (porwanie przez zbójców morskich, szukanie się kochających, dziwne ich przygody) i formy. Lepiej zato podobały się niewybrednym dawne, pochodzące jeszcze z XVI wieku, „Facecje polskie“ z moralizującemi wierszykami, coraz przebijane pod różnemi tytułami, tłumaczone na Rusi, przeważnie zapchane towarem obcym (z Boccaccia). Mniej dowcipne lecz przy-

zwoitsze i, co najważniejsze, swojskie fraszki zebrał „Maurycjusz Trztyprztycki Radopatrzek Gładkotwarski“ w „Co nowego albo Dwór mający w sobie osoby i mózgi rozmaite“ (r. 1650), czerpiący z żywej tradycji, o Piotrze Smoliku, o Danieckim i Żabrzycu; jego dworstwa miały tę zasługę, że nie „śmierdziały, jako Sowizdrzałowe“, ani szczypały lub bolały, chociaż niezawsze to powiedziećby można szczególniej o „dworstwach dworzanina wielkiego Smolika“; były i żarty „Fedka grubego Rusina“ z podróży włoskiej, gdzie mu się podobało, że chleb nazywają panem, ale panów Swiniorami, a trawę jedzą, jak barani (odwieczny to żart polski na sałaty włoskie), i płaszcze noszą, jak cygani.

Największą popularnością dla swych sentencyj cieszyły się Bieniasza Budnego, Radziwiłłowego sługi, „Krótkich a węzłowatych powieści, które po grecku zową Apoftegmata, księgi cztery“ z dziesięć razy wydawane w pierwszej połowie wieku, tłumaczone na ruski po rękopisach i w drukach XVIII wieku. Pierwsza najobszerniejsza księga obejmuje filozofów, druga królów, książąt i senatorów, trzecia Lakończyków, czwarta kobiety, z Wandą i Jadwigą na czele; przystosowane do rzeczy polskich, ozdobione cytacjami z poetów i mówców, chociaż wiersze nieraz bardzo szwankują, np. Owidjuszowe *ingenio formae damna rependo meae*, brzmi tu „więc dowcipem nagradzam, gdzie w gładkości dziura“.

Wiek ten już nie sięga, jak poprzedni, do źródeł niemieckich, lecz do włoskich, a już zaczyna się oglądać i za francuskiemi. A więc trzy wydania miała „Historja bardzo ucieszna z francuskiego języka przełożona młodzianom i pannom przystojnej miłości hołdującym gwoli, a raczej jednej damie w Koronie Polskiej za sam hołd i powinny honor oddana“ (1642 roku), nowela z dodatkami tłumacza i gładkiem przerabianiem listów miłosnych na wiersze: tłumaczem był, zdaje się, Łukasz Opaliński.

Czytano gorliwiej romanse francuskie w oryginale — Stanisław Lubomirski znał je wszystkie, te „zmyślone historje co się Romaniami nazywają... Cyrus, Eromena, Stratonika, Kaloander, Dianea, Taliklea, Klelija, Kleopatra, Faramond i inne, dla polerowania stylu i wymowy przez dworzan i damy pisane“; Sobieski, korespondując z Marysienką, gdy jeszcze była Zamoyską, używał stale kryptonimów z tych romansów, Celadona i Astrei (z Astrei Honorego d'Urfé), polecał jej gorąco „Kleopatrę“ (pana de Calprenède), a od niej odbierał pierwszą część „Cyrusa“ (panny Scudéry). Stanisław Działyński, starosta kiszewski (zmarły 1719) tłumaczył kawalera de

Préchac „Historję o kawalerze polskim“, chełmińskim wojewodzicu, Walewskim, rozkochanym w Beraldzie, pannie z fraucymeru Leonory, żony króla Michała, jak to po najrozmaitszych przygodach, przebieraniach, wierna para połączyła się wbrew rywalce i niechęci ojcowskiej. U Francuzów nie był to pierwszy romans, wzięty z Polski i w granicach historji jako tako utrzymany; poprzedziły go *Les amours de Bonne Sforza, reyne de Pologne* roku 1682 (na angielski przełożone r. 1684), które anonim i na polski przetłumaczył, „Romans o królowej Bonie“, częsty po rękopisach, niemożliwy wówczas w druku; dwór Bony przedstawiony, jako szkoła miłości, gdzie w oczach starego króla ubiegają się o względy królowej Tarnowski, Ostroski i biskup krakowski, co w brewiarzu swoim ma wymalowaną Bonę, jako różne „święcice“, a siebie klęczącego u jej nóg; o najniemoralniejszych rzeczach opowiada się z największą swobodą, stosunki wersalskie wprowadzone na Wawel, ubarwione najostrzejszemi wycieczkami przeciw duchowieństwu, np. „ludzie profesyej tej tak są do pacierzy przyzwyczajeni, że, gdzie za grzech żałować potrzeba, tam się o pomoc do grzechu modlą“. Romans o Don Pedrze, pojawiający się obok „Bony“, najrozwiąźlejszy, dyskredytuje żeńską niewiarę, przed którą nikt się nie ustrzeże: bohater jego wycofuje się wcześnie ze wszelkich awantur, ale zdradza go wkońcu i najgłupsza, właśnie dla swojej głupoty — prześcignięto tu i Boccaccia. Kryło się to wszystko po rękopisach; w drukach bynajmniej nie rozszerzano granic średniowiecznej powieści, a z druków czerpały znowu rękopisy, zbierające zewsząd powieści, wystawiające za główny cel naukę moralną.

Najciekawszą osobistością między tłumaczami jest niegdyś wojski, potem podkomorzy brzesko-litewski, **Krzysztof Piekarski.** Służył on długie lata wojskowo w każdej potrzebie za Władysława IV, począwszy od Chocima, zwalczając szablą nieprzyjaciela ojczyzny, a na stare lata piórem — próżnowanie; najdoskonalszy to typ „baroku“ polskiego. Wybierał tylko takich Włochów; zaczął „Adamem“ Loredana (i Stanisław Lubomirski bardzo go cenił, Włosi dawno o nim zapomnieli), w napuszonym stylu rozbierającego wszelkie ciekawostki i kwestje o raju i pierwszym człowieku, lecz najwięcej użył na „Strasznym Bohatyrze“ i „Suplemencie Bohatyra Strasznego“, przetłumaczonych z *Capitano Spaventa*, nieraz drukowanych. Są to rozmowy Bohatera i sługi, Totumfackiego niby Don Kiszota i Sancho Pansy, najstraszliwsze rodomontady, skoroć Bohater chowa i gwiazdy do szabeltasu, najpoufalej z bogami

się rubaszy (to najdawniejsze trawestje), od kolebki już się kieruje na pierwszego bohatera, rozbija niewiernych zbójców, a przytem sadzi się na uczoność, dając „encyklopedję erudycji“, bo rozprawia o Apellesie i o Likurgu, o koniu Sejańskim i o srebrze Tolozańskiem (przynoszącem nieszczęście), o ucztach Neronowych; zbiór to „dumą wyniosłą rozdętych żartów“ „niepróżnującego próżnowania“ siedemdziesięcioletniego starca. Jest to „Panie Kochanku“ i „Münchhausen“ XVII wieku, ale w stylu zupełnie groteskowym, bizarre; bohater odwiedza słońce, gra w karty z Fatum i Fortuną, pije na krasę i lelum po lelum z bogami i półbogami, pluje Wenerze w kaszę, a niewczesnej śmierci-kochanki nie może się odkaraskać, spożywa kołtunowatą głowiznę Meduzy, rozdaje po piekle ordynanse swej hałastrze urwipołciowatej — słowem, Włoch przebrał się w szaty domorosłego, niewybrednego, ale nieraz arcydrastycznego humoru. Nieprzepłacony jego styl, nie inwencja (bardzo wątpliwego smaku); wprawdzie strasznie rubaszny, dziki i nawet ordynarny, ale zamaszysty, barwny, aż jaskrawy. Przesadza Piekarski Paska, Kochowskiego i Potockiego, pełen animuszu, ponętny tylko dla wojskowych uszu, ale sztukmistrz języka, od którego i Krasiński mógłby się uczyć: począwszy od łbowatej mózgownicy, przytaśmowanej łyczakiem do podkasałej szubienicy, od tego, jak się naumordusił kaszlem, nim się wtorbanił na łóżko, dla zamieszanego smrodliwym rumrychtem powietrza, aż do Endymiona owczarza, utuczonego bryndzą, farynnika Jowisza, mydlarza Apollina i do owej maksymy o żonach: dobra, jak bażant, pióra podłe, ale mięso smaczne, zła, jak liszka, skóra dobra, ale mięso jej chyba dla świń, gdy nagle zdychają — niestety, najciekawszych zwrotów przytaczać nie można, np. z narodzin „Strasznego Bohatyra“ wychodzącego na świat z takim krzykiem, że Dobrodziejka, zapomniawszy bólów, nie oparła się aż boso w trzecim folwarku, mamka, padłszy wznak, straciła pokarm, a kumoszki i t. d.; tacy i jego kapitanowie, Dusigardziel, Stobijgłowa, Burzywalka, Paliłyskawica, Gromiburza.

Nie wytrwał jednak stary Piekarski przy samych żartach, wystawił „Cnoty cel, nie ów, do którego zmierza Macchiawel i inni w akademiej onegoż promowowani politycy“, napisał też „Periphrasis nawrócenia do wiary Szawła surowego, politycznymi przeplatana aforyzmami“, korzystając z wielkiego oczytania w politykach (Bodinus) i historykach (Guicciardini). A za jego przykładem poszła cała prozaiczna literatura, coraz wyłączniej ascetyczna w drugiej

połowie wieku. Wydawano ascetyki, coraz potworniejszych rozmiarów i myśli, a więc bernardyna Krupskiego „Objaśnienia Brygitty“, albo Dzielowskiego „Kalwarję Zebrzydowską“ lub „Gościniec prosty do nieba“ (na dnie tygodniowe rozdzielony, 802 stron, kilka wydań, chociaż Wacław Potocki szydził, wiedząc tylko o stromej ścieżce do nieba, nie o wygodnym gościńcu), karmelity Jana a Jesu Maria i jego tłumacza Cyryla a s. Francisco „Praktykę dobrej śmierci“, jezuity Drużbickiego, sieradzanina, ratującego wraz z jezuitą Tylkowskim jako tako honor polskiej teologji XVII wieku; dzieła te tłumaczone na najrozmaitsze języki (wydawane po angielsku i hiszpańsku w XIX wieku, po francusku i niemiecku w XVIII), Tylkowskiego tłumaczono i na rosyjski, a współzawodniczył z nimi trzeci jezuita, Niemiec, Drekseljusz, w wydaniach i tłumaczeniach z polskiego przedostało się również do Moskwy w XVII wieku jego „Oko wieczności“, „Obraz wieczności“, „Wieczność piekielna“; jego „Słonecznik albo porównanie woli ludzkiej z Bożą“ przetłumaczył kanclerz Olbrycht Radziwiłł w roku 1630, Drekseljusz poświęcił mu inne łacińskie dzieło.

Powódź druków ascetycznych rosła z roku na rok; pojawiały się coraz bardziej wyszukane tytuły książek do nabożeństwa: „Młotek duchowny, w sercach ludzkich, tor Chrystusów drelujący“ (r. 1656); coraz liczniejsze zbiory kazań, ciekawych chyba dla anegdot, żartów i drastycznych zwrotów. Zamilkały umiejętności, ostatnie poważne dzieła wychodziły z pod piór ludzi starej daty, Starowolskiego i Broscjusza, sarkającego wobec Galileusza na to, że prawdzie rzeczowej przeszkadza „opinja“. Poważali go bardzo koledzy, ale nie dlatego, że „cyferkami się bawił“ i nie miał gustu do kursów czysto scholastycznych, nie cenili go, chociaż przeszedł na teologję, lecz, że strasznie przyciął jezuitom, wykazując, co ich kosztuje kraj „gratysowe“ uczenie *(Gratis)*, że akademja ma „Przywilej“ uczenia i że „Konsensu“ z jezuitami nie było, na co jezuita Szembek-Pięknorzecki osobno odpowiada w strasznie obszernym „Gratysie wyćwiczonym“, nie dorównywując ciętości napastnika.

Nie dziw więc, że niebawem na ziemi polskiej już tylko przychodnie sławili się nauką: filozof-pedagog Komeński i polihistor Jonston w Lesznie, poprzednik B. Chmielowskiego i jego Akademji, Heweljusz, astronom w Gdańsku, jurysta Olizarowjusz w Wilnie; coraz rzadziej spotykamy się nawet z tłumaczeniami dzieł poważnych, naukowych (o artylerji, miernictwie, architekturze). Połów nieobfity jest nawet na polu gospodarstwa domowego, nauki pszczelar-

skiej, łowieckiej i t. d., chociaż „Hippiki“ Dorohostajskiego na początku wieku, a Haura „Skarbiec ekonomji“ na końcu tegoż (często przedrukowany i skracany) ten dział reprezentują wcale poważnie.

Jako oznakę czasu, wymienić można dzieła treści moralnej biskupa łuckiego (potem poznańskiego), **Stanisława Witwickiego**, wcale niepoślednie tak, że drukowano je bez zmian i za Stanisława Augusta, górujące nad spółczesnemi, a mimo to głęboko w nich grzęznące, pełne niekonsekwencji, znamiennej dla ludzi XVII wieku, rażącej nas w Opalińskich i Fredrach. Biskup protestował przeciw pławieniu i paleniu czarownic, lecz sam najgorliwiej instygował na nieszczęsnego Łyszczyńskiego; śmiał się z uroszczeń szlacheckich, z przesadnego mniemania o zacności „krwi“ — toć-by pchły szlachecką krwią najwięcej mogły się szczycić — a sam wymyślał dla siebie rodowód od hiszpańskich Gotów i Witigesa i najprzedziwniejsze tytuły np. księcia na Słupcy i Krobi; objaśniał jak najdokładniej ustrój makrokosmu i mikrokosmu, a protestował przeciw rozpychaniu głów młodzieńczych gęsiami słomianemi, t. j. starożytnemi baśniami, całkiem, jak niegdyś protestant Rej, albo mnich prawosławny, Wiszeński, przestrzegający Ruś przeciw „łacinie“; kazał uczyć, że właściwy rzeczownik to Bóg, a czasownik to słowo przedwieczne, wciskając wszędzie teologję. Pomijamy jego „animastykę“ i chemję, traktaty fizjologiczne i kosmogoniczne, porównywanie ustroju człowieka, odbijającego w szczegółach ustrój przyrody (tępanie pulsu przypomina mu przypływ i odpływ morski), bo to pomieszanie prawdy i fałszu, przesądu i przenikliwości, wiedzy i zabobonu cechuje czas i ludzi; przeczy, jakoby Żydzi ślepo się rodzili i potrzebowali krwi chrześcijańskiej i hostji dla przejrzenia; wedle utartej ówczesnej etymologji wywodzi nazwę szlachty z niemieckiego *Schlachten*, ze srogiego przelewania krwi nieprzyjacielskiej; odradza od nauk, od hiperprodukcji inteligencji, niebezpiecznej w wolnem państwie (co już wywodził książę Gonzaga w XVI wieku). Twierdził, że skoro człowiek zniewieścieje przy księgach, odwyknie od szabli i najemne wojsko zdusi potem jego wolności — ale słusznie wymagał, by się szlachta wkładała do broni, do swego powołania, i jeszcze słuszniej krytykował roszczenia sejmików relacyjnych, protestujących przeciw uchwałom sejmowym; każdy stan, wiek, płeć obdzielał „Nauką powołania chrześcijańskiego“ (1684), najobszerniej, naturalnie, stan duchowny, nawet i dla księży unickich; nie skąpił anegdot, szczególniej, aby wykazać marność ryce-

rzów świeckich — pisząc wyborną polszczyzną, w zdaniach krótkich, urwanych, niby maksymy zawołanego mędrca.

Nie w prozie jednak polski wiek siedemnasty święcił właściwe triumfy. Jakby wetując zacofanie i ubóstwo średniowieczne, które nie stworzyło poezji polskiej, rzucił się on teraz dopiero na poezję, i, gdy w literaturach sąsiedzkich, francuskiej i nawet niemieckiej, proza powoli coraz większych praw się dobijała, narazie w romansie, noweli, historji, gdy poezję ograniczano do dramatu i liryki, w Polsce flukty poetyckie zalewały całą literaturę, stawały się niby normą dla polskiej książki. I nietylko forma triumfuje, ale nawet tematy, ulubione w gnomicznej poezji średniowiecznej, zjawiały się teraz dopiero, spóźnione o całe wieki, np. spory wody z winem, rozmaitych stanów, rozmaitych nacyj, spór duszy z ciałem i t. p., albo średniowieczne apokryfy, wizja Tundala i inne, nachodziły literaturę w wieku XVII zamiast XIV lub XV. Niewyczerpane są też bogactwa tej „poezji“, chociaż z właściwej sztuki posiadła najczęściej tylko formę zewnętrzną; dla wydania należytego obrazu literatury narodowej, tej poezji, długi czas zapomnianej, wzgardzonej i nieznanej, poświęcić należy obszerniejszą wzmiankę, choćby dla częściowej jej rehabilitacji.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

POEZJA SZLACHECKA.

Pisarze i pisma anonimowe. Pisarze wybitniejsi; epika historyczna i romantyczna; Twardowski. Epika religijna, mesjady polskie. Satyra Opalińskich. Wiersze dydaktyczne i fraszki: Wacław Potocki. Lirycy religijni i polityczni: Miaskowski i Kochowski; erotycy: Morsztynowie; liryka gnomiczna Naborowskiego. Próby dramatyczne: Lubomirski. Kobiety autorki: Stanisławska.

Zapomniano rychło a gruntownie o bogatej, różnorodnej, a przedewszystkiem narodowej poezji siedemnastego wieku, wprawdzie ani wykwintnej, ani artystycznej, uprawianej całkiem po dyletancku, zbywanej nieraz byle czem, lecz stanowiącej rzeczywistą potrzebę wieku, niezmiernie popularnej, wyrażającej wszystkie jego ideały i pragnienia narodowe i osobiste. Dopiero w XIX i XX wieku na nowo musiano się doszukiwać zasobów, jeśli nie skarbów tej poezji. Kto w tem zawinił, skąd ta niepamięć?

Przedewszystkiem sami pisarze jak najmniej dbają o trwałą po sobie pamięć, trwonią bogate zasoby, nie oglądają się na przyszłość. Gdyby ich literaturę sądzić tylko z tego, co na jaw sami wydali, niewątpliwie sąd wypadłby wcale niepochlebnie, bo i cóżby się na nią złożyło? Z początku sielanki Szymonowica, naśladowane ze starożytnych, i przekład „Jerozolimy Wyzwolonej"; w środku napuszone epopeje Twardowskiego i niesmaczne satyry Opalińskiego; nakońcu znowu przekłady Morsztynów i ciężkie liryki Kochowskiego, a zresztą same piśmidła ascetyczne o haniebnej formie i poziomej myśli, albo panegiryczne, wstrętne pod względem treści i formy; jedne trywjalne i dzikie, inne śmieszne przesadą i wyrazem. Jak na całe stulecie, byłby to plon nadzwyczaj ubogi. W istocie zaś tych kilku cenniejszych autorów, kilka dzieł i owe seciny niezdarnych błahostek nie wyczerpują, ani nawet nie przedstawiają umysłowego życia epoki. Właściwe jej skłonność i

i upodobania artystyczne, najgłębsze i najszlachetniejsze jej myśli, nadzwyczajna ruchliwość jej piór, wszystko, co dla tej epoki jest znamiennem, co stanowi chlubę i zasługę, nie zjawiło się w druku publicznie dla oka profanów i tłumów, lecz krążyło w odpisach, w szczupłem gronie znawców i miłośników, a później ginęło, nieraz bez śladu i na zawsze.

Czy jakakolwiek inna literatura wykaże coś podobnego? Za grubego średniowiecza, kiedy to nie godziło się zapełniać kosztownego pergaminu byle czem, a sztuka pisania służyła tylko wybranym jednostkom, nie dziwiłaby zatrata dzieł, autorów, a choćby i całej literatury, ale w XVII wieku, gdy prasy drukarskie pracowały już od dwustu lat, i wszyscy pisali, liczyć się z rękopisami, z zaginionemi dziełami i autorami [1]), z unikatami, z błędnemi kopjami, — to chyba niezwykłe zjawisko; a przecież tak było, i dopiero w XIX stuleciu zaczęto wydobywać tę literaturę z zapomnienia i zmieniać zupełnie sąd o niej na podstawie rękopisów. W czwartym dziesiątku XIX wieku odszukano Paska, a z nim barwne obrazki obozowego życia i zabaw domowych; w piątym, po odnalezieniu liryk Andrzeja Morsztyna, odczuto po raz pierwszy i w dawnej poezji żar namiętności; w szóstym rycerski poemat Potockiego o boju Chocimskim zaćmił epopeę Krasickiego. Lecz wszystko to, razem wziąwszy, jeszcze nie daje trafnego pojęcia o właściwych zasobach tej literatury.

W wieku XVII wszyscy pisywali wiersze i zajmowali się literaturą, począwszy od Władysławów i Sobieskich; wena poetycka służyła każdemu na zawołanie, szczególniej młody wrażliwszy umysł rwał się do wierszów, lecz nikt nie robił z nich rzemiosła, więc wierszów nie zbierano, ani gładzono, ani kuszono się o coraz większą doskonałość, wreszcie całkiem o nich zapominano. Taki Andrzej Morsztyn, prawdziwe *ingenium* poetyckie, to typowa postać dla całego wieku. Za młodu pisuje dobrze i wiele; bynajmniej nie przesadza, gdy się odzywa do swej lutni:

Tyś i mych myśli uciecha jedyna,
Z tobą się szczera dobra myśl mi wszczyna,
Z tobą zabawa, z tobą próżnowanie
Za zysk mi stanie.

[1]) Tak z udatnego wcale przekładu najznakomitszej nowołacińskiej epopei religijnej, neapolitańczyka Sannazara De partu Virginis (o narodzinach betleemskich) ocalała jedna jedyna karta odpisu, co tylko każe żałować utraty całości; tłumacza-poety nie podobna odgadnąć — ksiądz jaki?

Lecz w druku, publicznie nie występuje nigdy i nigdzie; „takem sobie w domu gędził, abych zły humor odpędził“. Nie dba więc o rymy; obcy je sobie przywłaszczają i składają innym w ofierze, on sam, zajęty coraz wyłączniej sprawami wielkiej polityki, już tylko czasem głosuje rymami jakiś skandal towarzyski; Sobieskiemu np., choć partyzantowi własnego obozu, nie przepuści przedwczesnych zalotów i urychlonych ślubów z Marysieńką (po Zamoyskim) i napisze mu wiersz wcale uszczypliwy [1]), albo wygotuje tren-paszkwil na rozwód panny Stanisławskiej (z kasztelanicem krakowskim, Warszyckim, w roku 1669). Po latach dopiero nalegania przyjacielskie wymuszają na nim, że odgrzebie z prochu i pleśni coś z tego, co sam pisywał za młodu, i pozwoli wydać z pracami innych. Gdyby nie ta przypadkowa publikacja po trzydziestu latach, bardzo wątpimy, czyby dotrwały naszych czasów „Psyche“ i „Cyd“. I tak bywa ciągle: dawno już wielki rokoszanin legł w grobie, a jego przekład „Wiernego Pasterza“ ukrywał się jeszcze zawsze w cieniu domowym. Syn jego również nigdy swych prac nie ogłaszał, i niejedna z nich, może najciekawsza, zaginęła; inne, np. „Ewandra“, wydarli mu dopiero obcy, naprzykrzając się prośbami. Zato wychodziły panegiryki i ascetyki, które pisało ubóstwo, a drukowała próżność; nawet znakomici pisarze, nadomiar złego, ogłaszali ze swoich skarbów rzeczy najsłabsze; Potocki potrafi tylko odstraszyć albo znużyć czytelnika „Argenidą“ i „Pocztem Herbów“.

Czasy nie sprzyjały muzom i z każdym rokiem pogarszały się stosunki. Ogół coraz mniej odczuwał potrzebę wrażeń estetycznych; książka i literatura wymykały się coraz bardziej z codziennego trybu. Przerzedzały się z przerażającą szybkością szeregi znawców i miłośników muz, a dla tych niewielu, co pozostali, starczył jeden lub kilka odpisów dzieł i literatura rozdzieliła się na drukowaną, szkolarską, trywjalną i rękopiśmienną, w której kryło

[1]) „Serenada północna na ślub niezwykły wielkiego stadła, intonowana w Warszawie przy skończonej sprawie (między kawalerem i damą)“. Kawaler mówi:

Pytam, kiedy to będzie, że na jawi
Dawna nam Venus przenosiny sprawi?
Porzućmy przeszłe pokątne zaloty...

przy końcu dialogu czytamy: „przed ślubem wesele... przykład mamy nowy, tak się lęgą sowy“. W drukowanym tekście wiersza na Warszyckich brak większej jego części.

się wszystko wolniejsze, śmielsze, piękniejsze, cenniejsze. Dla druku schlebiał i łgał żak, kaznodzieja i „astrolog“ albo „minucjarz“; w rękopisie poeta, satyryk, nowelista, cieszył, skarżył, malował; tu prawda, humor i piękno — tam przesada, pochlebstwo, maniera, tu poufałe grono znawców, które umiało ocenić pracę i nią się delektowało, tam ogół, który jednak prócz kalendarza, książki do nabożeństwa i awizów z Krakowa, nie czytywał już nic innego.

Literatura nadobna powoli a stale traciła rację bytu. Kochanowski w XVI wieku mógł pracować w przekonaniu, że, pisząc wiersze, służy ojczyźnie i zaskarbia sobie uznanie obywatelskie; teraz literatura staje się rzeczą zbytku, próżną rozrywką bogatych i możnych, cofa się więc od ogółu do kół najwyższych, i to jest drugie, nadzwyczaj charakterystyczne zjawisko. W innych literaturach w równej mierze nigdy się ono nie powtarza.

Zagranicą magnat lub wysoki dygnitarz państwowy sam nie chwyci za pióro, chyba, że napisze pamiętnik swego życia, skreśli memorjał polityczny lub w maksymach dorywczych streści własne i obce doświadczenia, a literaci, wielcy i mali, rekrutują się tam z dworzan, mieszczan, aktorów; nazwiska najwyższych rodów błyszczą w wojsku, lub przy królach, nie na Parnasie. Przeciwnie dzieje się w Polsce XVII wieku; tu hasło demokratyczne: szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie — popłacało szczególniej w życiu literackiem, i roi się pomiędzy literatami od wojewodów i kasztelanów, ba, i od ministrów! Funkcje ich zostawiają im nieraz wiele wolnego czasu, a wino i łowy nie zabijają go zupełnie, jak później; jeśli zaś nie pisują sami, zawsze między ich dworzanami znajdą się tacy, którzyby dla nich hołdowali muzom, szczególniej liczni w otoczeniu Radziwiłłów (birżańskich).

Ta przewaga wielkopańskiego, a nawet ziemiańskiego żywiołu, zadomowionego, staroszlacheckiego, oddziałała znowu niekorzystnie na tryb i tradycje literackie. Magnat albo i zwykły ziemianin nie dbali o aplauzy tłumu; pisząc, nie myśleli o szerszej publiczności, o uznaniu albo nagrodach — pisali dla siebie i dla swoich, obsyłali się nawzajem dziełami i wykluczali je z powszechnego obiegu literackiego, gdzie z roku na rok wzbierała powódź płaskich niedorzeczności, niezrównoważona niczem odmiennem, wybitnem, poważnem, panosząca się coraz jawniej i zuchwalej. Więc i z tej przyczyny, nietylko dla nietolerancji i zaniku popędów estetycznych, lepsza literatura kryła się po rękopisach i ustępowała z wi-

downi przed bezmyślną gawiedzią, przed literackim motłochem. Między tymi pisarzami znajdziemy licznych przedstawicieli znakomitych rodów wszelkich stanów i wyznania, każdego wieku i płci obojej, spotkamy żołnierzów i prawników, świeckich i duchownych, katolików i protestantów, magnatów i mieszczan; z jednej familji można się nieraz doliczyć pięciu, sześciu „poetów".

I cóż oni wszyscy pisali?

Najpierw wiersze okolicznościowe. Nie było zdarzenia w całej Polsce, któreby nie poruszało ich piór; jeśli trybunał zasądził kogoś na śmierć, zawsze się ktoś znalazł, kto wyrok objaśniał, trenem lub żartem, choćby takim Nagrobkiem Bokszy, ściętemu w Piotrkowie roku 1634:

Boksza! Bóg sam zakazał zabijać bliźniego,
Tyś w łeb trafił z rusznice towarzysza swego,
I sprośneś swoją głową często zbrodnie roił.
Przeto cię też kat bez niej na on świat wystroił!

albo wiersze Gawińskiego i Kochowskiego na ścięcie awanturnicy, Machowny.

Każdy rozwód, każde powtórne zamężcie odbywały się przy wtorowaniu liry, nieraz bardzo drastycznem i uszczypliwem, a choćby tylko żartobliwem. Polak, coby dla żartu i przyjaciela odstradał, gdy np. Firlejówna po Sapieże, Rysińskim i *Osolińskim* wychodziła za *Opalińskiego* (Łukasza, marszałka), nie mógł przecież powstrzymać się od żalów nad cną damą, którą trzeci małżonek *osolił*, zamiast cukrować, a czwarty *opalił* tak, że już chyba niema w niej żadnego smaku. Albo, gdy się żenił *Lampart* Sierakowski, posypał się na niego rój epigramów z powodu Lamparta, a on (albo może za niego H. Morsztyn?), każdemu trafnie odpowiedział innym epigramem. Cóż mówić o wypadkach publicznych, elekcjach, walkach, zgonach królów, czy zasłużonych mężów, projektach dworskich, intrygach sejmowych, ubieganiu się o buławę! Lata bogate w ważne wypadki, taki rok 1648 lub 1649, wzbierają też wylewem poezji okolicznościowej, ale i po najdrobniejszych spadają wiersze całym deszczem. Hetman Radziwiłł kazał w roku 1641 zrzucić krzyże w Świadości; natychmiast pojawiło się czternaście „poezyj" o tej „Kalwińskiej wojnie z Chrystusem"; najkrótsza:

Nie miał Chrystus, prócz krzyża, gdzieby głowę skłonił,
I tegoć mu pan hetman litewski zabronił:

W Zabłudowie krzyż spalił, wykopał w Świadości.
Pozbył Chrystus, cokolwiek miał tam, osiadłości.
Bezpiecznie panie Dyable! gdy Boga wygnano,
Tym samym — pod twe prawo majętność podano.

Trafił się posłowi Komuniace (znanemu autorowi listu do Obuchowicza) w Izbie sejmowej *casus* nieestetyczny, po całej Polsce szlacheckiej rozbrzmiał on echami poetyckiemi i nawet uwiecznił się w satyrze Opalińskiego. I tak ciągle. Wiersze to bardzo nierównej wartości i rozmiarów, są i zgrabne, np. czterowiersz po śmierci Zygmunta przez wojewodę bełzkiego Rafała Leszczyńskiego:

Zaszło słonie Polacy! umarł Zygmunt Trzeci!
Cóż uczynim? Starszemu tedy z jego dzieci
Złotą koronę włóżmy na królewskie skronie:
I tak będzie dzień jasny, chociaż *zaszło słonie.*

Ten najobfitszy dział obejmuje wszystkie możliwe opisy i relacje historyczne (wierszami), satyry, epigramy i paszkwile, elegje, skargi i żale, epitalamja, treny i nagrobki. Nagrobki, oprócz w wierszach, piszą i prozą nakamienną, jakby na grobowcu, nieraz kilka pełnych stronic inwektyw albo pochwał, wedle partyjnego stanowiska. Liczne i udatne pisywał kasztelan Grodziecki, obelżywe na Gustawa Adolfa i Waldsztajna, pochwalne na panów polskich, a choćby na brytana króla Zygmunta, Sułtana: autor pyta, czy to nie wróżba losu, że i sami sułtanowie mają tem być kiedyś na dworze Zygmunta, czem mu był ów Sułtan. Najsłynniejsze z tych nagrobków, najczęstsze po rękopisach, na nieudałą „Kawalerję“ (Władysława i Osolińskiego; jeden po najdłuższych wyliczaniach, kto i jak ją „zadusił“, kończy szyderskiem westchnieniem: „Niemasz cię, Orszulo moja!“).

W wierszach tych przemawiają za obiorem cara Aleksego, np. wiersz „kompozycyej Imp. marszałka nadwornego w. ks. lit.“ (przez Lackiego, autora „Pragnień Pobożnych“, wychwalanego z daru poetyckiego) pod napisem „Alarmo Polskie“ albo pobudka:

Do pałaszów, do koni, odważni Polacy!
Nieście na szańc swe piersi, nie żałujcie pracy.
O wolności gra idzie, o wiarę, o prawa,
Przy tym trojgu niech każdy syn ojczyzny stawa.

Przestrzega przed rozdwojeniem elekcji, przed obiorem Galla (kura, który wzleci i opluje nam wolność), przed wojną obu kandydatów, którąbyśmy musieli okupić utratą Litwy; obierzmy cara, on będzie żył wedle trybu dawnych naszych królów, wrócą się

złote czasy, jego wojska przydadzą się nam bardzo; znowu obaczymy rysie, perły, drogie towary, ale cóżby był nam za pożytek z francuskiej ligi, chyba:

Wstążki, perki, fląderki i zamorskie figi!

Poezję religijną uprawiają równie licznie, równie gorliwie autorowie bardzo zresztą nierówni pod względem talentów i poglądów. Nawoływania do skruchy i poprawy nawiązują do zewnętrznych okoliczności, do faktów historycznych, np. „Kozaczek duchowny podczas głodem i wojną ściganej Wielkiej Polski roku 1630 o śmierci dumający", wiersz obszerny i energiczny:

Hej, przesławny Polaninie,
Czym teraz cześć twoja słynie?
Czy rycerskim, mężnym bojem,
Czy kupnym, krwawym pokojem?
Oto w boju i pokoju,
Śmiercią giniesz, śmiercią słyniesz,
W tej słusznej ojczystej krainie.
Nie dosyć śmierć na tym miała,
Że Polaków nazbierała
Po niżowych dzikich Polach,
W pokrwawionych pruskich rolach,
Pobudziła, zajuszyła,
Swe rumaki na Polaki,
Durnego, hardego kozaka.
Na karki nam nastąpili,
Pod nogami którzy byli.
Rycerstwa we krwi polskiego
Chłopstwa brodzi złość wszelkiego.
Na swe pany lud poddany
Następuje, nie folguje,
Okrutny, przewrotny heretyk.

Podobnie prostych, szczerych wierszów bywa sporo w każde ciężkie lata, a ileż-to nie przesunęło się ich nad Rzeczpospolitą w ciągu owego wieku! Z nabożnych rozmyślań wynikały poematy o śmierci, warjacje na temat „Próżność nad próżnościami, a wszystko próżność"; końcowy czterowiersz „Światowej rozkoszy" powtarzano osobno, jako *Nagrobek:*

Bryła ziemie — mój zamek, a pokój — tarcica;
Na łokieć ziemie — mój sklep i moja piwnica;
Poduszka — twardy kamień; ubiór — gnoju szmata;
Robak — sługa; tać wszystka korzyść tego świata.

Błagania o odpuszczenie grzechów i łaskę bożą bywały i u najswawolniejszych poetów, np. u obu Morsztynów. „Zegar

bojaźni Bożej“ (wybijający dwadzieścia cztery godziny) powtarzano w zmienionej formie jeszcze w drukach XVIII wieku.

Marsowym animuszem brzmiał „Zaciąg Pana Chrystusów żołnierza chrześcijańskiego“: dialog między hetmanem (Chrystusem) a żołnierzem (chrześcijaninem):

Do mnie, co żywo! wielkiego hetmana,
Onego króla i wszech panów Pana;
Sam, sam bywajcie, ktokolwiek ściśniony
I od książęcia świata ukrzywdzony!
Żołnierz: Niech wiem, kto z taką ochotą podnosi
Chorągiew swoję i na wojnę prosi i t. d.

Z pieśni Maryjnych przytoczmy np. „Pieśń nową, zacnego jednego i z nauki, i z świątobliwości autora, godną u wszystkich wielkiej dziś uwagi“:

Pomni, o Matko wszechmocnego Boga,
Jaka Królestwo Polskie ściska trwoga!
Pomni a dodaj osłabiałym mocy,
Strapionym łaski, straconym pomocy,
Sam tam patrzymy, przy starym frasunku,
Sam tam padamy, a mało ratunku,
Kajmy się, kajmy! a ty, miłościwa
Królowo Niebios, spraw, by ręka mściwa
Przez twoję prośbę była hamowana,
Tobie — u syna, nam sprawa — u pana.

Katolicy i protestanci piszą hymny na dnie świąteczne, np. „medytacja“ Grodzieckiego i hymn na Boże Narodzenie Rafała Leszczyńskiego.

Obok wierszów religijnych jest wiele etycznych i dydaktycznych w najdziwniejszych nieraz formach. „Obiecadło Złote“ zaczyna każdą strofę od kolejnej litery, a było kilka takich „obiecadeł“ już i w wieku XVI (ośmiozgłoskowe wedle starego trybu): jedno zaczyna:

Abyś tylko samemu ufał Bogu swemu!
Pamiętaj nie dufać dziełu człowieczemu.
W tym nadzieję swą połóż, w tym ugruntuj wiarę;
Krom tej wiary na świecie wszystko miej za marę.
Bierz się mocno do sławy poczciwej a pilnej i t. d.
Cyt a słuchaj, bo prędzej tak z swojej cichości i t. d.

i tak przez cały alfabet. Daniel Naborowski układał spółcześnie „Czwartaka“, w każdej strofie po cztery przymioty lub braki:

Cztery rzeczy na świecie nieoszacowane:
Wolność, nauka, cnota, zdrowie niestargane;

Wolność serca, nauka rozumu dodawa;
Cnota klejnot jest duszy; zdrowie żywot dawa.

Cztery rzeczy ma człowiek i nie ma w całości:
Męstwo, przyjaźń i rozum przy doskonałości!
Jest mężny na mężnego, jest w przyjaźni zdrada,
Błąd się w mądrym najduje, w doskonałym wada.

Czterech rzeczy najbardziej pragnie biała głowa:
Gładkości i z dostatkiem, szat, dobrego słowa,
To jej świat, gdy się stroi, gdy za gładką mają,
Gdy ma tyle, ile chce, gdy jej dowierzają i t. d.

Jest to jednak wiersz z drobnemi odmianami Jana Żabczyca, przetłumaczony i na język rosyjski; naśladował go w „Nowym Czwartaku“ i St. Lubomirski; inni ułożyli na ten wzór „Trzeciaka“. Na wyróżnienie zasługuje „Paidonomia albo sposób życia w towarzystwie“ Olbr. Karmanowskiego, obfity zbiór morałów; rozmaite „Zwierciadła żywota ludzkiego, świeckiego i duchownego“.

Osobny ich dział mogą stanowić wierszowane zagadki, któremi się chętnie zabawiał wiek XVII, gdy XVI prawie ich nie znał; u Kochanowskiego jest tylko jedna, i to bardzo nieestetyczna. Najwięcej wsławił się niemi Andrzej Morsztyn i ładny ich zbiorek przesłał siostrze; tenże sam zbiorek, z dodatkiem zagadek biblijnych, sędziwy Andrzej Lubieniecki ofiarował pani Denhofowej, a Zbigniew Morsztyn napisał mu dedykację, w której umieścił następną piękną zagadkę, jakby zaczerpnięta z jakiego ludowego motywu:

A jako oni, gdy się rozjeżdżali,
Dobrzy druhowie, wzajem sobie dali
Na nezabudesz, *że gdziekolwiek będą,*
Choć z tysiąca mil od siebie usiędą,
Żeby się jedną wodą umywali (rosą),
Jednym ręcznikiem oba ocierali (słońcem);
Tak i ja teraz (a i toć też gadka),
Nie mogąc należć inszego zadatka,
Inszego znaku życzliwości mojej,
Któryby ręki był godniejszy twojej,
Tenci posyłam i t. d.

Biblijne zagadki zwykle bywają prozą, np. który ląd raz tylko ujrzał słońce? — Dno morza Czerwonego (lub Jordanu), gdy się ich wody Żydom rozstąpiły; są i wierszowane, już u Smolika; wydawano je jeszcze w XVIII wieku.

Obok poezji okolicznościowej i religijnej (z dydaktyczną) nie-

brak i lirycznej, a przedewszystkiem erotycznej. Ma ona nieraz praktyczne cele na oku: jest korespondencją, pieśni powierzają to, czego usta nie mogą swobodnie wymówić. Np. Zygmunt Lubienicki napisze *elogium* „Wdzięcznej Annie“ (Wiszowatej) i dopisze później z triumfem: „porzucono, zrozumiano, przeczytano, dziękowano“ — imię jej zdradził akrostychem, często jedynym środkiem, aby dociec, kto lub o kim śpiewa. Wiersz miłosny był przeznaczony nietylko dla adresatki; czy ułatwił podbój sercowy, czy nie, w całym orszaku żalów, westchnień, wyrzutów, próśb, wędrował między bracią na Parnasie, wywoływał tu pociechy, uwagi, szyderstwa — jednem słowem, całą „batalję afektów“, w której celują Morsztyn Jarosz i Jędrzej. Jeden i ten sam wiersz nieraz służy pokolei kilku osobom; Andrzej Morsztyn w wierszach, które ofiarowywał (przyszłej) żonie, zastępował jej imieniem (Katarzyną, Kasią) imiona rozmaitych dawniejszych bogdanek — szczerość nielada! Jednostajność tematu zmuszała poetów do przesadzania się w konceptach, do śmiałych przenośni, antytez, porównań albo do rozmaitych sztuczek, do akrostychów, raków, t. j. wierszów, czytanych odwrotnie z przeciwnym sensem. Pisywał je już Kochanowski; rozkochał się w nich wiek XVII, używał ich nietylko przy paszkwilach politycznych (np. na Marję Ludwikę), religijnych (na mnichów, na lutrów i t. d.), ale i w liryce, np. pisząc takie „oferty“ miłosne:

Sobie jam wolny nie mają mię *w mocy*.
Tobie ja służę nie szukam *pomocy*.
Piękności Twojej nie bogactw *pilnuję*,
Z gładkości pewnie, a nie z szat *miłuję*.
Ciebie, nie inszą, chcę pozyskać *sobie*.
Siebie, nie inszych, oddać w służbę *tobie*.
Za swego mię miej nie gardź mą *szczerością*,
Prawego sobie nie kładź z *obłudnością*.
Bezpiecznie mi wierz nie rad ja *figluję*,
Statecznie ufaj nie rad *pochlebuję*.

Inną ulubioną zabawkę stanowiły anagramy: litery nazwiska układano w nowe słowa i omawiano je wierszami. Szczególniej celował w nich w drugiej połowie wieku Wacław Potocki, układając z nazwisk rodzinnych i królewskich coraz nowe (Jan Sobieski — osiane skiby, Michael — jam Lech); w pierwszej połowie wieku kasztelan nakielski, później międzyrzecki, Adam Grodziecki, częstował wszystkich wielkopolskich znajomych, Opalińskich, Leszczyńskich i innych, podobnemi anagramami. Ze swego nazwiska ułó-

żył „Gromadkę dzieci“[1]) i opisał je trzy razy, dając folgę ojcowskiemu uczuciu i zdaniu się na wolę bożą, w wyrazach prostych a szczerych:

I. Jest to tak, że mi dawa Bóg gromadkę dzieci;
Z których każde, jako ptak, stąd różnie poleci.
Aby jednak ten lot był każdemu szczęśliwy,
Lub prędki, lub nierychły, jak ociec życzliwy,
Boga proszę za nimi: na wolą się dawam.
Przed którą się nie schronię, ani ich zachowam.

II. Była z łaski i jeszcze jest i będzie Bożej,
Gromadka moich dzieci, a drużyny hożej.
Dał jako Pan i brał też, ile mu się zdało.
Z jego łaski — i mnie się, i niebu dostało.

III. Dzielił się któryś cesarz z Jowiszem w przemiany
O pogodę. Ja z Bogiem o dzieci przemiany
Nie potrzebuję żadnej ni dzielę dzieciny.
Z Boga byt nalepszy. Kiedy sam, nie iny
Bierze, i sam się dam brać, dam i dzieci moje,
Byle im dał i mnie też miłosierdzie swoje.

Ciekawsze i częstsze bywają liryki sielskie, wychwalania wiejskiego żywota, od Kochanowskiego „wsi wesołej“ snujące się przez cały wiek nieprzerwanym ciągiem, nie owe udane idyliczne zachwyty, jakie małpowało osiemnaste stulecie z pudrowanemi i różowanemi berżerami, lecz opisy natury i jej wdzięków, w których można widzieć i słyszeć zdrową cerę autora i jego rześką myśl, szmer ruczaju i ryk bydełka, np. u p. podkanclerzego koronnego, Stanisława Mińskiego, znanego z drogi Rzymskiej w roku 1590, z humorystycznej korespondencji między głuchym a ślepym (on i Samborzecki), częstej po dawnych *Silva Rerum*. Funkcje poselskie, przy których postradał zdrowie, i służba dworska wykoleiły ziemianina; więc daje wyraz tęsknocie za wsią w wierszu p. t. „Żywot ziemiański“, — parafraza znanego *Horatianum: Beatus ille, qui procul negotiis:*

Nader szczęśliwy, kto na tem przestaje,
Co mu ojczysta ziemia jego daje,
Nie znając lichwy, pługiem ziemię orze i t. d.

---

[1]) Inny anagram jego nazwiska, Maciej Dargodzki — pod tem imieniem wydał ciętą broszurę p. t. „Przestroga o tytułach i dygnitarstwach cudzoziemskich w Polskim Królestwie i t. d.“ w roku 1634, 50 argumentów przeciw tym tytułom; pisywał i inne polityczne broszury np. przeciw przechodzeniu dóbr szlacheckich w ręce duchowne. To wcale wytrawny statysta; polemizował i z jezuitami (o bł. Kostkę).

Owdzie krynice mają swe poniki,
W potoku szemrzą prądowe kamyki i t. d.
Trzykroć szczęśliwy, który to mieć może,
Mnieś tylko nie chciał dać tego; mój Boże!...
Siła ma taki, siła, przed inszemi,
Brzydkich kłopotów niejako chciwemi...
Cóż potem? szczęście drogę zagrodziło,
Czynię, co muszę, nie to, co mi miło!

Równocześnie opracował to samo Daniel Naborowski (Szczęśliwy człowiek, który, krom zazdrości, Żyje spokojnie na ojczystej włości i t. d.); świeżej i barwniej wychwalał Jarosz Morsztyn „Szlachecką Kondycję“:

Pan to wielki, co na stronie
Dość ma na swoim zagonie.
Czegoż potrzeba,
Gdy z gębę chleba?...
Najdzie w piwnicy węgrzyna,
Chmiel wystały. Do komina
Niech przykładają,
A w dudy grają...
Młyn i tracz na bystrej wodzie,
Jarzyny bujne w ogrodzie,
Chmielnik tuż w tyle,
Aż wyjrzeć mile.
Miasto blisko, targ niegłodny
Kościół doma, sąsiad zgodny,
Chłopków gromada —
Cóż wsi za wada?
Wsi cnotliwa, bodaj tobie
Kwitła sława ku ozdobie!
Jam twój, tyś moja,
Mój skarb chęć twoja.
Niechże nam Pan Bóg nędznikom
Sam błogosławi rolnikom,
A wy, panowie,
Siedźcie w Krakowie.

Przy takim sielankowym nastroju nawet motywy pieśni ludowych przechodziły do szlacheckiej, np. w wesołej „pieśni panieńskiej, którą młodzieńców zwykły konfundować“:

Pocóżeście przyjechali,
Darmo buty wydeptali?
Nie pójdę za Wasznić,
Bo Wasznić nie masz nic.

ale ci nie zostają dłużni, śpiewają *respons:*

Chciałem Waśnić mieć za swoję,
Lecz się teraz Waśnić boję.
Darmo się sadzicie,
Już mnie nie zwabicie,

i mszczą się haniebnem nicowaniem kształtów i strojów panieńskich. Nawet bezmyślne wiersze przechodzą do szlacheckich śpiewników, np. Stała się nowina tego mięsopusta, Koza z wilkiem tańcowała, wielka to rozpusta, albo: Siekiera się rozbujała, Wisłę przepłynęła, Kobiałka się przeciwiący z pierzem potonęła — nazywają je „dziwy albo absurda".

W liryce erotycznej ustalają się pewne wzory i formy, jak u trubadurów i minnesengerów, np. wiersze na dobrydzień lub dobranoc, widzenie we śnie. Wiersze na dobrydzień na „hejnał" piszą Morsztynowie; Jarosz śpiewa:

Hejnał świta, już z morza
Rumiana powstaje zorza.
Jutrzenka z swojej jasności
Rozgania nocne ciemności,
Wstaje w lesiech ptak zakryty,
Wstaje w lesiech zwierz niebity,
Rucha ryba i wół czuje,
Że mu praca następuje.
Wstań, oraczu, hejnał świta,
Ciebie z początku sowita
Praca czeka; wstawaj i ty,
Rzemieślniku pracowity.

Po rozmaitych wyliczeniach:

Wstawaj, panno, hejnał świta,
Twój się sługa o cię pyta
I z serca się stąd raduje,
Że cię dobrze zdrową czuje.

Zbigniew szczegółowo wylicza, jak to się Kraków budzi do codziennego życia: jeszcze przed zajęciem zarze odzywają się kotlarze... nawet już do szkoły mali żaczkowie powstawali i, choć najpierwsze zaranie, już wołają o śniadanie. Pieśni te wyśpiewują całą skalę uczuć miłosnych od pierwszego, przypadkowego spotkania aż do zawodów, zdrady i zazdrości, lecz nieraz brak im indywidualnych rysów, prawdziwego czucia, zbyt często przeziera szablon.

Liryki erotyczne popłacały jednak tylko do czasu. Kilka lat minęło, a ów młodzian, jeszcze niedawno hołdujący rozmaitym

Anusiom i Zosiom, staje się wzorowym małżonkiem; liryka wywietrzała, np. panna odmawia taką litanję:

Miły święty Michaele,
Abym sobie wybierała,
A miły święty Antoni,
Do mnie przyjechał swojemi,

Napędź-że ich do mnie wiele,
A co grzeczniejszego miała.
Pomóż, aby z sześcią koni
Byle nie pożyczanemi...

Miły święty Hieronimie,
Kucharze obiad gotują,
Kiedy ono na kominku
Miasto kapłona zagrzeją,
Zachowaj mię od takiego
Od pijanicy sprośnego,

Niechaj w kuchni i kominie
Bowiem mi się oczy psują,
Piwa tylko kęs do kminku
A słudzy się z tego śmieją...
Męża melancholicznego,
Także i nazbyt tłustego i t. d.

Młodzieniec znowu prosi, aby jego przyszła bogdanka była „wzrostu wielkiego... i też wziątku niemałego... i (proszę) Ciebie, święty Archaniele, aby dziatek niewiele!“ W pacierzu znowu panna prosi, „abym z dobrym dobytkiem siedmiu pochowała“ i „niech (mąż) nie chodzi rwać ziela na cudze ogrody“.

Dla spotęgowania komicznego efektu mieszają języki i piszą makarony. W prozie mieszanina polszczyzny i łaciny była nieodzowną, aby nadać powagę mowie lub traktatowi — tak, że mowę posła polskiego w Moskwie, umyślnie wolną od frazesów, słów i derywacji łacińskich, odpisywano w Polsce jako *curiosum*. Natomiast w wierszu panowała wyłącznie najczystsza polszczyzna, i niema żadnych wierszów makaronicznych: tylko od początku XVI wieku istnieją osobliwsze makarony, kiedy to poeta „wesołum chwytał piórum, aby śmiesznas zapełniare kartas“: tu, obok czystej łaciny wplatał polskie słowa na ład łaciński. Takie makarony dla zabawy pisuje każdy. Wszystkich zaś przewyższa Stanisław Orzelski, czy to przedstawia narodziny Kalwina w otoczeniu wiedźm i furyj piekielnych, czy maluje wielkopolskie chłopskie wesele, zakończone bójką homerycznych rozmiarów, czy rysuje lubieżnem piórem przypadki dorodnego kwestarza na dworze układnej pani; naśladując Dantego, opisuje nawet wędrówkę po piekle, a znachodzi i wylicza w niem nie fałszerzów i opryszków, lecz adwokatów, lekarzów i kupców krakowskich.

Makaron, to tylko jedna odrośl komizmu, wybujałego na niwie polskiej — i bez niego wszędzie pełno śmiechu. Niema poety-szlachcica, któryby nie składał fraszek, figlów, dworzanek, drew, czy jak je tam nazywano, najpoważniejsi arjanie i kalwini ubiegają się w zawody z najpłochszymi: dobry żart — tynfa wart, to jedyne

ich hasło. Jeśli zaś zbiór pustot wypadnie zbyt obszerny i tłusty, dodadzą kilka rzeczy nabożnych, albo wymówią się tem, że „częściej pod dobrą myślą (przy winie), te się nam błazeństwa kreślą“, lub powtórzą po Kochanowskim (a ten po starożytnych) o statecznym poecie, a swawolnym wierszu, bo u nich „i wiersz niedobry, kiedy nie swawolny“.

Lecz na ich dorobek poetycki składają się nietylko owe luźne wiersze, jakie wywoływała chwila czy zdarzenie, afekt czy „dobra myśl“; nie zawahają się i przed największemi poetyckiemi zadaniami. Tutaj jednak trudniej już iść ich śladami, bo, jeśli krótsze wiersze przechowały się choćby w wyborze, większe dzieła ginęły łatwiej. Próżno np. szukamy dzieła Łukasza Opalińskiego, o którem wzmiankuje Andrzej Morsztyn („przypominasz tym wiekom, co śpiewano w Troi“), „Moskiewskiej kameny“ Skarszewskiego, licznych, chociaż niezupełnie wykończonych dzieł przyjaciela księcia Zbaraskiego, dzieł kilku Kochanowskich i innych; i to jednak, co zostało po rękopisach, pozwala sądzić o ich estetycznych przekonaniach i o mierze ich talentu.

Uderza przedewszystkiem pewien brak oryginalności. Zadowalają się albo przekładami obcych, mianowicie Włochów: Sannazara, Petrarki, Tassa, Guarina, Ariosta i Marina, rzadziej Francuzów, albo „przysmaczają“ polskim wierszem nowele i romanse, dawniej napisane prozą; w tenże sposób „przysmaczać“ nauczą się od nich duchowni legendy i ewangelje. Wiele tych przekładów dotąd mało lub raczej wcale nie jest znanych: w druku pojawił się w roku 1618 tylko „Goffred“ i wywarł niezatarte ślady w całej epice polskiej, oraz w roku 1694 „Wierny Pasterz“ Guarina; tego już tłumaczył ktoś (Smolik?) na pół wieku przed Jerzym Lubomirskim, za Zygmunta III. Tłumaczenie ładne, choć wiersze oryginału rozmaitej budowy zastąpił jednostajnym trzynastozgłoskowym: nienapróżno dramat znalazł tłumaczów, gdyż, mimo swej rozwlekłości, najpiękniejszy ten i najciekawszy ze wszystkich dramatów pasterskich, o kusztownej intrydze, i dziś jeszcze może się podobać. Kochanowski przetłumaczył Goffreda, ale i Orland Szalony, dzieło o tyle obszerniejsze i trudniejsze do wykonania, pozostał w rękopisie: w myśl ówczesnego, estetycznego *credo*, które wszystko, co piękne w literaturach dawnych lub obcych, przyswajało własnej, nie siląc się na twórczość samoistną.

Cóż zaś „Adone“ Marina! Dzieło, opiewające w czterdziestu tysiącach wierszów miłostki Adona i Wenery, napisane w języku

największej „elegancji“, obfitujące w najsubtelniejsze definicje, opisy, przenośnie, napiętrzone trudnościami, które i dzisiejszy tłumacz niełatwo przełamie — a przecież znalazł się poeta, który przełożył te dwadzieścia pieśni! Boć musiał być poetą, musiała oczarować i olśnić melodja i przepych niezrównanego języka, musiało zhołdować niewyczerpane bogactwo inwencyj, epizodów aluzyj, tego, co tę pracę zostawił w rękopisie, tak, że nawet jego nazwiska nie znamy. Z tym tłumaczem (czy nie Grotkowskim, sekretarzem królewskim, bawiącym w Neapolu?) rywalizował uczeń tegoż, Andrzej Morsztyn, chociaż wolniej wyłożył tylko jeden epizod, t. zw. noweletę czwartej księgi Adona, „Psychę“. W druku polskim pojawił się z Marina tylko ten ułamek; w rękopisach, prócz „Adona“, jest i *„La strage degl'innocenti“*, z tą jednak różnicą, że Adona świecki „Rzeź Niemowlątek“ przełożył zakonnik i bynajmniej nie dorównał pięknościom poetyckim oryginału.

Inwencje Goffreda wiernie naśladował autor (zresztą nieznany) „Oblężenia Jasnej Góry Częstochowskiej“, poematu w dwudziestu pieśniach, przygotowanego zupełnie do druku (nawet z rączkami dla wskazywania różnicy między historją a romantycznymi wymysłami), mimo to jednak nie ogłoszonego. Jest to bardzo ciekawa próba przeniesienia żywcem w polską rzeczywistość siedemnastego wieku całej tassowskiej tkanki miłości i zazdrości, zdrad i czarów, walk i ucieczek — romans całkiem jakby „Potop“, tylko bez Zagłoby. Inne powieści i romanse czerpią H. Morsztyn, St. Lubomirski, W. Potocki, Korczyński, Szemiot i inni z Biblji (Judyta), z „Metamorfoz“, (Orfeusz i Eurydyka), z „Liwjusza“ (Wirginja, Horacjusze i Kurjacjusze), z dziejów spółczesnych obcych i polskich (Tressa i Gazela; nowele Drobiszewskiego), z „Dekamerona“, z „Siedmiu Mędrców“, z romansu francuskiego. Szemiot wierszuje nowele, pisane prozą, jakie znalazł w „Antypastach“ Morsztyna.

Z tą epiką romansową należy połączyć epikę historyczną liczne i obszerne diarjusze; powieści z tradycyj familijnych (Daniłowiczów, o Mścicielu, Kalinowskich, o ślubach kazirodczych i inne), ks. Drobiszewskiego i religijne dzieła zazwyczaj małego natchnienia, lecz wielkiej pobożności. Są one nieraz olbrzymie pod względem rozmiarów np. takie „Nowe Niebo duchowne, słońcem, miesiącem i wielu różnymi świętymi gwiazdami jaśnie oświecone, a nabożnym wierszopiskim piórem... wyraźnie pokazane“ roku 1692 — zbiór dziejów Zbawiciela, Matki Boskiej, apostołów i wielu świętych, między nimi patronów polskich, dzieło jakiegoś bazyljanina,

obejmujące niemal do pięćdziesięciu tysięcy wierszów, a jest to tylko część poetyckiej spuścizny zacnego zakonnika, który nawet z imienia nie jest znany. O sobie samym autor mówi na wstępie:

Już *trzykroć sto tysięcy* rytmów przeminęło,
Które się w różnych moich kartach przewinęło.
Więc przynajmniej niechaj te daremnie nie giną,
Ale się w Świętych Bożych pochwały zawiną...
Mnie zaś w nagrodzie pracy dosyć tego będzie,
Gdy chwały Świętych Bożych z rytmów mych przybędzie,
Którym dlatego według możności swej robił,
Abym Bogu i Świętym chwały przysposobił...
Będą mnie różni czytać i młodzi, i starzy,
Lecz któż wie, jak się komu moja muza zdarzy?
Jedni będą ją chwalić, a drudzy zaś zganią,
Bo jeden lubi Pana, a drugi zaś Panią.
Owemu się koncepta nie upodobają,
Temu rytmy do smaku nie poprzypadają,
Innym się zdadzą słowa niepolitycznymi,
I będą ich dożymać klami krytycznymi...
Komu co się podoba, niechaj zdrów zażyje,
A kto ochotą gardzi, nie ciągnę za szyję...

„Kwiat wieku“ autora usycha, głowa zwątlona pracami, trudna była robota, więc i ochota w rytmach nudna, bo i wiersze niesłodkie, pisane w serca gorzkości, i

jako kondycya moja nie światowa,
Tak i kompozycya rytmów nie takowa...
Pomni (Zoilu) na te błahe moje prace,
A rzecz za mną do Boga: *requiescat in pace* Amen.

Pod piórem „światowych“ pisarzów nawet religijne epos przybiera nieascetyczne rysy; „Tobjasz“ np. Lubomirskiego przypomina całym tonem Ariosta i Marina, nie Biblję; autor każdą nawet pieśń zaczyna moralizującemi oktawami, ogólnikami, jak ci Włosi. Pisany jest przytem „Tobjasz“ tak żywo i barwnie, z humorystycznem zacięciem, z satyrycznemi wycieczkami przeciw nowomodnemu Waszmościaniu i innym przywarom, że i dziś daje się odczytać z wielką przyjemnością, odskakuje też rażąco od całej ascetycznej literatury i ujawnia pióro, zaprawione na erotykach i na epice włoskiego Seicento. Za Lubomirskim poszedł Wadowski, a jeszcze ściślej Chrościński, tak dalece, że „Amana“ wydrukowano w XVIII wieku raz jako dzieło Chrościńskiego, drugi raz jako Lubomirskiego: rzecz ta o dziewięciu pieśniach wydaje się nieco słabsza od „Tobjasza“, mniej w niej

ruchu i czucia, nie wyszła więc może z pod pióra wielkiego marszałka.

Nierzadkie są nawet spory literackie. Nowy talent budzi oczekiwania, wynoszą go nad dawniejszych autorów, a Kochanowski bywa obowiązkową miarą estetyczną. Gdy Sierakowski nie mógł się nachwalić Jarosza Morsztyna, odpisał mu (wojewoda poznański, Ostroróg?) „Paralelą Kochanowskiego i Morsztyna“:

Lampart chwali Morsztyna, siła mówi o nim.
Ja go nazad odsyłam, bo mi już nic po nim.
Przekłada go we wszystkim nad Kochanowskiego,
Ja mam za kpa Morsztyna i Sierakowskiego.

Podobnie obruszył się Andrzej Morsztyn na jednego z Kochanowskich:

Młódź naszę coś przywiodło do wierszów swawolnych...
Rzuć się, chyża młodzi, na poetę tego,
Niech swym wierszem nie sięga Polaka sławnego,
Którego wnukiem będąc, lecz raczej wyrodkiem.

Liczą się z literaturą, z kolegami na Parnasie, więc w „Lekcjach Kupidynowych“ Wenera odwodzi K. Twardowskiego od eposu,

Niech to Grochowski z Kochanowskim śpiewa,
A stąd się Bielski niech lauru spodziewa...

zwraca go do zdroju liryki erotycznej, w którym też uczony

Zamaczał głośne Kochanowski strony;
I dziś się z niego szczęśliwy wesoło
Napija Morsztyn, a jam mu na czoło (Hieronim!)
Kosztowny wieniec zdawna zgotowała,
Jakiegom jeszcze żadnemu nie dała.

Dlatego nieraz wyliczają rówieśników, hołdujących muzom, Starowolski, Orzelski, Morsztyn Andrzej, Kochowski; Orzelski wylicza i Włochów, których znał widocznie nietylko z nazwiska. Na Parnasie niema różnic co do wieku, wyznania albo stanowiska; rozstrzyga talent, i pan kasztelan bełzki (Żórawiński) nie zawaha się skromnie ustąpić miejsca mizernemu dworzaninowi radziwiłłowskiemu (Naborowskiemu):

Nie moje przedsięwzięcie spotykać się z tobą,
Jam laik, a tyś polskich poetów ozdobą.

Albo arjanin Karmanowski wysławia poetycką zasługę kawalera maltańskiego w przekładzie „Goffreda“. Koledzy z Parnasu posy-

łają sobie nowe utwory, a miłośnicy muz starają się o odpisy: poucza o tem Trembecki w przedmowie do „Wirydarza“, zapewniając, że:

Nie jednęż noc nad tym się nie spało.
Nieraz do końca przywiedzione dzieło
W cudze się ręce przez kradzież dostało.
To jak *na nowe znowu się modliło*
Komu, że to być koniecznie musiało
U mnie. Więc to zaś często się trafiło
Komu darować: to bratu, to swatu,
A ty, jak ślepień, od lata ku latu...

Ludzie bardzo się łakomią na księgę, a rodzą się w *lipcu* (że się wszystko do nich przylepia), więc, jeśli i nie ty mnie ją zgubisz, kto wie, że ją tobie

Może kto zemknąć, aż *moje roboty*
Lat kilkunastu oschną u niecnoty...
Jeszcze gdyby to zemknął który taki,
Coby się na tym znał albo rozumiał...
Lecz gdy to szuja porwie ladajaki,
Co ledwie kozie ogon związać umiał,
Raz przeczytawszy rzuci... że o tem nikt nie powie żywy,
Lub tam za podłej bzdęgi gdzie szklenicę
Mędrszemu nad się bibie da do ręki...
To tu ja... dyabłabym wskórał, a drugiego wygrał.

W podobny sposób powstawały i inne zbiory: szlachta wpisywała wiersze w swoje *Silva rerum* tak, jak mowy weselne i pogrzebowe, recepty i przepowiednie, rady Kalimachowe i rokosz Gliniański. Czasem przeznaczono zbiór wyłącznie dla wierszów, częściej jednak mieszano wszystko w *olla potrida;* na Jokoserja, założone w roku 1630 dla Wojnów, składały się pierwotnie tylko wiersze; zaś „Torbę Dworską“, układaną spółcześnie dla p. Aleksandra Bełżeckiego, wypełniały naprzemiany wiersze i proza. Zachowało się tego do dziś wiele pod najrozmaitszemi nazwami, zwykle łacińskiemi: „Spiżarnia fraszek“, *Silva variarum curiositatum, Omnia et nihil, Penu synopticum* (Różyckiego), *Vade mecum* (Pawła Ujejskiego), wszystkie niewolne od wielkich wad: błędy odpisu, powstałe z nieczytelności oryginału lub z nieuwagi i pośpiechu kopisty, są częste a dotkliwe, nie wymieniają autora, co gorsza, mieszają najczęściej, jakby groch z kapustą — w Jokoserjach pogmatwano wiersze Morsztyna (Jarosza), Naborowskiego i Smolika.

Ładny wierszyk na jedną z podkanclerzanek (Osolińską) ma być pióra Andrzeja Morsztyna, być może bawiącego wtedy zagra-

nicą, lecz napisał go Andrzej Leszczyński, krewny Osolińskiego, często zwracający się do niego z wierszami: na zamku powiedziano niedawno, że w Polsce niemasz nad podkanclerzankę, on tego nie wie, lecz wie to,

Że, gdyby skrzydła wzięła od anioła,
Potrzebaby im odmienić imiona:
Niąby był anioł, a aniołem ona.

Kiedy zaś mowa o Andrzeju Leszczyńskim, to na dowód, jakie głębokie myśli i trafne uwagi umieli podawać ci ludzie w formie lekkiego żartu, przytoczymy ustęp końcowy z jego opisu ogrodu klimontowskiego (Osolińskich). Pan wojewoda derpski wychwalał niedawno, jako jedyny w Polsce inny ogród, lecz, zobaczywszy klimontowski, stawia go o wiele wyżej, tak, jak się nad bogacza jeszcze większego bogacza wynosi:

A ktobykolwiek przeczył temu z ludzi,
Tego Antoni niech kijem wycudzi (wytrzepie),
Krom wielkich panów, przepuścić tym przyjdzie,
Bo się im wszystko, to i szaleć zejdzie.
Owychby raczej wysmarować smolno,
Co sobie winni, że im nic nie wolno.
Ale się szczerze wolę wywieść z rzeczy:
Zgoła to w Polszcze oboje nie k rzeczy:
I wolno wszystko i nic nie być komu.
Zaczem Antoni — nie przepuść nikomu!!

Czasami jeden i drugi rękopis wspiera nas dobrą informacją. Najważniejszy między niemi nieoceniony „Wirydarz Poetycki, z różnych poetów wiadomych i niewiadomych, łacińskich i polskich wielką i kilkunastu lat pilną pracą wystawiony roku p. 1675“ który osobno umieszcza rzeczy poszczególnych autorów, prawdziwa nić Arjadny dla wybrnięcia z tego poetyckiego labiryntu, chociaż i on nieraz mylnie poucza. Dalej „Summarius wierszów Morsztyna niegdy poety polskiego“ (Hieronima). Często jednak wszystko zawodzi, i nie można już odszukać autora.

Zrozumiemy teraz i ocenimy słowa Zbigniewa Morsztyna, któremi około roku 1680 poprzedził spory zbiór swoich wierszów, zatytułowawszy go „Muzą domową“. Nie uważa się on wprawdzie za poetę, nawet swego imienia nie kładzie przy wierszach, „bo nie mam tej ambicji, ani mię nęci, albo raczej biesi ów nałóg obrzydły, co innych, że, byle tylko wiersze pisali po składzie (rymie) ści-ści, go-go, to z nimi do druku, choćby się wiersza, jako mówią, racy nie jęli, i choć mizerna Muza, skrzypiąc, się wlecze, jak ruska ko-

laska. *A zwłaszcza, że to teraz taki wiek, w którym jest najobfitszy wschód najszczęśliwszych geniuszów, osobliwie w poezyi,* nie tak, jak było za czasów nieboszczyka starego Reja, kiedy „Panie stary, porzuć czary“ uszło za największy dowcip. *Teraz zaś kto i miernie dobry wiersz pisze, nagany nie ujdzie,* i, kiedy ja czytam cudze, mianowicie Imp. podskarbiego wielkiego koronnego (Andrzeja Morsztyna), zda mi się, że moje, jak karazya przy szarłacie, i że są takie, jak owego naskiego poety:

A ja tam stał, cały dzień czekając,
Żebym był mógł którego ptaka jąć...

Nie zebrałbym też był tego do kupy, jakoż i siłam tych fraszek popalił, *gdyby nie na prośbę niektórych,* którzy takimi będąc jako i ja, pisorymami, podobnymi radzi się zabawiają, i takim też tylko czytać tę książkę pozwalam“[1]) — pozwolenie zastrzegał sobie i Trembecki w „Wirydarzu“:

A to też zawsze w swej pamięci miewaj,
Że, nim do tego wnijdziesz wirydarza,
O *pozwolenie* wprzód *proś gospodarza.*

Oto spółczesne, najwiarogodniejsze świadectwo o nadżyzności łanów poetyckich. Równie wymowne składa ów „Prusak“, Jakób z Trąbek Trembecki (z familji arjańskiej) na czele „Wirydarza“, w wierszu „Paraenesis do poetów, którzy nie w druku, tylko *in manuscriptis* zostają“:

Wy, coście na Parnasie długi czas strawili
I obficie ze zdroju Hippokreny pili,
Czemu u was potomne tak wzgardzone lata,
Że bujnym laurom waszym zajrzeliście świata?
Któreby kiedyś w niebo późne niosły czasy,
Gdybyście do drukarskiej podali je prasy.
Znać stąd wspaniałe serca i animusz prawy,
Że dobrze zasłużonej unikacie sławy,
Która przecie kamieniem, wierzcie, nie utonie,
Bo już Febus na wasze wieńce wije skronie,
Tę wróżkę im przydając: wasza sława skonu
Nie uzna, póki i Muz, póki Helikonu.

Na takiem to tle nadmiernie rozbujałych fluktów poetyckich, występują wybitniejsze postacie, wzory, mistrze; ujawniają się

---

[1]) „Muza Domowa“, chociaż mieści z górą 10,000 wierszów, bynajmniej nie wyczerpała spuścizny poetyckiej Zbigniewa (o czem i sam napomyka); są w „Wirydarzu“ wiersze godne czytania, których niema w „Muzie“.

wpływy, związki, ciągłość rozwoju, szczególniej w pewnych działach. I w ten sposób najważniejszą cechą szlacheckiej poezji XVII wieku staje się jej epika; wiek XVII posiadł wawrzyny Wergiljusza i Lukana o których napróżno marzył wiek XVI. Nie sprzyjało epice spokojne życie, ruch wyłącznie umysłowy, wyznaniowy za Reja i Kochanowskiego; ten gnuśny spokój, wygodne wczasy, zniewieściałość, zależenie domu nadawały się do liryki i sielanki, do kształcenia smaku i wiedzy, do kontemplacji i refleksji. Inaczej zapowiadał się wiek XVII; u samego jego wstępu szalały burze, dalekie — inflanckie, i bliskie — guzowskie, a niesłychane koleje zdarzeń moskiewskich wstrząsały i najbardziej uśpionymi; wkońcu ta przygrywka wiekowa rozbrzmiała najdonioślej pod Cecorą i Chocimem. Jednak przed burzą, zrywającą się w połowie wieku, tamte były niewinnem preludjum; teraz nie ocalał żaden zakątek Polski: i nad ostępami kurpiowskich borów i nad wielkopolskiemi czy mazowieckiemi piaskami przelatywała wichura, Ruś spłynęła doszczętnie krwią i pożogą, w ruinach leżały wielkopańskie fortuny, a do gołót nieosiadłych przybyła szlachta-exulanci; czego nieprzyjaciel nie zniszczył, dokonali swoi. Wszędzie dopatrywano dopustu bożego, czynnego wmieszania się Opatrzności, nietylko pod Częstochową, ale i w bratobójczej walce pod Mątwami, gdzie w jednej godzinie wypróbowane wojsko zaległo ławą pod ciosami kilkuset ludzi i natychmiast urosła legenda, że straszne pobojowisko:

Nikogo nie przypuszcza ku wejściu do siebie,
Wrzask, trzask, bębny i trąby ziemia daje z siebie...
Krew zgromadzona w kupę wre jak w kotle woda...
Niesprawiedliwej wojny znak jest oczywisty!

Za przykładem średniowiecznym już wiek XVI wierszował krótsze relacje o sejmach, hołdach, „jezdach do Moskwy“ i „drogach do Szwecji“; działał tu przykład nie Iljady ani Eneidy, lecz „Farsalij“ Lukanowych, gdzie wyśpiewano świeże wojny domowe bombastycznym wierszem z moralizującemi sensami; działała romantyka włoska, „historji obozowej“ „Goffreda“ (Jerozolimy Wyzwolonej), wywierającej najgłębsze wrażenie; epika szlachecka XVII wieku kroczyła po wszystkich trzech szlakach — pomijamy jednak zupełnie łacińską, jako mało znaczną i pod względem liczby i wartości (ciekawszy chyba „Satyrus radis“ z opisem oblężenia Krakowa 1657 r., z początku makaronizujący, potem pisany w czystej łacinie).

Epika ta zaczyna relacją pisarza W. Ks. Lit. **Eljasza Piel-**

grzymowskiego o poselstwie moskiewskiem z roku 1600, odbytem ze Lwem Sapiehą, jemu poświęconą. Pan pisarz to jeszcze typowy przedstawiciel XVI wieku, jak i inni, co piszą dopiero teraz, na stare lata, np. mazur Okuń chwały Zygmunta Augusta (1609 r., w nadzwyczaj gładkim wierszu), albo, których dawniejsze dzieła teraz dopiero wychodzą na świat, np. Wizerunki (Icones) królów polskich ks. Głuchowskiego; protestant — między promotorami swej konfesji wymienia Pielgrzymowskiego Erazm Glicner w dedykacji „Apelacji“ z roku 1598 — dzieło poświęca gorliwemu neoficie katolickiemu; pisuje Skuminom i Radziwiłłom łacińskie panegiryki, przesiąkłe klasycyzmem, a wierszuje po polsku diarjusz poselstwa, nędzny, jako dzieło sztuki, arcyważny, jako świadectwo historyczne, porównujące oba narody, ich cechy fizyczne i umysłowe, ciekawy mnóstwem rysów i szczegółów obyczajowych aż do najskrupulatniejszego wyliczania potraw i napojów na carskich bankietach i nadgranicznej uczcie — poetyckie pendant do prozaicznego pamiętnika Niemojewskiego. Od tej pierwszej wierszowanej relacji ciągnie się ich nieprzerwany rój aż do r. 1699, do wjazdu i koronacji Augusta II.

„Rokosz“ jest nieraz opiewany i przez monarchistów i przez republikanów. „Tłumacz Rokoszowy“ Marcina Błażewskiego bije na brak miłości ojczyzny, na rokoszan, na przyszłą zgubę: gdy sąsiedzi nas męcząc, nam prawić będą, jadłeś matkę (ojczyznę), otóż ci stoi w gardle kością. Rękopiśmienny „Postępek rokoszu“ biadał wprawdzie nad „czasów tych mieszaniem“, ale jego sympatje były po stronie rokoszowej i, śpiewając sobie „chrapowliwym wierszem“, odganiając precz Apollina z muzami, wyrażał „prostowierszem“ koleje rokoszowe. Jeszcze liczniejszych rymotwórców, jezuitów, bakałarzów, szlachciców, znalazły Kirchholm, Smoleńsk, Chocim; najobszerniej wystawił oblężenie Smoleńska lichy, lecz pilny i płodny wierszopis, Krajewski. Powódź podobnych relacyj wywołały zdarzenia roku 1648 i następnych; Relacja zbaraska Kuczwarewicza ciekawa chyba szczegółami o czarownicach „Chmiela“, np. jego Sołocha

Na mękach nie wołała, ale spała sobie;
Gdy ją palono, tylko rzekła: otóż tobie!

Bardziej zajmujące są liczne wiersze Jana Białobockiego, który, otrzepawszy się z kurzu wojennego, zasiadał do poetyckiego warsztatu i wydawał nietylko „Pochodnię wojennej sławy“, „Klar

męstwa“ i t. p., lecz próbował sił i w bajce alegorycznej: „Brat Tatar abo liga wilcza ze psem na gospodarza“ (t. j. Chmiela na króla); opisywał, co sam widział, i usprawiedliwiał się przed czytelnikiem z formy utworów, gdyż zarzucano, „że wierszem pisać nie rzecz historyej“, powoływał się na przykład Kochanowskiego, na przyjemność i krótkość „pieśni“, jeżeli bowiem miesza co z poetów, „to tylko phrasis dla okrasy wiersza“. Są to relacje uczestnika; oblężenie zbaraskie wygląda w nich inaczej, niż u Sienkiewicza; traktatom nie wierzy, woła przekonany: gdy my traktatami

Ugruntujemy pokój z kozakami,
Zła żmija — piórkiem będzie ugłaskana
A w przyrodzeniu zstanie się odmiana!

Nie brak mu dowcipnych i satyrycznych docinków. Wojny szwedzkie znalazły rymopisa w jakimś Żmudzinie, który opisał „Relację żmudzkiego wejścia i wyjścia ze szwedzkiej opieki“ w roku 1658 w saficznych strofach, sarkając na odstępstwo zwiedzionych szwedzkiemi obietnicami. Dzieje od roku 1656 do 1670 wyłożył Gabrjel Krasiński, kasztelan płocki, w „Tańcu Rzeczypospolitej Polskiej albo raczej rozmowie dwojga ludzi, terrigeny z peregrinem o wojnie szwedzkiej“; jest to utwór najmarniejszy pod względem poetyckim, ale bardzo znamienny dla ciasnoty szlacheckich pojęć, dla braku odwagi wypowiadania prawdy nawet w dziele prywatnego użytku, dla spółczesnych sądów i sympatyj, rozrywanych między powagą królewską a uwielbieniem rokoszanina.

O wiele obszerniejsze jest inne dzieło rękopiśmienne (bez początku i końca), przez anonima, opowiadającego zdarzenia 1648 — 1672 roku, z zastanawiającą ilością ciekawych szczegółów, zresztą równie niepoetyckie, jak i poprzednie.

Lepszym od obu poetą był oboźny koronny Samuel Leszczyński; wprawdzie potrzebę cudnowską, w której sam brał udział, opisał sucho, usprawiedliwiał się nawet z tego przed czytelnikiem („Nie na wiersz, nie na słowa, na życzliwość moję Ku żołnierzom Koronnym patrzy... nie za oratora Mam się ani poetę, tylko relatora Prawdziwego tej wojny imię zyskać życzę“), ale zato wszystko ciekawe od przebrania się jego za Kozaka aż do porządków w wojsku moskiewskiem, które żyje z żołdu, nie z łupu i nie ciążą na niem łzy i klątwy ludzkie. Pod Chocimem sam być nie mógł, zdjęty chorobą, więc przynajmniej hetmanowi i rycerzom zatrąbił wierszem „Classicum sławy“ (1674 r.), w stylu zupełnie odmiennym,

napuszonym, wstępującym w ślady Twardowskiego, z obszerną budową pałacu sławy, wizerunkiem polskich bohaterów i z liczną, niestety, mitologją — dzieło, silące się na ozdoby poetyckie, coprawda, mimo to, ciekawe stylem, językiem i szczegółami.

Z powodzi innych wierszów i pieśni na Chocimską r. 1673 wyróżnia się dokładnością oczywistego świadka Ślizienia „Haracz, krwią turecką wypłacony", tłumaczący po bokach kart obce, tureckie terminy. Godne uwagi są też relacje Stanisława Makowieckiego o wziętym Kamieńcu (r. 1672) i o szczęśliwej ekspedycji pod Kamieńcem następnego roku; pierwsza z nich broni załogi zamkowej, posądzonej o zdradę i tchórzostwo; druga opowiada szczęśliwą „imprezę" ze wszelkiemi szczegółami, żywo a barwnie. „Wiedeńskiej" mniej się poszczęściło; opis księdza Drobiszewskiego (niedrukowany) nie wyróżnia się ani poezją, ani prawdą życiową — później nie było już powodu do triumfów. Tem ciekawsza jest rzecz obca, logofeta (kanclerza) ziem mołdawskich, Mirona Kostyna, najznakomitszego z dawnych poetów i literatów rumuńskich, „Historja polskimi rytmami o wołoskiej ziemi i moltańskiej" (r. 1684); na pomniku, jaki wystawili rodacy poecie w roku 1889, jedna płaskorzeźba przedstawia oddawanie tej poezji Sobieskiemu; autor „wstyda się wprawdzie muzy swojej sarmackiej... z mego w niej niedostatku", wychwala bogactwo mowy słowiańskiej, która prześciga łacińską; łacińska bowiem pożycza od Greków to, co Słowianin bez pożyczek wyraża swojem Lubomudryje, Bogosłowije, Zwezdoteczije. Ta „o małej ziemi mała nieudolnym stylem wyrażona historja" ciekawa jest nietylko z powodu niezwykłej treści, ale jako świadectwo obyczajowego znaczenia mowy polskiej w XVII wieku:

> Muzo przebacz Sarmacka, że twym wychowanym
> Pięknie synom nie zdołam...
> Ale pozwól przynajmniej prostym głosem zjawić,
> Zkąd naród jest wołoski, światu to objawić...
> Przy synach twych postronny niech się też pożywi:

odsyła do historyków polskich, „którym powinni siła Mołdawowie, że przy większych swych dziełach są i oni wspomnieni", pełen przytem najciekawszych szczegółów, począwszy od Dniestru, którego się nie może nachwalić („Przeszkoda snu ludzkiemu, komar, tam nie żyje"), aż do wzmianek o najstarszej, „rajskiej" chorobie ludzkiej (dysenterji).

Powoli wraz z samemi dziejami wysychają i poetyckie o nich relacje; ostatnie, niedrukowane, to Akt wjazdu po koronę Augusta II:

Przybędcie (!), Muzy, na ten akt wsławiony
Wjazdu; trąbami głoście króla pana,
Abowiem wiarą świętą oświecony (wychrzta luterski),
Z Bożego daru ta mu łaska dana i t. d.

Ponad tę gawiedź rymotwórczą wzbił się wysoko w epopei historycznej Wielkopolanin **Samuel Twardowski**, naśladowany przez innych (Leszczyńskiego, Makowieckiego), gorąco uwielbiany przez spółczesnych; na jego nagrobku pisał Gawiński:

Rzuć i krusz grot twój, Marsie! twa to trąba była,
Iliadę polskich dzieł co światu głosiła...
(I po śmierci) żyje on i pod niebo mądrym wzlata piórem,

a niemniej Kochowski i Potocki wysławiali słowiańskiego Wergiljusza, którego heroiczna muza „przeszła Enniusze i chlubne Homery". Zaczął jako poeta dworski na Rusi; wziąwszy udział w poselstwie tureckiem ks. Zbaraskiego z r. 1622, opisanem przez Kuszewicza po łacinie, wydał po latach wierszami szczegóły diarjusza i na nalegania przyjaciół wydrukował je w roku 1633 (drugie wydanie roku 1639), jako „zwyczajne ojczyste Heroikum bez farb i licencyj poetyckich"; rzecz wobec ubóstwa polskiej literatury podróżniczej nadzwyczaj ciekawa, bo opisuje zwyczaje i ziemie tureckie, notując starannie obce terminy; ciekawa oprócz tego z powodu dramatycznych zawikłań misji, w których posłom groziły śmierć lub więzienie. Po tym początku Twardowski szedł coraz dalej, niby jako historjograf swych czasów, przeplatając domowe gospodarstwo i wielkie dzieła okolicznościowemi panegirykami. Bawiły go wszelkie splendory, wjazdy, uroczystości; użył na nich szczególniej w „Władysławie IV", w którym po łacinie, jak Kobierzycki, opisywał dzieje królewicza i pierwsze kroki króla; dzieło to jednak smutnie mu się opłaciło: przed jego ogłoszeniem złożono w grobie i króla, i sławę polską, a dzieło Twardowskiego palił kat na rynku warszawskim, chociaż posłowie moskiewscy za uchybianie carowi domagali się kary śmierci na samym autorze. Na stare lata zabrał się Twardowski do opisu „Wojny domowej", z której się rozwinęła szwedzka i inne; ona to wyrugowała go z Rusi Zbaraskich, Sieniutów i Wiszniowieckich, jego szczodrych panów; przed nią uchodził „zbiory wiotche papierowe w małym pudle

uniosszy"; ale i w rodzinnej Wielkopolsce się nie osiedział, i w Kobylinie dosięgły go „straszliwe te wojny,

Ostrzelany którymi, huku już nie słyszę
I między Marsowymi tumultami piszę
Karty te nieskończone...

i zwątpił już poeta, czy dożyje ich kresu, aż pokój oliwski przyniósł chwilową ulgę i dozwolił dzieła dokończyć. Tymczasem zmieniały się zapatrywania Twardowskiego; przestały go nęcić festyny i pstrocizny. Rozpaczając nad ojczyzną, i Szweda witał, jako zbawcę, ufając, że przywróci porządek, ład i uszanowanie prawa, sarkał na nadmiar polskiej wolności, kłuły go w oczy zbytki, jakby rozszalałe w ubóstwie ojczyzny — szlachta ukrainna mogła i pod płotami zdychać z nędzy, zato u nas coraz nowe stroje, u mężczyzn jako i u pań; wtedy nastały:

Pudry, piżma i dziwne w strojach manijery,
Z cudzoziemskich alamod coraz fozy (kroju) innej,
Krymki, Szwedki, Nocenty, Ankry, Ingerniny...

Ale Twardowski jeszcze niecałkiem rozpaczał, jeszcze się łudził nadzieją, że po tych klęskach wstaniemy przecież i upamiętamy się, że, „tak grube wyzuwszy narowy, w insze się odmienim i rady i głowy", że temi karami sama Opatrzność „tę nam buduje reformę".

Twardowski był nader wpływowym pisarzem; świadczyły o tem najlepiej coraz to nowe przedruki jego dzieł. Miał pretensje do stylu epickiego, ozdabiał swe wiersze retorycznemi kwiatkami i porównaniami, wzorowanemi na łacinnikach, naśladował nawet ich nienaturalny, niepolski szyk słów; wysłowienie jego jest dobitne a soczyste i barwne; przytem sam przedmiot ważny; treściwość a prawdziwość opowiadania jednały i najobszerniejszemu jego dziełu, „Wojnie Domowej" o 16.000 wierszach, nietylko czytelników, ale nawet tłumaczów (na ruski). Wycieczkami na nierząd, na Sicińskiego (którego jednak po nazwisku nie wymienił!), na zbytki i skąpstwo, na straszną nieufność wzajemną („żeśmy się tak sami strzegli siebie, jak wężów, od króla począwszy aż do dwu spółstojących") przetykał swe wiersze nietylko w „Wojnie"; poświęcił im osobny poemat: „Satyr na twarz Rzeczypospolitej" (1640, trzy razy w krótkim czasie odbity i natychmiast przez innych naśladowany, np. przez Rysińskiego w „Satyrze na twarz dworską"). W utworze tym naśladował fikcję ulubionego poety Kochanow-

skiego, dodając leśną rozmowę z senatorem(!), wymowne skargi na ogólne sobkostwo, na przedajność trybunałów. Pomieszał jednak materje polityczne z obyczajowemi, wedle błędnego trybu wieku, i wkońcu zamiast poprawy nierządu zalecał mierność horacjańskim trybem; wyżej się wznosił w wierszu na rozerwany sejm roku 1639 — do którego nawiązywał i Łukasz Opaliński w „Rozmowie plebańskiej“ — oskarżając prywatę, „przez co dziś rozrywają sejmy, przez co wkrótce rozerwiem się i my... nie strużmy już dla Boga więcej tej wolności, bo zginiemy prędzej“; powtarzał to i w Omen królowi szwedzkiemu: „na sejmach swar próżny i głosy żarliwe tylko o wolność... przez nie giniem“.

Twardowski naśladował nieraz dosłownie Kochanowskiego i sam się powtarzał, chociaż wcale się nie zagrzebał w poezji historycznej i satyrze; nęciły go także dziedziny fantazji i wymykał się do nich, czy to w „Dafnidzie drzewem bobkowym przemienionej“, mitologicznej sielance w kilkunastu scenach i oktawach, napisanych ślicznym, czarującym językiem, (przerabiał temat włoskiego baletu opery królewskiej) czy to w mniej powabnej formą, ale ciekawszej treścią „Nadobnej Paskwalinie z hiszpańskiego świeżo w polski przemienionej ubiór“:

Wojnę powiem miłości i zwycięstwo nowe

pięknej Paskwaliny nad Wenerą, która uchodzić musi z Lizbony przed jej zwycięską czystością: alegorja pochodzi z epizodu hiszpańskiego romansu, Dianei Montemajora, dalej przerabia częściowo motyw Psychy, jej wędrówki i próby — są to najrozmaitsze pomysły klasyczne; uczy zaś głównie, wbrew wszelkiej zmysłowości, jak płeć piękna winna stawić czoło zakusom Wenery po drodze cierniowej, ale zbawiennej. Poeta tuszy sobie, jak Paskwalinie,

Azali też światowi *reforma* jest blizka
I kiedyż ukarane takową lat złością
Pompy nasze, Saturnów z jego niewinnością
Wiek nam wrócą, wyzuwszy z twarzy się tej lisiej,
Gdy Wenus rugowana i Kupido wisi.

Między rozmaitemi proroctwami Paskwalina słyszy i o strasznym pożarze na Wschodzie, wzniecionym „przez hultaja jednego z lada gdzieś tam domu i wzgardzonej faryny“, gdy dziedzictwo Lecha z ostatniej toni wyratuje król i zatknie znaki zwycięskie „po cymmerskie bosfory i czarne podwoje pontu zastąpionego“ — niestety, zawiodły proroctwa i nadzieje p. Samuela.

Nie zawiodła jednak sława, żywa jeszcze w XVIII wieku, wpływ jego i wzór, przemycający włoskie motywy i słowa do poezji polskiej; wcale ładnie umiał oddać grę namiętności miłosnych. Spółczesnych najbardziej pociągały jego „historje“, chociaż nie roztaczały epicznych obrazów z powodu zbytniego natłoku ludzi, czynów i miejsc, i kilkunastoletniego, nigdy jednolitego ciągu zdarzeń.

To, czego on zaniedbał, dokonał **Wacław Potocki**, tworząc w Wojnie Chocimskiej najdoskonalszą „historję“ polską. W pół wieku najsłynniejszy czyn broni polskiej doczekał się apoteozy poetyckiej, gdy nowa groza turecka przed oczy stawiła odpór zwycięski z roku 1621, gdy się pytano trwożliwie, gdzież ci Chodkiewicze, Lubomirscy i — Kozacy owego wiekopomnego roku, gdy znikąd nie świta nadzieja odsieczy czy posiłków. „Snop“ Wazów, znienawidzony przez Potockiego dlatego, że obcy, wytrzęsiono nareszcie; Michael — Jam Lech samem nazwiskiem i zgodnym wyborem wróżył rozentuzjazmowanemu poecie-szlachcicowi zwycięstwo i wtedy na wzór i pamiątkę skreślił ów dawniejszy triumf. Trzymał się wiarogodnego i dokładnego źródła, „komentarza“ wyprawy chocimskiej jej komisarza, Jakóba Sobieskiego, ale na tej kanwie snuł własne domysły, epizody, wycieczki, choćby satyryczne przeciw zgnuśniałej teraźniejszości, niegodnej wielkich ojców, dygresje i mowy; zaglądał do obozu i dywanu tureckiego, był przy kornych modłach Lubomirskiego, szydził ze słabości królewicza i opieszałości króla, a wystawiał czyny cnego rycerstwa, już zapominając, o nie-rycerzach, Kozakach, i ich dzielności, zapominając też o tej strasznej trwodze, jaka przejmowała uczestników, którą tak dokładnie odczuć można w natchnionem kazaniu Birkowskiego, i o sromotnym epilogu, gdy obrońcom ojczyzny kazano zdychać z głodu i chorób. Dzieło nie zbudowane artystycznie, trzyma się ziemi, odrzucając wszelkie włoskie wymysły, w których nie gustował trzeźwy arjanin, naśladujący Lukana, nie Wergila ani Tassa. Nie jest to jednak zimne, obojętne rymowanie na urząd; gorąca miłość ojczyzny, coraz to zmienne uczucia wstydu i dumy, zwątpienia i triumfu, kornej nadziei w Bogu i otuchy w niezłamaną dzielność polskiego ramienia, przemawiają wymownie, dobitnie z każdej karty. A do tego język, swobodniejszy, niż Twardowskiego, nienaginany zbyt i widocznie do łacińskiego wzoru, miejscami rubaszny, szczególniej, gdy szydzi z wroga, ale jędrny, malowniczy, pełen przenośni i obrazów, stawia to dzieło na czele poezji siedemnastego wieku. Potocki opisał i drugie zwycięstwo chocimskie,

z tem, co je poprzedzało, ale już nie wykończył szczegółowego obrazu, poprostu przewierszował relację, to, co usłyszał od innych.

Obok tego eposu, wzorowanego na klasycyźmie, romantyzm i w „historjach“ wywalczał sobie miejsce. A więc Kochowski, sztukując brak obfitszej weny epickiej fantastycznemi wymysłami, furjami, jędzami, alegorjami, opisywał rokosz Lubomirskiego, wydając za nim „Kamień świadectwa“, i „Wiedeń oswobodzony“: oktawy „Kamienia“ wylały się z wezbranej piersi, na „Wiedeń“ wysilał się poeta, gdy już zarzucił rzemiosło poetyckie i zmienił się w historjografa królewskiego, jego robiony zapał tak prędko ostygł, że autor nie dobił nawet do końca imprezy i porzucił Sobieskiego nad Dunajem. Na kim się wzorował Kochowski, dowodzi choćby tytuł jednego z jego dzieł: „Nie próżnujące próżnowanie“, wzięty z przedmowy do „Goffreda“, gdzie autor-tłumacz polecał swój płód czytelnikom *otii non otiosi*.

Korwin ów — **Piotr Kochanowski**, bratanek Jana, z herbem i koligacją odziedziczył i jego wenę poetycką — zrodzony na północy, zżył się od wczesnych lat z Włochami i z ich literaturą; wabiło go to, w czem najwięcej celowali Włosi, czego w literaturze polskiej wcale jeszcze nie było: wielka fantastyczna i heroiczna epopea Ariosta i Tassa, pełna przygód, niespodzianek i blasków, świat wschodni rzeczywisty i wymarzony, cudowny, nadludzki męstwem i siłą, wdziękami i przepychem, rozrzewniający wiara i skruchą a porywający humorem i fantazją. W obrębie Polski jeszcze nie było materjałów na odtworzenie takiego świata — blask Warny przyćmiły kłamstwa węgierskie o wiarołomstwie Władysława — więc nie pozostawało nic innego, jak żywcem przeszczepić na niwę polską ten świat przedziwny, nęcący oko polskie samą niezwykłą oryginalnością, „aby się pokazało, że język nasz nie jest nad insze uboższy i aby się szczęśliwszym dowcipom do ubogacenia go dalsza podała droga“.

Tak powstał przekład „Orlanda Szalonego“ i „Jerozolimy Wyzwolonej“ — lecz nie w równej mierze powiodło się obu dziełom. Nie znalazł się dla Orlanda żaden Tęczyński, który tak długo nagli! i nawet sam pomagał w gładzeniu poematu, aż wymógł na sekretarzu królewskim — i urząd Piotr po Janie odziedziczył — wydanie „Goffreda albo Jeruzalem wyzwolonej“ w r. 1618. Jak spółczesni przyjęli ten przekład, dowodzą wiersze arjanina Olbrychta Karmanowskiego, który, mimo przepaści dzielącej wyznania, mimo przytyku do rycerzów maltańskich, apostrofował poetę,

którego „córki Mnemozyny... zaraz w pieluchach wzięły matce (Polsce), i jego

wychowały w swoim Helikonie,
Lejąc w serce i w pamięć nauczone zdroje,
Z których codzień wdzięczniejsze płyną rymy twoje,
Rymy (acz są gdzieś insze), lecz ja mówię o tych,
Którymiś nie przepomniał kawalerów złotych,
Co Pański grób z rąk pogan srogich wyzwolili.

Kochanowski zatrzymał *metrum* oryginału, ów „przeplatany ośmioraki rym, jakim narody polerowańsze swoje heroika piszą“ i zdobył dlań odrazu, na zawsze, prawo obywatelstwa w poezji polskiej; za nim poszli wszyscy, chociaż nie każdy mu dorównał. Zresztą poczynał sobie swobodniej — wprowadzał Wisłę i Krępak lub Tatry tam, gdzie Włoch wspominał o Padzie lub Apeninach; umieszczał rysy, o których głucho u Włocha (np. jechać na wrogu); zbytnią pieściwość ścierał twardszym, krótszym, iście obozowym wyrazem; lecz i z jego kart bije wielka powaga i szczere natchnienie i udzielają się one czytelnikowi, któremu wobec Cecory i Chocima karty te wydawały się chyba aktualnemi. „Orland“ nie dostał się do druku; rzecz czystej fantazji nie nęciła jeszcze sarmackich umysłów, któremi przecież wstrząsała walka z niewiernymi o grób Zbawiciela; ale, że znachodził gorących wielbicieli i, niewykończony zresztą całkowicie, Orland, dowodzą tego liczne i staranne odpisy olbrzymiego poematu (46 pieśni!), chociaż równać się nie mógł z wziętością „Goffreda“, króla poezji polskiej. Trudności tłumacza w „Orlandzie“ były może jeszcze większe; nielada to sztuka, bogatą treść włoskiej oktawy zmieścić w jednej polskiej; nadzwyczajnej wprawy i władzy nad językiem dowodziło kuszenie się o podobne trudności, a literatury „polerowańszych narodów“ nie mogły się szczycić lepszemi albo choćby takiemi przekładami. Niemcy przyswoili sobie „Orlanda“ dopiero w jakie dwadzieścia lat później, ale wydali go drukiem zaraz w 1632 r., gdy nasz przekład przeleżał do r. 1799 a w całości do r. 1905. Niestety, świetny początek nie znalazł godnego dalszego ciągu, przynajmniej nieprędko; tłumaczenie Adona, najtrudniejszego, bo najbardziej kwiecistego i wyszukanego w języku, możeby i dorównało tłumaczeniom Goffreda i Orlanda, ale pod rękami zakonnika bazyljanina już na parodję zakrawa tłumaczenie religijnej epopei Marina. Epopea albo choćby nowela romantyczna należały odtąd do stałych zasobów poezji polskiej.

Pierwszych ich prób dostarczał już wiek XVI; od suchych i bezbarwnych żywo i malowniczo odbijał dopiero styl **Hieronima (Jarosza) Morsztyna** i jego naśladowców. Hieronim wcześnie wziął się do wiersza; zapomocą niego skarbił łaski urażonego wuja-opiekuna, nim werbował patronów, gdzie mógł, na Litwie i w Wielkopolsce, chociaż na końcu osiadł w Małej i pędził swobodne życie, gędząc sobie i przyjaciołom. Wiersze jego rozchodziły się w odpisach, liryki rzadko zebrane, najczęściej pomieszane z lirykami innych, dla rozwiązłości do druku wcale się nie nadające, zostały rychło zapomniane, nowele, cieszyły się szerszym rozgłosem i po r. 1650 często były drukowane; w dwóch zbiorach, „Antypasty małżeńskie“ i „Philomachia abo afektów gorącej miłości wyrażenie“; niesmaczne tytuły zbiorowe wymyśliła dopiero mądrość wydawców. Oba zbiory są odmienne duchem: w Antypastach wszystko kończy się szczęśliwie, w Philomachji tragicznie, ta więc przestrzega przed niezbędną miłością, owa jej hołduje.

Między Antypastami wyróżnia się „Historja ucieszna o zacnej królewnie Banialuce z wschodniej krainy“; o tej nazwie dowiedział się Morsztyn chyba od węgierskiego olejkarza, ale historję sam wymyślił, wiążąc motywy z bajek ludowych i z romansów włoskich np. o rycerzu-ogrodniku, zwyciężającym na turniejach. Zmysłowa uciecha ze świata i jego piękności bije z tych kart; stale silił się Morsztyn na wyliczania, w stylu barokowym, w „Banialuce“ dokazał sztuki niezwykłej: gdy królewicz pyta o zaginioną kochankę trzeciego pustelnika, ten zwołuje wszystkie czworonogi i ptaki, i poeta każde wystawia z właściwym mu głosem, a więc „żóraw strukał, plegotały kaweczki, sroki szczekotały, głuszec puchał, ich cieciórki kokały, zięba wietała, słąka krzęczała“ i t. d.; myśliwy ucieszyłby się z tego wierszowanego katalogu. Polaka znamionuje to, że myśli o swoich, a więc rzecz o Gryzeldzie przeniósł do źródeł Wisły (w Cieszyńskie) a Banialukę zakończył, myśląc o ślubach Jadwigi i Jagiełły (są wyraźne aluzje!). Język nadzwyczaj gładki, parę z tych nowel napisał i w prozie.

Publiczność smakowała w takich rzeczach. Gdy młody Borzymowski odprawiał podróż morzem z Gdańska do Lubeki w roku 1651, opisał ją w roku 1662 całkiem w guście romantycznym, z fantastycznemi przygodami na lądzie i morzu, z miłosnemi awanturami, zdradą i jej ukaraniem, i on jednak zdradził się z polskiem obywatelstwem, gdyż umieścił obszerny opis potrzeby Beresteckiej, opowiadając o niej ciekawemu gospodarzowi Niemcowi, przyjmu-

jącemu gości, jak jaki patrjarcha starozakonny. Roi się od takich nowel; nawet dla owej francuskiej historji z roku 1643 (Łukasza Opalińskiego) znalazł się na Rusi „poeta“, który ją obszernie przetłumaczył wierszem, ciesząc się ze swej ojczyzny, przeklinając Kallimacha i Machjawela — owe strachy szlacheckie w biały dzień. Inny, Adam Korczyński, zwierszował „Wieżę“, jedną z nowel „Siedmiu Mędrców“, wcale ładnie i dowcipnie; bohaterem jej zrobił znowu Polaka, który, śpiewając dumy kozackie, podbił serce cudnej Włoszki i uwiódł ją staremu mężowi (arcysztucznym podstępem).

Wobec tego rozwielmożnienia się epiki historycznej i romantycznej musiała się wzmóc i religijna; naprzekór różnym łacińskim, dawnym Chrystjadom i Jezuidom pomyślano o polskich Mesjadach, i wiek XVII ujrzał ich cały szereg. Rozpoczął go Abraham Rożniatowski, wypełniając śluby więzienia moskiewskiego w Kalwarji Zebrzydowskiej „Pamiątką krwawej ofiary Zbawiciela“ (w roku 1610); dzieło się podobało, przedrukowano je jeszcze i w roku 1692, ale autorowi wydało się zbyt obszerne, więc je skrócił o połowę, poprawił, wygładził i wydał w roku 1618 jako „Zwierciadło smutne“ (przedrukowane w roku 1634). Opowiedziano tu pasję wedle czterech ewangelistów z rozmaitemi dodatkami, jędrnie, po żołniersku, nie szanując uszu — Judaszowi np. „telbuch jak bęben puknie“ („aż twarda skóra pukła“ w Zwierciedle); przykład Rożniatowskiego podziałał — jego następca wręcz go okradał.

Był nim ksiądz Walenty Odymalski. Napisawszy żywot Matki Boskiej (r. 1660), wydał w całości dziesięć ksiąg historji „Świata naprawionego od J. Chrystusa“ w roku 1670; nie ograniczył się do Męki Pańskiej, lecz dał całą historję upadku w raju, językiem nadzwyczajnej czystości i gładkim wierszem; obok tego dbał o prawowierność i skrupulatnie notował po bokach teksty Pisma i aprobowanych autorów; nie pomijał zato apokryficznych baśni: tylko dziewiąta i dziesiąta księga prawiły o „Męce i Zmartwychwstaniu“. Dla epopei wybrał oktawy przeciw „aleksandrynom“ Rożniatowskiego; obaj unikali mitologji, ledwie że się im wymknie Olimp albo oszczep, kowany w Lemnie, czy „trzoszczoki“ stróż Cerber.

Gładki, całkiem prozaiczny tok Odymalskiego nie wszystkich zadowolił; po nowe wawrzyny sięgnął i ksiądz Szymon Gawłowicki w „Jezusie Nazareńskim... albo Jeruzalem niebieskiej przezeń wyzwolonej“ (r. 1686), gdzie sam tytuł służyć już może za wzór:

Zbawienne boje niezwyciężonego
Śpiewam Jezusa, wodza wszech narodów,
Który dla ludu dziedzictwa swojego
O jako wiele przebył krwawych brodów!
Okracając śmierć i czarta hardego,
By z niewolniczych wyswobodził grodów.
Śpiewam — co mówię! płakać raczej muszę,
Kiedy pamięcią ran świętych poruszę.

Takich to strof jest kilka tysięcy, rozłożonych na dwadzieścia ksiąg. Wszystkiemu nadaje ton jakiejś poufałości familijnej, czasem wcale wdzięcznej i rzewnej. Nie waha się też przenosić trybu polskiego w sfery nadziemskie z całą naiwnością średniowiecznego poety czy malarza: przy „Wniebowzięciu“ „już przez portjery nieba uchylone na Cię wygląda twój Ojciec“, Syn, jak szlachcic polski, który wrócił z podróży zagranicznej, całuje Ojca w rękę, składa relację, Ojciec całuje go w głowę, aniołowie zaś stoją na warcie, szpieg niebiański melduje się, prowadzą go nawet lepszym porządkiem, niż w polskim obozie. Inna osobliwość Gawłowickiego to ciągłe, przedługie rozmyślania, mowy i monologi; sam stosunkowo mało opowiada, malując ciągle mowami stan duszy. „Poetę“ ratuje język, tak mile łechcący uszy, że i dzisiejszy czytelnik nieprędko się nim znuży; ratują go obszerne, choć niezawsze szczęśliwie dobrane porównania.

Większego zadania podjął się **Wacław Potocki**. Chciał stworzyć olbrzymią parafrazę całej ewangelji, wystrzegając się najmniejszego dodatku do jej szczegółów, stosując jedynie jej nauki do dzisiejszych czasów, do duchowieństwa, do praktyk zewnętrznych, do niemiłości ludzi, wypowiadając ewangelją wojnę grzechom i zdrożnościom tego świata, sekciarskim zabłądzeniom. Tej całości może i nie wykonał, pozostały tylko resztki obszernego bruljonu, z ciągłemi wstawkami i poprawkami: poeta nigdy nie był z siebie zadowolony. Wykończył tylko taką parafrazę „Passji Pańskiej“ (r. 1679 i 1680), od której był nawet zaczął całe dzieło; wydano ją już po jego śmierci (r. 1698) i z pobożnemi dodatkami powtórzono za Sasów (dla wnuczki poety).

„Nowy Zaciąg“ Potockiego przypomina „Pamiątkę“ Rożniatowskiego, lecz eks-arjanin zachował wstręt ku wszelkim dodatkom i wstawkom do słów ewangelji — próżnobyśmy szukali u niego jakich szczegółów apokryficznych, o Weronice i t. p.; nie domyślając się niczego ponad brzmienie tekstu, rozszerzał tylko słowa

i obrazy ewangeliczne. Styl jego to nie ów gładki i jasny styl Odymalskiego i Gawłowickiego, ale suchy i mdły, nie szuka on kwiatków poetyckich, nie układa harmonijnej całości, śpieszy się widocznie ku końcowi, mimo to wywołuje inne, głębsze i trwalsze wrażenie; niedarmo Lipski radził książkę przedrukować, niedarmo Lubieniecki dopisał na rękopisie: tu się sam przewyższył. Ton całości odpowiada wojowniczemu tytułowi („Nowy Zaciąg"): huk bębnów i kotłów rozlega się nietylko w przedmowie, oddychającej Marsem, lecz i całe dzieło dostrojone do niego; jakby autor przebiegał miasta i wsi i wzywał do pokuty i skruchy, jakby werbował, zaciągał wszystkich pod triumfającą Jego chorągiew, jakby obiecywał hojny żołd i liczne zasługi tu i na tamtym świecie. Wszędzie zaczyna od siebie: przy każdej nowej męce, ranie, zelżywości, zwraca oburzenie od kapłanów, tłumu i katów przeciw sobie samemu, jak to boleśniej, gorzej, złośliwiej on, odkupiony ową krwią najdroższą, lży, rani i męczy Zbawiciela myślą i radą, uczynkiem. Namiętne jego skargi i żale uniewinniają niemal Żydów i Rzymian, a zwracają się przeciw niewdzięcznym, niegodnym chrześcijanom, ich nieprawościom, ich zbytkom w strojach i napojach, ich grzechom. Na całość składają się więc tok opowiadania i akta skruchy; tok niejednolity, rozpada się na ustępy, powiązane zewnętrznie; nieraz wyraża się arcynaiwnie, np. przy pojmaniu w Ogrojcu:

Padszy na świecką zgrają hultajskich młokosów,
Niejeden garść Twych świętych pokazował włosów,
Niejeden cię kosturem w bok, niejeden między
Łopatki pchnął, a insi, szukając pieniędzy,
Rozpasują, macają, trzęsą zgoła wszędy...
Hajduk, drab, szuja lepszy gdzieś kobyły łupi [1]),
Przy obecności pańskiej a jeszcze biskupiej
Okrutnie związanemu Chrystusowi w stryczki,
Gdyżby nie śmiał inaczej, zadaje policzki...
Samym biskup od kata różny kapeluszem,
Broda, jak u proroka, cnota, jak u draba...
Bo i biskup i hajduk jednacy hołysze:
Z żydowskiego procesu dyabeł dekret pisze...
Stałeś, jako jeden słup, zsiniały na zimnie,
Stałeś *bez czapki*, bosy, upiwany, kwoli mnie...

Ale wszelkie te płaskości i śmieszności okupuje u bacznego czytelnika niekłamany afekt autora, wyrażony w stylu arcydo-

[1]) Spółczesny czytelnik, w rękopisie Lubienieckiego, zaprotestował przeciw tej rubaszności, jako niestosownej.

bitnym, silny język silnego uczucia. Swego zamiłowania dla świata rzymskiego i tutaj autor się nie zaparł, czerpie porównania, wprawdzie nie z mitologji, zupełnie na bok usuniętej, lecz z dziejów; przeważają przykłady, wzięte ze starego Testamentu lub z otaczającego życia, czasem dziwaczne i niesmaczne, np.:

Nie na papierze, który lada molen ginie,
Ale drukiem na ciała Twego pargaminie
Odbieram skrypt w żałosnej wytłoczony prasie...
O drogie, niezrównane nigdy pismo z niczem,
Katowskim na subtelnem ciele rznięte biczem,
Szczerozłote litery, ale nowej fozy,
Sieczystemi rózgami wybijane z brzozy.
O Jezu mój! któryś się ludzką niedołęgą
Stał tak żałośnym drukiem wytłoczoną księgą,
Przez niewinnej krwie Twojej proszę charaktery,
Pisz na sercu mym swego zakonu litery.

Epika religijna sięgała i poza ewangelje, do legend i do Starego Zakonu: W. Potocki wierszował Judytę, Stanisław Lubomirski sielankę o Tobjaszu przelał w pieszczotliwe i żartobliwe wiersze, a nie brakowało tam satyrycznych wycieczek przeciw obmowom („teraz gdy z sobą przyjaciele siedzą, bardziej z bliźniego, aniż z bliźnim, jedzą“ — dawniej dwór miewał „pokojów mało a siła pokoju“). Żonie jego poświęcił ks. kanonik Wadowski „Daniela proroka“ (1699), gdzie tekst biblijny rozszerzał nieskończonemi moralizacjami, jak i w poprzedniej swej pracy, w „Cieniu życia ludzkiego“ (1691), „ciesząc się Polską i językiem“, szturmując na pijaństwo i obżarstwo, z którego „złe wszystko idzie jako z jeża ości“, pijany bela:

Tacza się, jak na wiosnę zagłodzona szkapa;
Tęć z głodu zimowego drżącą wiatr powiewa,
Ten zaś z trunku dobrego krzyczy, bije, ziewa.

i na inne niedostatki Polski, której się już nic nie wiedzie — nie brak naturalnie wyzwisk na akatolików; im mniej ich było, tem zapalczywiej na nich sarkano.

Ks. dziekan Kuligowski zapełniał inne luki epiki ascetycznej odwieczną, buddyjsko-chrześcijańską legendę „Królewica indyjskiego w polski strój przebierając“ (1688), przyczem bardzo rozszerzał tę legendę o „Jozafacie i pustelniku Barlaamie“; ten sapieżyński poeta wydawał i „Demokryta śmiesznego“, niby chrześcijański, t. j. niewszeteczny zbiór anegdot i dworstw, z wierszami na herby, i „Heraklita smutnego“; ks. Auszpurgera i i. pomijamy.

Jak w wierszach świeckich i religijnych, tak nawet w tłumaczeniach z klasyków przeważał element epiczny. Kiedy wiek XVI szczycił się tylko polską Eneidą, teraz Owidjusz, Lukan i inni epicy znachodzili nieraz po kilku tłumaczów. Polskie tłumaczenia pozostawały daleko wtyle za oryginałami; dobierając niezbędnych rymów, rozszerzały tekst zapomocą wstawek; już Wacław Potocki słusznie się na nie skarżył. Wyjątek stanowi jedyny Jakób Żebrowski, tłumacz „Przeobrażeń“ (r. 1636): każdy heksametr oryginału oddawał polskim aleksandrynem, nie przekraczał więc liczby wierszów łacińskich: ale jego język, gęsto przesadzony archaizmami i prowincjonalizmami, jest twardy, a wiersz chropowaty. Tłumaczenie Otwinowskiego jest obszerniejsze, gładsze i wodnistsze. Chróściński, sekretarz i poeta Sobieskich, przetłumaczył „Heroidy“ Owidjuszowe: „Rozmowy listowne albo raczej wzajemna heroin greckich z kawalerami korespondencja“ (r. 1695), w których najciekawsze jest pożegnanie córki — przyszłej elektorowej bawarskiej, napisane przez króla:

Już że, gdzie niesie fortuna cię twoja,
Z domu rodziców, jedynaczko moja,
I z domu braciej za ojczyste progi,
Bierz się do drogi;

Błogosławi córkę polecając ją opiece Boskiej i świętych i kończy:

Życzęć pociechy z mych wnuków, z twych dzieci
Ociec, Jan Trzeci.

Ten sam Chróściński równocześnie z Bardzińskim tłumaczył „Farsalję“ Lukanową (z dodatkami) — w nich to godziły zasłużone wyrzuty Potockiego, chociaż Bardziński, goniąc za krótkością, Cezara nazywał Cesarzem i Carem, gdy go do tego wiersz zmuszał; najsłynniejsza fraza Lukanowa brzmi u Chróścińskiego:

Wygrana bogom samym się podoba,
A zaś przegraną bardziej chwali Kato;

u Bardzińskiego: Dank u bogów wziął triumf, pogrom u Katona. Bardziński silił się również, jak Żebrowski, na to, ażeby nie mnożyć wierszów, chcąc dowieść, że i polszczyzną dobrze oddać można tak trudnego autora, choć obcym się zdaje, jakoby nasz język był ubogi, a to tylko nasza wina, że się radzi posługujemy obcym językiem. Ale Bardzińskiemu nie dopisywał język, nierzadkie np. wiersze „piknęło przez Cesarza, czupryna mu wstanie“, tok

Chrościńskiego składniejszy, chociaż sam wybór oktawy (czasem jedna oktawa oddaje jeden heksametr!) kusił do zbytnego rozszerzenia.

Obok nich Ustrzycki tłumaczył ciężkim językiem łacinę Klaudjana i Stacjusza, równiejszym, śpiewniejszym Marina i Francuzów, z których już dawniej, np. „Judytę“ Bartasa przełożył Rafał Leszczyński (1620 r.), wydając w druku swój przekład, wcale gładki, znacznie jednak skrócony, na żądanie bratowej, Ostrorogowej. Z tegoż Bartasa (francuskiego kalwina) przekładał i Jagodyński rzeczy alegoryczne pięknym językiem. Wierszowano i prozę łacińską; sam Potocki wybierał epizody z Liwjusza (walkę Horacjuszów i Wirginję). Przełożył całą „Argenidę“, romans polityczno-alegoryczny Barklaja, zachwalający monarchizm absolutny, jak twierdzono poradnik Richelieu'go, właśnie dla jego mądrych sentencyj. Chociaż „Argenidę“ wydano dopiero po śmierci autora, jak dowodzą jej wydania, wyciągi, kontynuacje, naśladowania i liczne odpisy, cieszyła się ona nadzwyczajną popularnością w republikańskiej Polsce: wobec jej romansowych awantur zapominano widocznie o tendencjach, które zresztą Potocki osłaniał, akomodując je niebu polskiemu, a „konkurenci“ o rękę Argenidy (a z nią i jej państwa — Francji), ich niesłychane przygody, walki, przebrania, ucieczki, intrygi bawiły dorosłe dzieci sarmackie. Podobną jest Zawiszy „Historja o Agnulfie i Floreście“ (r. 1689), przełożona z włoskiego. Poetów klasycznych i włoskich, nie epików, tłumaczono tylko wyjątkowo; jedyny Horacy znajdował miłośników z powodu sentencyj (prócz Petrycego kamen moskiewskich, Libickiego), ale tłumaczono lub naśladowano tylko jego liryki, potem i satyry Persjusza i gnomicznego Epikteta (Bachowski); z Petrarki, ustępy tylko przekładał znowu Jagodyński.

Epika polska, jako obywatelska, przeplatana była stale satyrą, i w najcelniejszych swych dziełach, jak w „Wojnie Domowej“ i w „Chocimskiej“. Element ten jest również charakterystyczny dla poezji wieku, która ma tę wyższość nad prozą, że tamta niemal zawsze wpadała w ton kaznodziejski, niemniej w kazaniu Bembusa, jak w „Reformacji“ Starowolskiego. Na początku wieku występuje w niej Piotr Zbylitowski, ale jego satyra bezzębna, moralizująca, nie tykała wcale polityki, anarchji — rokosz stał za drzwiami. W „Rozmowie szlachcica polskiego z cudzoziemcem“, w „Przyganie wymyślnym strojom białogłowskim“, nakoniec w „Schadzce Ziemiańskiej“ (roku 1605) zwracała się głównie przeciw zniewieściałości swawolnej młodzieży, odwykającej od bojów, przeciw

wymyślnym modom, które jakieś cudzoziemki urobiły z dawnych Polek, przeciw opilstwu, które czyni nieznośnemi dla trzeźwego człowieka „posiedzenia“ i „gościny“. Ponieważ te satyry szły do druku, więc autor zastrzegał, że sam błądzi, jak inni, że do poprawy nie nawołuje, chyba za ogólnem zezwoleniem, że nie wyrywa się przed innymi — czynił to przecież tak wyraźnie, że musiano dojrzeć ironję. Lecz podczas rokoszu, w ogólnym tumulcie jego rzeczy niesłuchane zaginęły.

Jeszcze mniejszy pod względem talentu, a może i wpływu, choć ruchliwszy i rokujący świetniejsze nadzieje, był Mazur, który miał niby świat zadziwić — tak mu przyznawali koledzy po piórze — łomżyński pisarz celny, Stanisław Witkowski, folgujący żyłce satyrycznej w „Apophtegmatach albo subtelnych powieściach“ (1615), w których rywalizował wierszami z prozą Budnego, albo w „Złotej Wolności Koronnej sejmom i zjazdom służącej“ (1609), gdzie wprowadzał Wolność, rozprawiającą o swem pochodzeniu, o zepsuciu obyczajów, braku sprawiedliwości, zbytkach. Witkowski ciekawy też jest jako najgorętszy wielbiciel Klonowica z powodu jego satyry; pisze o nim: „Żydowin, Greczyn, Latium go znało i po Maronie pierwsze miejsce dało!“; trafnie odczuwał własną niższość:

Siła nas takich, co rytmik piszemy,
Lecz wiersza mądrze nigdy nie stawiemy,
My, rymołowcy, tamto [1]) poetowie
Znać ich po mowie i t. d.

Literatura satyryczna styka się z obyczajową, gnomiczną, dydaktyczną, szczególniej w epigramatach i anegdotach, gdy żart godzi w poprawę obyczajów. Witkowski zastosowywał anegdoty z Plutarcha i „filozofów“ do spółczesnych; pisał przeciw konfederatom, wojsku, dworzanom, kobietom, zaręczając, że jego żarty przeznaczone są dla niepokalanych uszu wstydliwych panienek, „które się kochają w czytaniu, a o fraszkach w kramie się pytają“, ale wiele tam grubych nieprzyzwoitości. Znacznie dowcipniejszy, niż ten Mazur, był Litwin, Jagodyński (pod którego imię podszywał się później znany sekretarz Katarzyny II, Jagużyńskij); jego „Dworzanki“, szczególniej zaś „Grosz“, jeszcze w XVIII wieku przedrukowywany, zalecają się i pomysłami, i formą — lubował się

[1]) Ci poeci są wedle niego: Rej, Kochanowski, mąż nieścigłej cnoty przyniósł rym złoty, Zbylitowski (Andrzej! nie Piotr), wydwornej wymowy, bogaty w rozum, brakujący słowy, Klonowice, Grochowski wiersz smaczny kuje, Symonidowa poesis uczona.

w kalamburach i w grze słów, np. o pokoju, o człowieku — cło wieku; pop przysięga do śmierci nie pić, zato pije do chłopa i do dna; jeślić Polska nierządem stoi, to my synowie nierządnicy i t. d. Za „Dworzankami“ Jagodyńskiego (niedrukowanemi „Drwami“ Karmanowskiego), poszły „Dworzanki“ Gawińskiego, najlepsze z całej poetyckiej spuścizny małopolskiego sielankopisarza, okradającego poniekąd Szymonowica, i psalmisty, jeśli się nie bawił w panegiryki i inne wiersze okolicznościowe, choćby przeciw Turkom. Dalej księgi Kochowskiego „Niepróżnującego próżnowania albo epigramatów polskich“, wzrosłe między wieśniakami, rubaszne, wszeteczne, pomimo cenzury duchownej: rozmaite gadki (zagadki), wiele rzeczy z Martialisa, począwszy od Smolika, ulubionego i coraz naśladowanego wzoru dla polskich epigramatystów, kalambury, maksymy etyczne, aksjomy polityczne, np.:

Bóg *słowem:* Stań się, stworzył świat ten, ależ i my
Też *słowem:* Niepozwalam, Polskę rozwalimy.

Najsłabszy w ich gronie, prócz Ineza i Kuligowskiego, skromnej weny, to inny Litwin, podczaszy Daniel Bratkowski, co dobrodusznie rymował w „Świecie po części przejrzanym“ (1697) żarty, przycinki na urzędników, sejmy, pobory, wici, na prostuszkę (wódkę, którą Ruś zaraz na stół wystawia, gdy Polacy wprzód zabawiają się długiemi dyskursami), na Mazurów i piwo mazowieckie; jego język, bogaty w prowincjonalizmy, ciekawszy jest, niż jego dowcipy.

Ulubione takie facecje — niedarmoż przedrukowali u siebie Polacy i facecje Pogjusza, które przed ręką kata ustrzegła chyba łacina — sowizdrzalskie (mieszczańskie) i szlacheckie, które później w lud wsiąkały i dziś pokutują po naszych publikacjach etnograficznych, jako ludowe, nie zastępowałyby jednak satyry wierszem, politycznej i obyczajowej, godnej stanąć obok „Reformacji obyczajów“ Starowolskiego. Zepsucie i jawne błędy wieku musiały ją wywołać niechybnie, a mistrzami jej są dwaj rodzeni bracia, napozór bardzo do siebie niepodobni w gustach, zasadach, postępowaniu, a jednak, przy głębszem wniknięciu, nieodrodne płody — nietylko magnackiej wyniosłości i egoizmu, lecz i ogłady i tradycji, która nie pozwoliła im zagrzęznąć w szlacheckiej anarchji umysłowej i politycznej, chociaż samym mogłoby być z tem wygodniej.

Łukasz i Krzysztof Opaliński różnią się i swojem *credo* literackiem: Krzysztof rozwlekły, wielomowny, niby ten Nil, co wlecze z sobą wiele błota; Łukasz, jak Szymonowic, dyskretny w sło-

wach, nie gustuje w długich chryjach, raczej rzuca szkic (on pierwszy użył umyślnie tego włoskiego słowa dla swej pracy), niż rozwałkowuje swój pomysł. Nie jedyna to zresztą między nimi różnica; obaj dzielili najgruntowniejsze, a zarazem wielkopańskie wykształcenie, widzieli i znali świat, ale, gdy Łukasz, acz wcale nie monarchista z przekonania, wiernie wytrwał przy królu w najcięższych przejściach, Krzysztof był wiecznym skrytym malkontentem i jawnym zdrajcą; jeden bronił Polski przed kilku uszczypliwemi uwagami cudzoziemca, drugi sam sformułował przeciw niej najcięższy akt oskarżenia; jeden — poeta nie bez talentu i autor nie bez zasług, wcześnie zapomniany; drugi, choć sam o sobie inaczej rozumiał, nigdy nie zetknął się z muzami, lecz z pamięci polskiej nigdy nie wyszedł. W tem jednak znowu się spotykają, że nie zrobili świetnej karjery: Łukasz, choć się piął do wielkiej laski, „i z małą nie wiedział co rzec", Krzysztof z województwa poznańskiego nie wzniósł się wyżej, niż niegdyś ze swej kasztelanji Ostroróg, którego przypomina w niejednem.

Zerwanie sejmu w roku 1639 natchnęło Łukasza do napisania owego dyskursu (r. 1640) o konieczności odmiany regulaminu sejmowego; zerwanie sejmu w roku 1652 podyktowało mu wymowne ustępy w „Poecie" i w „Coś nowego". „Poeta", pierwsza poetyka polska, wyprzedzająca Boileau, stwierdzająca mniemanie autora o sobie: „możem mieć miejsce miedzy pisorymy", kreśli przymioty prawdziwego poety, występując przeciw rymorobom i liczyzgłoskom, daje przykłady erotyki, epiki, satyry; bije przytem na marne *vota* w senacie i sejmy, niszczące czas, na „cne niepozwalam", przez które dziś „obrona Rzeczypospolitej na dyskrecji jest posła z Upity" — niegdyś było stróżem wolności, teraz stało się instrumentem przewrotności:

> I na zgubę jej (Rzeczypospolitej) dosyć jeden głupi,
> Lubo przewrotny, gdy go kto przekupi;

szydzi z wojaków, potrząsających Marsem [1]), co to służyli ojczyźnie, ale jak:

[1]) Satyra ówczesna nastaje często na te rodomontady i blagę; już we „Władysławie IV" Twardowski wystawiał przechwałki wojska ukraińnego przeciw Szwedom Gustawa Adolfa: „Cóż, morskich tych szewluhów śmierdzących śledziami Nie mieliby za morze zasiec nahejkami?"; w „Wojnie" skarżył się dobitniej: „Że doma Aleksandry za stołem bijemy, A na wojnę bez prochów i lontów idziemy". O wiele ostrzej sarkał Potocki na g..... zasługi wojska polskiego.

Służył, a wprawdzie pięknie, lecz w tańcu
Przy winie, skrzypkach i łojowym słońcu;

szydzi z niby cudzoziemskich zaciągów, z dragonów co „drą a gonią“, z takich co

Ledwo Gib fajer a Werdo zrozumie,
Już, że niemiecki tryb, powiada, umie;

Boi się jednak zadrasnąć dworzan i duchownych, omija ich i wystawia prawdziwy cel życia, nie utrzymawszy się w karbach poetyki i satyry. „Coś nowego“, z tego samego roku 1652, jest najdowcipniejszą satyrą polską przed Krasickim, w formie rozmowy (mówił ktoś z kimsi coś), notowanej „co mógł ołówkiem pogonić“, mieszanej prozą i wierszami, wedle wzoru t. zw. satira Menippea. Wszystko milczy, nawet drukarze krakowscy, „tylko minucyje (kalendarze), a sam ks. Starowolski żywi ich na świecie, akademicy patrzą *in Posteriora Aristotelis* i jego mądre portki na swym ramieniu noszą, a po sześć groszy do św. Florjana na msze i nieszpory muszą iść pieszo“; jezuitom z Alwara trudno zaczerpnąć czegoś mądrego; inni mnisi argumentują z wrzaskiem *pro* i *contra* lub używają życia albo, jak dominikanin Okolski (w „Herbach“), „siła drew ten głupi mnich popisał, a przecież on mądry“. Nicują dalej rozmówcy sejm i senat i ich nikczemne *vota*, jak na sejmie każdemu wolno zgubić ojczyznę i pilnować prywaty; dalej niekarne wojsko, wodzów, dobrych chyba „p... przy kominie lub michałki (kieliszki) rachować“, i cały tryb wojenny bez strzelby wojennej — jednem nabiciem odprawiamy kampanję. Rozmowa skacze, „jak pchła po koszuli“; dotyka nierządu we dworze, cudzołóstw, przeciw którym nie powstają duchowni, bo sami grzeszą: ksiądz Gach przy mszy pyta *Dominus Vobiscum, chłopcze, co to za pani? — Et cum spiritu tuo, Pani Giemzicka to,* a ksiądz: *Oremus, nadobna!* Przechodzą do Pilawiec: „wojnę głoszą rytmy moje, w której szable ani zbroje ledwie co potrzeba było“; pytają, kto przyczyną ucieczki — „ręka nas dotknęła Pańska i rozum odjęła jak to więc *zawsze mówimy, kiedy co sami pokpimy“;* przycinają Mazurom, że pierwsi uciekli, na to instyguj „Petrzykowski, cny Mazurze, przy twej sławnej cynozurze albo raczej gwiaździe ciemnej zrodzony“. Z ciągłemi wtrętami z bajek (o młynarzu, synu i ośle), z Lukjana (Timon), wynicowawszy wszystko i wszystkich, sami rozmówcy liczą się między błazny i rozchodzą.

Co Łukasz zamieścił w jednej satyrze piąte przez dziesiąte, to Krzysztof rozbierał punkt po punkcie od pierwszego wycho-

wania panicza i jego przykładów domowych aż do ogólnego nierządu, w głowach i obozach, miastach i dworach, sądach i celach, a obok tego wykładał osobno maksymy etyczne; „rymowi dałem pokój, choćbym ci mu pono był niezgorzej podołał“. Wziął się do satyr, namyśliwszy się wprzód, coby też pisać:

Historją czy rymy czy co do zabawy,
Czy sielanki, czy fraszki czyli Sowizrzałów,
Albertusów czy bajki czy też oracyje...
Czy plęsy albo pienia godne niewiem czegoś.

Jak bardzo były na czasie jego „Satyry“, dowodzi fakt, że wydania ich rychło następowały po sobie. Przy późniejszych pierwotny tytuł („Satyry albo przestrogi, do naprawy rządu i obyczajów w Polsce należące, na pięć ksiąg rozdzielone“) rozmaicie odmieniano, a z tekstu opuszczano wycieczki przeciw duchownym.

Dumny magnat z opinją się nie ceremonjował, to nie lękliwy mieszczuch ani szlachetka; on rznął prawdę i jezuitom, zasmradzającym swojemi wychodkami cały świat, i hetmanom, którzy odpowiadaćby winni za swe głupstwa głową lub mieniem, i królowi, co nagradza niegodnych, i kaznodziejom, co tylko głupstwa plotą, i trybunałom, które zawsze skorumpować można, jeśli nie wziątkiem, to gładką białogłową — słowem, sam nierządnik jakich mało, przyciął całemu nierządowi polskiemu, jak nikt przed nim ani po nim.

Szpetne zwierciadło nie obruszyło spółczesnych, dobrze świadomych, że wojewoda zbyt nie przesadzał, chociaż, jako satyryk, nakładał same czarne kolory; protestowali chyba ogólnikowo, że „cudzoziemskich się napił humorów, obcą skórę przywdział i nic mu się w tej Polsce niepodoba“, krytykowali zaś i sądzili nie autora, lecz polityka i patrjotę-zdrajcę; późniejsi, Kochowski, Rudawski, Paweł Potocki i inni, sławili jego mądrość. O stylu nie możnaby tego powtórzyć, chociaż znawca Twardowski, schlebiając (w dedykacji Paskwaliny), twierdził, że p. wojewoda w Hipokrenie pióro maczał i Kamen aż nadto świadomy; razi nas prostota i prozaiczność wysłowienia: „jechał cię pies“ i podobne kwiatki, częste u niego; makaronizowanie w wierszu, chociaż sam nawet sarkał przeciw mieszaniu łaciny do prozy, jednostajność formy, nieożywionej dialogiem, obrazami, porównaniami. Braki artyzmu zastępuje jednak mądra, obfita, prawdziwa i dosadna treść: można się spierać z wojewodą, czy traktaty o polepszeniu stanu miejskiego, albo o obmyślaniu hybern wojskowych należało wykładać

właśnie białym wierszem; jednak na same jego wywody, niemal na wszystkie, zgoda zupełna.

Czy się skarży na stan umiejętności, lichy w Polsce w porównaniu z zagranicznym, czy na ogólne pijaństwo, czy na straszny ucisk kmiotków, czy na zniewieściałość młodzieży, czy na zbytek, czy na obnażenie granic polskich, długich na setki mil, a opatrzonych tyluż żołnierzami, czy na oziębłość nabożeństwa, bo szkoda się pospolitować z Panem Bogiem, czy na *interregnum* i na to, że Polacy w niczem nie są porządni, tylko w samym nieporządku — że nie przesadza ani słówkiem, dowiódł tego dalszy rozwój.

Dzwonił nagwałt, że nasza wolność — to niewola, że niema wolności publicznej, jest tylko prywatna, że należy wziąć kredkę do rąk, jeśli nie mają nam zabrać naszych rzeczy Żydzi, jak Egipcjanom w przeprawie przez morze Czerwone; a nie karze Bóg nas za nic tak, jak „za ciężary i opresję chłopską". — Czytano to, naśladowano (np. w „Domina Palatii"), ale puszczano mimo uszu w coraz dziwniejszem, coraz straszniejszem zaślepieniu i odrętwieniu. Gorliwy katolik (jak i brat Łukasz), występował przeciw nadmiarowi zakonnego duchowieństwa, przeciw owym *Vielzuschaffen* (tegoż wyrazu użył i Łukasz), owym „wszędybyłom i przymuszczkom" (jezuitom), podobnym do rzepiu, bez których dziś już nie można ani się żenić, ani dziedziczyć, ani urzędu dostąpić; przeciw unji, radząc prawosławnych nie tykać w wierze; przeciw symonji i skąpstwu duchownych, nie czytających nic, ani nawet Drekseljusza, chyba *libri beneficiorum* i dyplom erekcyjny. Napadał, jak Łukasz, na podejrzane szlachectwo rożnych Skickich, na palenie czarownic, które się zagęściło w Polsce dopiero w XVII wieku — państwo, pozwalające na to, godne jest raczej samo ognia — na chełpliwych żołnierzów, którzy krwią ociekli chyba z nosa, albo w syntaksie pod magistrem Smaga. — Sięgał jednak i wyżej, tykał króla i nieporządnej „dystrybutywy", przyczem najdziwniej lawirował między wrodzoną nieufnością a czuciem potrzeby większej władzy królewskiej; tykał wysokich urzędów, nie szczędząc właśnie tych, na które nie miał żadnych widoków: hetmaństwa i podskarbiostwa; tykał obrony i finansów, przyczem jednak własnych ofiar nie byłby ponosił; i on nawet na piśmie, bez ciągłych zastrzeżeń nie wyzbywał się możnowładczego sobkostwa: dwulicowość ludzi XVII wieku, ganiących u innych to, czem sami grzeszą, znamienna jest i dla niego.

Satyry Opalińskich stoją na czele niezmiernie obfitej litera-

tury, szczególniej po roku 1648, gdzie gonią jeden za drugim: Satyr schorzałej głowy, Nowy Satyr polski, który wraca z Bukowiny wołoskiej (Starowolskiego?), Satyr podgórski roku 1654 i t. d., nie licząc owych „Lamentów Korony Polskiej“, „Pieśni żałośnych“, najrozmaitszych Listów — nieraz wymowne, trafne, nieraz zbyt poziome, trywjalnie moralizujące.

W drugiej połowie wieku, gdy coraz przybywało przyczyn do narzekań, ubywało tej literatury, która kryła się odtąd raczej po pamfletach („Niewolnik“, „Furman“ i inne), niż występowała do boju z otwartą przyłbicą, zawsze więc była anonimowa, rzucająca się na osobistości, przy obsadzaniu tronu, buław strasznie obelżywa (na żyda Becala). Najobszerniejsze z pośród nich użyły formy dramatycznej: „Dialog“ np., wystawiony niby na „teatrum Weneckiem“ w r. 1697, nicujący nieudałe zabiegi o tron królewicza Jakóba, albo „Akt zapustny komedjantów w Warszawie na zamku r. 1699“, szkalujący (najsłuszniej) senatorów.

Ubytek poważnej satyry wynagrodził sowicie podczaszy krakowski. Już urząd robił go poetą, bo bez wina wena poetycka nie przychodziła — to też kobietom, że nie piły, wena nie służyła. Zapisała też literatura na swych kartach imię niejednego podczaszego (np. Cieklińskiego) — podczaszemu Tęczyńskiemu zawdzięcza Goffreda; najbardziej wsławił się inny podczaszy krakowski, **Wacław Potocki**, najpłodniejszy, najbardziej typowy, najciekawszy ze wszystkich poetów XVII wieku; jedyny to właściwie poeta; bo inni, raczej dyletanci, w poezję bawili się przygodnie.

Jak Kochanowski w XVI, tak Potocki w XVII wieku poezję, chociaż przy zmienionych okolicznościach z nią najaw nie występował, uznał za swoje jedyne powołanie i pióra z rąk nie wypuszczał przez pół wieku; zupełnie osierociały, nabrzmiałemi od starości palcami zakreślał do ostatniej chwili swe raptularze wierszami; ogłuszany ciosami losu, bijącemi raz wraz w sędziwego poetę, uciekał do ukochanych muz, zgorzkniały, zwątpiały, zapomniany przez wszystkich, Edyp z Antygoną-synową. Powołanie poetyckie i w tem się objawia: inni piszą równie dobrze, a raczej równie źle, od początku do końca krótkotrwałej służby poetyckiej, Potocki przeciwnie wyrabia się znakomicie. Od trywjalnej prozy jego pierwszych wierszów odbija późniejszy język, soczysty, barwny, jędrny, szczeropolski, odbija polot niewymuszony ani sztuczny, odbija bogata obrazowość; tamci niedonoszone płody rzucają molom na pastwę albo wybiegają do pras z kwapioną ro-

botą, on nie wypuszcza jej z ręki, nie wierzy sobie, poprawia, piłuje, gładzi i w bruljonach jego śledzimy wytężoną pracę. W zborze zaczął pisywać wiersze religijne, jak inni arjanie, próbował sił i w wierszowaniu ustępów biblijnych, o stworzeniu świata, o Judycie, gdy zwątpił w siłę męską za wojny kozackiej, a Polsce życzył podobnej niewiasty. Pod przymusem przyjął katolicyzm, chociaż własna żona i krewni wytrwali przy arjaństwie; w życiu publicznem nie szukał czynnego udziału, a sądy poznał dopiero wtedy, gdy własny jego syn został mordercą; z Łużny wyjeżdżał, żeby grzebać ukochane dzieci, albo w Proszowicach na roczkach psować szlachcie fantazję, narażając się na miano starego błazna, bo ganił elekcję i *veto*. Osowiały starzec pocieszał się, stojąc jedną nogą w grobie, tem, że nie zobaczy choć sam końca miłej ojczyzny, i świat żegnał z bolesnemi wyrzutami na ustach.

Gospodarstwo nie było zbyt kłopotliwe; miał czas wolny zawsze od pieniactwa i pijaństwa, od służby dworskiej i braci szlachty. Umysł ruchliwy i życie myślące, sama zmiana wiary, dokonana w piątym krzyżyku, pobudzały do refleksyj, porównań i wahań. Wykształcenie, niebłyskotliwe, ale gruntowne, klasyczne i teologiczne — biblję Potocki znał lepiej, niż księża, przynajmniej podgórscy — zamiłowanie do ksiąg, wyniesione już z arjańskiego otoczenia, które, opierając się na nauce, stało nauką, umysł krytyczny i badawczy — musiały go utrzymywać na torach literackich. Od jednej pracy przechodził do drugiej; okrzoski myśli, drobne rzuty, żarty, anegdoty, zbierał dziesiątkami lat obok wielkich dzieł, i nie było niemal pola poetyckiego, bo tylko tam go ciągnęło, na któremby sił nie próbował. A jednak dawny arjanin nie dowierzał katolickiemu społeczeństwu; z tego, co pisał, z tych setek tysięcy wierszów, nie puszczał w świat nic, chyba jakiś drobiazg okolicznościowy, i to nie wymieniając nazwiska, i to szukając sobie do pomocy innego Śrzeniawity. Był poetą znakomitym, jak na te czasy, a nic po nim w druku nie było i nikt go o to nie nagabywał — raz go tylko zaczepił Kochowski o to milczenie! Jest to więc znowu jeden „anonimowy“ poeta, których tylu Polska wydała od Reja do Krasińskiego.

Jak Rej kalwin, tak i ten arjanin nic nie dolewał do morza łacińskiego, które zasilali gorliwie i Kochowski i Lubomirski, chociaż łaciną władał inaczej, niż nieuk nagłowski; dla Polaków pisał tylko po polsku, mimo zabobonnego respektu przed rzymskimi autorami, przed Tacytem i Liwjuszem, przed Wergilim i Lu-

kjanem, a może właśnie dlatego. Ulubionem jego zajęciem było przewierszowywać łacińskie historje, czy je wybierał z historji Tuana (i wojen holenderskich, o Tresie i o Gazeli), czy z komentarza Sobieskiego (Wojna Chocimska), czy z romansu Barklaja (Argenida), czy z Liwjusza. „Argenida“ tak się mu spodobała, że sam wykoncypował „Syloreta“, podobny romans fantastyczno-awanturniczy, którym pocieszał się w ciężkich przejściach, bo romans uczył nie rozpaczać, ufać w Boga, a losom się nie poddawać — chociaż autorowi losy nie uśmiechały się nigdy, chociaż pogrzebał rodzinę, przyjaciół, znajomych, a sam, jako były arjanin, nie troszczył się, czy choć jego trupa pogrzebią, czy nie wyrzucą go pod płot.

Na „Syloreta“ złożyły się, prócz impulsu od „Argenidy“, i „Etjopiki“ Heljodorowe z podobnym wątkiem, rozbiciami na morzu, porwaniami przez zbójów, nadspodziewanemi ratunkami, cudownemi spotkaniami. Romans obejmuje trzy generacje, a mógłby się ciągnąć w nieskończoność; jedyna jego zaleta — pyszny język, trafne obrazy i refleksje.

Tysiące długich wierszów historycznych i romansowych to tylko cząstka jego czynności poetyckiej; pod względem liczby przeważały religijne parafrazy Męki Pańskiej, ewangelji, pieśni nabożne najrozmaitszego składu, dziękczynne, psalmy pokutne w ucisku i żalu, w których wylewało się często głębokie uczucie religijne, szarpane walkami i wewnętrznemi wahaniami. Zdobył się nawet na dialog o Zmartwychwstaniu, misterjum, mało licujące z arjaninem, poważniejsze, mądrzejsze, niż rzeczy szkolne, choć w gruncie od nich nielepsze; luźny to szereg scen czyli aktów — czyżby myślał zastąpić niem rubaszne i trywjalne widowiska krośnieńskie?

Syn wieku, nie mógł się wstrzymać zupełnie od poezji okolicznościowej, panegirycznej, ale jego panegiryki nie szły przynajmniej pod prasę, sławiły chyba zięcia, wyjątkowo króla, opłakiwały własne dzieci. Naśladował formy utarte, ale wlewał w nie więcej życia i werwy, niż Gawiński, a nawet Twardowski; jego „Sielanka przy szczęśliwym wjeździe Lipskiego (zięcia) na starostwo sądeckie“, a przedewszystkiem „Libusza“, obie z r. 1676, napisane są z taką swobodą i humorem, że ich wdzięk i dziś odczuwamy; „Perjody“, „Smutne zabawy“ (nad zwłokami synów, Stefana i Jerzego i milutkiej córki, Zofji) prawdziwym, choć nieraz nieforemnym wyrazem żalu nieutulonego, po „Trenach“ Kochanowskiego wybijają

się po raz pierwszy znowu z powodzi sztucznego rozełzawienia i dymu czczych kadzideł.

Z latami jednak poeta rzucił epikę, lirykę i wiersze przygodne, a, patrząc na to, co się wokoło dzieje, zasklepił się w utworach moralizujących, satyrycznych i anegdotycznych; w ten sposób powstają jego „Ogród nieplewiony“, jego „Poczet herbów“ z „Odjemkiem“, jego „Moralja“, ostatnie dzieło, największe, niewykończone, przerwane śmiercią sędziwego starca. Z tych dziesiątków tysięcy wierszów najciekawszy jest zbiór pierwszy, płód trzydziestoletniej pracy, zawierający wszystko możliwe: anegdoty i facecje zmyślone i prawdziwe, obce i własne, od Boccaccia i Poggia aż do Sowizdrzałów i Jagodyńskich; obrazki szlacheckiego życia w domu i polu, w gościnie i mieście, w kościele i obozie, na polowaniu i jarmarku, u cyrulika i kupca; przygody szkolne, ze służbą, w podróży; listy, aluzje do herbów i nazwisk, żarty, przedewszystkiem z łysych, z nałogów i przywar, z natręctwa ubogiego, mnicha, wdowy, z nieprzyzwoitego jedzenia, z niedyskretnego picia; nauki, przestrogi, maksymy; kreślenie okolicy, wyliczanie przesądów, sarkanie na nierząd polski, na nieuctwo duchowieństwa, na klęski i plagi publiczne, na posłów własnych i obcych — *silva rerum* poetycka, szlachecka, tylko własnej inwencji, niewypisywana z aktów, broszur, raptularzy. „Ogród“ ten, częściami, w rozmaitym układzie, krążył w licznych odpisach po kraju; jakiś literat dziwnego autoramentu powydobywał z niego bezeceństwa — bo muza domowa p. podczaszego bynajmniej się ich nie wystrzegała, bez cienia lubieżności, grasującej u Morsztynów i innych, lubowała się we wszystkiem drastycznem a naturalnem — i wydał je w Lipsku (?) pod tytułem „Jovialitates“, chociaż jowjalnego nic tam niema; zhańbił tem tylko pamięć podczaszego, dorabiając nawet z własnej inwencji rzeczy nie rubaszniejsze, lecz gorsze.

To, co Potocki dorywczo, do jednego lub drugiego herbu zastosował w „Ogrodzie“, na obszerną skalę wykonał w „Poczcie Herbów“, jedynem wielkiem dziele, które wydał w ostatnim roku życia. Jest to najsłabsze jego dzieło, nużące jednostajnością. Nadzwyczajna, mistyczna niemal cena szlacheckiego klejnotu, uzyskanego niegdyś przez przodków krwią i zasługami, dziś nabywanego i za pieniądze, lubowanie się szlachty i wieku w emblematach, wykładach alegorycznych, aluzjach, moralizująca żyłka — stworzyły tę heraldykę moralno-poetycką. Autor, wziąwszy za podstawę herbarz Okolskiego, poświęcił każdemu klejnotowi obszerny wiersz, a w je-

go dziejach (najczęściej zmyślonych, z dziwnemi opowiadaniami, czerpanemi nieraz ze zbiorowisk europejskich za pośrednictwem niemieckiem) dodawał aluzje z okazji herbu na domatora, na łysego, na skąpego, na duchownego, rznąc im prawdą-matkę, poczem kończył nieraz długi szereg takich wierszów wykładem alegorycznym, a raczej anagogicznym, bo całe dzieło przypomina ów, wiekami uświęcony, wykład Pisma Świętego w sensie historycznym, alegoryczno-moralnym i anagogicznym (prowadzącym do górnego Jeruzalem). Jest to także kopalnia rysów obyczajowych, anegdot, nawet ruskich, skrząca się językiem dziwnej siły i piękności, pociągająca nim jeszcze i dzisiaj.

Nakoniec w „Moraljach“ za wzór wziął „Adagia“ Reterdamczyka — już to bez podpórki łacińskiej obywał się tylko wyjątkowo, jak i protoplasta Rej, chociaż wtedy już dawno istniał zbiór przysłów polskich Salomona Rysińskiego, kalwina i Radziwiłłowczyka, wydawany częściej od r. 1618. Każde przysłowie czy sentencję łacińską szeroko omawiał wierszami, nieraz po kilka razy, z tej i owej strony; rzadziej ilustrował je anegdotą, żartem, nowym albo powtórzonym z „Ogrodu“; wdawał się i w polemikę, najczęściej religijną. Dawny bowiem arjanin i jako katolik bynajmniej się nie wyrzekł praw zdrowego rozsądku, krytyki i badania, i ganił w katolicyzmie to, co uważał za naganne, bez względu na to, że się na niego o to gniewali panowie duchowni. Sarkał więc na niezliczonych darmozjadów po kościołach i klasztorach, na straszny wzrost dóbr duchowieństwa, na skąpstwo duchownych, wymuszających dziesięciny i opłaty, od których i trup się nie wykręci, na klątwy o grosz; na obrazy świętych i niepewne cuda, na muzykę kościelną, brakowanie pokarmów, obyczaje duchownych, przyczem, dla większego bezpieczeństwa, tak się urządzał, że rzecz rozbierał w formie dialogu między katolikiem a protestantem i nie skąpił protestantowi silniejszych argumentów. W politycznych rzeczach powstawał na elekcję, żądał dziedzicznego pana Polaka, zniesienia nieporządnego sejmowania, kontroli nad poborcami, rozkradającymi dochody. Nienawidził cudzoziemców: Wazów na tronie, Habsburgów o ścianę, tak dalece, że milczał głęboko o najświetniejszej wiedeńskiej wyprawie, jakby jej nigdy nie było, chociaż Chocim sławił wymownie. W ekonomicznych utworach biadał nad chłopskim uciskiem, nad ubóstwem miast, nad upadkiem polskiej zamożności. Ujmował się za wolnością sumienia, np. w „Kadukach (konfiskatach) arjańskich“:

Temu nieborakowi wsi wzięły kaduki.
Czemuż to? Bo źle wierzył. Takowej nauki
W żadnym piśmie nie czytał...
Wżdyć wiara jest dar Boży, a nuż tego daru
Temu nieborakowi nie chciał Bóg dać? to mu
Wioskę wziąć? to go wygnać na tułactwo z domu?..
A o naszej co mówią Aryanie wierze?
To, co my o ich: że w niej nie ważne pacierze.
Czemuż my ich, nie oni z ojczyzny nas ruszą?
Bo nas więcej, niźli ich...
Nie żeby oni jaką zasłużyli winę,
Tylko że słabsi, przeto z nimi za drabinę!...
I Kalwinić nie wierzą kościelnej nauki,
Czemuż na nich takiejże nie zażyjem sztuki?
I ci w Polsce nie wieczni! Skoro się przerzedzą,
Upewniam, że Anglią z Holendry nawiedzą.

Innym podobnie mądrym, dobitnym a głębokim wierszem wiek XVII niełatwo może się poszczycić. Z większym żalem rzucał się Potocki na panów w „Braterskiej Admonicji do braci starszych", oskarżając ich o niemiłość ojczyzny, zaniedbanie obowiązków, obojętność wobec nawały tureckiej — skarby ich przecież przodem wysłane do Gdańska, sami do Rzymu się biorą;

Nie pisać, ale każdemu — plwać w oczy
Z takich wyrodków nieszczęśliwych trzeba,
Kto tak ospały, kto tak nie ochoczy,
Kto sławę w sobie przodków swych zagrzeba...
Wstydzcież się baby. trzebienie i karli,
Chwalebnych przodków, jeśli nie kościołów,
Jeśli nie sąsiad, co oczy rozdarli,
Jeśli nie smutnej ojczyzny popiołów...
Czemuż na palcach nosicie sygnety?
Czemuż po ścianach malujecie herby?
Gdy — kufle wasza cecha i kalety,
Kiedyście z synów stali się pasierby?
Śmielsze gdzie indziej rodzą się kobiety..
Co rok pięćdziesiąt tysięcy intraty
Z starostwa i z królewskiego ma grodu,
A wżdy tak skąpy, zły i żydowaty,
Że na hajduków zamkowych dochodu
Żebrze, na swoje garnąc go prywaty,
Choć cnotliwego, bezbożny syn rodu...
W wojsku ani sam, ani ma żołnierza:
O świat, o ludzie! ni z mięsa, ni z pierza!..
Każ, królu, na te brzydkie niewieściuchy,

Jako Bolesław jednemu wyrządził,
Robić z lękliwych zajęców kożuchy...
Lecz gdybyś wszystkie chciał przyodziać tchórze,
Słać po zajęców trzebaby za morze...
Odpuśćcież, że tak piszę do was śmiele,
Ani sarkazmem mego czcijcie wiersza,
Poecie w księdze, a księdzu w kościele
Prawdą kłuć oczy słuchaczom nie pierwsza...

Niemniej wymowne są skargi na opresję chłopską:

Ten wzgardzeńszy od żyda abo od cygana;
Wszyscy go z skóry łupią, począwszy od pana...
Niejeden się też wiesi, woli na powrozie,
Niż mrzeć od bicia, abo w gąsiorze na mrozie...
(Panowie okrutni) śmieją iść, zatrapiwszy człeka, do kościoła,
Pełne oczy krwie, pełne krzyku mając uszy!
Hycel psa do jednego razu bije w mieście;
Jemu trzeba tysiąca, mało kijów dwieście,
Na człeka, na bliźniego, co mu winien tyle,
Nie mając miłosierdzia, co wody z kamienia...
Wół w niedzielę ma pokój od jarzma, od pługu —
Kmieć z kuny lub gąsiora, nie odda-li długu,
Choć nigdy nie pożyczał od pana szeląga,
Ze skóry szyję w robocie oblazłą wyciąga...
Skoro się kmieć wyrobi, żebrze chleba póty,
Póki chodzi, aż zdechnie pod cudzymi płoty...
(Chłopi naszymi) bliźnimi, bo są ludzie wedle apostoła,
Bracią, jednego z nami członkami kościoła:
Czemuż się katolicy dziś na to odważą,
Swoją handlować bracią, pogańską przedażą,
Z bydłem wraz inwentując katolików kmieci,
Gdzie mu wszystko, począwszy od żony, od dzieci,
Duszę nawet wolno wziąć z gardła temu, co go
Zapłacił, a dopieroż jeśli kupił drogo!

Dziwić się nie można, że wiersze z tak gorzkiemi, tak prawdziwemi, niestety, zarzutami pokazywać się nie mogły najaw wobec rosnącej drażliwości wszelakich duchownych i świeckich „korolaniąt“, jak ich nazywał Potocki za Chmielnickim, wobec coraz groźniejszej nietolerancji i coraz głębszej anarchji.

Niezmąconego estetycznego wrażenia nie wywołuje Potocki nigdzie: dobór treści nietrafny, kompozycja zupełnie chroma, powtarzania. Zbyt rozwlekle, gadatliwie stary zrzęda rozwodzi to samo, wraca i przerywa sam sobie; nie utrzymuje się nigdy na wyżynach, wpada nietylko ciągle w rubaszność, ale w płaską po-

spolitość, w prozę rymowaną; nie przebiera nigdy w motywach, obrazach, słowach i pisze, co ślina przyniesie albo rym wymoże; zwiedziony błędem całego wieku i Piotra Kochanowskiego — szykuje wyrazy dziwacznie, nadużywając swobody łacińskiego wzoru; nie zlęknie się słów ruskich, obcych wyrazów, nowotworów albo form niewłaściwych. Są to wady wieku, nieznającego krytyki, artyzmu, sztuki, wady ludzi, piszących w głuszy dla samej głuszy, niewychylających się na świat boży ze swemi pracami, przeznaczających je zgóry dla ścian domowych.

Te wielkie, liczne, rażące braki wynagradza Potocki pierwszorzędnemi zaletami. Żaden z dawnych pisarzów, od Reja do Krasickiego, nie wyraził tak znakomicie i wszechstronnie polskiego typu, jak on. Mimo uwielbienia świata i literatury rzymskiej, żadne zbytnie uniesienie humanistyczne nie kazi jego zasad, poglądów, chrześcijańskiego i szczeropolskiego zarazem sposobu myślenia; mimo dawniejszego arjaństwa obce mu jest stronienie od świata i jego uciech, sekciarskie zasklepianie się, fanatyzm; aż nadto może strzeże się cudzoziemczyzny, Niemców, Włochów, Francuzów, umiłowawszy swój kraj, obyczaj i język do przesady, jeżeli w tem można przesadzić. Zato wyraził wszystko, co piękne i szlachetne w staropolskiej, prawdziwie słowiańskiej naturze; z jego pism odtworzysz społeczeństwo staroszlacheckie aż do najdrobniejszych szczegółów z jego doskonałością i ułomnościami, z rzetelnemi przymiotami i niezaprzeczonemi przywarami, z wyłącznością stanową i narodową, ze zbytniem trzymaniem się poziomów i realności aż trywjalnej. Z pism przebija najwyraźniej Polak starej daty, niby Rej, niby Pan Podstoli; i na zawsze on, nie Pasek ani Zagłoba, pozostanie najszlachetniejszym, najlepszym, najzupełniejszym przedstawicielem w literaturze polskiego sarmatyzmu, swojskości, rodzimości, bez umysłowej i politycznej anarchji, bez zacofania i skostnienia, bez saskiego zwyrodnienia. Wszelkie dodatnie strony staroszlacheckiego społeczeństwa w tym pisarzu skrystalizowały się najczyściej, bez najmniejszej obcej przymieszki, wyidealizowały się najzupełniej.

Cóż mówić o jego języku! Mistrz on na tym szlachetnym instrumencie i wydobywa z niego tony, jakie zapragnie, prócz miękkich i pieszczotliwych, obcych Sarmacie. Śmieje się, płacze i zgrzyta naprzemiany; nietylko przyswoił sobie wszystkie skarby tego języka, lecz sowicie ich przymnażał, i to nie tworzeniem jakichś potwornych złożeń, w czem celowali nieucy, nie zachwaszczaniem

go włoszczyzną i łaciną, czem grzeszył i Kochowski, ale w duchu języka, korzystając z jego gibkości, folgując szczęśliwemu natchnieniu. Tylko Rej się z nim zmierzy bogactwem językowem i fantazją językową — daleko do nich i Kochanowskiemu, i Krasickiemu!

A przedewszystkiem — jest to głos sumienia polskiego, jeszcze nie do końca zaczadzonego panegirycznemi kadzidłami. Cóż wymowniejszego nad takie wynurzenie:

Com pisał, na Bożym się sprawię trybunale:
Ten widzi, bo do Niego co godzina idę,
Że to ani na hańbę ani na ohydę,
Ale piszę, bojąc się własnego sumienia,
Kiedy zawarto wszelki sposób do mówienia.
Jakoż i pismo wyniść ma na ludzkie oczy?
Abo go spalą abo mól w kącie roztoczy.
Choćby i wyszło — tyle ogłosu uczyni,
Co drumla abo mucha w hirkańskiej pustyni.

Albo pisze satyrę pod tytułem „Stary pies — gospodarzu, czuj o sobie — szczeka“:

Darmo szczeka stary pies; to będzie miał zyskiem,
Że mu się wręcz abo też dostanie pociskiem.
Śpią wszyscy na obiedwie uszy, jako w lesie.
Nikt nie wyńdzie, nie wyjrzy, pies szczeka, wiatr niesie,

a na tę samę nutę, jeszcze boleśniej:

Śpi świat pijany... Dyabeł na warcie, by nikt nie budził, stoi,
Grozi palcem z daleka, psów nawet popoi,
Żeby spali, nie szczeka żaden na katedrze,
Abo niezrozumiałym głosem: chceli pyska
Uchylić który, chleba po kawałku ciska.
Niechżeby który krzyknął, jako ogar w borze,
Heretyk! zamurować na śmierć go w klasztorze!
Abo ściąć! abo spalić! tak smaczny sen światu
Przerywać — niech paszczeki swej się sprawi katu!
Gdzie drudzy syrenami przyśpiewują, z lekka
Przygrywają, żeby spał tym smaczniej — on szczeka!

Poezję gnomiczną uprawiano dawno już przed Potockim. Jeszcze na początku wieku odznaczył się poeta Mniszków, Jan Żabczyc, którego wiersze historyczne („Mars moskiewski krwawy“— najdłuższy anagram, na jaki się zdobyto w literaturze polskiej) i panegiryczne zostały zapomniane, zato gnomiczne wydawano często; nawet do piśmiennictwa rosyjskiego dotarło w przekładzie

XVII wieku „wydanie o dobronrawji“. Są to zbiorki p. t. „Etyka dworskie“; „Politica dworskie“; „Praktyka dworskie“, prozą i wierszem, które wsiąknęły w nasze zbiory przysłów — zresztą niepotrzebnie — np.

Przy paniej nie obłapić, nie urznąć palcata
W lesie, mieć chleb a nie jeść: poszło na jałata (hebesa),

— najbardziej podobał się jednak jego „Leksykon dworski“ albo „Kalepin dworski“: niema Sylwy rerum, któraby nie powtarzała satyrycznego słowniczka, np. *temperans* — nie naski, *fidelis amicus* — worek z pieniędzmi, *veritas et pietas* — głupstwo, *adulatio* — przysługa, *xenion* — *kozubales, Clio* — nimfa na wilku (puharze) i t. d. z coraz to nowemi dodatkami.

Innej miary są dwaj poeci radziwiłłowscy, arjanin **Olbrycht Karmanowski** i kalwin **Daniel Naborowski**, obaj niedrukujący niczego, mimo to znani i sławni; utwory ich, szczególniej Danielowe, częste po rękopisach. Spuścizna Olbrychtowa uboższa liczbą: są w niej pieśni pokutne o gładkiem wysłowieniu, „Drwa“ (fraszki, między niemi najznakomitsza „Wesele towarzyskie“, nadzwyczaj dowcipna, pełna uszczypliwych żartów), „Paidonomia“ — niby naśladowanie Theognisa, bardzo poważna. Daniel Naborowski cieszył się u spółczesnych sławą znakomitego poety, i jego listy poetyckie do Radziwiłła Janusza, rozmaite „wiązania“ (dary na imieniny, kolędę) nie przeczą przychylnej opinji; lubował się w zestawianiach i porównaniach, wyliczaniach przymiotów w dłuższych wierszach: „Kur“, „Róża“, „Malina“, „Cień“. Na sto lat przed Ulrykiem Radziwiłłem wysławiał przymioty „Niczego“, ofiarując „Coś i Nic takiego“ księciu panu na kolędę roku 1636 z ubogiej swej gazdy. „Nic“ jednak góruje nad „Coś“, jak z domowych przykładów widzimy:

Ono sławne Coś, które rokoszem rządziło,
Jako sam dobrze pomnisz, w Nic się obróciło.
To Nic jednak sprawiło potym amnestyją,
A ta zaś rozróżnionych głów i serc uniją.
Z unijej zgoda mija, z tej zaś pokój trwały,
A z pokoju obfitość i dostatek cały:
Nic nabawiło, teraz jako widzim, tego:
Nic z zaciągów, Nic z wojny i Nic ze wszystkiego.
O Nic niewysłowione, które wszystkie trwogi
I burdy ludzkie krócisz i straszne pożogi!
I ty odpuść o Książę, choć łaskawe nieba
Wszystkim Cię obdarzyły...
Zgoła żeć nie dostaje (rzekę tak) Niczego:

Przeto żebyś i to miał, czegoć nie dostawa,
Przyjmi Nic z łaską, które chudy sługa dawa,
A mnie, dla samej sfory, o wielki hetmanie!
Co daj, a tak Co i Nic pospołu zostanie!

Do jakiego mistrzostwa dochodził Naborowski, wykaże jego epigram na niewiernego szafarza „*Palinurus* abo styrnik", wiersz w całości niby pochlebny, rozpadający się jednak istotnie na dwa szkalujące wiersze:

1. Przyzna każdy tobie
Nie panu, lecz sobie
Intratyś przybawił
Takimeś się sławił,

Pókiś tu rej wodził,
Siłaś barzo szkodził.
Nad inwentarz dawny,
Palinurze sławny.

2. Słusznie, sprawiedliwie,
Żeś służył cnotliwie
Kto cię tak udawa,
Sam się łgarzem stawa,

W tym żaden nie zbłądzi,
Każdy tak osądzi,
Żeś pokradł koniecznie,
Mówię to bezpiecznie.

3. Za takie staranie
Bodaj wisiał, panie,
W pańskiej majętności
Płocho i żywności

Godzien łaski zgoła
Ten co na cię woła,
Dostatek wszystkiego,
U ciebie samego.

Wiersze takie naśladowano i w XVIII wieku, np. na antagonizm Wołczyna (Czartoryskich) i Nieświeża (Radziwiłłów), lecz mniej udatne:

Wzmacniajcie niebiosy
Radziwiłłów głosy
Nieświeskie intenta
Szczęśliwe momenta,
Mieć będzie koronę,
Nieśwież swoją stroną

Czartoryskich siłę,
Zamieńcie w mogiłę...
Piorun niechaj bije,
Kędy Wołczyn żyje...
Wołczyn niechaj słynie
W piekle niechaj ginie.

Ciekawy też jest madrygał osobliwszej budowy, którym Naborowski rywalizuje z koncettystami i kultystami, a wyprzedził Andrzeja Morsztyna (temu mylnie przypisują ten wiersz) o kilkadziesiąt lat, choć tylko tłumaczył Francuza:

Na oczy królewny angielskiej (żony falcgrafowej).

Twe oczy, skąd Kupido na wsze ziemskie kraje,
Córo możnego króla! harde prawa daje,
Nie oczy, lecz pochodnie dwie nielitościwe,
Które palą na popiół serca nieszczęśliwe;
Nie pochodnie, lecz gwiazdy, których jasne zorze
Błagają nagłym wiatrem rozgniewane morze;

Nie gwiazdy, ale słońca pałające różno,
Których blask śmiertelnemu oku pojąć próżno;
Nie słońca, ale nieba, bo swój obrót mają
I swoją śliczną barwą niebu wprzód nie dają;
Nie nieba, ale dziwnej mocy są *bogowie,*
Przed którymi padają ziemscy monarchowie;
Nie bogowie też zgoła, bo azaż bogowie
Pastwią się tak nad sercy ludzkimi surowie?
Nie nieba: niebo torem jednostajnym chodzi;
Nie słońca: słońce jedno wschodzi i zachodzi;
Nie gwiazdy: bo te tylko w ciemności panują;
Nie pochodnie: bo lada wiatrom te hołdują.
Lecz się wszystko zamyka w jednym obec słowie:
Pochodnie, gwiazdy, słońca, nieba i bogowie!

A na podobne igraszki, w których później celował A. Morsztyn sadziła się nieraz jego wena, zresztą dosyć skąpa, wyczerpująca się okolicznościowemi wierszami, np. sławną „Zwada Marsa (Daniłowicza) z Kupidynem“ (Radziejowskim) z roku 1632, i fraszkami, gdzie żartował z jezuitów i z drogi do Prus, z Litwinów i z bab a wplatał jednę i drugą bajkę. Bajkopisarstwo nie rozwinęło się bynajmniej samoistnie; utykało na prozaicznym Ezopie, chociaż przy początku i przy końcu wieku pojawiły się przekłady i innych obcych wzorów, włoskiego (Verdizotiego, przełożył Lubomirski? a przerobił i wydał Błażowski, jako Setnik przypowieści) i francuskiego, Lafontena, z którego wybór przetłumaczył Niemirycz w roku 1699. Wprowadził on po raz pierwszy do poezji polskiej wiersz wolny (t. j. rozmaitej długości) i, choć stąpając w ciężkich sarmackich butach, nie dosiągł lekkości i zgrabności francuskiej, przez to zasłużył na uznanie, że się zwrócił do nowych, doskonalszych wzorów, że odwracał od ascetyzmu, panującego w księgach, że głosił prawdę, acz poziomą (kiedy tego trzeba zgoła, mądry z każdym wiwat woła!), że bajce francuskiej nadawał cechy polskie, choćby zwrotami, jak np. młodzieniec jeden starego pieczywa widząc, że mu już bielała grzywa, chociaż narabiał i francuską galanterją, że przed samym mrokiem saskim starał się o dobry smak, pewną wybredność, że nie szczędził satyrycznych docinków. Zresztą zbiór ten, mały był pod względem liczby, nie osiągnął swego celu (miał bowiem wyuczyć syna Augusta II po polsku) i nie wsławił poety; drukowany był zagranicą i tam zapomniany. Znakomitą polszczyzną wyróżniał się ów Setnik: jego tłumacz czy poprawiacz w „Tłumaczu rokoszowym“ (r. 1607) wykazał samodzielny talent, nie szczędząc prawdy, przytykając ostro rokoszanom. Formy bajki politycznej

używano przez cały wiek nadzwyczaj rzadko; ostrożność nie wymagała jeszcze języka i niewolniczych wschodnich alegoryj.

Obok rozbujałych epickich i dydaktycznych (satyrycznych) fluktów liryka płynęła znacznie cieńszą strugą. Chyba religijną popisywał się każdy; nawet Jagodyński na trwalszą pamięć zasłużył nie „Dworzankami“, lecz pieśniami nabożnemi; wyjątkowy poeta, w którego spuściźnie nie byłoby liryki religijnej, to może jedyny Naborowski; o jezuitach i t. d. nie potrzebujemy osobno wspominać.

U świeckich także nieraz przeważała bardzo ta liryka, np. u **Kacpra Miaskowskiego**, człowieka starej daty, wychowanego na Kochanowskim, nieumiejącego zachować jego miary. Miaskowski dopiero w podeszłym wieku zabrał się do pisania i drukowania, znalazł gorących wielbicieli, jak Herburta, który sam w prostocie się nie lubował i hołdował barokowej stylowej przesadzie; jego zbiór rytmów wydano nawet rychło powtóre, lecz potem całkiem zapomniano, chyba opis satyryczny polskiego zapustu albo, oznaka nietolerancji, list „Lutra z piekła“ tułał się po „Silwach szlacheckich“.

Oprócz poezyj okolicznościowych, najlepszych, jak np. „Waleta Włoszczonowska“, którą Wielkopolanin zostawił Mazurom pruskim; politycznych — Wielkopolanin ujmował się za królem, lecz podtrzymywał komitywę literacką z rokoszaninem Herburtem; panegirycznych, nieraz dosyć niesmacznych, — wysadzał się na wiersze religijne, na „Jasełeczka“ i „Szopę zbawienną“, na „Rotuły“ i „Antyfony adwentowe“, gdzie mu odmówić nie można i dosadnego języka i starannego obrazowania, gdzie jednak nieszczęsna mitologja klasyczna wsuwa się zbyt natrętnie, najniepotrzebniej fatygując Apollina i Muzy z Parnasu do Jerozolimy — może te właśnie koncepty, liczne jak kwiatki w lecie, wywoływały oklask Herburtów. Jednak głęboka i rzewna wiara nie zostawia nas bez wrażenia, objawia się i w wierszach nagrobnych, np. na małego Rybskiego z przejmującą siłą; gorliwemu katolikowi dotrzymuje kroku poważny miłośnik ojczyzny, biadający nad niezgodą i rozerwaniem, z czego dobrze sobie tuszy wróg zewnętrzny; tylko niekonsekwencja ludzi XVII wieku jaskrawo się odbiła, gdy ten, co bronił króla przeciw paszkwilantom, co szydził z niewczesnych republikańskich zakusów, sławił Herburta jako Herkulesa słowiańskiego, gdy nawet więzienie nie ugłaskało partyzanta złotej wolności.

W mieszaninie liryki religijnej i świeckiej odznaczył się najbardziej **Wespazjan Kochowski**, najcelniejszy między poetami ziemi

sandomierskiej, żołnierz, gospodarz, historjograf, poeta w chwilach wolnych, szczególniej w młodszych latach, sandomierski Horacy, chociaż i Marcjalis w Goleniowej był gościem chętnie widzianym. Wydał liryki w czterech księgach i epodon, a więc niby całkiem po „wenuzyńsku“, lecz obywatel-Polak daleko odskoczył od Rzymianina-dworaka, już choćby dlatego, że nie było Mecenasa i Augusta nietylko w sandomierskiej, ale i na całej polskiej ziemi — były zato Pilawce i Beresteczko, Cudnów i Mątwy, traktaty andruszowskie i buczackie, abdykacja i elekcje. Więc obok liryki religijnej, do Matki Boskiej, do której „katolik“ Potocki zwracał się wyjątkowo, uprawiał lirykę polityczną, refleksje na tematy, jakie nastręczały wypadki od roku 1648—1673, pisane naturalnie nie przez cały ów długi przeciąg czasu, lecz dopiero przy jego końcu, więc zwracające się ku przeszłości (jak i w późniejszej „Psalmodji“). Ciekawe to wiersze, wylewy uczuć patrjotycznych, uniesień i upadków ducha, skarg i żalów (najpiękniejszy za Czarneckim), triumfów i wyrzutów (za Pilawce, Sicińskiemu), z wyszukanemi tytułami *(Bando* na Arjany, Do monarchów chrześcijańskich sąsiedzkie *quamquam* t. j. przemowa) stylem nieraz szorstkim, a językiem zawsze jędrnym. Wobec tej politycznej i anegdotycznej poezji, plądrującej Marcjala, którego wtedy nikt nie tłumaczył, a wszyscy okradali, niknie erotyczna, wojująca chyba dwuznacznemi aluzjami, gdy np., gratuluje spóźnionych ślubów koledze po piórze, Samborowi Młoszowskiemu; częściej spotyka się sielankowa, gdyż jego „Sielska fujara“ wzrosła między wieśniakami, i poeta nie taił, że „pługa gdy dozorny, wiersze pisze“, więc upatrzył i sławił „prawdziwą szczęśliwość“, jak wszyscy poprzednicy, począwszy od Kochanowskiego, w ustronnem, zacisznem, wiejskiem życiu.

Nad świeckiemi poezjami górowała liczbą religijna, ogłaszana w kilku zbiorach (prócz Liryk), począwszy od „Różańca Najświętszej Panny Marji“ (roku 1668) przez „Ogród Panieński“ i „Chrystusa Cierpiącego“ aż do „Psalmodji“ (r. 1695). Poezja to nadzwyczaj słaba; np. „Chrystus Cierpiący“, ułożony w krótkim pięciozgłoskowym wierszu wedle stacyj pasyjnych, fatalnie przypomina czyli raczej zapowiada Bakę, np.

Hieronim święty,
Pisania chuci
Koncept w pół biegu
Ty jak Dydyma,
Że w świętym boku

Gdy ten rozczęty
Wszystkie porzuci
Stanął; noclegu
Tak pisoryma
Jak w żywym stoku

Akt ruminuje,
I tu pauzuje;
Nie dotarł tego...
Me otwórz oczy,
Pióro omoczy.

Najfatalniejszy jest „Ogród“, bo Kochowski z jakiegoś Marjologjonu wybierał wszystkie epitety, przydawane Matce Boskiej przez pisarzów kościelnych, i rozłożył je na kwatery, t. j. grządki swego ogródka, wykładając każdy epitet dwuwierszem, np. tytuł *Mater Consolationis* (wedle Efrema Syryjczyka):

Do kogoż opuszczona sierota pośpieszy?
Do Matki: ta ratuje, opatrzy, pocieszy.

Cała ta poezja przypomina ascetyczne saskie dziwolągi, chociaż jej język i koncepty jeszcze nie są zmanierowane doszczętu, mimo np. takich pomysłów: Usta zmazane i skancerowany język otwieram i t. d. Tu już obok sarmackiego Jezusa występuje i Matka koronna, np. w wierszu rzewnej prośby o pokój, tak potrzebny w tych rokoszowych latach: Ratuj, dźwignij twoję onę Trwałą w służbie twej koronę Polski tobie oddanej, Ugaś wnętrzny ogień, który Co raz bierze moc do góry od swychże poddymany; Królestwo to twe dziedziczne Trapią wojny ustawiczne, biada, skwirk, ucisk wszędzie.

Ponad te wiersze wyrasta nieskończenie proza „Psalmodji“; przejmując się duchem i wyrazami psalmisty, u stóp Pańskich składa korne dzięki za niezasłużone dobrodziejstwa, spowiada się z grzechów żywota, nie traci ufności w niewyczerpane miłosierdzie i rozprawia o własnym kraju wystawiając powszechne zbrodnie i nieprawości, dobierając najdobitniejszych zwrotów np. (u nas) droga cnoty przykra, nagroda zasług niepewna, wdzięczność za odwagi omylna, a gdy występków nie karzą, *grzeszyłby ktoby dobrze czynił* (ten okrzyk zwątpienia wydawały już i przed nim piersi polskie...). Widzisz to, Boże, czuły wolności naszej stróżu, i grozisz pomstą zdrajcy, któryś tego balsamu wolności przez „niepozwalam“ w truciznę obracać nie kazał. Pisał to zaś Kochowski wtedy, gdy siódmy wielki „klimakter“ dziejów polskich, licząc od Chrobrego, zbliżał się do końca i przepowiadał rewolucje.

Zbiór to trzydziestu sześciu obszernych psalmów, na tle stosunków ogólnych (od zgodnej elekcji aż do wołoskich wojen Sobieskiego) i prywatnych (testament; rozpatrywanie wielkości bożej), z roku 1693; jest to streszczenie długich rozpamiętywań prozą, tak, jak z młodszego wieku były „Liryka“ wierszem. Oba utwory wzajem się dopełniają, „Psalmodja“ jest dalszym ciągiem „Liryków“, jak dowodzi forma, dziełem zupełnie jednolitem, chociaż ton poszczególnych ustępów bywa bardzo odmienny, triumfujący i przygnębiony, ufny i pesymistyczny; całe zwroty Dawidowe wplata

poeta nieraz w swoje; przejmuje głębokością, powagą, prostotą. Istny to śpiew łabędzi sędziwego wieszcza, który tym głosem bólu i żalu tuszył sobie skruszyć twarde, kamienne serca przekupnych sędziów, niecnych synów ojczyzny, wietrzników; psalmy te są największe w swojej prostocie z całej spuścizny poetyckiej, nietylko Kochowskiego. Wiek XVI sięgał tych wyżyn tylko chwilowo, u Reja i Kochanowskiego.

Kult Marji, jak go uprawiał Kochowski w łacińskim i polskim wierszu, był znamiennym dla tego wieku i literatury; wieki siedemnasty i szesnasty różniły się na tym punkcie najbardziej: jeden go nie zna, drugi w nim utonie, jako wiek sodalisów marjańskich. Niepodobna wyliczać tych prac, prozą i wierszem, łacińskich i polskich, ale wymieńmy jedną, kilka tysięcy wierszów polskich ks. Andrzeja Brzezińskiego, które przełożył z łaciny profesora Bieżanowskiego — panegirysta świecki przenosił swe pióro chętnie na empirea i tym samym stylem, co Lubomirskich lub Sieniawskich, wysławiał Matkę Świętą i świętych Pańskich — w dziele p. t. „Zabawa Duchowna na solenną oktawę Niepokalanego Poczęcia“ i t. d. (r. 1693): pod każdy wiersz czy słowo „Pieśni nad pieśniami“ podłożono tu wiersze maryjne. W przedmowie dzieła wzmianka o cudownym dzikowskim obrazie Marji i o pobożności p. wojewodziny smoleńskiej: historje bowiem cudownych obrazów i wysławianie pobożnego żywota prywatnych ludzi cechowały wiek XVII; wiek XVI nie uprawiał ani jednego ani drugiego.

Teraz dopiero roiło się od polskich i łacińskich opisów cudownych miejsc i obrazów w Sierpsku, Gidlach, Dzikowie, Leżajsku, Żurowicach, od opisów wierszem i prozą pobożnych żywotów, np. ks. Mikołaja Simowicza (r. 1682, który naturalnie pisywał i wiersze maryjne) i innych. Charakter ascetyczny występował coraz jawniej i wyłączniej.

Nie dziwi on u księży i zakonników, dziwi raczej u **St. Lubomirskiego**, który po r. 1676, gdy (razem z spółklejnotnikiem W. Potockim) witał koronację króla Jana świetnemi stancami, rzucił na zawsze poezję świecką i uprawiał religijną; wierszował katechizm („Theomusa“, polska i łacińska), w „Melodji duchownej“ opiewał Boże Narodzenie (z wielkim wdziękiem, miejscami aż nadto pieszczotliwie), a w „Apollinie duchownym“ mękę Pańską, opatrując słowa ewangelji poetyckim wykładem, siląc się na dziwne albo raczej dziwaczne koncepty (kogut pieje na deszcz t. j. tym razem na łzy Piotrowe); mimo to góruje ponad rozmodloną zgrają innych

pismaków, nie wyłączając Kochowskiego. Liczne wydania i tłumaczenia (na łacinę), dowodzą wymownie, jak się podobały te wiersze; najwyżej wzniósł się w „Kohelecie“, poetyckiej parafrazie starohebrajskiego pesymisty, odpowiadającego najżywiej własnemu nastrojowi.

Szereg wybitnych talentów piastował lirykę erotyczną, nie religijną, sielską i obozową, nie refleksyjną ani moralizującą; wiek XVII góruje w niej znacznie nad poprzednim. Morsztynowie, Szlichtyng, Trembecki, Kostka, Gawiński, jako tłumacz Anakreonta, Szymon Zimorowic w „Roksolankach“, a za nimi długi szereg anonimów, pisujących „tańce“ (pieśni), usuwają całkiem w cień skromny erotyk wieku XVI; wzorują się bądź na Włochach (oprócz Anakreonta, Horacego, Owidjusza), bądź na poezji ludowej, ruskiej.

Chronologicznie wysuwa się na czoło **Hieronim (Jarosz) Morsztyn**, wychowanek jezuitów brunsberskich, który jednak rychło rzucił ich tryb szkolny, chociaż mu jeszcze hołdował w swoich pierwocinach: „Zwierciedle młodzieńca statecznego i szalonego“. Już w „Światowej Rozkoszy“ (1606), jedynem (oprócz owych studenckich wierszów), które drukował za życia (umarł wcześnie, może już około r. 1620; nie piastował żadnego urzędu ten chudopachołek, który, wypadłszy z łaski wuja Łaskiego, wieszał się po różnych dworach), jawnie stanął po stronie Rozkoszy i nie mógł się dosyć nacieszyć tem wszystkiem, co łechce zmysły, chociaż pomny Brunsbergu, zakończył wywody o rozkoszach muzyki, tańca i t. d. wywodami o śmierci i próżności nad próżnościami. Kilka wydań i wpływy na innych dowodzą, jak się podobały te barwne opisy uciech towarzyskich. Ciekawsze o wiele jest to, czego nie mógł drukować; cała liryka erotyczna owego wieku musiała się kryć po rękopisach. Zaczął on tę lubieżną, nieraz sprośną nutę, te wiersze bezwstydne, rozpasane, w których go przewyższył tylko Andrzej Morsztyn; jego „Fraszkorytmy“ przepisywano już w r. 1613 dla Lanckorońskiego. Bywają zabawne i dowcipne, ale, oprócz strasznie rubasznych przeważają rzeczy mdłe, banalne; opisy i porównania powtarzające się stale, ogólnikowe, bez nuty osobistej, czcze i wymuszone. Zato towarzyskie udają się znakomicie; „Dobra myśl ochotnego gospodarza“, to najładniejsza sielanka szlachecka XVII w.; jest tu wysławianie miernego życia („Jabym dosyć miał i na tym, Kiedybym był tak bogatym, Bym się ni ocz nie frasował A coraz inszą miłował“!); listy poetyckie do przyjaciół; wiersze miłosne w tonie niby ludowym, wcale realistyczne; starożytne mity,

zastosowane do naszych, tak odmiennych, czasów: „U poganów za męże żony umierały A dziśby i na grobie jego tańcowały“ — nie brak i innych docinków, rzucających wcale nieszczególne światło na spółczesne pożycia małżeńskie — męża żona kijem okłada! — czy tylko Morsztynowe? Niema w XVII w. sylwy szlacheckiej, którąby nie dawała jego wierszów, luzem lub kupkami, zawsze bez nazwiska. Okradają i Sowizdrzali, drukując np. w Kiermaszu na Zawiślu:

O cóżeś się pani matko na mię zgniewała?
Żem się swego najmilszego rozmiłowała?
A jakoż to niemiłować, gdy to umie odsługować
Krasny pachołek?

Ale tylko jeden rękopis zachował całość jego wierszów, numerów 303, ułożonych wedle pewnych działów: apophtegmata, ze starożytności; emblemata, bardzo znane, określające, kto mąż, kto pan, kto szlachcic: nie ten, którego dziad zasiadał w senacie i t. d. ale ten, kto w cnocie uszczerbku nie poniósł „a najmniejszą zmazę krwią zlać gotów, tego ja szlachcicem zwać każę“; pieśni i t. d. I oto rozjaśnia się widnokrąg ojczystego piśmiennictwa, ginie nieco sztywna powaga XVI w.; swobodny, swawolny humor i wiersz, które się nieśmiało przekradały u Kochanowskiego, zwycięsko wkroczyły na Parnas, chociaż sroga cenzura najchętniejby wytępiła „fraszkolasy i drukowane i pisane“.

Koncepty włoskiej liryki, „lutni boskiego Marina“, panują wszechwładnie u **Andrzeja Morsztyna**, który za przykładem mistrza, Jana Grotkowskiego, całkiem rzucił szkolarską poezję łacińsko-polską, jaką go jeszcze karmił dziad, Otwinowski, we Włoszech, i odtąd naśladował w lirykach Marina („Kanikuła“, zbiór z roku 1647; „Lutnia“, z roku 1661, dedykowana Łukaszowi Opalińskiemu), a we fraszkach Marcjalisa: do druku nic się z tego nie nadawało, bo prócz wysmażonych porównań, antytez, obrazów, prócz najmisterniejszych form madrygału, sonetu, sestyny, prócz raków, echów, akrostychów, wiersze te cechowała taka zmysłowość, nie ta rubaszna Potockich i Kochowskich, ale lubieżna Francuzów i Włochów, że cenzura duchowna — a innej w Polsce nie było — nigdyby ich nie przepuściła. Mistrzostwo formy, swobodne panowanie nad miękkim, kwiecistym, niemal pachnącym językiem, niewyczerpana obfitość pomysłów swoich i obcych, nadają tym bawidełkom przelotnego uczucia wartość niepowszednią. Daleko poecie do szału, nawet do namiętności, nie wstrząśnie on nami, ale zadziwi i zawsze

ubawi; śladami zaś Kupidynka porusza się nieraz z takim wdziękiem, humorem i werwą, że rozbroi zmarszczonego Katona tam nawet, gdzie świętokradzkiem piórem profanuje najświętsze przedmioty. Czego nie dały muzy Kochanowskiemu i Szarzyńskiemu t. j. figlarnej pustoty gracji, od niewinnego uśmiechu do arlekinowej pstrocizny w mowie i obrazach, plastyczności i kolorowości w wyrażeniu wszelkich faz szkoły kupidynowej i batalji afektów — wszystko to najlepiej po Piotrze Kochanowskim i Janie Grotkowskim wyraził Jędrzej Morsztyn, przedstawiając włoskie seicento i marinizm. Próbował sił i w większych kompozycjach, pisząc za Marinem (i Apulejuszem) „Psychę“ i wplatając hołdy paniom dworskim Marji Ludwiki i samej królowej (np. popędza serca *bez sen* i na jawi — Mlle Bessaine, jak do kościoła i jako do *arki* — Mlle d'Arquien, to są jej pęta i trwałe *kordony* — Mlle Gordon), ale tam, gdzie Marino przemawia (z wiernie za nim kroczącym Grotkowskim) czule i z emfazą, tam „Morsztynek“ żartuje i bawi. Tłumaczył Tassa i Corneilla, choć głównie gustował w drobnych lirykach, żartach i zagadkach.

W wyliczaniach i opisach groteskowych był niewyczerpany, przytem zawsze lekki, zręczny, swawolny, już sfrancuziały, zanim się jeszcze do Francji wyniósł na zawsze. Kobieta w jego wierszach zajmuje inną rolę, niż u Kochowskiego i u podgórskich poetów; przedmiot to wyrafinowanego kultu, z westchnieniami i pieśniami zamiast kadzideł, z sercem ofiarownika, jako ołtarzem, ze słodką niewolą i gorzką swobodą, z tyrańską obojętnością i szczęśliwą zazdrością, gdy u tamtych kobieta to ani szatan ani anioł, tylko osobnik innej płci. Typ kobieciarza coraz częściej się odtąd powtarza; są nawet samobójstwa nieszczęśliwych kochanków, chociaż, gdy najdawniejsze młodego Żółkiewskiego, pomyślane wcale nieserjo, serjo się skończyło, Kochowski i Potocki jeszcze w nie wierzyć nie chcieli; godzi się z tem, przynajmniej w wierszu, największe wyuzdanie, i dorównają poecie chyba Krzycki w XVI, a Trembecki i Węgierski (zresztą nieco delikatniejsi) w XVIII wieku. Jest to pornografja, obyczajowo ciekawa, a zdarzają się i wiersze, wykonane *con amore*, z niesłychaną brawurą, przewyższające wszystko drukowane; wiedział o tem autor dobrze i liczył się z tem w przedmowie do „Fraszek“:

niech one śmiele, choćbym miał być w winie,
rżą, jak dryganci, niech kwiczą, jak świnie;

Jeden z najznakomitszych to liczący kilkaset wierszów p. t. „Nie obiecany Kąsek“. Mimo to i u niego są wiersze, „które na nieszporze może ksiądz śpiewać łub mniszka w klasztorze“; jest ich niewiele i to z późniejszych czasów. Wielki statysta jednak rychło poezję zarzucił dla intryg i robienia grosza.

Stanisław Morsztyn, oberszter Króla IM., umarł jako wojewoda sandomierski, dzielny żołnierz w każdej potrzebie, od zbaraskiej aż do wiedeńskiej, w talencie ustępywał znacznie „bratu“ Jędrzejowi, choć ten twierdził przeciwnie. I on pisywał damom wiersze okolicznościowe, balety, fraszki, lecz potem spoważniał, zabrał się do tłumaczeń, z Seneki (tragika) i z Racine'a, a gdy mu śmierć zabrała dwoje dzieci, zdążając za Kochanowskim, napisał w istocie jednak znacznie bliższe „Perjodom“ Potockiego, „Smutne żale po utraconych dziecięciach“ w roku 1698 (r. 1704 powtórzone), gdzie mu „gorących łez zbiórka z inkaustem się miesza i ciśnie do piórka“, gdzie trafnie zauważył, że wobec straty jego Teresy-dziewicy, wzbudzającej ogólny podziw, strata Urszulki była drobną:

Odpuściż mi, odpuści, zacny Kochanowski,
Cząsteczka mojej straty o jak wielkie troski
Wzbudziła: *w tym cię jednak rym zdradził uczony,*
Że znać, choć ciężki, przecię żal był ułulony...
Średni ból jest wymowny, utrapienie zbytnie
Zmiesza słowa albo je w samych ustach przytnie, —

Biblioteka Publ. Liceum Pedagog. im. St. Konarskiego w Rzeszowie

O tem nieraz zapominali biografowie Jana.

Ciekawszym niż Stanisław, a nawet Jarosz, jest **Zbigniew Morsztyn,** jedyny żołnierz-liryk XVII wieku, zapełniający lukę tej poezji, która nie liczyła żołnierzy-poetów; nawet ci, co latami całemi nie wychodzili z wojen, np. Kochowski i pan oberszter, występowali na Parnasie, jako ziemianie, nie jako żołnierze. Arjanin Zbigniew, miecznik mozyrski, należał w „zborze“ do tego odłamu, który z Przypkowskim nie unikał walk i sądów i urzędów; żołnierz radziwiłłowski, odbywał kozackie, moskiewskie i szwedzkie kampanje; bywał w tak ciężkich przeprawach, że inni z duszą się rozstawali:

Moja jakaś rogata, że została jeszcze,
Choć niejedno do wyjścia zrobiono jej miejsce,

a gdy się żegnał z wojskiem, składał bogom ofiary:

A ty za to, że ma tak zdziurawiona skóra,
Zły Marsie, i starego nie godzieneś kura!

Spowiada się szczerze z trybu wojskowego, ze strasznej nędzy obozowej, gorzej przetrzebiającej szeregi głodem i morem, niż działa nieprzyjacielskie; z owych wypraw na czatach, kiedy to własny towarzysz zabija znużonego śmiertelnie towarzysza, aby nie wpadł żywy w ręce wroga, aby nie wyznał czego na torturach; z ludzkiego zdzierstwa i opresji chłopskiej przez żołnierzy; z miłości towarzyszy i chorągwi — cnej matki, której nie opuszczą, choćby ich miano rozsiekać — a jakież zato dzięki po tych strasznych, nieszczęsnych walkach?

A wszystkoć przeszło, jako sen, jak mara,
Ojczyźnie tylko oddana ofiara,
I płonnej sławie, lecz i ta ubieży,
Kto zabit leży.
A choć kto uszedł, kiedy nago z błota
Wylazł, ustała do służby ochota.
Bo o czym służyć będziesz? czy nie o tych
Czterdziestu złotych?
Byśmy przynajmniej od tych wdzięczność znali,
Za którycheśmy krwią się oblewali —
Ale kiedy na żołnierza, co żywo,
Pogląda krzywo;
Więc kiedyśmy my tak źli wojennicy,
Niechże się sami biją kapuśnicy,
Miasto ferezyjej niech wdzieją pancerze.
A my pacierze,
Z desperacyjej zostawszy mnichami,
Będziemy za nich mówić z ich żonkami;
Będziem w domach ich gospodarowali,
Orali, siali,
A w miękkich leżąc, jak oni, pierzynach,
Będziem się także pytać o nowinach:
Czy już tam nasi Moskwę w pień wycięli,
Czy cara wzięli?

Jednak arjaninowi losy zgotowały niewdzięczniejszą jeszcze odpłatę, choć usychał za Polskę w szwedzkiem więzieniu, (Duma niewolnicza: Ja śpiewam, chociaż biedy Zgoła mizernego Ogarnęły mię wszędy, Więźnia ubogiego, Choć nieszczęśliwy i ledwom żywy... Ja śpiewam, a potoki Z krwi polskiej wzbierają, A dymy pod obłoki Z miast i ze wsi wstają: On kraj wesoły Idzie w popioły), gdy nareszcie żegnał:

Wojska, obozy, szyki, krwawe boje,
Żegnam cię, pole, witam spracowany
Domowe ściany.

Wolę tak w cieniu, dawne przewinienia
Opłakiwając, żyć już bez zgorszenia (credo arjańskie),
Być sobie wolnym, nie służyć nikomu,
Osiadszy w domu, —

uderzył w niego nowy, straszny grom: edykt arjański; inaczej, niż Potocki, rzucił on swoich i ojczyznę, wyławszy rzewną skargę do Boga w „Pieśni w ucisku“ w roku 1661:

Obrońco uciśnionych, Boże litościwy!
Usłysz krzyk sierot twoich, usłysz płacz rzewliwy!
Ciężka krzywda, o Boże! Ty na twojej ziemi
Wszystkich cierpisz; twe słońce promieńmi jasnymi
Złych i dobrych oświeca, twój deszcz kropi ziemię
Złych i dobrych pospołu, a tu ludzkie plemię
Samo na się zajadłe, ciężko następuje
Na swych bliźnich i z twojej ziemie ich ruguje,
Którąś przestronną stworzył, a my nie możemy
W niej żyć, choć, że i dla nas stworzona jest, wiemy.
Ty, zdawszy rządy królom, wolnowładny Panie,
Nad sercem i sumieniem ludzkim panowanie
Sameś sobie zostawił, aleć się wdzierają
W twe prawa i gwałtem je ludzie odbierają.

I na wygnaniu nie zerwał jednak Zbigniew z niewdzięczną ojczyzną, ożenił się z córką Czaplica, również arjanina, słynnego ze swej prawości, nawet w przysłowiu, na cały Wołyń, i posyłał wiersze okolicznościowe, moralizujące („Emblemata“, siostrze króla Jana, Radziwiłłowej, omawiające w wierszach alegoryczne obrazki z dopisanemi psalmowemi cytatami) i historyczne („Sławna Viktoria nad Turkami pod Chocimem 1673“ wydana w druku, z wierszami Żydowskiego, polecającemi „wieszcza zwycięzców i zwycięzcę wieszczów“); Prusy stały mu się przybraną ojczyzną („lub w pogranicznym gruncie wkorzeniony; lecz w ten sąsiedzki będąc przesadzony i z tej tu ziemie w wszelkie cnoty żyznej, jako ze swej własnej ciesząc się ojczyzny“) i w jego Rudówce (obok *Andreaswalde*) przetrwały niedobitki arjańskie do XIX wieku; ostatni dwaj starcy — arjanie byli to Morsztyn i Szlichtyng.

Nierównie słabiej odzywali się Szlichtyngowie, arjanie-mieszczanie, zanim sobie herbów nie przywłaszczyli; jeden, Jerzy, pisywał więcej, nawet drukował wiersze okolicznościowe; jego wyznanie wiary takież, jak i Jarosza Morsztyna:

Szlichtink Jerzy z Bukowca tę piosnkę złożył,
Który przy słodkiej muzyce wiek swój położył...

bujał sobie zamłodu, ożenił się i biada na troski:

Papu, tatu! daj, mamo, swemu dziecięciu,
Szwaczkę, praczkę potrzeba chować dziewczęciu.

Miał żyłkę humorystyczną i najlepiej udał mu się „żart o tabace", w którym sparodjował Jowisza z całym Olimpem i wyśpiewał chwałę piw polskich, zielonych, z szczeropszenicznych słodów, śmigielskich, leszczyńskich, brzezińskich.

Jakób Trembecki nie występował w druku, ale w swoim Wirydarzu umieszczał i własne wiersze, zbierając erotyki pod tytułem Philomachia, gładkie, wielomowne i przez to nieco mdłe. Dodawał i fraszki. Oba zbiory tem są cenne, że wprowadzają Prusy i Pomorze, miejscowych hulaków i Zagłobów; najciekawszy najdłuższy wiersz, to Omen, list wysłany na wyprawę wiedeńską, którego życzenia i przepowiednie się sprawdziły. Kiedy go odczytano Sobieskiemu, pochwalił szczególniej pewne wiersze. Tak z Torunia, Gdańska i „grubych Kaszub" dopełnia się ta liryka szlachecka.

Od tego ruchu poetyckiego dziwnie odbijała nieproduktywność dramatyczna, potwierdzająca znany u wszystkich Słowian brak usposobienia do dramatu. Jeżeli pominąć dramat szkolny, obracający się w jednem kółku, bez wyjścia i rozwoju, to w Polsce tylko obcy podtrzymywali dramat albo jego surogat. Zygmunt, napoły zniemczały, kochał się w widowiskach niemieckich trup wędrownych i angielskich komedjantów, którzy trafiali do Warszawy z Gdańska lub Wrocławia; syna zachwycały włoskie opery i balet. Poznał je podczas swej zagranicznej podróży; libretto Saracinellego do opery *La liberazione di Ruggiero,* wystawionej dla niego we Florencji, pięknym polskim wierszem przetłumaczył widz przedstawienia, Stanisław Jagodyński (w roku 1628), a w karnawale roku 1628 królewicz zaprosił cały dwór na przedstawienie Galatei, która bardzo zadziwiła Polaków *per esser a loro cosa peregrina.* Znakomita kapela nadworna ojca ułatwiła te próby, które za wstąpieniem na tron Władysława doprowadziły do pierwszego stałego teatru, na zamku, ze stałą trupą włoską śpiewaczek i śpiewaków — w chórach było i wielu Polaków, wprawnych w gorgi i tryle. Budowniczy Bolzoni i maszynista Locci urządzali wszelkie kunszty; librecistą, kompozytorem i śpiewakiem był Virgilio Puccitelli, autor *Dafny, Enea, Amor e Psiche, Il ratto d'Elena, Narciso*

trasformato, Armida abbandonnata, Santa Cecilia, wystawionej na weselu królewskiem (z Cecylią Renatą) i wprawiającej w podziw cudzoziemców — nic lepszego lub podobnego nie widziano w Europie, jak zapewniali Wassenberg i Tyrolczyk Schüpli *(gesehen habe ich comedie zu Florenz und auch zu Mantua, nach solichen hab' ich kein' bessere gesehen* — niż warszawską). To samo twierdzili i Francuzi, Le Laboureur i Marja Ludwika przed kanclerzem Radziwiłłem o *„Amor e Psiche"*, operze wystawionej w Gdańsku w roku 1646.

Teatr włoski Władysława słynął w Europie, ale jak był, tak pozostał inwencją włoską, w kraju nie budził ruchu dramatycznego. Również nie przyjęły się słynne Wirtshauzy królewskie; taką grę towarzyską, a raczej maskaradę (losem rozdzielano między grających role młynarza, sołtysa, karczmarza i t. d.; jeszcze Göthe uświetniał podobne zabawy wajmarskie wierszem; u nas natchnęły one Rafała Leszczyńskiego do nadobnych wierszów) Władysław poznał również podczas swej podróży zagranicznej i bardzo ją polubił, chociaż Pac zgóry w niej nie gustował. Po teatrze włoskim Władysława, bardzo kosztownej zabawce, zostały tylko wspomnienia (w pamiętniku Radziwiłła, u obcych podróżnych) i kilka anegdot; zresztą nie zżył się wcale z nawyczkami narodu szlacheckiego.

Poseł, kniaź Lwow-Jarosławskij opowiadał (r. 1655), że był u króla „na potiechie", a „potiecha" była, jak Holofern ciągnął przeciw Jerozolimie, a Judyt Jerozolimę (!) wybawiła; w dwa lata później posłowie moskiewscy wspominali również o „komedji, po rusku potiecha" na dworze królewskim. Dafnę, niegdyś polską, grano i na teatrze moskiewskim Piotra Wielkiego. Na festyny pierwszego szczęśliwego roku 1661 wcale dobrze, tylko miejscami zbyt po sarmacku, Andrzej Morsztyn przetłumaczył Cyda, otwierając wrota francuskiej tragedji. Lecz za nim nie poszedł nikt, oprócz kuzyna, Stanisława Morsztyna, który już słabiej wydał Andromachę Rasyna. Andrzej przetłumaczył przedtem „Amintę, komedję pasterską Tassa", ale przekład, dosyć wierny, prócz chórów rozszerzonych wobec oryginału, miał mniej gładkości i precyzji, niż Cyd, i nie wiemy, czy się dostał na scenę.

Jedyny **Stanisław Lubomirski** pisywał za włoskim wzorem i oryginalne sztuki. Z pod pióra starosty spiskiego wyszły około roku 1664 cztery sztuki; niełatwo sprawdzić, czy oryginalne przy nieprzebranem bogactwie sztuk włoskich, a trudnym do nich dostępie; hiszpańskie i włoskie osoby i miejsca niekoniecznie dowo-

dzą „tłumaczenia“, skoro nic nie naprowadzało na to, aby czerpać z polskiej rzeczywistości, chociaż p. starosta nie skąpił polskich dowcipów i aluzyj. „Ermida albo Królewna pasterek, t. j. ten szczęśliwy, który się swym stanem kontentuje“ to dramat pasterski, wierszem; Ermida, uchodząc z królewskiego pałacu, łudzi się, że między pasterzami i pasterkami panuje najszczersza miłość, lecz i między nimi są zdrady, zazdrość i zmienność, wraca więc po nieudałej wycieczce do pałacu i do wiernego Filandra, który za nią w głusz pośpieszył; w literaturze romańskiej mężczyzna-bohater przechodzi te same koleje. Komedja pasterska wcale nie wymaga figur komicznych, mimo to p. starosta, wielki widocznie śmieszek, wprowadził służącego Filandra, żarłoka, leniwca, wysławiającego gorąco swe służby słowami Adrasta. Komedję o Guzmanie oparł na odwiecznym wątku o mężu, uśmierconym przez famę (i tchórzliwego sługę) na polu walki, popadłym do niewoli, i wracającym w samą porę, aby przeszkodzić powtórnemu zamążpójściu mniemanej wdowy; komiczny element przedstawiają słudzy i sługi, Biribis i Faramuszka, którzy makaronizują, paplą, odbierają plagi, nadrabiają dwuznacznikami, niemożliwemi do powtórzenia; są i aluzje do faktów spółczesnych: np. tchórz Biribis powołuje się na p. Wojkowskiego: wolę, żeby wydrukowano: tu p. Wojkowski uciekł, niż żeby pisano: tu Birbisa zabito. Trzecia komedja o Lopesie, znana dobrze w XVII wieku (nieraz cytowana), dramatyzuje nowelę Boccaccia i zasługuje na epitet „srodze śmieszna“, jakim ją uraczył Załuski, lecz arcynieprzyzwoita; ojciec wydaje córkę nie za „storzypiętkę, młokoska, zamsika“, lecz za poważnego, starego Lopesa, który tak zaniedbuje żonę, że chętnie się ona daje uprowadzić wyznawcy innego „kalendarza“; tempo tej komedji żywsze, chociaż i ona rozwlekła; komizm przedstawiają znowu sługi, makaronizmy i najokropniejsze dwuznaczniki.

Ostatnia, „Comedia faceta“, właśnie, że nie „faceta“, treścią zbliża się do „Lopesa“ i odznacza się chyba fatalnem makaronizowaniem wszystkich osób, nawet kobiet, i wysłowieniem iście drewnianem, zato przyzwoitszem.

Nie miał pan starosta talentu dramatycznego; „komedje“ budował jak najluźniej, charakterystyka nie wychodzi poza ogólniki, komizm słowa wyłączny, ale, wobec absolutnej posuchy dramatycznej, i to zasługuje na uwagę. Czy te właśnie komedje wystawiał marszałek w Ujazdowie, gdzie urządził osobny teatr? Znosiłyż w XVII w. nawet uszy pań to, coby dziś nie uchodziło i w wy-

łącznie męskiem gronie. Jak bardzo szlachta nie przywykła do widowisk scenicznych, najlepszym dowodem są owe zajścia z francuskimi aktorami, którym groziła jawna śmierć (jeżeli Pasek srodze nie przesadził).

Mężczyźni, zacietrzewieni w rymach, warowali sobie ich monopol; mało słychać o kobietach piszących, chociaż były takie. Potocki nieraz z niemi wojował, chociaż nie brał ich na serjo. Przecież niedawne to czasy, kiedy właśnie i w kołach arjańskich (na początku XVII wieku) gorliwie roztrząsano kwestję, czy kobieta jest człowiekiem, a odpowiedzi wypadały nie na korzyść płci pięknej. Były to jednak już ostatnie triumfy męskiej zarozumiałości. I w Polsce niebawem zaczęła przewodzić kobieta, mianowicie, gdy u dworu miejsce potulnych, cichych, w cieniu pędzących żywot truś niemieckich zajęły energiczne, przewrotne, ambitne, chciwe zysku Francuzki z całym ogonem Francuzic, i coraz wybitniej mieszały się do spraw towarzyskich i politycznych. Satyry i pamflety godzą też stale i w Marję Ludwikę, w Mohiłównę (żonę Rewery), w Pacową, inaczej niż w XVI wieku. Modnisie przyjmowały hołdy literackie, czytały romanse francuskie, lecz same nie bawiły się w literaturę. Niewiasty, ślęczące nad pobożną książką — dla nich to wychodziły owe „Raje duchowne“ albo „duszne“ ks. Wysockiego i nieskończone inne ascetyka — wyjątkowo same składały modlitwy i pieśni, nawet między arjanami (p. Zapawska np.); jeden taki zbiór dostał się i do druku: Gospodarskie nabożeństwo nabożnymi rytmami przy gospodarskiej sielskiej zabawie od Imcp. Katarzyny Siemiontkowskiej... napisane roku 1670. Autorka, dedykując je pani Annie Stanisławskiej, wojewodzinie kijowskiej, z tak niezwykłego kroku, że kobieta, zajęta gospodarstwem, i nawet nie zakonnica, pisze i drukuje, usprawiedliwia się tem, że zabawiała się rytmami już u ks. Radziwiłłowej i jej rodziców (Potockich) i z tej to zabawy „niektóre drobiazgi“ uzbierała i wydała za poradą uczeńszych. Są to wykłady wierszami modlitw i piosnki pobożne, w prostym i jasnym języku; poezji tam niema.

Ciekawiej wypadł inny, pierwszy właściwy debjut literacki kobiety polskiej, pasierbicy owej wojewodziny kijowskiej, również **Anny Stanisławskiej.** Była ona zamężna za kasztelanicem krakowskim, Warszyckim, „Ezopem“, rozwiodła się z nim, wyszła powtórnie za Oleśnickiego (ostatniego ze sławnego rodu), który umiera niebawem z gorączki obozowej, po trzecie za Zbąskiego (również ostatniego ze starożytnego rodu), ale i ten rychło umarł z rany,

odniesionej pod Wiedniem. Ciężkie przejścia życiowe, walka o rozwód z obrzydliwym idjotą, rany sercowe, „trapace“ majątkowe (wdowine dobra zajeżdżali Czartoryscy) nie złamały żelaznej natury tej Polki, pełnej hartu, jakiegoby i mężczyzna mógł jej zazdrościć, ale dały jej tak mocno uczuć znikomość wszystkiego, co ziemskie, że uczucia te wylała w „Tranzakcji albo opisaniu całego życia jednej sieroty przez żałośne treny od tejże samej pisanym roku 1685“. W Zakończeniu do czytelnika usprawiedliwia się „Annusia“, dlaczego o „całem życiu“ w tytule zapowiada, skoroż jej „boska dobroć wieku przedłużyła“:

Bo moim zdaniem mało com zbłądziła,
Gdyż tylko dotąd życiem być sądziła:
Teraz nie żyję, lecz jakbym umarła.
Bom, jak pociechy, tak smutki zawarła;
W zimnym grobowcu onym już złożyła,
Ani się cieszyć, ni będę smuciła.

Wiersze marne, ale ten „koncept białogłowski“ — to jedna z najciekawszych rzeczy XVII wieku. Najdawniejszy to przecież romans obyczajowy polski, cóż z tego, że w wierszach, jak Argenida, Syloret lub Banialuka? Gdy te poematy bujają w bajecznych i niemożliwych czasach i stosunkach, Annusia opowiada to, co sama przeżyła; jest to więc pamiętnik, chociaż nie śledzi życia z roku na rok, lecz wybiera tylko główniejsze momenty i najszczegółowiej je oświetla — jedyne to dzieło tego rodzaju przed „Dziennikiem Rzeczyckiej“ (Hoffmanowej). Autobiografja w wierszach pani polskiej z najwyższych sfer, dziwnie losem miotanej, pełna szczegółów obyczajowych pierwszorzędnej wagi, to dokument strasznej tyranji rodzicielskiej, nieuznającej nawet możliwości własnej woli u dzieci; drażliwa sytuacja rozwódki, oczekującej w klasztorze decyzji, interesowność wszystkich, którą należy okupywać znacznemi ofiarami majątkowemi, aby przeprowadzić rzecz najsłuszniejszą — kopalnia rysów, anegdot, nawyczek damskiego i męskiego towarzystwa, od serenad i biesiad aż do strasznych niewygód dróg polskich i przepraw przez Wisłę. Autorka puszcza się w niezwykłą drogę, wzywając imienia bożego — jest bowiem staropolskiego kroju, nie sfrancuziała w niczem, (i sam język z dosadnemi, przysłowiowemi zwrotami stawia ją obok Potockiego i Kochanowskiego), pobożna, posłuszna, oszczędna, zabiegliwa; chociaż estetyczna strona jej utworu bardzo ułomna — a czyż wiersze mężczyzn są wolne od zarzutu?—treścią wynagradza sowicie oczekiwania czytelnika; takich

opowiadań, jak o Kazusiu (Ezopie), o skąpstwie starego kasztelana, o jego zabiegach przeciw rozwodowi i t. d. nie znaleźć w żadnym spółczesnym pamiętniku, nie wykluczając Paska.

Zresztą kobiety tylko wyjątkowo wyrywały się na Parnas; zaznaczano to wyraźnie w odpisach, np. „Lament J. O. Ks. Teofile ze Szczekarzowic Ostrogskiej, kasztelanowej krakowskiej, z jej własnej głowy". Częściej mężczyźni podszywali się pod firmę kobiecą, np. znakomita, dowcipna, trafna, acz bardzo swawolna „Gorzka wolność młodzieńska ...przez jednę damę dworską imieniem drugich wyrażona", chociaż drukarz w przedmowie do czytelnika wyraźnie zastrzegał, że to rzecz damy, co nie dozwoliła odkryć imienia, jest pióra Żydowskiego, kolegi na Parnasie Potockiego, zdradzającego swe sędziostwo już podziałem traktatu *ex reatu* i *ex actoratu*. Była to bardzo ciekawa polemika, w którą się rzucił imieniem dam p. sędzia krakowski, wielki dowcipniś, w „Złotem jarzmie małżeńskiem". Anonim (czy nie sam p. sędzia?) wychwalał stan bezżenny, wywodził argumentami, znanemi z Rejowego „Warwasa" i z „Syloreta" Potockiego, co się dawało przytoczyć przeciw bogatej, pięknej, brzydkiej, starej, skarżył się na brak wstydu: niewiele go było, i wszystkie go między siebie rozszarpały, tak że się każdej nic nie dostało.

Argumenty te w puch rozbił p. sędzia — powołujesz się na Józefa, ale wy płaszcza odbiegacie u cudzej żony, uciekając przed mężem i nie wyłatalibyście jednego Józefa, choćbyście wszystkie wasze czystości w kupę włożyli. P. sędzia napisał może i „Babę abo stary inwentarz", występując i przeciw babożeniom (temat ten poruszał już Szymonowic), aby wszechstronnie oświetlić kwestję; znał wybornie literaturę włoską, polską (rękopiśmienną, Lopesa, Syloreta) i łacińską; niewyczerpany w anegdotach, przysłowiach, przycinkach, rubaszny, wybuchał głośnym, pustym śmiechem; ileż tam zdrowego rozsądku i prawdy, acz niewymyślnej, wobec wszystkich fizjologji miłości i małżeństwa Balzaków i Bourgetów! Poza tem dokonywały już tylko zakonnice tłumaczeń prozą licznych dzieł ascetycznych (i francuskich), lub je przepisywały ozdobnie; spisywały i kroniki klasztorne, nieraz z ciekawemi przejściami, co dziś dopiero dostaje się najaw, np. wileńskich karmelitanek, albo o świątobliwym żywocie przełożonej, np. Marchockiej (z karmelitanek bosych — i dziś jej żywot dla zbudowania drukują nawet po francusku).

Ponuro zachodził wiek siedemnasty; łuny zwycięstw multańskich, szwedzkich (Kirchholm) i moskiewskich czerwieniły się nad jego wschodem, ale sprawdziły się słowa ewangelji: dziś będzie deszcz, błyszczy się niebo; ostatni raz, pod Wiedniem, ozłociło słońce hufce polskie przed zdziwionym, rozradowanym światem chrześcijańskim. Potem na długo zasunęły się mgły i mroki.

Wraz z polityczną anarchją ustalała się i umysłowa; z dawnych ogniw kultury wymykało się jedno po drugiem; rozpasany fanatyzm i obskurantyzm coraz potężniej wdzierał się w coraz słabiej bronione mury. Zamilkli protestanci; arjan wygnano z kraju a wygluzowano z pamięci, i niebawem już tylko lud prawił o okopiskach, bóżnicach i szkołach arjańskich, patrząc na nie w przesądnym strachu; w rodzinie Lubienieckich album arjańskie pradziada, pełne najciekawszych zapisek we wszystkich językach świata, od perskiego i arabskiego przez litewskie i węgierskie aż do francuskiego, ocalało tylko w ten sposób, że ostrożna ręka zamalowała każdy ślad arjański, nawet sam tytuł „minister“ *(verbi Dei)*. Kalwini i luteranie odezwali się energiczniej po raz ostatni może w liście (poetyckim) „Szlachcica do szlachcica o wojnie kozackiej w roku 1648 i 1649“:

> Przystąpiła na Lutry tyrannis *przeklęta*,
> Która się pod płaszczykiem zeli zda być święta...
> Dosyć was długo księża za nosy wodzili...

chociaż autor ujmował się i za uciskanym chłopem, niewolnikiem i podłym psem naszym; gdy wymarli Radziwiłłowie (birżańscy), runął ostatni filar możnowładczy, podtrzymujący wymagania dysydentów. Cenzura duchowna czuwała podejrzliwie, żeby się nie odezwał żaden głos wolniejszy, nie przerwał milczenia, coraz bardziej zalegającego Polskę. Zapanowała jedność wyznaniowa — stanową osiągnięto jeszcze rychlej; mieszczanie już nie zabierali głosu, prócz panegiryków i ascetyków, ogłupiających głowę a wysuszających serce. Szara jednostajność zaległa całą jawną przynajmniej literaturę. Pod powłoką i pokostem ascezy, panegiryzmu i „makaronu“, kryły się jednak różnice i literatura rozszczepiła się na jałową, czczą i kłamliwą, drukowaną, i rękopiśmienną, z nastrojem poważniejszym, wymowniejszym językiem, z gorzkiemi prawdami, a choćby z większą sztuką i lżejszym, lub wytworniejszym żartem i stylem. Zapomniał o niej wiek osiemnasty i dopiero w dziewiętnastym wydobywano najaw literaturę kopalną,

produkty bujnego życia i dzielnej myśli, wywiedzione niegdyś na świat ciepłem słonecznem, a zasypane rumem ascetycznym i panegirycznym: Herkulanum i Pompei staropolskiej fantazji i jowjalności, myśli i ogłady szlacheckiej i mieszczańskiej.

Tymczasem „naród“, t. j. Polska szlachecka, brnął coraz głębiej w ciemności egipskie, które za „Sasów“ nieprzebitym tumanem miały zalec i pochłonąć głowy i serca, nauki i zdobycze dawnych wieków. Z każdym dziesiątkiem lat bardziej zasępiał się polityczny horyzont sarmacki; różnica między pierwszą a drugą połową wieku, podobnie jak w wieku XVI i XVIII uwydatniała się coraz bardziej, tym razem na niekorzyść drugiej połowy; rok 1648 był przełomowym. Raną pilawiecką uchodziła najlepsza krew polska. Łukasz Opaliński, co świeżo bronił Polski przed Barklajem i dosyć jej się nie mógł wysławić, wyznał jawnie:

ztąd początek złego, ztąd upadły siły
Wszystkie, oraz... śmiele rzekę, że skrzydła rozpięte
Orła polskiego, jednym nieszczęściem obcięte!

Nawet w oczach dziczy tatarskiej zgasł urok Rzeczypospolitej i hordy zapędzały się aż pod Kraków, jak w wieku XIII; w walkach wewnętrznych, kozackiej i rokoszowej, nie było ani zwycięzców, ani zwyciężonych — członki się obezwładniały i duch unieruchomiał.

Tylko w literaturze rok 1648 nie odegrał tej fatalnej roli, nie było tu nagłego przeskoku; wszystko zdawało się toczyć dawnym torem, skutki okazywały się później i powolniej. Liczba publikacyj nie zmniejszała się, owszem wzrastała, ale jak obniżał się poziom, wartość, doniosłość i forma! Barok polski wyradzał się z przerażającą szybkością; o stylu w późniejszych drukach już nawet mowy nie było: przecież to tylko przedrzeźnianie lub brak wszelkiego stylu. Wyłącznie po rękopisach kryły się jakie takie płody smaku, wyobraźni i krytyki. Coraz większe niebezpieczeństwo usychania, zakuwania w pęta łacińskie w prozie i w poezji, groziło językowi. Jak język, tak i forma wiersza czy mowy, ulegały skażeniu, barbarzyństwu, śmieszności[1]). Myśl spospolitowała się, zniżyła, przeżuwając najelementarniejszą strawę, stroniąc od wszystkiego nowego i niezwykłego, odgradzając się trwożliwie i podejrzliwie od świata. Nadchodziło polityczne i umysłowe bankructwo.

[1]) Już w podręcznikach XVII wieku wspominają nauczyciele „poezji“ o „kadencjach“ (rymach) *częstochowskich* albo *bakałarskich*, przestrzegając przed niemi; właśnie te rymy zawładnęły całym Parnasem.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

ZASTÓJ SASKI.

Wzrost nietolerancji, jej gorszące objawy. Anarchja szlachecka, zagwarantowana przez obce mocarstwa. Rozszczepienie literatury: drukowana się odświeczeza; rękopiśmienna. Magnaci w literaturze: Radziwiłłowie, Jabłonowscy, Załuscy, Drużbacka. Romanse wierszowane: wiersze historyczne i satyryczne. Budzenie się z zastoju; Leszczyński, Konarski, Rzewuski.

Dzieje za Sasów w niczem nie przypominają dziejów za Wazów i Sobieskich: zamiast pełni życia, poświęcenia, walk heroicznych — wygasłe popielisko intryg wielkich rodów i mocarstw ościennych, i odrętwienie narodu szlacheckiego. Również literatura za Sasów, bez talentów i ruchu, albo spłaszczona ascetycznie, albo wydęta na śmieszne pochwały, nie przypomina dawniejszej, nieraz głębokiej myślami, ponętnej formą, tryskającej humorem, wybuchającej satyrą czy żalem i skargą, barwnej, kuszącej się o wielkie zadania i roztaczającej obszerne obrazy.

Anarchja, oddawna już nurtując w społeczeństwie szlacheckiem, nieokiełznana żadnym hamulcem, dokonała dzieła. Już w XVI wieku wyżarła ona władzę królewską; już wtedy Polska stała nierządem, a król był malowanym: czuł to dobrze Batory i próżno się z tem szamotał; już za Zygmunta Starego triumfowała anarchja, nietylko w wojnie kokoszej, ale i wtedy, kiedy Wielkopolanie uchwalali pobory na wojsko, a Małopolanie pospolite ruszenie, w tym celu, aby nic z obojga nie było.

W wieku XVII anarchja wyżarła znaczenie samej szlachty; czyn Sicińskiego nie był czemś niezwyczajnem, nienaturalnem: to tylko wystąpił najaw rak, toczący wnętrze, i ustała władza stanu, skoro jednostka mogła oprzeć się wszystkim swą wolą i ją przeforsować. Stoczywszy tak w wiekach ubiegłych władzę królewską i szlachecką, za Sasów stoczyła anarchja zasoby umysłowe szlachty, dawną kulturę polską.

Teraz bezmyślne życie goniło ostatkami niegdyś świetnej przeszłości, niezdolne do czynu, ugrzęzłe w materjalizmie, nawet nie przypuszczające możliwości odmiany, gromiące wszelkie nowości hasłem: niech będzie, jak bywało; literatura, dotknięta umysłową kołowacizną, przerabiała mechanicznie dawne wzory, niezdolna do porywu, wegetująca. I pogłębiała się przepaść między Polską a Zachodem.

Życie umysłowe Polski rozwijało się zawsze powolniej od zachodniego; wszelkie jego prądy dotykały słabiej i później ziemi dalekiej, uboższej i odległej od morza: i chrześcijaństwo oficjalnie zawitało o całe stulecie wcześniej do Czech, niż do Polski; scholastycyzm zakwitł w Krakowie, gdy już przekwitał na Zachodzie; renesans i reformacja spóźniały się o dziesiątki lat i traciły na doniosłości i sile. Na początku XVII wieku Polska dorównywała sąsiadom; zamiast jednak i nadal dotrzymywać im kroku, zaczęła się cofać, gdy ci coraz raźniej pośpieszali naprzód. Kraj, który ogłosił zasadę wolności sumienia w XVI wieku i skłaniał do zgody wrogie wyznania, teraz wypowiadał gościnę własnej braci różnowierczej; kraj, z którego wyszedł system Kopernika, we własnych szkołach trzymał się Ptolemeusza i Arystotelesa, nawracał do najgrubszej średniowieczyzny; z literatury ulatniały się świeckie żywioły i świeckie jej cechy, panujące od dwu wieków, powoli znowu zaczynały się zacierać.

Jakie przerażające postępy czyniła nietolerancja pod wpływem duchowieństwa, dowodzi fakt, że na „Poczet Herbów“ Potockiego, ocenzurowany przecież sumiennie przez duchownego, w 22 lat później rzucił się inny duchowny, Śrzeniawita Albrecht Stawski, na „heretycki kalwina polskiego wierszopisa instrument“ i najohydniejszem szkalowaniem kalwinów (śmierdy trupie, wasze modły niebu przyjemne tak, „jak głosi brytanie“) wetował wycieczki katolika Potockiego przeciw niegodnym duchownym. Przedtem rozegrała się jeszcze drastyczniejsza sprawa. Z książki francuskiej Zygmunt Unrug, protestant, wpisał do notatnika cytat: *la vérité salutaire, n'est-elle donc descendue du ciel que pour être aux habitants de notre globe une occasion perpetuelle d'erreur, de guerre, de haine et de division?* O to wezwano go przed trybunał piotrkowski i skazano na śmierć i konfiskatę dóbr (część ich przypadła denuncjantowi) w roku 1715; i wyrok ostał się prawomocnym, chociaż go stolica apostolska skasowała, Sorbona uroczyście potępiła, jako zgwałcenie wszelkich ludzkich i boskich praw, a duchowieństwo nie aprobowało, jako mieszania się trybunału świeckiego

w rzeczy duchowne. Jeszcze głośniejszem oburzeniem wybuchła Europa na krwawą tragedję toruńską r. 1724, i odtąd Polska na długo straciła sympatję uczciwych ludzi.

Niedarmoż duchowni od lat kilkudziesięciu powtarzali piosnkę, że Bóg karze Polskę tylko za to, że cierpi w swem łonie protestantów, że o zgodzie mowy być nie może, skoro panuje rozdwojenie w wierze; wypowiadał to otwarcie jeszcze w XVII wieku ks. Wadowski w „Danielu proroku“. Tak skutecznie wlewali jad nietolerancji, że nakoniec szlachta polska odsunęła się od własnej braci dysydenckiej, wypowiedziała im prawa, nie dozwoliła zasiadania w izbie i urzędach; włoskie i hiszpańskie stosunki przeniesiono na północ, w bezbronne państwo, rozsiadłe między różnowiercami. Jak z tego skorzystano w drugiej połowie wieku, nie trzeba wspominać; nietolerancja, całkiem niepolski wymysł, sztucznie zaszczepiona Polsce, służyła za pretekst celom, niemającym z wiarą nic wspólnego.

Protestanci wycofali się z życia i literatury; skarżą się w pismach zagranicznych lub domowych utajonych wierszach, wedle „Lamentu albo narzekania wiernych pańskich z okazyej funduszu zboru kiejdańskiego 1726 roku“, pozbywają się chętnie urzędów i poselstw, jako rzeczy marnych, ale utyskują nad zabieraniem szkół i kościołów, nad prześladowaniem samej wiary, nad ciągłemi od niej odstępstwami nawet własnych duchownych, nad czyhaniem na fundusze zborowe. Rzeczy ich pióra pojawiały się chyba przypadkowo, po latach; tak Stanisław Cedrowski w Manheimie w roku 1728 przetłumaczył sławną alegorję chrześcijańskiego żywota Anglika Bunyana, „Drogę pielgrzymującego chrześcijanina do wieczności“, ale „dopioro“ w roku 1764 wydał to kaznodzieja królewiecki, Behr. Zato prasy polskie zakonne (częstochowskie, bardyczowskie, jezuickie i pijarskie) i bardzo nieliczne świeckie (krakowskie) były niestrudzone w coraz to nowem odbijaniu coraz potworniejszych ascetyków, których fala, wzrastająca od końca XVII wieku, zatopiła teraz niwy piśmienne. Tylko takie dzieła doczekiwały się licznych wydań, np. Franciszka z Asyżu; Franciszka Salezego („Droga do życia pobożnego“, siedm wydań); Mikołaja Fontaine: „Historja Starego i Nowego Testamentu z wykładem z ojców świętych“, przetłumaczona przez kanclerza koronnego, Andrzeja Chr. Załuskiego „na wygnaniu w Królewcu“ wraz z innemi ascetykami, (r. 1708, dziesięć wydań tego foljantu), ale to małe w porównaniu do olbrzyma, Sasa Ludolfa (z XIV wieku!!) o życiu Chrystusowem,

odbitego (po łacinie) w Poznaniu w r. 1751 w szacie stosunkowo bardzo wytwornej; takie druki starczyły wydawcy za pielgrzymkę do Ziemi Świętej lub grobów apostolskich; ich treści z pod ciemnej gwiazdy najczęściej odpowiadał szary bibulasty papier, czcionki najpodlej zużyte i straszne błędy drukarskie: typografje polskie, tak świetne w XVI wieku, że rozkosz i dziś patrzeć na druki Łazarzowe czy Wirzbięty, upadły tak nisko, jak i sama literatura.

Szkoły również nie postępowały: protestanckie ustały, katolickie trzymały się zacieśnionego programu szkół jezuickich, wykluczającego greczyznę, wpajającego zewnętrzną pobożność i kult Maryjny. Celem była nie nauka, lecz zostać *sodalis Marianus*, pomazać usta łaciną, wyrobić oratorską swadę, której nabycia ułatwiały rozmaite podręczniki i zbiory, jak owa *Domina Palatii*. Współzawodnictwo między szkołami dawno ustało; jeśli akademja walczyła z jezuitami, jezuici z pijarami, chodziło tylko o warowanie przywileju; zresztą akademja krakowska, zazdroszcząc jezuitom św. Stanisława Kostki (o którego już w XVII wieku wiodła spór szlachta z jezuitami: kasztelan Grodziecki dowodził w bardzo czytanem piśmie, że Kostka był szlachcicem, nie jezuitą), wszystkie szczupłe środki wysilała na beatyfikację Jana Kantego, którego pisma, jako teologa, musiała do Rzymu przysyłać: w Rzymie z przerażeniem odkryto, że Kanty, w duchu szkoły krakowskiej i Jakóba z Paradyżu, bronił wyższości soboru nad papieżem; akademja pomogła sobie, składając heretyckie pisma na karb innego Jana!

Młodzież szlachecka wychodziła ze szkół, aby aplikować przy trybunałach u jurysty albo wstąpić do dworu i, wysługując się panom po zajazdach i sejmikach, dojść intratnej posesji, ożenku, lokacji kapitałów i dalej na własną rękę gospodarować, polować, bankietować. Służby wojskowej jakby nie było, chyba od parady po znakach pancernych i husarskich; służyło się w trybunale i na sejmie. Ze szkół wynoszono wiarę niezachwianą; wierzono w djabła, sprawiedliwszego, niż sędziowie trybunalscy, palono czarownice, gdy jeszcze na początku XVII wieku skarżono się na polską oziębłość pod tym względem. Teraz samo duchowieństwo napróżno hamowało bezmyślne zapędy judykatury miejskiej i pańskiej; uznawano na każdym kroku palec Opatrzności, karzącej w tej chwili za niewstąpienie do kościoła na mszę, za pominięcie żebraka, za złamanie postu; modlono się gorliwie, dyscyplinowano, suszono; ceniono nabożną książkę, towarzystwo du-

chowne, szczególniej rubasznego kwestarza, bernacha, wywijającego ogórkami u pasa, nie przebierając w niewymyślnych, starych facecjach, jak przystawało na gruboskórych.

Z równą ścisłością wierzono w powagę rodzicielską, wszechmoc pańską nad chamem, zacność klejnotu, źrenicę wolności *(liberum veto* i elekcja *viritim*, chociaż pierwsze istniało tylko dla pożytku i wygody obcych dworów, a drugie było fikcją, skoro przeciw jednomyślnej woli całego narodu szlacheckiego kazano obrać drugiego Sasa), w niezwyciężoność Polaka w polu, w równość szlachecką i w podobne upiory. W istocie szlachty za stan już nie uważano; jako trzy stany Rzeczypospolitej wyliczała ks. Radziwiłłowa: króla, senat i hetmana; hetman był teraz owym ołtarzem, erygowanym przeciw królowi — i za takiego uważał się niegdyś prymas Karnkowski (za Orzechowskim) jeszcze w roku 1585, prawiąc wobec Batorego: dano arcybiskupowi laskę... aby to było niejakie *contra sto* przeciw panu, gdyby chciał *excedere metas*. Teraz duma magnacka nie znała granic, przybierała chorobliwe rozmiary, np. u Jabłonowskich i Lubomirskich, u wojewodów „z bożej łaski", udzielających audjencyj na krześle tronowem, a strzelających baby, kukające po drzewach. Czasy były złote, urodzajne; gdy minęły zawieruchy szwedzkie, gdy spłókano zakusy saskie o zmianę rządu szablami konfederacji tarnogrodzkiej, sumienia oniemiały, a rozpasała się Polska; z wojska uczyniono przyboczną straż hetmańską w fantastycznych mundurach, z większą liczbą szarży, niż żołnierzy, a triumfy tego wojska były np. takie: gdy Radziwiłł (Udalryk) w kilkuset ludzi zmusił do ucieczki trzynastu hajdamaków, czyn ten uwiecznił wystawieniem stołu Radziwiłłowego, jako nowy Witold, i wydał drukowaną relację wiekopomnego dzieła. Z sejmu uczyniono szopkę, skoro żaden nie dochodził do skutku; z trybunału — sejm, skoro go zerwano.

Upadek miast był szalony; zasuwał się coraz głębiej bruk jeszcze średniowieczny, waliły mury i baszty, ubożały cechy; tem więcej wznosiło się klasztorów i kościołów o jednym typie a rozmaitych wymiarach; tem ciężej te niezliczone budowle gniotły ziemię polską, tem świetniej odprawiano koronacje cudownych obrazów. Na wsi było nielepiej: ludność zmniejszała się i nędzniała, zwężał się obszar ziemi uprawnej, chłop rozpijał się coraz podlejszą żyburą. Przemysł i handel upadł i chyba obcy się zbogacali; nawet Żydzi odczuwali ogólną nędzę, ubożeli, schodzili z poziomu dawnej kultury na średniowieczne barbarzyństwo.

Czas trawiono bezczynnie; potrzeba książki, wszczepiona w przeszłych wiekach, znowu wyginęła; czytano chyba kalendarz, a w niedzielę książkę do modlenia, czasem i nawspak obróconą. Przerzedzały się strasznie dawne zasoby bibljoteczne i księgarskie; jeźli już W. Potocki skarżył się na rzadkość staropolskiej książki, teraz całkiem wyszła ona z obiegu. Ustały przedruki dzieł dawnych; przez sto kilkanaście lat nie wznowiono ani razu Kochanowskiego, tak samo Szymonowica, zato Opecia „Żywot Chrystusów“ po roku 1548 wznowiono dopiero w r. 1688 i przedrukowano kilkanaście razy. Nietylko książki wychodziły z obiegu, bo, co nie wsiąkało w bibljoteki klasztorne albo pańskie, ginęło, a jak wyglądała bibljoteka klasztorna, to Krasicki opowiedział w „Monachomachji“; z samych książek wycofywał się żywioł świecki, ideje i autorowie; pisali duchowni, a, jeśli się przyplątał autor świecki, to pisywał ich ładem.

Duchowni dla próżności świeckiej fabrykowali panegiryki, z tem szumniejszemi tytułami, im marniejsze indywiduum chwalono. Obok powodzi panegirycznej wylewali prozę i wiersze ascetyczne, tłumaczone i oryginalne; lepsze były tłumaczone, nieraz z francuskiego, zastępującego teraz dawny włoski i łacinę, mądrzejsze i poważniejsze; oryginalne kończyły się wreszcie Baką, t. j. grzechem tak przerażającym przeciw stylowi i smakowi, że mu później zaprzeczono i wileńskim jakoby „farmazonom“ przypisano wymyślenie Baki. Ale, jak kanclerz Małachowski nie wymyślił „Historji o zmartwychwstaniu Pańskiem“ (Wilkowieckiego), tylko w obieg wypuścił kursującą od półtorasta lat na nowo w roku 1757 na despekt częstochowskim paulinom, tak samo i farmazoni wileńscy nie skoncypowali, lecz przedrukowali edycję (istniejącą w jednym egzemplarzu do dzisiejszego dnia) owych „Uwag śmierci niechybnej wszystkim pospolitej wierszem wyrażonych‘ 1766 r. ze śmiercią matulą, co, jak cebula, łzy wyciska, gdy przyciska. Wiersze Baki bynajmniej nie są odosobnione; przed nim popisywał się tak samo paulin, ks. Mikołaj Juniewic, „krótkim polskiego rytmu nowo inwentowanym stylem“ w „Refleksjach duchownych“ z roku 1753 i jego przełożeni również niszczyli to dzieło, chociaż jego rubaszna jowjalność potrafi nas dziś o wiele więcej zająć, niż przyzwoitsze, lecz arcynudne wylewy spółczesnej muzy ascetycznej, tem bardziej, że ten rywal Baki biadał i nad ojczyzną, że „Smok Orła dusił, Kwilić przymusił, Jak kota w miechu, Ogon i grzywę Wyrwał z Pogoni, Że chude źrebię Nie bryka, tylko, Leżąc na roli, Swe

ziarna grzebie", i trwożył się, aby „Leska korona głogiem ostrzejszej kary skłótą nie była". Znakomite są jego wycieczki przeciw wojsku polskiemu i przeciw pnącym się do szlachectw: Otóż, hultaju, Pijaku baju, Dobrze się stało; Nie byłoż lepiej, W karczmie brać wódkę, Od Szmojły brata, Gdzie choć pohuczy Kto i poluczy (po bójce wszyscy się znowu pogodzą). A wycieczki przeciw damom, oszukującym mężów (Ona mu puszcza Jak mimo głuszcza Tuman z cieniami), jak się wódeczką raczą (Dubelanyżu, Nuż cynamonki I Kardymonki, Smyk imbierówki, potem na to: Już też z ambony Huk, fury, bury), a stroją! Nawet „Pani Jadwiga Szóstaka nie ma", a przecież „Choć obręcz z beczki Miasto rogówki" przywdzieje. Juniewic i Baka mieli antenatów w rzemiośle, już w początkach XVII wieku, np. długa pieśń p. t.: „Jest zdrada w świecie jak w polnym kwiecie" (jej ruski przekład pochodzi z początku XVIII wieku) jest podobna, np. „a w tym szarłaty i kwiecie łaty jako mol psuje... obraca w błoto perły i złoto, robaki daje zacnym hetmanom, chłopom i panom, serce się kraje gdy szmatem płachty odziewa szlachty"; drukowano ją około r. 1620 (nie dopiero w 1825!).

Takie drastyczne rzeczy bywały jednak rzadsze; przeważały pobożne kwilenia, wierszowanie legend (o Jolencie, o św. Jadwidze); ks. Franciszek Rzeżawski, rywalizując z Kochowskim, wystawił „Wieżę Dawidową, w tysiąc tarcz uzbrojoną", t. j. tysiąc tytułów Matki Boskiej wyraził czworowierszami i dodał „Niewymuszoną jeszcze albo niestęsknioną dla Marji zabawę centurją polską z tych trzech słów *Sancta Virgo Maria* sto razy przekładaną i wierszem poetyckim opisaną" (r. 1701). Major kawalerji, Dobiński, porzuciwszy „rajtarją", napisał „Świt wierszów na święta Marji" (1725), sławiąc każde zosobna, np. Dziś Anielskiej Marji jest w niebie to święto — Tu na ziemi szlacheckie — na które się szlachta zjeżdża jak na elekcję, u franciszkanów poparcie tej elekcji znachodząc — ależ Marja nie elekcyjna, tylko jedyna dziedziczna królowa Polski. Jeszcze lepsze wiersze Łoskiego, który na niebie obserwował porządki polskie (aniołowie, to szlachta rodzona, ludzie chłopi, którzy na szlachectwo zarabiają) i przystosował do Dawida; temu się dobrze powodziło, póki „bardziej go wabiły *muszkiety*, niż *muszki* (damskie), Obserwując pilniej ich (t. j. muszkietów) niż Betsaby *łoże*", ale Łoski był choć dowcipny, inni stokroć nudniejsi. Taki ks. Wcisłowski „króciusieńko wierszem polskim zebrał Teologję szkolną, tym trybem, jak ją w szkołach dają" (1742): w dedykacji do Potockiej o jej Piławie twierdził, że

z trzeciego jej krzyża „Chrystus *se* kawałek ułomał“, a o herbie Ośla głowa jej męża (Kurdwanowskiego):

Pamiętajże, coć mówię, starosto Maurycy,
Że ta głowa twój honor wysoki zaryczy.
Jużeś se, widzę, serca ludzkie zawojował;

podobnie Pijar Jasieński geografję wyłożył polskim wierszem (1766 roku).

Czasem jednak i w te „poezje“, odstraszające wierszem, ortografją i wyrazami, zaplątał się ciekawy materjał obyczajowy albo historyczny; było to już w XVII wieku, trwało tak i dalej. Któżby oczekiwał, że w „Pieśniach nabożnych“ części III („Świat górny“ ks. Suszyckiego, roku 1700) znajdzie najciekawszą apoteozę i biografję Sobieskiego, na jaką się zdobyła kiedykolwiek poezja polska, pełną szczegółowych rysów, począwszy od Głuchowa i Cudnowa; twarz bohatera tak opisał:

oko siwawe, jagody jasne,
Brew gęsta, nosa słup miernie sponisty,
Wąs smukły, rusy, nic nie zawiesisty,
Wargi czerwone i dobrze spojone,
Z brodą i głową skronie podgolone.
Ale cały okrąg lica zupełnego
Miarę przestąpił pozoru ludzkiego,
Bo jak on nie miał w żywej płci przykładu,
Tak niema w starych kopersztychach śladu;
Z Pompejem trochę podobni do siebie...
Są i linije niegdzie Scypljona.

opowiadał zaś o tem przy „pierwszem niebie“ — przy dalszych snuł wszystkie znane baśni średniowieczne, np., że na słońcu niema plam, chyba w oku spostrzegacza, gdyż Bóg nie stworzyłby coś tak niedoskonałego; że nie mogą być inne zamieszkałe światy, gdyż i dla nich musiałaby się powtórzyć ofiara Krzyżowa (argument scholastyczny, skierowany w Krakowie w XV wieku przeciw „antypodom“), ale przynajmniej opisał mikroskop i, co się przez niego widzi. Jeszcze ciekawsza taka „Pamiątka czułości pasterskiej“ ks. Piotra Nawrotowskiego z roku 1746 (drukowana r. 1751), gdzie po panegiryku na biskupa (Klejnot wielki, Honor wszelki, Z Ogończyka, Tak wynika — *à la Baka*), dał sielankę kościelną, opisując budowę hyzneńskiego kościoła, zagony tatarskie, czasy Karola XII, skargi na Szwedów, Sasów — ale „nad wszystkich gorsi byli nasi“, bo obcy kazali się od dymu opłacać, nasi zaś, co chcieli, to

brali — wreszcie przebudowę zrujnowanego kościoła, ciekawy przyczynek nawet do historji budownictwa i rzemiosł.

Obok szczegółów historycznych i obyczajowych (nawet w „Historji rewolucyj niebieskich“ ks. Dobrowiejskiego, roku 1753, znajdziesz ostre wycieczki przeciw spółczesnym, np., co on prawił *ex re* sądu piłatowego o polskich sądach i sprawiedliwości) w innych wzrusza proste a szczere wynurzanie prawdziwej głębokiej skruchy, np. w ówczesnych (1707 r. po raz pierwszy drukowanych w Snopku Mirry) „Gorzkich Żalach“ (Gorzkie żale przybywajcie, Serca nasze przenikajcie) czyli Rozmyślaniu Męki Pana naszego Jezusa Chrystusa, rzewnych i poważnych, często przedrukowywanych, zastępujących dawne przedstawienia pasyjne i ich hymny łacińskie. Naiwnością odznaczają się ówczesne „kantyczki“, zbiory głównie pastorałek i kolęd, sięgające czasów o wiele dawniejszych, drukowanych na Jasnej Górze Częstochowskiej albo we Lwowie u Szlichtyna; pieśni to nieraz wielkiego wdzięku i głębokiego uczucia, refleksy dalekiego średniowiecza. Warto i to zaznaczyć, że polski wiersz religijny choćby kantyczkowy — prócz pieśni miłosnej — najdłużej popłacał na Ukrainie, w Kijowie i Moskwie, gdy innych polskich rzeczy prawie już nie tłumaczono, gdy wyższe sfery rosyjskie sięgały wprost do niemieckiej i francuskiej kultury, a tylko u niższych popłacały tradycja, brak wybredności i smaku. Polskie kantyczki i ruskie śpiewanniki czy piesienniki, polskie szopki i ruskie wertepy, to ostatnia wymiana literatury rusko-polskiej.

W „poezji“ nabożnej pojawiały się nieraz wręcz niedorzeczności. „Kawalerje i infanterje niebieskie“ Łoskiego wzbudzały emulację, i karmelita Hilarjon (Falęcki) wydał „Wojsko serdecznych noworekrutowanych affektów ciągnieniem idące trzema kolumnami (wiary i t. d.)“ 1740 gdzie np. „przednia straż wojska Generał major, niepojęta Miłość Boska, prowadzi ogniste regimenty na zbawienną zaziębionych affektów dumnopróżnych inflamacją“ (dzieło o 500 stronicach, dwa czy więcej razy wydane). Duchownym zazdrościli świeccy, nawet i panie, np. r. 1754 Duninowa pokazała „Drogę prawdy do wieczności“, wyliczając odstępców od tej drogi: panów, niepłacących długów, i „poddanych z wielkiem uciążających zdzierstwem“ (przeto już sobie łom w piekle palicie); damy strojnisie, ale i autorka nielepsza, „ani też do was z cenzury przemawia“. Inny autor, Adam Kępski, sekretarz wielkiej laski koronnej, napisał obszerną alegorję „Myśli

o Bogu i człowieku“ i wydał pierwszą część (r. 1756, sam Konarski wychwalał to i polecał, jakby nie było Dantego i Miltona, przeciw deistom i ateuszom), w wielkich smutkach (po stracie dzieci) i chorobach: nowożytny Hiob, obrany bez przewinienia z wszelkiego szczęścia zwątpiwszy o Sprawiedliwości i Opatrzności, dostępuje wizji ducha niebiańskiego, który w następnych częściach miał wyjaśnić te zagadki — Kępski wznosi się wysoko nad duchownych wierszokletów powagą myśli i języka, nawet doborem rymów, starał się bowiem, „aby nie były blisko, podobne mające zakończenie, kadencje“; mówiąc o złotym wieku kreślił zżycie się człowieka z przyrodą, gdy

Ptastwo, gdy późno siadło spać, domowe;
Zbyt świergocące przy domu polowe;
Wiatry świszczące; dym, gdy się rozwłóczył;
Miesiąc, gdy zadął, gdy kołem otoczył;
Słońca krąg blado i nad czas wybiegał:
W gospodarstwie ich o słocie przestrzegał.

Żeby ocenić zasługę Kępskiego, należy porównać „Apollina do żałośnych trenów przyuczonego“ jezuity Manieckiego, który opiewał Mękę Pańską za Stanisławem Lubomirskim, np. biczowanie:

Bój się, lewku, gdy biją pieska, niesie mowa.
Lecz tu, kędy nad Panem zajadłość surowa
Dokazuje, lwa z Judy pokolenia macie
Zbitego — jaki taki bójże się psubracie!

Prawda, i świeccy bywali nielepsi, taki Cerenowicz, burgrabia warszawski, w „Grocie grzesznika pokutującego“ (r. 1755) przerobił na wiersz polski średniowieczną książkę z roku 1479, „duszę sympłaczkę“, zwodzoną przez Beliala, pouczając o pokucie przez usta Mojżesza i Tomasza z Akwinu.

Gdyż bez pokuty w świata janczarychę,
Iść nie bezpieczno, złamie dusza sprychę!

Rozwodzi to na czterystu stronicach, a nie jest to jedyna ani najkrótsza poezja ascetyczna, którą wysyłał okryty śniegiem na głowie „ze swej gazdy tarasu“ na dwory wielkopańskie (Czartoryskich), choć skrojoną nie wedle mody.

Szczyt tej „poezji“, pokrywka, godna garnuszka, to „Historja Starego i Nowego Testamentu z tłumaczeniem do zbudowania wydana“ (Nancy, r. 1761), której egzemplarz autor, król Stanisław Leszczyński, dedykował i *Bibliothecae Zaluscianae Varsaviensi Societatis Jesu (!)*; foljant około 750 stronic, wyrażający wierszem

to samo, co kanclerz Załuski dawno lepiej wyłożył prozą. Najlepsze jeszcze wiersze dedykacji do córki:

Wiedząc, że Boskie przenajświętsze sprawy
Są twoich myśli najmilsze zabawy,
Z Pisma świętego podane nam prawa
Zachowywa je twoja wiara żwawa;
Że ci zaś miło, co się Polski tyka,
Ojczystego tu zażywam języka
Na wyraźne słów najświętszych zebranie,
W czym twoje znajdziesz ukontentowanie...
Przebacz, jeżeli tu się nie mianuję.
Dość żem ten, co cię kocha i szanuje.

Te 25.000 wierszów nie były zresztą jedynym poetyckim darem, jaki odbierała od ojca królowa francuska, ale były największym — biedny król sfrancuział jednak bardzo i chyba utracił poczucie językowe, gdy bez rozmysłu szafował imiesłowami np. tak:

Piłat, wiedziawszy, że Chrystus będący
Galilejczykiem, zbyć się go pragnący,
Do Heroda go przeto odesławszy,
Tam, gdzie panował, królem w nim zostawszy.

A więc i u Leszczyńskiego, jak np. u Lubomirskiego ten sam umysłowy podkład religijny, ascetyczny. Pozazdrościł wawrzynów Leszczyńskiemu ks. rektor nieświeski, Kurzeniecki i wygotował niemal czterykroć większe dzieło w tej samej materji; jego „Wykład Pisma Św. Starego i Nowego Testamentu“ (r. 1769, wydany po śmierci autorskiej) obejmuje zgórą 80.000 długich wierszy (w oktawach), daje całą treść Zakonu i jego wykład średniowieczny (osobnemi czcionkami). Dzieło o wiele lepsze i ciekawsze niż Leszczyńskiego; boleje nad Polską (i jej „wyniszczeniem bez wojska, bez skarbu — broń Boże ostatniego win nie dobrać karbu“), nad tem „niechaj lud nie *poganieje* wiejski“, ale rzuca się okropnie na „to niezbożne pomiętło“ Żydów i w swej nienawiści równo szacuje „rabinów, mołnów, predykantów“.

W prozie nie było lepiej. Zamiast legend i medytacyj stawały kazania, nieraz ciekawe z powodu anegdot, języka, jeżeli drukowane; jeżeli zaś rękopiśmienne, ciekawe są w nich wycieczki nawet przeciw szlachcie, na którą napadało niższe duchowieństwo, szczególniej podgórskie, wychodzące z chłopów; skutkowało to równie, jak kazania trybunalskie, gdy jezuici, np. ów Fr. Maniecki, roztrząsali panom sędziom sumienia; jego „Wschód słońca

sprawiedliwości bez zachodu“ zbierał porównania nawet od Fryny, od rzeki; jak jej powierzchnią wstrząśnie wrzucony kamień, trzcina, listek, tak i wy wstrząsacie się, gdy wam wpadnie kamień (drogi), trzcina (ze złotą gałką), listek (polecający), cóż dopiero jeśli wierzchowiec lub poszóstna kareta! Dwa najbardziej typowe dzieła tej epoki nie należały jednak wcale do teologji.

Jedno, to „Korona“ jezuity **Kacpra Niesieckiego**, dzieło największej zasługi, i dziś jeszcze dla badaczów przeszłości niewyczerpana kopalnia szczegółów heraldycznych, genealogicznych, historycznych i literackich, najzupełniejszy obraz Polski szlacheckiej, jej rodów i koligacyj, uzbierany z poprzedników, począwszy od Paprockiego i Okolskiego, z panegiryków, z akt, z tradycji, szczególniej zakonnej. W porządku alfabetycznym w czterech sporych tomach ułożone są herby i familje i wymienieni znani autorowi ich członkowie z urzędami. Niestety, i na tym pomniku znać łapę epoki saskiej: najobszerniej zastanawia się jezuita nad świętobliwością i cnotami osób, zwłaszcza, jeśli należały do jego zakonu lub go promowały. Przez to złota księga szlachty polskiej niesłusznie nabrała ascetycznego charakteru, i zacny a światły autor nie wstydził się powtarzać najgłupszych bajek, np. owej korespondencji zaświatowej, z czyśca, przy Niemiryczu. Są to plamy tego saskiego słońca, przyświecającego na herbowem niebie polskiem, do dziś niezastąpionego żadnem innem dziełem; spółcześni rozkoszowali się niem; srożyli się chyba ci, których Niesiecki pominął, i wnosili protesty do grodów. A pomijał on wielu i umyślnie, np. ze szlachty litewskiej, polskiej i pruskiej, nie chcąc wiele rozprawiać o dysydentach.

Jeszcze bardziej typowe dzieło równie obszerne, „Nowe Ateny albo akademja wszelkiej sciencji pełna“, ks. kanonika **Benedykta Chmielowskiego**, niby pierwsza encyklopedja polska w czterech wielkich częściach (r. 1745, 1755 powtórzona częściowo): o religji i sektach, o lądach i krajach, o ziemiopłodach i kunsztach, o cudach i potworach, o językach i zakonach, o relikwjach, miejscach cudownych i o opętanych, o najrozmaitszych tajemnicach i t. d. Zbiór to wszelkich bajek i przesądów, anegdot i *curiositates*, niewyczerpana kopalnia wszelkich aluzyj, emblematów, sciencyj, niestety, przy końcu epoki erygowana i niebawem ośmieszona. I w niej naturalnie przeważał ascetyczny element, stosownie do potrzeb czasu.

Najpopularniejszej prozy tych czasów należy szukać gdzieindziej. Kilkanaście wydań dziełka jezuity Bystrzonowskiego („Polak

sensat w liście") dowodzą, że nie wystarczała już dawna „Spiżarnia aktów rozmaitych", skromniejsza pod względem rozmiarów i stylu; jeszcze potworniejsza była „Fama polska" Wieruszewskiego, „informująca młódź szlachetną" wzorami najpodlejszego stylu listów makaronizujących. Z takiej szkoły wychodzili mówcy szumni, nadęci, próżni i śmieszni; coraz częściej drukowano te mowy, coraz to głupsze; wznawiano i rozszerzano dawne zbiorowe wydania („Swada Danejkowicza" Ostrowskiego) i zestawiano nowe; do mów przyplątywano i traktaty alegoryczne („Sen na jawie" Solikowskiego i „Reginę Palacii" Pęskiego). Obok tych rozsadników złego smaku i przesądów politycznych kwitnęły kalendarze, głównie Duńczewskiego w Zamościu (zasłużonego heraldyka dzięki zbieraniu wiadomości o rodach, ukrzywdzonych czy pominiętych przez Okolskiego i Niesieckiego).

Kalendarze polskie i ruskie Duńczewskiego trzymały się dawnych wzorów; nietylko zawzięcie prognostykowały o pogodzie i zbiorach, ale i o fatach prowincji polskich i krajów ościennych i nieraz wywoływały polityczne reklamacje; palono je w Kijowie, feldmarszałek Münnich w Głuchowie. Część ich poetycka mniej była uprawiana — Duńczewski nie myślał już o zbieraniu swoich rytmów, jak to jeszcze czynił jego poprzednik, Niewieski; zato w przydatkach mieścił najrozmaitsze rzeczy, skracaną (Łubieńskiego) historję i geografję Polski, wiadomości („ciekawości") o jej duchownej i świeckiej hierarchji, o bogactwach jej przyrody, rybach, ziołach, źródłach i minerałach, o jej monecie i t. d. Wymagała tego konkurencja, bo jezuici: Paszkowski, Paprocki i Wyrwicz, szczególniej zaś pijar Wiśniewski, „Kalendarzami i Kalendarzykami politycznemi", „Kolendą Warszawską" od roku 1737 stanowczo rugowali astrologję i zastępowali ją treściwemi i pożytecznemi historycznemi informacjami; reforma nie przyjęła się ani odrazu, ani stanowczo; szerzyły się jednak wiadomości i rozbudzała myśl. Oprócz tego uprawiano i facecje, wydawano je w Prusach, w Toruniu w obszernych zbiorach, kompilujących dawne „Facecje czy Furfanterje" i „Co nowego"; w kraju wychodziły krótsze „Sakwy, czworaką materją wesołego śmiechu, z różnych krain wyżebraną, napchane" z dykterjami o kozach, kowanych na cztery nogi w Burgundji, z pobożną melancholją nad pijaństwem, rymowaną *à la Baka:*

Pędzą fata, Na łeb lata, Na głowę godziny,
Naglą parki Swe zegarki, Naglą libytyny,
A ty stary Swe zegary Nakręcasz do gęby,

z gadkami (zagadkami) i t. d. Główny zasób anegdot kursował w tradycji. Wyjątkowo chyba spisywano je już później, np. franciszkan Karol Żera na Podlasiu, którego zbiór z celi drohickiej rozszedł się po Polsce w kilku odpisach; najsłynniejsi facecjoniści, pijar Tadeusz w pierwszej, Karol Radziwiłł w drugiej połowie wieku, nie mieli ambicyj autorskich.

Właściwi przedstawiciele umysłowej pracy wieku, niezrywającej z lepszemi tradycjami, zaczepiającej o zagranicę, jak Chróściński, Załuski, sięgali jeszcze czasów dawniejszych, a nowe jednostki się wybijały. Najwięcej między magnatami: wykwintniejsze wychowanie, nauka języków (francuskiego), podróże i ocieranie się o koła wytworniejsze nie dawały im grzęznąć w bezmyślnym sarmatyzmie, kazały im cenić książkę, zbierać bibljoteki, choćby francuskie, brać udział w literaturze, choćby pod pseudonimem lub anonimowo, pobudzać innych do pracy. Wiśniowieccy, Radziwiłłowie, Jabłonowscy, Załuscy, Wielopolscy, Sapiehowie zajmują miejsce Opalińskich i Lubomirskich, a liczbą piszących pań epoka saska pobija nietylko poprzednie, ale nawet późniejsze okresy. Kobieta polska, której mężczyzna saski już nie przewyższał wiedzą, dobijała się równouprawnienia, choćby na Parnasie — Drużbacka, Niemiryczowa, Zawiszówny, Radziwiłłowa, Załuska prześcigają nawet Chróścińskiego i Jabłonowskich.

Na czele poetów stawiano Chróścińskiego, który chyba tylko zbierał podkowy za Potockim i Lubomirskim; Załuski wykrzykiwał:

> Nie dbam, że z swym Parnasem w Turczech, Apollinie
> Osiadłeś; u nas laury rodzą się w Chróścinie!

Dworak Sobieskich przebolał upadek tego domu, napróżno zagrzewając ziomków do wyboru Jakóba Sobieskiego w „Lamencie Ojczyzny“; bolesne przejścia wyśpiewał w parafrazie „Hioba cierpiącego, z dóbr i fortun wyzutego, na dzieciach i zdrowiu dotknionego“ (napisanego „dla umacniania się w cierpliwości“ wydanego roku 1700 i 1705), gdzie najciekawsza jest „Do uciśnionej ojczyzny apostrofe“, porównająca ją do Joba i dlatego przedrukowana w Warszawie roku 1794, gdy nadchodziły podobne czasy. Po trenach na śmierć żony nastąpił „Krótki zbiór duchownych zabaw ojczystym wierszem“ roku 1711, poświęcony Wiśniowieckim i zawierający w przydatku Pięć psalmów pokutnych hetmana Michała Wiśniowieckiego, pisanych w niewoli głuchowskiej, cieka-

wych dla osoby autora i języka, zachowującego jeszcze nieco dawnej rubasznej jędrności, np.:

Jeźli bogactwa z czasem skazitelne
Przedrzeć się bronią przez ucho igielne
Dla dużych garbów łakomstwa i zbytku,
Dopuść ubóstwo, a dość mam pożytku,

kończy:

Rządź, kieruj, prowadź, ciągni według siebie,
Byleś się tylko dał pomieścić w niebie.

Niejedyne to próbki literackie Wiśniowieckich; pisywali i prozą, np. ucieczkę w przebraniu Klementyny Sobieskiej, żony Stuarta, przetłumaczył kasztelan krakowski, Janusz Wiśniowiecki; niestety i tu najobszerniej opisał tylko świetny pogrzeb swej bohaterki; zresztą pisywał wiersze, np. bez r, którego sam dobrze nie wymawiał — takie średniowieczne zabawki w akrostychach puszczał w kurs mistrz krakowski, Jarmundowicz; za nim, za Sikorskim i Wadowskim, popisywał się pan kasztelan, wysuwając, stale jako autora, kijowskiego kanonika, Olszewskiego lub Bogdańskiego; hetman tłumaczył ascetyka francuskie (Berruyer), rywalizując w najlepsze z mnichami!

Żyłka epiczna tryskała jeszcze silnie, ale nie zwracano się ku dziejom ojczystym, a, że poważne pióro nie gustowało w romansach, rzucano się do ponownego wierszowania historyj biblijnych. Tu właśnie celował Chróściński. Przewierszowawszy kilka legend, Eustachego (którego potem odnowił Jabłonowski) i Aleksego, zabrał się do Starego Testamentu, do Józefa i Amana. Wybór, szczególniej pierwszego, był bardzo nieszczęśliwy; miejscami ten „Józef, do Egiptu przedany“ robi wrażenie, niby „Eneida“ Blumauera albo Chotomskiego, chociaż pobożny autor grzeszył tylko naiwnością. Najobszerniej, jak niegdyś Rej, wyłożył epizod z Putyfarową, miejscami wcale dobrze, ale miejscami jego rym „rozgniewa Boga i djabła rozśmieszy“, np. jeżeli zwodzicielka ufa „Józwie“ że galantomem będzie; jeżeli Józwa rzecz odkłada: masz ze mnie wkrótce, co chcesz, lecz nie teraz; gdy zemdlała, posyłają do apteki, „a gdy rozwiodą łyżką ścięte zęby, gwałtem jej leją alkiermes do gęby“; teraz on w jej oczach „bezecny służyna, hultaj, szubieńca, gnojek, szuja lichy“ i cieszy się, że ani liścików nie pisała do niego, ani nikogo nie posyłała, więc się śmiało wyprze wszystkiego; zaraz

go też odwodzą do kordygardy, gdzie, całkiem jak na dworze pańskim, podczaszy uskarża się na swój urząd: wyjdzie bęs, karzeł lub piecuch domowy i każe wina dać jakiej fryjerce, zaraz mu nalej w kusz choćby garncowy. „Aman“ nie ma takich drastycznych dodatków; inni całkiem się od nich wstrzymywali, np. Węgłowski w „Starozakonnej Rut“ — lecz nacóż wtedy te wiersze?

Z mniejszem powodzeniem obok Chróścińskiego stawali Jabłonowscy: wojewoda ruski, Jan Stanisław; bracławski, Jan Kajetan; stolnik litewski, Józef Aleksander i wojewoda rawski, Stanisław. Pierwszy, najpłodniejszy, uprawiał poezję w więzieniu kenigsztajnskiem, przewierszował Ezopa w „Sto i oku bajek“, lecz chociaż różnie korzystał z Lafontena, pozostał daleko wtyle za Niemiryczem i jego wolnym wierszem; potem przełożył Telemaka na wiersz polski, co znowu lepiej wykonała Marja Załuska, lecz Telemak Jabłonowskiego dostał się do druku, gdy Załuskiej się zawieruszył; dalej rymował różne ascetyka. Tak zaznaczył się Kenigsztejn w literaturze polskiej, jak niegdyś Moskwa (nieraz, jeszcze za Gosiewskiego i Pawła Potockiego w roku 1660), Głuchow i Królewiec, jak później Kaługa. Zresztą wojewoda ruski pisywał wiele rzeczy pobożnych, wierszem i prozą, począwszy od „Zabawy chrześcijańskiej“ (żywotu Chrystusowego) w roku 1700. Bracławski wierszował historje biblijne i legendy, które dedykował żonie i krewnym, ale między wszystkimi Jabłonowskimi był najmarniejszym wierszokletą: porównanie obu Józefów (ze Starego i Nowego Zakonu) zaczął słusznie:

Chcącemu pisać twe, Józefie, cuda,
Pierwszy cud będzie, kiedy mi się uda,

nie udało się też, ani wtedy, gdy „starą prawdę całą gębą stawiał“, wierszując Esterę, Judyt, Zuzannę, a później i Święto chrześcijańskie; chociaż znał i cenił Lubomirskiego, Chróścińskiego i innych poetów, sam ciągle się mijał z poezją, prawdopodobnie myśląc, że wojewodzie wszystko zejdzie, więc np. tak kończył:

Więcej nie mam z tej księgi już na wiersz przewrócić;
Trzeba tedy do Panny Najświętszej ją zwrócić,

a gdy pisał o Judycie i wspominał wojnę króla asyryjskiego:

Zgoła nie wiem jego tam pretekstu,
Ile kiedy niemasz o tym z pisma tekstu...
Chyba by je wymyślać, lecz święta biblija
Nigdy się w wymyślone bajki nie uwija.

Zdolniejszym był Józef Aleksander, którego „Ostafi“ dla cennego wstępu, wyliczającego wszystkich dotychczasowych poetów polskich, od 250 lat, i krytycznemi uwagami; sama legenda (oparta o Chróścińskiego) napisana żywo, nie gardzi przytykami do spółczesnych.

Ksiądz ów był złoty, a kielich drewniany —
A dziś: ksiądz z drewna, kielich pozłacany,
Nie do decymy, lecz do duszy pleban,
(W kazaniu) Lukanów ani Nazonów wymykał
I pochwał z psalmów nie robił obłudnie,
Bankietów ze chrzcin, i z tym się umykał.

Ostatni z nich nietylko przetłumaczył żywot św. Jana Nepomucena, ale też przewierszował diarjusz starej przewagi dziadowskiej, opisując Pamiętne Uprowadzenie wojska z cieśni bukowińskiej w roku 1685 (wydane r. 1745), z dumnemi słowami o swych ziomkach:

Trzymają się samymi wsparci upadkami,
Szczególnym od państw inszych zwyczajem i darem.
Czy szczęsny czy nieszczęsny los igrzyska stroi,
Nie wzruszeni jesteśmy. Pod takim ciężarem
Walić się świat powinien, Polska przecie stoi.

Rzecz sama ułożona nienajlepiej, ale opowiedziana żywo; uderza misterne porównanie: po przemowie hetmana wyroiło się wojsko

Nie inaczej więc wyrojone pszczoły
Brzmią koło ula, nim się ruszy matka;
Na rój pasiecznik pogląda wesoły,
Póki nie wyjdzie z barci do ostatka;
Aż skoro matka kąt zostawi goły,
Dopiero starki dłużnią w ulu zatka,
A na robotę i na towar słodki,
Bez omieszkania porozsadza młodki.

Prócz dydaktyczno-pedagogicznego Telemaka Jabłonowscy nawet słyszeć nie chcieli o romansach; wyręczali ich w zawody inni; w druku ukazują się najczęściej prozaiczne: „Koloander wierny Leonildzie przyjaźni dotrzymujący“ Mariniego; krótka i niezdarna „Historja czyli dziwna awantura Olinda z Amaryllą“ (r. 1754); o wiele lepsza „Historja o Chryseidzie i Arymancie“, przetłumaczona z francuskiego, ponieważ pierwsze słowa ciężko rannego bohatera były: *hela!*, poświęcona Barbarze z Duninów Sanguszkowej, która sama była autorką, jedną z „miłej trójcy“ za Stanisława Augusta; drukowana około roku 1747), mądrzejsza, niż inne,

opowiedziana w pierwszej osobie, lecz niemalująca dokładniej stanu duszy: i tu przeważała prosta ciekawość niezwykłych zdarzeń. Wcześniej Zawisza wydał „Arjamena“ (r. 1720), którego jego córka Marja przełożyła na polski z romansów Cyrusowych, podczas, gdy jej siostra Barbara (Radziwiłłowa, matka Udalryka, literata) przetłumaczyła „Dioneę“ również prozą, lecz nie oddała do druku. Podobała się i obszerniejsza „Historja Ormunda, królewicza Numidzkiego, z Libeiną, cesarzówną Jerozolimską“, o której przerabiacz twierdził: „ta historja była wierszami z greckiego (!!) na polski przetłumaczona język, która, że dla przytępującego wiersza niejaki czytelnikowi przynosiła niesmak, dla przysługi gust mającym w czytaniu... na solutyczny styl (na prozę) onę przypisać umyśliłem, a lubo w niej zdaje się cokolwiek rzeczy niepodobnych, być to jednak wszystko mogło“. Przerabiacz mylił się; gdy w całej Europie romanse już od wieków pisano tylko prozą, w Polsce dla nich popłacał jeszcze wiersz, jakby dla średniowiecznych epopei; w formie wierszowanej (oktawie?) romansu tego nie znamy.

Kazimierz Ogiński, wojewoda trocki, potem wileński, przełożył owę „Dioneę“ (Loredana) na wiersz polski pod tytułem „Zwierciadło przeciwnego ludzkim rzeczom sukcesu i przykrej od pięciu królewien doznanej alternaty“ i dedykował, jak czyniło wielu innych autorów czy tłumaczów, Antoninie z Zahorowskich ordynatowej Zamoyskiej (założycielce warszawskich kanoniczek); toż samo poema w innych rękopisach nazwano „tłustomoralnym“, chociaż tłustego nic tam niema; postępuje ono wiernie za tekstem prozy francuskiej:

Jeszcze państwa wschodowe nie schylały głowy
Przed miesiącem, ani zły z wolności w okowy
Wyrok azyatyckie zapędzał narody,
Gdy owe, którym Helle imię dała wody,
I z ludźmi i z armatą, z gotowością wszelką
Do boju, nie bez złota, galerę dość wielką
Przybiły do Karpacyi. Tam nad własne chcenie
Wygodne sobie widząc miejsca położenie,
Które jakby wymysłem ludzkim mocne skały
Od morskiej nawałności zewsząd warowały,
Spuścili z masztów żagle, a z okrętu schody,
Którymi jakaś dama, dama tej urody,
Że jej nie tu na ziemi, ale całe z nieba
Równe lineamenta ściągać by potrzeba,
Z tą powagą na blizką ziemię zstępowała,
Która w niej, lubo smutnej, konterfektowała

Pański jakiś majestat, czy ją morskie fale
Sturbowały, czyli też wnętrzne jakie żale
Tak strapiły, iż ledwie na rękach jednego
Kawalera strzymana do gaju blizkiego
Zwlec się dała, ażeby wolna od hałasu
Żeglarzów, spokojnego mogła zażyć wczasu i t. d.

W spółczesnem prozaicznem tłumaczeniu płockiego sufragana, ks. Pawła Załuskiego, brzmi ten ustęp: Jeszcze były wschodowe kraje nie pokłoniły się miesiącowi, ani państwo Azyjskie prawa tyrańskiego jednego przyjęło, kiedy do pewnej insuły morza Karpackiego wojenna przypłynęła galera. Ozdobiona była tem wszystkiem, cokolwiek ją uczynić mogło lub wspaniałą lub potężną, aby się schroniła niebieskich gniewów, które budują góry z wody, grożą przepaściami żeglującym. Tu się do tej przypchnęła insuły, gdzie między dwiema wielkiemi skałami, które jakoby łono jakie formowały, wszelkiego pewna była bezpieczeństwa. Żeglarze, zrzuciwszy kotwy, spuścili i wschody. Alić w tym znagła wyszła barzo piękna białogłowa, która, będąc zmorzona nie wiem czyli barziej niewczasem morskim, czyli serdecznym żalem, ledwo strzymana była na rękach jakiegoś, który z nią szedł kawalera i t. d.

Tak poezja walczyła z prozą, bo i odpisy wierszowanej przeróbki Ogińskiego i przekładu prozaicznego Załuskiego (a może i innych?) często trafiają się po bibljotekach. Najwięcej jednak piór poruszał zawsze jeszcze „Kawaler polski albo awantura Walewskiego z Beraldą“ Préchac'a; nie zadowolono się przekładem prozaicznym Działyńskiego: pani Antonina z Jełowickich Niemiryczowa, obożna litewska, wydała go wierszem w roku 1750 p. t. „Feniks rzadki na świecie“ — pisywała ona i wiersze o marnościach świata, ale jej wiersze marne i formą *(któren* przybrał *se* za zięcia) i wyborem słów (promowował, addukował, affidował i deklarował), lecz pani obożna twierdziła, „że większa jest każdego chętka czytać wierszem niżeli solute“ (prozą). Więc i pan regent grodzki pyzdrski, Franciszek Morawski, urobił go gładszym wierszem w roku 1747, ale i ten wiersz już raził uszy znawców; na jego wiersze, np. takie:

I tak zarazem było wesół (wesel) dwoje,
Mieli za smutki pociechy oboje...
Cieszyć się wszyscy wzajemnie poczęli,
Że się do kupy tak wszyscy zgruchnęli.
I owa, co już gacha postradała,
W prędce inszego za niego dostała;

sąd (Minasowicza? roku 1754) wypadł wcale niepochlebnie dla złych kadencyj na „ści“, dla makaronizmów, dla mdłego stylu — więc i Minasowicz podjął się jeszcze tej samej pracy.

Tylu tłumaczyło „Kawalera“, ponieważ żałowano, że „o Polsce barzo mało“ można czytać w romansach; więc z polskich dziejów bajecznych do epopei romantycznej asumpt wziął Skórski. Ale Skórski napisał swego „Lecha“ w łacińskich heksametrach, kiedy w całej Europie podobne rzeczy pisywano już tylko prozą i w języku narodowym. I, jak dalszy ciąg łacińskiej Argenidy znalazł polskiego wierszoklete („Argenida po zawartych z Poliarchem ślubnych kontraktach z przedziwnych przypadków wybawiona“ pijara Walerego Wyszyńskiego w roku 1743, około 25.000 wierszów, którym jednak daleko do „osobliwszej piękności“ wierszów Potockiego), podobnie i „Lecha“ w ciągu piętnastoletniej pracy bernardyn Kotficki przełożył na wiersz polski w roku 1751. Jest to apoteoza nierządu i złotej wolności w bajecznych podróżach i awanturach Lecha i jego potomków, syna Wizymira i córki Librji, ze złotem runem, które Ross porwał, „gdy se dać nie mogli rady“, w dwunastu księgach, nieraz zakrawających na alegorję polityczną Argenidy, najczęściej na fantastyczne awantury. Zresztą romansów w prozie bywało więcej, więc znowu przetłumaczono w prozie „Argenidę“ (rękopis, niedokończony); dalej „Historję Alkamena, króla Scytów i Menalipy, królewny duńskiej“ przetłumaczyła Balbina Wołowiczówna, referendarzówna W. Ks. Lit., i poświęciła tej samej ordynatowej Zamoyskiej. Albo „Tachmas, królewicz Perski“ (tłumaczenia Sobieskiego?), albo „Historja o królu Bedredynie Lolo i o jego wezyrze Atalmuku, nazwanym Wezyr Smutny“, ale te pozostały w rękopisach.

Szemat tych romansów niemal zawsze ten sam: rozłąka rodziców czy kochanków, mniemana śmierć, odzyskanie straty, turnieje i pojedynki, zazdrość macochy, rywalki czy rywala; obrazów przyrody jeszcze niema; nawet nie malują stanu duszy, zato przeplatają je moralizującemi uwagami; element humorystyczny ukazuje się wyjątkowo w jakiejś epizodycznej figurze; czuła miłość, niezrażona żadnemi przeciwieństwami, wkońcu triumfuje nad niemi. W porównaniu z nieskończoną fabrykacją podobnych, nieraz olbrzymich, romansów zagranicą uderza ich polskie ubóstwo, zdradzające umysłową zgnuśniałość za Sasów; bogaty szczególniej u Niemców gatunek romansów, pełny szczegółów archeologicznych

i historycznych, antykwarskiej i innej uczoności, w Polsce wcale nie był znany.

Osobno wypada wymienić pierwszy oryginalny romans polski w listach młodego Zatorskiego; autorowi jednak szło raczej o ułożenie wzoru listów „amorycznych“, niż o sam romans, toczący się w 94 listach między Rożynem a jego Chlorydą: ostatni list zaprasza na wesele młodej pary. Jak wyglądać powinna korespondencja zalotna z czasów saskich, pouczy pierwsze zdanie pierwszego listu, wystosowanego od „konkurenta“ do świeżo poznanej damy: „Tak doskonały ślicznych przymiotów i zacnych własności WM. Panna Dobrodziejka w sobie wyrażasz rytrat, że gdyby bajeczne dawnych wieków czasy miały honor godne WM. Panny Dobrodziejki znać i adorować narodzenie (na boku dodano: urodzenie tu nie służy, bo znaczy familją), wszystkich by WM. Pannę D. zebraniem i skarbem Gracji nie bez słusznego osobliwszej jakiej bogini tytułu, potomnej na podziw i uprzejmą zazdrość podały pamięci“. Pojedynek, odniesione rany, przeszkadzają szczęśliwemu związkowi.

Nasz podgórzanin wyznaje, że sam jeszcze nie kochał, że nie ma doświadczenia, nie wyjeżdżał, że więc w wyrażaniu afektów mógł się pomylić, ale młody pisze o uczuciach — na starość będę rozprawiał podpiły, jak Aleksander Wielki z Przemysłem pod Krakowem walczyli, jak świat się za moich czasów odmienił. Jednak autor tego dzieła („Przydatek“, r. 1746) tem jest ciekawy i sympatyczny, że biada nad zaniedbaniem języka polskiego, że podaje tematy, które dotąd u nas nie opracowane lub „już móle po stęchłych wygryzły bibljotekach“, nietylko heroiczno-miłosne, lecz polityczne, ekonomiczne i pedagogiczne: co za skutek wywołałyby podobne dzieła, dobrze i przystępnie napisane!

Jeden z pierwszych trzeźwiejszych romansów słynnego Gellerta (bajkopisarza, później częściej tłumaczonego w Polsce) przetłumaczono z niemieckiego raczej dla ćwiczenia językowego. Są to: „Przypadki szwedzkiej hrabiny G**“ (r. 1755), które ta opowiada od siebie, o swoich mężach, przyczem po raz pierwszy w literaturze polskiej kreśli dolę zesłańców na Sybir. Obok tych nowych, często przydługich, a zawsze bezmyślnych i sentymentalnych romansów, popłacały jednak po dawnemu krótkie „ludowe“ powieści, o Magielonie, Ottonie (z tego romansu wzięto imię Marcybelli, nierzadkie w owych czasach), Meluzynie; staczały się one w coraz niższe sfery, niemal ludowe, ignorowane przez wykształ-

ceńszych, choć odbijane przez krakowskich i lwowskich nakładców niemal rok rocznie. I tu więc czasy saskie trzymały się dawnej spuścizny, nie odstępowały od niej i na innych polach.

Nie opuszczono więc dawniejszej nawyczki wierszowania historycznych relacyj; niektóre z nich interesują nas treścią i dokładnością opisu, inne jako oznaka czasu. Potrzeba olkienicka, złamanie buty sapieżyńskiej, wynoszącej się ponad szlachecką równość, nieraz poruszały pióra; na początku wieku opiewał ją „Ojczysty Apollo", wcale dokładnie, rysując nawet położenie Olkienik; wyżej wzniósł się w połowie wieku Korytyński, również Litwin, a stanowisko swe uwydatnił, kończąc z triumfem:

Uczcie się, komu szczęście i fortuna sprzyja,
Niech się wyżej nad równość polską nie wybija.

Najciekawszą i najobszerniejszą relację wierszami ułożył jezuita Franciszek Gościecki; jak niegdyś Twardowski w roku 1622, tak on w roku w 1712 brał udział w wielkiem poselstwie wojewody Chomętowskiego od Augusta II do sułtana i szczegółowo a płynnie opisał podróż, Multany, Adrjanopol i Konstantynopol. Jest tam wszystko, nawet opis szalbierza-spirytysty, jego „seansów" i zdemaskowania, opis życia i trybu tureckiego i wołoskiego, prawdomówności, przekupstwa aż do chowania gołębi i turkawek po placach, liczenia drogi nie na mile, lecz na godziny. Zresztą imię Chomętowskiego wypływa jeszcze w roku 1720, ale w literaturze pamiętnikarskiej: pozostał z jego misji dyplomatycznej do Petersburga opis nowej stolicy (prozą, bardzo ciekawy i pouczający), w której język polski, instytucje i duch polski wcale nie były obce a terminy: korona, szlachetny, pojawiały się nietylko w korespondencji Piotra Wielkiego, w pomysłach oligarchicznych bojarów, lecz nawet na gmachach publicznych.

Gdy z każdym rokiem psuły się sprawy polityczne czy literackie, i późniejsze relacje stają coraz niżej, np. takie „Opisanie Kampamentu" (Augusta II pod Radewitz 1730 roku) w szumnych oktawach (!! jakby o jakiem heroicznem dziele), Walawskiego, albo „Wyjście Najj. Króla Stanisława I z oblężenia miasta Gdańska roku 1734" Józefa Sulistrowskiego, chociaż wcale dokładne; wielbi Stanisława, prezentującego się wcale niemęsko, skłonnego ciągle do płaczu i narzekań. Najniżej upadł autor „Rewolucji Szwedzkiej i Duńskiej". Przetłumaczył ją prozą z Vertota wojewoda Potulicki jeszcze w roku 1701, a przewierszował to w r. 1756 anonim równie

podle, jak podłem jest samo wydanie jego wierszów. Chodziło o przestrzeżenie Polaków, aby nie stracili wolności, równie jak Szwedzi i Duńczycy, cieszący się niegdyś tym samym „szałtem“ (kształtem) rządów; reformacja pozbawiła władzy duchowieństwo, zaczem utraciła ją i szlachta. Jedynie uwagi o spółczesnej Polsce ratują ten stek najbezdarniejszych wierszów, skargi na to, że

W kapelach hucznie brzmią wiole, basy,
Choć blizką zgubę poznajem zdaleka;

giniemy bez rady, sił, pieniędzy, zniszczały już miasta, ratuje nas tylko wolna mowa, bez niej zginęła wolność i ojczyzna; dziwnaż to jednak była wolność mowy, skoro autor:

Różność (niezgodę) braterską wspomniawszy zdaleka,
Bo się obawia, by nie stracił głowy
Teraz ten, który rzec prawdę gotowy.

Wiemy też z Matuszewicza, że ta wolność była mniejsza, niż w Rzymie za cesarstwa, gdzie jednego tylko nie godziło się tykać, u nas zaś tylu mściwych tyranów, ilu bogatych i silnych ludzi — tak, że Matuszewicz swój przekład wszystkich satyr Horacego (ze wstawkami o rzeczach polskich) dopiero po śmierci pozwolił ogłosić.

Satyra polityczna i obyczajowa milczała, głęboko uśpiona, choć same kamienie do nieba o pomstę wołały, gdyż ani Opalińskich ani Starowolskich jużby ziemia nie zniosła. Najciekawszą satyrą jest „Małpa-człowiek“; autor jej, dobrze piszący prozą i wierszem, przechodzi pokolei przywary strojniś; żołnierzów-zawadjaków, szermujących gębą; mieszczan, ich sprawiedliwości — ławnicy tylko „z grzywien pić śmierdziuchę umieją“; nieszczęście i spodlenie chłopów-charłaczyków, z których nędza starła boży „rytrakt“ (wizerunek): przenajświętsza Trójca u nich widły, dusza para, kościół browar. Dalej sarka na straszne nieuctwo i rozwiązłość duchownych; u kaznodziei Seneka to matrona, Horacy pustelnik, Elizeusz apostol, Epikur papież, Enocha Haman na tron hiszpański posadził, Jozuego bracia do Rzymu sprzedali — z tego szydzili już Opaliński i Potocki, u którego czerwoną rubrykę w kalendarzu ksiądz ogłaszał jako uroczyste święto.

Satyra ta nie jest skończona; autor, gdy miał znowu prawić o duchownych, urwał ją nagle i prosił o wybaczenie. „Szalę“ napisał Michał Działyński i po jego śmierci rzecz wydano w r. 1714 w „Argentynie“: przyczynę klęsk polskich upatrywał w maksymach „wierzże, jako chcesz“ i „bracie, czyń co chcesz, wżdyś wolno

zrodzony“: nikt cię przecież nie śmie obwinić, choćbyś ukrzywdził — byle nie większego; lepsza u Turków sprawiedliwość; opisane przytem jeszcze widzenie „pogróżki niebieskiej“ w Poznaniu z roku 1692, które przedrukowywano i później.

Po dłuższym przeciągu czasu nastąpił „Skrupuł bez skrupułu“ Jabłonowskiego, wojewody ruskiego, cenny anegdotami i rysami z życia, cenniejszy wiadomościami o tem, co uchodziło za „skrupuł bez skrupułu“, czego się dopuszczano z najspokojniejszem sumieniem przeciw państwu i ziomkom; cechuje on trwożliwość autora, poruszającego same drobnostki, i jego wyniosłość, obruszoną tem, że szlachta odważa się cenzurować panów. Odtąd popłacały tylko polityczne utopje, jak owa „Regina Palatii“ z zeszłego wieku, teraz dopiero po wiele razy drukowana; narażał się na śmierć ten, ktoby między szlachtą przemówił przeciw *Liberum veto* — ale takiego śmiałka nie było. Niepokoiła tylko jedna rzecz: że w ustroju republikańskim król rozdaje urzędy; więc najznakomitsi statyści, humiecki wojewoda Poniatowski i inni proponowali, aby król tylko potwierdzał kandydata, wybranego przez szlachtę; lecz ten ideał magnacki nie zyskał poparcia, bo rozstrój uniemożliwiał nawet najlżejsze zmiany.

I na innych polach myśli nie krążyły żywiej; historja i pamiętnikarstwo niemal ustały; po roku 1720 nie było o czem pisać; rywalizacje Familji i Potockich, tranzakcja kolbuszowska (rozgrabienie ordynacji ostroskiej) mogły natchnąć tylko pamflecistę, nie historyka. Więc chyba Szczuka, podkanclerzy litewski, wystawił światu „eklipsę“ (zaćmienie) Polski, zmyśliwszy nazwisko (jak i datę, 30 lutego), dodawszy bardzo mądry ustęp o koniecznych reformach, głównie skarbu i wojska; albo Erazm Otwinowski w pierwszej ćwierci wieku spisywał wojny szwedzko-saskie i polski w nich udział, nienawidząc rzetelnie pludraków i ubóstwiając Ledóchowskiego i konfederację tarnogrodzką, t. j. samobójczy zamach dogorywającej Polski szlacheckiej; to znowu mnich bazyljanin spisał w Wilnie utrapienia zakonu, miasta i kraju od obcego i swego żołnierstwa (Abrys domowej nieszczęśliwości i wnętrznej niesnaski Jana Oleszewskiego z roku 1721); takich pamiętników bywa więcej, nieciekawych ani pod względem treści, ani formy.

Wymienić z nich można Diarjusz Orlika, ostatniego „Mazepińca“ i hetmana kozackiego *in partibus*, partyzanta króla Leszczyńskiego, niegdyś ucznia akademji mohilańskiej, świadczącego najlepiej, jaki duch, wzory i język panowały niegdyś w Kijowie — Orlik

pisywał wierszem i prozą panegiryki, któremiby zakasował i akademika krakowskiego, Bieżanowskiego, a w „Diarjuszu“ (r. 1720—1733) ów potomek niegdyś śląskiej rodziny (spolszczonej jak Pretwicy i inni), nadrabiał niezgorzej łaciną, makaronizując zawzięcie.

Najbardziej jednak charakterystyczne, dla ludzi i czasów, są zapiski **Marcina Matuszewicza** (1750—1765), nie dla ich stylu, gdyż ograniczają się nieraz do najsuchszego wyliczania wszelakich pieniactw, lecz jako zwierciadło wieku, jako obraz walki o byt „równego“ szlachcica, lawirującego swoim bacikiem między Scyllą a Charybdą dworu, Familji i Radziwiłłów, broniącego „fortunki“ przed ciosami, co chwila spadającemi na niego, uważającego ze wszystkimi innymi przekupstwo, pochlebstwo, każdy środek za godziwy — a Matuszewicz należy jeszcze sercem, rozumem i wykształceniem do wyborowych ludzi saskich! Pobożny, wszędzie widzi palec Opatrzności, pości i krzyżem leży w kościele, ale równocześnie albo pisze pochwalne ody, albo w jaki inny sposób stara się „zasłużyć“ możnowładcom: despekt od nich przyjmuje się kornie oni przecież człowieka wynoszą albo zabijają — kazaliż Czartoryscy zarzucić nieszlachectwo Matuszewiczom, t. j. zasądzili ich na śmierć cywilną, i cóż to kosztowało późniejszego kasztelana, nim uchylił ten straszny cios! Przerażający zanik rozumu: wprawdzie Dylewski rozśmieszył sejm roku 1748 żądaniem, aby Żydów kastrowano, ależ tego błazna i dalej wybierano na posła i w roku 1761 on *activitatem* sejmową hamował tak długo, póki go nie wydrukowali pijarzy w kalendarzu politycznym na należnem miejscu! P. kasztelanowi w gruncie nieźle się powodziło, a mimo to jego pamiętnik nasuwa myśli tylko najczarniejsze.

Zato od wojny domowej Sapiehów z Ogińskimi aż do (niekrwawej) wojny Familji i Potockich kwitły pamflety; Lis sapieżyński i Kociel ogiński zmierzyli się jeszcze przed Olkienikami na paszkwile, niekończące się po Sylwach szlacheckich; cóż dopiero Sas i Leszczyński (który za ten figiel stracił i Śmigiel); Sas i jego metresy, piętnowane wierszydłami jeszcze dawno, zanim Pöllnitz napisał *La Saxe galante*, a ktoś inny przetłumaczył na „Zalotność saską“ (częste po rękopisach); pojedynek Tarły i Poniatowskiego; tranzakcja kolbuszowska, opiewana na wszelkie łady; nieudała próba akademji jezuickiej we Lwowie — na wszystko znalazły się paszkwile, bezimienne i rękopiśmienne, więc wyuzdane i wszeteczne, a te wywoływały odpowiedzi, przesadzające w cynizmie i prostactwie. Naśladowano wszelkie dawne formy: Zegarek, wybijający

godziny z admonicjami o marności rzeczy ludzkich, przystosowano do Augusta II, a w trzydzieści lat później znowu do Leszczyńskiego; poufałe rozmowy konfidentów, Polaka i Niemca; listy Mazura; spowiedź wielkoczwartkową jakiegoś dygnitarza czy prymasa; nagrobki pludrakom, poległym pod Kliszowem; parodję świąt (Trzech Króli) i świętych roją się od tego spółczesne Sylwy.

Ten zwyczaj wciągania aktów publicznych i prywatnych, rad Kalimachowych i rokoszu gliniańskiego, mów i listów, dni egipskich (feralnych) i środków przeciw wściekliźnie, gratulacyj i paszkwilów, wierszów i prozy do obszernych ksiąg domowych trwał dalej; ba, kasztelan smoleński, Kazimierz Niesiołowski, nawet wydrukował taką zbieraninę wyciągów i wypisów z rzeczy obcych wraz z własnemi najgłupszemi konceptami, *Otia publica vix domestica* próżnoty różne publiczne domowe... do zabawy w próżnościach nieprożnującym roku 1741 i w drugim zbiorze *Otia domestica*, drukowanym później, lecz niemądrzejszym, gdzie jeszcze najlepsze „paszport z Parnasu“ dla jego „muzy wiejskiej, wierszyków z prostego trypodu“, idących „do Zbaraskiej nimfy... w kastelu Nieświeskim najpierwszej bogini — ta nad muzami wszystkich bogiń monarchini“ (ks. Radziwiłłowa).

Takie to Silwy rerum zastępowały i publicystykę. Jeżeli gdzie, to chyba w kraju wolnym należało oczekiwać jej wczesnych urodzin, tymczasem najgorsze despocje miały już gazety, tylko w Polsce one się nie przyjmowały. Wychodził wprawdzie już w XVII wieku „Merkurjusz polski, dzieje wszystkiego świata w sobie zamykający dla informacji pospolitej“ (r. 1661, co tydzień, wydawał Jan Aleksander Gorczyn, pisarz rzeczy heraldycznych, muzycznych i ascetycznych), ale nie przetrwał pół roku; potem w Krakowie Włosi drukowali łacińskie awizy; panowie kontentowali się pisanemi gazetami, które płatni korespondenci przesyłali z Warszawy, łatając brak wiadomości niestworzonemi plotkami i skandalami. Na największą skalę takie korespondencje dla stałych, licznych abonentów utrzymywał pocztmistrz toruński Rubinkowski: jego foljanty, obejmujące kilkadziesiąt lat dziejów polskich, dostały się Załuskiemu.

Na wzór gazet zagranicznych spróbował wydawać polskie drukarz królewiecki, Dawid Zankier, pod tytułem „Poczta“ (i „Poszta“) królewiecka, od sierpnia roku 1718 do 1720, lecz zaniechał wydawnictwa, żegnając się z publicznością: „Mnie wielce mości panowie! bardzo licha była tego roku obrywka z gazetów polskich, bo barzo

mało było ichmościów, którzy się w nich kochali. Więc przyjdzie mi tego roku ich poniechać, aż obaczę, da Pan Bóg, za rok, jeżeli się IM. więcej znajdzie, którzy by chcieli polskie trzymać gazety, tedy znowu mają być drukowane". Do tego nie przyszło; wina była poniekąd i po stronie p. Zankiera, który „Pocztę" zapychał wiadomościami o rewjach w Poczdamie i Berlinie, a rzeczy polskich przynosił nieraz najmniej i całkiem nieważne, chyba o morzu, albo że nie będziemy mogli „żniwować" i to zawsze na końcu numeru; np. cała korespondencja z Poznania z 29 listopada roku 1719 opiewa tak: „w ziemi naszej nie słychać, chwała Bogu, nic o powietrzu" (nic więcej); innym razem, że (w Poznańskiem) „wszelkie podróża" ustały dla rabusiów. „Poczta" wychodziła co sobotę i miała bezpłatne dodatki osobliwszych *particularia*, np. listu króla pruskiego (do polskiego), że nie przemyśla z carem o zgubie Polski.

Pijarzy i jezuici wydawali potem, od roku 1729 i 1759, „Kurjera Polskiego i Litewskiego — ale treść obu była marna, przynosiła wiadomości o połogach wielkich pań, albo że „ordynat młody łowami prawie codzień zabawia się", o pogrzebach różnych magnifik, o „grassantach", co kamienice okradają, o wprowadzeniu cudownego krucyfiksu. Nie dziw, że „Kurjery" nie wyrugowały owych prywatnych korespondentów, których wyszydzał jeszcze w r. 1773 pijar Piotrowski w osobnej satyrze (Na gazeciarzów, fałszywe baśnie piszących), zowiąc ich „romansistami", którzy chyba od starych bab czerpią ćwierćroczne, drogo opłacane, wiadomości.

Polskie ascetyka i łacińskie panegiryki zalewały drukowaną literaturę; wyjątkowo i w łacinie pojawiało się coś odmiennego, np. *Viennis*, epopea o 1683 r., zbudowana wedle wszelkich norm klasycznych przez pijara Kalińskiego (Damascena), w dwunastu księgach i 10.000 heksametrach, poważna a nudna; albo Opera heroica Adama Ponińskiego, wojewody poznańskiego, „korony nowszych poetów polskich", jak go nazywał Janocki (obraz jego zdobił bibljotekę Załuskiego), najobrzydliwszego pochlebcy, dopraszającego się całowania chorej nogi Augusta II i sławiącego jej uzdrowienie dziękczynnym hymnem „na pociechę narodów", silącego się i na epopeę narodową (o warneńskiej), ale zdolnego tylko do opiewania „Kampanjamentu" (manewrów) i weselnych uroczystości drezdeńskich (z loterją, koguciemi zapasami, żywą piramidą akrobatów), chociaż kusił się i o satyry, zazwyczaj mdłe i bezzębne, o ileż niższe od satyr innego wojewody poznańskiego!

Innych niw poetyckich nie uprawiano. Liryka leżała odłogiem, chyba po seksternach fabrykowali, a raczej przepisywali, wiersze miłosne rejentowice i podsędkowie, przyczem najciekawsze naśladują i w języku ruskie pieśni ludowe, np.: Oj chtoż mene bude w moim żalu teszyty, Chtoż so mnoju horki ślozy pyty, Koli niet diwońki kotoruju lublu, Bo dla nieje żytie moje i zdorowie zhublu — takich bywa setki po rękopisach. Kwitła liryka religijna i tu się cisnęli co żywo autorowie starzy i młodzi, świeccy i zakonni, polscy i łacińscy. Taki łowczy mielnicki, Wojciech Kurdwanowski, w siedemdziesiątym roku życia „bierze się w parnaskich kompanją gości“, choć sam mówi sobie, „ostrożnie Wojciechu, ażebyś ludzi nie nabawił śmiechu“, żeby „rozrywać wdzięczną sobie muzą Melankolję przy paciorkach dużą, narażając się na różnych niećciwiarskich zoilów, którzy nas fryców i neoteryków otną, jak byków [1]), skoro nawet prymasowi muzy polskiej, Kochanowskiemu, nie sfolgowali i lekkomyślnie go dysydentem udali, choć to fałsz wierutny“. Zostawił wiersze pobożne, treny, chociaż obiecywał „czasem pomyślić o ojczyzny biedzie, czasem rozerwać myśli przy biesiedzie“; naśladował Sucqueta i innych jezuitów. O wiele więcej pisywał Saroński, żupnik wielicki, którego rzeczy dostawały się i do druku (Lutnia Dawida), lecz po największej części ugrzęzły w rękopisach, między niemi i humorystyczne „pieśni albo deklamacje“ na narody i stany, kozaków i żołnierzów, żupy wielickie; przeważają jednak o wiele rzeczy religijne. Ciekawsze nieco są staranniej wygładzone wiersze starosty bolimowskiego, Marcina Zamoyskiego, z roku 1715, „Passja“, epigramy na mękę Pańską, smakujące w „argucjach“ i konceptach, tak np. w Przedmowie do Krzyża świętego:

Pokaż mi, Krzyżu święty, zkąd ci moc jest dana,
Że Pan *świat* w palcach dźwiga, ty na świecie Pana?
Na czym stoisz? kiedy *ten* wisi z Pańskiej ręki?
Jak Pan trzyma, kiedy jest przybity do męki?...
Pan nad wszystkich, ale ty nad Pana mocniejszy.

Lecz takich „poetów“ była moc: różnych Flaszyńskich, mieszczan Ormian, jak Minasowicz (ojciec „poety“), Muratowicz (Alojzy, Pró-

[1]) Rzecze ktoś, takie wiersze pisze Półkozic,
Żeby mógł mydło za drugimi wozić,
I prawda, bowiem autor nie jest tanti,
Gdzieś in Zawichost podobno uczony

— żartowano z „akademików“ zawichoskich; *discuit se in Zawichost* mawiano już w XVII wieku.

żnowanie niepróżnujące, z wierszami na Dalfusów, Moków); Jakób Matjasewicz (patrycjusz lwowski, z wycieczkami przeciw Żydom, przeciw panom, na których niemasz nigdzie prawa:

Pan prawo sobie jakie chce stanowi
I wierzyć każe, co sam tylko powi);

Świątkowski, autor olbrzymiego zbioru wierszów łacińskich, Jakliński tłumacz S. Lubomirskiego na łacinę.

Jedyny między nimi talent przedstawia jezuita Dominik Rudnicki, najtęższy polski poeta zakonny po Sarbiewskim; jego „Głos wolny w wiązanej mowie“ doczekał się kilku wydań; nazwano go słusznie „złotą pracą“, bo w stosunkowo pięknej formie wabi treścią, nie tam gdzie wita „aplauzami“ różnych dostojników i dobrodziejów zakonnych, ale, gdzie poufale, po domowemu rozprawia z kucharzem Błażejem, albo natrząsa się ze żmudzkich bogactw, albo biada nad pustoszeniem Polski przez Szwedów i Sasów. Ta skromna muza zakonna schodzi całkiem na nutę ludową i w niej wyśpiewał radość uczni z powodu wakacyj, babine troski o jej koziołka, wesele ptasze i tym podobne niewybredne pomysły. Po stosach niemądrych ascetyków i panegiryków odetchniesz swobodnie przy tych szczerych, prostych, humorystycznych a zarazem bardzo patrjotycznych dźwiękach.

Od tej powodzi lirycznej odbija posucha dramatyczna; dramatu niema nawet tam, gdzieby się go oczekiwało wedle tytułu, np. „Teatrum życia ludzkiego w historycznych eschibiciach na widok publiczny wystawione“ jezuity Kwiatkowskiego z r. 1740 zawiera tylko wierszowane nowele i legendy. Dramat szkolny, dziecię martwoporodzone, hodowano i dalej, pozostały po nim stosy dialogów i intermedjów, bez wartości.

Dorywczo wystawiano sztuki i po dworach pańskich; niektóre z nich w całości lub w scenarjuszu dostały się do druku, np. sztuki grywane u Jordanów, z których „Rodian“ (t. j. Jordan) był tylko plagjatem z „Ermidy“ Lubomirskiego. Najpilniej dla sceny dworskiej pracowała wielka dama i znana literatka, **Franciszka** Ulryka z Wiśniowieckich **Radziwiłłowa**, hetmanowa i wojewodzina, oczytana jak rzadko; bibljotekę swą, złożoną z 2000 autorów (dziś w Petersburgu) znała nawylot. Już jako młodziutka mężatka pisywała do nieobecnego męża tęskne elegje i listy poetyckie. Na teatrze nieświeskim (w imieniny familji hetmańskiej, na przyjazd gościa, np. kanclerza Sapiehy), od roku 1746 — 1752, wystawiła szereg oryginalnych i tłumaczonych z francuskiego komedyj, tragedyj i oper, które wy-

dał pierwszy amant tego teatru, kapitan Fryczyński, w roku 1754. Najciekawsze są tu miedzioryty, ze scenami i okalającem audytorjum, gdzie dziwnie kontrastują z francuskim „rożenkiem“ i perukami wygolone łby z serpentynami u boku. Same sztuki nieciekawe, nierówne (jeden akt ma dwie, drugi 17 scen), klecone byle jak, tak drastyczne w wysłowieniu, że się wierzyć nie chce, by to wystawiano przed młodemi księżniczkami (np. drze mi ucho małżeństwo, jak pomyślić, że z jednym i t. d., a są i dosadniejsze rzeczy!), wierszem i prozą, językiem nieraz wcale twardym. Tłumaczone odróżniają się natychmiast fakturą i tętnem dramatycznem. Treść brała Radziwiłłowa z „Siedmiu mędrców“ (np. Niecnota w sidłach z „Rycerza“), z nowel Morsztynowych (Gryzelda; Cymon), z mitologji, z bajek — w jednej wprowadza Solona, aby chwalił polskie „trzy stany: tron, senat, buławę“. Francuskie stosunki przekładała na polskie, więc wywodziła córki „szlachcica powiatowego Gorgibusa“, którym czytanie romansów poprzewracało główki, brzydzące się swych imion: Kasia, Magdusia, „tym dźwiękiem najpiękniejszy romans wraz się spryska“, niechcące słyszeć o zwykłych oświadczynach i natychmiastowych ślubach:

Przepadłby romans prędko Mandany nadobny,
Cyrus by się ożenił bez żadnej przygody,
Arons by wziął Klelię z fortun i urody.
Tak by się awantura Baneluki zniosła,
Bez przygód amorycznych w port płynąc bez wiosła.

Teatr nieświeski przetrwał zgon księżny, przemienił się na nawet z dyletanckiego w nadworny, r. 1761 wystawiał Woltera i Moljera i obie tragedje W. Rzewuskiego.

Większy talent poetycki wykazała pierwsza znakomitsza autorka polska, **Elżbieta Drużbacka**, chociaż brak jej ogłady i oczytania księżnej pani. I ona pisała dla siebie i wybranej publiczności, jak wszyscy inni literaci, ceniący pióro i pracę, i nie jej to zasługa, że znaczną część jej rymów wydano jeszcze za jej życia. Znała głównie literaturę polską, więc zgóry była skazana na niedoskonałość formy i kompozycji, na przewagę dydaktyki i alegorji, na nierówność języka i chropawość wiersza. W przeważnej części produkcji literackiej naśladuje Chróścińskiego i Potockiego, do którego podobna i życiem — owdowiała rychło, potraciła dzieci i wnuki, tak, że wkońcu cofnęła się w zacisze klasztorne. Rymuje więc biblję i legendy: „Opisanie życia świętego (?) Dawida“ — niby „Józef“ Chróścińskiego; „Historja św. Marji Egipcjanki“,

„Św. Marja Magdalena“ — jak „historje“ Jabłonowskich, Jezierskiego i tylu innych. Rymuje dalej alegorje i romanse, niby Argenidę i Syloreta, w „Fabule o księciu Adolfie dziedzicu Roksolanji“ (alegorja fortuny i śmierci, której nie ujdzie i Fortunat); w „Fortecy od Boga wystawionej, pięcią bram zamkniętej“, t. j. duszy ludzkiej z pięciu zmysłami; w opisie Arkadji (i szczęśliwego pożycia małżeńskiego); w bajce mitologicznej Cefal i Prokris; w romansach, „Historji chrześcijańskiej księżny Elefantyny i Eufraty“ (i jej córki Astelli między poganami); nakoniec w romansie o przygodach Teolindy (córki wodza Ortobana) i jej przyjaciółki. Oprócz tych romansów duchownych i świeckich pisywała panegiryki dla Branickich i innych rodów, u których gościła, wiersze okolicznościowe i satyryczne i t. d.

Nowym pierwiastkiem, który wniosła do poezji, była opisowość, obca dawnej poezji polskiej, która zajmowała się tylko ludźmi i ich czynami, a chyba w krótkich wierszach określała miesiące, pory życia ludzkiego, albo już od roku 1550 wysławiała rozkosz ziemiańskiego żywota. Jeden z najudatniejszych jej wierszów, to „Opisanie czterech części roku“, gdzie się wprawdzie nie obeszło bez mitologji i personifikacji — zaczyna od nich każdą część, ale gdzie z pewnym wdziękiem oddała zajęcia gospodarcze i życie przyrody. Pendant do tego, „Opisanie czterech elementów szkodliwych i pożytecznych“, wypadło słabiej, bardziej wymuszono i sucho. „Pochwała lasów“ zakrawa na sielankę pasterską. Z wędrówek zaświatowych, ascetycznych czy romansowych, autorka oparła się na ziemi rodzimej i wydała prostsze, prawdziwsze tony; podobnie trzymała się rzeczywistości w listach poetyckich i satyrycznych, czy o rzeczach potocznych czy o znaczących dziełach i ludziach. Dziękowała więc założycielowi bibljoteki narodowej, że budzi „ociężałe snem Polaków głowy“; biskupowi krakowskiemu, że kładzie koniec egzorcyzmom djabelskim, prosząc go jeszcze: wyżeń upiry z Polski, o których mnisi bają.

Nie nauka, nie wzory, ale takt kobiecy i kobieca żywość ustrzegły ją, jak inne kobiety, od przesady i maniery autorów męskich. I ona coprawda nie ściera cech wieku ani z myśli, ani z treści, ani z formy; i ona robactwo nazwie „ciała possesorkami“; i ona grzeszy płaskością wymysłu i trywjalnością wyrażenia; mimo to jednak odczuwa dzikość ówczesnego stylu, który się już cofał z mów i listów do szkoły; zbytnią uniżoność (adorację) w mowie i piśmie; rażą ją nietrefne słowa, wymykające się nawet damom

(na co już uważano w XVII wieku, na ten temat Potocki przytoczył jedną z lepszych fraszek).

Stanowisko jej jest całkiem kobiece, więc rozmyśla i o miłości, którą dawniej pałali mężczyźni, gdy teraz hołdują jej chyba kobiety, i o pożyciu małżeńskiem, przyczem płci swojej wytyka wady, strojnisiostwo lub gonienie za rozrywkami. Pomijano tylko jej moralizujące elegje, nieco mdłe i zawiłe, zato podobały się inne rzeczy, skoro ona pierwsza po długim czasie odniosła sukces literacki — przynajmniej wydawca jej pism twierdził, że edycja foljantu w kilka lat rozeszła się zupełnie. Talentu dowodziło i to, że postępowała widocznie, pisywała tem składniej i łatwiej, im później; znalazła wielbicieli, do nich należał Krasicki, wydawca niektórych jej rzeczy. Chociaż całkiem zwrócona ku przeszłości, z niej wyłącznie czerpała myśli i słowa, owiewał ją przecież duch nowszy; większa prostota, szczerość i żywość nadawały lekki rumieniec utworom bladym i martwym.

Gdy tak Drużbacka raczej instynktownie, niż świadomie, zwiastowała zwrot ku lepszemu, wydobycie się z martwoty, zastoju i zaśniedziałej rutyny, w tym samym kierunku, ale świadomie, z rozmaitemi wynikami na rozmaitych polach, z rozmaitą miarą sił i talentu, pracował coraz liczniejszy szereg mężów, którzy, zaczerpnąwszy świeżego powietrza w Europie, pragnęli odświeżyć i rozświecić domową stęchliznę i ciemności egipskie. Takich nie brakło nigdy; nadto ściśle splótł się organizm polski z zachodnim, aby nie odczuwać jego tętna, nie wtórować mu wkońcu, acz w spóźnionym i mierniejszym ruchu — poza poziom hiszpański, włoski czy austrjacki i Polska nigdy nie upadła, chociaż, razem z temi ofiarami katolickiej reakcji, postradała dawną świetność i siły.

Francuskie życie umysłowe wybiło swą cechę na tych przodownikach na polu literatury, kultury i polityki — przy dominującej w Europie francuszczyźnie, poprzez Niemców, o których wiedziano bardzo niewiele, chociaż graniczyli o miedzę; Wersal i Paryż, Molière i Racine, Boileau i Rousseau (liryk), francuscy kaznodzieje i autorowie ksiąg pobożnych, wcześnie znaleźli drogę do Polski.

Wpływy francuskie ułatwiał „filozof dobroczynny", **Stanisław Leszczyński**, tytularny król Polski, jednak nierównie rzeczywistszy król Polski na polu umysłowem, niż malowani Sasi. Jak się czasy zmieniały, dowodził choćby fakt, że ten, który w poezji należał do

najniezdarniejszych, grzebiąc się w zapadłych kątach ascetycznych, prozą pisał tak mądrze i poprawnie, jak nikt może ze spółczesnych, i nie chce się wierzyć, że „Głos Wolny“ i „Historja Starego i Nowego Testamentu“ wyszły z pod jednego pióra. „Głos Wolny wolność ubezpieczający“, napisany rychlej, wydany późno (w roku 1749), to najmędrsza rzecz polityczna z czasów saskich; nie burzy wszystkiego, trzyma się w granicach możliwości, liczy się ze stanowemi załogami — utopje polityczne uprawiał autor osobno — ogranicza tylko wybujałości *Liberum veto*, nie znosząc wprost ani jego, ani elekcji; w dobrze zrozumianym interesie samych panów stara się o zwolnienie chłopskiego jarzma, o zastąpienie pańszczyzny oczynszowaniem.

Straszne zubożenie Polski, wiejska i miejska nędza, wywołały „Anatomję“ Garczyńskiego, wojewody kaliskiego, poświęconą głównie kwestjom ekonomicznym. Polityczne materje traktowali jeszcze ostrożnie Karwicki (po łacinie i polsku) i Poklatecki (Radzewski), dogadzając miłemu wrzodowi, nierządowi, odbierając, jak Karwicki, prawo nominacji królowi (dlatego Branicki w swym memorjale chętnie go cytował), a Poklatecki uważał za szczyt mądrości przodków, że przeciw królewskiemu ołtarzowi wystawili hetmański. Wszystkich tych statystów prześcigał „Głos Wolny“ i formą (w pierwotnej redakcji jeszcze dowcipniejszą, niż w późniejszej), wolną choćby od cytacyj, zagęszczonych w Garczyńskim, i więcej się strzegącą makaronizmów, a przedewszystkiem zaś myślą, obejmującą kwestje polityczne i ekonomiczne, bijącą przeciw nieodpowiedzialności ministrów, dążącą do podniesienia siły zbrojnej — nietylko do 12.000 żołnierza, jak u Karwickiego. Jednak „Głos“ nie znalazł żadnego odgłosu.

Inne broszury polityczne, pisane nieraz dowcipnie, nieraz bardzo mądre, zwykle dotykały jednej głównej kwestji, np. „Rozmowa ziemianina z sąsiadem“ z roku 1733 toczyła się około rozdawnictwa buław; pomijamy moc broszur i pamfletów w sprawach elekcji 1733 r. (między niemi i prace Konarskiego); najmędrsza rzecz, to „List ziemianina“ Stanisława Poniatowskiego (ojca) z roku 1744; głównie miał na oku aukcję wojska, chociaż poruszał nieodłączne kwestje ekonomiczne, protestując przeciw uciekaniu młodzieży do klasztorów, żądając wolności dla obcych wyznań.

Jednak żadne z tych pism nie wskazywało właściwej grozy sytuacji, i nawet najlepsze zamiary reform musiały odtąd spełznąć

na niczem, gdyż Polska już nie stanowiła o sobie; już jej punkt ciężkości przeniósł się zagranicę; już obce dwory gwarantowały i strzegły nierządu, wygodnego dla ich widoków na przyszłość; więc niedojście sejmu, na który ów „List“ wygotował Poniatowski, powitali agenci pruscy, jako walną wygraną, a niedochodzenia sejmów pilnował byle kto, zrywali je choćby Żydzi, uchodząc przed większemi podatkami (przez podstawione subjekta). Nie było Polaka, któryby gorzko nie utyskiwał nad zrywaniem sejmów; również nie było takiego, któryby zwalczał na serjo tę hydrę. Powtarzało się to, co od dwu niemal wieków z powszechnem wołaniem „zginiemy“ — już w roku 1585 zauważył słusznie sędziwy prymas (Karnkowski w wotum senatorskiem): „zginiemy“ jest to głos złego sumienia, któreby podobnie rade widziało to, co mówi. Więc i na zrywanie sejmów sarkali wszyscy, ale nikt, ani dwór, ani Czartoryscy, ani Potoccy, cóż mówić o znarowionej szlachcie, nigdyby się nie wyrzekli arcywygodnego środka; każdy milcząco zastrzegał sobie to „prawo“ w widokach partyjnych czy osobistych, a sarkał na innych.

Dopiero **Stanisław Konarski** w czterotomowym „Skutecznym Rad Sposobie“ podważył z gruntu to bezprawie; że aż tak olbrzymiej machiny potrzeba było nato, czego, jeżeli nie patrjotyzm i rozsądek, toć sama najpospolitsza praktyka życiowa gwałtownie się domagała, dowodziło najlepiej, jak głęboko w naród szlachecki wkorzenił się wrzód, staczający jego ostatnie zasoby. Przekonywujące dzieło światłego pijara, mimo powszechnego oburzenia, które wybuchło przy pojawieniu się pierwszego tomu, na „mnicha“, mieszającego się w rzeczy świeckie, torując drogę w lesie umysłowej anarchji, wieńczyło tylko poprzednie usiłowania autora, który zdążał ku wytępieniu barbarzyństwa i ciemnoty wszelkiego rodzaju. Konarski przejął się był zagranicą, we Włoszech, Paryżu i pod bokiem Leszczyńskiego, pogardą „sarmatyzmu“ w wymowie, szkole i polityce i po powrocie do kraju rozpoczął owocującą pracę. Pisywał po łacinie, choć dotykał rzeczy polskich, np. stylu „jezuickiego“, jak go już chrzcili spółcześni, albo „dzikiego“, żądając w dziełku *De emendandis eloquentiae vitiis* powrotu do trzeźwej, rozumnej, chędogiej wymowy, wyzbycia się napuszoności i szumu, czystości językowej, skażonej niezliczonemi obcemi wlazami. Tem oburzył jezuitów, rywalizujących z nowym (stosunkowo) zakonem, zarzucających autorowi to, co najwięcej w Polsce popłacało, targnięcie się „na miłych ojców“ i nawet wiarę.

Wraz z walką przeciw skażonej wymowie, w oczach ludzi mędrszych dawno rozstrzygniętą (już w czterdziestych latach wyśmiewano styl „jezuicki“ w listach i mowach, i bez Konarskiego — jego łaciński napad burzył tylko ostatnie jej schronisko, szkołę), rozpoczął walkę o nową szkołę, o nowy, lepszy tryb nauczania. I tu nie był żadnym oryginalnym czy radykalnym burzycielem rutyny jezuickiej; to, co widywał zagranicą, w rzymskiej szkole samych pijarów, w szkołach francuskich, przenosił do ojczyzny, stosując się do sfery sarmackiej. A więc łacina zatrzymała górującą rolę, ale obok niej i nowsze obce języki, głównie francuski, i język krajowy doczekały się większego uwzględnienia, wraz z innemi przedmiotami, historją, geografją, dotąd traktowanemi niesamoistnie, uczonemi przygodnie przy autorach. Za przykładem francuskim, na który niegdyś sarkano w Polsce (np. Łukasz Opaliński w „Barklaju“), wprowadził do konwiktu szlacheckiego, *Collegium nobilium*, które zakładał w Warszawie z największym nakładem sił materjalnych i moralnych, walcząc z jezuickim i konserwatywnym oporem, nauki i ćwiczenia towarzyskie, tańce, szermierkę; nawet teatr szkolny miał mu służyć za narzędzie reformy obyczajowej, obok samych wypracowań piśmiennych czy dysput, w których tezy etyczne i patrjotyczne zastąpiły scholastyczno-gramatyczne przedmioty, walkę „czasownika“ z „rzeczownikiem“ i „propozycje“ o *videor*.

Nie był to przypadek, że właśnie od pijarów, a nie od jezuitów wyszedł przeobraziciel planu szkolnego w nowszym duchu; tradycja i rutyna bardziej przygniatały jezuitów. W ich teatrze szkolnym panowała taż sama rutyna, którą przełamał Konarski, wprowadzając role kobiece (choć grane przez chłopców) i czerpiąc wprost z klasyków francuskiego repertuaru. Corneille miał oddawna wielbicieli, znajdował tłumaczów: Aleksandrowicza, Czosnowskiego i innych, poczynających sobie z tekstem nieraz wcale dowolnie; Konarski wystawił na scenie swego *Collegium Nobilium* w r. 1744 Ottona, odmieniając również tekst, potem Polyeukta i in., następnie sam napisał w podobnym stylu „Epaminondę“. W argumencie Ottona tłumaczył się z wprowadzenia ról kobiecych, gdyż dramaty „nigdy jeszcze bez interwencji osób białogłowskich od rozumnych i na swym się znających rzemiośle pisane nie były“. Spotkał opór: jezuita Jan Bielski, autor najlepszego szkolnego podręcznika dziejów i ustroju ojczystego („Widok Królestwa Polskiego“, dwa tomy, 1763 r.), napisawszy kilka tragedyj, bronił dawnego trybu,

w przedmowie do „Zeyfadena króla Ormuza“, lecz za przykładem danym przez Konarskiego, niebawem poszli sami jezuici, i jezuita Bohomolec, choć na mniejszą skalę mógł sięgać po zasługi pedagogiczno-literackie Konarskiego, na polu dramatycznem powiększył je znacznie. Gdy dramaty Konarskiego, pisane białym wierszem, ciężkie i suche, acz przejęte patrjotycznym duchem (Epaminondas cierpi heroicznie wszelkie prześladowania, oponując się zgubnemu prawu), nieco blade, nie trafiały do szerszych kół, komedje **Bohomolca**, przerabiane z Molière'a, pierwsze znalazły licznych czytelników, budziły gust publiczności, przysposabiały glebę pod przyszły teatr narodowy. I one wprawdzie pierwotnie były przeznaczone przez autora dla szkoły, ale już od r. 1755 zaczęły wychodzić ich zbiorowe wydania („Komedje“, cztery tomiki, w roku 1755–1758). Sprawiały „autorowi“ niemało kłopotu; z uczonych „kobiet“ porobił „mężczyzn“ i zgóry zniweczył efekt komiczny; zamiast wprowadzać kobiety, kazał o nich tylko opowiadać; kochanka, śpieszącego do lubej, coraz to wstrzymywanego przez „natrętników“, przemienił w siostrzeńca, dobijającego się od wujaszka rozmowy o subsydjach; w *Bourgeois-gentilhomme* woźnica, zbogacony przez loterję, dobijał się nie romansu z markizą, lecz tytułu hrabiowskiego i rangi admiralskiej. Jak mógł, omijał poczciwy „Rusak“ szkopuły „amoryczne“, ale usunął dawne intermedja i pierwszy zaopatrzył czytelników w lżejszą lekturę. W „Zabawkach poetyckich“ i „Zabawkach oratorskich“, które wydawał imieniem młodzi kolegjum jezuickiego (r. 1755 i później), umieszczał obronę języka polskiego przeciw makaronizmom, nawiązując do Kochanowskiego i do tradycji szesnastego wieku; kazał „retorom“ swoim rozprawiać przeciw cudzoziemcom, aby im się nie pozwalano mnożyć w Polsce i za nimi; dowodzić, iż handel szkodzi honorowi szlacheckiemu i za handlem i t. d.

Ruch pedagogiczno-literacki, któremu Konarski dał początek, szerzył się statecznie; ale to tylko jedna, choć w skutki najbogatsza strona obywatelskiej działalności znakomitego pijara. Przyłożył on już przed laty rękę do zbiorowego, zupełnego wydania praw polskich *(Volumina legum);* zajmowały go bardzo sprawy polityczne, choć sukienka zakonna wykluczała go od „publiki“, i przełożeni, bojąc się o interesy zakonne, wprost zakazali mu mieszania się do polityki i w ten sposób zmusili go do wyłącznej pedagogji. Nie biorąc sam udziału w machinacjach sejmowych, tem gorzej bolał jako oddalony widz nad zaślepieniem ziomków. Już od lat

kilkudziesięciu żaden sejm nie dochodził, każda najprostsza i najzbawienniejsza reforma, uchwalona przez sejm jednomyślnie, upadała wraz z samym sejmem. Niemożliwość, niebezpieczeństwo takiego trybu tak raziły wszystkich, że pojawiały się przesadne wyobrażenia, jakoby jeden doszły sejm mógł już zbawić Polskę. A więc autor „Myśli w teraźniejszych okolicznościach Rzeczypospolitej“ (r. 1756), hetman Rzewuski, gratulując ziomkom, że król ich uchronił od burz wojennych, pytał, czy to nie spokój przed burzą; jakby jej też zapobiec? Powiększenia wojska, dochodów, handlu wyczekiwał od jednego sejmu; gdy ten i dalej dochodzić nie będzie, konstytucja a z nią wolność musi ulec zmianie. Ten sam hetman w swej komedji każe sławić Polskę „Dziwakowi“, lecz dodaje:

jak tych już mało,
Którymby doszłe sejmy widzieć się dostało!
Wszak to już po dwudziestym rok piąty nastaje,
Jak się każdy sejm zrywa, żaden nie udaje.

Przeciw potworowi i zmorze *Liberum veto* wystąpił Konarski i, wysondowawszy grunt w pierwszym tomie, poparty moralną powagą różnych znakomitości, których listy i aprobaty przedrukowywał, w trzech następnych tomach przynajmniej w teorji na zawsze sprawę załatwił. Przeszedł mianowicie historję sejmowania polskiego i przy każdym sejmie wykazał, czyje to fakcje czy korupcje go zerwały, jakie to pobudki kierowały „cnem niepozwalam“; potem rozbierał wszelkie, przez innych statystów podawane, racje, które nie radykalnie, lecz półśrodeczkami i przemycaniem, wkorzenione zło zamierzały goić, a raczej na nowo je wprowadzać i wykazywał ich nieskuteczność; przechodził obce konstytucje, angielskie i inne, na dowód, że nic podobnego gdzie indziej nie istnieje; wreszcie usuwał błąd historyczny, jakoby *Liberum veto* należało kiedykolwiek do praw złotej wolności miłych przodków, wykazując, że się w sejmowanie polskie wkradło tylko praktyką, cichaczem, uzurpacją, nie zaś legalnie.

Konarski wychodził albo udawał, że wychodzi z zasady, że Polska jeszcze jest panią we własnym domu, chociaż w obrębie Rzeczypospolitej gospodarowali oddawna, jak się im podobało: Münich i Repnin (ojciec posła), albo Fryderyk II, i nikogo o to głowa nie bolała. Rzeczpospolita „stała nierządem“ (jeżeli to się zowie „stać“, cóż znaczy „upadać“ — pytał słusznie jeszcze Konarski), t. j. umarła i zapomniała się tylko obalić, jak najspokojniej

mawiali inni; słyszano złowrogi trzask, lecz ani się domyślano, że Rzeczpospolita nie stoi już o własnej sile, że burza zewnętrzna natychmiast ją przewróci; że więc już daremne były wołania o naprawę i reformy; że po sejmie niemym, nie dopiero w roku 1744 lub którymkolwiek późniejszym *Venit summa dies et inevitabile fatum.* Dźwigały się wszak narody z upadków o wiele gorszych — przecież *de nomine* Rzeczpospolita była niezawisłem państwem, ale pod warunkiem zgodnego, jednolitego, konsekwentnego działania, niemożliwego w Polsce, gdzie, jak słusznie zauważył nawet Turek, prędzejby 30.000 głów nakrył jedną czapką, niżby je przyprowadził do zgody. Nawet Francja, choć się zupełnie wycofała ze spraw polskich, tem bardziej potencje północne, nie dopuszczały naprawy Rzeczypospolitej!

Konarskiemu, *sapere auso,* jego dzieło przyniosło wielki zaszczyt, chociaż ledwie otworzyło oczy znarowionemu narodowi szlacheckiemu, poświęcającemu sprawę ogółu prywacie; jeżeli można było usunąć „Niepozwalam", nie usunięto już fatalnych skutków zatrucia organizmu tym jadem. Przecież słodzono je sobie od wieków, wynajdywano dlań najponętniejsze sofizmy — ponieważ jedno ciało stanowimy, musimy postępować jednomyślnie — tak Matuszewicz wprowadzał żądanie *unanimitatis,* nawet tam, gdzie dotąd rozstrzygała *pluralitas votorum!* Odpowiadało to duchowi „narodowemu", że dla mylnego wydrukowania tytułów jakiegoś błazna można było zahamować funkcjonowanie jedynej organizacji państwowej; ba, sama szlachta w instrukcjach sejmikowych kładła nieraz głupie partykularja *sub discrimine activitatis,* groziła więc zgóry, w Proszowicach czy Latyczowie, zerwaniem walnego sejmu warszawskiego czy grodzieńskiego! Zresztą, gdyby nawet sejm był doszedł, jego uchwały nie obowiązywały nikogo; jeżeli już w 1514 roku, za Zygmunta Starego, szlachta drwiła z jednomyślnej uchwały walnego sejmu, a przez króla została za to tylko upomnioną, któż byłby się troszczył o sejm w roku 1744?

Wiekowa anarchja wyżarła więc każdą myśl polityczną; literatura polityczna, głos wołającego na puszczy już w wieku XVI, za Sasów przebrzmiewała tem mniej słuchana, w zrezygnowanej apatji, w kwietyzmie, letargu, które coraz widoczniej ogarniały naród szlachecki, o wiele niebezpieczniejsze, niż jawne przekupstwo i zdrada.

Rosły jednak zasoby kulturalne. Francja, jak i jej słabo podtrzymywany pupil, król Stanisław, przegrała sprawę polityczną,

wygrała zaś umysłową; ani „Kundys“, jak go nazywali mili Mazurowie, ani Leszczyński nie zajęli tronu polskiego, który w dziełach sztuki, w polorze, obyczajach, literaturze, mowie miał jednak przypaść niepodzielnie Francuzom; szerzenie się francuszczyzny stało się wybitną cechą już za Sasów. Wprawdzie Konarski, który młodością i własnem wychowaniem tkwił jeszcze w najgrubszym makaronizmie i panegiryzmie i sam otrząsał się z niego powoli, i to nie we własnych listach, grzeszących dawnym nałogiem, uczył się już od Francuzów i ich naśladował, lecz, zwrócony jeszcze głównie ku łacinie, pisał ody i dzieła łacińskie. Jedynie rzeczy, przeznaczone dla najszerszych kół, przebierał w szatę narodową. Ale obok niego byli inni pracownicy, światli, czynni, poświęcający się, biorący rozbrat z tą łaciną lub wyjątkowo się nią tylko posługujący.

Najznakomitszy między nimi, z nikim nieporównany, wyjątkowy objaw w umysłowości polskiej, dziwny, pełen sprzeczności, nie bez słabostek, a mimo to człowiek wiekopomnej zasługi, niestrudzony i niezrażony to — **Józef Jędrzej Załuski.** Familja wzniosła się świeżo, po Jabłonowskich; liczyła wielu dygnitarzów kościelnych; kanclerz, Andrzej Chryzostom Załuski, wydał obszerny zbiór listów (i niby listów), rozświetlający dzieje z końca XVII wieku i na wygnaniu królewieckiem tłumaczył nieskończone ascetyka francuskie i jezuickie. Inni Załuscy mieli także literackie zakusy, byli bardzo światli, jak biskup krakowski, który marzył o filozofie Wolfie dla Krakowa i przesyłał mu książki brata; wszystkich jednak prześcignął referendarz koronny, późniejszy biskup kijowski i eksulant w Kałudze. Niewiadomo, co więcej u niego podziwiać. Nie było na świecie nikogo, ktoby sam jeden zgromadził kiedykolwiek więcej książek, ktoby więcej przeczytał, ani ktoby się odznaczał taką pamięcią. Rzadko kto był też czynnym na więcej polach: jako wydawca wszystkich możliwych autorów dawnych i spółczesnych; jako bibljograf, który objął całą dawną literaturę; jako budziciel ruchu umysłowego towarzystwami i „akademjami“; jako pisarz wierszem i prozą, krytyk i poeta, historyk i satyryk; jako założyciel największej bibljoteki na Wschodzie europejskim, któremu zawdzięczamy ocalenie tylu polskich rękopisów, skazanych niechybnie na zagładę, gdyby Załuski nie był ich wyprosił, skupił lub dostał. On jeden starczył swemu narodowi i za akademję i za bibljotekę; on sam podołał temu, co gdzie indziej robiły dziesiątki; nawet najlepszy słownik polski, Troca, urósł jego pracą. Zebrał on kilkakroć stotysięcy druków i rękopisów, a przejrzał każdy, podał

jego treść i wartość, choć u bibljomana przeważał wzgląd na rzadkość, którą oznaczał krzyżykami i gwiazdkami, gryzmoląc na tytułach najcenniejsze uwagi, z których w tej książce nieraz korzystano.

Jego pięćdziesięcioletni zawód literacki przechodził rozmaite fazy; zamłodu pisywał wiersze, fraszki, facecje, z których później drukował wybrane; próbował sił w historji i obalił autentyczność rokoszu gliniańskiego; tłumaczył i pisał oryginalne dramaty, których treść nieraz przypominała nadto widocznie dawny dramat szkolny (np. dramat „Witenes“ o cudzie z hostją św., podeptaną przez Litwina i mszczącą zniewagi); on to przetłumaczył ów dramat Diderota, „Nędzę uszczęśliwioną“, który posłużył za libretto pierwszej operze polskiej („Obraz nędzy ludzkiej“, tragikomedja wedle Diderota, wydana „nakładem Towarzystwa litteratów w Polsce ustanowionego“ roku 1768 „pod niebytność — !! — autora“, który nb. układał w Kałudze psalmy wygnańcze w najcięższem udręczeniu). Jedno z jego ciekawszych pism, to „Próba pióra nowego w trzech starych satyrach“, przeróbka „Wodopija“ (Boileau), zastosowana do Polski, z dodatkiem własnych wierszów, w których objawiał się humor staropolski, choć strasznie niewybredny, w okazach, godnych Potockiego, Kochowskiego i Paska. Niektóre wiersze malują stosunki literackie; gdym wiersze pisać zaprzestał, strofowali mnie przyjaciele, gdym na ich nalegania do pobożnych i poważnych się zabrał, ganili je: to zabawy mnisze, aż nadto psalmików mamy w naszym języku; gdym tłumaczył satyry, Owena, i to się nie podobało, więc dałem pokój:

Wierszów niezheblowanych mam jeszcze szufladę,
Świat ich nie ujrzy, chyba, gdy z niego odjadę!

wyliczał poetów dawnych (ukochanego Kochanowskiego) i nowszych:

Wszak i wiek teraźniejszy zaszczyca Dębowski
Wiceprimas, i Wielki Koniuszy Myszkowski,
Z rodzonym swoim bratem, zacnym Wielopolskim,
I Drużbacka w Parnasie nowa muza polskim.

Swoim przykładem dowodził, że najtrudniejsze rzeczy można wyrazić rytmem polskim, „byle kto nie żałował strawionego czasu, poskrobanej głowy i pogryzionych paznogciów“; już to pan referendarz nie miał żadnego smaku, chociaż w zawody tłumaczył Francuzów (ody Rousseau), zwrócony całkiem w stronę „tłustego“ wiersza, Potockiego, i „zatoczystego, gładkiego“, Morsztyna.

Jego cztery tomy „Zebrania rytmów przez wierszopisów żyjących lub naszego wieku zeszłych pisanych“ obejmowały wiersze Drużbackiej, własne, Minasowicza i innych (od r. 1752); poprzedziła je Bibljoteka polska, w której wydał „Argenidę“ Potockiego, i „Bajki“ Jabłonowskiego. W „Bibljotece“ łacińskiej wydał konspekt poetów polskich i ich dzieł, a smutne więzienie kałuskie znosił, układając napamięć w białych wierszach „Bibljografię poetów, historyków polskich“, jakich zostawił w Warszawie.

Mimo olbrzymiej wiedzy i rozległych stosunków z zagranicą, tak jak w rzeczach smaku nie zrzucił staropolszczyzny, tak i w rzeczach wiary, naśladując stryja, biskupa warmińskiego, pozostał fanatykiem i przypłacił to ciężkiem więzieniem, dopiero w tem więzieniu okazując nieugiętość charakteru. Sama możliwość takiego typu w Polsce dowodziła wysokiej, dawnej, dobrej uprawy tej ziemi.

Do najbliższego grona Załuskiego należeli Minasowicz, kanonik kijowski, Ormianin, nieznużony wierszopis, zdolniejszy, niż Załuski, który jego wierszów nie mógł się wychwalić i wszystkiemi siłami promowował autora; i Sas Janocki (Jähnisch), którego Załuski sprowadził z Drezna i zrobił bibljotekarzem — pierwszy to polski bibljograf, zdający sprawę z drukowanych i rękopiśmiennych rzadkości bibljoteki, prawiący o autorach i dziełach spółczesnych, trybem wieku nie skąpiąc nikomu najwyższych pochwał. Obaj byli pożytecznymi pracownikami — Janocki, kładąc podwaliny bibljografji polskiej, Minasowicz, budząc tłumaczeniami życie literackie, sięgając jeszcze głęboko w czasy Stanisława Augusta, uprawiając wszelkie pola, próbując sił wraz ze swoim mecenasem nawet w makaronach, zresztą wykazując już nowszy smak i większą ogładę.

Obok tych niemal przybocznych, literackich sekretarzów, Załuski miał stosunki ze wszystkimi poważniejszymi statystami wieku. Głównie cenił biskupa płockiego, Antoniego Dembowskiego, który zamłodu pisywał poważne i żartobliwe wiersze (jeden z nich drukowany p. t. „Punkt honoru“, satyra o jego fałszywem pojmowaniu), a potem zabrał się do politycznych opisów Polski; te *Mémoires sur le gouvernement de Pologne,* tłumaczone na niemiecki i rosyjski, dopełniają niby dawniejszych opisów autorów-Prusaków, Brauna i Lengnicha. Załuski utrzymywał stosunki z uczonym Udalrykiem Radziwiłłem, wielkim koniuszym litewskim, który chyba po matce, Zawiszance, odziedziczył talent i gust do literatury nadobnej, chociaż w druku występował rzadko (są jego utwory w Zebraniu rytmów i gdzieindziej, np. „Oda animująca monarchów

wojujących do pokoju", napisana przed zawarciem tegoż pokoju w Hubertsdorf; „Słowo nic w swojej przyzwoitości opisane", rzecz niesłusznie ośmieszona, zabawka filozoficzna na temat „Nica", z którego autor dowodzi nawet istnienia Boga). Najwięcej utworów pozostało po rękopisach, między niemi tłumaczenia tragedyj francuskich (Medei „Korneljusza") i komedji „Ezopowej" (Boursaulta), ze znakomitym białoruskim ustępem, gdzie „Piero" skarży się na Żakieta, gdy

Pościeroh sia, że Żakiet zadrwiw, że nielohko
Sam śmietanu wziaw, mini zostawisz małoko...
Oś ja durnyj w takoje licho zapłutawsia,
I pa prawdzie skazauszy Ciabie prosić muszu,
Niech jon wezmie da siebie krauku i ciałuszu...

Pisał i satyry, opierając się na francuskich, stosując je, jak Załuski, do rzeczy polskich, nietylko przeciw starym zalotnikom (w formie dialogu), przeciwko krytyce i modom, ale i przeciw dworowi i dworskim, przeciw obmówcom, bijąc na Sasów u dworu, na Brühlów i spółkę i ich uroszczone tytuły; oprócz tego napisał dyskurs o szczęśliwości życia i o mizerji ludzkiej; trudy pisania dzieliła z nim żona, przekładając wierszem polskim z francuskiego „Wyroki życia ludzkiego" (dla nauki własnych dzieci).

Między tymi poprzednikami panowania francuszczyzny najwyżej stanął hetman wielki koronny i kasztelan krakowski **Wacław Rzewuski**, przedostatni z szeregu najwyższych dygnitarzów, trudniących się literaturą. Oprócz mów i listów wydał Zabawki wierszem polskim pod imieniem syna Józefa w r. 1760. Prócz wierszów opisowych (gaj, łąka i t. d.) i dydaktycznego „O nauce wierszopiskiej", zbiorek ten mieścił dwie komedje i tragedje w stylu francuskim z zachowaniem jedności akcji, czasu i miejsca (o co Radziwiłłowa nigdy nie dbała), stosując je po raz pierwszy w rzeczach oryginalnych, narodowych.

„Dziwak" rozgrywał się „w Domkowcach na Polesiu"; dziwakamizantropa, niezadowolonego ze wszystkich i wszystkiego, leczyła miłość; „Natręt" w Warszawie, gdzie natrętnego, zadłużonego zalotnika, udającego bogacza, Umizgalskiego, wysadzał Statecki ze względów Modesty i Staruszkiewicza; komiczne role służących łagodziły nieco jednostajność sztuki; język poprawny i gładki, choć przewijają się „dam se radę" i „wybij se to z głowy". Wyżej wznoszą się obie tragedje, pierwsze z dziejów polskich, Żółkiewski i Władysław pod Warną; autor, „dla ułagodzenia przerażającej żalem tragedji"

za przykładem francuskim, wplótł romans Złotopolskiego, zaręczonego z Praksedą, córką wojewody Gracjana, podczas gdy zazdrość siostry, Salomei, i zdrada Tomszy „obraz serc złymi żądzami zepsowanych wystawią oczom *czytelnika*...“ W Władysławie „serc zepsowanych“ niema; Władysław i Zawisza kochają Emiljanę, sprzyjającą królowi — król umiera pamiętny jej serca, szepnąwszy do ucha słodką tajemnicę Korwinowi, który ją odnosi Emiljanie wraz z wieścią o klęsce, spowodowanej złamaniem przysięgi; obie tragedje obfitują w sentencje i sentymenty, w czułych bohaterów i wstydliwe bohaterki; w porównaniu z Radziwiłłową postęp był nadzwyczajny, chociaż Rzewuski w komedjach bynajmniej nie przewyższał Bohomolca.

Na wyżynach towarzyskich otaczali Rzewuskiego kształcący się na wzorach francuskich: Wielopolski, tłumacz Woltera, niewystępujący z tem jednak publicznie, i inni, aż do Kąckiego, jeneralnego starosty podolskiego, tłumaczącego bardzo zgrabnie najnieskromniejsze wiersze Russa; albo czerpiący i ze źródeł łacińskich, jak poważny kanclerz litewski, Sapieha, tłumacz historji rzymskich rewolucyj, słynnego wówczas bardzo pompatycznego dzieła akademika Vertota; dalej piszący troje niewidy o orderze Białego Orła, o cudach Rodeńskich — ale bogata bibljoteka (dziś w Petersburgu) świadczy lepiej o zajęciach kanclerza.

Umysłowość francuska robiła raźne postępy i między wyższem duchowieństwem, które ukrywało jeszcze wzrastającą obojętność ku wierze. Zato na nizinach panował straszny mrok, zupełna nieświadomość przewrotu, dokonywującego się na bożym świecie. Tu wysławiano wszystko i wszystkich, aż wydarł się krzyk rozpaczy z piersi satyryka (Naruszewicza):

> Wszystkich chwalim, iż dobrzy i świeccy i księża,
> Jednak giniem bez skarbu, rządu i oręża!

tu popłacała ascetyka; do jej morza dolewano coraz nowych „psalmików“, rzeczy, oddawna dobrze przetłumaczone, tłumaczono ponownie, znacznie gorzej, np. wojewoda Żaba „Pobożne pragnienia“ jezuity Hugona, chociaż marszałek Lacki w XVII wieku w o wiele ozdobniejszym wierszu przyswoił je literaturze i na licznych przedrukach nie brakło — nawet Załuski do nich się na nowo zabierał; Trzebieński wierszował Tomasza a Kempis (na życzenie Róży Krasińskiej), chociaż Grochowski lepiej to zrobił przed stu kilkunastu laty.

W tej panegirycznej i ascetycznej literaturze zatracały się wszelkie tradycje i zdobycze XVII wieku: obok najdziecinniejszych wymysłów wracano do najpodlejszych rymów; zapominano nawet poprawnej pisowni: np. Jerzego Eysymonta „Źrzódło życia z łez Maryi Panny“ (r. 1756, tłumaczone z łaciny Konarskiego) pisze stale: nad to szopko, stanoł, samo istoto, przekloł (przeklął), podzielo, wziowszy, zginełа, skączonych — w druku, nie w rękopisie! Barbarzyństwa tego nie okupił drastycznemi scenami z życia Marji, jak ją ofuknęli słudzy kościelni, albo o Judaszu, jak go nie chciał przyjąć żaden żywioł. A Eysymont to nie wyjątek, lecz niemal reguła.

Naród szlachecki brnął w ciasnocie i ciemnocie umysłowej, usypiając własne zdolności i wyższe porywy, wdrażając się w ową inercję i apatję, która niebawem z mahometańską chyba rezygnacją, bez oporu, nawet bez zrozumienia, o co chodzi, miała przyjmować najsroższe ciosy z odrętwiałością czy obojętnością, najbardziej groźną dla przyszłości narodowej. Obok tej znarowionej, zniedołężniałej, gnuśnej większości wyrabiali się jednak oddawna coraz czynniejsi, coraz liczniejsi budziciele ducha: do nich narazie odosobnionych, niezwartych w szeregu, nieraz nawzajem o sobie niewiedzących, należała przyszłość; oni mieli wyrwać oporny i niechętny naród z zastoju i mroku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

ODRODZENIE.

Król i społeczeństwo. Satyryczna i dydaktyczna cecha literatury: Krasicki i Naruszewicz; Piotrowski i Juszyński; Trembecki i Węgierski. Liryka, Karpiński i Kniaźnin. Komedja, Zabłocki, Niemcewicz, Bogusławski. Literatura polityczna, Staszic, Kołłątaj, Jezierski. Wpływy francuskie: tłumaczenia. Komisja edukacyjna. Żywioły wsteczne; żywotność literatury ascetycznej, autorytetu łaciny, sarmatyzmu. Pamiętniki. Wywody ogólne o dawnej literaturze.

Jak ze śmiercią Zygmunta Starego, tak i ze śmiercią Augusta III rozległy się hasła całkiem nowego porządku. Z Zygmuntem zstępowała do grobu Polska katolicka, monarchiczna, humanistyczna, aby powstać jako protestancka, republikańska, narodowa; wraz z Augustem chowano Polskę sarmacką, anarchiczną, dewocyjną, a budzono rządną, oświeconą, wolnomyślną. Niewszystkie hasła spełniły się jednak w równej mierze po 1548 i po 1763 roku; wtedy przemógł konserwatyzm i rydwan Polski potoczył się w dawniej wytkniętej koleji, katolickiej i anarchicznej, aż zagroziło jego zupełne rozbicie; dopiero w roku 1764, o wiele za późno, miano go zahamować, poprowadzić nowemi torami. I znowu przemógł konserwatyzm; tym razem jednak triumf jego nie był zupełny ani trwały; ani na chwilę nie zatarł postępowej cechy, jaką się wyróżniały nowe rządy od samego początku; wkońcu nie przeszkodził zupełnemu narodowemu odrodzeniu, dokonanemu, niestety, już tylko na polu umysłowem.

Na odrodzenie polityczne, na stworzenie nowego ładu i zapewnienie bytu państwowego, nie starczyło już czasu. Z początku, nawet coraz widoczniej grożące niebezpieczeństwo, pierwsze zamachy na całość państwową, zapowiadające coraz to nowe, nie otrzeźwiły ani nie porwały narodu szlacheckiego, pogrążonego w wiekowej anarchji, w zrzucaniu interesów ogółu i pospolitego

dobra na plan ostatni, w popieraniu osobistych spraw czy widoków, choćby zapomocą obcych, odwykłego od celowej polityki i większych zadań, od niezbędnej karności, ofiarności i zgody; energją i konsekwencją w przeprowadzaniu pomysłów i tak nigdy szlachta nie grzeszyła. Jeszcze i po pierwszym rozbiorze, wieszczącym katastrofę, lekkomyślny optymizm pocieszał się nadzieją, że zazdrosna podejrzliwość północnych potencyj, jednej przeciw drugiej, pozostanie i nadal tą tarczą, za którą Polska schroni się spokojnie; również łatwowiernie łudzono się coraz nowemi politycznemi kombinacjami i niewypróbowanemi przymierzami; wpadano z jednej ostateczności w drugą; nie umiano się skupić i przeczekać lat kilku; nawet instynkt nie ostrzegał o tem, skąd groziło największe niebezpieczeństwo. Nadomiar złego na tronie polskim zasiadł Piast, człowiek bez powagi i związków, bez punktu oparcia wewnątrz i nazewnątrz; Piast, wygodny dla sąsiednich potencyj, niemożliwy dla Polski — nawet, gdyby był człowiekiem innej miary, niż stolnik litewski.

Stanisław August posiadał wszelkie przymioty ogłady towarzyskiej; wykształcony i wymowny, umiał przybierać i udawać powagę; miał szlachetne instynkty, dobrotliwe serce, najlepsze chęci, niepowszedni rozum; reprezentował wybornie monarchę. Lecz monarchą nie był, przynajmniej nie takim, jakiego wymagała konająca ojczyzna; brakło mu energji i konsekwencji; dawał się powodować każdej silniejszej woli, nawet przeciw własnemu przekonaniu czy doświadczeniu; nie zapanował nigdy nad żadną sytuacją, zato przystosował się do każdej. Trzydzieści lat służył za firmę tym, którzy kierowali państwem, t. j. przyśpieszali jego agonję i nie zdobył się nigdy na krok samoistny, krępowany wszystkiem, nienajmniej długami, i skończył, jak zaczął: bez godności, zsadzony tą samą ręką z tronu, co lalkę na tron wsadziła. Można też było i o królu i o narodzie szlacheckim powiedzieć wraz poetą:

nasz naród jak lawa,
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi!

Skorupa tej lawy nie utworzyła się dopiero za Stanisława Augusta, zsiadała się oddawna, a stwardniała za Sasów. Że zaś wewnętrznego ognia nic nie wyziębiło, przyłożył się gorliwie do tego, ile sił stało, i pan stolnik litewski, król melancholiczny.

Nie marzył nigdy o wawrzynach wojennych choćby ojca swego, zato, tem bardziej, o wawrzynach Kazimierza Wielkiego, chociaż

za króla chłopków nigdy siebie nie uważał; jak ów zostawił Polskę murowaną, objąwszy drewnianą, tak on wyprowadzał ją z mroków saskich na światło dzienne. Staranne wykształcenie francuskie— po francusku pisał król swe pamiętniki — niekłamane zajęcie rzeczami umysłu, poloru i smaku, szczególniej lżejszemi, błyskotliwszemi, teatrem francuskim, dziełami obcych artystów, Grassi'ego czy Bacciarelli'ego, świadomość wielkiego krajowego zacofania i chęć wydobycia się z niego, nadały jego panowaniu cechę właściwą, odbijającą od absolutnej nieproduktywności owych saskich figurantów na polskim tronie, bezsumiennych intrygantów, albo ociężałych mantelzaków, *terrae inutile pondus*. Wytrwałym pracownikiem król nie był; żadnej roboty nie dopilnował, spychał na innych co trudniejsze a niepozorniejsze, np. sprawy edukacji narodowej, nawet teatru polskiego; łożył koszty nieopatrznie, oszczędności nie znał i kłopoty finansowe trapiły go realniej, niż kłopoty rządzenia; zato mecenasował sztuce i literaturze, utrzymywał i dyplomację i szkołę orjentalną, patronował każdemu przedsięwzięciu, dążącemu do podniesienia ładu czy dobrobytu, chociaż nie podtrzymał ani Tyzenhauza ani Zamoyskiego; runęły przedwczesne, forsowne nakłady, upadł kodeks praw dla sprawy włościańskiej, zato na „uczonych“ czwartkowych obiadach, król zastępował wszystkie ekspensa „dowcipu, wiadomości i wina i mięsa“.

Poprzednicy jego opiekowali się literaturą dorywczo; nie skąpili tytułów sekretarzów królewskich, a nawet jurgieltów historjografom czy poetom, choćby obcym, jak Władysław IV Ślązakowi Opicowi — Stanisław August pierwszy zajmował się systematycznie literaturą piękną, umiejętnościami i sztukami i do tego pobudzał; nie było innego króla, którego osobistej inicjatywie tyleby zawdzięczała literatura: ponieważ zaś własnych czynów nie było wiele co sławić, król zwracał pióra, pendzel i dłuto ku sławieniu przeszłości.

Za przykładem królewskim zapanował nowy polor francuski najpierw w Warszawie, a za nią i w Polsce. Warszawa teraz dopiero zaczęła rzeczywiście promieniować na cały kraj, skupiwszy po raz pierwszy najlepsze jego siły, przyciągane przez dwór, stałą rezydencję, bo za Sasów Warszawa była rezydencją chyba wtedy, gdy sukcesy wojenne Wielkiego Fryderyka wygnały z Drezna kurfirszta, zresztą rezydencja królewska kończyła się nieraz Wschową. Teraz wyłoniła się Warszawa z reszty miast polskich; gdy tamte, nie wyłączając Krakowa i Lwowa, nie zdążały się podnosić, ona zabudowywała się, porządkowała i bogaciła, a chociaż jej przemysł,

od zegarmistrzów do drukarzów, jej handel, od winiarń do banków, i jej sztuka, teatr, koncerty, malarstwo, przeważnie opierały się na obcych, chociaż zwiększyła się liczba Niemców, Włochów i Francuzów, miasto nabierało coraz centralniejszego znaczenia dla kultury polskiej; teraz dopiero wabił i nęcił gród syreni i nie wypuszczał tego, kogo raz przygarnął; Karpiński był wyjątkiem.

Nowa kultura była, jak w całej Europie, francuską, począwszy od mody w ubiorze, tańcach, obsłudze i budowlach, aż do rdzennych cech ducha, literatury i języka. Po raz pierwszy Polska otworzyła się naoścież tym wpływom. Kiedy z boskiej Francji najpierw i najdonioślej biło prawdziwe światło wiedzy na Europę, w XII i XIII wieku, Polska, nadto młoda w cywilizacji, a przestrzenią zbyt oddalona, nie mogła się garnąć do tego światła; później już inne narody, jak Włochy, wydarły Francji ster umysłowy, i Polska kłaniała się bogom włoskim, nawiązując z Francją tylko polityczne stosunki. Te nie zacieśniły się nigdy zbytnio mimo francuskich królowych i decydującego wpływu posłów francuskich; ale z Marją Ludwiką i Marją Kazimierą u dworu i u wzorujących się na nim magnatów szerzyły się język, literatura i francuski obyczaj, rugowały włoski i, mimo wzrastającego ociągania się wersalskiego dworu od energiczniejszej francusko-polskiej polityki, stopniowały się rychło za Sasów, za walnem przyczynieniem się Leszczyńskiego. Za paryżanina Poniatowskiego dwór sfrancuział zupełnie; za dworem poszli Braniccy, Czartoryscy, Potoccy, tylko „Panie Kochanku“ wytrwał przy sarmatyzmie. Polska więc rozszczepiała się ponownie; obok szerzącej się francuszczyzny, im dalej od Warszawy i wielkich dworów polskich, tem oporniej trzymał się dawny sarmatyzm.

Składały się nań nietylko barwne kontusze i pasy lite, zawiesiste wąsy i łby wygolone, wschodnie karabele i kity, lecz wszystko, co tchnęło przesądem, rubasznością, złym nałogiem, pieniactwo i pijaństwo, brak ogłady, stanowa i narodowa wyłączność, domowa tyranja, przesadna religijność, nieuctwo, barbarzyństwo stylu w wymowie i liście. U sfrancuziałego Polaka miejsca tych wad nie zajmowały same przymioty; z polorem w obejściu i mowie, z obcą szatą i gwarą łączyły się nader często próżność i wietrzność, modnisiostwo, lekceważenie moralności i obowiązków, powierzchowność w wiedzy i sądach, a szulerka, kobiety i podróże rujnowały zasoby domowe rychlej i gruntowniej, niż dawne *hungaricum*, pozwy i sfory ogarów.

W nadzwyczajnym zbytku, w wielkopańskiem życiu, w kosztownych nowych budowach iście książęcych rezydencyj, rugujących modrzewiowe dwory i dworki z ich gdańskiemi skrzyniami i tureckiemi makatami, nadwerężały się olbrzymie fortuny, a topniały mniejsze; ludzie szaleli, trwoniąc pieniądze na zbytki, a skąpiąc ich ojczyźnie.

Najbardziej raziła przemiana u duchownych: obojętność, niesiląca się nawet na utrzymanie pozorów, zastąpiła dawną gorliwość; tylko wiekowa, głęboko wkorzeniona tradycja zapobiegła zupełnemu osunięciu się stanu duchownego; rozluźniła się karność, zaostrzyły się przeciwieństwa i, chociaż konserwatyzm narodu szlacheckiego hamował popędy antyklerykalne, naród ten staczał się widocznie po pochyłości religijnego indyferentyzmu, wysiliwszy się świeżo w konfederacji barskiej przeważnie z niższych warstw szlacheckich na obronę katolicyzmu, niepodzielnie w kraju panującego, odpychającego równouprawnienie innych wyznań.

Najlepiej wyszły na tej przemianie kobiety: zewnętrznym wymaganiom nowych form czyniły one jeszcze lepiej zadość, niż mężczyźni, już dla samych darów przyrodzonych; przejęły się więc niemi rychło, wydobyły się na świat wielki, brały czynny udział w życiu publicznem (choćby „kwochy“ królewskie), rzucały klasztorne niemal zacisze, w jakiem się dotąd chowały, i przygotowywały się do nowej roli, nowego znaczenia w przyszłości, chociaż nieraz rzeczywistemi przymiotami okupywały pozorne zdobycze. Dawny typ matron polskich bynajmniej jednak nie wygasł, liczył zawsze godne przedstawicielki (Sanguszkowa i in.); przeciw modnym „Elżbietom“ stawały „anioły“.

O wiele głębiej wystąpiło to samo rozszczepienie na polu literatury i nauki. Zmieniły one i ducha i formę; trzeźwość i jasność wyrugowały napuszoność i zawiłość; czystość języka i poprawność formy zastąpiły niewybredną pstrociznę i dzikie pomysły; jeszcze bardziej oddaliła się nowa treść od dawnych wzorów. Literatura, choć uprawiana głównie przez duchownych, jako cieszących się lepszem wykształceniem, zeświecczyła się zupełnie w tonie, stylu, formie; sami duchowni nie wahali się ośmieszać dawnego trybu.

Wybitny udział duchownych nadał tej literaturze osobliwszą cechę, kaznodziejską i nauczającą; sprawił, że przeważał w niej żywioł dydaktyczny i satyryczny; zarazem jednak ustrzegł tę literaturę od zupełnego sfrancuzienia i od zbyt nagłych przeskoków. Literatura za Stanisława Augusta, mimo oddziaływania wzorów

francuskich, bynajmniej francuską nie była, jak literatura Księstwa Warszawskiego. Najwybitniejsi jej przedstawiciele, Kracicki czy Naruszewicz, byli twardymi latynistami, Krasicki nawet później ubolewał nad upadkiem łaciny w nowych szkołach; przejęci duchem augustejskich pisarzów, nie myśleli wcale o ślepem naśladownictwie wersalskich; chociaż poddawali się wpływom francuskim, warowali sobie swobodę, cofając się ku wspólnym prawzorom. Boileau, Lafontaine, Voltaire nie byli wyłącznymi arbitrami w dziedzinie gustu, satyra Juwenala i listy Horacego, zwięzłość Fedra albo proza Liwjusza i Plutarcha, stały co najmniej narówni.

Obok łacińskiego charakteru literatura ta odznacza się wybitnym duchem obywatelskim, który nie dopuszczał zupełnego jej sfrancuszczenia: pisano nie dla wymagań estetycznych i nie dla schlebiania gustom czy ludziom, lecz dla pospolitego pożytku; to nie igraszki dowcipu, lecz służba publiczna; oddawano się jej tem gorliwiej i niepodzielniej, im trudniejsze stawało się służenie jej na każdem innem polu.

Mogła więc literatura stanisławowska nawiązać wprost do literatury zygmuntowskiej, przedewszystkiem do Kochanowskiego: wiersz, pisany w r. 1770, nie był dalszym ciągiem wierszów z czasów saskich, z r. 1750, lecz formą, językiem i duchem łączył się z wierszami, starszemi o dwa wieki: z „Satyrem“, „Psałterzem“, „Trenami“. Kochanowski nabierał nowej żywotności; ignorując bezpośrednich poprzedników, pomijając saską średniowieczyznę, wznawiało się lepsze tradycje dawnej, świetnej przeszłości. Obowiązują teraz na nowo przepisy, normy jakieś, tym razem francuskie; upada stylowa anarchja; epopeję, jeśli narodowa i poważna, skleca się wedle Henrjady, — jeśli humorystyczna, wedle Boileau; poema opisowe wedle Delila; komedję pisze się za Moljerem czy Regnardem — do oryginalnej tragedji mniej się zabierano; w sielankach i odach, listach i elegjach, smak ten sam, acz słabszy. Panują więc inwencje i maszyny alegoryczne w epopei; trzy jedności: czasu, miejsca i akcji w komedji; górność w odzie, ckliwość w sielance, dowcip w liście. Obok Francuzów szanuje się Włochów, wpływa Gessner, przeważają Rzymianie — literatura piękna, bynajmniej niewydana jednostronnej manierze, waruje sobie swobodę swoim eklektyzmem; nie zaciera wszelkich śladów swojskości i samodzielności.

Co do ducha, odpycha ona wszelki fanatyzm i nasiąka humanitarnością; karci ostro wybryki samowoli, ucisk poddanych i służby, ujmuje się za ludem, traci wiarę w prerogatywy jaśniewiel-

możnych, przysługujące im już w kolebce, wymaga zasług osobistych. W epoce przełomowej, gdy stare zakorzenione błędy walczą z nowemi, zaostrza się jej zmysł satyryczny i spostrzegawczy; w epoce, ubóstwiającej rozum i rozwagę, oczekującej od nich jedynie wszelkiego zbawienia, *aimez donc la raison* Boileau'a staje się jej kotwicą; *le bon sens* jedyną zasadą, posuniętą do oschłości, nieuznającej obok siebie ni fantazji ni uczucia, co najwyżej dopuszczającej tkliwą, a raczej ckliwą sentymentalność. W takich warunkach, z takiemi przymiotami, występuje ta literatura do walki z dawną zaśniedziałością ducha, stylu, języka i formy.

Na czele walczących stanął nadzwyczaj utalentowany, chociaż wcale nie do walk stworzony, **Ignacy Krasicki**, poeta godny czasów stanisławowskich, poddany, stworzony na podobieństwo swego pierwszego króla, nie na wzór Fryderyka W. Duchowny bez powołania, umiejący jako tako zachowywać pozory, rzucił niebawem i „dworszczyznę", „szarlatańswo dworskie", chociaż ten zawód obrał dla „uszczęśliwienia domu" swego, wprawdzie hrabiowskiego, lecz podupadłego wskutek licznych działów, mimo koligacyj najświetniejszych. Korzystając z szybkiej promocji i szczęśliwego zbiegu okoliczności, książę biskup warmiński unikał walk politycznych z przekonania, a pierwszy rozbiór kraju uprawniał niby ten indyferentyzm. Omylił się król, jeśli, promując go wcześnie, liczył na polityczne poparcie; nie omylił się, licząc na doniosłość jego pracy; nią odwdzięczył Krasicki sowicie dostojeństwa, jakie nań spadły z całkiem innego tytułu. Biskupi warmińscy w dziejach literatury polskiej zapisywali imiona swe złotemi czcionkami już dawniej, od Dantyszka, Hozjusza i Kromera do Andrzeja Załuskiego; najwyżej wzniósł się Krasicki; swemi dziełami wywarł wpływ potężny; głosu jego słuchało całe społeczeństwo, nietylko bracia pisarskiego cechu; wytrwał do końca na raz obranej drodze, nieznużony, nierozpaczający, choć wszystko zawiodło.

Krasicki, znany publiczności chyba z niepodpisanych artykułów w Monitorze, zaszedł już w lata, nim wystąpił z większemi rzeczami; największa płodność przypadła dopiero na rok 1775—1779, od wydania Myszeidy do wydania Satyr; odtąd dopiero datuje też jego niepodzielna powaga w literaturze.

Myszeidę stworzył Ariosto, jeden z ulubieńców poety. Wybór tylko napozór był dziwny czy dziwaczny; zejść na prostego tłumacza, jak Piotr Kochanowski, zaprząc się do przydługiej chryi— nie było rzeczą modnego śpiewaka, pomnego, że moda znosi tylko

krótkie kazania i wiersze; należało więc stworzyć coś niezbyt wielkiego a swojskiego w guście Ariosta, nęcącego łatwem rzucaniem materji, wplataniem dygresyj, moralizowaniem, dowcipem i fantazją. Do wyboru nie zostawało więc wiele tematów, a przypomnienia różnych batrachomjomachij i innych żartobliwo-heroicznych poematów nasunęły temat Popielowy. Jeśli autor miał pierwotnie na myśli alegorję polityczną, o czemby można wątpić, znając Krasickiego, stroniącego od polityki i wszystkiego, co jej dotyczy, to w wykonaniu zwichnął ją sam do zupełnego niepoznania; jeśli jednak nie w całości, zato tem więcej było w szczegółach, wedle ówczesnej mody, aluzyj do rzeczy spółczesnych, od parodji sejmowania i radzenia aż do uznania przewagi kobiet; rzeczy śmieszne przeplatały się patetycznemi, np. strofą o miłości ojczyzny. Ani pomysł nie był świetnym, ani na treść nie starczyło fantazji i inwencji; zato świetne było wykonanie: nie napotykano dotąd tak łatwych i gładkich wierszów, tak trafnych sentencyj, tak niedotkliwej ironji między ciężko stąpającymi polskimi parnasistami; gracja powabnego wysłowienia ukrywała niedomagania treści; wrodzony dowcip, lekkość, nabyta przez studja i wzory, święciły pierwsze triumfy.

Gdy w Myszeidzie z jej arjostycznym uśmiechem nad walkami i bohaterami dostało się wszystkim potrosze, w „Monachomachji“ cała baterję dowcipów skierował biskup wyłącznie przeciw zakonom, ich dewocji i nieuctwu. Bez niedopisującej fantastyczności, oblał biskup jasnem światłem dziennem zakątki bezmyślnego próżniactwa, kryjącego się pod ascezą, regułami i ślubami i, gdyby konsekwentnie i inne strony życia polskiego tak oświetlił, byłby dokonał wielkiego dzieła. Zadowolił się jednak polem, na którem w „oświeconym“ wieku odnoszono największe triumfy najtańszym kosztem; znęcał się nad przeciwnikiem, napoły już powalonym, ciężko osłabłym, spóźniwszy się o wiek cały: dysputy klasztorne wyśmiewał krócej, a ostrzej już eksarjanin Wacław Potocki; biskup katolicki temat rozszerzał, godząc w samo życie zakonne i jego polski tryb. Całość nieco rozwlekła, miejscami karykaturalna, zwyciężała znowu szczegółami, widokiem mieściny polskiej, opisem bibljoteki klasztornej, próbką gwardjańskiej swady, charakterystykami różnych zakonnych wielkości. Po niewczasie zmiarkował biskup, że się nadto posunął, i „Antimonachomachją“ łagodził rozdrażnioną opinję, ograniczając i zwężając doniosłość poprzedniej zaczepki, co się mu jednak niecałkiem powiodło;

„Monachomachja“ pozostała w całej swej sile, wywoływała naśladowców, i dopiero w XIX wieku powstał śmiałek, który zaprzeczył autorstwu biskupiemu. Żaden inny dostojnik kościelny — nietylko w Polsce — nie wystąpił z podobną inwektywą; należałoby sięgać do czasów humanistycznych, żeby odnaleźć coś podobnego; teraz każdą nową inwektywę na duchowieństwo można już było przypisywać ks. biskupowi popularność jego stała się niezachwianą.

Wydawszy wzory żartobliwej i satyrycznej epiki, odpowiadającej temperamentowi autora i nastrojowi epoki, wysilił się poeta i na wzór epiki heroicznej, obierając świetny epizod wiekowej walki polskiej z półksiężycem, właśnie, gdy świat zamarzył o ostatecznem wypędzeniu Turków. Ale ani czas ani poetę nie stać było na heroizm; wedle recepty wolterowskiej, z reminiscencjami od Tassa, udało się sklecić epopeę o rozmachu filigranowym, w stylu rokoko, godną wylizanego pomnika Jana III, zdobiącego Łazienki; robota z gipsu, wymuskana, z bohaterami, z pustelnikami, alegorjami w najlepszym guście wieku, tylko bez treści, sielanka bohaterska, tak naturalna i prawdziwa, jak wszystkie inne ówczesne sielankowe maskarady. Ale i tem, wobec niezdarnych dawniejszych wierszowanych relacyj, poeta odpowiedział wymaganiom stylu i formy i wobec śmiesznych epopei Jabłonowskich, choć bez natchnienia, uczucia i choćby cienia historyczności, stworzył rzecz przyzwoitą, modną, pseudoheroiczną, sentymentalną i dydaktyczną.

Właściwe zalety stylu i ducha wykazały inne nowalje warmińskie: Satyry i Bajki. Wprawdzie i w Satyrach miękki autor nie zdobył się na potężny i namiętny głos Juwenala, nie piorunował na łotrów i zdrajców, nie zdzierał masek z bezczelnych twarzy, przemilczał o jawnym sromie tchórzliwej czy przekupnej polityki, zato wady i słabości ogólnoludzkie, zakorzenione na gruncie polskim, karcił i gromił, nie nacierając bezwzględnie i ostro, lecz z pobłażliwym uśmiechem, przemawiając do rozsądku, próbując czy nie upamiętają się dzieci, szaleńcy, nicponie, w dobrze pojętym własnym interesie. Więc strofował wymownie, dowcipnie i mądrze, i strojnisię, i karciarza, i utratnego, i mędrka; sarkał na nowe mody w głowach i sercach; bolał nad rzuceniem ojcowskich torów, dawnej świętej prostoty, nad wyrzeczeniem się cnót przodków, przyczem zaniedbał oznaczyć dokładnie czas tych nieco mitycznych przodków; chybaż nie za Sasów szukał złotego wieku! Łagodne jego serce nie znosiło pastwienia się nad sługą, więc o tem tylko przemówił z oburzeniem, zresztą Horacy polski zalecał ową drogę

wypróbowaną — *medium tenuere beati*, którą rodacy najmniej umieli postępować. Nie cierpiał upartego czepiania się zastarzałych przesądów, ani owczego naśladownictwa wszystkiego, co modne nad Sekwaną; ideały swe wystawiał w zamglonej przeszłości, wolnej od błędów i przywar, krocząc za rzymskimi satyrykami, których każda przyszłość musiała zatrważać; konsekwentnym autor nie był, poszedł utartym śladem zamiast próbować nowych ścieżek.

Doświadczeniem, nawet trafnym instynktem politycznym, którego nigdy nie miał naród szlachecki, odznacza się jedyna jego satyra polityczna, „Organy“, napisana w przededniu wielkiego sejmu: autor sceptyk, nie entuzjasta, nie podzielał powszechnego zapału, oglądał się trwożliwie, pytał i nadsłuchiwał i nie ukrywał się z niepocieszającemi widokami na przyszłość; użył formy mieszanej, którą się odznaczały i jego „Listy“, i nie skąpił słusznych przytyków i docinków; żartował z łatwości, z jaką uchwalono stotysięczne wojsko i z tego, że się już troszczono o jego porządki i moderunki, chociaż nie było ani wojska ani funduszów; nie brakło ściśle politycznych aluzyj, na aljans pruski; najbardziej przejmowała widoczna rezygnacja autora, który już tylko pytał, przez jakiego to orła najlepiej dać się czubić. Z satyrami rywalizowały listy, wierszowane i w formie mieszanej; przeważały w nich moralny i etyka. Najsłynniejszy, pierwsza malownicza podróż po kraju, mimo nadmiernej zwięzłości, i dziś zajmie i wzruszy; dotykał on w nich literatury, wymawiając się np. z przypisywanej jego pióru Upireidy lub wyszydzając styl panegiryczny; to znowu opisuje manewry, folgując przytem bardzo nie na czasie swym antywojowniczym gustom, albo w znakomitym liście „Brata do Siostry“, kreśli diarjusz heilsberski, albo, przemokły, wystawia z humorem polowanie pruskie — opowiadaczem musiał być niezrównanym. Niektóre listy wręcz się nadają do satyr, gdy szydzą z podróżomanji, chociaż i to szyderstwo nie było na czasie, czy z naszych czasów, kiedy to „pełno dzieł heroicznych, a jednak lud płacze“.

Największą zaletą „Satyr“ (i „Listów“) była ich skończona, prawdziwie artystyczna forma, nigdy przedtem ani później nieprześcigniona; bogactwo inwencji i obserwacji, dowcipny dialog, znakomita charakterystyka; raczej humor, niż ironja są ich cechą, — ksiądz biskup był dowcipnym, jak rzadko; uznawał to nowy jego monarcha, i „dziadunia rubasznego“, „staruszka miłego“, umiał ks. biskup, tak rozśmieszyć, rozkomosić, że aż otrzymał od niego 50.000 talarów na spłatę długów; z listów do brata tryskają dowcipy

i żarty, jakby na świecie nie zaznawał nigdy trosk i zawodów. Naturalnie, swojskość jest zachowana, chociaż raczej zewnętrzna, jednak z małemi zmianami na te satyry mógłby się pisać każdy kraj i czas.

To kosmopolityczne stanowisko satyr objaśnia też dziwne napozór zjawisko: Krasicki, jako *laudator temporis acti!* Gdy inni spółcześni satyrycy: Naruszewicz, Piotrowski, korespondenci Monitora, walczą na dwa fronty, zarówno przeciw sarmatyzmowi, jak i przeciw modnisiostwu, Krasicki napada na spółczesnych, jakby nie było ciężkich win przodków: pod niemi upadała ojczyzna, ale moment polityczny dla Krasickiego nie istniał; jego niepokoją otaczające błędy i braki; ani głębiej ani dalej wstecz nie sięga; wytworność stylu, żywość akcji, wesoły humor okupywały tę płytkość; liczba przedstawionych typów nie rośnie z liczbą satyr; o niejednej z nich możnaby twierdzić, że przez pomyłkę z „Listów“ zaplątała się między „Satyry“. „Żona modna“, „Pijaństwo“, są to arcydzieła obrazów rodzajowych, a tylko w „Świecie Zepsutym“ wylało się, już nie pobłażanie, lecz oburzenie; jest to najsilniejszy ustęp pióra księcia-biskupa i dziwna zarazem ilustracja owej świętej prostoty poczciwych przodków, skoro ich „nierząd nas pokonał i zgubił, ten nas cudzym w łup oddał“ — pełno też w tej satyrze sprzeczności, ale zapomina się o nich wobec silnego wstępu (Godzi się kraść ojczyznę, łatwą i powolną. A mnie sarkać na takie bezprawia nie wolno?) i wymownego zakończenia.

Równie wysoko wzniósł się Krasicki w bajkach, malutkich arcydziełach, pieścidełkach stylu, głębokich i mądrych. W wierszu wstępnem przeznaczał je dla dzieci, ale przeczył temu sam ów wiersz, jeden z najgłębszych. I rzeczywiście, morały, jakie prawią te bajki, nie są dla dzieci: jeśli Napoleona obruszała ezopowa bajka o wilku i jagnięciu, cóżby powiedział na bajki Krasickiego, w których zwyciężają złość, głupota, dlatego, że są silniejsze, a cnota, pokora i mądrość uchodzą pobite. Wprawdzie wszyscy poeci stanisławowscy, od Naruszewicza i Ogińskiego aż do Niemcewicza, uprawiali bajkę *con amore*, ale wywodzili w niej nieraz złość dnia, polityczny skandal, folgowali nieraz wzburzonemu uczuciu; nie wstrzymywali się od aktualnych aluzyj zarówno Trembecki jak Niemcewicz; wszyscy też za przykładem Lafontena kreślili szerokie, szczegółowe obrazy. Krasicki wstrzymywał się od aluzyj, wyjątkowo bajka odnosiła się specjalniej do stosunków polskich i nic bardziej trudnego, bardziej zwodniczego, niż dorabiać komentarz poli-

tyczny do tych bajek, gdzie chyba przypadek lub własna wskazówka autora rozwiąże zagadkę. Wybrał pierwotnie formę Fredrową, najkrótszą, niemal epigramatyczną; w czterech wierszach, z których jednego wyrazu ująć niepodobna, przedstawiał niewesoły konflikt i smutne rozwiązanie. Nie silił się na wynajdywanie nowych, osobliwszych tematów: jest zasługą bajkopisarza, temat, choćby odwieczny, uczynić jakby własnym stemplem własnego ducha, trafnego ujęcia, misternego wysłowienia — w tej sztuce celował Krasicki. Później i on pisywał obszerniejsze bajki, i mimowoli nasuwa się porównanie z bajkami Lafontena czy Kryłowa: autor polski nie pozostaje wtyle za ulubieńcem dziatwy rosyjskiej, tak swojskie utrafił rysy — w krótkich nikt mu nie dorównał.

Te same cechy talentu i stylu przeniósł Krasicki na prozę. Nie kusił się o wielkie koncepcje; jego romanse, jeżeli tem mianem ochrzcimy literaturę dyktatyczną i satyryczną, rozpadają się na luźne obrazki a raczej traktaty z wyraźną pouczającą tendencją; politycznych rzeczy również niema, prócz jednej nadto przezroczystej, więc płaskiej alegorji, przedstawiającej dzieje Polski w dziejach „narożnej kamienicy". Otóż ten brak politycznego elementu, w czasach tak rozpolitykowanych, jest nadzwyczaj dla niego znamienny: między zrezygnowanymi on najbardziej zrezygnowany; każdy inny sarknie choć raz, zaprotestuje, da się uwieść choćby ułudom; on jeden nie zdobędzie się na nic więcej prócz słówka cichej skargi. Pogodzi się z fatum szczerze, z przekonania, nie dlatego, że był obcy poddany, ale dla własnej natury, najmiększej między miękkiemi, i już w r. 1778 (i 1784) kreślił „Pana Podstolego", jakby Polska wcale nie istniała, jakby go w roku 1798 pisał jakiś światły obywatel „Prus południowych". Pisał historję czasów zamierzchłych, żeby protestować przeciw wysławianiu zaborców i wojowników; z monarchów podziwiał Kazimierza Wielkiego (Naruszewicz wzdychał tylko za Chrobrymi i Śmiałymi), jakby w Polsce wypadało gasić animusz wojenny, jakby owcom miały pomagać skargi na wilcze zęby i apetyt; ubóstwiał Nipuanów, nieznających żelaza, zamiast ich skazać zato na zagładę.

Jego literatura traciła na aktualności, zato zyskiwała w ogólnoludzkiem znaczeniu: dla tłumacza jest Krasicki najwdzięczniejszy ze wszystkich autorów polskich.

Element polityczny wykluczył więc Krasicki ze swej literatury: i w satyrach nie było aluzji politycznej, chyba w wierszu o tym, co kraj zdradza:

Przecie filut, wisielec, na co patrzeć zgroza,
Wstęgi nosi na szyi, co warta powroza,

zresztą, jego zdaniem, rozstrzyga o powodzeniu *cnota*, virtus starorzymska: „Rzym *cnotliwy* zwyciężał, Rzym występny ginął“, albo „gdzie *cnota* w pogardzie, tam naród upadnie“, albo „po największych klęskach nie trzeba rozpaczać... ale kiedy się w narodzie grunt *cnoty* popsuje, szkoda jest nienagrodzona“. Więc zawsze zajmuje stanowisko moralisty, kaznodziei, — mówi do narodu:

Sameś sprawcą twych losów: *zdrożne obyczaje*,
Krnąbrność, nierząd, *rozpusta*, *zbytki* gubią kraje.

W komedji „Statysta“ jego Roztropski tak prawi: „najpierwsza i największa usługa (ojczyźnie) — dobre wychowanie dziatek, to skarb najszacowniejszy... masz poddanych, obchodź się z nimi łaskawie; masz rolę, gospodaruj dobrze, to kraj bogaci; drogi... utrzymuj, tym się handel ułatwia... nie mrucz na podatki“. Nawet „Organy“ wzywają do poprawy samych siebie, „a wtenczas z odradzającą się w Polakach *cnotą* odrodziłyby się i dawne polskie zaszczyty“; jest to komunał starożytnego satyryka, dobry chyba dla kwietyzmu, czy indyferentyzmu politycznego, lecz nie wskazówka czy cecha akcji politycznej, której pragniono. Za ulubieńcem swoim, Kochanowskim, powtarzał Krasicki hasło niby życiowe: niech drudzy za łby chodzą, a ja się dziwuję. Ale czasy nie były już po temu.

Jeszcze najmniej raził brak politycznego momentu w „Przypadkach Mikołaja Doświadczyńskiego“, polskiego panicza, gdzie opowiada o jego wychowaniu albo raczej o braku tegoż, i o innych perypetjach życia polskiego, między palestrą lubelską a brukiem paryskim w rysach, chwyconych z życia — palestrę i Lublin znał przecież zasłużony prezydent sądu z roku 1768; nowy Robinson Crusoe ląduje w Utopji, gdzie ludzie żyją w stanie natury bez fatalnego żelaza, roztkliwiających książek i fanatyzujących księży (utopja Leszczyńskiego opierała się na całkiem innych podstawach — obie naśladował autor rosyjski, ks. Szczerbatow); rozbija się potem po morzach i lądach, aż, wyrzekłszy się, jak sam Krasicki, wszelkiej polityki, osiada i grzęznie na wsi. Ciąg dalszy „Doświadczyńskiego“ to „Pan Podstoli“, uczący, jak to w najwęższem kółku rodzinnem, gospodarczem, a choćby i sąsiedzkiem, nie rwąc się do żadnego czynu, działać z największym przecież pożytkiem dla siebie i swoich, jakich się trzymać zasad, co sądzić

o najrozmaitszych zjawiskach życia ziemiańskiego, jakby innego wcale nie było, począwszy od wychowania dzieci, a skończywszy na ogrodach, Żydach i książkach. Tak bowiem, luźnie i przypadkowo, samem kojarzeniem się myśli, bez ułożonego zgóry planu, powtarzając się i znowu odskakując, kreślił autor mądre i cenne uwagi, wynikające z ducha polskiego i dążące do jego utrwalenia.

Broniło się tu domowego trybu wymowniej i goręcej, niżby się oczekiwało po autorze „Monachomachji“ i „Satyr“; słowa o kościele i klasztorze nie godziły się z wielbicielem Nipuanów; w czasach pośpiesznego łamania wszystkiego, co sarmackie, ślepego naśladownictwa cudzoziemczyzny, były to uwagi bardzo wytrawne, spokojne i musiały niejednego zreflektować i opamiętać, stąd popularność dzieła, mimo braku wszelkiej akcji: zabrakło tchu na tragiczne, albo przynajmniej dramatyczne zawikłania. Najsłabiej wypadła „Historja“ człowieka, odmładzającego się i biorącego udział w akcjach historycznych od wypraw Macedończyka do Chrobrego, rezonerska, powstająca przeciw kultowi wielkich ludzi i czynów wojennych, dla nadmiernej trzeźwości właśnie ani trzeźwa, ani krytyczna, nużąca rozwlekłością i jednostajnością, jednak dowód niepospolitości i samodzielności umysłowej; nie dziw też, że i w Berlinie znaleźli się zaraz tłumacze i wydawcy (profesor Bernoulli, znany uczony i podróżnik); „Doświadczyńskiego“ w Warszawie wydano również po niemiecku.

W prozie jednak Krasicki był nietylko beletrystą, lecz i popularyzatorem, w kompendjach i encyklopedjach uprzystępniał ziomkom „zbiór potrzebniejszych wiadomości“ w najrozmaitszych materjach; w tłumaczeniach z Plutarcha, a w naśladowaniach z niego i Lukjana wystawiał naukę i żywoty sławnych mężów. Mniejsze rzeczy, powiastki moralizujące, nieraz wcale piękne, są przeważnie czy wyłącznie obcego pochodzenia; całą twórczość dramatyczną, mimo mądrych myśli i dowcipnego słowa wcale niedramatyczną, wyczerpującą się na potrzeby domowego teatru w Heilsbergu, można pominąć.

Obok tej wszechstronnej działalności literackiej nie zaniedbywał biskup obowiązków swego stanu, o czem poświadczyć może choćby kościół św. Jadwigi w Berlinie, postawiony na pamiątkę imienia ostatniej katolickiej kurfirstowej, córki Zygmunta Starego. Gdy ostateczny upadek kraju złamał lub odrętwił silniejsze organizmy, książę biskup, teraz arcybiskup i prymas, niby odżył, jakby

ten cios wywołał spóźnioną reakcję; nie opuścił ani załamał rąk: „podła rzecz rozpaczać“, „rozpacz — podział nikczemnych“, i, gdy wszyscy ucichli, „pięciu nas myśli, dwóch gada, jeden (on sam) pisze“; zabrał się do budzenia, do podtrzymywania i niecenia ognika, wydając pisemko „Co tydzień“, niby dawny Monitor, z powiastkami, lecz dni jego były już policzone.

Krasicki zajmuje samo czoło literatury stanisławowskiej. Jak król, i ta literatura nie odpowiadała najistotniejszym wymaganiom chwili, nie krzepiła ani porywała ducha; ale też, jak król, starała się wyprowadzić naród z zastoju i mroku, z zamętu przedpotopowych pojęć. Odwoływała się do rozumu, nie do uczucia; odznaczała się jasnością myśli, precyzją wysłowienia, prawidłowością formy. Język psalmików i panegiryków zardzewiał, zapleśniał i zubożał, zalany cudzoziemczyzną, spospolitował się strasznie; zapomniano o formie; plątały się myśli, jakieś oberwane, nie do ładu, przypadkowe. Otóż Krasicki, mistrz języka i formy, umysł rozległy i przenikliwy, wykazał najdosadniej, że jest i będzie literatura w języku narodowym; stworzył książkę polską i „gust do czytania polskiego“; przekonał niedowiarków, że smak, polor, dowcip i jasność, to nie monopol Paryża, że, byle chcieć i umieć, można dorównać obcemu wyrobem domowym. Pisał dla wszystkich o wszystkiem, nawet bajeczki i powiastki dla dzieci, tylko, wierny męskiemu charakterowi literatury polskiej, do kobiet osobno się nie zwracał, chyba przygodnie i krótko pouczał o obowiązkach i podawał wzory do naśladowania; nie wierzył w naukę abstrakcyjną, gabinetową (a i eksperymentalną wtedy podciągano pod tę rubrykę); wogóle zbyt głęboko nigdzie nie wnikał.

Walczył z przesądami; nawoływał do pracy („trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty“); wysoko stawiał przymioty rodzime, swojskość; nie zwodziły go blichtry; nie ustawał w wysiłku. Najwięcej zawdzięczał mu język: żeby ocenić postęp u Krasickiego, należy go porównać z Naruszewiczem lub Piotrowskim: ich język niewybredny, ciężki szykiem słów i doborem wyrazów przestarzałych, rubasznych i pospolitych; język Krasickiego mniej dosadny, mniej zamaszysty, zato połyska świeżością, gładkością, zgrabnością; wyzuwa się z niejednego bogactwa, ale nabiera giętkości i lekkości, do której tamtym daleko; ich rzeczy trącą mimowoli szkołą, cytacjami jakichś anegdot i historyj z pod ciemnej gwiazdy — Krasickiego światowe, wymuskane, przezroczyste. Dobroduszny uśmiech igra na wykwintnej twarzy autora; nigdy nie daje odczuwać swej wyż-

szości; ani widzisz, jak się do ciebie zniża; on przestrzega, nie łaje; namawia, nie zrzędzi; to nauczyciel, nie pedant.

Pierwszy to w Polsce od dawnych lat literat z powołania, nie z musu, nędzy czy nudów; jak Rej, Kochanowski i Potocki, służył ojczyźnie piórem, przeświadczony o ważności swej misji; on jedyny między spółczesnymi poświęcał się swemu zawodowi bez wszelakiego ubocznego celu czy względu, nie dla chwały i ambicji, nie dla zysku czy pochlebstwa, chociaż umiał schlebiać; wytworniejszych komplementów nie usłyszał chyba żaden inny monarcha, nad te, jakie roztoczył Stanisławowi w słynnem poświęceniu Satyr. W czasach powszechnego zepsucia on jeden nie kalał cynizmem swego pióra; naturę wytworną, wydelikaconą raziło wszystko brudne, gminne i obcesowe.

Obok wykwintnego, jowjalnego, towarzyskiego Polaka, staje ciężki, pedantyczny, mrukliwy Litwin, **Adam Naruszewicz**, równy powołaniem, rodem (niegdyś świetnym, a byli i Naruszewicze fautorami kalwinizmu), miłością ojczyzny, poza tem wszystkiem odmienny, począwszy od samej fizycznej brzydoty. Z więzów łaciny eksjezuita nie wyzwolił się nigdy zupełnie; dał poznać się tłumaczeniami Tacyta i wzory swe wydawał prozą i wierszem; w sielankach i bajkach jedynie uległ francuskiemu prądowi. Budził ducha, jak Krasicki, ale w stylu sarmackim: schlebiał, choć nie niegodnym; nuta osobista brzmiała u niego silniej: karcił, ale obcesowo, niemal namiętnie (np. prawił o regułach złotej wolności w Polsce: Chłopa na pal, panu nic, szlachcica na wieże); jako obywatel, nie stronił od polityki, w „Głosie umarłych“ wzniósł się do wymownej skargi na niesfornych i wyrodnych synów ojczyzny, a ruina ostateczna i jego złamała.

Poetą właściwie nie był; *facit indignatio versum*, mógł twierdzić o sobie, jak Juwenal; zakrawał więcej na uczonego i, jak Kochowski, przeszedł z poety na historjografa. Trafnie ocenił go król, gdy go powołał do swego boku i, wierny zasadzie budzenia z wiekowego letargu, jemu polecił wystawić zwierciadło dziejów polskich.

Dziwnie zaniedbane, odłogiem leżały te dzieje. Karmiono szlachtę bajkami o Kalimachu i rokoszu gliniańskim (chociaż Załuski pod przybranem nazwiskiem uprzątnął ten rokosz z historji), o niesłychanych i niewidzianych zasługach przodków. Do źródeł nie sięgano; Długosza w Lipsku wydali obcy, i dopiero po r. 1750 przystąpiono do ogłaszania źródeł łacińskich (w zbiorze Sasa, Mitzlera de Kolof, zasłużonego i na polu publicystycznem) i polskich

(w zbiorze Bohomolca); inne ważne publikacje źródłowe, to *Volumina legum* pijarów i kodeks dyplomatyczny Dogiela, wyświetlający zewnętrzne stosunki Polski.

Brakło opracowań; zagranica dostarczała żywotów Jabłonowskiego, Leszczyńskiego, Radziejowskiego (prymasa); pisarze pruscy, świeccy (Lengnich, Braun) i duchowni (Oloff, Ringeltaube), objaśniali konstytucję polską i literaturę, jej działy i dzieła pojedyncze. Potrzeba zaś wiadomości historycznych coraz rosła; wprawdzie Łojko rozjaśniał uroszczenia mocarstw rozbiorowych, lecz w swojskiej literaturze, prócz nieszczególnych podręczników Bielskiego i Wagi, nie było dzieła, któreby wystawiało ciągłość dziejów wymownie, wedle wymagań wieku, krytycznie, w duchu monarchicznym, któreby dowiodło, że, czego nie dokonał miecz obcy, to republikańskie zasady i instytucje, późne, nie pierwotne, zniszczyły Polskę, że wreszcie rzucić należy zgubne tory. W tym duchu Wyrwicz (jezuita) opracował konfederację gołąbską; krytyka niemiecka (Schlözera), uprzątała Lecha ku największemu niezadowoleniu Jabłonowskiego, który sam wywołał tę burzę, — „bodajbyście wisieli na haku złodzieje, Żeście w wieczne swój naród podając pośmiechy, Powyrzucali z kronik i Wendy i Lechy“ wołał szlachcic w satyrze Naruszewicza; całokształt dziejów domagał się wprawnej ręki, bystrej głowy, patrjotycznego ducha i wytrwałej pracy.

Wielką zasługą króla zostanie to, że przejął się ważnością zadania, że nie skąpił zachodów i kosztów, że wyszukał odpowiedniego pracownika, że go zachęcił i podtrzymał. Nigdy dotąd nie ułatwiano w podobny sposób pracy polskiemu uczonemu. Naruszewicz zabrał się raźno do dzieła; kopjowano dla niego materjały nawet po zagranicznych bibljotekach i archiwach, włoskich i szwedzkich (Albertrandi; tak powstały olbrzymie zbiory, Teki Naruszewicza, dziś u Czartoryskich); nakoniec w latach 1780 — 1786 pojawiło się sześć tomów, doprowadzających dzieje do r. 1386; na tem praca utknęła.

Stanisław August może wcale nie liczył na tak obszerne dzieło; krótsze byłoby widocznie dogodniejsze dla jego zamiarów; lecz to nie narusza zasługi Naruszewicza. Jak Karamzin w trzydzieści lat później, tak teraz Naruszewicz stworzył wiekopomne dzieło narodowe, chociaż jeden opowiedział tylko dzieje Rurykowiców, a drugi Piastów; u obu przeważały w tekście dzieje rządzących, Naruszewicz nawet jeszcze wystawiał lata, jak rocznikarz jaki; zato w obszernych przypiskach uwzględniali obaj dzieje wewnętrzne,

urządzeń, oświaty i t. d. i uprawiali właściwą krytykę; nawet ich styl jest podobny, wzorowany na historykach rzymskich, nieco pompatyczny, lubujący się w tacytowskich maksymach i aforyzmach. Dopiero w pół wieku później Lelewel i Roeppel postąpili znacznym krokiem naprzód, uwzględniając jeszcze liczniejsze źródła z jeszcze gruntowniejszym wysiłkiem krytyki i głębszem wnikaniem w ducha czasu; mimo niehistoryczności wieku XVIII najcelniejsza jego praca prozą to dzieje narodowe, a miały one i tę zasługę, że pobudziły innych do podejmowania dalszych badań.

Nie jedyna to praca historyczna Naruszewicza; „Żywot Chodkiewicza“ nie miał już prostować pojęcia republikańsko-anarchicznego, lecz budzić animusz bohaterski i w licznej ówczesnej literaturze biograficznej, między pracami i przeróbkami niezmordowanego Bohomolca (o Janie Zamoyskim, o Heidensteinie, o Jerzym Ossolińskim, o Tarnowskim z Orzechowskiego) i Kognowickiego (Żywoty Sapiehów) zajmuje najcelniejsze miejsce. Był więc Naruszewicz szczęśliwszym, samodzielniejszym w prozie, niż w poezji, gdzie wiele naśladował (choćby w satyrach Boileau'a, a w sielankach Gessnera), a formą nie celował i słusznie zarzucił z latami rzemiosło poetyckie, chociaż samem wydawaniem „Zabaw przyjemnych i pożytecznych“, gdzie umieszczał przeważnie swe wiersze, przysłużył się i literaturze pięknej: zawieruszały się tu i zabytki przeszłości, wieku XVII.

W literaturze pięknej Naruszewicz zachowa miejsce nie przez swój napoły jezuicki dramat o księciu niezłomnym, nie przez napuszone liryki i ckliwe sielanki, lecz przez satyry. Napisał ich tylko osiem, a i tu niemal połowę zapożyczył; lecz wypełnił je swojską, narodową treścią i nadał im własną formę. Nie zerwał, jak Krasicki, z sarmatyzmem słowa; u niego roi się od ozorów, kałdunów, momotów; od łuszczybochenków, gryzipacierzów, smażywiechciów; w guście dawnych intermedjów jezuickich prawi o kluczu Hołyszach i wioseczce Pożyczance z karczmą Nieoddajem; jak cała dawna literatura, z Potockim na czele, nie liczy się z delikatnem wysłowieniem, subtelnemi rymami; stąpa hałaśliwie i ciężko; siłą i plastyką wyrażenia, a ironją i oburzeniem zastępuje finezję i humor Krasickiego.

Najznakomitszą z tych satyr jest „Chudy literat“, aż nadto charakterystyczna dla nieuctwa i ciemnoty, zalegającej głowy, niewyszumiałe z saskiego obłędu, dla ciężkiego, niewdzięcznego szamotania się literatury z obojętnością i ospałością ogółu; najzjadliwszą „Re-

duty", w której puszcza przez rózgi szulerów, junaków, fircyków, mężczyzn i kobiety. Momentu politycznego w nich nie brak; główną walkę stacza się jednak z dawnym sarmatyzmem i ze świeżem rozpasaniem obyczajów.

Obok eks-jezuity Naruszewicza stawał pijar **Gracjan Piotrowski**; w „Satyrze", pisanym dawniej, przeznaczonym już molom na ofiarę, a potem (r. 1773) wydanym na nalegania przyjaciół, w tonie nadto kaznodziejskim i prozaicznym, naśladuje obcych, począwszy od Horacego, głównie pijara Guillemin, ale chłoszcze wady domowe. Rozmowa w bibljotece Załuskich, gdzie człowiek starej daty miesza Heroda i Herodota i chwali dawny tryb szkolny; skargi na upadek łaciny; na wzrastające nieposzanowanie księży i religji; na naśladowanie obczyzny; na gazeciarzów-romansistów, plotących byle co — czytano wtedy już obojętniej, ale co za drastyczny obraz miejskiego sądownictwa wystawił Piotrowski! Owe przykłady z Wielunia i Wąsosza, gorsze niż z Osieka! A jak wymowną jest jego skarga na brak miłości ojczyzny, na ucisk chłopski, za co Bóg karze Polskę; Francuz przepowiada nawet, że w razie najścia nieprzyjacielskiego „obrona niesforna, podejrzliwa, przekupna, spodlona, rozerwana na części, gorzej wam zaszkodzi", niż wróg.

Obok księdza Krasickiego stawał znowu ksiądz **Hieronim Juszyński**. Jego „Rymy i proza, skotopaski i miłostki" (1787—1789), oryginalne i naśladowane, kompromitowały chyba autora z powodu treści nieraz swawolnej; natchniony jednak Monachomachją napisał „Asketomorję" (albo „Zgromadzenie fartuszkowe czyli sejm mniszek"). Jest to oryginalna alegorja, księdzu bowiem chodziło nietylko o zdyskredytowanie panien zakonnych i ich świętobliwego życia, ale także i o satyrę polityczną, gdyż Gaudenty to Szczęsny, a hołota, otaczająca go, to Targowiczanie; ostatnia strofa prawiła bez wszelkich obsłonek:

Zniknął Gaudenty, a hydra bez głowy
Już nie swą duszą, ale obcą żyła.
Wtym przemoc, słysząc próżne głupców mowy,
Batogiem resztę łotrów rozpędziła;
Z nieznanych mnichów sejm zwoławszy nowy,
Cudowne na nim rzeczy ułożyła,
Które przyrzeka wkrótce muza stawić,
Aby się świat mógł uczyć lub zabawić.

Jest to jeden z rzadkich głosów o Targowicy i dlatego zasługuje na wyróżnienie. Przedtem Juszyński napisał „Żydoswaros", gdzie

za Myszeidą użył jako pretekstu śmiesznej bajki o wojowaniu Żydów (jak przechodzili w bród pole kwitnącej hreczki, niby morze czerwone, a tonęli w prawdziwej rzece), aby wystawić upadek znaczenia Polski, starania kilku patrjotów około podniesienia narodu, rozbijające się o niezgodę, niegotowość i niezaradność. Wodzowie tego wojska przypominają chyba Stwołowicze i hetmana, zdolnego muzyka, poetę, zasłużonego kilkunastowiorstowym kanałem około prowincji, lecz tyleż, co i Berko, znającego się na wojskowości. Wyłaniała się już Targowica, i na epigraf poeta użył motta o niezgodzie; projektowanego „Żydosgodos“ już nie napisał. Zato później jeszcze „Zajazdem“ dowoli nawymyślał Austrjakom.

Tendencje satyryczne nie wykluczały jednak bynajmniej zakusów panegirycznych, nadzwyczaj ponętnych dla ducha wieku, jak za czasów odrodzenia humanistycznego; chwalono się nawzajem, eskomptowano przyszłe zasługi, bo nie ufano widocznie sądom potomności — i słusznie. I u Krasickiego i u Naruszewicza znajdziemy nieraz przesadne chwalby cnót obywatelskich rozmaitych poczciwców, dla których było zupełnie zbyteczne siodłać Pegaza— w cnej sztuce chwalenia nie oni jednak prym osiągnęli. Odznaczył się w niej, aż do najobrzydliwszej przesady, nadworny poeta królewski, **Stanisław Trembecki**, jako człowiek i jako poeta pełen sprzeczności, niedomówień i niespodzianek. Talent miał znaczny, lecz rozrzucił go na same drobnostki, na kilka tłumaczeń (także dramatycznych, z przystosowaniem do polskiego ładu, wtedy ogólną słabostką), na kilkadziesiąt wierszów okolicznościowych, przymówek, satyr, pamfletów, epigramów i bajek; na wiersze opisowe.

Celował w cyzelowaniu robótek — najsłynniejsza z nich, najpóźniejsza, „Zofjówka“, pyszny opis pysznego parku tulczyńskiego pana. Cała jego zasługa leży w jędrnym stylu, nadającym nawet rzeczom nieważnym pozory ważnych, i w uderzającem, samowładnem panowaniu nad językiem, łamaniu go dowoli, kuciu wyszukanych przenośni i niezwykłych wyrazów; styl Trembeckiego olśniewał jeszcze młodego Mickiewicza, wzorującego własne przenośnie i zwroty na wierszach klasyka, naśladującego Horacego i Francuzów, szczególniej w wierszu swawolnym. Pisywał nietylko, jak wszyscy, w różnych działach, i bajki i listy i satyry i ody, ale i w różnym duchu, skoro nie miał przekonań, chyba że nienawidził Niemców i udawał rozmarzonego mrzonkami o słowiańskiej wzajemności. Pisał tak, jak wymagały chwila, interes, czy kaprys; to żałował jezuitów, to napadał na fanatyzm, był pobożny i zarazem

ateusz; zawsze jednak służył królowi i najdłużej przy nim wytrwał: z upadkiem króla i sam stracił równowagę i zdziwaczał czy zdziecinniał. Komedjant z niego skończony; przywdziewał każdą maskę, nawet bohaterską („pójdziem chętnie na trudy, na najsroższe boje“ on i Stanisław August!) z takiem przejęciem się, zapałem i werwą, że niewtajemniczony nie widział aktora; dowcip stopniował aż do ironji i sarkazmów, chłoszczących dotkliwie i szydersko ofiary gniewu, niestety, aż nadto zasłużonego; odznaczał się mistrzostwem formy, łatwością i trafnością wysłowienia; siłą przewyższał Naruszewicza, a gładkością Krasickiego; wyszafował je na Bielawskiego, Braneckiego, Węgierskiego, na kadzidła królowi i panom. To, co służyło chwili, z nią też gasło i nie bez przyczyny zdolny autor zaniedbywał swe płody, nie cenił bynajmniej swego powołania, nieraz ani się przyznawał do swoich wierszów.

Na Parnasie polskim to mniej zwykła osobistość, nieponętna wcale; nawet w wieku wzajemnej admiracji grubo przesadzał, gdy, sławiąc przymioty królewskiego pieska, pytał, mój że to obraz, czy pieska? tem bardziej, iż piesek o nic nie prosił, Trembecki zaś o wszystko, nawet i o biskupstwo! Zato też podejmował się dla króla różnych hazardów (nb. nieliterackiej natury). Sam paszkwilant, legając w piecu, drugich macał ożogiem, występując przeciw paszkwilom i „zwłoszałym Mazurom“, chociaż całkiem inne rzeczy pilniej wołały o poprawę; sam wielbił sejm czteroletni i sam go potępiał. Był to światowiec, nie ksiądz, jak Krasicki i wszyscy inni; dlatego w jego poezjach odzywa się ton odmienny; silnie wyraża hołdy kobietom, płci pięknej i słabej; oburzał się najwięcej na paszkwilantów, którzy nie przepuszczają damom.

Po długiej przerwie po Morsztynach pojawił się więc ponownie feminizm w poezji polskiej pod znakomitem piórem układnego, gładkiego dworaka. Zresztą, chociaż mówił o ludziach słabych i małych, używał najsilniejszych zwrotów i mimowoli zapadały one w pamięć, np. taki „Jedno miał takie serce Bóg, drugie dał Tobie (królowi)“ lub „Pół świata czcić cię będzie, drugie pół zazdrościć“ (koniec Zofjówki), albo w „Liście do posłów, powracających z Grodna“, od samego znamiennego początku: Z jakiem duszy rozdarciem, z jak głębokim żalem Witał swe niedobitki Rzym skonania blizki. Nie dziw więc, że i za klasyków warszawskich ceniono ten wiersz wytworny a silny, i Feliński wyrażał zdanie ogólne, gdy sławił poetę, toczącego „bez pracy wiersz ważny i gładki... zda się, że nie ty rymu, lecz rym ciebie szuka“.

Niżej, nie talentem, lecz losem, sławą i zasługami, stanął **Kajetan Węgierski**, dzięki swej krótkotrwałej acz rokującej świetne nadzieje karjerze literackiej — skończył on bowiem, jak zaczął Trembecki, zagranicą. Talent objawił nie w „Organach“, gdzie chyba na żart dla ramoty rozwałkował temat aż na kilka pieśni i poczynił spustoszenia głównie w starej literaturze saskiej, pokutującej na prowincji i po dworkach, — lecz w satyrach, o innym zakroju, niż u Krasickiego, a nawet Naruszewicza.

Węgierski nie zgadzał się z zasadą, że satyra ma bić czołem przed osobami a łajać obyczaje; on łajał osoby, widząc, jak się rozpanoszyły zbrodnie, bezwstyd i prywata; z jego satyr przebijała więc nuta osobistej nienawiści i odnajdywała silne echo w publiczności. Młody, porywczy, zrażony własnem doświadczeniem czy niepowodzeniem, opuścił jednak rychło stolicę i kraj i zginął dla literatury, w której chyba po śmierci zajął stanowisko — tak mało drukowano jego rzeczy za życia, tyle ich obiegało wyłącznie w odpisach, a jest między niemi i wiele cynicznych, w guście wieku. Na paszkwile i pamflety nastręczało się ciągle, od r. 1763 do 1793, aż nadto materji; głos zabierali republikanie, niezawsze obznajomieni z biegiem i znaczeniem wypadków; katolicy, rozżaleni na dysydentów (głównie na braci Grabowskich), trzymający się zasady: *tam diu Polonia libera, quam diu orthodoxa;* „rojaliści“, oburzeni zamachem „kondratów“; niedobitki partji saskiej (Rozmowa kawalera saskiego z senatorem polskim); nieprzyjaciele króla (O nędzna Polsko, wstyd ci niesłychany, Że tron twój rządzi wół, świnia, barany; od herbów), jego zalotności (Podkomorzynio! jakeś zdradziecka, w nocy Koronna, a w dzień Krzemieniecka).

Zaczynają te wiersze polityczne od samej elekcji; rozpierają się w nich jeszcze Augustowcy i Janowcy (Czartoryski i Branicki, Litwa i Korona); ani przypuszczając, co się święci, tryumfowała „Kabała Litewska“:

Osieroconej bez króla Koronie
Posadzą na tron następcę Pogonie.
Darmo proroctwa dalej pytać chcecie,
Już August Czwarty stanął w szczęścia mecie!!

Inaczej sądzili Korończycy: Gryf na tron polski ubiegnie Pogonią. Następne wypadki oświetlają paszkwile, sarkania na króla i senat (Oda wolności polskiej); najobszerniejszy między niemi: „Cnota uciemiężona, wolność obarczona. Komikotragedja; scena w Warszawie w pałacu maskowym“ (zamiast zamkowym) w siedmiu

aktach prozą, z przejrzystemi aluzjami i nazwami: Despot to król, Perekińczyk prymas, Umizgalski Krasicki lub Giedrojć, Obłudnicki biskup kujawski, Wielkomyślski ekskanclerz Zamoyski, Sobiebierski podskarbi Wessel. Intrygantom, królowi, prymasowi, szalbierzom politycznym, kierowanym najpodlejszemi pobudkami, przeciwstawieni są wywiezieni senatorowie i Zamoyski; kończy monologiem zwycięskiego prymasa, dumnego ze swej roboty i spieszącego do kochanki za dyspensą Repnina.

I przygody ościenne dawały temat, począwszy od wierszów szyderskich na Fryderyka II, o ucisku śląskim aż do wierszów, z powodu Oczakowa, na Katarzynę W. Powódź tych wierszów wzbiera gwałtownie w czasie Sejmu Wielkiego; biorą w nich udział i Trembecki i Zabłocki; na jednych sypią się pociski, na innych panegiryki, opisy burzliwych posiedzeń sejmowych z nawoływaniem ojczyzny do synów i t. d. Obierano wszelkie możliwe formy: politycznej bajki, parodji rzeczy świętych (Ojcze nasz, któryś jest w Wiedniu, Petersburgu i Berlinie; Wierzę w jednego boga Stanisława).

Największa ilość i najlepszych wierszów skupiła się około sesji sejmowej z r. 1789 na 1790; najgwałtowniejsze wycieczki posypały się na Braneckiego i jego popleczników (podłego Jezierskiego), na Ponińskiego; to już nie dawna bezzębna satyra, co „zamiast poprawić, jeszcze zabawi łajdaka“, ale cała kampanja literacka, znakomicie obmyślana i przeprowadzona; o jej tonie i stylu pouczy wiersz, niby wstępny:

Jestem teraz w robocie pisania żywotów
Wszystkich naszych łajdaków, szelmów i huncwotów;

lecz mylił się Zabłocki, tusząc sobie, że „się z wstydu choć jeden obwiesi ladaco“; gruboskórni przeciwnie domagali się inkwizycji i pala na paszkwilarza, na co ten bardzo słusznie odpisał Jezierskiemu:

To tobie wolno, błaźnie, błazna z błaznów plemię,
Bluźnić Bogu, lżyć króla, zdradzać swoję ziemię,
A ręce cnotliwego za uczciwe pióro
Masz zuchwale odgrażać palem i torturą?
Hola, błaźnie! ta ręka, Bóg moja nadzieja,
Skoro nie twoja, zatym nie ręka złodzieja.

Wiersze na hetmana są równie silne i trafne; mówi z nich nietylko zawiść; autor tych paszkwilów, stronnik pruskiego przy-

mierza wraz z „patrjotami“ (więc nie Trembecki), myślał bardzo trzeźwo, nie dawał się unosić chwilowym zapałom, więc, gdy stanęła uchwała stutysięcznego wojska, wypisał cięty wiersz na naszych samochwałów:

Stanęło sto tysięcy wojska. Są żołnierze.
Bogu chwała! Gdzież oni? Gdzieżby? na papierze.
Dajmy na wojsko — wszystko!... połowę mniej więcej!
Bogu chwała! Już i żołd jest na sto tysięcy.
Jedni płaczą, drudzy się śmieją rozrzewnieni,
Są miljony. Gdzież są? W każdego — kieszeni...
Jest obrona. W kim? Pewnie w boskiej opatrzności.

Pyszny także jest wiersz (Trembeckiego) p. t. Joannes Sarcasmus, nicujący strasznie literaturę polityczną. Godny to ostatni wolny głos upadającej ojczyzny i niedarmo po rękopisach zbierano osobno te wiersze. Kończą tę literaturę — pamflety Niemcewicza: „Ustawy Targowickie“; „Biblja Targowicka t. j. Księgi Szczęsnowe“ (parodja początku Ksiąg Mojżeszowych, tłumaczono i na niemiecki), wzór do nich dały Niemcewiczowi wiersze i proza biblijna; na Branickiego: „Hetman w ogrojcu“, „Hetman na krzyżu między Sapiehą i Suchodolskim“, „Ewangelja o Branickim“, „Psalm tegoż na Wielki Piątek“ — znakomite w swoim rodzaju, niestety, aż nadto prawdziwe, „Na hersztów Targowickich“ (inne, niewykończone, po rękopisach).

W ten sposób satyra i pamflet zajęły więc najcelniejsze miejsce w literaturze stanisławowskiej: właściwe uczucia wieku nie wylewały się w liryce, nie zawodziły skarg i żalów, raczej piętnowały zdrajców i odstępców, podłych, głupich i próżnych. Dlatego literatura ta oniemiała nagle po r. 1794, gdy już nie było miejsca dla satyry i pamfletu.

Uczucia obywatelskie, tak znamienne dla całej dawnej literatury, hołdy osobistościom, licujące nieraz zbyt mało z niemi samemi, a więc rzeczy rozumu i interesu, nie wyczerpywały piśmiennictwa. Byli i przedstawiciele uczuciowości, chociaż mdli albo ckliwi, jak: Juszyński i Minasowicz, sielankopisarze, ów hetman wielki litewski, „obywatel słonimskiego powiatu“ (Ogiński), który naśladował „Noce“ Junga i pisywał alegoryczne dramaty dla swego teatru (słonimskiego), zbierał liryczne, sentymentalne wiersze i tworzył „bajki i niebajki“, hetman-dyletant w guście Rzewuskiego, ustępujący mu talentem na każdem polu, ostatni z owych wielkich dygnitarzów Rzeczypospolitej, bawiących się w literaturę. Obok nich byli i prawdziwi powołani poeci, którym już sam tempera-

ment kazał wyrażać tkliwe uczucia; to, co do niedawna krążyło tylko po rękopisach czułych podsędków i rejentowiczów, teraz pojawiało się w formie udoskonalonej i w druku, chociaż wychodziło przeważnie z tej samej sfery i z głębokiej prowincji, stawało w kubraku sielskim, jakby dopełniając ową poezję partyjnej zawiści czy patrjotycznego ducha.

Najbardziej podobał się **Franciszek Karpiński**. Jego sielanki i pieśni wyróżniały się od szablonowych i konwencjonalnych sielankopisarzów-jezuitów, Ejsymonta i Naruszewicza, od nieskromnych sielanek Węgierskiego i Zabłockiego, jeśli nie głębokością, to tkliwością uczucia; nie sadził się na sztuczność, śpiewał, co jego samego bolało lub kołło i co odczuwali kochający: własne tęsknoty i pragnienia. Rozeszły się też jego pieśni po całej Polsce szlacheckiej; sentymentalne i rozłzawione „Justyna“ i „Laura“, trafiały w smak epoki, lubującej się w czułych albo czułostkowych bohaterkach; popularność ich przetrwała dziesiątki lat. Karpiński próbował sił swoich we wszystkich działach lirycznych; najlepiej powodziło mu się w religijnym, nie w przekładzie całego psałterza, gdzie nie dorównał mocy Kochanowskiego, lecz w pieniach, trafiających swą prostotą i szczerością do uczuć malutkich, dzieci i ludu (Kiedy ranne wstają zorze; Wszystkie nasze dzienne sprawy). W liryce patrjotycznej zdobył się tylko na wyrażenie żalu i rezygnacji (Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta), chociaż był szczerze przywiązany do ziemi ojczystej; szczególniej pierwsza zwrotka odbija silnem tętnem od łzawego zakończenia, a chociaż nie czytał Dantego, z nim się spotkał w myśli:

Ty śpisz, Zygmuncie, a twoi sąsiedzi
Do twego domu w goście przyjechali.
Ty śpisz, a czeladź przyjęciem się biedzi
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali.
Gorzkie wspomnienie: gdy szczęście przeminie,
Czemuż i pamięć o niem nie zaginie?

Uprawiał i poezję gnomiczną; a zniżył się pierwszy do naśladowania tonów ludowych w „Pieśni dziada Sokalskiego“, przejętej szczerym, zapóźnym żalem; w Mazurkach i t. d,; w „Ludgardzie“ stworzył pierwszą balladę polską, chociaż ta swym tonem nie przypomina Szkotów, lecz Heroidy owidjuszowe.

Sentymentalność, jedna z cech drugiej połowy wieku, wywołana naturalną reakcją, godziła się z panowaniem chłodnego i suchego rozsądku. Od ubóstwiania samego rozumu, niedającego

szczęścia, przechylano się mimowolnie do wynoszenia przyrody, jej niezmąconej prostoty i wdzięku, do uczuć tkliwej a szczerej przyjaźni i miłości, łudząc się jej pozorami, nie wnikając głębiej; ze stolicy i dworu, od gwaru intryg i zabaw, uciekano między pastuszków i pasterki, do świątyni dumania, tworzono kodeks i reguły czułości i stosowano do nich westchnienia i słowa. Ten sentymentalny nastrój zapewnił triumf romantycznym pieniom Osjana jeszcze przed romantyzmem: duchy, przez których cień przezierały gwiazdy, noce księżycowe, omszałe granity, szum wodospadu, smętne zawody miłości i sławy, tęsknota za utraconymi, znoje ciężkiej walki i niehamowanego bohaterstwa, potężny wpływ pieśni, arf i bardów — wszystko widziane czy odczute niby przez mgłę łez i przez wilgotne opary o zmroku, odbijające od słonecznej homerowej jasności, podbiło i przykuło uwagę całej Europy; fantastyczny świat staroceltycki narzucił się odrazu nietylko poezji: zaroiło się od Oskarów i Malwin (np. bohaterka romansu księżny Wirtemberskiej), od harf i bardów (u wszystkich poetów naszych aż do Kazimierza Brodzińskiego), od naśladowań, przeróbek i tłumaczeń: nawet śmieszek Krasicki pośpieszył od „Henrjad“ i „Pulpitów“ do przewierszowania, bardzo gładkiego ale równie mdłego, Osjana-Makphersona, zwabiony świeżym czarem; jednak sentymentalny Kniaźnin lepiej i zupełniej wywiązał się z tego samego zadania. Za nim tłumaczyli Tymieniecki, hrabia Ostrowski, Kazimierz Brodziński, Seweryn Goszczyński; naśladowali Kropiński i inni, lecz dopiero w „Lilli Wenedzie“ Słowackiego duch Osjana odżył najpełniej, aż nawet do najdrobniejszych szczegółów, do nazwiska Kraka, do roli harfiarzów, do wzgórza z omszaemi siedzeniami króla i bardów, śledzących wynik walki.

Jeszcze przed wszechpotężnym wpływem „Osjana“, z domorosłych wzorów i czynników, nawet z własnego temperamentu, urosła sentymentalność Karpińskiego i przez niego zawładnęła polskim Parnasem; była ona u niego nałogową, tkwiła nietylko w czasie i otoczeniu, ale w samej naturze poety, który całkiem na serjo słodkie łzy wylewał, wracając z podróży zagranicznej i całując ziemię polską. Z tą tkliwością szła w parze głęboka religijność, wyniesiona z domu rodzicielskiego i ze szkoły zakonnej, i niekłamany pociąg do życia sielskiego. Wprawdzie ambicja i nadzieje powodzenia ciągnęły autora „Zabawek wierszem i prozą“ do Warszawy, do Czartoryskiego i króla, ale nie zżył się z dworem i miastem, i uczucia, wyrażone w elegji „Powrót z Warszawy na wieś“

są znowu nierobione, lecz szczere, a chociaż i potem wracał jeszcze do Warszawy, oddał się rychło całkowicie życiu i pracy na wsi i zarzucił poezję.

Kochał przyrodę i umiał na nią patrzeć, czego najlepszym dowodem jest realistyczny opis „Podróży z Dubiecka na Skałę“, w towarzystwie panienek i ich madame i tego, jak się im tam powodziło. Zaprzęgał się i do dramatu, ale nie wywołał większych wrażeń tragicznych „Judytą“, macochą Krzywoustego, ani komicznych czy melodramatycznych swoim „Czynszem“. Jednak sam wybór tematów, nietylko w tej komedji (ze stosunków wiejskich), ale i w niektórych wierszach, odbiegał całkowicie od dawnej modły; rozrzewniał widokiem nędzy, cierpienia i miłości, był przejęty ciepłą sympatją dla maluczkich i biednych; wiał z nich duch nowy, tkliwy, chrześcijański, przeciwny panującej dotąd pogańskiej bezwzględności.

Pisywał i prozą, na schyłku życia, pamiętniki, ciekawe dla charakterystyki czasów, domowego życia i szkoły; dialogi Platonowe i t. p.; wcześniej, za Stanisława Augusta, przedstawiał pisma polityczne i estetyczne. Dla spółczesnych był tylko autorem Justyny i Laury, a może jeszcze tłumaczem Delille'a (Ogrodów); o samym poecie-człowieku zapomniano zupełnie.

Parze Krasicki-Naruszewicz odpowiada niemal para Karpiński-Kniaźnin, nietylko różnicą w temperamencie i stylu, ale nawet i w życiu. Jak Naruszewicz, tak i **Dionizy Kniaźnin** jest czulszy na wymagania ojczyzny; nuta patrjotyczna przebrzmiewała u niego czyściej i donioślej, czy to w pochwale wąsów (odę „Do Wąsów“ bardzo popularną, powtarzał każdy zbiór wierszów z czasów Sejmu Czteroletniego), czy w „Matce Spartance“, wyprawiającej syna do bojów za ojczyznę, czy nakoniec w „Matce Obywatelce“. Melodyjność wiersza odczuwał głębiej, niż Karpiński, zato był słabszy w wysłowieniu. Jest on ciekawy i jako typ poety nadwornego, jeden z ostatnich obok Trembeckiego; sekretarz starego księcia, nauczyciel młodych księstwa i poeta puławski uświetniał wypadki domowe, czyto, gdy w pierwszej montgolfjerze puszczano kota (rozwlekły „Balon“), czy gdy wypadało sławić zamęście Marji Czartoryskiej, czy też przerabiać dla sceny domowej Metastazja albo własnemi utworami („Cyganie“, z wplataniem motywów rodzimych, z życia wiejskiego, i inne) zasilać repertuar. To, co powiedział o „poecie ubogim“: „kto serce Muzom poświęca, niechaj zapomni o świecie“, sam wykonał; szczęścia dla siebie nie pragnął, żył dla muz, pogodny i czysty, a z upadkiem ojczyzny zesmętniał na śmierć;

nadzwyczajna wrażliwość już wcześniej wykolejała umysł z równowagi. Jego wiersze to ciekawy pomnik poetycki Puław, począwszy ich ducha i ludzi, aż do ulubionej suczki pałacowej.

Najbardziej charakterystyczne to owe próby dramatyczne, nacechowane puławskim, obywatelskim, patrjotycznym i narodowym duchem. Księżna generałowa podolska nie pisała dramatów ani komedyj, jak księżna Radziwiłłowa lub Katarzyna II, lecz z jej natchnienia wyszedł cały teatr Kniaźnina: ona to utworzyła treść Cyganów; ona wybrała piosnki Szymanowskiego i Kniaźnina, które oplotło jego „Troiste Wesele". Wysławieni tu i Mazur i Kozak, i, na długo przed „szkołą ukraińską", liryka ukraińska z własnym językiem dostała się na teatr puławski. W matce Spartance, w Teonie i synie Nikanorze, poznawano powszechnie księżnę i syna Adama; sława Puław szerzyła się po kraju i życzono takich Puław więcej.

Zamiarom księżny odpowiadał zupełnie Kniaźnin, rzewny i czuły, jak to wykazał choćby w Żalach Orfeusza, bez żółci i namiętności, jakim się wydaje nawet w swych bajkach, mimo prób dramatycznych i głównie opisowych liryk; między ówczesnemi autorkami do niego najbardziej zbliżona Konstancja Benisławska, pogodnym nastrojem głównie religijnej swej muzy, wierszująca hymny, psalmy i modlitwy, niby nowa Drużbacka, chociaż talentem mniejsza, jednostronna (Pieśni sobie śpiewane, Wilno, 1776). Od tej prostej, tkliwej, religijnej liryki odbijała sprośna XVIII wieku, cyniczna w rodzaju Vadé'go, Bouffleursa i innych Francuzów, bez ich gracji i swobody, rubaszna, rzadko dowcipna; — próbowali w niej sił swoich i duchowni, Minasowicz i inni, górowali zaś Węgierski i Trembecki.

Od tej liryki dworskiej czy sielskiej, zawsze pudrowanej i różowanej, odbijała żywo liryka patrjotyczna i religijna, niepisana, nieksiążkowa, która odżyła już dawniej, szczególniej w czasie największego napięcia obu strun, za Barszczan i w ich obozie, ani kunsztowna ani indywidualna; nie znamy nawet jej autorów; wyśpiewały ją niby same tłumy szlacheckie. Narodowy kult Marji święcił tu ostatnie triumfy; pod Jej hasłem „stawano na placu z Boga ordynansu"; jest to obozowa liryka patosu religijnego pod formami i zwrotami żołnierskiemi, wzruszająca naiwną, głęboką wiarą, w czasach afektacji tchnąca niekłamanem uczuciem; szorstka w słowie, a kulawa w rymie, pełna animuszu i nabożeństwa, poprzedniczka liryki legjonowej. Należała do niej i wizja-proroctwo kar-

melity, księdza Marka, niby dośpiew owych boskich „rekrutów“ i „parolów“, naiwny a ufny.

Wyżej się wzniosła, choć się tak szeroko nie rozeszła, liryka zesłańców, Załuskiego i Rzewuskich. W ciężkiej próbie zmężniał Załuski, otrząsnął się z pedanterji, nie stracił ducha i polecał się ufnie a gorąco łasce Pańskiej. Starosta doliński podziwiał hart sędziwego towarzysza, niezłamanego niewygodami podróży i coraz twardszą dolą, wilgocią i smrodem kurnej izby, gdzie wszystko spleśniało prócz jego lutni; porównywał los ich coraz bardziej przykry z coraz słabszym biegiem rodzinnego Zbrucza i piękny wiersz popsuł tylko zakończeniem w stylu saskim: „Ja się zaś najmniej w tym długu (chwalenia Ciebie wedle zasług) uiszczę, Który chcąc śpiewać, nie śpiewam, lecz piszczę“. Tę poezję patrjotyczną kończy godnie jenerał Jasiński, który przypieczętował śmiercią bohaterską 1794 r. swe wiersze polityczne; ale te wiersze (jak i inne jego, liryczne) krążyły niemal wyłącznie po rękopisach.

Poezja stanisławowska odznaczała się w dalszym ciągu dalej wielkiem i stanowczem, pierwszem ożywieniem dramatu; teatr polski musiał stanąć w Warszawie, skoro dawno go miały wszystkie cywilizowane narody; już w r. 1765 otworzył król pierwszą scenę polską „Natrętami“ Bielawskiego. Smutny wlókł żywot ten pierwszy teatr, nieraz niemiał na całe lata, to znowu go wskrzeszano; króla bawiła scena francuska i balet włoski, a troskę o teatr polski zwalał na innych. Repertuar opędzano tłumaczeniami i nadzwyczaj wówczas popłatnemi przeróbkami na ład domowy.

Wielkie zasługi położył ów jezuita-Białorusin, **Franciszek Bohomolec**, zadomowiony w Warszawie, wkońcu „konsyljarz króla IMci“: nie krępował się teraz regułami szkolnego dramatu, wykluczającego kobiety i miłość i swobodniej plondrował Francuzów. Humor jego jest niewybredny, charakterystyka ogólnikowa, ale „temu polskiemu Molierowi winne teatrum polskie poprawę swoję, on albowiem pierwszy w narodzie swym pisał podług reguł komedye“, twierdził o nim ks. A. Czartoryski w „Historji Nauk Wyzwolonych“ (r. 1766). „Zawsze wesół, zawsze rumiany“ syn Anakreonta, jak się sam nazywał, lubił ochocze towarzystwo, spijał winko z warszawskimi mieszczanami i kardaszył (bratał) się z nimi nieźle, ale przytem pracował na tylu polach literackich, że wyrył głęboki ślad w dziejach rozbudzającej się umysłowości: jako historyk czy wydawca Bielskiego, Stryjkowskiego; jako publicysta; jako komedjopisarz, uzupełniał satyryczne występy Naruszewicza, Piotrowskiego

i własnego Monitora; wystawił nawet jednoaktówkę, w której ofiary satyry Monitorowej: Modnicka, Umizgalska, Wymyślnicka, Pieniacki, Łakomski, Hajdamakiewicz, zmawiali się, aby obić redaktora. O najsłynniejszą z tych komedyj, „Małżeństwo z kalendarza“, na serjo się gniewano na autora, jakoby ubliżył narodowi (szlacheckiemu), wystawiając jego przesądy. Staruszkiewicz nie chce wydać córki za cudzoziemca Ernesta, szlachcica, bo „jakie ich szlachectwo, chłopi wszystko“ (nie mając sejmików), chociaż mądra ciotka, Bywalska, wykazuje pożytek z obcych dla podniesienia kraju; Staruszkiewicz swata pokojówkę za masztalerza: czy nie wiesz, że on szlachcic? — A mnie kat po jego szlachectwie! — Ale dziwna jesteś, albo nie wiesz, że każdy szlachcic może być panem, senatorem i... I masztalerzem! — Więc u ciebie lepszy ten chłop (sługa Ernesta), niż szlachcic? — Przepraszam, nie chłop — Jakże, to on szlachcic? — Ani chłop ani szlachcic, może być co średniego. — Cóż to takiego średniego? — Mieszczanie, lud uczciwy, którzy też nie są wprawdzie szlachta, ale też nie są chłopi. — Ha, ha! nie są chłopi. Tak to nowe pojęcia o *tiers état* szerzono z „teatrum“; spółczesna estetyka — francuska naturalnie, innej w Polsce nie znano — za radą i przykładem Diderota i Merciera, narzucając właśnie komedji cele dydaktyczne, poprawę obyczajów, smaganie przywar i występków, czyniła z niej niby szkołę moralności: zato tragedji rezerwowała wychwalanie cnót narodowych, heroicznych — ale tragedji w Polsce nie uprawiano wcale, a znaczenie komedji obniżało się nieco chociażby dla braku wybitniejszych talentów.

Komedje zbiorowe Bohomolca kilkakrotnie przedrukowano; za nim wysypał się rój komedjopisarzów, oryginalnych i tłumaczących, wierszem i prozą, czerpiących z francuskiego i z niemieckiego (komedje Gellerta, „Żona chorująca“ i in.). Znajdzie się między nimi i kasztelan łęczycki, Tadeusz Lipski, dyplomata, co to w roku 1791 chciał koniecznie restaurować jezuitów, autor dwu komedyj prozą, „Poczciwa Żona“ i „Mąż Poczciwy“ (cnota jednej, delikatność drugiego, sprowadzają na drogę obowiązku błądzących — akcji głównej towarzyszy poboczna; niebezpieczeństwa warszawskich flirtów, nawyczki cudzoziemczyzny wystawione już tu, około roku 1766); dalej są niezdary, jak Bielawski, Zawistowski i Wisłouch; naśladowcy czy tłumacze Destusza, Renjara, Moljera i Woltera, jak Stanisław Mycielski (Junak), Trembecki (Syn Marnotrawny, Sierota chiński) i inni, zasilający 58 tomików Teatru polskiego (podobne

„bibljoteki“ pojawiały się wtedy we wszystkich językach, np. i w rosyjskim); teatromani, jak Adam Czartoryski (tłumacz „Gracza“ Regnard'a, i „Dumnego“ Destouche'a, „z niektórymi do krajowych obyczajów odmianami“, wydawca kalendarza teatrowego); dygnitarze, na teatrum domowem (częstem już za Sasów) hołdujący muzom dramatycznym, a raczej Talji, jak hetman Ogiński w Słonimie lub książę biskup w Heilsbergu lub Mniszkowie w Dukli. Krasicki tworzył sobie sam swój repertuar, lecz nie cenił go i nie włączył do zbiorowego wydania swych dzieł, spychając autorstwo na swego kamerdynera, Mowińskiego. I książę Czartoryski wysuwał kamerdynera Belgrama, jako autora. Jego „Panna na wydaniu“, „Pysznoskąpski“, „Kawa“, „Koszyk“ bardzo się podobały; że rękę bogatej Pięknickiej otrzyma nie Fircyk, lecz żołnierz, było to zrozumiałe u dyrektora korpusu kadetów. Książę generał ziem podolskich był inaczej czynny, niż jego druh Krasicki, na najrozmaitszych polach, nie wymawiał się od służby krajowej, choć krępowały go rozmaite względy; pod imieniem Doświadczyńskiego wydawał nawet listy o edukacji synów i córek; oceniał trafnie literaturę, ale nadewszystko lubił dramat, zajmował się jego teorją i historją w starożytności, Szekspirem i coraz do niej wracał, w przedmowach i innych pismach. Największe triumfy sceniczne odniósł jednak inny autor.

Franciszek Zabłocki zaczął czynność literacką sielankami, a zakończył satyrami; kilka lat (1779—1784) poświęcił jednak dramatowi, wzbogacając teatr polski o kilkadziesiąt sztuk, głównie tłumaczonych i naśladowanych; on pierwszy oparł repertuar polski na trwałej podstawie. Pośpieszna praca nie dozwalała starannego wykończenia; sypiąc, jak z rękawa, coraz nowe sztuki, wyjątkowo tylko autor pogłębiał pomysł i wykonanie; farsy, jak „Balik gospodarski“ czy „Żółta szlafmyca“ (mająca dar odkrywania prawdy pod kłamstwami komplementów i życzeń) śmieszyły publiczność; samo oszukiwanie ojców, opiekunów czy zazdrosnych a starych mężów, przedrwiwanie lekarzów, adwokatów czy prowincjałów, bezczelność pokojówek i kamerdynerów, kierujących stale intrygą, opały amantów i amantek bawiły niewypowiedzianie; wedle zasady, podówczas ogólnie popłacającej, zamiast prostego tłumaczenia przystosowywano obce sztuki do normy polskiego życia całkiem zewnętrznie, prostą zamianą nazw obcych na polskie, np. w „Wesołych Kumoszkach“ Szekspira (t. j. w ich francuskiej przeróbce *Collot d'Herbois*) Zabłocki zamienił Falstaffa na Chwaliburcę a Windsor na pogranicze śląskie z panią Oberżer i Zawieruchą.

W ten gust dużych dzieci trafiał Zabłocki, tłumaczący całkiem przypadkowo, na chybił trafił (a za nim i inni tłumacze postępowali z równą niewybrednością), i starych i nowych, Molière'a i Beaumarchais, wielkich i małych (zapomnianych dziś Capistranów, Palapratów, Romagnesich, Favartów); dowcipu i pomysłowości zaprzeczyć mu niepodobna. Z olbrzymiego jego repertuaru wyróżnia się niewiele sztuk, między niemi górują „Sarmatyzm“ i „Fircyk w zalotach“. „Sarmatyzm“ samą nazwą już zdradzał, o co chodziło, — o wyśmianie głuchej prowincji z jej saskiemi narowami, z jej pieniactwem i pijaństwem; z pieczeniarzami, ciągnącymi pożytek z jednego i drugiego; z rodową ambicją, święcącą triumfy, jeśli się uda rywala „podsiąść“ (siąść wyżej od niego); z bezdenną głupotą: dwie rodziny sąsiedzkie, Góronosów i Żegotów, ujadają się w kłótniach i nieustannych zatargach, póki tych zagonowych Montekich i Kapuletów nie pogodzi czuła para; junak Burzywój, używający w trunkowej aurze, w wyziewach alkoholicznych, jakiemi przesiąkły dworek Góronosa, a głównie jego małżonka Ryksa; lokaj Walenty, niemogący oprzytomnieć, że był raz w Warszawie — tworzyli element komiczny, słabo zrównoważeni przez dodatnie typy młodszej generacji. W „Fircyku“ za Romagnesim wystawił Zabłocki warszawianina na prowincji, pewnego zwycięstw, triumfującego przedwcześnie, natykającego się niespodziewanie na przeszkody, lecz szczęście, które w Warszawie opuściło szulera, sprzyja na prowincji lowelasowi i ratuje go z toni; i samego autora zwyciężył Fircyk, zamiast pogardy, jaką go inni piętnowali — z fircykami najzawzięciej walczył Naruszewicz — odnoszący dank w tym turnieju o rękę i serce ciepłej wdówki: gdy u innych komedjopisarzów Fircyk zawsze uchodził pobity, Zabłocki dla filuterności i bonhomji rozgrzeszył go i uwieńczył wawrzynem. W innych sztukach, „Zabobonniku“ (esprit fort, nawet i bez choroby, wierzy w upiory, co inni wyzyskują), „Doktorze Lubelskim“ (od Molière'a wyśmiewanie Eskulapów i ich łaciny należało do dobrego tonu na scenie) zacierały się rysy polskie, i sztuka prócz języka czy jakiegoś epizodu nie była polską.

Od Bohomolca, a nawet Czartoryskiego i Krasickiego Zabłocki znacznie się różnił: ich słowny dowcip i zacne tendencje nie mogły zastąpić braku sceniczności; sztuki Zabłockiego odznaczały się właśnie przymiotem sceniczności, chociaż autora krępowały fatalne „jedności“, chociaż się nie liczył z prawdopodobieństwem i dostatecznem umotywowaniem każdego kroku, chociaż, wierny wzorowi

francuskiemu, nadrabiał retoryką i lubował się w przydługich tyradach rezonerskich albo czułostkowych, spłacając hołd postępowi i modnej sentymentalności. Język jego był świetny, wolny od chropowatości poprzedników, płynny, wdzięczny, a mimo to niepozbawiony siły; żyłka komiczna obfita, chociaż wcale nie przebierała w środkach wywoływania efektów. Jednak zbyt głębokiego wrażenia te ciągle odmieniające się sztuki nie wywierały; publiczność witała je bez zapału i byle jaki melodramat, choćby taka „Nędza Uszczęśliwiona“, przejmował ją głębiej.

Pierwszym, który wstrząsnął publicznością polską ze sceny, był **Juljan Ursyn Niemcewicz**, którego nazwisko odtąd przez lat czterdzieści coraz się będzie powtarzało. Dotychczasowa komedja nie grzeszyła aktualnością, choć wprowadzała typy spółczesne; „Sarmatyzm“ a nawet i „Fircyka“ można było napisać kiedykolwiek, i odżyli oni rzeczywiście, lecz wyszlachetnieni, w pół wieku później, w „Zemście“ i „Ślubach Panieńskich“. Ale „Powrót Posła“, komedja w trzech aktach, napisana przez posła, słynnego z wymowy i dowcipu, wpływającego na publiczność „Gazetą narodową i obcą“ (pierwszą polityczną), wystawiona w chwili ogłoszenia konstytucji trzeciego maja, wyszydzającą tę Targowicę umysłową, która miała niebawem wystąpić w rzeczywistości i wszystko zniweczyć, broniąca z niekłamanym żarem postępu i reform, apelująca do rozumu, sumienia i godności narodowej — pierwsza zelektryzowała i rozentuzjazmowała publiczność polską.

Z sukcesem tej komedji nie mógł się mierzyć żaden późniejszy, chociaż sukces należał się raczej programowi i tendencji, niż sztuce. Przedstawiono tu również i „Sarmatyzm“, i „Fircyka“; sarmatą, choć wódką nie przesiąkł, był starosta Gadulski, szkodliwszy i niebezpieczniejszy, niż Góronos, płaczący rzewnie nad naruszeniem saskich porządków, gdy „tknąć się śmieli okrutnicy *Liberum Veto*, tej to wolności źrenicy“, elekcji, przy której się świetnie zarabiało, żyło i biło, aż obce wojsko wkroczyło i wszystko pogodziło, sejmu sześcioniedzielnego, który nie dochodził, więc i podatków nie mógł podwyższać. Fircykiem był Szarmancki, który zwiedził obce kraje, a z nich poprzywoził nie manierę rządu i obyczajów, lecz sprzączki i guziki i, domowy Don Żuan, popisywał się niezliczonemi zwycięstwami nad płcią słabą wszelkich wieków i stanów, głupszy i podlejszy od pierwowzoru.

Nie oni jednak rej wodzili, nie im należał się sukces, widoki na lepszą przyszłość; podkomorzy krytykował dosadnie, w tonie

satyry Krasickiego, a raczej Naruszewicza, wychowywanie francuskim zwyczajem młodzieży, płeć piękną, dawną anarchję; ujmował się za sejmem, niesłusznie czernionym, chociaż sam przyznawał, że „nie zrobił tyle, co mógł, ale zważając, jakie znajdował trudności, za to, co zrobił, wiele winniśmy wdzięczności“ i wołał w zrozumiałym optymizmie:

Dziś się sława narodu i powaga wraca,
Obywatel z radością podatek opłaca;
Mamy dziś sprzymierzeńca, mieliśmy wprzód pana;
Skarby złotem, zbrojownie śpiżem napełnione!
Będą jeszcze dla Polski dni świetne wrócone,
(Byleby naród) uwodzić się namowom przewrotnym nie dawał
I w zaczętej już pracy nigdy nie ustawał!

Mniej nowem było wyszydzenie starościny, sfrancuziałej Polki z jej plentami i atandrysowaniem się, żądającej, aby naprzeciw kabanki w boskiecie wyrzucono karczmę z młynem i brzydkim Żydem, jej przeczulonej sentymentalności; zato nowszem jest wkładanie nawet w usta jej Agatki słów obrzydzenia przeciw dręczeniu ludzi; ona stanowczo nie chce mieć męża, co z urzędu daje ludziom plagi, ani chce widzieć nad łóżkiem zawieszonego kańczuga. Humanitarne stanowisko wobec kwestji włościańskiej zaznaczył Niemcewicz jeszcze dobitniej w dramacie, sławiącym króla chłopków, wystawionym w następnym roku (1792), w rocznicę konstytucji, w pracy, skleconej w kilka dni, budzącej aluzjami nieskończone oklaski, podniecającej nawet króla do heroicznej szarży („Kazimierz W.“).

Obok Zabłockiego, poświęcającego kilka lat najpłodniejszej pracy teatrowi, i Niemcewicza, zawdzięczającego powodzenie aktualności tematów, nie sztuce, stanął prawdziwy teatroman, **Wojciech Bogusławski**, jako aktor, reżyser i dramaturg, poświęcający się sztuce polskiej całkowicie, nie, jak tamci, chwilowo czy przygodnie. Pisał, tłumaczył i przerabiał wszystko możliwe; repertuar podtrzymywał nietylko francuszczyzną, ale wystawiał bez skrupułów Lessinga, Szekspira (naturalnie poprawionego, ogładzonego z prostactwa i dzikości) i Sheridana. Niewybredny komizm „Spazmów modnych“ miał powodzenie, póki zupełnie nie zwietrzał typ starościn Gadulskich; innym sztukom nadawały chwilowego znaczenia chyba okoliczności, np. aluzje do czasów teraźniejszych, nawet w sztukach „indjańskich“. Ale tylko jedną sztuką udało się Bogusławskiemu zelektryzować publiczność warszawską tak, że po trzeciem

jej wystawieniu Igielstrom dalszych zakazał: „Cud czyli Krakowiacy i Górale“, wystawiony nie po Racławicach, lecz przed niemi, jakby je zapowiadał. W oczach ujarzmionej Warszawy stanął nagle lud, nadzieja patrjotów, gotujących powstanie, lud świeży i dzielny, nieznający trosk, rządzący się swoim trybem. Treść była nikła, zapożyczona w głównym wątku z francuskiej sztuki ludowej, ale śpiewy pełne temperamentu i muzyka Stefaniego dodały jej znaczenia i uroku, jakby lud istotny rozśpiewany i roztańczony wkroczył na scenę. Odświeżył w niej Bogusławski wspomnienia młodości, użył gwarowego języka, narodowych zwyczajów, postaci ludowych i wstrząsnął publicznością. Było to jego największe, najtrwalsze powodzenie.

Jak komedje, tak i romans polski stworzyła dopiero literatura stanisławowska. Były dotąd tylko jego nikłe zadatki: po drukach powieści ludowe, po rękopisach romansidła, wierszem i prozą. Teraz wyszło zgórą dwieście romansów, wszystkie naturalnie prozą, niemal wszystkie, niestety (jak i komedje), tłumaczone. Spółczesna literatura rosyjska liczy trzy razy tyle romansów, mimo to nie wydała ani „Doświadczyńskiego“ ani „Podstolego“. Tłumaczono wyłącznie z francuskiego, nawet Hiszpanów (Cervantesa romans pasterski, Galateę, i Don Kiszota), i Anglików (głównie Fieldinga); nie poznano więc prawdziwego Robinsona, tylko lichą bajkę francuską, podobnie i Guliwera Swifta. Tłumacze zaciągali się do tego cechu ze wszystkich sfer, wieku, płci; szczególnie wiele między nimi kobiet, począwszy od „zacnej weteranki“ (jednej z „miłej trójcy świętych pań“ warszawskich, Barbary Sanguszkowej), od kasztelanowej bełskiej, Kuropatnickiej, a skończywszy na pani Narbutowej, pannie Czermińskiej i na cudzoziemce, pani Zuzannie de Serponti, która przetłumaczyła „Zwierzenie i poufanie ładnej kobietki“ 1779 r. z *Les confidences d'une jolie femme* panny d'Albert (Paryż 1775). Między mężczyznami wymienić wypada młodego Niemcewicza, kruszącego kopje za rycerskiemi romansami, przelewającego w czytelników własne przesadne ku nim uczucia; inni tłumacze główny nacisk kładli na stronę pożyteczną, dydaktyczną, moralną tych fabuł, które zresztą tak mało cenili, tak mało zaliczali do właściwej literatury, że, szczególniej poważniejsi, nawet imion swych nie kładli na tych tłumaczeniach, jako na robocie zbyt błahej, niegodnej ich stanowiska. Pierwsze więc występy literackie Niemcewicza, to przekład Bandota „Historja sekretna Jana de Burbon“ (1779), i pani Caûmont „Historja królowej Nawarry“ (1781); w przedmowie

prawił Niemcewicz nawet o towarzystwie, zamierzającem tłumaczyć francuskie romanse „najlepsze, najzabawniejsze, słowem te, w których najdokładniej słodycz z użytkiem spojone“. Tłumaczeniem romansów zakończył czynność literacką Zabłocki: wydał w r. 1794 „Tom Jonesa“, z przedmową ks. A. Czartoryskiego, polecającą autora i dzieło; potem przyoblókł w Rzymie sukienkę duchowną i zawód zakończył jako proboszcz końskowolski (u Czartoryskich). Między tłumaczami należałoby dalej wymienić profesora krakowskiego Przybylskiego; lekarza Weichardta (wydawcę „Organów“); Węgierskiego; Czackiego; Wolickiego; Makulskiego; porucznika wojsk rosyjskich Bykowskiego; kasztelana Podoskiego (tłumacza Don Kiszota), Szymanowskiego i in.; niejedno dzieło znajdowało kilku tłumaczów, np. „Galatea“ Cervantesa-Florjana księżnę Wirtemberską i drugiego tłumacza. Wybór przekładów niezawsze bywał szczęśliwy; sięgano do rzeczy przestarzałych, dawno zapomnianych w samej Francji (Minasowicz wznawiał choć rękopiśmienny romans o Bonie), albo do słabych naśladowców, pomijając mistrzów: miejsca Pawła i Wirginji, Nowej Heloizy, Cierpień Werterowych, Sterna zajęły utwory z pod ciemnej gwiazdy; pomijano dalej romanse historyczne, przeładowane antykwaryczną uczonością, z dziejów egipskich, greckich i innych (co właśnie tłumaczyli Rosjanie; u nas nie było nawet słynnej „Banizy azjatyckiej“); wybierano zato romanse czułe i moralne albo i niemoralne („Djabła kulawego“). Niezasłużonej popularności dostąpił Marmontel, szczególniej jego „Belizarjusz“, nie tak dzięki historji, jak raczej wolnomyślnym tyradom, które sprowadziły na niego gromy Sorbony a łaski Katarzyny W. (jednej z tłumaczek) i St. Augusta. Język przekładów bywa bardzo nierównomierny; gładko tłumaczą Węgierski (Marmontela), Niemcewicz, Zabłocki, inni nie umieją albo nie zadają sobie trudu.

Z tej powodzi obcych romansów polskich wyróżnia się niewiele: „Awantura Fortunata nieszczęśliwego“ Ignacego Mickiewicza, gdzie tylko nazwiska są polskie a wykonanie tak niedołężne, że dziwi nas czterokrotne wydanie; „Polak w Paryżu“ (r. 1787), o przygodach panicza, opadniętego przez trutnie paryskie, szulerów i aktorki, ciekawy dla sądów o sztuce, mianowicie dramatycznej z wielkiemi pochwałami dla Szekspira. Inni naśladowali Krasickiego: najwytrwalej czynił to ks. Krajewski, pisząc za „Doświadczyńskim“, „Wojciecha Zdarzyńskiego“ (r. 1785), wystawiając obszerniej tryb szkolny i kreśląc również utopję z Sielanami (niby wieśniakami!); za

„Podstolim“ napisał „Panią Podczaszynę“ (1786), wzór wszelkich cnót domowych i umysłowych matrony polskiej, która nawet oduczyła męża pijaństwa. Bardziej niewolniczo poczynał sobie w „Podolance wychowanej w stanie natury“ (1784), ograbiając z wymysłu i myśli bezimiennego Francuza i zbyt surowo czy lekceważąco oceniając literaturę polską: oba szczegóły wytknięto mu w spółczesnej polemice; sięgnął nawet i po wyższe, Telemakowe, wawrzyny i napisał poema prozą o „Leszku Białym“ i jego mądrym mentorze, Goworku, rozprawiającym w wysoko politycznych dyskursach, jak u Fenelona, tylko o innych materjach, z czasu przed Sejmem Wielkim. Z więk. szem powodzeniem tej pseudohistorycznej formy użył publicysta Kołłątajowski, ks. Jezierski w tym samym „Goworku“ (powieści wyśnionej, 1789 roku), bijącym głównie, namiętnie na Branickiego (jak i spółczesny „paszkwilant“ w wierszach) jako przedstawiciela klasy wielmożów, którzy na ojczyznę sprowadzili wszelkie nieszczęście; w „Rzepisze, matce królów“ (1790 r.) wystawił staropolską sielankę łagodnych, niewinnych dzieci przyrody. Liczbę tych arcyniezabawnych utworów dopełnia ks. Kossakowski (osławiony biskup; jako pisarz zasłużył na wdzięczniejsze wspomnienie). Skreślił jeszcze przed Krasickim, choć później wydał. „Ks. Plebana“ (1786), wystawiając ideał księdza, potem „Obywatela“, gdzie ojciec i syn, który powrócił z zagranicy z gotową reformą, oceniają w rozmowach opłakany stan kraju (sejmikowania i t. d.) i wprowadzają poprawy: w obu dziełach niema wątku powieściowego.

Cały ten romans polski — a raczej niepolski — zajmuje właściwie tylko miejsce początkowego czytania, na którem ludzie, szczególniej prowincja, znowu się powoli przyzwyczajali do książki, od której za czasów saskich zupełnie odwykli. Jak „się gust do czytania po wsiach rozmnożył i komu za to ledwie nie najbardziej dziękować należy“ stwierdzał Król w liście do Krasickiego (za „Podstolego“) i już „stawał się pokup tych książek dosyć zyskowy, tak żebym mógł życie zachować, chociaż nędzne, pisaniem“, zauważył Kossakowski we własnym pamiętniku.

Nad prozą powieściową, bynajmniej niezabawną, raczej pouczającą, moralizującą a przedewszystkiem sentymentalną, góruje proza polityczna, pełniąca, jak i poezja stanisławowska, służbę obywatelską, wypleniająca przesądy z umysłów, dzikość z serc, barbarzyństwo z mowy. Wprawdzie już Leszczyński i Konarski wywojowali prawo językowi polskiemu w materjach *status* i odtąd łacina zanikła na zawsze; projekty, pisma, polemika Zamoyskiego,

Staszica i Kołłątaja pisały się i toczyły wyłącznie w języku narodowym.

To zamilknięcie łaciny — niestety, tak spóźnione, było również cechą charakterystyczną literatury stanisławowskiej, po raz pierwszy polskiej. Dotąd poważnie pisało się w języku serjo, t. j. łacińskim, jakby polski służył tylko baraszkowaniu; były wprawdzie wyjątki, ale za Sasów łacina jeszcze stanowczo przeważała; temu rozszczepieniu literatury, w narodowym i obcym języku, położyli kres dopiero pisarze stanisławowscy. Odtąd literatura polska posługuje się wyłącznie językiem własnym; język obcy rugują nawet z sądów i szkoły; proces, dokonany wcześniej na Zachodzie, dopełnia się nareszcie i w Polsce, która wraz z Węgrami, najdłużej pozostała niezdobytą twierdzą łaciny.

Zmienił się i duch nowej prozy, nietylko jej szata zewnętrzna. Wprawdzie Konarski, podważywszy *Liberum Veto* i w teorji, po wydaniu „Sposobu“ zamilkł, jako pisarz polityczny; wrócił on do założenia swego zakonu, do szkół, wydając łacińskie swoje liryki, szlachetne tendencją i myślą, nie formą czy polotem, i łaciński podręcznik, o sztuce dobrego myślenia, potrzebnej dla sztuki dobrego mówienia; następnie zwrócił się do obrony prawowierności przeciw deistom w polemicznem piśmie „O religji poczciwych ludzi“. „Sposób“ chwalono w wierszach i prozą; znajdowali się wprawdzie i tacy, którzy się jeszcze silili na dogadzanie zastarzałemu wrzodowi (Sienicki); większość narodu z obcemi gwarantami obroniła nawet *Liberum Veto*; nic więc Konarskiego nie mogło pociągać do czynności politycznej.

Przez lat niemal dwadzieścia milczała ta literatura; cisza to niby przed burzą, nim się zerwą pierwsze ptaki; przerwało milczenie chyba wymowne *Suum cuique* młodego Czartoryskiego, gdzie na każdego i wszystkich zwalał odpowiedzialność za fatalne błędy, a z tej niby spowiedzi i powszechnej skruchy odsłaniał myśl pogodzenia się i silnego ujęcia. Broszurę przypisywano Konarskiemu: większej pochwały nie można jej było oddać; w istocie przyczynił się do niej Naruszewicz.

Gdy literatura polityczna w kraju milczała, odzywały się jej głosy zagranicą. Wielhorski, zastępca Barszczan w Paryżu, wezwał Francuzów, uprzywilejowanych mędrców, filozofa (Rousseau) i polityka (ks. Mably), aby spisali swoje uwagi o Polsce, jej formie rządów i naprawie. Francuzi wywiązali się niezgorzej z zadania, chociaż filozof-idealista daleko wtyle pozostał za politykiem-rea-

listą, obeznanym do tego o wiele lepiej (przez podróż polską), z istotnym stanem rzeczy. W jednem zgadzali się obaj: nie wierzyli już w polityczną niezawisłość państwa; republikaninowi zresztą imponowały i elekcja i liberum veto i konfederacje; w istocie doradzał i on to, co i monarchista: oświecajcie się, to was podzielą, ale nie strawią.

Pisma Wielhorskiego i Wybickiego, jak i ekonomiczne traktaty Popławskiego i Strojnowskiego, nie wzbudziły powszechnej uwagi, chociaż ujmowały z najrozmaitszych stron kwestje polityczne i ekonomiczne; Wielhorski, republikanin, nie uznawał innych stanów, prócz szlacheckiego, Wybicki napróżno przygotowywał opinję publiczną do zasad Zamoyskiego i jego księgi praw; jego „Listy patrjotyczne“ traktowały rzecz bardzo spokojnie i rozważnie; obaj profesorowie, krakowski i wileński, wykładali ekonomję polityczną całkiem niemal abstrakcyjnie, nie badając specjalnie stosunków polskich; wszyscy podnosili potrzebę ulżenia „oppressyi“ włościan, czy w imię sprawiedliwości, czy, jak Wybicki, w imię potrzeb państwa, którego dobrobyt i zaludnienie — spojone z sobą nierozerwalnie — nigdy się nie wzmogą bez zniesienia poddaństwa; jednak poza ogólniki nie wychodzili. Dopiero w drugiej połowie lat osiemdziesiątych ożywiła się ta literatura, a wylała z brzegów podczas Sejmu Wielkiego.

Sygnał do jej ożywienia dało „nieco żywsze“ wystąpienie ks. **Stanisława Staszica**, niby okrzyk zgrozy, budzący naród, zawieszony nad przepaścią. Gdy na listy Wybickiego zdobyto się na odpowiedź dopiero po czterech latach, i to raczej tylko z powodu projektu praw Zamoyskiego, odrzuconego jednomyślnie, pismo Staszica wywołało dwadzieścia dwa inne; wszystkie one wychodziły bezimiennie i niełatwo odszukać autorów. Staszic miał przynajmniej słuszne przyczyny, by występować bezimiennie; mieszczanin, dlatego zmuszony wstąpić do stanu duchownego, choć nie czuł żadnego powołania, wykształcony gruntownie, zagranicą, w Paryżu, szczególniej w naukach przyrodniczych, przejęty uwielbieniem dla Buffona, a przesiąknięty Russem, należał do grona, skupiającego się około Andrzeja Zamoyskiego, jako wychowawca jego dzieci i od „Pochwały“ Jana Zamoyskiego przeszedł do swych „Uwag“ (1785), mając na oku różnicę między dawnym, kwitnącym stanem Polski, a dzisiejszym, upadłym.

Dziełko jego odskakiwało od dotychczasowej normy, chociaż układem zewnętrznym przypominało nieco „Głos Wolny“; było

wymowną, gorącą, namiętną odezwą do czci i sumienia narodowego, nie zbierało trwożliwie i oględnie argumentów, aby trafić do rozsądku; targało za serca, wystawiając hańbę upadku; stawiało radykalne żądania, których nie spełniła konstytucja trzeciego maja, zadowalająca się samem minimum, „cząstkowa, połatana“, a mimo to nieustrzegająca reformy od zamachu Targowiczan. Ustanowienie silnego rządu i dziedzicznego tronu, rozstrzyganie zapomocą większości, uwolnienie włościan — kim innym zapełnią się kadry większego, niezbędnego wojska? — oto czego żądał, a żądania popierał groźbą nieuniknionego, rychłego upadku.

Pismo było bardzo niejednolite, kończyło się historycznym obrazem działalności Jana Zamoyskiego, a zaczynało się dyskusją wszelkich materyj, edukacji i innych wewnętrznych stosunków; przechodziło do zewnętrznych, omawiając jedne obszernie i gruntownie, drugie zbywając króciutko; między obie części wstawiony jest obraz Polski. Albowiem namiętne uczucie upokorzenia i obawy o przyszłość rozsadzało pierś autora: podpisuje on przedmowę z Heilsberga, bo popłacały nowalje warmińskie; udaje obywatela zakordonowego, tęskniącego, upominającego, a patrzącego zdala, niewmieszanego w nic, bo mieszczanin rzeczywiście do niczego nie należał. W rozumowania wplatał obrazy przyrody polskiej, ludu włościańskiego, opuszczającego swe zagrody dla opresji pańskiej; elekcyj, niby wolnych; rozczarowania, gdy król podpisem ulegalizował rozbiór. A nie żałował barw. Z pismem nie zwracał się ani do króla ani do panów, których posądzał i nienawidził, lecz do narodu szlacheckiego: „wielki narodzie, do pokądże w tej nieczułości trwać będziesz? Czyliż tak ginąć myślisz, aby się nic po tobie nie zostało, jak tylko niesława? Niemasz przykładu, żeby osiadłych na najobfitszej ziemi, udarowanych przez naturę szczególnemi przymioty, kilkanaście miljonów ludzi bez sposobu ratunku, owszem bez myślenia o sobie, z oziębłością, niewoli czekało“. Ginęły i inne narody, za przykład służyć może Kartagina, lecz bez walki, sromotnie, jednaż Polska ulecby miała?

Jak styl — z urywanemi zdaniami, wysłowieniem nieraz chropawem, zapadającem jednak głęboko w myśl, — jak treść, tak i tendencja nie była jednolitą. Jako republikanin pragnął demokracji, t. j. równych praw i obowiązków dla wszystkich, ale jako patrjota przenosił „samodzierżstwo“, ponieważ „w pośrodku państw samodzierżczych jedna Rzeczpospolita żadną miarą trwać nie może... ludu, nad tą myślą zastanów się mocno“. Doktrynerem bowiem

nie był, choć wielbiciel Russa, dla jego formułek nie narażałby istnienia ojczyzny. O niej tylko myślał — wymagał więc nawet w szkołach musztry: „sztuka wojenna powinna być jedynym zamiarem ćwiczeń ciała w edukacji republikanta“; szkoła miała mu wychowywać „obywatela Rzeczypospolitej“; więc w jego „edukacji“ kładł główną wagę na artykuł o posłuszeństwie i na największą cnotę: powiększyć dobro współobywateli; a w przeciwieństwie do dawnych zasad (por. wyżej wiersze Domaniewskiego), uczył: pierwszym obowiązkiem człowieka jest *pracować*. Pismo wychodziło z błędnego założenia, dzielonego powszechnie, jakoby Polska jeszcze w swej mocy miała reformę swego ustroju.

Znamienną była jego nieufność ku Prusom, „straszydłu o wielkiej głowie, do której rozmiarów ciało rozrastać się usiłuje, gniecione zewsząd, tylko od strony Polski wolny przestwór czujące“. Dalej sarkania na przewagę duchowieństwa (np. w kwestji dysydenckiej), na żywienie niepotrzebnych gąb po klasztorach i kapitułach; potrzebni tylko kapłani i biskupi, ci niech pobierają pensje.

Tak więc mieszczanin z Piły, bardziej wpływowy, niż Skarga, Leszczyński i Konarski, rozniecił ogień, w którym zgorzeć miały i veto i elekcja, choć je nawet Rousseau polubił.

Suchemi datami, tabelami, popierał Staszic swoje wywody, nie skąpił też cierpkich i drastycznych obrazków (np. straszne drwiny ze stanu archiwów krajowych), i nieraz wpadał w sentymentalną przesadę (o domach prawa publicznego). Gdy się wreszcie sejm zgromadził, a po pierwszych uchwałach (stutysięcznego wojska, wedle cyfry Staszicowej!), zapał zdawał się wygasać, „piórem, w płynie elektrycznym maczanym“ napisał Staszic (1790) „Przestrogi dla Polski“, krótsze, zwięźlejsze, piorunujące, lecz pozbawione ufności czy pewności, dlatego radykalne. W poczuciu grozy położenia szedł bowiem dalej, niż w „Uwagach“; zażądał uwolnienia i uwłaszczenia włościan, aby ich wywieść z podłego chłopstwa; przyznania miastom praw politycznych, aby się nie wiązały z obcemi potencjami; konfiskowania dóbr naszych duchownych, szczególniej tych, „co gdzieś w Turczech biskupami, a chleb w Polsce zjadają“; wylewał na panów słowa oburzenia: „zatraciliście własny Polaków charakter, nadając szlachcie podłość, wszystkiego bojaźń i na bezprawie i niesprawiedliwość zupełną nieczułość“; do dobrych Polaków wołał: „upamiętajcie się, nie liczcie na cierpliwość nieba, widzę straszną nieszczęśliwość nad głowami waszymi. A gdy kocham Polskę, gdy zapomnieć nie mogę, że rodziłem się Polakiem, jakby

ten kraj odratować, myślę koniecznie". Tym razem jednak głos jego nie odnalazł gromkiego echa: u niepoprawnych naszych optymistów, w owym „legjonie Likurgów i Solonów, mających po 23 lata" znikł bez echa. Wypadki same usprawiedliwiły aż nadto gorączkowy niepokój Staszica. Gdy wszystko runęło, polityk-filozof zatapiał się w rozmyślaniach nad dziejami ludzkiemi i ich wyniki złożył w najpotworniejszym co do formy, a najgłębszym co do treści utworze polskim XVIII wieku, w XVIII księgach i trzech tomach „Rodu ludzkiego", dydaktycznego poematu, pisanego wierszem białym, pełnego cudackich neologizmów, rozwlekłego, którego robota wlokła się przez długie lata — dokończył jej (w duchu odmiennym) i wydał dopiero w XIX wieku; wydanie zniszczono.

Za Buffonem, Lockem i Russem, wyszydzając niezrozumiałego Kanta, kreślił rozwój, od pierwszej materji i ruchu, od stanu dzikości pierwotnego człowieka, aż do rozwoju i przymierza zabobońców i samodzierżców, z najsilniejszemi wycieczkami przeciw wierze objawionej; dopatrywał ideału ludzkości w zrzeszeniu się ludów pod władzą monarchiczną, konstytucyjną, i w rosyjskiej federacji uznawał zapowiedź zrealizowania; bił przeciw monopolom angielskim i żydowskim. W dopiskach na podstawie obszernej erudycji, obejmującej zarówno przyrodników, historyków i filozofów, uzasadniał wywody poematu, niemożliwego pod względem formy, głębokiego treścią, wzniosłego tendencją; duch Bayle'a, antyreligijny, nawet antyhistoryczny, objawił się tu najpełniej; na usnucie całego wątku najbardziej wpłynęło dzieło najmniej cytowane, słynne niegdyś „Ruiny" Volney'a (1791 r.), republikanta i racjonalisty, wierzącego w rychły triumf ludzkości, wolności, braterstwa i rozumu. Czasy i swe otoczenie wyprzedzał zresztą Staszic zupełnie.

Obok Staszica stawaliby Mądrzecki, zbieracz praw miejskich; Barszcz, warszawianin, broniący tych praw wymownie w polemice z kasztelanem łukowskim, Jezierskim, godzącym się w wielu rzeczach ze Staszicem, lecz „Barss" wymienił rychło pióro na służbę „dyplomatyczną", na misję polityczną we Francji. Za mieszczanami, za ich autonomją, uwolnieniem od rządów starościńskich i wojewodzińskich, przypuszczaniem do posiadania dóbr ziemskich i reprezentacją w sejmie, ujął się skuteczniej, wytrwalej i wywalczył to, co zamierzał, Kołłątaj, człowiek mniejszego, niż Staszic, charakteru, a większych, niż on, zdolności, a pomagał mu Jezierski, żądający politycznego równouprawnienia w „Jarosza Kutasińskiego uwagach nad stanem nieszlacheckim w Polsce".

Jako właściwy kierownik całego stronnictwa reformy, chociaż jawnie nie występował, stanął ks. (wkońcu podkanclerzy) **Hugon Kołłątaj**, przygotowując teren dla konstytucji trzeciego maja już od roku 1789, podobnie jak Wybicki przed dwunastu laty, wydając „Listy Anonima“ do przyszłego marszałka sejmowego, Małachowskiego, werbując go dla wołyńskiego programu; najpierw w listach istotnych, a później pod ich dogodną formą omawiał te same kwestje, co i Staszic, jednak mniej namiętnie i radykalnie, jako człowiek czynu, liczący się z warunkami, z niechęcią szlachty, z zacofaniem; — np. w kwestji wojska, żądał 60,000, nie 100.000, — rozstrząsał on najpierw kwestje najważniejsze, budżetu i wojska, potem samej konstytucji; walczył i w interesie miast, pobudzając i skupiając czynność Dekiertów i Mądrzeckich. Konstytucja trzeciego maja, acz z wnioskami „Listów“ niezupełnie identyczna, folgująca więcej władzy królewskiej, była głównie jego dziełem.

Kołłątaj nie walczył sam; stał za nim szereg pracowników, owa słynna „Kuźnia Kołłątajowska“, z której wychodziły namiętne publikacje, raczej pamflety np. ks. **Franciszka Jezierskiego**, nicujące bezwzględnie nierząd polski, w formie pytań i odpowiedzi (Katechizm o tajemnicach rządu Polskiego. Niektóre wyrazy zebrane porządkiem abecadła i objaśnione uwagami stosownemi do rzeczy, wydane po śmierci autora przez Kołłątaja, pełne są najdrastyczniejszych zwrotów); w duchu niehistorycznym całego wieku wybierał nazwy i postaci dziejowe, choćby bajeczne, ażeby rozbierać aktualne kwestje, np. „Wypis z kroniki Wytykinda“, kiedy rozprawiał o sądzie nad Ponińskim. I Kołłątaj, prócz „Listów“, nieraz głos zabierał np. w „Ostatniej Przestrodze“ i t. d.

Staszic, Kołłątaj i Jezierski, to tylko czoło nieprzebranej literatury politycznej, dziełek i broszur, zalewających prasy warszawskie po ogłoszeniu wolności druku (1789). Jeżeli już „Uwagi“ Staszica wywołały tyle odpowiedzi, to np. pismo „O sukcesji tronu w Polsce“ hetmana, Seweryna Rzewuskiego, który, jak i ojciec-hetman, święcie był przekonany o prawdzie fatalnych maksym dziada-hetmana (wiara, elekcja, buława, liberum veto), gdzie dowodził, że od Lecha do roku 1763 Polacy zawsze królów obierali i zawsze im z tem było dobrze, — „potargało tyle piór, żeby można z nich zrobić wygodny materac dla spracowanej tylą pismami prawdy“, jak twierdził Jezierski.

Wielu zabierało głos kilkakrotnie; jeden „list“ wywoływał drugi; używano i formy powieściowej: spotkał się zwolennik reformy

z Mazurem Jagodzińskim w karczmie podwarszawskiej, więc dalej ucierać się o „sielekcję“ i nieporządki trybunalskie, nęcące ośmiu synów-palestrantów Mazura; inny, wyglądając przez okno, zobaczył babę, sprzedającą jabłka w błocie, żebrzącego dziada i panienkę, co sobie suknię powalała dziegciem i brał pochop do wytoczenia sprawy reform porządków miejskich; Dzwon staropolskiej fabryki wołał wszędy błędy; obruszały się liczne gromy na Żydów, wzgardzonych, gorzej jeszcze niż dawniej: jednozgodnie żądano odebrania im wyszynku, karczm, gdzie chłopa na śmierć rozpoili; dawno się rozchwiały nadzieje na jakieś zlewanie się czy zbliżenie, wzbudzone przez Franka i jego „sektę“; „pan baron“ opuścił Polskę i już tylko w Niemczech budził oczekiwania i żywe zajęcie się nieco tajemniczą osobą, wyłudzając niezmierne dostatki od zwolenników w Polsce.

Dyskutowano o duchowieństwie, o zniesieniu jego prerogatyw i skonfiskowaniu jego dóbr. Różnorodnej treści odpowiadała pstrocizna tytułów, godna czasów saskich, „Cygan chodliwy, gandzarz prawdy nieład chłoszczący“ wymagał wolności od ślubów dla zakonników, zamiast dóbr, pensji duchownym i t. d.; na to wydał księża (Surowiecki) „Gandzarę prawdy niecnotliwego cygana chłoszczącą“ (1792); na „Kropidło“ odpowiedziano, „Fajerką pełną ognia miłości ojczyzny na osuszenie zbyt mokrego kropidła sporządzoną“. Jak tytuły, tak zmieniały się i stanowiska; obrońcy anarchji zdobywali się nietylko na manifesty i Targowicę, lecz występowali z „Uwagami nad rewolucją 3 maja“; pisał je Dyzma Tomaszewski, przekonany wielbiciel Szczęsnego, potem trawiony wyrzutami sumienia.

Bogatą i ciekawą literaturę polityczną godnie zakończyła praca zbiorowa, Kołłątaja, obu Potockich (Ignacego i Stanisława) i pijara Fr. Dmochowskiego, „O ustanowieniu i upadku konstytucji 3 maja“ podjęta w Dreźnie, (1793 r., co młody Linde równocześnie przetłumaczył na niemiecki), obszerna, spokojna a wymowna, łabędzi śpiew tej „rewolucji“, która niczego nie burzyła ani gwałtownie nie usuwała, lecz naprawiała to, co popsuły wieki; to praca, zwrócona głównie przeciw królowi, samoobrona jej autorów i ich polityki pruskiego przymierza, więc nie bezstronna.

Ręka w rękę z tą literaturą polityczną szła publicystyka, reprezentowana godnie przez „Gazetę narodową i obcą“, wydawaną przez Mostowskiego, Niemcewicza i Weyssenhofa. Początkami sięgała ona jeszcze czasów saskich, ale długo ograniczała się ubogiemi w treść Kurjerami; nawet późniejsze Gazety, np. Warszawska, wy-

dawana dwadzieścia lat przez eksjezuitę Łuskinę, z którego szydził Węgierski w ostatniej pieśni „Organów“, nie odznaczała się ani doborem treści, ani formą; gazeta ta istnieje do dziś.

Rok 1791 i 1792 przyniósł nadzwyczajne ożywienie; położyła mu kres Targowica, i po krótkiej przerwie za Kościuszki publicystyka zamarła na długo. Wydawnictwa te pojawiały się raz lub dwa razy w tygodniu (np. Gazeta Warszawska).

Ważniejszą rolę w budzeniu życia umysłowego odegrały inne wydawnictwa perjodyczne. I one sięgały czasów saskich. Sasi, Friese, Mitzler von Kolof, próbowali ich w języku francuskim *(Journal literaire de Pologne*, 1754), łacińskim *(Acta literaria)*, niemieckim *Warschauer Bibliothek)* i polskim (Nowe wiadomości ekonomiczne i uczone), ale nie znajdowali poparcia u publiczności; wina tkwiła w części i po stronie redakcji, nieumiejącej zająć czytelników, drukującej rzeczy zbyt dawne a suche, żywoty arcybiskupów i t. p. Pierwsze czasopismo, które utrzymało się i zaważyło w życiu umysłowem, to „Monitor“ Bohomolca; czasopismo z rodzaju „moralnych“, w XVIII wieku, za przykładem angielskiego Spektatora Addisonowego, nadzwyczaj popularnych w całej Europie.

Jak na każdem innem polu swej obszernej a pożytecznej działalności, tak i na tem ks. Franciszek nie był oryginalnym; nietylko naśladował, ale całemi kawałkami tłumaczył Spektatora. Do Monitora, wydawanego od roku 1765 do śmierci wydawcy, w roku 1784, pisywali Krasicki (rocznik 1773 jego pióra), Naruszewicz, Minasowicz i Skrzetuski: główny ton i kierunek nadawał sam Bohomolec. Polityki nie wykluczał, lecz, wychodząc ze zdania swego Chińczyka, że „Polska jest w tak nędznym stanie, jak żadne państwo w Europie“, poruszał głównie kwestje ekonomiczne, ucisk chłopów i t. p., nadewszystko zaś obyczajowe, te same, które traktowała spółczesna satyra. Próbował wszelkich możliwych form; wizyj, snów, listów marnotrawców, opojów, zabobonników; diarjuszów modnych dam i kawalerów; streszczał manuskrypt Chińczyka Yunipa, który niby w roku 1759 bawił w Polsce; niby tłumaczył „List Daniela Bobinsona, Anglika, opisujący zwyczaje nieznanego Europie kraju Nolopia“ (Polonia), ze strasznie dosadnemi, karykaturalnemi rysami, o poważaniu cudzoziemców i to jakich, o pustocie głów, o cenie honoru, o polorze obyczajów, spływającym na pospólstwo od godnie urodzonych, o miłości ojczyzny w uściech, o wojownikach z wielkich rodzin (jakby przymusnął do hetmana Ogińskiego) i t. d.;

czerpał nawet ze starszej literatury domowej w tym celu, np. z „Małpy-Człowieka“; tłumaczył Horacego i Popa i Thomasa demokratyczny wiersz do ludu; bił przeciw przesadnemu pochlebstwu, najniebezpieczniejszemu między umysłowemi chorobami; przeciw wygórowanemu mniemaniu o szlachectwie; przeciw duchowemu ospalstwu, unikającemu książek i bibljotek; wszystko żywo, trafnie, dowcipnie. W walce o odrodzenie „Monitor“ zapisał się bardzo dodatnio, zapędzał się aż do porady zniesienia celibatu, harcował za tolerancją dysydentów, narażając się na pociski fanatyków.

Obok „Monitora“ stanęły „Zabawy przyjemne i pożyteczne“, o zakroju więcej beletrystycznym, wydawane przez Naruszewicza, potem przez Albertrandi'ego (1770 — 1777), zasilane przez Czartoryskiego, Jakubowskiego i Minasowicza. Szczególniej zasłużył się ks. Piotr Świtkowski, również eksjezuita, wydawaniem „Pamiętnika historyczno-politycznego“ i innych czasopism, redagowanych w duchu bardzo postępowym, wywołujących silne zaczepki konserwatystów, np. eksjezuity Wyrwicza (Pro memoria Pamiętnikowi), szerzących zdrowsze pojęcia w rzeczach ekonomicznych. Z r. 1792 ustał cały ten ruch, zduszony przez cenzurę targowicką.

Te pisma również dowodzą, z jakich to źródeł zasilano ducha i gdzie się zaopatrywano w rynsztunek. Staszic poglądy pedagogiczne czerpał z „Emila“, pojęcia o społeczności z *Contrat social*, wiedzę przyrodniczą z Buffona, tłumaczył poemat Racina o religji, a uzupełniał go listem Woltera, przeczącym deizmowi Racina; gdyby nie pożerająca wszystko troska o zachowanie bytu państwowego, oddałby się całkiem iluzjom o uszczęśliwianiu człowieka przez rozkuwanie wszelkich pęt politycznych i umysłowych „jednodzierżców“ i „zabobońców“; ekonomiczne pojęcia czerpał tak samo z katechizmu francuskich fizjokratów. A Staszic to nie wyjątek, lecz reguła; i w przeciwnym obozie pan hetman, gdy bronił elekcji, okradał tego samego Russa; i ksiądz Skarszewski (późniejszy biskup, niedoszła ofiara terroru), broniący najwymowniej i najwytrwalej stanowiska duchowieństwa, nie wahał się dobierać argumentów z Monteskjusza, Woltera i Russa. Russo był bożyszczem; encyklopedyści wraz z Wolterem ustępowali przed nim; jeden i drudzy działali nawet nie własnemi dziełami; nasze *ésprits forts* szermowali wyciągami z nich, maksymami. Czyniono czasem zastrzeżenia; Monitor cofał się „przed straszącemi każdego prawowiernego sofizmatami“ Emila; na pierwszy plan wysuwano zawsze tylko społeczność, nie indywiduum, jak u Russa; nie obawiano się, jak on, kultury i jej

zgubnych wpływów. Mimo to zachwycano się nim i powoływano nań ciągle.

Im dalej w czasy stanisławowskie, tem bardziej wzmagała się ta wszechmoc literatury francuskiej; niebawem odczuwano i nad Wisłą, jak maksymy filozoficzne podniecały do obalania starych porządków nad Sekwaną, wytwarzała się sympatja między Warszawą a Paryżem, tak płodna w następstwa; republikańskiej Francji, walczącej z koalicją, mógł się przydać *le peuple sympathique*, gdyby dywersją na tyłach Prus odciągnął choć tego groźnego wroga. Staszic, wydawcy „Gazety narodowej i obcej“, śledzili z zapartym oddechem rozwój wypadków paryskich, a niebawem pustak Albert Sarmat (Turski) stanął przed kratkami konwentu z protestem w imieniu Polski.

Literatura stanisławowska odbijała od saskiej właśnie ilością i doborem tłumaczeń, odnawiając owe związki duchowe, przerwane w czasie mroku. Za Sasów tłumaczono chyba francuskie ascetyki, jakby nie było i nadto własnych, albo rzeczy w rodzaju Historji krucjat lub odszczepieństw Maymbourga; teraz wystąpiła na pierwszy plan świecka, antyklerykalna literatura francuska, a chociaż w Polsce nie dzielono jej hasła *Ecrasez l'infâme* (prócz bardzo niewielu; do nich należał i Staszic), sama łatwość, z jaką się rzucono na wyposażenie krakowskiego biskupstwa, dowodziła, że nauki francuskie nie szły w las. Przyczynił się i duch, wiejący od józefińskiej Austrji, i srogi pamflet Borna znalazł rychło tłumacza, wydającego niby w Lipsku „Mnichopismo, oskarżenie i obronę naturalisty, z anatomją mnicha“. Tu należała i tragedja „Saul“, szydząca z patrjarchów i zwrócona przeciw oligarchicznym zakusom i matactwom duchowieństwa; przekład ten wywołał zaciekły odpór ks. Surowieckiego, nieznużonego polemisty o prawa obskurantyzmu. W pokrewnym duchu działały oddawna tłumaczenia pism Monteskjusza, Dalamberta, Fontenella rozmowy o wielości światów, przetłumaczone przez pijara jeszcze w roku 1765, opierające się naturalnie o system kopernikowski i dlatego przeraźliwe dla Abramowa, gdy je książę Kantemir przełożył na rosyjski; tegoż Fontenella o wyroczniach pogańskich (dwa tłumaczenia) i t. d. Pomijając dzieła treści filozoficznej, naukowej, wymienimy ważniejsze tłumaczenia z dziedziny literatury pięknej.

Sięgały one do angielskich (za pośrednictwem francuskich), cofały się do łacińskich (i greckich), nie uwzględniały tylko niemieckich (prócz naukowych, np. geografji Büschinga). Najzasłużeńszy z tłumaczów był pijar, Franciszek Ksawery Dmochowski,

z kuźni kołłątajowskiej; najczynniejszy, mimo swych lichych zdolności, Jacek Przybylski, profesor krakowski. Dmochowski ułożył kodeks nowej poetyki: „Sztuka rymotwórcza, poema we czterech pieśniach“, niewzruszony kanon w oczach Staszica i Śniadeckiego, naśladowany z Horacego i z Boala, tylko zamiast o Malerbie, prawiący o Szymonowicu, Krasickim i t. d., rozszerzony, w drugiej i trzeciej pieśni omawiający „gatunki“ poezyj (od sielanki i ody aż do dramatu i epopei), ich zasady i t. d. Tłumaczył Junga (Sąd ostateczny i Nocy), Miltona (urywkami), Homera (Iliadę, Odysseję w urywkach) i Horacego (listy).

Przybylski, bez talentu Dmochowskiego, ale z wytrwałą pilnością porywał się do wszystkiego, do Hezjoda i do Camoensa, do Popa i Addisona, i wydawał dawniejsze tłumaczenia, np. Arjosta Kochanowskiego. Dmochowski i Przybylski zmierzyli się i w ciekawszej szermierce literackiej; pijarzy wraz ze Śniadeckim skrytykowali ostro pisma niektórych krakowskich profesorów za treść i formę, gdzie i Przybylskiego szarpnęli za jego neologizmy, formując z nich właśnie tytuł broszury (*Zakus* nad *zaciekami wszechnicy* krakowskiej — ecz słowa, wyszydzone w r. 1788, oddawna otrzymały prawo obywatelstwa); Przybylski, zazdroszcząc Duncjady Anglikom, porwał się na heroikomiczne poema, Bicz, ale Dmochowski wytrącił mu broń z ręki „Urywkiem z bicza kręconego w Krakowie“.

Z francuskiego tłumaczyli Poniński, sam Krasicki i inni ody i poematy dydaktyczne (o wierze) Rasyna, Russa i Woltera; Tadeusz Morski poematy komiczne, z odcieniem antyklerykalnym, Gresseta Pulpit żyjący i Ver-Vert szpak klasztornego chowania; Jakubowski Lafontena; Szymanowski „Świątynię Wenery w Knidos“ w przeróbce wierszem błahej powiastki Monteskjusza, wyniesionej pod nieba przez Stanisława Potockiego, chociaż inne prace Szymanowskiego, piosnki liryczne, są lepsze. Obok tłumaczeń klasyków łacińskich, od Fedra aż do Tacyta, Horacego i Wergiljusza, coraz gęściej przewijały się nieznane przedtem nazwiska i dzieła angielskich poetów, Miltona, Popa, Junga; brakło tylko Niemców, prócz kilku drobiazgów Gesnera (sielankopisarza) i Gellerta (dramatyka!). Z zastojem saskim zrywano więc kompletnie.

Czynem najdonioślejszym w skutki, najwymowniejszem świadectwem kultury wieku oświecenia było ustanowienie komisji edukacyjnej i jej czynność; o członkach jej twierdził Staszic w „Uwagach“: „tych mężów, jeżeli brzydka przemoc jeszcze przynajmniej oddychać dozwoli, tych mężów szczęśliwsza od nas potomność,

jako pierwszych swojej szczęśliwości stworzycielów, czcić i wspominać będzie". Zniesienie zakonu jezuitów dotknęło najsilniej sprawę wychowania, spoczywającego w Polsce głównie na barkach zakonu: niezwłocznie należało pomyśleć o zastąpieniu zakonu w jego obowiązkach, boć pijarzy i bazyljanie sami nie mogli podołać, przytem nęciła sposobność zeświecczenia wychowania, osadzenia go na nowych podstawach. Urzeczywistniono więc myśl, rzuconą w Polsce już na początku XVII wieku; olbrzymich zasobów zakonu, poświęconego edukacji młodzieży, użyto w tym samym celu, a chociaż znaczną ich część rozszarpały chciwość i niesumienność, zabiegom Chreptowicza (wnioskodawcy) i innych udało się resztę ocalić i oddać pod zarząd uchwalonej w roku 1773 Komisji, pierwszego ministerjum oświaty w Europie.

Komisja miała do spełnienia cały szereg zadań: zreformować istniejące szkoły, od najwyższych do najniższych; wystarać się o świeckich kandydatów do stanu nauczycielskiego, aby nie być zdanym wyłącznie na osoby zakonne, naginające się z trudem do wymagań świeckich; stworzyć podręczniki dla użytku tychże szkół. Poprzednie reformy Konarskiego i jezuitów torowały już drogę; taki ks. Rogaliński w Poznaniu, nauczyciel Śniadeckich, traktował obszernie „Doświadczenia skutków rzeczy pod zmysły podpadających" (cztery tomy fizyki eksperymentalnej), uprawiał i inne pola nauk stosowanych, wraz z matematykiem, ks. Gawrońskim (późniejszym biskupem krakowskim); obaj podnosili poznańskie zakłady naukowe i ustalili polską terminologję naukową.

Również przed rozpoczęciem czynności Komisji Edukacyjnej powstała szkoła, jakkolwiek specjalna, wojenna, ale owiana nowym duchem, szkoła korpusu kadeckiego, założona przez króla, prowadzona przez ks. Adama Czartoryskiego, który sam nie szczędził dla niej kosztów i trudów, dla niej pisywał „Katechizm moralny" i „Definicje różne" (w rzeczach towarzyskości), na jej scenie wystawiał swe sztuki („Pannę na wydaniu", przypisaną kapitanowi Ciszewskiemu, który pierwszy w korpusie kadetów wprowadził zabawy teatralne). Do jej nauczycieli należał jej bibljotekarz, Dubois, autor pierwszego *Essai sur l'histoire littéraire de Pologne* (Berlin, 1778), stwierdzającego postęp w naukach Polski; z jej uczniów wyszli najdzielniejsi patrjoci: Kościuszko, Niemcewicz, wymowny Nestor Sapieha (prototyp Sapiehy u Schillera), Kniaziewicz i wielu, wielu innych.

Reformę zaczęła Komisja od góry, od obu uniwersytetów, teraz nazwanych szkołami głównemi: krakowskiej, gdzie za Kołłą-

taja dobito się zniesienia przestarzałego trybu, ustanowienia nowych katedr, lepszego ich uposażenia, uporządkowania bibljoteki i gabinetów; i wileńskiej, gdzie wobec uporu Poczobuta, astronoma i rektora, reformę przeprowadzano mniej skutecznie. Przywoływano obcych (Forstera dla botaniki do Wilna); wysyłano dla dopełnienia wykształcenia zagranicę rodaków, z których najbardziej się wyróżnił matematyk Jan Śniadecki (z Wielkopolski); już w krótkim czasie ujawnił się znakomity postęp, najwidoczniejszy w zerwaniu ze średniowieczyzną.

Szkołom głównym polecono doroczne wizytacje szkół niższych, wydziałowych i podwydziałowych; na urządzenie licznych szkół parafjalnych nie stało już zasobów i czasu. Najtrudniej było zwabić liczniejszą młodzież do stanu nauczycielskiego; większą część uczących musiano zatrzymać ze szkół dawnych, zakonnych, a ci nie rzucali łatwo swego trybu nauczania, z łaciną, jako przeważnem, jeśli nie wyłącznem zadaniem szkoły, z pomijaniem nauk realnych, przyrodniczych i innych.

Plan Komisji Edukacyjnej zrywał zupełnie z dotychczasowym trybem nauczania: język narodowy stawał się odtąd głównym organem szkoły, a obok nauk moralnych realne występowały na pierwszy plan; skargom na nieproduktywność szkoły i jej nauczania, nieprzydatnego w niczem do życia, miał zapobiec system, kształcący nie łacinników, lecz przyszłych obywatelów; kładziono nacisk na historję i geografję krajową, na poznanie praw i instytucyj. Dawna szkoła wypuszczała młodzież, obytą z Alwarem, mitologją i rzymskiemi starożytnościami; zato obrany na deputata młody obywatel ani się domyślał, co znaczą (w sądzie) „koce“ (skarżono się na to już na początku XVII wieku); świeży podkomorzy „na hipotenuzę tylko pysk otwierał“ (Naruszewicz); poseł ryczał tylko veto na podatki. *Non scholae, sed vitae discere* było zadaniem nowych szkół. Wielce zasłużony eksjezuita, Grzegorz Piramowicz (z Ormian lwowskich), ułożył ich program, wydany w roku 1783 przez Komisję pod tytułem „Ustaw Komisji dla stanu akademickiego i na szkoły, w krajach Rzeczypospolitej przepisanych“.

Z łona Komisji wyszło też osobne towarzystwo do ksiąg elementarnych w roku 1775; rozpisywało ono konkursy na najlepsze podręczniki dla szkół, w czem brali udział i obcy (Condillac), a poczęści przygotowało je samo, np. znakomity „Elementarz dla szkół parafjalnych narodowych“, „Wypisy z autorów łacińskich“ i inne.

Tak powstała pierwsza obfitsza, rodzima literatura pedagogiczna. Na jej czele stanęły Piramowicza: „O powinnościach nauczyciela“ (głównie wiejskiego) i (niedokończone) „Wymowa i poezja dla szkół narodowych“, z którą spółzawodniczyła książka ks. Golańskiego — pierwsze retoryki i poetyki w języku narodowym. Teraz pojawiły się i pierwsze gramatyki polskie.

Dawna szkoła nie uwzględniała języka narodowego; uczono łaciny, polszczyznę zbywano byle czem, chyba ortografją i wierszowaniem. Gramatyki polskie istniały dla cudzoziemców; najdawniejszą wydał spolszczony Francuz, Stoiński (r. 1568), z przykładami z Reja i Kochanowskiego, wzorowaną na łacińskiej, tak, że nawet liczyła 6, nie 7 przypadków. W XVII i XVIII wieku znowu cudzoziemcy i dla cudzoziemców pisywali gramatyki po łacinie i niemiecku, Volckmar, Mesgnien, Rother, Woyna i t. d.; uzupełniały je wzory listów: „Kancelarja polityczna“ i „Wydworny Polityk“ Dobrackiego-Guttetera, autora gramatyki „Polnische Teutsch erklärte Sprachkunst darinn die uberaus wortreiche, hochzierliche, vollkommene Heldensprache der Pohlen“ (r. 1669 i częściej).

Pierwsze gramatyki polskie dla Polaków powstały późno, ks. Szylarskiego w roku 1770, ks. Dudzińskiego ciekawe uwagi w roku 1776; jedyny ks. Kopczyński, niby polski Łomonosow, czy Gottsched, zażywał niezachwianej powagi przez pół wieku zgórą. Zasługi Kopczyńskiego są niezaprzeczone; on otrząsnął najgruntowniej język z barbarzyństwa pisowni, form i składni, jakie się wkradło w ciągu wieków; on wrócił do norm dawnych, wprowadził na nowo zaniedbane już zupełnie kreskowanie; tylko co do litery *a* nie przyjęto, i słusznie, jego wniosków, wskrzeszających pedantycznie brzmienia, zamarłe w wymowie ogólnej oddawna, chociaż a kreskowane znalazło amatorów jeszcze w XIX wieku; on ustalił reguły co do *em, ym, emi, ymi,* ciążące do dziś nad nami; w obszernych przypisach do gramatyki (dla nauczycieli) wprowadził filozoficzny pogląd na język i jego rozwój, postępowy a trafny. Z dzieła Kopczyńskiego wyszła cała późniejsza polska literatura gramatyczna. Podręczniki pisali Skrzetuscy (historji i prawa polskiego), Popławski, Hube (fizyki), i inni.

Jednak nie od jednego zamachu udało się usunąć mrok i zastój saski, przełamać opór i przesądy. Jak silnie wkorzenione były narowy, dowodzi los, zgotowany kodeksowi Zamoyskiego w r. 1780: niszczymy i tych praw wskrzeszać i aprobować nie będziemy, oświadczał sejm, chociaż te prawa, wcale nie radykalne,

zwalniały tylko część poddaństwa (pierwszego i trzeciego syna) od askrypcji; omal nie zabito Wybickiego, za to, że na sejmiku (1778) pisał przeciw elekcji; nobilitacji Piramowicza nie było można przeprowadzić, gdyż zasadzano się silniej przeciw mieszczaństwu; mimo Konarskiego świeżo (1768 roku) zawarowano i uznano za prawo formalnie liberum veto, a, chociaż jego szkodliwość uznano powszechnie, wracano do niego, jak pijak do trunku.

Podobnie było i z wychowaniem: praca Komisji Edukacyjnej trafiała na bierny opór nauczycieli zakonnych, niechcących rzucać dawnego trybu, nieraz umyślnie parodjujących zlecenia i wskazówki Komisji; sami rodzice żalili się na świecki ton szkoły, na osłabienie łaciny, dla naszych praw nieodzownej. Wierzono po dawnemu w upiory; palono czarownice, i dopiero po strasznym wybryku Doruchowskim (r. 1775, gdzie spalono czternaście kobiet) położono tamę dalszemu barbarzyństwu; sejm r. 1776 zniósł tortury i karę śmierci w sprawach o czary. Nawet w literaturze nie wyczerpały się dawne prądy. Nietylko zawzięcie tłumaczono nowe ascetyki albo wydawano dawne np. Załuskiego, ale pisano je dalej. Więc ks. Gaudenty Pikulski wydał „Sukces świata albo historją uniwersalną od stworzenia“, gdzie traktował najdworniejsze pytania dawnej scholastyki: dlaczego Bóg uformował człowieka z gliny, nie z szlachetnego kruszczu, co się śniło Adamowi, gdy Bóg z niego tworzył Ewę, dlaczego z żebra, z którego, jakie to było jabłko (winne) i t. d. Symon Majchrowicz w roku 1764 w czterech tomach wyprowadzał szczęśliwą trwałość królestw z prawowierności, z tego tytułu sławił Polskę, gdzie Chrystus i Marja przebywają najchętniej i ratują złotą wolność. A przecież istniały już dzieła gorliwych katolików, Bossueta i Fleurego, bez owych przesądów; była poezja Krasickiego i Naruszewicza, ale p. kasztelan przemętski, Rafał Gurowski, obrońca jezuitów, poświęcał królowi (1782) dzieło, jakie powstać mogło tylko za Sasów, „Dzieje Pisma Św. ...rodowitym rytmem opisane z niektóremi moralnościami“, 400 stronic bitego druku, rywalizujące chyba z biblijnemi rytmami Leszczyńskiego i Kurzenieckiego. Literatura prowincjonalna odbijała silnie od warszawskiej; instygowano jeszcze namiętnie na libertynów, ateuszów, deistów (proces przeciw Niemiryczowi o zdespektowanie hostji św.); z nimi łączono „farmazonów“; przeciw neoterykom, zwolennikom nowej szkoły, systemu Kopernika, doświadczeń fizykalnych żegnano się nieraz przesądnie — nawet satyryk Piotrowski nie wahał się zawołać, że Warszawa jest pełna Łyszczyńskich, a kaci próżnują,

chociaż, jako duchowny, nie powinien był krwi pragnąć; fanatyk Surowiecki jeszcze w r. 1792 domagał się koniecznie wprowadzenia inkwizycji.

Tak ścierały się Oświata i Sarmatyzm; Oświatę podtrzymywała warszawska opinja publiczna, król, magnaci, (uwalniający lub oczynszowujący włościan, zakładający „manufaktury“, wydający, jak księżna Jabłonowska, wojewodzina bracławska, „Ustawy powszechne dla dóbr moich rządców w drukarni pokojowej siemiatyckiej“), literaci, mieszczanie warszawscy, Dekert, Dulfus, Kapostas i inni, gdy Sarmatyzm wprawdzie nie na teatrum publicznem, zato w prowincjonalnem i klasztornem zaciszu roztasowywał się jeszcze wygodnie. Przebieg i epizody tej niekrwawej walki, ubogiej nawet w szczegóły drastyczne, kreślą najlepiej ówczesne pamiętniki.

Literatura pamiętnikarska epoki stanisławowskiej (inaczej, niż saskiej!) jest tak niewyczerpana, jak jej literatura satyryczna, chociaż nic się z niej do druku nie dostawało; pisano często z wykluczeniem publiczności (przeznaczał to np. ojciec dla dzieci), i bardzo późno, patrząc przez pryzmat następnych dziejów na chwile wcześniejsze. Pamiętniki XVIII wieku wydobywał więc dopiero najaw XIX; Raczyński, Kraszewski i inni ogłaszali, pisane po francusku, po polsku i po niemiecku (jenerał Dąbrowski, „Beytrag zur Geschichte der polnischen Revolution“, o kampanji 1794 roku); w domu, zagranicą i w więzieniu (pamiętnik Kilińskiego); o wychowaniu jezuickiem (Wybicki, który nigdy nie przepomniał plag otrzymanych) i o Syberji (jenerała Kopecia); o zabiegach dyplomatycznych i konspiratorskich (znakomite pamiętniki podskarbiego Ogińskiego o robotach na Wołoszczyźnie i we Francji, po francusku, tłumaczone i na niemiecki) i o rzeczach najbardziej partykularnych, księży (osławionego Kossakowskiego i i.), dyplomatów, żołnierzów (Zajączek, Weyssenhoff), samego króla (o swej młodości) i jego szambelanów czy paziów.

Z arcydługiego szeregu tych pamiętnikarzów wyróżnia się ks. **Andrzej Kitowicz**, chociaż właściwie dzieła jego do pamiętników nie należą, skoro najmniej w nich wzmianek o własnej osobie autora. „Liche to pisma co do stylu i składu rzeczy“, twierdził o nich, skromnie i słusznie, autor, lecz zawierają wiele tego, o czem młodsi nie słyszeli, a czego nie dotykali wielcy pisarze „dla drobności“.

Kitowicz, to bezwzględny *laudator temporis acti;* niegdyś barszczanin, na stare lata ksiądz pleban i kanonik, dobry gospodarz,

zapalony myśliwy, wyborny znawca win, zapatrzył się w „słodkie panowanie“ saskie i w rękopisie „O obyczajach polskich“ (bez początku i końca) opisał cały tryb życia saskiego w dworku i pałacu, w szkole i palestrze, w wojsku i na wsi. Z tego to dzieła najkrócej i najpełniej można wyrozumieć tryb staropolski. Kogo interesują szczegóły systemu jezuickiego, zasadzającego się na ciągłem budzeniu „emulacji“ w uczniach, więc dzielącego klasy na partje, Graecorum i Romanorum, rozdającego tytuły Imperatorów, każącego cenzorom czuwać nad spółuczniami, — ten znajdzie u Kitowicza niby wykład do trzeciej satyry Piotrowskiego (na próżnego chwalcę dawnego gustu nauk); pozna tam również szczegóły ubioru, pojazdów, potraw; instytucyj publicznych, prywatnych i kościelnych; egzekwij i obchodów, wesel i chrzcin; praktyk religijnych i trybunalskich.

Autor ma na oku czasy Augusta III, „dobre czasy, pokój ciągły, obfitość wszystkiego“, ale odróżnia początkowe lata od dalszych, kiedy to sarmatyzm widocznie zaczął ustępować, mnożyły się wyjazdy za granicę, naśladownictwo obcych zwyczajów i ubiorów, wzmagał się zbytek i wygoda, a neoteryzm zaglądał do szkół. Kitowicz nie przesadza ani ukrywa; przyzna się, że „ztrudna gdzie przy farze“ była jaka szkoła, dla dziewcząt wcale nie istniały; przetarłszy się nieco w początkach łaciny, udawano się do jezuitów lub pijarów, a szkoła liczyła nieraz do tysiąca studentów, wśród których magnaccy synowie siadali w pierwszych ławkach; opowiada jak przez zaprowadzenie konwiktów „szkoły publiczne zdrobniały“ i t. d. Obszerniejsze dzieło Kitowicza, „Historja Polska“, jest mniej ciekawe, gdyż powtarza najczęściej rzeczy znane, akty, mowy, proklamacje z gazet, relacje i t. d. Równie daleko wtył cofają się pamiętniki Łopacińskiego, ale nagle urywają.

Z osobistości literackich pamiętniki Karpińskiego i Niemcewicza, chociaż je poczęli spisywać dopiero w XIX wieku, sięgają w pierwszą młodość, zwierciedlącą się wyraźniej w starczej pamięci. U Karpińskiego jest to zarazem rodzaj czułej spowiedzi, opowiadania o miłostkach, pokusach, powodzeniach i niepowodzeniach, autobiografja bez względu na stan kraju, podczas gdy w Niemcewiczu, mężu politycznym, ów wzgląd przeważał zawsze. Pamiętnik Staszica jest zbyt lakoniczny, o wiele ciekawsze są jego Dzienniki z podróży w r. 1777 i 1778 po Austrji, Niemczech, Francji i Anglji, i z drugiej, włoskiej, odbytej z młodym Zamoyskim z r. 1790 i 1791; pierwsza odznacza się tylko chęcią uczenia się, ciekawego przy-

patrywania; druga wybitną tendencją, skierowaną przeciw arystokracji, klerowi i wszelkim przesądom. Hugo Kołłątaj również zostawił pisma, któreby można nazwać pamiętnikami; długie lata więzienia fortecznego, potem wymuszonej bezczynności (nazewnątrz) obudziły w nim myśli „o wielkiem dziele pamiętnikowem czasów moich (1750 — 1796)“, z którego jednak wykonał tylko wstęp, wydany pod tytułem „Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach Augusta III (1750 — 1764)“, gruntowne uzupełnienie do dzieła Kitowicza, wyjaśniające szczególniej krakowskie szkolne stosunki (na wszechnicy), z bardzo drastycznemi szczegółami; są też jego krótsze autobiograficzne zapiski, np. o wyjściu z Ołomuńca.

Między pamiętnikarzami znajdziemy stronników królewskich (Zaleski, Wolski) i reformy (Wybicki, Bukar, Drzewiecki), wojskowych i obywateli (Dobiecki, paź, potem żołnierz; Ochocki, obfituje najbardziej w rysy obyczajowe, nieraz tak drastyczne — od ubiorów aż do balów i intryg miłosnych — że wydawca, Kraszewski, opuszczał, co mogło razić skromne uszy), ludzi wykształconych i bez wykształcenia (szewc, Jan Kiliński, to, co wymownie opowiadał, za namową Niemcewicza i innych, spisał równie żywo i barwnie — inne późniejsze próby literackie już mu się nie wiodły); nikt się nie zdobył na całość historyczną, jaką niebawem podejmowali obcy, Rulhière i inni. I wartość literacka tych pamiętników najczęściej nie bywa wyższą; przeważały rzeczy okolicznościowe; nie zostawiły one nic wykończonego, nic, coby rywalizowało np. z Paskiem. Najobszerniej gawędził Ochocki, ale o sprawach najdrobniejszych; Niemcewicz, zachowujący formę staranną, literacką, miał zbyt wiele do opowiadania o długiem, ruchliwem życiu, ciągły wędrownik, z Sycylji do Petersburga i z Ameryki do Słonima czy Dubna — więc chyba wyjątkowo zatrzymywał się przy szczegółach, nie cieniował ich ani nie podmalowywał, chociaż wszystko, co opowiada, jest bardzo zajmujące i ważne. Inni to, co wiedzieli, spisywali całkiem sucho; Ochocki, Drzewiecki, Wybicki, jenerał Weyssenhoff, Niemcewicz po siedemdziesiątym roku życia, kreślili swe wspomnienia w roku 1820 lub 1840, należą więc do XIX wieku, chociaż wyrośli w tej epoce, z nią się zżyli, do niej zawsze wracali wspomnieniami; pamiętnik Wybickiego opowiadał nietylko o wychowaniu u jezuitów, ale najciekawiej i najprawdziwiej o konfederacji barskiej, nie skąpiąc drastycznych szczegółów o niezaradności, opieszałości i osobistej ambicji przywódców, obniżając w autopsji to, co wyidealizowała późniejsza tradycja, nawet

i ks. Marka. Są pamiętniki ks. Kossakowskiego, Michała Czackiego, rzucające światło na zakulisowe dzieje Sejmu Wielkiego. Z Pamiętników starego Koźmiana nie najdrobniejsza część poświęcona właśnie ówczesnemu wychowaniu, szkołom i Sejmowi Wielkiemu, a (francuskie) memorjały księcia Adama Czartoryskiego są świetnym pomnikiem i dowodem jego bystrości, lojalności i patrjotyzmu, ważnym przyczynkiem dla psychologji cesarza Aleksandra; chociaż pisane dopiero po r. 1831, sięgają w wiek XVIII i, jak sam książę, wykazują swym duchem, jego wpływy.

Od szarego nieco tła tych czasów niezwykłością zajęć i poglądów, rozmaitością prac i dążeń odbija czynność hr. Józefa Potockiego (1761—1815), patrjoty (z czasów Sejmu Wielkiego) tak zupełnie sfrancuziałego, że pisał tylko po francusku — językiem, który Francuzom przypominał ich najlepszych stylistów, że uwierzyć nie mogli, aby Sarmata był autorem romansu „Manuscrit trouvé à Saragosse". Pierwszy to Polak — globetretter i kosmopolita, który od Maroku, Hiszpanji i Holandji docierał do Kaukazu i granic chińskich i opisywał wszystko, co widział. Mąż najrozleglejszej wiedzy, matematyk, historyk, encyklopedysta (deista co do wierzeń religijnych, które w owym romansie z Egiptu do nas przemycał). W umiejętnej pracy zapominał i godził się zupełnie z losem ojczyzny, z jej dziejami, które zakończyły się dla niego ostatecznie wraz z rozbiorami i które pragnął ogarnąć w całokształcie, sięgając czasów najdalszych. Powiązał je więc z dziejami wszystkich Słowian i na tem polu zaskarbił sobie wielkie zasługi, wydając w tłumaczeniach zapiski dawnych autorów, począwszy od Herodota; rozjeżdżając po Słowiańszczyźnie, był i w Meklenburgu, skąd światu uczonemu uprzystępnił fałszerstwa „bogów pryjwickich". Gdy rzucił tę pracę, poświęcił się badaniom pierwotnych dziejów czarnomorskich i godzeniu dat biblijnych z greckiemi. Obok pracy naukowej i (bardzo ciekawych) zapisek turystycznych pielęgnował teatr i powieść; pisywał jednoaktówki przeważnie dla Łańcuta i Rheinsbergu Henryka pruskiego, brata Fryderyka II, u którego był lubianym gościem, pisywał powiastki wschodnie, a wschód znał i lubił, z ksiąg i doświadczenia. Nakoniec wygotował ów obszerny romans, nietylko obfitujący w sceny lubieżne i przeraźliwe, z duchami czy wisielcami, wedle ówczesnej mody pani Radcliffe, tłumaczące się ostatecznie jako mistyfikacje, ale i przepowiadający jawny deizm w duchu choćby Volney'a albo dawniejszych racjonalistów, acz bardzo ostrożnie, nie kładąc kropki nad i. Romans o formie

wschodniej, bo szkatułkowy (opowiadania różnych osób, stale przerywane wtrącaniem coraz nowych), bardzo ciekawy dla niezwykłych dziejów samej książki w beletrystyce polskiej, do której należy mimo obcego języka, niema równego w wieku XIX, cóż dopiero w XVIII! Postaciom romansowym nadawał autor i rysy własne, jego Diego np., kończąc samobójstwem, jak i sam autor, woła: Boże jeżeli gdzie jesteś, zlituj się nad moją duszą, jeżeli mam jaką! Nadzwyczajny talent, wiedzę i środki zmarnował dla kraju ten człowiek egzotyczny, antenat Płoszowskich XIX w., sceptyk, który jednak inaczej niż Płoszowski w coraz rwącej się pracy darenmie poszukiwał uspokojenia i zadowolenia dla zbyt rozerwanego umysłu.

Jak rządy stanisławowskie nie uratowały państwa, tak i literatura tej epoki nie zdobyła się na wielkie dzieło narodowe, przyświecające następnym wiekom. Mimo tego niedoboru wytworzyły one zadatki przyszłości narodowej, mającej przetrwać upadek polityczny.

W spadku po tej epoce pozostała najpierw jednolitość narodowa. Składały się na nią wprawdzie całe wieki, ale dawniejsze odrębności teraz dopiero zupełnie się zatarły; mogły pozostać atawistyczne cechy fizyczne, temperamentu, uzdolnienia, sam naród szlachecki na całym przestworze Rzeczypospolitej był jeden: żył, czuł, myślał, modlił się, bawił, ubierał, czytał i uczył tak samo, pisał to samo wierszem i prozą; jeden pokost szlachecki okrywał i piaski wielkopolskie czy mazowieckie, i pulchny ukraiński czarnoziem, i puszcze litewskie. Szlachcic czuł się w obrębie całej Rzeczypospolitej, jak w domu; wszędzie odnajdował, jeśli nie koligacje, to spółkiejnotników; tytułował się cześnikiem wschowskim na Podolu, a latyczowskim na Pałukach. Kraj cały miał wygląd tak jednolity, że nikt ani się domyślał, albo przynajmniej nie zważał, że ta jednostajna powłoka nie wszędzie była równej grubości, że na wielkich obszarach podkład jej był odmienny, niepolski. Austrjacy np. ani wiedzieli, że w ich „Galicji“ istnieją obok Polaków i Rusini; oni pod „językiem galicyjskim“ rozumieli wyłącznie polski i nawet z Królowej Korony Polskiej zrobili „galicyjską“. Podobnie było i w Rosji; w Petersburgu nikt o Biało- albo Małorusach nie wiedział a przynajmniej o nich nie dbał; prowincje zabrane były pol-

skie i nic więcej, na chłopa nie zważano, bo jeszcze się nikt nie zabawiał w etnografję, którą wymyślił dopiero wiek XIX.

Powoli, bez żadnego przymusu, język ruski wycofał się z urzędowego życia litewskiego; w prywatnem odmiana ta szła szybszym krokiem. W XVI wieku, w pierwszej jego połowie, pisano jeszcze po rusku po dworach litewskich, ale już w drugiej połowie ustaje to zupełnie; pamiętnik Jewłaszewskiego, spisany po rusku, należy do rzeczy wyjątkowych; czytają jeszcze dawne, ruskie manuskrypty, ale przypiski do nich robią już polskie, a w XVII wieku nawet i z kancelarji litewskiej przestały wychodzić ruskie pisma; Statut litewski obowiązywał już dawno w tekście polskim, i, gdy w Polsce język sądowy (aktowy) był łaciński, na Litwie był polski; tryb szkolny był wszędzie ten sam, również wymowa trybunalska czy sejmowa (ostatnia mowa ruska przebrzmiała w roku 1589, skarżąca na napływ nowych obyczajów, zatapiający starynę, tak jednak drastyczna, że raczej skomponowano ją umyślnie i tylko podsunięto Mieleszce, szanownemu kasztelanowi smoleńskiemu).

Mimo spólnej kultury Korona i Litwa trzymały się odrębnie; nie przechodzili tam, chyba wyjątkowo, urzędnicy świeccy i duchowni; żeniono się między swoimi; tylko u jezuitów nie czyniono różnic; Mazura posyłano do Kroż, a Rusina do Krakowa, zważając na subiectum i zdolność, nie na pochodzenie. Lecz wieki, kultura i literatura działały swoje; nietylko z Radziwiłłów i Wiśniowieckich, ale i z warstw najniższych, występują wcześnie pracownicy polscy; okrainy zaczynają spłacać długi wdzięczności, zaciągnięte u macierzy. W XVIII wieku występuje to, jeśli możliwe, jeszcze jawniej: Bohomolec „Rusak“, to jedna z najbardziej typowych warszawskich postaci, również Naruszewicz, Ejsymont (wszystko jezuici), Kniaźnin; Wilno dostraja się do Warszawy. I jeśli jeszcze w XVII wieku sarkano nieraz w Koronie na separatyzm litewski, jeśli W. Potocki wołał, że się obejdziemy bez Litwy, a wojewoda pomorski (Kobierzycki) pytał, czy też w małżeństwie z rozdzielnem zupełnie gospodarstwem panuje prawa miłość, czy Litwie do swoich kanclerzów i hetmanów nie zachce się kiedyś swego sejmu i króla, to w XVIII wieku znikły te antagonizmy, chociaż nie zmieniano dawnego trybu, bo Rzeczpospolita szlachecka, jak i autokracja, nie znosiła żadnych zmian.

Poczucie i uświadomienie jedynej narodowości polskiej rozchodziło się więc coraz szerzej i głębiej. Napozór zdawałoby się, że polskość opierała się na szlachcie i duchowieństwie; że, wedle

opinji pruskiej, wystarczy podciąć podstawy obu stanów, a runie naród. Tymczasem polskość mieszczaństwa uświadomiła się choćby za dni Wielkiego Sejmu, i gdy wołano „król z narodem“, już przez „naród“ rozumiano coś więcej. Jeszcze w roku 1780 stan szlachecki upierał się przy wszystkich prerogatywach, nie uznawał nikogo i niczego prócz siebie, ale już w roku 1783 ks. Świtkowski pisał w Pamiętniku: „już teraz serca miękkie i duszę dla wszystkich ludzi tkliwą mieć poczynamy“. Że to nastąpiło tak rychło, zawdzięczać należy literaturze; mogły być recydywy u jednostek, nawet i w szerszych kołach, ale większość narodu już ich nie podzielała, i szczery był zapał, z jakim szlachta wpisywała się w poczet mieszczan warszawskich. Późniejsze wypadki stwierdzały tylko tę łączność i wzmacniały obopólne węzły.

Podniosła się wreszcie i kultura mieszczańska z wiekowej ruiny, z rdzy i pleśni, nową wielką zasługą rządów Stanisława Augusta. Nietylko komisje *boni ordinis* działały umyślnie w tym celu; na miastach odbijało się wszystko, cokolwiek podejmowano dla podniesienia handlu i przemysłu; wpływem nowych szkół zahaczały o toż samo i usiłowania Komisji Edukacyjnej: nauki, satyry i komedje, rozprawy po Pamiętnikach czy liczne przedsięwzięcia, choćby kompanji manufaktur wełnianych, dążyły do jednego celu.

Niknęły więc przesądy kastowe i rodowe; zacierały się też wyznaniowe, ulatniał się duch ascezy i nietolerancji, tak żywy jeszcze, ba nawet wszechmocny około roku 1768. Działo się to pod łagodzącym wpływem oświaty; przez nią topniały lody sarmatyzmu, nieczułości. Oświata utkliwiła i uszlachetniła serca; rozglądano się i porównywano; uznawano własne błędy i winy obce; wznoszono się nad potrzeby i poglądy życia zwierzęcego, jedynego, jakie znała epoka saska. A chociaż to odrodzenie, to nawiązanie zerwanych duchowych ogniw, to uświadomienie europejskości i własnej narodowości rozpostarło się na naród nie odrazu, z wyżyn i od jednostek, chociaż przychodziło ucierać się z konfesyjnemi i stanowemi obłędami, z nieuctwem, apatją i lekkomyślnością, — jednak droga przyszłego rozwoju była wytknięta i rzucać jej już nie było możności.

Jeszcze łatwiej można obliczyć to, co zdziałała specjalnie dla literatury epoka stanisławowska. Uwolniła nareszcie myśl od uwięzi ascetycznej, odrodziła język, odnowiła formę. Wszystko skarlało, zmanierowane, bez życia; zesztywniał i zubożał język, odwykły, żeby w nim traktowano głębsze materje. Słowa, któremi dziś sza-

fujemy bez namysłu, jako odwiecznemi, autor z czasów Sejmu Wielkiego wstawiał ostrożnie, kładł w nawiasach obce, np. obok „nadużycia“ *abusus*, obok „czynnika“ *agens*, jakby prosił o wybaczenie dla tych nowoukutych wyrazów; przedtem nikomu się przecież nie śniło używać w polskiej mowie innego terminu, niż *abusus* lub *agens*, obdzierać własną mowę na zysk cudzej. I ci właśnie ludzie, co rzekli vale wąsom i karabelom, starali się o wymiecenie cudzoziemszczyzny z języka narodowego. Czasami szli nawet za daleko: pilnując prawidłowości mowy, strzegąc się dawnej trywjalności i rubaszności, pozbawiali ją wyrazistości i bogactwa; ścierali jej barwę, bojąc się, czy nie jest zbyt pstra; gładzili, by co gdzie nie uraziło; francuski szablon mowy — galanterji przykładali do polszczyzny i okrzesywali ją zbyt gorliwie z wszelkich narośli i dzikich niby pędów. Z językiem odnowionym nie zgadzała się już dawna bezstylowość, dawne podbieranie wierszów do byle jakiego przedmiotu, choćby do szkolnej teologji: w regułach, acz zbyt ciasnych, i w ich przestrzeganiu, odbiła się reakcja przeciw rozpasaniu; wrócono do najlepszych tradycyj i wzorów i, choć wielkich dzieł nie stworzono, choć nie sadzono się na oryginalność, choć naśladowano (najmniej na polu satyry z jej bogatą weną i werwą) — przygotowano wyniknięcie literatury prawdziwie narodowej.

Całą jednak treść epoki stanisławowskiej, jej polityki i literatury, wyraża jedno najlepsze jej dzieło: „Konstytucja trzeciego maja“, sławiona przez ministra angielskiego (Burke), jako najlepsza; do niej zbiegają się wszystkie linje rozwoju; jak w jakim końcowym obrazie na scenie bierze w niej udział wszystko, co było w Polsce dobrego i mądrego, i król, i Krasicki, i Naruszewicz — choćby odą, kazaniem czy listem, i błogosławi jej zdala Andrzej Zamoyski. Epoka zaczynała się i kończyła tak samo: reformą sejmu konwokacyjnego (1764) i unicestwieniem tej reformy przez konfederację Radomską — reformą trzeciego maja i unicestwieniem reformy przez Targowicę. Lecz ongi przeprowadzali reformę sami Czartoryscy przeciw narodowi; teraz trzech magnatów burzyło ją przeciw narodowi! Że naród stanął po stronie reformy, było to zasługą rządów Augusta i literatury jego czasów. Mógł sejm roku 1768 — po dziele Konarskiego! — uprawnić Liberum Veto; sejm roku 1791 zrywał ze wszystkiem złem przeszłości, z nierządem i jego nałogami, nakładał ofiary na stany sejmujące, uznawał mieszczan, podawał dłoń włościanom. Miał on być zorzą poranną nowego świtu, lecz był już tylko zachodzącem słońcem, co ozłacało gmach dawnej

Rzeczypospolitej. Dzieło samo upadło, lecz chwilę jego spółcześni przeżyli górnie,

Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,

a chwil takich skąpią losy wszystkim narodom; tem ważniej ciążą one na szalach dziejowych, a następstwa ich są nieobliczalne.

Czynem więc, Konstytucją i powstaniem kościuszkowskiem odpowiedział naród na gwałty rozbiorowe. Jak znalazła się wobec nich literatura? Nie zdobyła się na jawny, głośny, potężny protest; ale w ciągu ćwierćwiekowej „kalwarji“ narodowej, szczególniej u jej początku (1772) i końca (1795 i 1796) wymownie skarżyła się, oburzała i płakała. Konarski przed śmiercią napisał po łacinie i po polsku wiersz ślubny (dla Potockiego Ign. i Lubomirskiej 1772 r.), ale główna treść tegoż rozprawiała się z zaborcami i nicowała ich mniemane prawa i prawą zachłanność, wiara we własne siły nie znalazła tu wyrazu. Adam Czartoryski, wyjeżdżając do Petersburga jako zakładnik, napisał w Grodnie 1795, „Barda Polskiego“, którego Niemcewicz pociosał, rozszerzył i wydał w 1840 r.: już z tytułu widać wpływ Osjana i w jego posępnym tonie utrzymana jest podróż po kraju, straszne widoki jego spustoszenia, spotkania z nieszczęśliwymi, dziewicą obłąkaną z żalu, młodzieńcem, który darmo poświęcał swe siły ojczyźnie i teraz ją rzuci, aby poza nią szukać dla niej pomocy, ze starcem, co przebolał rzeź Pragi, a zwątpił o opatrzności. Młody autor wylał tu własne, wzburzone uczucia, dał folgę namiętnemu żalowi, mimo to nadziei, acz wątłej, nie stracił. Młodziutki jezuita Józ. Morelowski na Białej Rusi, gdzie zakon dalej istniał pod protekcją Katarzyny, wzorował na trenach Kochanowskiego własne treny nad zgubą ojczyzny, ogłoszone drukiem dopiero w pół wieku później. Ton ich jest zasadniczo różny od Barda: Bard zwalał wszelką winę na obcą przemoc, treny i Polskę oskarżały o winę; zato większa w nich otucha, poeta spodziewa się nawet powitać nową Polskę weselszemi pieśniami; niema w nich jednak tej bezpośredniości uczucia, niewymuszoności formy. Nierównie krócej i silniej wyraził się Karpiński 1796 r. w Żalach Sarmaty, jednak jego rezygnacja, niby zupełne zgodzenie się z losem, co „Polskę wymazał“ stawały w przykrym rozdźwięku do dzielnych początkowych zwrotów, a jego stanowisko dzielili inni, choć nie wszyscy. Woronicz w „sielance“, Emilka, po skargach i żalach ufać każe w Boga, co „wskrzesi na zbójców świata, krzywd naszych mścicielów“; Kniaźnin ostatki swej liry, w odach do Boga, Do Oj-

czyzny, Na rewolucją 1794 r., okraszał motywami psalmowemi i niezłomną ufnością w „dzieła niepojętego Boga“. Tak z dawnem państwem zstępowała do grobu dawna literatura; zakończył się jej pierwszy okres, okres literatury niepodległej.

Rozwój jej, nadzwyczaj powolny, utrudniały niegdyś stosunki wewnętrzne, od samego niekorzystnego położenia kraju aż do rozwielmożnienia się obcych żywiołów: po miastach niemieckich, a po głowach łaciny. Niemców niebawem zupełnie zasymilowano; łacina ustąpiła dopiero po roku 1764. Dziwnie wskutek tego ukształtowały się dzieje literatury polskiej: zagranicą nie wciąga się nigdy do dziejów literatury krajowej literatury łacińskiej chyba wyjątkowo, w najobszerniejszych dziełach, w nieskończonych tomach „Histoire littéraire de la France“; u nas literaturę łacińską należy koniecznie uwzględniać; najznakomitsi nasi pisarze rozbili swe namioty tu i tam; Kochanowski, Orzechowski, Klonowic, Szymonowic, Fredro i Lubomirski nie poddadzą się głębszej analizie, jeżeli nie wciągniemy ich dzieł obcych, to jest łacińskich; Klonowic przecież pisał po łacinie to, czego po polsku nie śmiał powiedzieć; obok pisarzów, piszących wyłącznie po polsku, Bielskiego, Reja i Potockiego, nie brak i wpływowych latynistów, Janicjusza i Sarbiewskiego.

Łacina została drugim językiem dawnej literatury, a fakt ten obfitował w ważne następstwa. Obcy język przemycał obce obrazy, uczucia i myśli; zacierał, odmieniał narodowy charakter; nietylko wzorowano się na formach starorzymskich, ale przejmowano się ich treścią. Nie z przypadku ani bez skutków literatura zygmuntowska zaroiła się latynistami, Krosienczykiem, Krzyckim i innymi; nie przemogła reakcja narodowa Bielskiego i Reja; Kochanowski zepchnął ponownie rydwan tej literatury na tory naśladownicze, z których już się nie wydobyła, okupując znaczne zyski znaczniejszemi stratami. Pełni życia narodowego już nie wyrażała, krępowana klasycznemi paskami i powijakami; nauczyła się w nich chodzić, zrzucić ich jednak nie potrafiła, szczególniej w wieku XVI. Dopiero w wieku XVII, z obniżeniem poloru umysłowego, pędy narodowe przebijały klasyczną skorupę, ale nie ogólnie, nie na zawsze, i wszechwładność łacińskiej formy i myśli, podtrzymywana przez szkołę, kościół i urząd, przetrwała czasy saskie.

Dawna literatura nie była więc zupełnie narodową: nie rozwijając własnych form i myśli, żywiła się obcemi sokami; nawet u Paska bróżdżą nietylko frazesy łacińskie; wycisnęły na niej piętno ksenomanja, naśladownictwo, pierworodny grzech sło-

wiański. A jednak, pominąwszy nagłe podniesienie się artystycznego tworzenia za Kochanowskim na wyżyny, jakichby domorosła literatura nierychło albo nigdy nie dosięgnęła, ta dawna literatura, jak i dawne życie polskie, chociaż w znacznie mniejszym stopniu, umiała zachować oryginalność, występującą jaskrawo w XVII wieku, u Kochowskiego, bardziej jeszcze u Potockiego, zacierającą się znowu później, nie w formie, stale chramiącej na klasycyzm, i nie w treści, nadto często zapożyczanej — lecz w duchu. Nawet z pod najpotworniejszych wymysłów pseudoklasycznych Miaskowskiego przebijała głęboka i prawdziwa staropolska nabożność; całkiem konwencjonalna sielanka Potockiego, z Apollinem i Muzami, z Bakchem i Olimpem, wyznawała zasady, najbardziej obce klasycznemu światu.

Nie skostniała więc zupełnie dawna literatura w naśladownictwie, choćby już dlatego, że w różnych wiekach podlegała różnym prądom. Z wieków średnich, u Bielskiego, Reja i Seklucjana, wychodziła podobna do czeskiej; Sztitny, Hus i Chełczycki, domorosła spekulacja, asceza i obserwacja, przeszczepiły się na grunt polski, i polszczyzna XVI wieku przypominała wzory i źródła czeskie nietylko powierzchownie, kilkudziesięciu czechizmami; tu najczyściej biła rodzimość, charakter słowiański najpełniej występował. Humanizm przemógł w literaturze, nie w życiu, ale niebawem zabarwiły go nowe żywioły, rycersko-romantyczne, włoskie, obce zupełnie Czechom, wyłączne w literaturze dubrownickiej. Literatura polska, po cechach czeskiej i łacińskiej, przybiera włoską; w tych samych tłumaczeniach i naśladownictwach styka się z dubrownicką, chociaż się nieraz znacznie opóźnia; „Amintę“ przetłumaczył Zlatarić jeszcze przed wyjściem na świat włoskiego oryginału (1580), u nas dopiero Andrzej Morsztyn; zato „Pastor fido“, tragedję Grottego, „Rime spirituali Fiammy“ (1570 roku) już w XVI wieku tłumaczyli Smolik i Grabowiecki; epopeje romantyczne, heroiczne (Osman Gundulića) i religijne (Christjada Palmotića) powtarzają się u Kochowskiego i Gawłowickiego; Ariosto i Marino zaś święcą w Polsce triumfy, na jakie już nie stać Dubrowniczan. Obok włoskich wpływy francuskie zjawiają się u Polaków już w XVII wieku najpierw między wszystkimi Słowianami — tylko germańskich brak zupełny.

Rozmaitości wpływów i kierunków odpowiada bogactwo form i treści, chociaż pole dramatyczne leży zupełnie odłogiem; wszelkie próby, od Kochanowskiego do Rzewuskiego, rażą odosobnieniem;

tu literatura polska cofa się niemal poza dubrownicką, nie dotrzymując bynajmniej kroku romańskim i germańskim. Nie jest to ani przypadek, ani skutek braku życia miejskiego i dworskiego u szlachty, stroniącej zawsze od obu, sielskiej swemi nawykami i pod tym względem prawdziwie słowiańskiej; dramat słowiański i dziś jeszcze nie stanął nigdzie obok liryki i epiki słowiańskiej, jest to zawsze jeszcze rzecz przyszłości, mimo prób nieskończonych a nieraz i świetnych. Jednozgodne świadectwa najlepszych znawców, Czartoryskiego i Dmochowskiego, stwierdzają istnienie sceny szkolnej, komedji i tragedji żakowskiej, krasomówczych i pseudohumorystycznych popisów po audytorjach, przeczą zaś samym początkom jakiejś sceny narodowej, powstającej nawet później (co do czasu), niż rosyjska; Wołkow, Sumarokow i teatr Elżbiety wyprzedzili Bohomolca i teatr stanisławowski. Tem obficiej uprawiano inne działy; dydaktyczny, od poważnej satyry aż do sprośnego pamfletu, epiczny i liryczny, chociaż znowu proza nie nadąża za poezją; widoczne to szczególniej w romansie, zatapiającym niwy poetyckie u Francuzów, Niemców, Włochów i Anglików, zawsze niklym w Polsce, gdzie i tłumaczenia nie były ani rychłe ani obfite; Niemcy dawno już piszą romanse o Wandzie, gdy Polacy zdobędą się chyba na epopeę łacińską o niej; Francuzi tworzą powieść polską, chociażby taką jak „Le beau Polonais“ Prechaca, „Mémoires de la comtesse Linska, histoire polonaise“ (1739 roku) p. de Lavalle lub „Les amours de Bonne“ — my sami milczymy.

Chociaż dawna literatura nie stworzyła arcydzieł ani nie wyrobiła zupełnie narodowej formy i treści, należy się jej jednak wielkie uznanie za gorliwą służbę obywatelską.

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże:

jest jej hasłem, jak było Kochanowskiego, i najmniej ona winna, że „dobro spólne“ zmarniało; również daremne były nawoływania literatury politycznej. Ta obywatelskość wyróżnia dawną literaturę nietylko w porównaniu z naszą nowoczesną, ale i z obcemi: jej poeci nie zaskorupiają się w sobie, rychło żegnają liryczne uniesienia młodości i stają w szeregu pożytecznych pracowników. Obok tej cechy obywatelskości, góruje ona promieniowaniem nazewnątrz — na literaturze polskiej wyrastają liczne pokolenia wschodnie w Kijowie i Jassach, a wpływ tej literatury sięga i Moskwy. Góruje ona wreszcie językiem, jego poprawnością i czystością, mimo ła-

cińskich naleciałości, — które trwały wpływ wywrzeć mogły tylko w szyku słów; język Orzechowskiego, Skargi, Reja, Potockiego, Krasickiego i Trembeckiego zostanie na zawsze ożywczem źródłem i w niem skąpać się winien, kto chce pisać po polsku: niedarmoż Słowacki siłę i czucie językowe orzeźwiał i wzmagał śród obcych obu Kochanowskimi i Wujkiem, jak Anteusz za dotknieniem ziemirodzicielki.

Rozwój tej literatury nie odbywał się w linji prostej; cechują ją nagłe załamania. Po wiekowem pełzaniu nad samą ziemią, po powolnem wznoszeniu się w pierwszej połowie XVI wieku, pnie się ona nagle na wyżyny, odskakuje od dotychczasowego toru, za sprawą Kochania Wieku; artystycznej miary tego wzoru nie dosięgają już nigdy następcy; zato naginają oni napowrót wybujałą linję do poziomu narodowego lub kroczą po nowych torach, których nie wskazywał jeszcze wieszcz czarnoleski. Potem linja niby się gubi, jak niegdyś, chociaż wszystkie warunki się zmieniły, a wznosi się znowu nagle za czasów stanisławowskich, silących się powetować czas stracony zdwojoną energją, podążyć za oświeceniem europejskiem, któremu dorównywaliśmy w roku 1500 — niedarmo rzucali wtedy Niemcy własne uniwersytety, a garnęli się do krakowskiego — za którem to oświeceniem pozostaliśmy tak strasznie wtyle w roku 1764. Ta nowa literatura zdziałała, co mogła, i przyczyniła się mądrze a skutecznie do odrodzenia duchów.

I ją pochłonęła katastrofa polityczna; zamilkła ona po roku 1794, a, gdy na nowo powstawała, zmieniła się już zupełnie jej rola i znaczenie w życiu narodowem; przedtem była tylko jednym z jego czynników, obok innych, teraz ona jedna niemal wyłącznie musiała dźwigać czy stanowić i wyrażać narodowość; takiego zadania nie spełniała żadna inna literatura świata.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

DODATEK.

Ciągu opowiadania nie przerywały wskazówki, z którychby czytelnik mógł zasięgnąć dokładniejszych wiadomości o pisarzach i pismach; teraz dopiero wymienimy najważniejsze dzieła pomocnicze. Każdy stary druk obszerniej lub króciej opisał K. Estreicher w Bibljografji, obejmującej od tomu XII całość trzechwiekową; dzieło-olbrzym po śmierci ojca syn Stanisław doprowadził do litery S. Każdy, choćby najdrobniejszy zabytek staropolskiego piśmiennictwa (do r. 1543) omówił J. Łoś w „Początkach piśmiennictwa polskiego". Zastąpił tem dawniejsze dzieło „Die altpolnischen Sprachdenkmäler" Wł. Nehringa z r. 1886; od tego roku bowiem do dziś podwoiła się liczba tych zabytków. Wszelkie nowsze prace o dawnych pisarzach i pismach wymienił G. Korbut i króciutko zaznaczył treść ich, lub wartość. Nie wymieniamy całokształtów dziejów dawnego piśmiennictwa, zawartych w dziełach o historji literatury polskiej Tarnowskiego, Chmielowskiego i i.; zwracamy zato uwagę na liczne monografje o dawnych pisarzach, począwszy od M. Bielskiego (Ign. Chrzanowskiego) i Reja (Brückner) aż do Karpińskiego (niedokończone studjum Górskiego) i Kołłątaja (Janik); lecz właśnie najznakomitsi, Kochanowscy, Potocki, Krasicki dotąd nie doczekali się wyczerpującej pracy; mają je zato Szymonowic i Zimorowic (Heck) Gawiński (Dziama), Kochowski i Twardowski (Turowski, niewyczerpujące), Janicjusz (Ćwikliński), Nidecki i J. Górski (Morawski), Brorcjusz (Franke), Fryc (Kot), są nawet niemieckie prace (Löwenfelda) o Kochanowskim i Górnickim. Najobszerniejszą, iście wzorową monografję poświęcił ks. Warnieński dwum protestantom, Samuelowi i Seklucjanowi. Pomijamy monografje, odnoszące się do pewnych rysów działalności np. Skargi (Kazania Sejmowe Ign. Chrzanowskiego, prace Tretiaka i i.), jak i wszystkie

dawniejsze przyczynki, począwszy od Ossolińskiego i Dzieduszyckiego. Natomiast wspominamy monografje, poświęcone całym gałęziom piśmiennictwa, a więc: Tarnowskiego o literaturze politycznej XVI w., o Frycu, Orzechowskim i t. d., Tad. Grabowskiego o literaturze teologicznej, różnowierczej (kalwińskiej, arjańskiej, luterańskiej) i katolickiej (głównie Skargi); Józ. Rostafińskiego o przyrodniczej XVI w.; St. Windakiewicza o teatrze ludowym; Mar. Szyjkowskiego o pisarzach obcych (Rousseau, Yong, Osjan w Polsce) i o dramacie pseudoklasycznym; Wł. Smoleńskiego o przewrocie umysłowym za Stanisława Augusta.

Dawne piśmiennictwo wobec braku książek „staropolskich“ poza wielkiemi księgozbiorami było mało dostępne; nie wystarczały przedruki w Bibljotece klasyków polskich Bobrowicza i t., nieliczne i liche. Pierwszy uprzystępnił to piśmiennictwo Kaz Turowski; jego „Bibljoteka“ ogarniała przeważnie pisarzów XVI i XVII w., od Reja i Kochanowskiego do Grochowskiego, Twardowskiego i Kochowskiego, ale i ta, nie podtrzymana należycie przez ogół, dawno wyczerpana. Równie planowego, obszernego wydawnictwa nikt się dotąd nie podjął. Lewentalowska bibljoteka dzieł wyborowych pod redakcją Chmielowskiego zapełniła niejedną lukę, wydała Górnickiego, A. Morsztyna, Potockiego (Wojnę Chocimską i t.), wiersze Naruszewicza, wybór komedyj Zabłockiego, Krasickiego. Akademja wydaje od szeregu lat Bibljotekę Pisarzów Polskich, od Rozmyślania przemyskiego i Fortuny i Cnoty z r. 1522 do Moraljów W. Potockiego, dotąd 75 numerów, przeważnie drobnej objętości, ale są i spore tomy np. listy i pisma Orzechowskiego, Moralja, Ezop (wyczerpujący poniekąd dawne bajkopisarstwo), „Pamiętniki Janczara“, pisma o myśliwstwie (Rostafińskiego) i t.; Tad. Wierzbowski wydał 25 numerów Bibljoteki zapomnianych autorów, rzeczy drobne, z literatury sowizdrzalskiej i pieśniarskiej. Naukowe Towarzystwo lwowskie wydało „Ogród Fraszek“ Potockiego i „Wirydarz poetycki“ Trembeckiego. Pomnikowe wydanie warszawskie Kochanowskiego zasługuje na osobliwsze wyróżnienie z powodu szerokości programu i staranności wykonania. Inne zbiorowe wydawnictwa podjęła Akademja; wydała „Corpus“ poetów łacińskopolskich XVI w. (Pawła z Krosna, Rojzjusza, Husarczyka, Krzyckiego); z jej polecenia wydał J. Czubek pisma polityczne, prozą i wierszem, łacińskie i polskie, satyry i rozprawy z czasów pierwszego bezkrólewia (odtworzył nam Solikowskiego) i rokoszu Zebrzydowskiego (poznaliśmy Herburta); z aktów krakowskich wy-

łożył życiorysy Potockiego, Kochowskiego i i. Literaturę sowizdrzalską zebrał w całości Dr. Badecki (dotąd nieogłoszona). Nie wspominamy o wydawnictwach popularnych rozmaitych Bibljotek Narodowych i i., ograniczających się przeważnie do Reja, Kochanowskiego i Potockiego a raczej do wyboru dzieł. Pomijamy też luźne wydania dzieł Rejowych i i., Zwierciadła (Akademja dwukrotnie; wzorowe wydanie), Wizerunku i Psalterza (Ptaszycki), Kazań Sejmowych Skargi (Chrzanowski), Kazań Birkowskiego.

AKADEMIA PODLASKA BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Siedlcach

S P I S R Z E C Z Y

Str.

Przedmowa do pierwszego wydania 1
Przedmowa do drugiego wydania 3
Przedmowa do trzeciego wydania 5

ROZDZIAŁ PIERWSZY. POCZĄTKI.

Kraj, naród i państwo; kultura pierwotna. Przyjęcie chrześcijaństwa; niedostateczność misji zewnętrznej i wewnętrznej. Pierwsze pomniki łacińskie: Gal i Wincenty. Rozbudzenie życia religijnego w wieku trzynastym. Kazania i pieśni polskie; Bogurodzica; zasługi Kingi. Nowe żywioły; napływ niemiecki; reakcja narodowa. Wiek czternasty: wpływy czeskie i niemieckie; kultura kazimierzowska. Prace prawodawcze; potrzeba uniwersytetu. Literatura łacińska i polska; Jadwiga; kazania i pieśni polskie. Misja państwowa, obyczajowa i religijna na wschodzie. Nowy uniwersytet Jadwigi i Jagiełły. Żydzi. 7

ROZDZIAŁ DRUGI. WIEK PIĘTNASTY. SCHOLASTYCYZM.

Państwo i społeczeństwo. Studjum generalne krakowskie; jego zasługi i wpływ; braki i wady. Literatura poza uniwersytetem; Długosz. Nowe prądy; husytyzm, Gałka, Ostroróg. Humanizm, Grzegorz z Sanoka, Kalimach, Celtes. Wzrost ogłady ogólnej. Manja pisania: kazania i poezja łacińska. Proza i poezja w języku narodowym. Zasługi bernardynów; pierwszy wierszopis polski, bł. Władysław z Gielniowa 29

ROZDZIAŁ TRZECI. WIEK ZYGMUNTA STAREGO. PRZEWAGA ŁACINY.

Państwo i społeczeństwo; spolszczenie mieszczaństwa; obce żywioły etnograficzne; Ruś i Litwa; ich polszczenie. Literatura łacińska; uniwersytet; humanizm; poeci: Krzycki, Janicjusz; historycy; politycy. Literatura narodowa, rękopiśmienna i drukowana; Biernat z Lublina, Rej; jego dialogi i psalterz. Śmierć Zygmunta Starego. 63

ROZDZIAŁ CZWARTY. DRUGA POŁOWA XVI WIEKU. REFORMACJA.

Początki ruchu religijnego; przyczyny jego opóźnienia i rozbieżności. Lutrzy, bracia czescy, kalwini, arjanie. Polemika o wiarę; wpływ na literaturę. Reakcja katolicyzmu; dlaczego katolicyzm zwyciężył? Jezuici; Wujek i Skarga. Unja brzeska. Pisarze, wykolejeni polemiką teologiczną: Orzechowski, Fryc, Wolan, Glicner 99

ROZDZIAŁ PIĄTY. LITERATURA ZYGMUNTOWSKA.

Literatura staropolska: Bielski i Rej, Paprocki i Stryjkowski. Tłumacze. Beletrystyka (powieści ludowe). Wierszoroby. Dialogi i dramat szkolny. Poezja humanistyczna, łacińska; polska, Kochanowski; pierwsze włoskie tchnienia; Szarzyński; ksiądz Grochowski; mieszczanin Klonowic, Tłumaczenia, Górnicki i inni. Proza humanistyczna, historycy, mówcy. Wynik tej pracy umysłowej; wysoki poziom literatury narodowej; jej język 145

ROZDZIAŁ SZÓSTY. WIEK SIEDEMNASTY. TŁO DZIEJOWE I PRĄDY UMYSŁOWE. LITERATURA MIESZCZAŃSKA I PROZAICZNA.

Upadek państwa; anarchja szlachecka. Upadek protestantyzmu; wszechmoc katolicyzmu i jezuitów; Sarbiewski, pisarze prawosławni. Upadek mieszczaństwa; jego rola w literaturze; Szymonowic i Zimorowic; literatura sowizdrzalska; dramat szkolny. Literatura polityczna; optymaci, Łukasz Opaliński; republikanie: Fredro; pesymista Lubomirski; antysemici. Historycy; polihistor Starowolski. Pamiętnikarze; Pasek. Powieści i romanse 202

ROZDZIAŁ SIÓDMY. POEZJA SZLACHECKA.

Pisarze i pisma anonimowe. Pisarze wybitniejsi; epika historyczna i romantyczna; Twardowski. Epika religijna, mesjady polskie. Satyra Opalińskich. Wiersze dydaktyczne i fraszki: Wacław Potocki. Lirycy religijni i polityczni: Miaskowski i Kochowski; erotycy: Morsztynowie; liryka gnomiczna Naborowskiego. Próby dramatyczne: Lubomirski. Kobiety autorki: Stanisławska 278

ROZDZIAŁ ÓSMY. ZASTÓJ SASKI.

Wzrost nietolerancji, jej gorszące objawy. Anarchja szlachecka, zagwarantowana przez obce mocarstwa. Rozszczepienie literatury: drukowana się odświeczcza; rękopiśmienna. Magnaci w literaturze: Radziwiłłowie, Jabłonowscy, Załuscy, Drużbacka. Romanse wierszowane: wiersze historyczne i satyryczne. Budzenie się z zastoju; Leszczyński, Konarski, Rzewuski 352

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. ODRODZENIE.

Król i społeczeństwo. Satyryczna i dydaktyczna cecha literatury: Krasicki i Naruszewicz; Piotrowski i Juszyński; Trembecki i Węgierski. Liryka, Karpiński i Kniaźnin. Komedja, Zabłocki, Niemcewicz, Bogusławski. Literatura polityczna, Staszic, Kołłątaj, Jezierski. Wpływy francuskie: tłumaczenia. Komisja edukacyjna. Żywioły wsteczne; żywotność literatury ascetycznej, autorytetu łaciny, sarmatyzmu. Pamiętniki. Wywody ogólne o dawnej literaturze . . . 396

DODATEK 461

Biblioteka Główna AP w Siedlcach
nr inw.: KG - 589
589